

Nancy Farmer

Szkoła Bardów

Tłumaczenie Grzegorz Komerski

PANGUR BAN

Ja i Pangur Ban, mój kot.

Oto lista naszych psot:

on uwielbia myszy chwytać,

ja o słów znaczenia pytać.

Wolę, niżli pochwał szukać,

piórem w księgi swoje stukać.

Pangur tego nie zazdrości,

chętnie gryząc mysie kości.

Bardzo obu nam przyjemnie

mieć zajęcie w nocy, we dnie.

Gdy przy ogniu zasiadamy

Swych rozrywek zażywamy

Często jakaś mysz zbłąkana

wchodzi w drogę Pangur Bana.

Często myśli me na nowo

w lot chwytają zwodne słowo

On, wpatrzony w mury domu,

syty, łowca po kryjomu.

Ja, wpatrzony w mury wiedzy,

nad mądrością wciąż się biedzę.

Gdy mysz w kącie dokazuje,

jakże Pangur się raduje.

Jakież chwile szczęścia miewam,

gdy zwątpienia noc to zwiewam.

Wiedziem żywot pośród psot,

ja i Pangur Ban, mój kot.

Wielkie daje nam to szczęście,
ludzkie, kocie, w równej części.

Co dzień ćwicząc, Pangur żwawy
już mistrzowskiej nabrał wprawy.
Służąc wiedzy czasu moc,
w jasny dzień ja zmieniam noc.

Wiersz napisany w VIII wieku przez anonimowego, irlandzkiego mnicha, który skomponował go na marginesie rękopisu, w którym miał przepisywać Biblię. Angielski oryginał na podstawie przekładu Robina Flowera, zamieszczonego w książce „The Irish Tradition”, Londyn 1947.

SPIS POSTACI

LUDZIE (SASI)

Jack: uczeń barda, czternastolatek

Hazel: ośmioletnia siostra Jacka, porwana przez hobgobliny

Lucy: przybrana siostra Jacka, żyjąca w Krainie Elfów

Matka (Alditha): matka Jacka, wieszczka

Ojciec (Giles Kuternoga): ojciec Jacka

Bard: druid z Irlandii; znany także jako Smoczy Język

Ethne: córka barda i Królowej Elfów

Pega: była niewolnica, szesnastolatka

Pani Tanner. wdowa po garbarzu, matka Ymmy i Ythli

Ymma i Ythla: córki pani Tanner, odpowiednio ośmio — i dziesięcioletnie

Brat Aiden: mnich ze Świętej Wyspy

Gog i Magog: niewolnicy wioskowego kowala

Król Brutus: władca Bebbas Town

Ojciec Severus: opat klasztoru świętego Filiana

Wulfhilda: zakonnica

Allyson: nieżyjąca matka Thorgil

LUDZIE (WIKINGOWIE)

Thorgil: przybrana córka Olafa Jednobrewego, czternastolatka

Olaf Jednobrewy: nieżyjący słynny wojownik i przybrany ojciec Thorgil

Skakki: osiemnastoletni syn Olafa, dowodzący własną załogą

Runa, Sven Mściwy, Eryk Zapalczywy, Eryk Pięknolicy: członkowie załogi Skakkiego

Egil Długa Włócznia: kapitan i kupiec

Bjoem Łamacz Czaszek, najlepszy przyjaciel Olafa Jednobrewego

Einar Żmijozęby: pirat

Większa Połowa i Mniejsza Połowa: bracia służący Żmijozębemu

ISTOTY MROKU

Bugabu: król hobgoblinów

Nemesis: jego zastępca

Pan Blewit. hobgoblin, przybrany ojciec Hazel

Draugr. mściwy upiór

Hobgun: pozbawiona duszy zjawa, karmiąca się cudzą siłą życiową

POZOSTALI

Shoney: władca morskiego ludu

Shair Shair: żona Shoneya

Shellia: córka Shoneya i Shair

Shair, znana także jako draugr

Księżycowy Człowiek: starożytne bóstwo, wygnane na Księżyc

Gnomy: znane też jako *landv&ttir*, duchy ziemi

Pangur Ban: wielki biały kocur z Irlandii

Odyn: bóg wojny Ludzi Północy, władca Valhalli, prowadzący Dzikie Łowy

JOTUNY (TROLLE)

Królowa Gór. Glamdis, władczyni Jotunheimu

Fonn i Forath: córki Królowej Gór

Schlaup Póltroll: syn Królowej Gór

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZANOSI SIĘ NA BURZĘ

Jacka bolały palce. Dłonie miał całe spękane i pokryte pęcherzami. Dawniej był w stanie ciężko pracować, zupełnie przy tym nie cierpiąc. Wtedy skóra jego rąk była grubsza i chroniła go jak należy przed szorstką rękojeścią sierpa. Te dni już jednak minęły.

Od dwóch lat nie musiał pracować na roli. Większość tego czasu spędził, ucząc się na pamięć wierszy i brzdąkając co jakiś czas na harfie — oczywiście, wciąż daleko mu było do umiejętności, jakimi szczycił się bard, i nic nie zapowiadało, że kiedykolwiek starcowi dorówna. Po skroniach spływały mu struzki potu. Zmęczoną dłonią przetarł twarz, ale osiągnął jedynie tyle, że do oczu dostał mu się piach.

— Przeklęta robota! — krzyknął rozzłoszczony i rzucił sierp na ziemię.

— Ty masz przynajmniej obie ręce — zauważyła Thorgil, która mozoliła się nieopodal. Dziewczyna chwyciła pierzaste liście orlicy zgiętym ramieniem i ścinała je nożem. Jej prawa ręka była bezwładna, beзуyteczna, a mimo to wojowniczką nie poddawała się. Jacka irytowało to, ale też przepelniało podziwem.

— Dlaczego nie może tego robić kto inny? — rzucił zrzędlawie chłopak, opadając ciężko na miękką stertę orlicy.

— Nawet Thor podejmuje się niewdzięcznych obowiązków, kiedy rusza na wielką wyprawę — odparła spokojnie Thorgil, dorzucając do rosnącego na ziemi stosu kolejne naręcze orlicy. Odwróciła się i podjęła przerwana na moment pracę.

— To nie jest żadna wielka wyprawa! To zajęcie dla niewolników!

— No tak, ty zapewne sporo wiesz o pracy niewolnika — odgryzła się wojowniczką.

Jack poczuł, że jego twarz oblewa jeszcze gorętszy rumieniec. Przypomniał sobie czas, gdy był niewolnikiem w krainie Ludzi Północy. Zdusił jednak w sobie cisnącą mu się na usta ripostę, że także Thorgil spędziła dzieciństwo w niewoli. Na domiar złego do dziś przytrafiały jej się regularne napady ponurego nastroju, który kładł się cieniem na wszystkich wokół niej i jak zaraza przenosił z człowieka na człowieka. Tak, to odpowiednie dla niej słowo — pomyślał Jack. Dziewczyna była istną zarazą. Chorobą, która sprawia, że wszystko żółknie i więdnie.

Odkąd Thorgil przybyła do wioski, nic nie układało się pomyślnie. Bard musiał się uciec do najstraszniejszych gróźb, by nie zdradziła nikomu, że pochodzi z plemienia Ludzi Północy, niebezpiecznych zabójców, którzy napadli na Świętą Wyspę. Mimo tych zabiegów mieszkańcy wioski i tak traktowali ją podejrzliwie. Dziewczyna za nic nie chciała nosić kobiecych strojów.

Łatwo się obrażała. Była ponura i opryskliwa. Krótko mówiąc, stanowiła doskonały przykład córki miecza z dalekiej Północy.

A jednak Jack nie zapominał, że Thorgil ma też i zalety — o ile w ogóle można powiedzieć, że Ludzie Północy takowe posiadają. Była mężna, lojalna i bezwarunkowo godna zaufania. Gdyby tylko potrafiła czasem choć trochę ugiąć kark!

— Jeśli przesuniesz zadek, mogłabym zabrać tę orlicę. Chyba że masz zamiar urządzić tu sobie posłanie — rzuciła.

— Oj, zamknij się! — Jack pochwycił sierp i skrzywił się boleśnie, czując, jak pęka jeden z pęcherzy na jego dłoni.

Przez długi czas pracowali w milczeniu. Słońce nasycalo duszny las strumieniami gorącego światła. Niebo — te jego skrawki, które widzieli między gałęziami — było błękitne i bezchmurne. Napierało na nich niczym odwrócone do góry dnem jezioro — gorące, wilgotne i zupełnie nieruchome. Jack z trudem dawał wiarę słowom barda, który zapowiedział nadejście burzy. Ze zdaniem starca się nie dyskutowało. Bard, przesiadując zazwyczaj samotnie nieopodal swego starego, rzymskiego domu, słuchał ptasich głosów i obserwował, w jaki sposób porusza się morze.

Rozległ się głośny hurgot. Jack i Thorgil podnieśli wzrok. Na zaprzężonym w wołu wozie przyjechali dwaj niewolnicy kowala. Chwilę później potężni milczący mężczyźni przedarli się przez zarośla i zaczęli zbierać przygotowaną orlicę. Stąpali ciężko, chodząc w tę i z powrotem. Nie odzywali się, nie patrzyli nikomu w oczy. Ojciec sprzedał ich w niewolę na targu w Bebbas's Town, ponieważ, delikatnie mówiąc, nie byli zbyt bystrzy, i Jack często się zastanawiał, co w ogóle mogło zaprzętać ich myśli. Nigdy nie widział, by rozmawiali ze sobą lub z kimkolwiek innym.

A przecież nawet zwierzęta myślą. Bard raz po raz pouczał swego ucznia, że wszystkie stworzenia dysponują wielką wiedzą i gotowe są przekazać ją tym, którzy zwrócą na nie uwagę. Ale co mogli wiedzieć i czym mogli się podzielić ci dwaj niewolnicy, Gog i Magog? Chłopak spojrzał na ich posępne oblicza i stwierdził, że zapewne żaden z nich nie myślał o niczym dobrym.

Gdy wóz został załadowany, Jack i Thorgil ruszyli do domu. Przez większość czasu mieszkali u barda, ale teraz, ze względu na nadciągającą niebezpieczną burzę, wrócili na farmę należącą do rodziców chłopaka.

Przez ostatnie dwa lata rozrosła się ona niebywale. Obok domu, stodoły i szopy, gdzie przechowywano zapasy na zimę, ojciec Jacka wznosił nowy budynek, w którym zamieszkały trzy masywne czarne krowy. Doglądała ich Pega, wyzwolona przez Jacka była niewolnica. Zajmowała się także kurami, nowymi owcami i osłem. Koni jednak nie wolno jej było nawet tknąć. Tymi opiekowała się Thorgil i strzegła ich zazdrośnie, szczególnie przed córkami pani Tanner.

Na skraju posiadłości, gdzie gleba była zbyt kamienista, by cokolwiek na niej sadzić, wyrastała sklecona z torfu chatynka. Właśnie tam gnieździła się pani Tanner — wdowa po garbarzu — wraz z

dwiema córkami. Kobiety nie miały w swej lepiance więcej miejsca niż trzy groszki w strąku. Zjawiły się na farmie rok temu, by pomóc matce Jacka, i nie wróciły już do siebie.

— Mam nadzieję, że ta burza wkrótce uderzy! — zawołała Thorgil i cisnęła kamieniem we wronę. Ptak załopotał skrzydłami i odleciał, zręcznie unikając pocisku. — Powietrze jest takie gęste i duszne! Zupełnie jakbym oddychała błotem.

Jack spojrział w bezchmurne, błękitne niebo. Jeśli nie liczyć złowieszczego bezruchu, wszystko wyglądało jak w każdy inny dzień na początku lata.

— Bard rozmawiał z jaskółką z południa. Powiedziała mu, że prądy powietrzne zmyliły swe szlaki i migrujące ptaki tracą orientację. Dlaczego ty nigdy nie rozmawiasz z ptakami, Thorgil? — Wojowniczką posiadała tę umiejętność w chwili, gdy przypadkowo napiła się smoczej krwi.

— One nie chcą mi niczego powiedzieć — odparła.

— Może gdybyś nie rzucała w nie kamieniami...

— Ptaki są głupie — dziewczyna stwierdziła z przekonaniem.

Jack wzruszył ramionami. Marnotrawienie posiadanego talentu i jednocześnie pragnienie rzeczy nieosiągalnej — pełnego chwały życia wojownika — tak, to dla niej typowe. Marzeniom o innym życiu położył kres paraliż ręki. Thorgil chciała również zostać poetką i nawet Jack musiał przyznać, że składała całkiem zgrabne sagi. Śpiewała co prawda gardłowo i zanadto pociągały ją krwawe, pełne śmierci opisy bitew i męczarni, ale jej opowieści zawsze przykuwały uwagę słuchaczy.

Gdy nadchodziły długie zimowe wieczory, wieśniacy zbierali się wokół paleniska w domu wodza, gdzie słuchali pieśni i raczyli się gorącym cydrem. Bard grał wtedy na harfie, a kiedy dopadało go zmęczenie, Jack i Thorgil recytowali swoje poematy. Brat Aiden, niewysoki mnich ze Świętej Wyspy, dorzucał historie o Bogu Jezusie, który nakarmił tysiąc ludzi pięcioma rybami i dokonał wielu innych cudów. Główną atrakcją tych spotkań stała się jednak Pega. Dziewczynka miała tak przejmujący i piękny głos, że nawet szalejące na morzu sztormy cichły, by choć przez chwilę jej posłuchać.

— Na Thora! Bachory od Tannerki znowu bawią się moimi końmi! — Thorgil puściła się biegiem przed siebie.

Jack pospieszył za dziewczyną, by zapobiec niechybnej bójce. Córki pani Tanner były zafascynowane kucykami, przekazanymi rok temu w darze od króla Brutusa. Prawdę mówiąc, nie było jasne, do kogo te konie należą — władca dał je w prezencie całej powracającej z Bebbas Town grupie pielgrzymów. Jack uważał, że powinny przypaść bardowi, ale Thorgil upierała się, że to ona, jako jedyna pośród nich prawdziwa wojowniczka, ma do nich prawo.

— Złazić z nich, parszywe psy! Zmarnujecie mi konie!

Thorgil głośno zagwizdała i kucyki gwałtownie zawróciły, strącając z grzbietów swych małych jeźdźców. Potem zatrzymały się przed dziewczyną i zaczęły brykać w miejscu, jak przystało na

pełne werwy stworzenia. Jack podbiegł do leżących na ziemi, wyjących wniebogłosy dziewczynek i pomógł im wstać.

— Albo się zamkną, albo zaraz będą miały prawdziwy powód do lamentów — warknęła Thorgil, gładząc końskie grzywy.

Jack obejrzał dziewczynki i stwierdził, że nic poważnego im się nie stało. Jedna miała osiem, druga dziesięć lat i obie były niezwykle drobne wskutek niedożywienia oraz szkodliwych oparów unoszących się w starej garbarni, w której mieszkały do śmierci ojca.

— Przecież to jeszcze dzieci — napomniał dziewczynę Jack, ocierając połą swej tuniki brudne, poznaczone śladami łez buzie. — W ich wieku na pewno zachowywałaś się tak samo.

— Ja byłam wojowniczką! Córka...

— Uważaj, co mówisz! — rzucił ostro chłopak.

Dziewczynki przestały płakać i ciekawie przyjrzały się Thorgil.

— No to kto był twoim tatą? — spytała starsza.

— Pewnie jakiś stary troll — zachichotała młodsza.

Thorgil pochyliła się i podniosła z ziemi kamień, ale małe czmychnęły, zanim zdążyła którąkolwiek uderzyć.

— Paskudne bagienne szcurzyce! — mruknęła dziewczyna.

— Wystarczy, że raz ci się coś wymknie — przestrzegł Jack. — Jeśli ktoś, kto cię nie lubi, dowie się, że nie jesteś Sasem, to cała wioska obróci się przeciwko tobie. A także przeciw mnie i mojej rodzinie. W końcu to my daliśmy ci dach nad głową.

— Tylko ten dług powstrzymuje mnie od pokazania im wszystkim, co odziedziczyłam po ojcu. — Thorgil objęła szyję jednego z kucyków, który cmoknął przeciągle, zupełnie jakby posyłał jej końskiego buziaka.

Jack — jak zawsze — był pod wielkim wrażeniem miłości, jaką dziewczyna wzbudzała w tych zwierzętach. Żałował jedynie, że to samo nie tyczyło się ludzi.

— Chodźmy do domu — powiedział. — Umieram z głodu, a przez całe popołudnie będziemy musieli zbierać orlicę.

— Przeklęta orlica — syknęła Thorgil. — Przeklęte całe bezsensowne i nudne życie w tej waszej wiosce. Jestem tak głodna, że za jedną zgniłą rzepę rzuciłabym się z urwiska do morza!

— Nie sądzę — stwierdził Jack i ruszył do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

DZIKIE ŁOWY

Zły nastrój Thorgil towarzyszył im w drodze do domu. Z kwaśną, skrzywioną miną dziewczyna przyjęła poczęstunek i od razu zaczęła się napychać.

— W naszej wiosce mamy zwyczaj dziękować za jedzenie — zauważyła matka Jacka.

Chłopak westchnął w duchu. Tego rodzaju sporom nie było końca. Thorgil skutecznie opierała się wszelkim próbom wpojenia jej choć odrobiny ogłady.

— A po co dziękować? — rzuciła naburmuszona.

— Żeby okazać wdzięczność.

— Jestem wdzięczna! Przecież jem te pomyje, prawda? Poza tym równie dobrze ty mogłabyś podziękować mi za zbieranie orlicy. Gdyby wszyscy zaczęli sobie dziękować za takie drobiazgi, żadnej sprawy nie udałoby się doprowadzić do końca.

— Nie o to chodzi — sprostowała cierpliwie matka. — Ludzie lubią, kiedy ktoś im powie dobre słowo. Choćby „dzień dobry” czy „jak się masz?”.

— A jeśli dzień jest wyjątkowo paskudny albo zupełnie mnie nie obchodzi, jak się miewają inni?

— A żyj sobie, jak chcesz! — wykrzyknęła matka. — Czasami mam nadzieję, że przyplyną tu kiedyś Ludzie Północy i cię od nas zabiorą! — Wzburzona wypadła na zewnątrz.

Jack uniósł brew. Zazwyczaj nie traciła tak łatwo panowania nad sobą. Choć musiał przyznać, że za sprawą Thorgil — zwłaszcza wścieklej Thorgil — nawet zwykle dobrodusznemu i spokojnemu bratu Aidenowi zdarzało się zaplamić przepisywany rękopis.

Po chwili usłyszał głos matki, która zastanawiała się z Pegą, w jaki sposób zabezpieczyć zwierzęta przed nadchodzącą burzą. Wszystkie krowy i konie należało zapędzić do stodoły. Owce, bardziej od nich agresywne, będą musiały poradzić sobie jakoś na zewnątrz.

— Nawet Olaf Jednobrewy mówił ludziom „dzień dobry” — zauważył Jack, wspominając nieżyjącego już przybranego ojca Thorgil.

— Ale tylko wtedy, kiedy dzień był naprawdę dobry. Olaf nigdy nie kłamał. — Dziewczyna zasłoniła oczy dłonią.

— Płaczesz?

— Oczywiście, że nie. To przez ten paskudny dym w tej okropnej norze. — Thorgil nie cofnęła ręki.

— Chcesz trochę mojego chleba?

— A na co mi te twoje zarobaczone resztki? — rzuciła dziewczyna, choć po sposobie, w jaki

jadła, widać było, że jest wściekle głodna.

Jack stwierdził, że nie ma sensu okazywać jej współczucia. Thorgil uznawała to za oznakę słabości. Jej humory pojawiały się gwałtownie i szalały jak letnie burze, ciskając błyskawice we wszystkie strony, ale jeśli zachowało się wobec niej cierpliwość — i zamknęło uszy na jej obelgi — ciemne chmury wreszcie się rozprasały. Chłopak nie był pewien, czy woli Thorgil posepną i naburmuszoną, czy przeżywającą jeden ze swych okresowych przypiływów radości. Dziewczyna wpadała niekiedy w dziwny, dziki stan ducha, w którym barwy, zapachy i dźwięki przepelniały ją prawdziwą ekstazą. W takich chwilach chwyciła go za ramię i zmuszała do wspólnego podziwiania tego, co akurat przykuło jej uwagę.

Bard powiadał, że dzieje się tak dlatego, iż Thorgil została wychowywana na berserkera, wojownika poświęconego śmierci. Teraz zaś znajdowała się pod wpływem siły życiowej, pochodzącej z noszonej przez nią runy ochronnej. Fakt, że oba te żywioły toczą w duszy dziewczyny wojnę, był więc najzupełniej naturalny.

W drzwiach stanęła Pega. W ręku trzymała koszyk z zamkniętą w środku kurą. Jack od razu się rozchmurzył. Pega nigdy nie psuła nikomu humoru. Była niezmiernie życzliwa i zawsze starała się uszczęśliwić innych. Pomagała matce Jacka w gotowaniu, dbała o ziołowy ogródek barda i pilnowała, by brat Aiden regularnie jadał posiłki. Urodziła się w niewoli i była wzruszająco wdzięczna za każde miłe słowo. Mimo szpecącego połowę jej twarzy znamienia Jackowi wydawała się niebrzydka, a wręcz mu się podobała. Bard twierdził, że dzieje się tak z powodu upiększającego dziewczynę wewnętrznego blasku. Z kolei drzemiąca w Thorgil złośliwość psuła to, co w innych okolicznościach mogłoby przerodzić się w prawdziwe piękno.

— Kury będziemy musieli przenieść tutaj — oznajmiła Pega i odstawiła koszyk pod ścianę. — Powinniście zobaczyć niebo na południu! Jest całkiem szare, choć nie widać na nim ani jednej chmury.

— Potrzeba ci pomocy? — zapytał z nadzieją Jack.

— Chciałabym, żebyś zaniósł posiłek ludziom pracującym w polu — powiedziała matka, która właśnie otworzyła drzwi ramieniem. Ręce miała zajęte, bo trzymała w nich kolejną kurę. — Nie sądzę, byście mieli jeszcze czas na zbieranie orlicy. Wystarczy spojrzeć na niebo. Wracając, sprawdź ule.

Nie uśmiechnęła się i Jack poczuł, że matka niesprawiedliwie uważa go za współnika Thorgil. Przecież to nie jego wina, że nie udaje mu się okiełznać młodej wojowniczkii. Nawet Olaf Jednobrewy, by zapewnić sobie posłuch, musiał niekiedy wystawiać ją nad strome urwisko. Niestety, miał też zwyczaj nagradzać ją za wyjątkowo paskudne zachowania. Ludzie Północy cenili sobie tego rodzaju wybryki.

Jack i Thorgil załadowali na osła kosze z bukłakami cydru i chlebem. Większość mieszkańców

wioski zajęta była pospiesznym zbieraniem siana. Kilka osób, między innymi matka chłopaka oraz żona wodza, dostarczało im jedzenie niezbędne przy ciężkiej pracy. W ciągu zaledwie kilku minut niebo nad wioską rzeczywiście znacznie się przeobraziło. Na północy wciąż było błękitne, na południu zaś, wyraźnie poszarzało. Co więcej, Pega miała rację — nie było widać ani jednej chmury.

— Co to za dziwny zapach? — spytała Thorgil.

— Nie jestem pewien — odparł Jack. — Pachnie trochę jak schnące na słońcu ubrania.

— To... ładna woń. Sprawia, że mam ochotę biegać i śpiewać. Może ta burza okaże się jednak zabawna. — Oblicze dziewczyny nieco złagodniało.

To typowe, że cieszy ją coś, co wszystkich innych przyprawia o ból głowy — pomyślał Jack.

— Jeszcze nigdy nie widziałem takiego nieba — zauważył.

— Ja widziałam — odpowiedziała Thorgil. — Byłam wtedy bardzo mała. Matka zaniósła mnie do piwniczki, w której trzymaliśmy warzywa. Chciała zapewnić mi schronienie. Pamiętam, że nakryła mnie własnym ciałem. Później słyszałam wycie psów... A może to był wiatr...

— Lepiej zajmijmy się obowiązkami — Jack zmienił temat.

Matka Thorgil była niewolnicą złożoną w ofierze na stosie pogrzebowym jej prawdziwego ojca. Wszystkie wspomnienia dziewczyny z tamtego okresu naznaczone były złem. Kiedy tylko udawało się namówić ją na opowieści z wczesnego dzieciństwa, natychmiast popadała w jeszcze gorszy nastrój.

Spiesznie chodzili od farmy do farmy, roznosząc jedzenie pracującym na polach i w gospodarstwach ludziom. Podłogi stodoł wyłożone były kamiennymi płytami pokrytymi warstwą orlicy. Ten gatunek paproci miał ciekawą własność — nie tylko chronił siano przed wilgocią, lecz także kaleczył pyski szczurów, co zniechęcało je do odwiedzania budynku. Siano było potrzebne zwierzętom podczas zimy. Gdyby zawilgło, zgniłoby, a wtedy krowy i konie popadałyby z głodu. Świeże siano napełniało powietrze intensywnym, zielonym zapachem.

Na wszystkich polach Jack widział pochylonych mieszkańców wioski, koszących i wiążących snopy. Do przewożenia siana wykorzystywano w miarę możliwości wóz kowala. W tej chwili liczyła się jednak szybkość, chcąc więc zaoszczędzić na czasie, rolnicy nosili snopy na własnych grzbietach. Ci, którzy nie mieli stodoł, osłaniali swoje siano przypominającymi wielkie kapelusze stożkami trzciny, co zapewniało mu jako taką ochronę.

Kilka miesięcy wcześniej Jack spróbował zaprząć do wozu kucyki Thorgil, ale zwierzęta szarpały się w uprzęży i nie sposób było nad nimi zapanować. Matka i to uznała za jego niedopatrzanie. Jack zupełnie nie znał się na koniach. To Thorgil zyskała sobie ich zaufanie, ale za nic nie chciała przyuczyć ich do pracy na roli. Powtarzała, że jej kuce są wojownikami, nie niewolnikami.

Thorgil. Jack widział, jak nieufnie mieszkańcy wioski przyjmują od niej jedzenie, a potem czym prędzej się odwracają, czyniąc na piersi znak krzyża.

Ośla zostawili w ostatniej stodole i poszli do uli.

— Powinniśmy się pospieszyć — powiedział chłopak, spoglądając na ciemniejące południowe niebo.

Czy były na nim jakiegokolwiek chmury? Coś z pewnością majaczyło w oddali, mimo to powietrze wciąż pozostawało nieruchome i martwe. Liście na drzewach zwisały pionowo w dół.

Nawet pszczoły wyczuły, że dzieje się coś niedobrego. Zaprzestały swej nieustannej krzątania w poszukiwaniu nektaru, a trutnie tańczyły przy wejściach do gniazd, jakby wypatrując niewidocznego przeciwnika. Ule także były chronione trzciniowymi czapami, przypominającymi nieco te, którymi osłaniano pozostawione na polach stogi siana. Pszczoły byłyby bezpieczniejsze w budynku, ale przenoszenie gniazd miało na owady bardzo zły wpływ. Musiały więc starać się przetrwać niepogodę na swoich zwykłych miejscach.

Wcześniej tego roku ojciec wybudował wokół uli kamienny murek, który powstrzymywał owce przed zbliżaniem się do pszczół. Jack cieszył się z tej dodatkowej osłony.

— Zachowują się, jakby zapadała noc — powiedział w zamyśleniu. — Prawie wszystkie schroniły się w ulach. Posłuchaj tylko, jak bzyczą!

— Wiesz, prawie jestem w stanie to zrozumieć — przyznała Thorgil, przyciskając ucho do jednego z odwróconych koszy. — Ten dźwięk przypomina śpiew ptaków. Czy to nie dziwne?

— Pszczoły też są istotami powietrza. Co mówią?

— Boją się. Czują bliskość śmierci... Au! — Thorgil uderzyła się dłonią w ucho i odskoczyła od ula.

— Uciekaj! Jeśli jedna użądli, zaraz dołączają do niej pozostałe — poradził chłopak.

Ale pszczoły nie ruszyły się ze swojego ciasnego domu. Jack i Thorgil przykucnęli w trawie w bezpiecznej odległości od gniazd i obserwowali owady. Nie wiedzieli, jakiego wroga wyczuły, ale było jasne, że nie mają ochoty się z nim mierzyć.

— Patrz! — zawołał Jack z niedowierzaniem.

Na południowym niebie pojawiło się mnóstwo wysokich chmur. Mroczna mgła rozproszyła się i rozdzieliła na pojedyncze kłęby oparów, pędzące ku nim z taką szybkością, że chłopak odruchowo rzucił się na ziemię. Pociągnął za sobą Thorgil. Sekundę potem rozpętała się burza.

W jednej chwili całkowicie nieruchome powietrze przeistoczyło się w rozszalały huragan, który pchnął ich po trawie. Jeden z uli natychmiast stracił swój trzciniowy daszek i przewrócił się na kamienny murek. Wichur był tak wściekły, że Jack nie słyszał własnego głosu. Chłopak pełzał po ziemi. Za nim czołgała się Thorgil. Starali się dotrzeć do obórki dla owiec, którą zauważyli wcześniej po drugiej stronie pola.

Jack nie widział jednak budynku, dopóki błysk pioruna, przy wtórze grzmotu, nie rozświetlił wszystkiego dziką bielą.

— Na Thora! — krzyknął chłopak. Jego usta lśniły w świetle błyskawicy.

Czołgali się zapamiętale, zamierając za każdym razem, gdy chmury ciskały kolejny grom. Dotarli do obory i wcisnęli się do środka razem z trzema owcami, które wpadły na ten sam pomysł. Wiatr wdzierał się przez dach i przenikał do wnętrza osłaniającego ich kamiennego kręgu. Na ziemi jednak, spowity w zaduch przepeconej wełny, Jack czuł się niemal bezpiecznie.

— Na Thora! — zawołała tym razem Thorgil i wskazała coś palcem.

Jack podniósł wzrok i ujrzał kołyszącą się stożkowatą chmurę niepodobną do niczego, co widział dotąd w życiu. Ryczała niczym tysiąc rozwścieczonych pszczoł. Poczul na skórze dreszcze, jakby przebiegło po nim naraz całe mrowisko. Otwór w podstawie stożka ział snopami wirujących wewnątrz błyskawic, wśród których widać było obracające się w powietrzu gałęzie drzew i coś, co mogło być dachem czyjegoś domu. Po chwili chmura zniknęła.

Owce żałośnie zabeczały i zbiły się w ciasną gromadkę. Jack zagrzebał się głębiej między ich ciała, ale Thorgil nieoczekiwanie spróbowała się wydostać poza mur obórki. Podmuchał wicher odrzucił ją w tył. Dziewczyna pozbierała się z ziemi i uniosła ręce ku niebu. Jej głos był wśród szalejącej burzy cichy jak cykanie świerszcza, lecz chłopak usłyszał wołanie:

— Weź mnie ze sobą!

— Na ziemię! — wrzasnął i chwycił ją za nogi.

— Nie! Nie! — zaprotestowała głośno, ale pociągnął ją na dół.

Zaczęła się opierać i uderzyła go w brzuch. Jack upadł, starając się odzyskać oddech. Thorgil znów z trudem podniosła się na nogi.

— Zabierz mnie ze sobą! — krzyknęła raz jeszcze.

I wtedy spadł deszcz. Do obórki lunęły całe wiadra wody, wypełniając ją tak, że owce musiały walczyć o powietrze. Zaczęły okładać Jacka kopytami, jedna nawet wspięła się na jego grzbiet. Wichura zwała ją na bok i chłopak usłyszał pełne przerażenia beczenie.

Nie był pewny, jak długo trwała ulewa. Miał wrażenie, że upłynęło wiele godzin. Temperatura gwałtownie spadała. Z nieba sypnęło gradem, którego grudy rozbijały się nad głową chłopaka. Wielkie kawały lodu raniły szamocące się w wodzie owce. Potem znów chlusnęły strugi siekającego deszczu. Przez cały czas na niebie wykwitwały wiązki błyskawic, a nad horyzontem przetaczały się kolejne grzmoty.

Wreszcie jednak niebiosa się uspokoiły. Błyskało coraz rzadziej, a huk piorunów oddalił się ku północy. Niebo na południu pojaśniało i zalał je piękny błękit.

Jack ostrożnie wstał i dopiero teraz mógł ocenić rozmiar zniszczeń. Wszystkie krzewy zostały przybite na płask do ziemi, usłanej gałęziami odłamanymi z rosnących w odległym lesie drzew.

Nieopodał zagrody leżała martwa owca, ta sama, która wcześniej wdrapała mu się na plecy.

Także i Thorgil leżała nieruchomo, rozciągnięta w błocie. A on nawet nie zauważył, kiedy opuściła bezpieczne schronienie.

— Och, Thorgil! — krzyknął. Wpadł na zewnątrz, podbiegł do niej i wziął ją na kolana. — Och, moja droga, moja kochana!

Oczy miała otwarte, ślepo wpatrzone w dal. Nie pokrywała ich jednak śmiertelna mgła. Jack poczuł ulgę i mocno przytulił dziewczynę do siebie. Mgnienie potem przestraszył się, że Thorgil może mieć złamane żebro.

— Nie chciał mnie zabrać — wyjęczała słabym głosem.

— Kto nie chciał? — spytał Jack, pewny, że dziewczyna majaczy.

— Zobaczył moją bezużyteczną rękę i zrozumiał, że nie jestem już córą miecza. Chciał mnie, ale Odyn mu na to nie pozwolił. Och, Freyo, chcę umrzeć! — rozpłakała się Thorgil.

Jack zaniepokoił się tym o wiele bardziej, niż gdyby zaczęła nagle przeklinać.

— Boli cię coś w środku? — spytał niepewnie.

— Nie stało mi się nic, czego nie uleczy szybka śmierć — odpowiedziała głosem, w którym pobrzmiwała nuta jej zwykłej buty. — Ale nawet i wtedy nigdy go już nie zobaczę.

— Kogo? O kim ty mówisz?

Nad południowym horyzontem pojawiło się słońce. Po niebie płynęły teraz białe chmury, pomiędzy których wyglądał błękit.

— O Olafie Jednobrewym — odpowiedziała Thorgil i głęboko westchnęła. — Był w chmurach, ale postanowił mnie porzucić.

ROZDZIAŁ TRZECI

LESZCZYNOWY ZAGAJNIK

Jak to możliwe, że zobaczyła Olafa? — dziwił się Jack. — Powiedziała, że Odyn prowadził Dzikie Łowy, ale ja widziałem tylko chmury i tę... rzecz na niebie.

— Ta rzecz, o której mówisz, wygląda mi na trąbę wodną — stwierdził bard, ciskając do paleniska garść suchych sosnowych igieł. Po pomieszczeniu rozeszła się przyjemna woń.

Thorgil leżała pogrążona w głębokim śnie na posłaniu z ususzonego wrzosu. Dzięki nasennemu wywarowi, którym napił ją starzec, przestała się rzucać i nie próbowała już rwać sobie włosów z głowy. Na to, by zaciągnąć dziewczynę do domu barda, starając się jednocześnie uchronić ją przed wyrządzeniem sobie krzywdy, Jack musiał poświęcić godzinę, która teraz wydawała mu się najdłuższą godziną życia.

W ciągu ostatniego roku włosy Thorgil znacznie urosły, ona zaś utrzymywała je w zaskakującej czystości. Nad czołem nie zwisała jej już nierówna grzywka, przycinana nożem do oprawiania ryb. Teraz były jasnozłote niczym oświetlony słonecznymi promieniami śnieg.

Mimo rozlicznych sińców — których na ciele wojowniczkii nie brakowało nigdy — z jej twarzy biła delikatność, której Jack nie miał okazji dostrzec nigdy przedtem.

Zmieniła się przez ten rok, pomyślał. Wyrosła i wypiękniała.

Odwrócił się, czując, jak na jego twarzy wykwita rumieniec wstydu. A to skąd się wzięło? Przecież wciąż była to ta sama, odznaczająca się paskudnym charakterem Thorgil. Co z tego, że wyglądała teraz inaczej?

— Nie miałem pojęcia, że trąby wodne mogą powodować takie zniszczenia — zauważył starzec, przetrząsając zawartość skrzyni. — Wyrąbała w lesie nową drogę i prawdopodobnie porwała Goga i Magoga.

— Co takiego?! — jęknął Jack.

Zaraz po burzy pobiegł do domu sprawdzić, czy rodzice są bezpieczni, a wczorajsze popołudnie spędził, pomagając bardowi przygotowywać eliksiry. Teraz był już ranek, a wciąż jeszcze nie odwiedził wioski.

— Syn kowala powiedział mi, że obaj zniknęli.

— Może uciekli? — zasugerował Jack. Myśl o ludziach wessanych przez niebo wydawała mu się nadto przerażająca.

— Obawiam się, że nie. Kowal mówił, że w taką pogodę lubili przebywać na zewnątrz. Tylko wtedy na ich twarzach pojawiał się uśmiech, więc im na to pozwalał. To była ich jedyna

przyjemność. I wydaje się, że to był błąd.

Gdy burza jeszcze szalała, Jack widział Goga i Magoga siedzących w błocie. Trzymali się jeden drugiego, kołysząc w przód i w tył, z twarzami zwróconymi ku niebu. Ich zęby błyszczały w świetle błyskawic. Wyglądali jakby opanowała ich jakaś dzika rozkosz, której on nie rozumiał ani nie chciał zrozumieć, pobiegł więc dalej tak szybko, jak tylko potrafił.

— Gdzie oni są teraz? — Zadrzał.

— To zależy od tego, kto prowadził Dzikie Łowy. — Bard ustawił na stole kilka garnuszków, powąchał zawartość każdego i dokonał wyboru. Wziął z półki sporych rozmiarów moździerz. — O tak! Dzikie Łowy to nie legenda — dodał, ucierając zioła. — A kto je prowadzi, zależy od tego, kto je ujrzy. Jedną z ich ofiar był brat Aiden, zanim uratował go ojciec Severus. Aiden jest przekonany, że widział Pana Lasu i jego sforę. Severus z kolei twierdzi, że ujrzał Szatana prowadzącego armię potępionych.

— A Thorgil mówi, że zobaczyła Olafa Jednobrewego — przypomniał Jack.

— Jeśli ma rację, możliwe, że Gog i Magog trafili do Valhalli. To by ją dopiero rozwścieczyło! — Oczy barda zabłyśły. — Ale cóż, Thorgil nie byłaby sobą, gdyby się nie wściekała.

— Skoro tak mówisz...

Jack w głębi duszy wolałby, żeby dziewczyna wpadała w szal o wiele rzadziej, żeby była — na przykład — bardziej podobna do Pegi. Nieustanne pertraktacje między Thorgil a nieprzyjaciółmi, których potrafiła sobie przysporzyć jak nikt inny, bardzo go męczyły. A mimo to, kiedy ujrzał ją leżącą obok zagrody dla owiec, przekonany, że zginęła, zupełnie jak ta biedna owieczka...

— Nic jej nie będzie — zapewnił bard, posiadający niesamowitą zdolność odgadywania tego, co akurat działo się w duszy Jacka. — A teraz zmieszaj, co mam w moździerzu, z porcją masła rozmiarów kurzego jaja. Rozrób potem garść mąki z odpowiednią ilością wody, by powstało sztywne ciasto, ugnieć wszystko razem i utocz z tego kulki wielkości ziarenek groszku. Osusz je przy ogniu.

— W którym garnku mam je potem schować? — spytał Jack, który podobne rzeczy robił już wcześniej.

— W tym zielonym, od bólów głowy. Coś podobnego! Ten ogród jest prawie zupełnie zniszczony. Będę musiał zebrać rośliny w lesie.

Niedługo potem, zostawiwszy śpiącą Thorgil w domu, ruszyli ścieżką. Bard wdział swój lepszy płaszcz i zapiął go ciasno, by ochronić się przed błotem i spadającymi z drzew kroplami. Siwa broda kołysała mu się na piersi, a na nogi wzuł jasnobrazowe wysokie buty sznurowane z przodu. Bard był co prawda stary, ale z rzadka tylko podpierał się laską z drewna czarnego jesionu. Potrzebował jednak pomocy Jacka przy niesieniu eliksirów i harfy.

Chłopak wyczuwał siłę życiową, wibrującą w powietrzu wokół laski, i ogarnął go żal. Dawniej i

on posiadał taki magiczny przedmiot. Miał również runę ochronną, o ile w ogóle można powiedzieć, że taką rzecz się „ma”. Runa przechodziła z rąk do rąk, podążając śladem swego przeznaczenia, nieodgadnionego dla nikogo, kto próbował uczynić ją własną. Gdy odchodziła, nie wracała już nigdy. Jack westchnął w duchu, przypominając sobie jej żywe złoto, na którym wyryto podobiznę Yggdrassila. Zanim trafiła do niego, przez wiele długich lat strzegła barda, a potem — w chwili słabości, którą wspominał teraz ze złością — sam oddał ją Thorgil.

Pola były dziwnie nagie i przywodziły na myśl oskubane kurczaki. Wiele domów utraciło dachy. Woda spływała zboczami wzgórz. Strumienie złościły w ziemi nowe koryta, tu i ówdzie słońce odbijało się w kałużach.

Jack obejrzał się na dom barda, przycupnięty niebezpiecznie na nadmorskim klifie. Ten akurat budynek zniósł burzę doskonale. Chłopak nie wiedział, czy należy to zawdzięczać magii starca, czy zwykłemu przypadkowi, niemniej dom trzymał się skał mocno jak małża.

Przeszli przez wioskę, rozdając potrzebującym lekarstwa i dobre rady. W domu kowala bard zagrał na harfie, by poprawić nastrój mieszkańców.

— Gog i Magog byli prawie jak moje dzieci, no, może trochę bardziej pochmurni i nie tak urodziwi — powiedział kowal, patrząc na swoich przystojnych synów i piękne córki. — Bardzo do nich przywykłem. Spali na sianie z krowami, a jeśli w pobliżu zjawiał się wilk, zaczynali głośno muczeć, tak że nigdy nie straciłem nawet jednego cielaka. Na Boga, będzie mi ich brakowało. Biedne, bezmyślne stworzenia.

Pracowali dla ciebie za marne okruchy suchego chleba, pomyślał Jack.

Bard grał. Żona kowala tupała do rytmu, a Colin — najmłodszy z synów — skoczył do zaimprovizowanego tańca.

A jednak — zastanawiał się chłopak — gdyby Gog i Magog nie trafili tutaj, kto wie, jak potoczyłyby się ich losy. Może nawet skończyliby jako niewolnicy w kopalni ołowiu. Tutaj przynajmniej nacieszyli się, mucząc z krowami i podziwiając błyskawice. Czymże jest szczęście? Jego myśli uleciały ku Thorgil, która miała nadzieję na śmierć w bitwie. Potem pomyślał o swym ojcu, Gilesie Kuternodze, żyjącym kolejnymi rozczarowaniami, a także o ojcu Severusie, uwielbiającym lodowate kąpiele i długie posty. Elfy z kolei żyły wyłącznie przyjemnościami, co wydawało się sensowne, ponieważ były skazane na zniknięcie u kresu czasu. Szczęście to jednak wielka zagadka — stwierdził w duchu Jack.

Bard wyrwał go z zamyślenia i ruszyli w dalszą drogę. Z pozostałych po burzy potoków wzbijały się pasma mgły. Na zniszczonym polu zginał się wpół strach na wróble.

— Nawet i on na nic się zdał — zauważył Jack, gdy brnęli przez rozmiękłą ziemię.

— Krukowi Odyna nie zaimponuje zwykła słomiana kukła — odparł bard.

Poszli dalej, by przyjrzeć się zniszczonym polom owsa i jęczmienia. Wedle mieszkańców z

wioski zniknęła połowa owiec, choć było prawdopodobne, że większość wróci. Kury i bydło przetrwały burzę w budynkach. Także i koniom Thorgil nic się nie stało. Córki pani Tanner ukryły je w swej ziemiance, gdy tylko ujrzały nadciągające czarne chmury.

Był to zdumiewający wyczyn, jeśli pamiętać o tym, że miejsca wewnątrz było za mało dla nich samych. Dziewczynki zmusiły kucyki, ażeby się położyły, po czym same, wraz z matką, rozciągnęły się na ich ciałach. W niewielkiej przestrzeni duszno było od ludzkich i zwierzęcych ciał, ale przynajmniej nikt nie ucierpiał.

— To znaczy, że mamy prawo na nich jeździć. Zasłużyliśmy sobie na to — oświadczyła starsza z dziewczynek, gdy odwiedzili je Jack z bardem.

— O tym będziecie musiały powiedzieć z Thorgil — stwierdził starzec.

— Ech, tej dziewusze wydaje się, że wszystko należy do niej. A kim był jej ojciec? — rzuciła opryskliwie dziewczynka. — Gdzie jest jej rodzina?

— Wszyscy mówią, że zachowuje się jak Ludzie Północy — dodała młodsza siostra.

Bard zwrócił się ku nim tak gwałtownie, że obie aż się skuliły i matka chwyciła je za ramiona.

— Co wy sobie myślicie?! Nie wolno pyskować bardowi! — krzyknęła kobieta. — Natychmiast na kolana i błagajcie go o wybaczenie. Naprawdę nie wiem, co się z nimi stało po śmierci ojca. — Pchnęła dziewczynki na ziemię.

Przeprosiły głośno.

Jack nie był tym zdziwiony. Żeby zrozumieć, dlaczego barda nazywano Smoczym Językiem, wystarczyło jedno spojrzenie. Starca obawiali się nawet władcy Ludzi Północy. Dziewczynki jednak powiedziały na głos tylko to, o czym wszyscy inni szeptali po kątach.

Matkę Jacka odnaleźli przy ulach. Przetrwały jedynie dwa gniazda. Reszta kolonii umierała z chłodu i wilgoci. Pszczoły pełzały po ziemi, zmagając się ze zlepiającym odnoża błotem. Matka rozpałała w pobliżu ognisko — w takiej odległości, by dym nie zaszkodził owadom. Rozłożyła też dokoła kawałki chleba z miodem. Pszczoły chętnie gromadziły się wokół jedzenia.

— To ostatnie pszczoły z królewskiej rodziny — powiedziała ze smutkiem. — Sprowadzili je tu Rzymianie. Kobiety z mojego rodu strzegły ich od niepamiętnych czasów. Żadna saska pszczoła nie dorównuje im siłą i pracowitością. Obawiam się, czy przetrwają zimę.

Bard zagrał na harfie i matka zaśpiewała, rzucając drobny czar, który uspokajał podenerwowane zwierzęta. Jej głos dziwnie przypominał senne brzęczenie pszczół. Opowiadała owadom o nadchodzących słonecznych dniach, świeżo rozkwitłych kwiatach i ciepłym wietrze.

— Ile ci zostało świec? — spytał bard, oddając harfę chłopakowi.

— Wiem, co masz na myśli — odrzekła matka. — Zbiory zostały zniszczone i jeśli mamy przeżyć tę zimę, musimy mieć coś na wymianę za zboże. Wszystko, co mam, jest twoje.

— Wiedziałem, że zawsze mogę na ciebie liczyć, Alditho — powiedział starzec i serdecznie

uściskał jej dłoń.

Następnie bard i Jack poszli do ukrytego w cieniu dębów leszczynowego zagajnika. Las usiany był gałęziami i innym śmieciem ale ocalał. W płataninie konarów i sękatych korzeni otwierały się miejscami dziwne, wąskie ścieżki, usłane kwiatkami dzwonek. Mieszkały tu rozmaite stworzenia — długouchy zajęca, borsuki, kryjące się w półmroku wilki, a nawet niedźwiedzie. Było to tajemnicze, przepelnione mocą miejsce, do którego nie należało nieroztropnie wchodzić po zmroku. Liście pobłyskiwały niezmierną poświatą. Powietrze pachniało cudownie świeżo.

— Zupełnie jakby burzy wcale nie było — powiedział z zachwytem w głosie Jack.

— Leszczynowe lasy są pod ochroną — wyjaśnił bard. — W Szkole Bardów, gdzie, co wspominał tylko przy okazji, byłem jednym z lepszych uczniów, każdego z nowo przyjętych pozostawiano w takim zagajniku samego na noc. Rankiem nauczyciele pytali delikwenta, co widział. Nie masz pojęcia, jak niektórzy z chłopaków się skręcali, próbując powiedzieć to, co według nich starzy bardowie chcieli usłyszeć. Jeśli kłamali, odsyłano ich precz, bez prawa powrotu.

— Za coś takiego? — mruknął Jack, przypominając sobie wszystkie kłamstwa, jakich się dopuścił, by nie dostać od ojca w skórę.

— Służba życiu to poważna sprawa — przypomniał bard.

— A co ty zobaczyłeś, panie? — ośmielił się spytać Jack.

Starzec rzadko odpowiadał na pytania, które dotyczyły jego samego.

Podniósł laską zwieszającą się nisko gałąź i rzekł:

— W tej chwili widzę borowiki. — Grupka sporych grzybów o białych nóżkach i brązowych kapeluszach otaczała pień drzewa. — Mamy szczęście, chłopcze. Zjemy wspólną kolację.

Jack pochylał się i zaczął zbierać grzyby. Bijący od nich intensywny zapach ziemi sprawił, że pociekła mu ślinka.

— W leszczynowych lasach skupia się siła życiowa — ciągnął bard, odgarniając kolejne gałęzie. — Wyrastają w pobliżu granic pomiędzy dziewięcioma światami, a w cieniu ich liści kryje się wiele sekretnych ścieżek. Prawdziwy bard potrafi je odszukać.

Jack poczuł ukłucie strachu, zadrżał i od razu spróbował się opanować. Jego doświadczenia z innymi światami były raczej złe. Ale też zdarzały się chwile — jak ta, gdy wraz z Thorgil odnaleźli dolinę Yggdrassila — tak wspólnie i pełne chwały, że na ich wspomnienie łzy same cisnęły się do oczu. Wtem przyszła mu do głowy okropna myśl: a jeśli bard go w tej chwili sprawdza? Może nadszedł czas, kiedy miało się okazać, czy jest prawdziwym bardem, czy też należy go odesłać do pielienia grządek rzepy i ściągania owiec o czarnych pyskach?

Jack rozejrzył się w nadziei, że liście rozstąpią się i ukaza mu tajną ścieżynę. Nie zobaczył jednak niczego. Zwykły las, pełen mchów i porostów. Niższe gałęzie drzew rosnących bliżej granicy pól zostały obcięte, by mogły się lepiej rozrosnąć te większe i proste, z których plotło się

ploty. Z wysoka rzuciła mu złe spojrzenie wiewiórka. Zwierzątko wściekle wymachiwało ogonem.

— Co widzisz? — spytał cicho bard.

Chłopak poczuł, jak ściska go w gardle. Plamy słonecznego światła rozlewały się na osłaniających ich liściach. Drozd otworzył dziób i zaśpiewał. Pajęczyna delikatnie zadrżała na wietrze.

— Widzę... och, do diaska! Nic nie widzę. Nie, to nie tak. Widzę wiewiórkę, żuka, drozda i pajęczynę, ale nie widzę niczego ważnego. Nigdy nie zostanę prawdziwym bardem!

— A cóż może być ważniejszego od wiewiórki, żuka, drozda i pajęczyny? — spytał starzec z powagą.

— Ale... — Jack podniósł wzrok.

— Właśnie tak. Odkąd zacząłem cię uczyć, starałem się wpoić ci zdolność dostrzegania rzeczy takimi, jakie są. Dopóki nie posiadasz tej umiejętności, nie ma nadziei, byś mógł sięgnąć wzrokiem dalej. Pewnego dnia, już wkrótce, zechcę, byś tu przenocował.

Jack przelknął nerwowo ślinę. W dziennym świetle las wydawał się spokojny i bezpieczny, ale chłopak zdawał sobie sprawę, że po zmroku może tu być zupełnie inaczej.

— Spytałeś mnie, co ujrzałem, kiedy zdawałem egzamin w Szkole Bardów — podjął starzec. — Za pierwszym razem napotkałem podobne stworzenia co ty — jeża, nietoperza, łanię z jelonkiem. Ale za drugim... — urwał.

Co mogło wydarzyć się tej drugiej nocy? — zaczął się gorączkowo zastanawiać Jack. Bard ruszył zwawo naprzód i chłopak zrozumiał, że nie otrzyma już odpowiedzi na żadne pytanie.

Szli jedną z przecinających leszczynę ścieżek. Dzwonki muskały kostki, dolatywał ich szmer niewidocznego wartkiego strumyka.

— Spójrz tam — polecił bard.

Jackowi zaparło dech w piersi. Tam, gdzie kiedyś znajdował się gęsty dębowy las, otwierała się teraz wyrębana wśród drzew droga. Wyglądało to tak, jakby ktoś chwycił do ręki olbrzymi miecz i zaczął ciąć na lewo i prawo, idąc przez samo serce puszczy.

— To typowe dla Olafa i jego bandy durniów. Zawsze zostawiają taki bałagan — zauważył bard, przyglądając się zniszczeniom.

— Czy Thorgil miała rację? — zapytał Jack. — Czy Odyn naprawdę poprowadził tędy Dzikie Łowy?

— Coś przecież musiało te dęby zniszczyć.

Świeżo wyrębana droga zaśmiecona była gałęziami. Na jej środku, gdzie grunt zapadał się głębiej, połyskiwały kałuże.

— Skoro to były łowy — odezwał się chłopak niepewnie — to na co polowali?

— Na pewno nie na Goga i Magoga, biedne chłopaczyska. Ci mieli po prostu pecha i znaleźli się

na ich drodze — odpowiedział bard. — Dzikie Łowy gnają przez świat poprzedzane nieszczęściami. Zaraza, głód i wojna kroczą ich śladem. Coś mi mówi, że czekają nas ciekawe czasy.

Niebo było tak błękitne, jakby nic nigdy go nie zmąciło. Letnie powietrze koło swym ciepłem. Jack zauważył przedzierającego się pomiędzy gałęziami brata Aiden. Mnich wyglądał jak mały, brązowy, skaczący z drzewa na drzewo wróbel. W wyciągniętej przed sobą dłoni trzymał drewniany krzyż i śpiewał po łacinie. Chłopak nie rozumiał ani słowa, ale jasne było, że pieśń niesie w sobie chrześcijańską magię.

— Aiden, przyjacielu! — zawołał bard. — Jeśli nie będziesz bardziej uważać, uwalasz się błotem po same uszy.

Niski zakonnik podniósł wzrok i niemal się poślizgnął.

— Muszę poświęcić to miejsce — oznajmił, ściskając stłuczoną stopę. — Nawiedziło je zło.

— Tak, zło spotkało także farmy. Zanim nadejdzie zima, będziemy musieli kupić zboże.

Bard wyszedł na drogę — jak na człowieka w swoim wieku, poruszał się niebywale pewnie — i pomógł bratu Aidenowi stanąć na twardszym gruncie.

— Mogę zrobić więcej atramentów. Ludzie chętnie je kupują — zaproponował mnich. Atramenty, które wytwarzał i którymi iluminował manuskrypty, słynęły ze wspaniałych barw.

— Doskonale! Poproszę Pegę, żeby ci pomogła. Zioła do moich eliksirów mogą zbierać Jack i Thorgil. John Grotnik ma zapas jelenich skór. Jestem też pewien, że uda mi się wydostać nieco pieniędzy z wodzowskiego kufra. Na gwiazdy! Ta nowa droga jest tak prosta, że uwierzyłbym, gdyby mi powiedziano, że zbudowali ją Rzymianie.

Jack sięgał wzrokiem aż do odległej łąki i wznoszących się za nią wzgórz. Samotny ptak załopotał skrzydłami i przeleciał nad ogołoconą z drzew przesieką. Po chwili spod cisów doleciało jego wołanie.

— Ten śpiew... brzmi tak smutno — mruknął.

Bard rzucił mu ostre spojrzenie.

— Żebyś wiedział. Ptak oplakuje stratę swych piskląt. Nauczyłeś się ptasiego języka od Thorgil? Chłopak skrzywił się ze smutkiem.

— Nie. Ona za nic nie chce przyznać, że go zna.

— Nieznośne dziecko. Z uporu uczyniła prawdziwą sztukę. Zostań tu, chłopcze, i pomóż Aidenowi. Spodziewam się ciebie z powrotem na obiad.

Starzec sięgnął po harfę i koszyk z grzybami, po czym odszedł, zostawiając Jacka z jego niepewnością.

— Bardzo bym chciał, żebyś dla mnie zaśpiewał — zasugerował nieśmiało brat Aiden. — Moje serce pograżyło się w cieniu z powodu straty tych biedaków.

W oczach małego mnicha lśniły łzy. Jack zrozumiał, że przypomina on sobie Pana Lasu, Szatana czy kogokolwiek, kto prowadził Dzikie Łowy.

Zaśpiewał więc o ziemi z czasów, gdy była łagodna i nie dzika, o harfie z gałęzi, na której grał wiatr. Śpiewał o kwiecistych łąkach, gdzie jelenie wyprowadzały swe młode, mając pewność, że nic im tam nie zagrazi, i o piosenkach słowików buszujących pod wysokimi niebiosami.

Po jakimś czasie oblicze brata Aideny rozchmurzyło się i na powrót przepełniła je nadzieja.

— Dziękuję — powiedział. — Twój głos jest cudownie kojący i niemal tak piękny jak głos Pegi.
— Powrócił do błogosławienia świeżej rany lasu.

Jack spojrzął na drogę. Jeśli Thorgil się nie myliła, to właśnie tędy przeszedł Odyn ze swoim wojownikami — pomyślał. Zostawiając ją, zignorowali jedyną osobę, która chciała do nich dołączyć, a zabrali Goga i Magoga, choć ci wcale tego nie pragnęli. Dlaczego wszyscy zawsze porównują mnie z Pegą?

Czując lekką irytację, pożegnał się z bratem Aidenem i ruszył do domu, żeby sprawdzić, czy nie może pomóc przy naprawie szkód.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WĘDROWIEC

Gdy Jack wrócił do domu barda, od jaskółczych skrzydeł odbijały się już ostatnie promienie słońca. Morze, wciąż niespokojne wskutek szalejących gdzieś daleko sztormów, pieniało się i syczało. Powietrze jednak było wspaniale przejrzyste, każdy dźwięk niósł się na odległość wielu mil. Chłopak usłyszał głos dzwonu brata Aiden, dolatujący z maleńkiej chatki mnicha, która kształtem przypominała ul. Dźwięk zadrżał niczym trącona struna harfy, po czym rozwiął się pod ciemniejącym niebieskim niebem — tak odmienny od głosu krowich dzwonków, jak słowiki różne są od kruków.

Król Brutus znalazł ów dzwon w starej skrzyni w klasztorze świętego Filiana. Ponieważ w klasztorze był już jeden, a ten okazał się zbyt mały do tak wielkiego budynku, przysłano go do wioski. Brat Aiden nie posiadał się z radości. Aż do zeszłego tygodnia musiał używać zardzewiałego instrumentu, który raczej grzechotał, niż dzwonił.

Jack usłyszał dziś dzwon po raz pierwszy i jego brzmienie nappełniło go tęsknotą, której nie potrafił zrozumieć. Znow się odezwał. Brat Aiden klęczał pogrążony w modlitwie, a dzwon wzywał wszystkich, którzy chcieli do niego dołączyć. Chłopakowi wydawało się dziwne, że dźwięki podróżują dalej niż obrazy. Chata mnicha była tak daleko, że nie widać było nawet rozpalonego przed nią ognia.

Thorgil często powtarzała, że głos tak naprawdę nie umiera nigdy. Powiadała, że Ludzie Północy słyszą swych umarłych, którzy wzywają ich nocami, kiedy na niebie tańczą światła. Jack nigdy czegoś podobnego nie widział i wcale za tym nie tęsknił.

Dzwon zabrzmiał po raz trzeci i znad morza poniosło się przeraźliwe zawrozczenie. Dłoń chłopaka powędrowała do rękojeści noża. Krzyk przygasł, zmienił się w szloch, aż wreszcie ucichł zupełnie. Jack czekał w napięciu, wpatrzony w odległe fale. Po chwili ujrzął pośród nich długą, bezbarwną plamę. Dotarła do brzegu i zniknęła.

To na pewno wodorosty — stwierdził w duchu, choć nadal pilnie przyglądał się bałwanom, póki ciemność nie kazała mu ruszyć w dalszą drogę.

W domu barda wesóły ogień trzaskał zielonymi, czerwonymi i żółtymi płomieniami. Zawartość żelaznego garnka bulgotała, wokół roznosił się smakowity zapach grzybów. Jack aż westchnął ze szczęścia. Wszystko znajdowało się na swoim zwykłym miejscu. Malowane na ścianach ptaki poruszały się w blasku ognia, a malowany wiatr jak gdyby tarmosił płatki kwiatów rosnących w malowanym ogrodzie.

Jack już miał spytać barda, czy on także usłyszał dziwny krzyk, kiedy zobaczył, że starzec karmi zdrożonego, potarganego ptaka kawałkami suszonej ryby. Przy nich przykucnęła Thorgil, pogrążona — czego można się było domyślić z jej krakania — w rozmowie ze skrzydlatym gościem. Nie wyglądała na zadowoloną. Chłopak doszedł do wniosku, że bard musiał ją do tej pogawędki zmusić.

— Zobacz, co nam zesłał sztorm — powiedział starzec. — Przynieś trochę potrawki, a ja położę naszego przyjaciela do łóżka. — Wskazał ptakowi wypełnioną słomą wnękę.

Jack zauważył, że ten podskakuje niepewnie i ciągnie jedno ze skrzydeł po ziemi.

— Co to jest? — spytał.

— Wielki cud — odparł rozemocjonowany starzec. — Nazywa się... jak mówiłaś, Thorgil?

— Albatros — odrzekła obrażonym tonem dziewczyna. Była blada, a na jej twarzy ciemniały sińce. Wyraźnie jednak miała się już lepiej.

— To przybysz z dalekiego południa. I to naprawdę dalekiego — powiedział bard. — Wyobraź sobie tylko! Jest takie miejsce, o jakim nie słyszałem nawet ja. Kraina pełna lodowych gór, które przez całą zimę jęczą, a latem rozpadają się na wyspy.

— Przypomina więc Jotunheim — zauważył Jack.

— Też tak w pierwszej chwili pomyślałem, ale Wędrowiec... tak ma na imię nasz ptak... mówi, że mieszkają tam jedynie ptaki i foki. Pochodzi z tak daleka, że nie rozumiem jego mowy. Szczęśliwym trafem Thorgil to potrafi.

Jack wziął do ręki stos misek, włożył do każdej kawałek chleba i zanurzając w garnku chochlę, polał pieczywo potrawką.

— Biedny włóczęga nieźle oberwał podczas burzy. Ma przetrącone skrzydło. Thorgil znalazła go szamocącego się na brzegu i przyniosła do mnie.

Bard był zachwycony swym nowym gościem. Jack wiedział, że to z powodu historii o dalekich krajach, leżących pod innym niebem. Nowości interesowały starca od zawsze.

Chłopak i dziewczyna usiedli na podłodze i zaczęli jeść.

— Nigdy nie widziałem tak wielkiej mewy — zauważył Jack, obserwując moszczącego się we wnęce ptaka.

— Ja również nie widziałem takiego stworzenia — powiedział starzec. — Zaraz po przybyciu wcale nie zachowywał się przyjaźnie. Próbował wydziobać mi oczy. Ale poradziłem z nim sobie za pomocą zaklęcia strachu. Teraz zawarliśmy niełatwy rozejm. Jemu potrzebna jest moja pomoc, a ja udzielię jej tylko pod warunkiem, że będzie się odpowiednio zachowywać.

— Chciałabym się tego czaru nauczyć — rzuciła Thorgil i nadziała na czubek noża kawałek mięsa.

— Nie śmiałybym go tobie przekazać — odparł bard. — Przy każdym napadzie kiepskiego

humoru terroryzowałabyś całą wioskę.

Albatros kłapanął dziobem. Jack wyciągnął w jego stronę porcję mięsa i ptak chwycił poczęstunek, po czym ukrył się w cieniu.

— Ufa ci — pochwalił starzec. — To bardzo ciekawe. Odkąd straciłeś swoją łaskę, twoja moc stała się większa.

Chłopak skupił się na jedzeniu. Myśli o lasce wciąż wpędzały go w zły nastrój. Wyciął ją sobie z gałęzi Yggdrassila. To była prawdziwa łaska barda, tyle że nie miał dość czasu, by nauczyć się korzystać z pełni jej mocy. Położył ją na granicy pomiędzy Życiem i Nieżyciem, by zdjąć klątwę z Din Guardi. Teraz już jej nie miał. Zniknęła jak popiół na wietrze.

— Tym uczynkiem otworzyłeś sobie wrota do niewidzialnego świata — zapewnił bard, znów bezbłędnie odgadując myśli chłopaka. — Prawidłowo złożona ofiara jest silniejsza od magii.

— Ludzie Północy składają w ofierze niewolników — wtrąciła Thorgil. — I nigdy nie zauważyłam, żeby wynikło z tego jakiegokolwiek dobro.

— Nie mówiłem o mordzie dokonanej na bezbronnym niewolniku. Mam na myśli człowieka, który oddaje życie za innych, albo kobietę, która sama się głodzi, by nakarmić swoje dziecko.

— Mówisz zupełnie jak ci miauczający chrześcijanie — warknęła wojowniczką.

Jack uniósł dłoń, by ją uciszyć. Bard nie wpadał w złość zbyt łatwo, ale niemądrze było przekraczać pewne granice.

— Nie odrzucałbym chrześcijaństwa zbyt pochopnie, Thorgil Nierozumna — powiedział starzec. — Jego wyznawcy wydają się słabi, a niektórzy z nich to z pewnością łotry, ale wychodzili zwycięsko z sytuacji, które zmroziłyby krew w żyłach najmężniejszych bohaterów.

— Nadają się tylko do ciągnięcia wózków z łąjnym — rzuciła Thorgil beztrąsko. — Przyszłość należy do silnych.

— Właśnie przez takie myślenie Ludzie Północy w końcu znikną z tego świata.

— Znikną?! — Thorgil zerwała się na nogi. — Nikt nie pokona mojego ludu! Nasza sława nie umrze nigdy!

Płomienie w palenisku na moment się wzmogły. Ciężko za bardem urósł. Thorgil padła na podłogę z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. Albatros jęknął, a Jacka nagle oblał zimny pot. Lecz ogień szybko osłabł. Bard na powrót stał się dobrotliwym starcem, średniego wzrostu i tuszy.

— Dobrze zakłęcie strachu — przyznał Jack.

— Dziękuję — odpowiedział starzec. — Nauczyłem się go od pewnej morskiej wiedźmy na Orkadach.

Thorgil podniosła się z ziemi i usiadła, siląc się przy tym na grację. Jej oczy ciskały w barda sztyletami.

— Ostatnio wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy — ciągnął starzec, nie zwracając na nią uwagi.

— Dzikie Łowy, zniknięcie Goga i Magoga, pojawienie się Wędrowca. Ten krzyk nad morzem.

— Ty też go słyszałeś? — spytał Jack.

— Trudno było nie usłyszeć. Stałem wtedy na klifie i obserwowałem fale — opowiedział bard.

— Miałem nadzieję, że znajdę jeszcze jednego albatrosa. Krzyk rozległ się dokładnie pode mną i już chciałem zejść, by sprawdzić, co to, kiedy zobaczyłem, jak jakaś istota wystawia łeb z wody. Długa była jak łódź Ludzi Północy. Miała też długi, wijący się ogon.

— Wąż morski?! — zawołał Jack.

— Coś o wiele rzadziej spotykanego. Piktyjska bestia.

— Teraz już mam pewność, że czeka nas coś złego — skomentował Jack.

— Nie mów tak — zganiał go starzec. — Nie wszystko, co pochodzi od Piktów, jest złe. Tak czy inaczej wyglądało na to, że bestię ciągnęło do źródła dziwnego krzyku. Zmierzała prosto na brzeg. Pobiegłem po łaskę. Nigdy nie można mieć pewności, czy potwór jest głodny, czy po prostu zadowolony. Kiedy jednak wróciłem, już go nie było.

— A ta istota poniżej?

— Nie mogłem jej znaleźć — powiedział bard. — Wiesz, słyszałem już kiedyś ten krzyk, ale nie jestem w stanie sobie przypomnieć, gdzie to było.

— Powinniśmy na to stworzenie zapolować — stwierdziła Thorgil.

Wyciągnęła nóż i uniosła go do światła płomieni. Po roku posługiwania się lewą ręką radziła już sobie z wieloma czynnościami całkiem sprawnie, choć jasne było, że nigdy nie odzyska dawnej zręczności. Prawa, niewładna dłoń wyglądała zupełnie normalnie, jeśli nie liczyć dziwnego, srebrzystego odcienia skóry. Była jednak bezużyteczna i równie dobrze zamiast niej dziewczyna mogłaby nosić drewnianą protezę.

Jack nie był pewien, czy paraliż Thorgil ma źródło w jej umyśle, czy też demon, którego zaatakowała, zaraził ją jakąś straszną chorobą. Bard próbował dziewczynę uleczyć. Nawet brat Aiden, kiedy spała i nie mogła go opluć, odprawił nad nią modły. Nic nie pomogło.

— Na zewnątrz jest teraz ciemno jak w kopalni ołowiu — powiedział starzec. — W takich warunkach o wiele szybciej coś dopadłoby ciebie, niż ty znalazłbyś swoją ofiarę. A teraz Jack, chcę cię nauczyć nowego czaru.

Chłopak poczuł falę zachwyty. Nareszcie! Od miesięcy powtarzał monotonna tylko te zaklęcia, które już znał. Przyzywał ogień, uspokajał wiatry i ćwiczył dalekowidzenie, dzięki któremu oglądał wyłącznie nic nieznaczące plaże i posępne skały. Jedynym nowym czarem, jakiego się ostatnio nauczył, było zaklęcie pozwalające na oddzielanie ziarna od plew poprzez wzywanie siły życiowej pomiędzy żarna.

— A co ze mną? Dlaczego ja nie mogę uczyć się czarów? — rzuciła ostro Thorgil.

— Nie ciebie wybrałem na uczennicę, ale jeśli będzie to dla ciebie jakimś pocieszeniem, wiedz,

że już masz w sobie pewną moc. Kosztując smoczej krwi, sama stałaś się częściowo smokiem. To dlatego rozumiesz mowę istot powietrza.

— Jestem częściowo smokiem? — zaciekała się dziewczyna.

Jack niemal zobaczył myśl, która przemknęła jej przez głowę. Będąc częściowo smokiem, można latać ponad nieprzyjaciółmi i ziać na nich ogniem.

Bard uśmiechnął się posepnie, co świadczyło o tym, że i on to zrozumiał.

— Tylko nie spodziewaj się, że zaraz wyrosną ci skrzydła. Dzięki poświęceniu ręki zostałaś obdarzona jakąś pożyteczną umiejętnością. Być może mogłabyś zostać uzdrowicielką.

Jack nie zdołał się powstrzymać i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Chyba cię rozum opuścił — warknęła Thorgil. — Nie jestem żadną uzdrowicielką. Nie będę mamrotać zaklęć nad słabeuszami. Jestem wojowniczką i padnę w bitwie, z mieczem w dłoni. Nawet jeśli miałabym go trzymać w niewłaściwej ręce.

— Ta ścieżka jest już dla ciebie zamknięta. — Bard pokręcił głową. — Widzę jednak, jak lgną do ciebie konie i jak wykonują każde twoje polecenie. Słyszałem też o tym, że wyciągnęłaś z błota kruka i tchnęłaś mu w skrzydła nadzieję.

— Jakiego kruka? Nikt mnie wtedy nie widział. Niczego takiego nie zrobiłam! — zaprotestowała głośno Thorgil.

— Ten ptak odwiedził mój dom i sam mi o wszystkim opowiedział — wyjaśnił rozbawiony starzec.

— To ulubieniec Odyna. Musiałam mu pomóc — przyznała się dziewczyna.

— Thorgil, nie musisz się wstydzic dobrych uczynków. Nawet wielki Olaf Jednobrewy pewnego razu podał dłoń małej dziewczynce, której nie chciał nikt inny. A teraz powinienem nauczyć Jacka zaklęcia snu. Musimy nastawić skrzydło Wędrowca, zanim na zawsze zastygnie ono w tej pozycji.

— Ja też mogłabym się tego nauczyć — rzuciła ochoczo Thorgil.

— Nie, nie mogłabyś, ale możesz za to wyciągnąć Wędrowca z legowiska.

Albatros nie miał ochoty pozwolić komukolwiek na dotykanie swojego skrzydła. Gdy dziewczyna próbowała go poruszyć, skrzeczał i kłapał dziobem. Wreszcie udało jej się wywabić go kawałkiem suszonej ryby. Wędrowiec pochłoniął smakołyk, przez cały czas przyglądając się ludziom swym przypominającym paciorek okiem. Wciąż przy tym syczał i posapywał. Nawet Jack, który nie znał ptasiej mowy, wiedział, że albatros nie ma na myśli niczego godziwego.

— Pora na trudniejszą część zadania — oznajmił starzec, gdy ptak znalazł się już z dala od bezpiecznej wnęki. — Muszę odpowiednio nastawić jego przetrącone skrzydło, a to będzie go bolało jak sto piorunów. Nie ważę się zadać mu maku. Mój napar jest zbyt mocny i mógłby go zabić.

— Mam go przytrzymać? — spytał Jack, przyglądając się niepewnie ostremu dziobowi.

— To byłoby zbyt niebezpieczne. Ptaki, nawet te inteligentne, zawsze wpadają w panikę, gdy próbuje się je zniewolić. Thorgil, musisz odwrócić uwagę Wędrowca. Chcę, żeby był odprężony, kiedy czar zacznie działać. Zapytaj go o krainę, z której do nas przybył. Sama też możesz mu opowiedzieć o kraju Ludzi Północy.

Thorgil wyszczerzyła się w uśmiechu i Jack zrozumiał, że nie porzuciła nadziei na nauczenie się nowego czaru. Zaczęła mówić w ptasim języku. Była to dziwna, pełna jęków i cmoknięć mowa. Albatros odpowiadał jej skrzekiem i westchnieniami. Czasami wydawało się, że jego głos dobiega z wielkiej odległości, jak coś, co przyniósł nocny wiatr. Kiedy indziej huczał tuż przy uchu słuchacza. Chłopak nie wiedział, o czym rozmawiają, ale Wędrowiec był wyraźnie pochłonięty opowieścią.

— A teraz, chłopcze, przyjrzyj się moim rękom — powiedział cicho bard. — Uplotę ten czar w powietrzu, do wtóru słów. Wędrowiec nie rozumie ludzkiego języka, ale w przypadku zwierząt o wiele ważniejsza jest melodia. Wsłuchaj się w ton mojego głosu.

Starzec usiadł przed ptakiem i zaczął poruszać rękami. Jego gesty przypominały rozwijające się w spokojnym morzu wodorosty. Był to piękny ruch, płynny i tak spokojny, że miało się ochotę patrzeć na niego godzinami. Jack pomyślał, że tak właśnie wyglądałaby widzialna muzyka. Bard zaczął mówić sennym głosem, który sprawił, że chłopakowi zrobiło się ciepło i poczuł się bezpiecznie. Słowa nie miały żadnego znaczenia. Starzec mógłby równie dobrze mówić „tra-la-la”, choć tak naprawdę jego mowa nie była pozbawiona sensu.

— Unosisz się na powierzchni nieruchomego stawu... unosisz się... unosisz... To najmniejsze łożo, jakiego kiedykolwiek zaznałeś... unosisz się... unosisz... jest cieplej niż pod skrzydłami twojej matki... czujesz się bezpieczniej niż w cieniu swego ojca... nic nie może cię skrzywdzić... jest tak spokojnie... unosisz się... jesteś tak bardzo sennnyyyy...

Jack gwałtownie uniósł głowę. Wzrok mu się zmącił i przez moment dłonie barda wyglądały dokładnie jak wodorosty. Zdał sobie sprawę, że czar podziałał i na niego. Uszczypnął się mocno, by odzyskać koncentrację.

Wędrowiec stał z półotwartym dziobem. Zanim opadły mu powieki, jego oczy, tak jak u innych morskich ptaków, przesłoniła mlecznie zabarwiona cienka błona. Zaczął uginać powoli nogi, aż usiadł na podłodze. Chłopak znów się uszczypnął.

— Ciepło... bezpiecznie... unosisz się...

Thorgil z hukiem zwała się na ziemię. Zarobiła kolejny siniak — pomyślał Jack, starając się nie usnąć. Zaraz potem przewrócił się albatros.

— Szybko, zanim się zbudzi — mruknął bard. — Przytrzymaj jego zdrowe skrzydło tuż przy tułowiu.

Chłopak usłuchał. Głos starca przez cały czas snuł się dokoła niczym olbrzymia, lśniąca spirala.

Bard chwycił drugie skrzydło ptaka i nastawił je szybkim ruchem. Rozległo się wyraźne

chrupnięcie. Wędrowiec zaskrzeczał głośno, ale nie otworzył oczu. Umęczone ptaszysko leżało nieruchomo na wyłożonej słomą podłodze, pogrążone w głębokim śnie.

— Poszło nam zupełnie dobrze — rzucił starzec rześkim głosem i otrzepał dłonie. — Pozwolę mu trochę odpocząć. A ty, chłopcze, możesz przekręcić Thorgil na bok. Leży na twarzy i o ile się nie mylę, ma w nosie źdźbło słomy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KRZYK W CIEMNOŚCI

Rankiem okazało się, że Thorgil rzeczywiście nabawiła się paskudnego siniaka, ale jeszcze bardziej złościło ją to, że nie zapamiętała zaklęcia snu.

— Niektórzy to potrafią, inni nie są w stanie oprzeć się magii — wyjaśnił bard.

— Ja potrafię oprzeć się wszystkiemu! — zaprotestowała dziewczyna.

— To akurat wiemy, ale nie jesteś w stanie kontrolować zaklęcia snu. Tak już po prostu jest. Latać też byś nie mogła, bez względu na to, jak mocno machałabyś rękami.

— To samo mówił Olaf, kiedy próbowałam układać wiersze — powiedziała Thorgil. — Ale odkąd napiłam się ze Studni Mimira, umiem to robić równie dobrze jak Jack.

— Chyba śnisz — zachnął się chłopak. Porażka Thorgil niezmiernie go ucieszyła. On sam doskonale pamiętał melodię zaklęcia i korciło go już, by wypróbować czar na owcy.

— Nie poddam się — rzuciła. — Pomyśl, jak bardzo przydałoby się to na polu walki. Mogłabym usypiać wrogów. Choć zabijanie śpiących nie jest honorowe.

Bard pokręcił głową.

— Twoje motywacje są jak zwykle przerażające. Powiedz uprzejmie Wędrowcowi, że przez kilka dni nie wolno mu latać.

Po przebudzeniu ptak schował się w swojej wnęce i słyszeli teraz jego złorzeczenia.

Dziewczyna uklękła i porozmawiała z albatrosem.

— Nie jest szczęśliwy, że musi tu siedzieć. Mówi, że musi lecieć dalej, poszukać partnerki.

— A gdzie chce ją znaleźć? — zaciekawiał się bard.

Thorgil przetłumaczyła pytanie.

— Mówi, że widział samice na południe stąd. Miały podobno niemal idealne kształty, choć były trochę zbyt małe.

— Niemal? Wilki mają niemal taki sam kształt jak owce. Powiodło mu się?

— Nie, ale nie porzuca nadziei.

— Cóż, wytłumacz mu, że jego skrzydło jest jeszcze bardzo słabe i że musi poczekać. A teraz chcę, żebyście poszli oboje na łąkę nabierać dla mnie roślin. Potrzebny mi jest żywokost, wrotycz, mięta i waleriana. Jeśli natkniecie się na lulek, to też mi się przyda. Tylko pamiętajcie, by trzymać go z daleka od innych ziół. Nie będę też kręcić nosem, gdy przyniesiecie trochę bylicy. Szukajcie jej na piaszczystej glebie.

Jack sięgnął po woreczki na zioła i wkrótce szli przez pola ku dzikim łąkom rozciągającym się

za wioską. Było ciepło i mieszkańcy sadzili już na zimę groszek i fasolę. Thorgil znalazła miejsce, w którym rosła dzika sałata, a chłopak natrafił na żywokost. Po niedługim czasie dotarli na skraj leszczynowego zagajnika.

— Ech, ale upał! — zawołała dziewczyna, rzucając woreczki między dzwonki. Położyła się na brzuchu nad strumykiem i zagarnęła nieco chłodnej wody do ust. — Mmm! Słodka jak miód!

Jack rozdzielił owsiane placki, które zostały im ze śniadania.

— Bard mówi, że za kilka tygodni udamy się do Bebba's Town.

— Wiem, musimy kupić zboże. Czy światło przesączające się przez liście nie jest wspaniałe? A te motyle wyglądają jak fruujące, rozbrykane kwiaty.

Jack przygotował się na przypływ świetnego nastroju Thorgil.

— Zastanawiam się, w jaki sposób przewieziemy to zboże do wioski. W drodze jest tyle dziur, że nie da się tamtędy przejechać żadnym wozem.

— Bard mówił, że wynajmiemy statek — powiedziała dziewczyna i podniosła się z ziemi. — Pomyśl tylko. Znow poczuć pokład pod stopami. Fale bijące o dziób. Wicher wyjący w uszach! Pamiętasz barwę morza podczas sztormu? Jest szarozielone, a z wierzchołków fal odrywają się strzępki piany. W takich chwilach widać niemal pałace Aegira i Ran — rozmarzyła się, wymieniając imiona czczonych przez Ludzi Północy bogów morza. — Pamiętasz?

— Tak — odparł Jack.

— Nie wydajesz się tą myślą uradowany.

— A czemu miałbym się cieszyć na myśl o utonięciu? Tylko w ten sposób można odwiedzić Ran i Aegira.

— Nie o to chodzi! — zawołała Thorgil. — Te barwy są tak piękne! I delikatna pianka opadająca na twarz. I chlupot wody pod stopami. I to wrażenie, kiedy statek pochyla się w ostrych podmuchach wiatru. W chwilach śmiertelnego zagrożenia Olaf zwykł rozdawać złote monety, abyśmy mieli co podarować Ran, jeśli trafimy do jej pałacu. Morskie królestwo nie jest tak wspaniałe jak Valhalla, ale też nie jest złe...

— Thorgil — przerwał jej Jack.

— Tak?

— Przestań gadać.

— Nie gadam — odparła, zbyt rozanielona, by się obrazić. — Może w Bebba's Town wynajmiemy knorr. Te statki nie są zgrabne, ale mogą przewozić wiele towarów, a nocami wydają przecudowny dźwięk — *knorr, knorr, knorr*. Drekar byłby jeszcze lepszy.

— Gdyby mieszkańcy naszej wioski zobaczyli drekar, natychmiast umknęliby na wzgórze — zauważył Jack.

— I powinni! Smocza łódź pełna berserkerów. Cóż może być piękniejszego? — Uśmiechnęła się

do snopów światła sączących się pomiędzy liśćmi.

— Według mnie? Barka pękająca od ziarna.

— Nudny jesteś jak ślimak. Powiedz mi, Jack. Zastanawiam się nad czymś, co stało się podczas burzy. Pamiętam, jak wyszłam z zagrody dla owiec, i pamiętam, że uderzył mnie grad. A potem leżałam już na polu obok martwej owcy. Podniosłeś mnie...

— W takich chwilach umysł płata przeróżne figle — przerwał jej Jack, mając nadzieję, że nie zapamiętała, co wtedy mówił.

— Wiem, ale wydawało mi się, że słyszę słowa. Bardzo wyraźnie. „Och, moja droga, moja kochana!” Czy to nie zabawne? Musiałam to sobie wyobrazić.

— Na pewno. Burza wszystko zagłuszała.

— Słowa były bardzo wyraźne.

— Powinniśmy wrócić do zbierania ziół — zauważył Jack.

Thorgil skrzywiła się, patrząc w jego stronę.

— No dobrze, ale najpierw kąpiel w strumieniu.

Zniknęła za kępą krzaków i po chwili chłopak usłyszał plusk wody. Odwrócił się i zajął struganiem kijka w kształcie litery „Y”. Thorgil pojawiła się po kilku minutach, już na powrót ubrana.

— To jest różdżka — wyjaśnił Jack, podając kijek dziewczynie. — Trzeba ją wystrugać z leszczyny, ponieważ to drzewo sięga korzeniami siły życiowej. Trzyma się ją za dwa ramiona, widzisz? A kiedy podchodzisz do podziemnego strumienia, ciągnie ją do dołu.

— Tutaj nie da się zrobić pięciu kroków, żeby nie trafić na jakiś strumień — zaśmiała się Thorgil. — Ale dziękuję, zachowam ją na później. — Zatknęła różdżkę za pas. — Chciałbyś się nauczyć ptasiej mowy?

— Ależ... oczywiście — odpowiedział zdumiony Jack.

Thorgil mu podziękowała! Naprawdę! I zaproponowała, że podzieli się z nim swoją wiedzą. I wykapała się z własnej, nieprzymuszonej woli. Rzeczywiście przechodziła nietypowy okres.

— No dobrze, więc tak należy się witać z Wędrowcem. Najpierw musisz pochwalić jego skrzydła. — Thorgil zakrakała. Dźwięk przypominał coś pomiędzy jękiem a krzykiem.

Chłopak spróbował powtórzyć. Potem jeszcze raz i jeszcze. Dziewczyna poprawiała go, aż mu się udało.

— Dlaczego trzeba prawić komplementy? — spytał.

— Albatrosy są niezwykle dumne ze swoich skrzydeł i jeśli się ich nie doceni, mogą zaatakować. A to są słowa, których używam, by zagonić go do legowiska. Proponujesz, że pogładasz mu piórka, choć wcale nie musisz tego robić. To takie ptasie wyrażenie, oznaczające „uspokój się i usiądź, proszę”. — Thorgil wydała z siebie głuchy bulgot, po którym nastąpiło

westchnienie.

Tego zwrotu Jack nauczył się bez trudu, ponieważ dźwięk przypominał muzykę.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Nawet bard nigdy przedtem nie widział albatrosa.

— To proste... mam to w sobie — spróbowała wyjaśnić. — Odkąd napiłam się smoczej krwi, jestem związana ze stworzeniami powietrza. Jak tylko wróciliśmy do Midgardu, musiałam się bardzo skupiać, żeby rozumieć ptaki, ale z czasem ich głosy stały się dla mnie wyraźniejsze.

— To cudowny dar — przyznał Jack z zazdrością.

— Wcale nie. — Thorgil usiadła na trawie.

Dwa drozdy świergotały do siebie wśród drzew i chłopak zastanowił się, co też mówią. Nagle dotarła do niego złożoność życia wypełniającego leszczynowy zagajnik i związki pomiędzy poszczególnymi formami: ślepe krety usypywały kopce, ryby kierowały się w górę strumienia, ważki śmigły pomiędzy plamami słonecznego światła. Las przypominał jedną żywą istotę, której myśli nakierowane były na... no właśnie, na co?

— Na początku bardzo mnie to bawiło. — Głos Thorgil wyrwał go z zamyślenia. — Umiałam coś, czego nie potrafią inni. Potem jednak stało się to kłówną. Wiesz, ptaki nigdy się nie zamykają. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest budzić się co rano i słuchać o dżdżownicach i śwędzących piórach.

Pochyliła głowę. Wyglądała tak smutno, że Jack zapomniał, iż Thorgil nie cierpi współczucia, i wiedziony impulsem objął ją ramieniem.

— Nie lituj się nade mną! — warknęła i odepchnęła go tak mocno, że uderzył głową o pień drzewa.

— Co cię ugryzło? Chciałem być miły! — rzucił chłopak.

— Traktujesz mnie jak głupią dziewczuchę.

— Jesteś dziewczyną.

— Jestem córą miecza, a nie jakąś płacziwą saską krową.

— A może byś przestała opowiadać, jacy to moi pobratymcy są okropni, i przyjrzała się sobie! — zawołał urażony Jack. — Jesteś równie niewdzięczna jak bagienny szczur. Obrażasz wszystkich dokoła!

— Nie mogę się ponizac tylko dlatego, że przyszło mi żyć w chlewie — syknęła wyniośle Thorgil.

— W chlewie? Jak śmiesz tak nazywać dom moich rodziców?! Pamiętam jeszcze, jak w krainie Ludzi Północy sypiałaś razem z psami, bo tylko one chciały cię przygarnąć!

— Nawet nasze psy są bardziej honorowe niż płacziwi Sasi.

— Doprawdy? Więc ja ci powiem, że nawet pies płacziwego Sasa jest bardziej honorowy niż północna niewolnica mieszanej krwi! — krzyknął Jack.

— Nie jestem niewolnicą! — wrzasnęła Thorgil i chwyciła porzucone woreczki z ziołami. — I nigdy już moja noga nie postanie w domu twoich rodziców!

Odeszła gniewnie, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

No i już po jej dobrym nastroju — pomyślał Jack, masując obitą głowę, i poszedł w drugą stronę.

Po chwili wściekłość minęła i Jack zaczął żałować swych pochopnych słów. Ale Thorgil potrafiła wyprowadzić z równowagi każdego. Nawet Olaf Jednobrewy zwykł wymierzać jej potężnego kuksańca, kiedy wpadała w szał. Oczywiście, Olaf zwykł bijać wszystkich, Jacka od czasu do czasu także. To leżało w naturze Ludzi Północy.

Chłopak siedział w cieniu drzewa i starał się odnaleźć w sobie to samo uczucie co przedtem — wrażenie, iż las jest w istocie jednym stworzeniem obdarzonym wspólnym umysłem. Może poczuł tak, ponieważ zbierała się tu energia życiowa, a może dlatego, że — na tę myśl zimny palec strachu trącił serce Jacka — leszczynowy zagajnik był częścią królestwa Pana Lasu. Chłopak przypomniał sobie delikatne szepty wśród drzew, sposób, w jaki unosiły się korzenie, by pochwycić nieostrożną nogę wędrowca.

To nie jest przecież Kraina Srebrnych Jabłek. Głupi jestem — stwierdził w duchu. Pan Lasu nigdy nie pozwoliłby na to, by jego drzewa zostały tak wycięte jak te tutaj. Nie ma tu piktyjskich bóstw.

Oczyścił umysł, by przywołać energię życiową. Przyjdź do mnie. Ukaż się. Zdradź mi ścieżki, którymi płyniesz... Las wyglądał jednak tak samo jak przedtem, ptaki fruwały w tę i z powrotem, zaby rechotały, a pająki splatały swoimi sieciami kołyszące się gałązki.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi i Jack przypomniał sobie, że nie zebrał jeszcze ziół, o które prosił go bard. Zaczął się rozglądać na granicy dębowego lasu i leszczynowego zagajnika. Po jakimś czasie znalazł nieco mięty i żeby zagłuszyć głód, przeżuł w ustach kilka listków. Zebrał jeszcze korzeń omanu na kaszel, fenkuł leczący bóle żołądka i walerianę, która pomaga cierpiącym na bezsenność. Zerwał też bylicę, stosowaną przeciwko powietrznym jadom, sprowadzającym na ludzi zaraźliwą febrę.

Pod brzozą natknął się na *atterswam*, grzyb piękny, ale bardzo niebezpieczny. Miał czerwony kapelusz pokryty białymi plamkami. Bard opowiedział mu kiedyś, że Ludzie Północy korzystają z jego właściwości, by uprawić się w bitewny szał.

— Po jego spożyciu doznają wizji, choć zdarza się też niekiedy, że ich zabija — mówił starzec. — Szkoda, że tylko niekiedy.

Jack zastanowił się, czy Thorgil kiedykolwiek miała *atterswam* w ustach.

Gdzie ona jest? Zapewne zrealizowała swą groźbę i postanowiła nie wracać do domu. Jeśli czymś już zagroziła, trzymała się tego jak świętej przysięgi. Jack wiedział, że będzie musiał wyjaśnić matce i ojcu, dlaczego Thorgil przestała ich odwiedzać, ale zdawał sobie sprawę, że oboje tylko się z tego ucieszą. Ciągłe potyczki, jakie wojowniczką staczała z córkami garbarza, dopiekiły już wszystkim do żywego. Dokąd pójdzie? Może John Grotnik znajdzie dla niej miejsce w stodole. Jack zawsze podziwiał jej zręczność w obchodzeniu się z końmi. A kiedy nastanie zima, będzie musiała wprowadzić się do barda.

Chłopak zerwał kilka czerwonych grzybów i schował je, oddzieliwszy od reszty ziół. Po gałęzi przebiegła wiewiórka. W pyszczku miała kawałek *atterswam*. Jack cisnął w nią kijkiem. Nie chciał, by zjadła trujący grzyb. Ona jednak wspięła się wyżej i dalej ze smakiem pałaszowała czerwony kapelusz. Może wiewiórki lubią wizje — pomyślał z nadzieją, że stworzonko nie spadnie z gałęzi i się nie zabije.

Słońce skryło się za wzgórzami. Do lasu wpełzła ciemność, z podmokłej ziemi podniosła się mgła i sprawiła, że drzewa zaczęły wyglądać tak, jakby dryfowały na białym, falującym morzu. Nagle umilkły ptaki. Towarzyszący zachodowi hałaśliwy świergot zamilkł, jakby pomiędzy krzewami pojawił się jakiś niewidzialny wróg. Zmierzch gęstniał coraz bardziej, powietrze stawało się coraz zimniejsze, a leśne poszycie coraz bardziej wilgotne.

Jack zastygł w bezruchu.

Czyżby to wilk? Albo, Boże uchowaj, niedźwiedź? W powietrzu, mimo że wiatr ucichł, poniósł się zapach wodorostów. A może otworzyła się jedna ze ścieżek łączących ze sobą światy? Jeśli tak, to co po niej przyszło? — przemknęło Jackowi przez myśl. Był jednocześnie podekscytowany i wystraszony.

Zimna mgła rozlewała się coraz szerzej. Spowiła go z tak groźną i złą siłą, że aż jęknął i niemal wypuścił z rąk woreczki z ziołami. Tak dojmującego chłodu nie czuł, odkąd zmierzył się z półtrollką Frith. Miał wrażenie, że otwarły się wrota do samego serca zimy. Ciało mu drętwiało, umysł wypełniła pustka.

W oddali brat Aiden uderzył w swój dzwon. Był to słaby dźwięk, niewiele głośniejszy od głosu pisklęcia, lecz tak czysty, że bez trudu przedarł się przez wzbierające opary. Urok został zdjęty. Jack przycisnął woreczki do piersi i pobiegł przed siebie długą, bladawą ścieżką wśród szarych o zmierzchu dzwonek. Wstęgi mgły wiły mu się wokół nóg. Słyszał łomotanie własnego serca. Stopy nurzały się w błotnistych kałużach. W pewnej chwili o mało się nie przewrócił. Pędził jednak nadal, póki nie wypadł na pole.

I gnał dalej, aż leszczynowy zagajnik stał się tylko cieniem na tle wysokich dębów. Niebo poza lasem wciąż było niebieskie, gdzieniegdzie naznaczone białymi kłębamii chmur, w których odbijały

się ostatnie promienie skrytego za wzgórzami słońca. Pole, choć zniszczone przez burzę, wyglądało swojsko i przyjaźnie. Chłopak przystanął i pochylił się dla nabrania tchu.

Brat Aiden po raz drugi uderzył w dzwon i wtedy z lasu dobył się wrzask. Trwał zbyt długo, by mogło wydać go z siebie jakiegokolwiek zwierzę, a pod koniec przerodził się w niski, rozedrgany lament. W tej chwili Jack był już po drugiej stronie pola. Obok niego przemknęła łania daniela, tak przerażona, że nie zwracała najmniejszej uwagi na człowieka znajdującego się od niej ledwie na wyciągnięcie ręki.

Oboje w tej samej chwili padli na ziemię. Łania zwróciła ku chłopakowi swe piękne, ciemne oczy i Jack położył dłoń na ciepłym, aksamitnym boku.

— Wszystko będzie dobrze — szepnął do niej. — To coś nie wyjdzie na światło.

Miał wielką nadzieję, że się nie myli. Łania patrzyła na niego, ciężko dysząc. Znow rozległ się głos dzwonu brata Aiden. Chłopak i zwierzę spojrzeli w kierunku lasu.

Nic więcej się jednak nie stało. Łania po chwili podniosła się i odeszła. Wstał także Jack, zupełnie nie wiedząc, co robić. W zwykłych okolicznościach wróciłby do domu barda. Starzec czekał na zioła, a poza tym mogła tam już dotrzeć Thorgil.

Jack znow rzucił okiem na las. Kiedy widział ją po raz ostatni, dziewczyna szła w stronę pola. Musiała go znacznie wyprzedzić, co znaczyło, że pewnie znalazła się już nad morzem. Zawsze tam chodziła, kiedy była zdenerwowana. Gdy dojdzie do siebie zapewne uda się do barda.

Myśl o rzymskim domu i czekającym wewnątrz starcu wydała mu się bardzo pociągająca. Jednak wrzask z lasu został wyraźnie sprowokowany dźwiękiem dzwonu brata Aiden. Zeszłej nocy to samo stworzenie pojawiło się na plaży. Dziś kryło się w lesie, o wiele bliżej chaty mnicha. Nie mogło mieć dobrych zamiarów. Ten złowieszczy krzyk aż ociekał nienawiścią. Nie był to zew polującego drapieżnika, ale głos istoty wyzbytej wszelkiej ziemskiej radości.

Jack westchnął i skierował się ku wiosce. Biegł przez ciemniejące łąki, pomiędzy pierwszymi szopami i domami, aż wreszcie ujrzał małego mnicha, klęczącego przy ogniu przed swą chatką.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

NADOBNA PŁACZKA

Jack także ukląkł, nie chcąc przeszkadzać bratu Aidenowi. Nie rozumiał treści jego modlitw, ale melodia słów podziałała nań kojąco. Pega często mówiła, że w pobliżu chaty mnicha czuje się jak w środku lata, bez względu na szalejące dokoła chłody i wichry. W bracie Aidenie było coś tak anielskiego, że nawet lodowe olbrzymy ostrożnie obchodziły jego mieszkanie.

Jack poczuł, jak ogarnia go spokój, zupełnie jakby potwór z leszczynowego zagajnika przestał nagle być aż tak przerażający. Zapewne był to tylko zgubiony wilk nawołujący swych pobratymców albo foka, która zabłądziła daleko od wybrzeża. W końcu czuło się przecież woń wodorostów.

— Powiniennem nauczyć cię łaciny — stwierdził brat Aiden. — Może wtedy nie zasypiałbyś w trakcie modlitwy.

Jack wyprostował się gwałtownie.

— Przepraszam. To przez ciepło i ciszę. Cały dzień pracowałem.

— Nie obrażam się — zapewnił mnich wesoło. — Zaprosiłbym cię do środka, ale nie mam miejsca. — Skinął dłonią w kierunku swej przypominającej ul chaty.

Jack był wewnątrz raz czy dwa i wiedział, że nie jest wygodniejsza od jakiegokolwiek jaskini. Mnichowi starczało miejsca tylko na maleńki ołtarz, wnękę, gdzie trzymał pergaminy i atrament, oraz posłanie z suszonego wrzosu. Osoba wyższa od Aidena nie mogła tam się nawet wyprostować.

Przed chatą stał stół i zydelek, z których mnich korzystał, iluminując manuskrypty. Naczynia i jedzenie przechowywał w ciężkiej drewnianej skrzyni pod blatem. Dzwon wisiał na rusztowaniu w pobliżu ogniska.

— Mogę cię poczęstować doskonałą potrawką z węgorza i rzepy, przyrządzoną przez Pegę — zaproponował mnich, rozkładając miski, łyżki i nóż dla siebie. Jack, podobnie jak większość mieszkańców wioski, zawsze nosił nóż. Sztylet, który dostał w prezencie od Królowej Gór w Jotunheimie, był wyjątkowo dobry. — Niech no tylko po raz ostatni zadzwonię... Wielkie nieba! Co się stało?! — zawołał brat Aiden, gdy Jack chwycił go za rękę.

— Wybacz mi, proszę — powiedział chłopak — ale nie wolno ci tego robić. Przynajmniej nie dziś.

— A dlaczegoż to? — zdziwił się mnich, rozcierając ramię.

— Ja... nie jestem pewien. Ale w lesie grasuje stworzenie, które wrzeszczy za każdym razem, gdy uderzasz w dzwon. Zeszłej nocy było na plaży, a dziś jest już bliżej. Powinniśmy zapytać

barda, co robić.

— Lepiej coś zjedz, chłopcze. Z pełnym żołądkiem wytłumaczysz mi to jaśniej. — Brat Aiden nałożył potrawkę z wiszącego nad ogniem kociołka i odwinął z pergaminu niewielki bochenek chleba. — Nie wyobrażam sobie, by cokolwiek mogło krzyczeć na dźwięk tego dzwonu. Jego dźwięk jest tak piękny, że dostał nawet własne imię — Nadobna Płaczka.

— Nadobna Płaczka? — zdziwił się Jack z ustami pełnymi chleba. — To nie brzmi zbyt dobrze.

— Zależy, za czym się płacze — powiedział brat Aiden. Na swój talerz nałożył mniej potrawy i ukroił sobie bardzo cienką kromkę. — Kiedy widzisz coś tak pięknego, że musi pochodzić od Boga — na przykład jagniątko po raz pierwszy stojące na własnych nogach albo zlatującą spod chmur jaskółkę — czujesz, że to chwila tak piękna, iż chciałoby się ją zatrzymać na wieki. Ale też zdajesz sobie sprawę, że to niemożliwe. Więc jednocześnie płaczesz i poddajesz się wszechogarniającej radości.

Jack usilnie starał się zrozumieć. Słowa mnicha wydały mu się jeszcze jedną zagadką dotyczącą szczęścia. Szczerze wątpił, by Gog i Magog „nadobnie płakali”, mucząc wraz z krowami. Choć musiał przyznać, że krowy wydawały się wtedy szczęśliwe. Nikt się wtedy nie martwił, że to muczenie może kiedyś ustać.

— Tym, co się wtedy widzi, jest tak naprawdę przebłysk Nieba, albowiem tylko w Niebie takie chwile trwają wiecznie — wyjaśnił mnich. — Dźwięk Nadobnej Płaczki przypomina nam o radości, która nas spotka, gdy przeminie już ból i smutek tego świata. Czy wiedziałeś, że to właśnie ten dzwon został przywieziony z Irlandii przez świętego Kolumbana? — Brat Aiden z czcią zdjął Płaczkę z haka i ustawił na stole. — To właśnie jego głos ściągnął Piktów ze wzgórz.

— Słyszałem, że rzucili się tłumnie na Kolumbana i chcieli go zabić, ale on ich przeraził, grożąc sprowadzeniem na nich szaleństwa — powiedział Jack, który znał tę opowieść od hobgoblinów.

Brat Aiden zmarszczył czoło.

— Jestem pewien, że to nie tak było. To do świętego niepodobne.

— Możliwe, że to tylko plotka — zgodził się Jack, nie chcąc martwić dobrotliwego mnicha. Potem opowiedział mu o potworze z leszczynowego zagajnika, ale brat Aiden zupełnie się tą historią nie przejął.

— Po burzy wiele biednych stworzeń utraciło swe schronienia. Inne zabłądziły. Mnie samego przeraziła krowa szukająca cielaka. Straszliwie ryczała. Łatwo dać się zwieść, zwłaszcza kiedy zapada zmrok i jest się samemu. Pewnej nocy, gdy szedłem drogą, zobaczyłem na poboczu parę wielkich, jaśniejących, błękitnych ślepi.

— A niech to! I co zrobiłeś? — spytał Jack.

— Niewiele byłem w stanie zrobić. Księżyc skrył się za chmurą i ledwie widziałem, gdzie stawiam nogi. Zmówiłem w duchu modlitwę do świętego Kolumbana i mocno ściskając krzyż,

ruszyłem przed siebie. Ledwie uszedłem pięć kroków, a po drugiej stronie drogi pojawiła się druga para takich samych oczu.

Brat Aiden odgryzł kawałek chleba i powoli przeżuł. Opowiadane przezeń historie były niemal tak dobre jak te, które Jack słyszał od barda. Mnich wiedział również, kiedy należy zrobić pauzę, by tym bardziej skupić uwagę słuchacza.

Chłopak czekał niecierpliwie, aż Aiden przełknie.

— Zrobiłem kilka kolejnych kroków — podjął mnich — i oczywiście pojawiła się trzecia para ślepi. Tym razem na samym środku drogi. Chcesz może cydru? Twoja matka przysłała mi dziś pełen bukłak.

— Nie! To znaczy dziękuję. Powiedz, proszę, co się stało — powiedział Jack.

Brat Aiden uśmiechnął się wesoło.

— Cóż, znieruchomiałem zupełnie. Nie byłem w stanie iść dalej. Gdybym się odwrócił, te stwory mogłyby skoczyć mi na plecy. Zaniósłem przeto modlitwę do świętego Krzysztofa, patrona podróżnych, i poleciłem duszę Jezusowi, na wypadek gdyby Krzysztof był akurat zajęty. Któryś mnie jednak wysłuchał, gdyż zaraz potem księżyc wyjrzał zza chmur. Drogę zalała precudna poświata. I dasz wiarę? Oczy zniknęły, a na ich miejsce pojawiły się owce. Najzwyklejsze w świecie owce. Okazało się, że w ciemności wszedłem w środek stada. Sam więc widzisz, że strach miesza nam zmysły. Twój potwór też na pewno jest najzwyklejszym zwierzęciem pod słońcem.

Jack zdusił w sobie chęć sprzeciwu. Był niebывale wrażliwy na działanie sił, które na ogół kryją się pod powierzchnią codziennego życia. Zdarzało się, że rzucanie czarów przyprawiało go o mdłości. Bard powiadał wtedy, że chłopak ma jeszcze zbyt małą odporność na magię. Posługiwanie się niektórymi zaklęciami i przyswajanie pewnych dziedzin wiedzy wymagało lat treningu, a Jacka wystawiono na działanie tych sił bardzo wcześnie, zanim został do tego przygotowany. Zło i nienawiść otaczające leśnego potwora były aż nazbyt realne. Chłopak nie musiał go widzieć, by wyczuć, że ma do czynienia z wrogiem.

Teraz przechylił dzwon na bok, przezornie tłumiąc przy tym jego serce. Instrument był czworoboczny i miał zaokrąglone rogi. Światło ogniska odbijało się od niego czerwonymi refleksami. Pomimo prostego wyglądu Płaczkę otaczała aura bogactwa, przywodząca na myśl pałace i królów.

— Ładny jest — stwierdził.

— To połączany brąz — powiedział z dumą brat Aiden. — Stąd bierze się jego głęboki, melodyjny dźwięk.

— Serce za to wygląda na żelazne — zauważył Jack, podnosząc Płaczkę do światła.

— Jesteś bardzo spostrzegawczy. Brąz jest zbyt twardy i uszkodziłby dzwon.

— Dlaczego ma kształt ryby? — spytał chłopak.

Serce dzwonu było wspaniale wykonane. Prawdziwe dzieło sztuki — z płetwami, łuskami i parą okrągłych rybich oczu wpatrzonych w dół. Znać było na nim ślady wielu lat używania.

— Ojciec Severus twierdził, że to symbol Kościoła. Chcesz jeszcze potrawki?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Jack uprzejmie, choć czuł, że mógłby sam jeden spałaszować cały gar. Ale potrawka miała być jutrzejszym śniadaniem mnicha.

Posprząтали po kolacji. Jack wyczyścił miski piaskiem, a brat Aiden schował resztę jedzenia w swojej skrzyni.

Księżyc, idealnie półkolisty, zalał ziemię bladą poświatą, w której blasku Jack mógł bez trudu znaleźć drogę do domu barda. Zebrał swoje rzeczy i schował nóż do wiszącej u pasa pochwy.

— Może pójdziesz ze mną? — zaproponował. — Bard lubi twoje towarzystwo.

— Rano się do niego wybiorę — odparł brat Aiden. — Dzisiejszej nocy mam wiele do przemyślenia. Muszę się zastanowić nad tym wyciem, o którym opowiedziałeś.

Zaskoczony chłopak podniósł wzrok. A zatem mnich nie podejrzewał go o zmyślanie.

— Czy będziesz tu bezpieczny? — spytał, nagle rozumiejąc, że otaczają ich cienie, a do najbliższego domostwa jest dość daleko.

— Na tym świecie nikt nie jest zupełnie bezpieczny — odrzekł brat Aiden. — Jeśli Bóg postanowi wezwać mnie tej nocy, postaram się mężnie na ten zew odpowiedzieć. Zostanę. Aczkolwiek nie ma sensu wodzić tego stwora, czymkolwiek jest, na pokuszenie. Zabiorę dzwon ze sobą do środka, choć Bóg jedyny raczy wiedzieć, gdzie wtedy wcisnę głowę.

Wracając przez pola, Jack często oglądał się za siebie. Sprawdzał, czy mnich nadal siedzi przed swoją chatką. W pewnej chwili wydało mu się, że dostrzega, jak zamykają się jej drzwi, a ogień ciemnieje, jakby coś się przed nim przesunęło. Wielkie, gorejące, niebieskie oczy — pomyślał, wpatrując się w mrok. Dlaczego niebieskie? Z jakiegoś powodu ta wzmianka o kolorze stanowiła dla niego najbardziej przerażającą część opowieści.

Z prawej strony ścieżki Jack widział długie, szare fale bijące o brzeg. Po lewej ręce miał czarną, krętą wstęgę strumienia. W powietrzu wyczuł zapach wodorostów i wiązówki, a na twarzy — dotyk delikatnej słonej mgiełki. Kiedy zbliżał się do końca drogi, morze się ukryło, choć wciąż słyszał jego syk i grzechot toczonych po dnie i plaży kamyków. Wreszcie dotarł do domu barda i z radością zanurzył się w ciepłym wnętrzu.

— Najwyższy czas — rzucił zniecierpliwiony starzec, który siedział przy ogniu, z Wędrowcem u stóp. — Już miałem posłać nietoperza, by cię poszukał. Gdzie jest Thorgil? Tylko mi nie mów, że i ona postanowiła zebrać blask księżyca.

— Ostrzegalem cię przed sprzeczkami — powiedział starzec, rozwieszając w pokoju linki. — Ta dziewczyna jest jak pozbawiony balastu statek. Przez cały czas miota nią byle wiatr.

— To nie ja zacząłem — powiedział Jack ze smutkiem, mocując zioła do sznurków, na których miały wyschnąć. Zdążył już opowiedzieć bardowi o wypadkach mijającego dnia. Nie zapomniał przy tym wspomnieć o leśnym wrzasku i wizycie u brata Aideny.

— Nie zacząłeś, ale i nie zakończyłeś. Jedna Freya raczy wiedzieć, gdzie ona się zawieruszyła. — Bard otworzył woreczek z grzybami *atterswam* i powąchał. — Doskonale! Sam chciałem cię po nie wysłać. — Naniznął grzyby na nitkę.

— Ale chyba nie zamierzasz ich... jeść? — spytał z wahaniem Jack. Pamiętał, że po ich zażyciu Ludzie Północy wpadali w bojowy szał.

— Na gwiazdy, chłopcze, nie jestem szalony! Kiedy je ususzę i zetnę, użyję ich do mojego najlepszego eliksiru. „Specyfik Belzebuba przeciwko Muchom”. Wymyśliłem ten przepis, kiedy odkażalem dwór króla Hrothgara. Nie masz pojęcia, jak wstrętne może być miejsce, w którym napaskudził potwór. Czy opowiadałem ci kiedyś, w jaki sposób ocalałem życie Beowulfa?

— Tak — powiedział Jack. Lubił tę historię, ale w tej chwili bardziej interesował go *atterswam*.

— Hrothgar przybił ramię potwora do ściany. Uczynił z niej swoje trofeum. Głupiec! Nie masz pojęcia, jak lgnęły do niego muchy. Poszedłem do lasu, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i co tam znalazłem? Właśnie *atterswam*. Kiedy je sobie oglądałem, na jednym z kapeluszy usiadła mucha. Minutę później padła trupem. Więcej wskazówek nie było mi trzeba. Utarłem grzyby z mlekiem, nasączyłem nim kłębki wełny i rozwiesiłem je w pałacu Hrothgara. Sam wiesz, jak bardzo muchy lubią fruwać w kółko na środku pomieszczeń. Kiedy się zmęczą, instynkt każe im usiąść możliwie najbliżej. Dzięki mnie lądowały na „Specyliku Belzebuba”.

— Genialne — pochwalił Jack.

— Owszem. Dawniej sprzedawałem ten środek jako „Zemstę Smoczego Języka”, ale brat Aiden zaproponował inną nazwę. Jego zdaniem chrześcijanie lepiej kojarzą imię Belzebub.

Jack poczęstował się potrawką ze stale uzupełnianego kociołka barda. Po drugiej (i bardziej obfitej) kolacji zamiótł podłogę i umościł sobie posłanie przy drzwiach. Poprawił słomę wyściełającą łóżko starca w drugim końcu domu. Wyglądało trochę jak owalny zwój liny, w którym bard układał się jak kot w koszyku.

Starzec jednak najwyraźniej nie szykował się do snu.

— Zagoń Wędrowca do jego wnęki. Nas czeka jeszcze jedna robota.

Jack odtworzył sycząco-bulgocący dźwięk, którego nauczyła go Thorgil, i najwyraźniej mu się udało, ponieważ wielki morski ptak uprzejmie zaświergotał i potruchtał spać.

— Widzę, że nie cały dzień spędziliście z Thorgil na kłótniach — zauważył Bard.

— To prawdopodobnie ostatnia rzecz, jakiej mnie kiedykolwiek nauczyła — odparł chłopak.

— Nie licz smoków, zanim się wyklują. Może wcale nie jest na ciebie tak zła, jak myślisz.

Bard wyjął z kufra metalowy flet. Jack widywał już takie instrumenty z drewna, ale ten był wykonany o wiele staranniej.

— Przypomina serce dzwonu brata Aiden — powiedział w zamyśleniu. Flet zdobiły takie same skrzela i łuski, a z szerokiej rybiej paszczy na jego końcu spoglądały na świat wylupiaste oczy.

— Ach, czyli i to sobie obejrzałeś — rzucił bard. — Aiden powiedział ci zapewne, że to symbol kościoła? Myli się. To łosoś, który pół roku spędza na Wyspach Błogosławionych, a jesienią powraca do swoich rodzinnych wód. Niektórzy zwą go Łososiem Wiedzy, ponieważ te ryby znają ścieżki łączące ze sobą ten świat i następny.

— Brat Aiden nazywa swój dzwon Nadobną Płaczką. Na jego dźwięk ludzie wspominają Niebo — powiedział Jack.

— Wspominają to, co leży za zachodzącym słońcem. Jeśli wolisz, możesz nazywać to Niebem. — Starzec przetarł flet rąbkiem szaty. — Dzwon został tak nazwany na długo przedtem, zanim pierwszy z mnichów postawił stopę w Irlandii. Wykonano go dla Amergina, założyciela mojego zakonu. Z czasem trafił w ręce świętego Kolumbana, który był wtedy najlepszym uczniem w jego klasie.

— To święty Kolumban był bardem? — zdziwił się Jack.

— W dodatku jednym z najznakomitszych. To on, by ochronić moją szkołę przed chrześcijanami, przeniósł ją do Doliny Pieśni. Sam także był chrześcijaninem, ale nie wyparł się starożytnej wiedzy. Potrafił przywoływać wiatr i uspokajać burze, umiał wydobywać spod ziemi wodę i rozmawiać ze zwierzętami. Gdy się zestarzał, przyszedł do niego biały koń i złożył łeb na jego piersi. Wtedy Kolumban zrozumiał, że wiatr powiał na zachód i nadszedł czas odejść. Mówi się, że na Wyspy Błogosławionych zawiózł go święty Brendan Żeglarz.

Jack przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Wizja konia oddającego cześć staremu bardowi poruszyła go w sposób, którego nie rozumiał. Ujrzał też łódź czekającą na Kolumbana. Musiała być skromna, odpowiednia dla chrześcijańskiego świętego, ale morze na pewno powiodło ją we właściwym kierunku.

— Wydawało mi się, że święci trafiają do... Nieba — odezwał się wreszcie.

— Może i tak. Po jakimś czasie. Ale Wyspy to miejsce oczekiwania dla tych, którzy nie zamknęli jeszcze wszystkich spraw na tym świecie. Mieszkają tam starzy bogowie oraz wielcy bohaterowie. Jest tam też i Amergin, chyba że postanowił się ponownie narodzić. Ale teraz robi się już późno, a nas czeka praca.

Wyszli przed dom.

— Polec swój umysł wiatrom — nakazał bard. — Poczuj życie w powietrzu.

Chłopak często towarzyszył lecącym ptakom, czując miarowe bicie ich skrzydeł. Bawił się,

nakazując im zawracać i nurkować. Potrafił też — choć było to zakazane — ściągnąć na ziemię i zabić tłustą kaczkę. Tak samo teraz przeszukał czarne niebo, starając się odnaleźć na nim żywe istoty. Wysoko w górze natrafił na klucz dzikich gęsi. Nieco niżej unosiła się na wietrze wypatrująca myszy sowa. A jeszcze niżej...

Jack usłyszał cienki, piskliwy głos. Rozproszył się na tyle, by zobaczyć dmuchającego we flet barda.

Iiii... iii... iii... — zagrał starzec. Melodia zarazem prosta i nieprosta. Kryło się w niej wiele znaczeń, w ten sam sposób, w jaki usłana liśćmi powierzchnia stawu ukazuje patrzącemu swe kolejne warstwy. Iii... iii... iiii... — rozlegała się w powietrzu odpowiedź z setek różnych miejsc.

I nagle zaroilo się od nietoperzy. Wirowały i łopotały skrzydłami wokół starca. Latające stworzenia przybyły na dźwięk fletu. Jack słyszał zmiany tonu ich popiskiwań, ale nie miał pojęcia, co oznaczają.

Bard odłożył flet. Przy wtórze suchego szelestu nietoperze rozproszyły się i w okamgnieniu zniknęły.

— Poleciały szukać Thorgil — wyjaśnił starzec. — Drzwi zostawię uchylone, na wypadek gdyby któryś z nich wrócił.

— To do tego służy flet? Do wzywania nietoperzy? — spytał szeptem Jack. Sam nie był pewien, dlaczego odezwał się tak cicho.

— Można z jego pomocą przywołać wiele różnych istot. Niektórych z nich nie miałbyś ochoty spotkać. Po drodze do Bebba's Town pokażę ci jeszcze co nieco.

Starzec nie powiedział już ani słowa więcej, ale Jack był zachwycony. Nauczy się nowych zaklęć. Poznał kilka słów ptasiej mowy i umiał rzucać czar snu. Wszystko zmierzało ku lepszemu.

Przesunął swoje posłanie w drugi koniec domu. Nie przeszkadzało mu, że będzie spać przy otwartych drzwiach, przez które wlatują nietoperze, ani to, że w leszczynowym zagajniku czai się potwór. Nóż trzymał jednak w pogotowiu. W palenisku dopalała się ciężka gałąź, którą również mógł się w razie potrzeby posłużyć.

Bard zaś spał spokojnie całą noc i obudził się świeży i rześki. Chwilę potem, gdy Jackowi wreszcie udało się zmrużyć oczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SYRENA

Jakiś czas potem obudził Jacka brat Aiden. Mały mnich otworzył sobie drzwi nogą. Ręce miał zajęte dzwonem.

— Ten potwór istnieje — wydyszał, kładąc Płaczkę na podłodze. — Coś zabiło koguta i wszystkie kury Johna Grotnika. A wódz znalazł przed drzwiami martwą owcę.

— Usiądź i uspokój się — polecił mu bard. — Jack, nalej naszemu gościowi cydru.

Chłopak usiadł na posłaniu i wyciągnął z włosów kilka źdźbeł słomy. Szybko odszukał bukłak i nappełnił kubek.

Mnich wypił napój duszkiem i podsunął naczynie po dolewkę.

— Mógłbym się w tym wykąpać, taki jestem zdyszany. Jack miał rację, co do istoty, którą przyciąga Nadobna Płaczka. Potwór szukał dzwonu po całej wsi.

— Może to tylko zwykły przypadek. Czegoś podobnego mógł dokonać niedźwiedź — zasugerował bard.

— Niedźwiedzie zabijają z głodu. A ten stwór rozszarpał zwierzęta i porzrzucał ich szczątki dokoła. Dzięki Bogu nie znalazł żadnego dziecka. — Brat Aiden odstawił kubek. — Wódz rozkazał, by kobiety i dzieci nie wychodziły z domów. John Grotnik zbiera myśliwych.

— Niczego nie znajdą — stwierdził cicho bard.

Wymienili z mnichem znaczące spojrzenie.

— Thorgil! — krzyknął nagle Jack. — Nie wróciła na noc!

— Nic jej nie jest — zapewnił go starzec. — Kruk odnalazł ją dzisiejszego ranka, siedziała na plaży.

— Poszukam jej.

— Sama wróci, gdy będzie gotowa — powiedział bard z naciskiem. — No dobrze, Aiden, porozmawiajmy o twoim potworze.

Jack poczuł się rozdarty. Z jednej strony bardzo chciał się dowiedzieć czegoś więcej o nocnym napastniku, z drugiej martwił się o dziewczynę. Musiała marznąć, z pewnością też doskwierał jej głód. Ze swoją sparaliżowaną ręką nie była nawet w stanie rozniecić ognia.

— Przystań się wiercić, chłopcze. Strzeże jej runa przypomniawszy starzec. — A teraz...

Runa pomaga tylko znosić ból. Nie chroni przed nim — pomyślał z goryczą Jack, przypominając sobie ciosy, jakie otrzymał od Olafa Jednobrewego.

— Nadobna Płaczka zbudziła coś, co powinno nadal spać.

— Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta istota mogła usłyszeć mój dzwon z tak daleka ani dlaczego zdecydowała się pojawić akurat w tej chwili.

Ta istota? — powtórzył w myślach Jack. O czym on mówi?

— Głos dzwonu Amergina słychać we wszystkich światach. Pamiętaj też, że nikt go nie używał od bardzo dawna — zauważył bard. Postawił Płaczkę i rozległ się nikły brzęk. Wszyscy obecni skrzywili się. — Trzeba owinąć serce wełną.

— Ojciec Severus będzie musiał za to odpowiedzieć — powiedział ze smutkiem brat Aiden.

— Owszem, przede wszystkim powinien był zostawić dzwon na Wyspie Grima.

Wyspa Grima! Ciekawe, gdzie leży? — pomyślał Jack. Mnich westchnął i pogładził połyskującą złotem Nadobną Płaczkę.

— Sam opat nalegał na sprowadzenie dzwonu. Pamiętaj, że był własnością świętego Kolumbana.

— I to Kolumban go ukrył — przypomniał bard.

— A jednak Nadobna Płaczka to jedna z niewielu rzeczy, które ocalały po zagładzie Świętej Wypsy — zwrócił mu uwagę brat Aiden. — Kolejny dowód, iż jest to święty przedmiot. Któż mógł przypuszczać, że ta istota przebędzie za dzwonem tyle mil?

— Powiadają, że tego rodzaju stworzenia potrafią pływać przez podziemne skały — powiedział bard.

Jack nie był już w stanie się powstrzymać.

— O czym wy mówicie? Czym jest ta istota? Gdzie jest Wyspa Grima? Jak cokolwiek może pływać w skałach?

Spuścił wzrok i zalał się rumieńcem wstydu. Bard często napominał chłopaka, gdy ten domagał się szybkich odpowiedzi. Większość wiedzy wartej zdobycia wymaga czasu — tak powiadał starzec. Należało czekać i pozwolić, by odpowiedź odsoniła się sama. Zmuszanie świata do udzielenia przedwczesnej odpowiedzi było niczym zrywanie kwiatu jabłoni w nadziei, że będzie smakować jak dojrzały owoc.

— Jestem zaskoczony twoją cierpliwością — skwitował bard. — Widziałem, jak wzbierają w tobie pytania. Ale tym razem masz rację. Zbyt długo trzymaliśmy tę tajemnicę dla siebie, a teraz musimy działać szybko, żeby nie doszło do czegoś gorszego. — Starzec usiadł na skrzyni, w której przechowywał srebrny flet. — Ty pierwszy, Aidenie. To tobie powierzono tę opowieść.

— Musisz na początek zrozumieć, że ojciec Severus jest najmniej samolubnym człowiekiem na świecie — zaczął mnich. — Sam jeden dokonał wielu, wielu aktów miłosierdzia.

Jack przytaknął skinieniem. Ponurego kapłana pamiętał ze statku Olafa Jednobrewego. Duchowny bezustannie wygłaszał kazania na temat grzechu. Przypomniawszy też sobie klątwy, jakie rzucał na elfy (które uznały je za niezwykle zabawne). Opat okazał też jednak współczucie trójce uwięzionych dzieci. Bez niego dosięgłaby je śmierć.

— W innych okolicznościach ojciec Severus mógłby zostać wielkim królem — ciągnął Aiden. — Ludzie chcą mu być posłuszni i bez wahania wykonują jego polecenia.

Jack przypomniał sobie złych mnichów od świętego Filiana, kulących się przed obliczem ojca Severusa niczym smagane batem kundle. Mieszkańcy Bebbas Town natychmiast zgodzili się na jego przywództwo i usłuchali, gdy na ich władcę wyznaczył Brutusa. Bez pomocy kapłana Brutus nie osiągnąłby w życiu niczego, może poza zachowaniem urodziwego wyglądu.

— Nie zapomnij, że twój bohater ma też kilka ciemnych rozdziałów w swojej historii — wtrącił bard.

Brat Aiden uśmiechnął się przepraszająco i podjął opowieść.

— Wyspa Grima to zimne i paskudne miejsce. Leży tak daleko na północy, że zimą ledwie dosięgają jej promienie słońca. Latem albo spowijają ją mgły, albo szaleją na niej arktyczne burze. Według ojca Severusa była jednak rajem dla duszy. Zmęczyło go wygodne życie na Świętej Wyspie.

— Wydawało mi się, że mnisi ciężko tam pracowali — odezwał się Jack.

— Och, oczywiście. Kiedy nie oczyszczaliśmy pól z kamieni, naprawialiśmy dachy, łataliśmy płoty i pasaliśmy owce. Modliliśmy się siedem razy dziennie i dwakroć w środku nocy. Sypialiśmy na nagiej ziemi, a zimą medytowaliśmy pośród zamieci. Ale nieobce były nam też przyjemności. — Wzrok małego mnicha złagodniał, odmieniony miłym wspomnieniem. — Pamiętam śpiewy w kaplicy i piękny witraż. Wiele szczęśliwych godzin spędziłem w bibliotece, wytwarzając atrament — powstawały tam takie piękne kolory! Przygotowywałem złote arkusze, którymi ozdabialiśmy manuskrypty. A jedzenie! W niedziele gotowaliśmy kury, codziennie mieliśmy chleb i piwo. W imieniny jadaliśmy desery ze śmietany ubitej z winem i żółtkami, a co do budynku... — Brat Aiden zamknął oczy w ekstazie.

— Najlepszego, z gałką muszkatołową i śmietaną — mruknął Jack. — Wiem, ojciec mi opowiadał.

— Już rozumiem, dlaczego Severus zechciał się stamtąd wynieść — zauważył bard oschle.

— Cóż... Tak, to bardzo uduchowiony mąż — przyznał brat Aiden. — Wyspa Grima została stworzona właśnie dla takich herosów jak on. To najmniej gościnny kawałek skały na ziemi i nawet ojciec Severus był przerażony posępnością i surowością tego miejsca. Udał się tam w maleńkiej łódce, mając ze sobą tylko worek zboża i kilka narzędzi. Kamieni nadających się do budowy chaty musiał szukać po całej wyspie. Jedyne drzewa rosły tam na szczycie wznoszącej się w sercu wyspy

góry, dokąd nie był w stanie dotrzeć. Nocami ojciec Severus sypiał w jaskini, w której miejsca było tak niewiele, że ledwie mieściła się w niej lisia rodzina. Za dnia nieprzerwanie pracował, kopał grządki. Utrzymywał się przy życiu dzięki wodorostom i małżom. Pragnienie gasił zbieraną ze skał deszczówką. Zima nadeszła wcześniej. Do tej pory zjadł już wszystkie małże, a rośliny, które zasadził, zmarniały wskutek chłódów. Nie zdążył też ukończyć budowy chaty, więc wprowadził się na stałe do pieczary. Nie spodziewał się przeżyć. Słabszego człowieka to wszystko niechybnie by złamało, ale dla Severusa była to wspianiała szansa na to, by szybciej stanąć u bram Nieba.

— Pamiętam — powiedział Jack. — Mawiał, że ci, którzy długo żyją, mają więcej okazji do grzechu.

— Nigdy nie zrozumieć chrześcijan — zauważył bard, kręcąc głową.

— Jednego obowiązku ojciec Severus nie zaniedbał nigdy, bez względu na to, jak był chory — podjął brat Aiden. — Zawsze odmawiał modlitwy. Siedem razy dziennie, choć w panujących na wyspie ciemnościach ciężko było ustalić porę. Pomiedzy modłami dłuwał w piaskowcu, by powiększyć swą grootę. Pewnego dnia ostrze jego noża utknęło w skalnej szczelinie, a kiedy nim mocniej poruszył, kamień odpadł od ściany. Jego oczom ukazała się niewielka komora. Ojciec Severus poczuł coś wewnątrz, coś owiniętego wełną. Wydobył znalezisko i zaniósł je na plażę. Była to jedna z tych nieczęstych nocy, gdy chmury nie przesłaniają gwiazd i wszystko zalewa poświata księżyca w pełni. Wełniana tkanina okazała się doskonałej jakości, bielą i w świetle gwiazd widać było złote zdobienia. Ojciec Severus rozwinął zawiniątko i ujrzał...

— Nadobną Płaczkę — odgadł Jack.

— Właśnie. Dzwon spowity był szatą zbyt wspianiałą, by mogła należeć do prostego mnicha.

— Ten płaszcz był własnością Kolumbana, jeszcze w czasach gdy przewodził mojemu zakonowi — wyjaśnił bard. — Zostawił swoją magię w miejscu, w którym uznał, że nikomu nie zaszkodzi. Nie miał pojęcia o tym, że dzwon zostanie odnaleziony przez niewydarzonego idiotę.

— Ja bym to raczej nazwał błogosławioną niewiedzą — zaprotestował łagodnie brat Aiden. — Wszyscy niekiedy padamy jej ofiarą. Ale idźmy dalej. Ojciec Severus uderzył w dzwon. Jego głos potoczył się nad morzem, które natychmiast stało się gładkie jak szkło. Wicher umilkł, a na plaży zrobiło się ciepło jak latem. Słuchanie tego dźwięku było równie przyjemne jak ucztowanie. Tak powiedział mi ojciec Severus. Zniknął głód, zimno i lęk. Mimo osłabienia duchowny, przepełniony radością, modlił się tego dnia długo. W nocy spał jak dziecko. Kiedy się zbudził, przed wejściem do jaskini znalazł tłustego łososia, zaraz obok stosu wyrzuconego przez fale drewna.

— To było jego pierwsze spotkanie z syreną — powiedział bard.

Jack nadstawił uszu. Słyszał już niejasne plotki o skandalu, do jakiego doszło pomiędzy ojcem Severusem i syreną, ale nikt nie opowiedział mu szczegółów. Według Pegi zakonnik i syrena mieli romans. Dziewczyna podejrzewała, że gdzieś na plaży żyje teraz rodzina półmniców.

— O tej nędznej wersji wydarzeń możesz od razu zapomnieć — zapewnił bard, nieomylnie czytając z miny chłopaka. — Prawda jest o wiele bardziej przerażająca.

— Przez kilka następnych tygodni ojciec Severus po przebudzeniu znajdował przed swą pieczarą pożywienie i opał — ciągnął opowieść brat Aiden. — Odzyskał siły i wkrótce, stopniowo, wróciło też i słońce. Gdy wybrał się do miejsca, w którym budował chatę, ze zdumieniem stwierdził, że została ukończona. Nie przypominała jednak kształtem ula, lecz raczej długą spiralę podobną do skorupy morskiego ślimaka. Była za to duża i wygodna. Ojciec Severus założył, że zaopiekowały się nim anioły. Z wyrzucanego przez morze drewna zbudował ołtarz i podziękował Bogu za miłosierdzie. Potem wznosił niewielką dzwonicę. Kiedy uderzał w dzwon, słyszał w oddali niewyraźny głos, ale wciąż myślał, że to sprawka aniołów. Tak nastąpiła wiosna i czas siewu. Pewnego popołudnia, po wielu godzinach mozolnej pracy, zaczął się z wdzięcznością modlić. Zadzwoił. Jak zwykle Płaczce odpowiedziało wołanie z morza. Uderzył raz jeszcze i tuż za linią wodorostów, w miejscu, gdzie zaczynała się głębia, z fal wynurzyła się przedziwna istota. Słońce miała za plecami, więc nie mógł się jej dobrze przyjrzeć, ale kształtem zdecydowanie przypominała człowieka. Uniosła dłoń w geście pozdrowienia i prześlizgnęła się pomiędzy wodorostami, a gdy dotarła do plaży, wypelzła na piach niczym foka. Ojciec Severus cofnął się. To nie był anioł ani foka — stwór miał cerę białą jak u dziecka i długie, okalające głowę złote włosy. Tuż poniżej pasa skóra ustępowała srebrnym łuskom, a całe ciało kończyło się rybim ogonem. Wtedy ojciec Severus zrozumiał, że widzi syrenę. Istota podpełzła bliżej i w mgnieniu oka zrzuciła z siebie rybie łuski. Odrzuciła je tak, jak kobieta odrzuca spódnicę, i stanęła przed mnichem na zwykłych ludzkich nogach. Tyle że nogi te były cienkie i słabe, ponieważ nie nawykła do chodzenia.

„Troszczyłam się o ciebie przez długie miesiące — powiedziała. — Kocham cię. Pójdź ze mną do królestwa mojego ojca, gdzie weźmiemy ślub”.

„*Retro Satanas!* Przepadnij, Szatanie!” — zawołał ojciec Severus, czyniąc znak krzyża.

Zbliżyła się do niego, naga jak węgorz.

„Przyciągnął mnie dźwięk Nadobnej Płaczki, która porusza serca wszystkich istot. Ale kiedy ujrzałam cię leżącego bezradnie w jaskini, od razu zrozumiałam, że nasze losy są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Chodź ze mną. Pod falami czeka cię piękne królestwo i wszystkie jego rozkosze”.

„*Retro! Retro!*” — krzyczał ojciec Severus, próbując przepędzić syrenę.

Ścigała go, póki sił jej starczyło, ale miała wrażliwe stopy i nie była w stanie szybko biec. Ojciec Severus wspiał się na skały, gdzie nie mogła go dosięgnąć.

„Wróć — powiedziała wreszcie. — Minie siedem dni, a ja powrócę ósmego i zabiorę cię ze sobą, czy tego chcesz, czy nie.

Wślizgnęła się w swe łuski i szybko, jak wydra, zniknęła w odmętach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

DRAUGR

Przez otwarte drzwi rzymskiego domu wpadł do środka snop słonecznych promieni, który zbudził śpiącego w swej wnęce Wędrowca. Ptak zeskoczył z posłania na podłogę, rozpostarł na próbę skrzydła i boleśnie jęknął.

— Nie spodziewaj się, że wydobrzejesz w jeden dzień, przyjacielu — powiedział bard i otworzył worek z suszonymi rybami. Rzucił kilka na ziemię.

Wędrowiec, jednym okiem bacznie obserwując brata Aiden, podszedł do smakołyków i kłapnął dziobem.

Mnich otworzył usta ze zdumienia.

— Oswoić takie stworzenie to jest dopiero magia!

— Nie jest oswojony. Lepiej uważaj na oczy — przestrzegł bard. Zakonnik cofnął się, gdy albatros zamachnął się na niego potężnym dziobem. — Jack, zabierz naszego przyjaciela na spacer, zanim komuś stanie się krzywda. Ja z Aidenem przygotowujemy tymczasem śniadanie.

Chłopak westchnął w duchu, ale nie chciał narzekać. Starca nie należało popędzać, a brat Aiden mógł dokończyć opowieść w bardziej sprzyjającej chwili.

Jack poszedł z ptakiem nad urwisko. Wędrowiec prowadził, tęsknie wyciągając szyję ku jasnemu, niebieskiemu niebu. Po chwili usiedli na odpoczynek. Albatros gniewnie zaskrzeczał w kierunku stadka mew, które natychmiast umknęły z klifu.

— Przyjemnie, prawda? — odezwał się uprzejmie Jack. — Nie ma nic lepszego, niż nastraszyć kogoś z samego rana.

Wędrowiec odpowiedział stłumionym bulgotem. Chłopak poczuł dolatujący z oddali zapach owsianych placków.

— Chciałbym zobaczyć syrenę — przyznał — choć nie wiem, czy chciałbym się z nią ożenić. Gdybym się do niej wprowadził, pewnie bym utonął. Jak myślisz, w jaki sposób one oddychają pod wodą?

Wędrowiec wydał z siebie dźwięk przypominający jednocześnie krakanie i kocie mruczenie. Jack był niemal pewien, że właśnie usłyszał odpowiedź na swoje pytanie. Nagle ptak podskoczył i sfrunął z klifu. Prawie udało mu się utrzymać w powietrzu, ale chore skrzydło zawiodło i albatros spadł. Chłopak czym prędzej ześlizgnął się w dół po skałach. Pod urwiskiem znalazł Wędrowca kołyszącego się pijanym krokiem na piasku, skrzeczącego i kłapiącego dziobem.

— Ty idioto! — zawołał Jack. — Zepsujesz cały mój wysiłek!

I nagle ujrzał biegnącą ku nim Thorgil. Krakąła coś po ptasiemu, wypuściwszy z rąk swoje woreczki. Po chwili spotkała się z Wędrowcem i wraz z nim odtańczyła szaleńczy taniec radości.

— Och, Jack! W życiu nie zgadniesz, co się stało! — krzyknęła. — Skakki tu jest! Mój brat! Rzucił kotwicę w zatoczce, w której zostawiliśmy ciebie i Lucy. Obiecał, że zabierze nas do Bebbas Town.

— Mówisz, że w pobliżu naszej wioski zakotwiczył statek Ludzi Północy? — spytał brat Aiden. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Skakki złożył przysięgę, że nas nie złupi — odparła Thorgil beztrąsko. — Może gdzie indziej złapie kilku niewolników, ale ja nie widzę w tym niczego złego.

— Niczego złego? — jęknął Aiden. — Czy nie słyszysz płaczu dzieci wydartych z ramion rodziców? Czy masz serce z kamienia?

— Zwykle nie porywamy dzieci — odparła dziewczyna. — Nie są odpowiednio wytrzymałe, a poza tym ciężko takie bachory sprzedać.

— Przestań go drażnić — ostrzegł bard.

Thorgil uśmiechnęła się złośliwie i wyciągnęła z popiołów owsiany placek. Poczęstowała kawałkiem Wędrowca, który delikatnie chwycił smakołyk do dzioba. Nauczył się już, że gorące potrawy należy traktować ostrożnie.

— Czy wrócił z całą załogą? — spytał Jack, którego naraz ogarnęła wielka ochota na ponowne spotkanie z Ludźmi Północy.

— Większość wróciła — odparła Thorgil, uprzednio napchawszy sobie usta plackiem. — Jest Skakki i Runa, Sven Mściwy, Eryk Pięknolicy i Eryk Zapalczywy. Nowy jest Schlaup. Eryka Szerokie Bary pożarły trolle.

— O Boże! — rzucił brat Aiden.

— Mój przybrany ojciec Olaf Jednobrewy skosztował kiedyś kawałek trollowego mięsa. Mówił, że jest obrzydliwe.

— Thorgil! — zagrzmiął bard. — Uważaj, bo zmienię cię w ropuchę.

Dziewczyna roześmiała się i sięgnęła po kolejny placek. Jack był zachwycony, widząc ją tak szczęśliwą. Wydawało się, że zapomniała już o ich kłótni w leszczynowym zagajniku. Przywitała go bardzo ciepło. Okazało się, że, tak jak podejrzewał, po sprzeczce uciekła na plażę. Gdy już zaczęła iść na północ, nie było sensu zawracać. Fale przyniosły jej myślom ukojenie, a zapach morza poprawił nastrój. Po jakimś czasie ruszyła na przełaj w kierunku starej, rzymskiej drogi i dotarła do zatoczki.

— Skakki ani przez chwilę nie wierzył, że zginęłam — powiedziała Thorgil. — Jakiś czas temu, już w tym roku, wrócił na plażę, na której mnie zostawił, i znalazł runy wyryte przeze mnie w drzewie. Nie udało mu się jednak mnie odszukać samej, więc domyślił się, że poszłam gdzieś, gdzie ktoś zechciał mnie przygarnąć. Jest teraz o wiele wyższy. Dawniej wydawało mi się, że już osiągnął swój pełny wzrost, ale teraz jest prawie gigantem. Zupełnie jak Olaf. — Po twarzy dziewczyny przemknął cień smutku.

— A więc zaproponował, że zawiezie nas do Bebbas Town — podjął Jack, by skierować jej myśli ku czemuś innemu.

— Tak, kiedy tylko załatwi swoje sprawy na południu. Nie chcecie wiedzieć, co tam będzie robić. No dobrze, bracie Aidenie! Już nic nie mówię! — Thorgil skuliła się, widząc że bard uniósł łaskę.

Przygotowali drugie śniadanie, składające się ze świeżego chleba z wioski i pieczonej gęsi, którą Thorgil przyniosła ze statku swych pobratymców. Brat Aiden powtórzył dla niej opowieść o Nadobnej Płaczce.

— Kiedy byłam na plaży, słyszałam kobiecy szloch — powiedziała z namysłem dziewczyna. — Nie mogłam jednak nikogo znaleźć. A Skakkiemu wydawało się, że gdy rzucali kotwicę, widzieli draugra.

— Draugra? — zaciekawiał się Jack.

— Nieumarłego demona, wiesz. Obłożyliśmy obóz dokoła srebrnymi monetami, by nie miał do nas dostępu.

— Właśnie tego się obawiałem — przyznał bard. — Aidenie, opowiedz do końca historię Severusa. Musimy obmyślić jakiś plan.

— Przez siedem dni ojciec Severus na wszelkie sposoby starał się pozbyć syreny. Odprawiał egzorcyzmy, czynił znak krzyża i zaklinał ją, ale okazała się nieustępliwa. Ścigała go każdego popołudnia. Była też zdumiewająco silna. Podnosiła ciężkie głazy i ciskała nimi równie łatwo, jak wy rzucacie żwirem. Oczywiście nie próbowała go zabić, tylko strachem zmusić do uległości. Syrena potrafiła również rozkazywać falom. Przedostatniego popołudnia przyzwała falę tak potężną, że dosięgła ona skał, wśród których krył się ojciec Severus. Niemal zmyła go do morza. Mnich wiedział, że syrena planuje porwać go ostatniego dnia. Tej nocy więc spróbował wspiąć się na szczyt wznoszącej się w sercu wyspy góry. Prawie mu się udało, ale w pół drogi natknął się na wysokie urwisko, którego nie był w stanie pokonać. Zszedł więc nad morze, pograżył się w rozpacz i płakał, wspominając dzień, w którym opuścił Świętą Wyspę. I wtedy przysła mu do

głowy pewna myśl. Co by się stało, gdyby syrena zamieszkała razem z nim na wyspie? Oczywiście poślubić jej nie mógł. Co prawda niektórzy księża biorą sobie żony, ale Rzym krzywo na to patrzy. Nie dlatego jednak nie zdecydował się na małżeństwo, lecz po prostu dlatego, że syrena była potworem. Rzecz jasna, wyglądała jak człowiek, ale wewnątrz nie miała więcej duszy niż pierwszy z brzegu wół. Wół, ta myśl uczepiła się jego umysłu. Wiedział, że syrena jest niebywale silna. Dowodów widział aż nadto. Była przy tym zdolna — wystarczyło popatrzeć na zbudowaną przez nią chatę. Potrafiła łowić ryby i zbierać pływające w morzu drewno. Mogła też uprawiać rolę. Ostatniego dnia ojciec Severus rozpałił nad wodą wielkie ognisko. Uderzył w Nadobną Płaczkę, na której dźwięk syrena wynurzyła się spomiędzy fal. Szybko wyszła na brzeg i zrzuciła łuski na plaży.

„Piękny dzień na kąpiel” — zauważył ojciec Severus.

„Nie uciekasz” — powiedziała syrena.

„Po co miałbym to robić? I tak byś mnie schwyciła”.

„Wolałabym, żebyś poszedł ze mną z własnej woli — przyznała. — Małżeństwo, które rozpoczyna się przemocą, nie może być udane. — Wyciągnęła ramiona, by go objąć.

— Najpierw muszę jeszcze czegoś dopilnować — odpowiedział z uśmiechem ojciec Severus. Wyminął ją prędko, porwał z piachu porzucone przez syrenę łuski i cisnął je w ogień.

Syrena wrzasnęła. Przywołała fale, by zdławić płomienie, ale było już za późno. Rybi ogon zamienił się w popiół.

„Na wieki odebrałaś mi morze — zapłakała. — Okrutny, niewdzięczny człowieku! Jak mogłeś mi to zrobić po wszystkim, co dla ciebie uczyniłam? Nigdy nie przepłynę tych długich mil, które dzielą mnie od domu”.

„W takim razie będziesz musiała zamieszkać tutaj” — odparł ojciec Severus.

Mnich nauczył ją sadzić rośliny, kopać grządki i przynosić słodką wodę ze spływającego z góry strumienia. Zbudowała mur, który ochraniał uprawy przed północnym wichrem, mogącym roznieść ziemię po całej wyspie. Śpiewem nęciła łososie, które wpływały jej prosto w ręce. Ojciec Severus musiał ją także nauczyć gotowania, ponieważ syreny wszystko jedzą na surowo. Nocami sypiała nago na plaży. Po kilku miesiącach dłonie jej stwardniały, włosy posklejały się i zmatowiały. Mnichowi to nie przeszkadzało. Nikt nie oczekuje, że jego wół będzie piękną istotą.

— Na Thora, dobra opowieść — wtrąciła Thorgil. — Oszukał syrenę i zrobił z niej niewolnicę.

— Powinno ci być jej żal — zauważył brat Aiden.

— Dlaczego? Przecież rzucała w niego skałami!

— Thorgil ma rację — powiedział bard. — Występek Severusa nie polegał na tym, że ją uwięził, na co w pełni zasługiwała, ale na tym, że uznał, iż syrena nie ma duszy. Traktował ją tak, jak traktuje się krzesło albo kubek, jak narzędzie, które można wyrzucić, gdy się zepsuje. Mów dalej,

Aidenie.

— Ojciec Severus poczuł zadowolenie z życia — podjął mnich. — Teraz mógł medytować i modlić się, kiedy tylko chciał. Syrena nie męczyła go już rozmowami. Co więcej, prawie zupełnie przestała się odzywać. Ogród rozkwitł i mnich był w stanie zgromadzić jedzenie na zimę. Gdy nachodziła go ochota na mięso, wysyłał ją na ryby. Zawsze też miał dość drewna na opał. Syrena jednak nienawidziła ognia. Zimą czy latem kryła się w małej jaskini, bez skrawka ubrania czy choć szmaty, którą mogłyby się ogrzać. Ojciec Severus uznał, że stworzenie jest jak foka i nie czuje zimna, więc nie zaprzętał tym sobie myśli. Nie zauważył też zachodzącej w niej stopniowo zmiany. Pewnego dnia, ujrzał w oddali zmierzający ku Wyspie Grima statek. Był to opat ze Świętej Wyspy, który chciał sprawdzić, jak wiedzie się mnichowi.

„Jestem zachwycony, że widzę cię w dobrym zdrowiu — powiedział opat, schodząc na brzeg. — Dobry Boże! A cóż to?!” — zawołał, ujrzawszy chodzącą z kawałkami drewna syrenę.

„To morski stwór, którego przysposobiłem do pracy” — odpowiedział ojciec Severus.

„Ale to przecież kobieta! Na dodatek naga!”

„To nie jest człowiek — zauważył rozsądnie ojciec Severus. — Wielu mnichów żyje w towarzystwie krów i nikt nie mówi im złego słowa”.

„Tylko że to stworzenie ma ludzkie kształty — powiedział opat, mrużąc oczy, by lepiej przyjrzeć się syrenie. — Na błogosławioną świętą Brygidę, to najbrzydsza kobieta, jaką w życiu widziałem”.

Wtedy przyjrzał się jej również ojciec Severus. Syrena przeobrażała się tak powoli, że dotąd tego nie zauważył. Urosła, a paznokcie na jej rękach i nogach przemieniły się w szpony. Skórę miała twardą, zęby pożółkłe, włosy zaczęły jej wypadać, a resztką kosmyków wyglądała jak szczurze gniazdo. Jej ruchy, które na łądzie nigdy nie były zbyt wdzięczne, nie odróżniały się teraz niczym od kroków dzikiego zwierzęcia.

„Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, wyglądała znacznie lepiej” — przyznał ojciec Severus.

— Zawsze się tak dzieje z morskimi syrenami — wtrącił bard. — Kiedy samice są niedojrzałe, nikt nie może się równać z nimi pięknem. Jeśli uda im się poślubić człowieka, pozostają urodziwe przez całe swoje życie. Ale jeśli wezmą ślub z jednym ze swoich albo zostaną odtrącone przez człowieka, zmieniają się w swoją dorosłą formę. Morską wiedźmę.

— W morską wiedźmę — powtórzył urzeczoną opowieścią Jack. Mógłby z tej historii ułożyć wspaniały poemat, niemal równie dobry jak o Beowulfie czy o Olafie Jednobrewym, który uratował Ivara bez Kości przed trollami.

Thorgil także słuchała z błyszczącymi oczyma.

— Niestety — podjął brat Aiden. — Opat uznał, że dość już medytacji i modlitw na bezludnej wyspie. Oskarżył ojca Severusa o unikanie obowiązków wobec klasztoru i polecił mu natychmiast

wracać. Spakowali więc szatę świętego Kolumbana oraz Nadobną Płaczkę i odpłynęli. Syrena — teraz już morska wiedźma — wskoczyła do wody i spróbowała ruszyć za nimi. Żeglarze wiosłowali z całych sił. Wreszcie odsadzili wiedźmę i widzieli już tylko kołyszący się na falach kłęb brudnych włosów.

Wszyscy umilkli. Bard dorzucił dREW do ognia, a głęboko zamyślona Thorgil gładziła powoli skrzydła Wędrowca. Brat Aiden pochylił głowę. W końcu odezwał się Jack.

— To straszne, zostawili ją w morzu na pewną śmierć.

— Nigdy nie byłem tego pewien. Miałem nadzieję, że starczyło jej sił, by wrócić na Wyspę Grima — powiedział bard. — Wygląda jednak na to, że utonęła i stała się draugrem.

— Nieumarłym demonem — dodała Thorgil.

— A teraz trafiła do nas — stwierdził brat Aiden.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

SKARGA

Zgodnie z przewidywaniami barda, John Grotnik i jego myśliwi niczego nie wskórali. Draugr zniknął jak poranna mgła.

— Ona wciąż gdzieś tam jest — powiedział starzec, gdy Jack mieszał eliksiry na sprzedaż w Bebbas's Town. — Poradziłem wszystkim, by otoczyli domy i zagrody dla zwierząt gałęziami ostrokrzewu. Nie będzie chciała przechodzić przez jego kolce. Morska wiedźma, która straciła ogon, ma bardzo wrażliwe stopy.

Jack ustawił garnuszki rzędem. Były różnobarwne, co ułatwiało orientację w ich zawartości: mikstury z garnuszków czerwonych pomagały na febrę, z niebieskich — na problemy żołądkowe, w czarnych znajdował się „Specyfik Belzebuba przeciwko Muchom”.

— Draugry potrafią urosnąć po czterykroć w stosunku do swojego normalnego wzrostu — podjął bard. — Jeden wspiął się na dwór króla Ivara, kiedy tam mieszkałem, i niemal zniszczył cały budynek. Łomotał piętami o dach. Tego rodzaju wypadki często mają miejsce w krainie Ludzi Północy, zwłaszcza po pogrzebach. Nazywają to tańcem na domach.

— Tańcem na domach — powtórzył jak echo chłopak, starannie odmierzając kolejne szczypty sproszkowanego piołunu, które dodawał do eliksiru.

— W tamtym wypadku był to Ragnar Mokra Broda — imię to otrzymał dlatego, że bez umiaru pił piwo. Pewnej nocy wpadł do beczki i utonął. Dodaj do tej mikstury trochę miodu, dobrze? Piołun zostawia w ustach paskudny gorzki posmak.

— Dobrze — odpowiedział Jack.

— Ragnar był po prostu zagubioną duszą. Wyszedł z grobu i zobaczył, że jego przyjaciele urządzili stypę. Gdy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje, zaopatrzyliśmy jego grób w piwo. Związaliśmy mu też stopy, by nie mógł zbyt daleko zająć.

Jack włożył palec do ust i chwilę potem przypomniał sobie, że ma na nim pełno piołunu. Wybiegł na zewnątrz, by wypluć gorzkie ziele. Tańce na domach! To typowe dla Ludzi Północy, że nie przeszkadzają im draugry wybijające piętami dziury w dachach. Chłopak był ogromnie zadowolony, że nie zdarzyło się nic podobnego, kiedy sam przebywał w tamtej krainie.

Przemył usta i wypatrując Thorgil, przesłonił oczy dłonią. Dziewczyna zabrała Wędrowca na próbny lot. Albatros bardzo się do niej przywiązał i Jack zaczynał podejrzewać, że ptak wcale nie chce odlatywać. Thorgil nauczyła też chłopaka kolejnych słów ptasiej mowy, ale on zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie się nią posługiwać tak płynnie jak ona. Niemniej wiedział już, jak

powiedzieć: „Chodź tu" albo „Przestań", a także zapytać: „Czy jesteś głodny?" To ostatnie było najbardziej przydatne, ponieważ Wędrowiec chciał jeść przez cały czas.

Gdzieś dalej na południu Skakki i jego załoga załatwiali — jak to ujęła Thorgil — swoje sprawy. Zapewne plądrowali i palili wioski. Jack nie miał pojęcia, jak zdoła spojrzeć im w twarz, wiedząc, jakiego zła się dopuścili. Wrócił do domu.

Bard zakręcał buteleczki z eliksirami.

— Obrzydliwa rzecz ten piołun — zauważył starzec. — Osobiście nie sądzę, żeby w ogóle działał, ale ludzie ufają w moc gorzkich lekarstw.

— Dlaczego Ragnar Mokra Broda pozostał na świecie? — spytał Jack. — Wydawało mi się, że wojownicy odchodzą do Valhalli.

— Tylko ci, który polegą podczas bitwy.

Bard włożył buteleczki z piołunem do koszyka, który mieli zabrać na okręt Skakkiego. Jack stwierdził w duchu, że jeśli kogoś nie bolał żołądek przed zażyciem eliksiru, to z pewnością nabawi się tej przypadłości potem.

— Biedny Ragnar przegapił okazję — ciągnął bard. — Tłukł się po świecie przez kilka miesięcy, jęczał i dobijał się do drzwi domów. Ze związanymi nogami nie mógł jednak ujść daleko. Wreszcie odszedł do nieba Frei albo... jeśli wziąć pod uwagę, że utonął... trafił do podmorskiego pałacu Ran i Aegira.

— Nie wydaje się, żeby był zły — zauważył chłopak.

Zużyli już praktycznie wszystkie zebrane przez niego zioła. Pod ścianą stało w szeregu dziesięć garnuszków, ale kolejna dziesiątka wciąż była pusta. Oznaczało to, że czeka go jeszcze jedna wycieczka do leszczynowego zagajnika, czyli coś, czego wolałby uniknąć.

— Kto? Ragnar? Był łagodny jak mały kociak, z wyjątkiem chwil, kiedy wpadał w szał bitewny. Nasz draugr stanowi jednak inny problem. Po pierwsze, jest morską wiedźmą, a te zawsze są niebezpieczne. Po drugie, trawi ją prawdziwy żal.

— Ale przecież nie zrobiliśmy jej niczego złego — powiedział Jack.

— Nadobna Płaczka przywołała ją zza grobu. Wiedźma nie spocznie teraz, póki się nie zemści, a my jesteśmy dla niej najłatwiejszą zdobyczą. — Bard usiadł i gestem wskazał chłopakowi drugi stołek. Przez kilka chwil milczał, gładząc brodę i przyglądając się wymalowanym na ścianach rzymskim ptakom. — Nie możemy kupić zboża w Bebbas Town, dopóki nie zwiozą tam jesiennych zbiorów. Zresztą Skakkiego i tak jeszcze nie ma. Planowałem odciągnąć draugra, gdy wyruszymy, ale ochrona potrzebna jest wiosce już teraz.

Jackowi nie podobał się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Do tej pory miał nadzieję, że bard przegna demona za pomocą jakiegoś zaklęcia. Dlaczego chciał draugra tylko odciągnąć?

— Tym światem rządzą prawa, których nie jestem w stanie nagiąć — wyjaśnił starzec,

odgadując znaczenie spojrzenia chłopaka. — Nie mogę się posłużyć magią, ponieważ ta morska wiedźma cierpi naprawdę. Ma prawo szukać sprawiedliwości. I dlatego razem ze mną udasz się dziś nocą do leszczynowego zagajnika. Spróbujemy z nią porozmawiać.

— My obaj? — Jack był tak zaskoczony, że prawie krzyknął.

— Na brwi Odyna! Chyba nie myślałeś, że praca barda polega jedynie na śpiewaniu kupletów i zbieraniu leśnych kwiatków? — Oczy barda załśniły z oburzenia.

Chłopak poczuł, że zalewa go rumieniec wstydu. Ale nocna wyprawa do zagajnika? Jeśli jeszcze raz usłyszysz to wycie, ucieknie szybciej niż oparzona kotka.

— Mierzyłeś się ze smokiem i półtrollką Frith — przypomniał mu starzec. — Złamałeś zaklęcie, które oddało Din Guardi we władzę Nieżycia. Nie myśl, że jesteś do niczego, chłopcze. Zanim wstanie jutrzejszy ranek, będziesz się śmiać ze wszystkich morskich wiedźm świata.

Jeśli dożyję, pomyślał Jack ze smutkiem.

Po chwili wróciła Thorgil z Wędrowcem. Skrzeczeniu i składanym samemu sobie gratulacjom nie było końca. Albatros wypłoszył z ukrycia młodego warchlaka i Thorgil upolowała go na obiad.

— Trzymaj to mocno — przestrzegł bard, gdy szli przez tonące w mroku pola. — Nie chcemy spotkać draugra w tym miejscu. W leszczynowym zagajniku będę mógł czerpać siłę z wielu różnych źródeł.

Jack przytulił owinięty szmatą dzwon mocniej do piersi. Kształt Płaczki nie czynił jej poręczną. To czyste szaleństwo, przemknęło mu przez myśl. Gdyby to zależało od niego, zatopiłby dzwon w najgłębszym miejscu oceanu. Bard jednak stwierdził, że na to jest już za późno.

Spod stóp chłopaka wystrzeliła czajka. Jack odskoczył do tyłu. Dzwon wydał z siebie nikły brzęk, przypominający dźwięk muszli uderzającej o kamień.

— Ostrożnie! — Starzec odwrócił się na pięcie i położył dłoń na zawiniątku. — Nawet najcichszy dźwięk odbija się echem po wszystkich dziewięciu światach.

Przyspieszyli. Ziemia była bardzo wilgotna. Napotykali strumyki w miejscach, w których Jack wcale się ich nie spodziewał. Przemokły mu buty. Na domiar złego swędziało go na samym środku pleców i marzył o tym, żeby się podrapać.

Księżyc był nieco większy niż ostatnio. Srebrne półkole lśniło ponad odległym dębowym lasem, zalewając poświatą szczeliny między drzewami, w tym drogę, którą wyrąbał w lesie Odyn ze swoimi myśliwymi. W leszczynowym zagajniku jednak nie było widać żadnych luk, choć chłopak wiedział, że jest tam kilka niewielkich polanek. Żałował, że nie wzięli ze sobą Thorgil. Ona na pewno nie skakałaby ze strachu na widok byle ptaszyny. Poza tym — i Jack przyznawał to z

niechęcią — przy niej on sam też by raczej nie uciekał.

Bard jednak powiedział, że to zadanie wymaga ostrożności i należy wykonać je delikatnie. Nie mogli sobie pozwolić na porażkę wskutek jakiegoś pochopnego wybryku dziewczyny.

Wkrótce leszczynowy zagajnik zamajaczył tuż przed nimi. Zatrzymali się na linii jego cienia, wciąż zalani blaskiem księżyca.

— Czy nie powinniśmy byli zabrać pochodni... ? — zaczął Jack.

Bard uciszył go gestem.

— Patrz i ucz się. Być może pewnego dnia będziesz musiał zrobić to sam. A teraz skup umysł na życiu tego lasu. Są ścieżki, których w świetle dnia nie można zobaczyć.

Świetnie, pomyślał chłopak. Zapewne spotkam na nich hordę ogrów, które akurat wybrały się na przechadzkę. Mam nadzieję, że lubią jeść draugry.

Odetchnął głęboko. Powietrze pod drzewami pachniało wilgotną ziemią i niewidocznymi kwiatami. Poszukał siły życiowej i odnalazł ją bez trudu. Cały zagajnik wydawał się przepełniony niepokojem. Jack wyczuł samicę zającą, która ostrożnie wychynęła z norki, i nagle sam znalazł się w tej norze, gdzie kuliły się do siebie cztery małe kopie zajęczy.

Było mu tak ciepło i wygodnie, że niemal zamarudził. Prawie czuł, jak drgają drobniutkie pazurki, jak mały pyszczek otwiera się do ziewnięcia.

— Nie pozwalaj sobie na wchodzenie w ciało zwierzęcia. — Głos barda dobiegł jakby z wielkiej odległości. — To niebezpieczna sztuczka i nie jesteś jeszcze na to gotowy.

Jack wycofał się. A więc to właśnie było to! Od zawsze zazdrościł starcowi jego umiejętności latania z jastrzębiami i biegania wśród jeleni. Sam próbował tego kilkukrotnie, ale zawsze bez powodzenia, dziś w nocy jednak wyszło mu to zupełnie naturalnie. Możliwe, że dzięki mocy leszczynowego zagajnika.

Wyczuł jeża wężącego wśród korzeni drzewa. Nagle zwierzątko pisnęło i zwinęło się w koleczką.

— Słyszałeś to? — spytał szeptem bard. — Zwierzęta wiedzą, że w ich lesie pojawiło się coś niebezpiecznego.

Jack znowu odnalazł matkę zajęczej rodziny. Kuliła się w kępie traw na polanie. Chciała uciekać, ale jeszcze bardziej pragnęła wracać do swoich młodych. Spojrzała w górę i ujrzała parę wielkich, gorejących niebieskich oczu.

— Aaa! — krzyknął Jack, uciekając z ciała zwierzęcia. Stał obok starca, tak mocno przyciskając dzwon do piersi, że był pewien, iż zrobi sobie siniaka.

— Następnym razem, kiedy będę chciał się dokąś zakraść po cichu, przypomnij mi, żebym zostawił cię w domu — rzucił bard.

— Zobaczyłem... o-oczy — wyjąkał Jack. — Lśniły. — Naraz przypomniał sobie opowieść

brata Aiden. — A niech mnie, to była tylko owca.

— Widzę, że Aiden opowiedział ci swoją historię — zauważył starzec. — Owszem, na łące zobaczyłeś owcę, ale zająca przestraszyło to, co znajdowało się tuż za nią. — Nagle doleciało ich paniczne beczenie i szelest tratowanych krzaków. Hałasy stopniowo ucichły w oddali. — Wygląda na to, że owce draugra nie interesują — dodał bard.

— Czy mógłbym może odłożyć dzwon i wziąć do ręki nóż? — spytał chłopak, nie mogąc zapanować nad drzeniem głosu.

— Za chwilę. Poza tym twój nożyk nie wyrze na draugrze najmniejszego wrażenia. Równie dobrze mógłbyś próbować zranić skałę. — Starzec przez chwilę czujnie nasłuchiwał. — To niezwykle intrygujące.

— C-co takiego? — spytał Jack.

— Otworzyła się ścieżka i pojawili się na niej niebywale ciekawi goście. Nie możemy dopuścić, by spotkali się z morską wiedźmą. Chłopcze, odwiń dzwon i uderz.

— Co?

— Prędko. Musimy ściągnąć draugra na siebie.

Chłopak niemal upuścił dzwon, próbując wydostać go ze spowijających szmat. Wiedział, że musi być posłuszny, i starał się nie myśleć o tym, co miało się za chwilę stać. Zakołysał Nadobną Płaczką. Serce odbiło się od ścian dzwonu i złota nuta popłynęła po zagajniku, odpędzając strach i przepelniając serce Jacka zachwytem. Nigdy nie słyszał równie subtelnej i delikatnej muzyki.

Miał wrażenie, że na powrót przeżywa wszystkie najszcześniejsze chwile życia; tę, kiedy przyglądał się ojcu budującemu dom i słyszał głos śpiewającej pszczołom matki. I tę, gdy bard zaproponował, że zacznie go uczyć, i jeszcze tę, kiedy Thorgil, Pega i on przytulili się do siebie pod ponurymi murami Din Guardi. Ale przyszło również do niego wspomnienie dziadka siedzącego przy jego łóżku, gdy miał gorączkę, i jabłkowego ciastka, które upiekła dlań córka Johna Grotnika, kiedy wpadł do stawu. Teraz ci ludzie już nie żyli, lecz powrócili do niego niesieni pięknym dźwiękiem dzwonu.

Jack upuścił Płaczkę na ziemię. Ku swemu zdumieniu zauważył, że twarz ma mokrą od łez.

— Dlatego właśnie nazywają ten dzwon Nadobną Płaczką — powiedział cicho bard. — Ale teraz słuchaj. Musisz zachować czujność. Ona już tu idzie.

Usłyszeli szloch. Brzmiał jak głos płaczącej kobiety, której serce miało za chwilę pęknąć. W miarę jak zawodzenie się zbliżało, robiło się coraz chłodniej. Nad ziemią snuła się mgła. Otoczyła ich woń bezimiennych gnijących rzeczy. Jack dobył noża.

Bard uniósł laskę. Stał na skraju lasu w blasku księżyca.

— Rozkazuję ci, na korzeń, na skałę i na morze! — zawołał.

Pod drzewami zmaterializowało się coś ciemnego.

— Kto mnie wzywa? — rozległ się głos, pobrzmiwający splekanymi kamieniami, zupełnie wyzbyty życia.

— Jestem dziedzicem Amergina — odparł bard. Jack z podziwem spojrział na starca. — Przybyłem, by wysłuchać twojej skargi.

— Kochałam głęboko, gorzki był mój los — powiedział draugr. — Morze wyrzuciło moje kości przed dom ojca, który, pogrążony w wielkiej żałobie, złożył mnie do grobu. Nie zamknął go jednak, gdyż wiedział, że nie zaznam spoczynku. Póki sprawiedliwości nie stanie się zadość, nie mogę urodzić się na nowo.

— To zrozumiałe — przytaknął bard — ale nie możesz tak po prostu zabijać innych istot. Przez to jeszcze mocniej zakorzeniasz się w swym obecnym życiu.

Mgła zgęstniała. Jej nici dotknęły nóg Jacka, który odruchowo sięgnął do szyi. Niestety, ochronna runa już na niej nie wisiała.

— Nie wierzę ci — zazgrzytał draugr.

— Mówię prawdę — powiedział starzec. — Każde morderstwo jest powodem do skargi przeciwko tobie. Już teraz straciłaś prawo, jakie miałaś do życia ojca Severusa... I nie chcę słyszeć sprzeciwu! — krzyknął, widząc, że dokoła robi się coraz ciemniej, a gałęzie zaczynają uginać się z trzaskiem.

— Kim jesteś, by stawać mi na drodze? Zemszczę się, jeśli tego zechcę.

Drzewa jęknęły, jakby ktoś je rozdzierał. Niebo nad zagajnikiem zupełnie poczerniało.

— Jestem posłańcem siły życia samego! Jestem przeciwnikiem Nieżycia! Jeśli chcesz kiedykolwiek powrócić wraz ze słońcem, musisz mnie posłuchać!

Mgła uniosła się gwałtownie i sięgnęła piersi Jacka. Zacisnęła się tak, że ciężko było mu złapać dech.

Starzec uniósł laskę.

— Nie zmuszaj mnie, bym nagiął twą wolę przemocą!

Las wypełniło wycie równie przerażające jak to, które Jack słyszał zeszłej nocy. Z leszczynowego zagajnika wypadł jelen. Przez pola pomknęły borsuki, lisy, wilk i trzy postacie wyglądające niemal na ludzkie. Jack też chciał uciekać, ale nie mógł porzucić barda.

Starzec uniósł ramiona i jego ciało spowiły błyskawice. Urósł, stając się w mgnieniu oka równie wielki jak majacząca pod drzewami ciemność. Nie sposób już było stwierdzić, które z nich wygląda bardziej przerażająco. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Ziemia zadrżała, powietrze przeszył dreszcz. I wtedy wycie ustało. Mgła wyparowała, a ciemność skurczyła się do rozmiarów kobiety.

Świetne zakłęcie — przemknęło przez głowę Jackowi, który ledwie zauważył, że padł na kolana. Bard odzyskał swój zwykły wzrost, ale na jego szacie nadal migotały światełka.

— Tak lepiej — powiedział. — Za kilka tygodni udam się na północ, na spotkanie z Severusem.

Sprawiedliwość wymaga, by zapłacił za swój postępek, ale forma jego kary wciąż nie jest dla mnie jasna. Wszystko wydarzy się tak, jak ma się wydarzyć.

— Czekałam tak długo — odpowiedział mu głos, w którym nie było już śmierci, tylko słowa młodej, pełnej żalu kobiety. — Tak bardzo go kochałam.

— Musisz być cierpliwa, moje dziecko. I nie zabijaj. Czekaj pod wędrującymi chmurami, póki cię nie przywołam. Przysięgam na rady dziewięciu światów, że ułożę cię bezpiecznie na spoczynek.

W leszczynowym zagajniku rozległo się westchnienie przypominające szum fali wycofującej się z brzegu. Ciemność zniknęła, a oczom Jacka ukazała się najzwyczajniejsza płatanina drzew i krzewów. W niewidocznym strumieniu zakumkała żaba. Bard opuścił ręce i cicho stęknął z wysiłku.

— W tej chwili oddałbym wszystko za kubek gorącego cydru — mruknął i oparł się ciężko na lasce.

— To było cudowne! — zawołał Jack i ruszył, żeby podtrzymać starca.

— Prawda? Dzięki bogom i boginiom, którzy mnie wysłuchują, wciąż jeszcze co nieco potrafię — przyznał bard. — Sam dam radę iść, chłopcze. Ty zabierz dzwon i zaklinam cię, nie pozwól mu zadzwieć. Przyjaciele, możecie już wyjść! — zawołał w kierunku ciemniejących wokół pól.

Jack zobaczył, jak w oddali pojawiają się dwa niewyraźne kształty.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

HOBGOBLINY

Do stu przegniłych grzybów! — zawołał jeden z kształtów. — Z kim ty się zadajesz, Smoczy Języku? Już myślałem, że przysłała mnie pożreć Wielka Dżdżownica z Dziewięciorgiem swoich Młodych!

Na polu pojawiła się ni stąd, ni zowąd istota o dużych, lśniących w blasku księżyca oczach i szerokich, pozbawionych warg ustach.

— Nemezis? — upewnił się Jack, nie dowierzając własnym oczom.

— A kimże innym miałbym być? — warknął hobgoblin. — Z pewnością nie Jego Królewską Głupkowatością. „Odwiedzmy wioskę Jacka”, powiedział. „Sprawdźmy, czy słodka Pega zmieniła już zdanie co do ożenku”. Idiota! Dlaczego taka czarująca dziewczyna miałaby zechcieć takiego prostaka jak on?

Jack roześmiał się wbrew sobie. Nemezis wciąż miotał obelgi, a po chwili pojawił się też Bugabu, brudny i ociekający szlamem.

— W czasie sztormu każdy port jest dobry, co? — rzucił wesoło król hobgoblinów. — Gdy tylko usłyszałem to wycie, ukryłem się w najbliższej dziurze. Trochę szkoda, że była pełna błota!

— W drodze do domu będziesz mógł się wykąpać w strumieniu — powiedział bard.

— Niezmiernie się cieszę z ponownego spotkania — zwrócił się Bugabu do starca. — Ciebie też miło widzieć, Jack. To prawdziwa przyjemność. Powiedz mi, czy Pega wciąż jest taka śliczna jak dawniej? A może za mną tęskni?

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. Pega codziennie dziękowała Bogu, że nie poślubiła króla hobgoblinów i nie musiała zamieszkać w ponurej, zarośniętej grzybami jaskini.

— Jestem pewien, że na twój widok padnie trupem z wrażenia. — Nemezis wyszczerzył się w uśmiechu.

— Chciałbym, żeby nie zobaczyło was zbyt wielu ludzi — zasugerował bard. — Mieszkańcy wioski mogliby omyłkowo wziąć was za demony, a nie chcecie chyba, żeby rzucili się na was z grabiami i kamieniami.

— Wszędzie nas tak witają. Widać taka tradycja — westchnął Bugabu. — Cóż to za okropny wrzask słyszeliśmy w lesie?

— Tego rodzaju historie lepiej opowiadać za dnia. — Starzec oparł się na lasce i do Jacka dotarło, że jest on całkowicie wyczerpany.

— Powinniśmy już wracać do domu — zauważył chłopak. — Jestem pewien, że dla dwóch

starych przyjaciół znajdzie się jakieś miejsce.

— Nie tylko dwóch — sprostował Bugabu. — Blewit, możesz wyjść. Jest najzupełniej bezpiecznie.

Zza krzaka wychynał chudy hobgoblin zmagający się z jakimś zawiniątkiem. Jack ze zdumieniem rozpoznał pociągłą, posępną twarz pana Blewita. Zawiniątko wysunęło mu się z rąk i upadło na ziemię.

To była Hazel. Zaginiona siostra Jacka. Dziewczynka podskoczyła na trawie zupełnie tak, jak mógłby to uczynić młody hobgoblin.

— Och, jak świetnie! Ziemiści! — pisnęła.

Jack chwycił ją w ramiona i chciał zatoczyć z nią koło, ale okazało się, że Hazel waży dwa razy tyle co zwykle dziecko, i prędko odstawił małą na ziemię.

— Ja tu jestem i pilnuję, żebyś nie ukradł mi dziecka — zagrzmiął pan Blewit. — Pamiętaj, że przyszedliśmy do was tylko z wizytą. Nie przyzwyczajaj się do niej za bardzo.

Przyzwyczać się? Jack nie był pewien, czy coś takiego jest w ogóle możliwe. Kochał ją, rzecz jasna. Była przecież jego siostrą. Jako dziecko została jednak porwana przez hobgoblina. Kiedy odnalazł ją w Krainie Srebrnych Jabłek, Hazel nie miała nawet pojęcia, że jest człowiekiem. Zgodnie z obyczajem hobgoblinów zachowywała się jak żaba, mrugała oczyma nie naraz, tylko najpierw jednym, potem drugim. Próbowwała chwycić językiem fruujące ćmy. A nawet skrzeczała w chwilach radości, zupełnie jak mała ropucha.

— Przestań gderać, Blewit — zarządził Nemezis. — Gdybyśmy chcieli czekać, aż dasz spokój z tym swoim wiecznym jęczeniem, zapuścilibyśmy tu korzenie. Ja zaniosę Smoczego Języka.

Na szczęście, zwykle gburowaty Nemezis także dostrzegł zmęczenie starca. Hobgoblin dźwignął barda równie łatwo, jak dorosły mężczyzna podnosi młodego kotka. Sposób podrózowania nie był może zbyt godny, ale niesiony jak dziecko przez matkę bard nie narzekał. Jack poprowadził i cały pochód ruszył w kierunku starego, rzymskiego domu.

— Pamiętam to miejsce — oznajmił Bugabu, gdy dotarli na szczyt urwiska. — Budynek nie jest już nowy, ale człowiek, który go zbudował, był doskonałym architektem.

— Wiesz, kto wznosił ten dom? — zaciekawił się Jack, który przypomniał sobie, że żyjąc w Krainie Srebrnych Jabłek, hobgoblina nie starzeją się wcale, chyba że wkraczają do Midgardu. Bugabu mógł więc być naprawdę wiekowy.

— Widziałem tego człowieka — przyznał król hobgoblinów. — Był poetą wygnanym z Rzymu za układanie nieprzyzwoitych wierszy na temat cesarza. Ściany pomalował w stylu przypominającym rzymski ogród, żeby rozweselić żonę. A tam, nieco dalej, na części klifu, która potem osunęła się w morze, stała jego łaźnia.

— Miał też dwójkę bachorów, które z upodobaniem ciskały we mnie kamieniami, kiedy

zaskakiwałem je w lesie — powiedział z łobuzerskim uśmiechem Nemezis.

Jack poczuł chłód, choć nie tak dojmujący ani złowieszczy jak ten, który zalał go w obecności draugra. Przywodził raczej na myśl przemijające ukłucie smutku, ulotne wspomnienie ukochanego domu zaginionego w rzece czasu.

Nemezis odstawił barda na ziemię. Starzec roztarł nogi i przyjrzał mu się uważnie.

— Dziękuję, stary przyjacielu — powiedział. — Magia mężczy mnie teraz bardziej niż za młodu.

— Bzdury niewarte funta kłaków — rzucił szorstko hobgoblin. — Walka z potworami wyczerpuje zawsze i każdego, bez względu na wiek.

Jack ze zdumieniem zauważył, jak taktownie zachował się Nemezis.

Wtem przemknęła między nimi Hazel.

— Tata! To ta brzydka ziemista! — wołała. — A gdzie ta ładniutka?!

— Zabiję cię, jeśli dotkniesz tych koszy — dobiegł z wnętrza głos Thorgil.

Hazel zaśmiała się niczym hobgoblin, dźwiękiem, który przypominał głos człowieka dławiącego się chrząstką z kurzej łapki.

Dobry Boże, pomyślał chłopak. Co sobie o niej pomyślą rodzice?

Pan Blewit wparował do środka i chwycił dziewczynkę, zanim zdołała napytać sobie biedy.

Jack popadł w jeszcze większą konsternację, gdy zauważył, że Thorgil była na polowaniu, a powróciwszy z łupem, przyrządziła potrawkę. Zwykle unikała tego typu obowiązków, choć dziś najwyraźniej dobry humor zachęcił ją do gotowania. Nie mogła strzelać z łuku, ale wciąż doskonale radziła sobie z włócznią i procą. Jej umiejętności kulinarne natomiast ograniczały się do podstaw i często zostawiała w potrawach kłębki zwierzęcej sierści. Jack zobaczył w garnku coś, co kiedyś mogło być wiewiórką.

— Ciekawy zapach — zauważył Bugabu, szeroko rozwierając nozdrza. — Może przydałoby się jeszcze kilka grzybków...

— Cały ty, krytykujesz kucharkę, jeszcze zanim się z nią odpowiednio przywitasz — rzucił Nemezis. — Przepraszam cię, Thorgil, za mojego gburowatego towarzysza, a także za tak niespodziewane najście... Na wielkie muchomory!

Hobgoblin ledwie zdołał uskoczyć przed dziobem szarżującego Wędrowca. Jack zdążył już zapomnieć, jak zręczne potrafią być te stworzenia. Nemezis zawisł na suficie, którego uczepił się lepkimi palcami rąk i nóg.

Thorgil zaśmiała się wesoło. Powiedziała do albatrosa kilka słów w ptasiej mowie i ptak powoli wycofał się do swej wnęki.

— Witam was — zwróciła się do nowo przybyłych. — Wędrowiec nigdy wcześniej nie widział nikogo podobnego.

— Ja z kolei nigdy nie widziałem nikogo takiego jak on. — Nemezis zeskoczył na ziemię. —

Czy to trollowa mewa czy co?

— Albatros. Ptak z dalekiego południa. Wędrowiec powiada, że żyją ich tam tysiące.

— I miejmy nadzieję, że tam zostaną — mruknął Nemezis.

— Witaj, szlachetna wojowniczo — odezwał się z głębokim ukłonem Bugabu. — Widzieć cię to wielka przyjemność.

Usiedli przy ogniu z miskami potrawki, która wcale nie okazała się tak okropna, jak obawiał się Jack. Hobgobliny były koszmarnie żarłoczne. Na szczęście, mieli dużo chleba. Hazel błyskawicznie pochłonęła swoją porcję i poprosiła o dokładkę. Kiedy skończyli, bard opowiedział im o planowanej wyprawie handlowej do Bebbas Town.

— Nie macie jedzenia na zimę! Trzeba było nam powiedzieć! — zawołał Bugabu. — Nemezis i ja pójdziemy na ryby. Nie ma lepszej przynęty od stóp hobgoblina. — Wyciągnął nogę i kuszająco pomachał na wszystkie strony długimi paluchami.

Hazel z radością klasnęła w dłonie.

Bard drgnął i ocknął się z drzemki.

— Na gwiazdy, zaraz spadnę ze stołka. Wybaczcie mi, przyjaciele, ale już się położę.

Hobgobliny przeprosiły, że zatrzymały go tak długo, a Jack odprowadził starca do łóżka po drugiej strony domu.

— Zajmij się ich noclegiem, chłopcze — poprosił bard. — W magazynku powinno być dość słomy.

Jack przesunął kosze i skrzynie pod ścianę. Nemezis i pan Blewit pomogli mu przygotować posłania, a kiedy skończyli, cała podłoga, od ściany do ściany, usłana była hobgoblinami i ludźmi.

Pan Blewit przykrył Hazel swoim płaszczem z pstrokatej wełny. Opatulił ją tak, że widać było tylko czubek małej, okrągłej główki. Cała reszta zniknęła. Zamyślony hobgoblin pogładził włosy dziewczynki, która cicho zaskrzeczała.

Jack poczuł pustkę w sercu. Blewitowie bardzo kochali Hazel. Za nic by jej nie oddali. Ale prawdziwi rodzice także chcieli ją mieć i na pewno na to zasługiwali. Wydawało się, że ten problem nie ma żadnego dobrego rozwiązania.

Nadobną Płaczkę ukrył w jednym z kufrów barda. Kiedy uporał się i z tym, poczuł, że sam także pada z nóg. Z rozkoszą umościł się na posłaniu ze słomy i orlicy.

— Co zrobiliście z draugrem? Opowiedz mi — szepnęła Thorgil, klękając obok na podłodze.

Jack wsłuchał się w nocny wiatr igrający ze strzechą na dachu i przyjrzał się majaczącym na przeciwległej ścianie ceniom.

— Nie dzisiaj — odpowiedział, przypominając sobie zimną mgłę napierającą na jego pierś. — Bard powiedział, że takie historie należy opowiadać za dnia — dodał. — Myślę, że wie dlaczego.

Nemezis z krzykiem zerwał się z posłania.

— Ten potwór chciał zjeść moje palce! — wrzasnął, dysząc z wściekłości. Wędrowiec podniósł oczy i refleksyjnie kłapnął dziobem.

— Czy już jest rano? — mruknęła Thorgil, zagrzebując się głębiej w słomę.

— Twój zwierzak próbował mnie zamordować i tylko tyle masz mi do powiedzenia? — grzmiał oburzony Nemezis.

Jack poderwał się rażno i otworzył drzwi. Słońce znajdowało się tuż za krawędzią morza, a pochwycone przez świt strzępy chmur barwiły się różowo.

— Chodź — odezwał się po ptasiemu.

Albatros nie zwrócił na niego uwagi.

— Musisz najpierw pochwalić jego skrzydła — wymamrotała Thorgil.

Gdy Jack powtórzył zaproszenie jak należy, wielki ptak niechętnie zostawił w spokoju stopy hobgoblina i wyszedł za chłopakiem na zewnątrz.

— Jego palce przypominają ci dżdżownice, prawda? — odezwał się Jack, prowadząc Wędrowca nad wodę.

Usiadł na piasku, ciesząc się świeżym powietrzem, tak różnym od panującego w domu zaduchu. Hobgobliny zawsze pachniały grzybami.

— Co z tobą zrobimy, kiedy wybierzemy się na północ? — spytał Jack.

Wędrowiec rozpostarł skrzydła i wystawił je na wiatr. Jedno z nich opadło. Na próbę nabrał rozpędu na piasku, lecz niezgrabnie się przewrócił.

— Nie załamuj się. — Jack spróbował podtrzymać ptaka na duchu. — Wciąż jeszcze musisz się leczyć. A jeśli przyjdzie co do czego, myślę, że moglibyśmy zabrać cię ze sobą. Choć na twoim miejscu zanadto bym Ludziom Północy nie ufał. Gotowi jeszcze pomyśleć, że jesteś morską kurą.

Wędrowiec odkrył kałużę morskiej wody pełną wyrzuconych przez fale krabów i zajął się ich wybieraniem. Jack także poczuł zapach jedzenia i ruszył ścieżką na górę. Z tyłu doleciał go grzechot kamyków. Wędrowiec biegł za nim co sił w nogach.

— Przecież bym cię nie zostawił — zapewnił wzruszony chłopak. Poglądził pióra albatrosa, który odwdzieczył się zadowolonym, cichym gwizdnięciem. — Szkoda, że nie znam lepiej ptasiej mowy. Thorgil uczy się jej ot tak, naturalnie, a ja muszę się mocno przykładać. Nieważne, kiedyś przecież nauczyłem się rozmawiać z wielką pajęczycą, a od tego chyba nic nie może być trudniejsze.

Podtrzymał tę jednostronną rozmowę, nie mając pewności, czy Wędrowiec rozumie choć jedno jego słowo. Bard jednak mówił, że na zwierzęta działa bardziej melodia głosu niż treść. A

albatros wydawał się wielce zainteresowany brzmieniem słów Jacka.

— Trzymaj tego behemota z dala ode mnie! — rzucił Nemezis, gdy tylko weszli do domu.

— No co ty, jednym palcem mógłbyś go poczęstować — zauważył Bugabu. — Przecież i tak ci odrośnie.

Jack odprowadził ptaka na posłanie i dołączył do siedzących przy palenisku. Bard zdążył już opowiedzieć historię draugra, pomijając tylko najmniej przyjemne fragmenty, ponieważ słuchała go także Hazel.

— Podczas swoich wędrówek też natknęliśmy się na parę draugrów — powiedział Nemezis. — Na przykład na Zielonozębą Jenny. Nie chcielibyście jej znaleźć w pobliżu swojego łóżka. Pamiętasz może tę noc, kiedy rozbiliśmy obóz na Dworze Zjaw?

— O rany! — Bugabu, poruszony wspomnieniem, wybałuszył szeroko oczy. — Kiedy ją zobaczyliśmy, wialiśmy tak, że nawet jelen by nas nie dogonił. Ale nie zagłębiajmy się w stare historie. Drogi Smoczy Języku, czy myślisz, że odciążenie morskiej wiedźmy od wioski jest bezpieczne? Mając do czynienia z czymś takim jak ona, trzeba myśleć o kilka skoków naprzód.

— Oczywiście, że to niebezpieczne — przyznał bard, roztrzając laską dogasające w palenisku węgle. Jacka od dawna już dziwiło, że laska nigdy nie zajmuje się ogniem, bez względu na to, gdzie wkłada ją starzec. — Ale nie mogę wiedźmy tu zostawić. Zostałaby na stałe, tak jak Jenny na Dworze Zjaw. Jenny została skrzywdzona tak dawno temu, że sama już nie pamiętała, na czym polega jej nieszczęście. Jeśli złe uczynki nie zostaną naprawione na czas, draugr nie może odejść.

— Ale nie można też przeżyć całego życia z draugrem za plecami.

— Nie — przyznał bard z namysłem, bawiąc się z płomieniem. — Wszystko zależy od tego, co los zgotuje Severusowi. Musimy pamiętać, że nie jest on złym człowiekiem, jedynie zatwardziałym, ograniczonym idiotą. Wiem, że dręczy go poczucie winy.

— Tylko co komu z tego? — zauważył Nemezis.

— Kary nie uniknie, ale spodziewam się, że przyjmie ona kształt jakiejś pokuty. A wątpię, czy draugra zadowoli cokolwiek łagodniejszego niż śmierć mnicha.

— Co się stanie, jeśli wiedźma nie będzie zadowolona? — spytał Nemezis.

Starzec zapatrzył się w dal, sięgając wzrokiem poprzez ścianę ku jakiemuś miejscu, którego istnienia Jack mógł się tylko domyślać.

— Wtedy... jak sądzę... będę musiał pomyśleć nad innym rozwiązaniem.

Przez cały ten czas Wędrowiec rozmawiał sam ze sobą. Jack zauważył, że albatros lubi przyłączać się do rozmów. Zapewne przypominały mu gwar panujący wśród gniazdujących stad pobratymców. Ptak cmokał, pogwizdywał, kłapał dziobem i jęczał jak ktoś, kto głośno wypowiada swoje zdanie. Hazel zaczynała się niecierpliwić. Nieodparcie ciągnęło ją do niebezpiecznego ptaka i już parę razy próbowała szarpnąć go za lotki. Teraz także ześlizgnęła się Blewitowi z kolan i rzuciła

pędem do wnęki. Hobgoblin złapał ją w ostatniej chwili.

— Chodźmy na plażę, moja droga. Zobaczymy, czy twój stary tata da radę złapać rybkę — szepnął.

Dziewczynka z zadowoleniem skinęła głową i naśladując ruch jego długich palców u stóp, zamachała swoimi krótkimi. Gdy wyszli, Jackowi ulżyło.

— Przepraszam, że się wtrącam — odezwał się, korzystając z chwili, kiedy Blewita nie było w pobliżu — ale muszę zapytać, czy Hazel zostanie tu na stałe.

— Nie! — zawołał Nemezis, zanim bard zdołał cokolwiek powiedzieć.

— Ma rację. Jej stratę Blewitowie mogliby przyłacić życiem — dodał Bugabu. — Każdy też chyba widzi, że i samej Hazel wyrządzono by wówczas niepowetowaną krzywdę.

Jack pochylił głowę. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

— Wiem, że to my jesteśmy odpowiedzialni za całą tę sytuację — podjął król hobgoblinów. — Zrobię wszystko co w mej mocy, by ją rozwikłać. Będziemy was odwiedzać każdego roku i damy Hazel szansę na poznanie jej ludzkiej rodziny.

— Ale dlaczego nie możecie zostać na stałe? — spytał Jack.

Bugabu i Nemezis wymienili spojrzenia. Wyraźnie nie paliło im się do odpowiedzi.

— Dlatego, że wieśniacy omyłkowo braliby ich za demony — odezwał się bard. — To oczywiście głupota. Nie ma istot bardziej życzliwych niż hobgobliny, ale stare przesady ciężko wypełnić. Nie moglibyśmy nawet nikomu powiedzieć, gdzie się Hazel wychowała. Nie przystosowałyby się.

— Jest jeszcze... no wiesz co... — dodał niechętnie Bugabu.

— Co takiego? — rzucił Jack.

— Problem... fatalnego uziemienia — szepnął król hobgoblinów, jakby ujawniał jakąś wstydliwą tajemnicę.

Jack spojrzał na barda, szukając wyjaśnienia.

— Hobgobliny nieodparcie ciągnie do ludzi... czy, jak oni nas nazywają, do ziemistych — powiedział starzec. — Zakochują się w nas od pierwszego wejrzenia. Sam widziałeś, jak naśladują nasze domostwa i ubrania. Problem polega na tym, że jeśli zostaną wśród nas zbyt długo, nie są potem w stanie wrócić do domu. To coś jak nałóg, podobnie jak cechująca Ludzi Półmocy żądza mocnych napojów.

— W wielu chrześcijańskich domach mieszka w ukryciu jakiś hobgoblin — powiedział ze smutkiem Bugabu. — Zazwyczaj taki rezydent dogląda rodziny i w tajemnicy wykonuje niewielkie prace, na przykład czyści palenisko czy kołysze dziecko do snu. Niestety, taki hobgoblin stopniowo usycha z samotności. Nikt go nie docenia i nie chwali, mimo że za ludzi oddałby życie. A jeśli domownicy go odkryją, natychmiast obrzucają kamieniami.

— A więc na tym polega fatalne uziemienie — mruknął Jack.

— Proszę! Nie wypowiadaj tych słów w dobrym towarzystwie — mruknął Nemezis.

— A teraz nadszedł czas, żebym przedstawił dziecko jego prawdziwym rodzicom — oznajmił bard. Następnie wstał z miejsca i strzepnął z płaszcza kilka płatków popiołu. — Pójdą ze mną Jack i Thorgil. Wy, hobgobliny, możecie tu zostać, jeśli chcecie.

— Blewit w życiu nie zgodzi się puścić córeczki samopas — zauważył Bugabu. — Będzie nalegał, żebyśmy za wami poszli, a my oczywiście musimy go wesprzeć. Ale nie obawiajcie się. Jeśli tylko zechcemy, nie zobaczy nas żaden człowiek.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

HAZEL WRACA DO DOMU

Hobgobliny ukryły się sprytnie przed pracującymi na polach rolnikami i przed Johnem Grotnikiem, wciąż polującym na draugra, który zabił jego kury. Nie zobaczyła ich też ani jedna z kobiet zmierzających do domu piekarza, skąd bił ciepły zapach chleba. Plamiastych, przemykających z cienia w cień postaci nie wypatrzył żaden z chłopców bawiących się w „byka w stodole”. Oczywiście działa się tak za sprawą pstrokatych wełnianych płaszczy, ale nawet bez tej pomocy hobgobliny ze zdumiewającą łatwością były w stanie zlać się z otoczeniem. Jack dostrzegał je tylko dlatego, że wiedział, czego szuka.

Wszyscy za to zauważyli Hazel. Jej nie można nie zauważyć — pomyślał sfrustrowany chłopak. Dziewczynka nadymała policzki i uśmiechając się, szeroko poruszała wargami. Dla niej była to wspaniała przygoda. Nigdy się nie spodziewała, że ujrzy naraz tak wielu ziemistych, i wydawało jej się, że i oni cieszą się na jej widok. Patrząc na nią, mieszkańcy wioski unosili brwi i układali usta na kształt litery „O”, zupełnie jak to czyniły zadowolone hobgobliny.

— Co to za dziewczuszka? — zaciekawiała się chłopka, gdy zobaczyła Hazel próbującą złowić motyla językiem.

— Krewna Jacka, z dalekiej północy — odpowiedział beznamiętnie bard. — Wnuczka brata jego ciotecznej babki. Nie wydaje ci się, że wygląda jak skóra zdjęta z Gilesa Kuternogi?

— No... tak — odpowiedziała kobieta, starając się pojąć stopień pokrewieństwa.

— Będziemy musieli ją nauczyć dobrych manier — syknął Jack, kiedy znów zostali sami. Hazel skakała po drodze jak żaba. Wychodziło jej to znakomicie. Miała mocne i wytrenowane nogi. — Przecież wszyscy pomyślą, że zwariowała.

— Nie zgadzam się — odezwała się nieoczekiwanie Thorgil. — Pomyślą raczej, że się po prostu bawi. Wcale nie zachowuje się inaczej niż szczenię uczące się korzystać ze swych łap.

— Bardzo mądre spostrzeżenie, wojowniczo — pochwalił bard.

Hobgobliny były niewidzialne dla ludzi. Zwierzęta jednak widziały je bardzo dobrze. Stado owiec pierchło im z drogi przy wtórze hałaśliwego beczenia. Czarny kot wyprężył grzbiet i fuknął, gdy zauważył uśmiech Nemezisa. Kurczaki zbiegły w panice na widok pociągłej, smutnej twarzy pana Blewita, która nagle wychynęła spomiędzy liści agrestu.

Znaleźli się na ścieżce prowadzącej na farmę Jacka i chłopak, zupełnie nieświadomie, zwolnił kroku. Zbliżała się chwila, której bardzo się obawiał, i zaczął żałować, że nie mogą wrócić do domu barda i lepiej przygotować się do spotkania, nauczyć Hazel, by bardziej przypominała...

Lucy.

Przez te wszystkie lata bez Hazel jego rodzice otaczali Lucy wielką miłością. Była jak promyk światła tańczący na powierzchni stawu, była radością oczu ojca od pierwszej chwili, w której ją ujrzał. Miała włosy złote jak chmury o zachodzie słońca i oczy błękitne jak niezapominajki. Na jej widok ludziom zapierało dech w piersi, nigdy w wiosce nie było piękniejszego dziecka. Jak przysadzista, prostacka Hazel mogła zająć jej miejsce?

Ze stodoły, z naręczem siana, wyszła Pega. Hazel natychmiast do niej doskoczyła.

— Ładna pani! — pisnęła, po czym wpadła na dziewczynę, rozrzucając siano na cztery strony świata.

— Jak to... to... to... skąd się tu wzięłaś? — jęknęła Pega, próbując zebrać myśli. Zamachała rękoma ku pozostałym.

— Tata mnie przyprowadził! — zawołała dziewczynka. — Proszę, powiedz, że zostaniesz naszą królową! Bugabu jest strasznie smutny.

— Święci niebiescy. To i on tu jest? — rzuciła Pega, rozglądając się dokoła. Chciała odejść, ale Hazel otoczyła jej nogi mocnymi ramionami.

— Hobgobliny obiecały nie rzucać się w oczy — wyjaśnił rozbawiony bard. — Rozumiem, że Giles i Alditha są w domu? Świetnie. Jack, zmaz z twarzy tę ponurą minę i weź siostrę.

Jack oderwał rękę Hazel od łydki Pegi i spróbował odciągnąć dziewczynkę, lecz ta z całej siły chwyciła się spódnicy Pegi.

— Nie jesteś najsłabszym dzieckiem na świecie, prawda? — zauważyła Pega, posłusznie idąc za Hazel, by nie stracić odzienia.

— Zaczekam w stodole — rzuciła Thorgil wyniośle. — Przysięgałam, że moja noga już nigdy w tym domu nie postanie.

Jack nawet nie próbował się spierać. Miał na głowie stanowczo zbyt wiele innych problemów.

Wszyscy przebywali w zalanym słońcem ogródku z ziołami. Matka siedziała przy krośnie, a pani Tanner skręcała pasemka wełny w przędzę. Jej córki przesiewały zboże, strząsając ziarna do koszy, by sprawdzić, które z nich są ciężkie i będą mogły wykiełkować. Ojciec zajęty był naprawianiem wiadra na mleko.

Matka uniosła rękę do ust i podniosła się gwałtownie, przewracając krosna.

— Och, Giles, Giles! Spójrz!

Ojciec odwrócił się i przez chwilę wyglądał jak rażony gromem. Wyciągnął rękę i cofnął ją prędko, jakby dotknął rozżarzonego węgla.

— Na wszystkie świętości, ona wygląda jak mój ojciec — szepnął.

Hazel wypuściła z rąk spódnice Pegi. Szeroko wybałuszyła oczy.

— Wykapany ty, Giles — powiedziała matka.

Jack zdał sobie sprawę, że ojciec nie ma pojęcia, jak sam wygląda. Nigdy nie przejrzał się w lustrze wodza, które było jedynym zwierciadłem w wiosce. Nie przypatrywał się też własnym odbiciom w kałużach. Powiadał często, że taki nawyk jest przejawem grzesznej próżności. A Hazel rzeczywiście wyglądała dokładnie jak on. Miała identyczne szare oczy i brązowe włosy, była tak samo przysadzista, a na jej twarzy dawało się dostrzec ojcowskie zacięcie.

— No, Hazel, jak myślisz? — spytał bard. — Spodobałaś się im?

Hazel przytuliła się do Pegi.

— Jak na ziemistych są w porządku — powiedziała.

Matka podniosła oczy w wyrazie zdziwienia.

— Tak właśnie jej przybrani rodzice nazywają ludzi z tej części świata — wyjaśnił bard. Jack zauważył, że nie użył słowa „hobgoblin”.

— Czyli ona jest... tym, kim myślę, że jest — powiedział ojciec.

Starzec przytaknął skinieniem.

— Moje drogie dziecko. — Matka wyciągnęła ramiona. — Tak bardzo się cieszę, że wróciłaś do domu.

Dziewczynka cofnęła się przed nią.

— To nie jest mój dom, a ty nie jesteś moją mamusią! — zawołała. — Mamusia jest ładna, a ty jesteś starą, ziemistą kobietą. Tata mówi, że chcesz mnie ukraść, a on nigdy na to nie pozwoli!

Zachłysnęła się i zaskrzeczała tak, jak to czynią przestraszone małe hobgobliny.

— Hej! — krzyknęła Pega i karcąco zdzieliła Hazel po głowie. — Jak możesz mówić tak okropne rzeczy! Powinnaś się cieszyć, że masz więcej niż jedną mamę. Ja nie miałam żadnej, a przynajmniej jej nie pamiętam. Pewnie sprzedała mnie za bochenek chleba.

Hazel podniosła oczy i zamrugała na przemian powiekami. Jeszcze nigdy nie widziała Pegi tak rozzłoszczonej.

— Uważaj, co powiem, nieznośny bachorze. Masz dwie matki i dwóch ojców. Za takie szczęście powinnaś Bogu na klęczkach dziękować. A teraz maszeruj i przeproś tę miłą panią.

Hazel pociągnęła nosem i wytarła go w spódnice Pegi.

— Naprawdę? Można mieć aż tylu rodziców?

— Oczywiście, że tak, ty głupku.

Mała dziewczynka zwróciła się ku matce. Wciąż trzymała się Pegi, ale przestała już płakać. Dygnęła jak hobgoblin, co wyglądało trochę jak ruch przykucającej na liściu lilii wodnej żaby.

— Przepraszam, miła pani.

Jack spojrzął ponad ramieniem Hazel na Pegę, a kiedy ta skinęła głową, ukląkł obok dziewczynki i pogładził jej sprężyste włosy.

— Obawiam się, że brata masz tylko jednego, ale on kocha cię za dwóch. Witaj w domu,

siostrzyczko.

Obrzuciła go od stóp do głów poważnym spojrzeniem. Jack zastanowił się przez chwilę i postanowił zaryzykować.

— Dawno temu poprosiłem, żebyś przyjrzała się moim rękóm, pamiętasz?

— Może — skrzywiła się Hazel.

— Powiedziałem wtedy, że nasze dłonie mają podobny kształt. Nasze palce nie są długie i lepkie jak... te inne. To dowodzi, że twoje miejsce jest przy mnie. Zastanawiałaś się nad tym?

Dziewczynka zwiesiła głowę.

— Kiedy sobie poszedłeś, spjrzałam w wiadro z wodą. I zobaczyłam.. . zobaczyłam... — Wargą jej zadrżała i wydawało się, że znowu się rozplacze.

— Już dobrze — powiedział cicho chłopak. — Jeśli to cię smuci, nie musimy o tym rozmawiać.

— Zobaczyłam jego! — Hazel wystrzeliła palcem w kierunku Gilesa Kuternogi. — Widziałam swoją twarz i wyglądała jak jego. I wtedy zrozumiałam, że jestem najbrzydszym małym hobgoblinem, jaki się kiedykolwiek urodził! — Zawyla i skryła buzię w spódnicy Pegi.

— No tak, łatwe to nie będzie — westchnął bard.

Gdy nadszedł wieczór, Jack był już zupełnie wyczerpany. Bard i Thorgil wrócili do domu. Pega, w nadziei uniknięcia kolejnych oświadczeń Bugabu, poszła przenocować u brata Aideny. Chłopak został sam i w pojedynkę musiał bronić siostry przed poważniejszymi kłopotami.

Bard ostrzegł Hazel, by nie wspominała o swojej przeszłości, ale córki pani Tanner zdążyły już zwaćać, że dzieje się coś niezwykłego.

— Czym są małe hobgobliny? — spytały przy pierwszej nadarzącej się okazji.

— Piktowie nazywają w ten sposób dzieci — odpowiedział pospiesznie Jack.

Przygotowali oficjalną wersję, według której Hazel została porwana przez piktyjskich kupców i wychowana na dalekiej północy. Chłopak bał się, że dziewczynka wypapla prawdę, ale okazała się bardziej dojrzała, niż się spodziewał. Hazel tylko wyglądała na pięciolatkę. W rzeczywistości miała już osiem lat. Mimo że Blewitowie często zabierali ją do Midgardu, w Krainie Srebrnych Jabłek nie starzała się ani trochę.

— I to dlatego jest taka malutka? Bo żyła wśród Piktów? — dociekała Ymma, starsza córka pani Tanner. Ta z brudnymi jasnymi warkoczami i chuda jak gronostaj.

— Mama mówi, że urodziła się w tym samym roku co ja — dodała Ythla, młodsza z dziewczynek. — To znaczy, że ma już osiem lat, a wciąż takie z niej chuchro. — Ythla wyglądała jak lisek. Miała ostry nos i rude włosy.

— Piktowie są niscy, bo jedzą niewiele i tylko małe rzeczy — zaimprovizował naprędce Jack. — Karłowatą kapustę, karłowate jabłka i kury wielkości wróbli. Nic więcej w ich kraju nie ma. — Poczul, że od wszystkich tych kłamstw zaczyna go boleć głowa.

— To znaczy, że giganci jadają gigantyczną kapustę? — zainteresowała się Ymma.

— Gog i Magog też musieli taką jadać — zachichotała Ythla. — Byli ogromni. I głupi. Cieszę się, że zostali porwani przez Dzikie Łowy.

— Nieładnie tak mówić — powiedział Jack. — Gog i Magog prawdopodobnie nie żyją.

Dziewczynki zareagowały na to śmiechem.

Matka i ojciec starali się być mili, ale nie bardzo wiedzieli, jak traktować swoją dziwną córkę. Hazel była bardzo żywym dzieckiem i zachowywała się dość niecodziennie. Wszystkie małe hobgobliny, ponieważ nigdy nie rodziło się ich wiele, były niebywale rozpuszczone. Wciąż domagały się uwagi. Podczas posiłków dostawały najlepsze kąski i zwykły obrażać wszystkich, którzy się im sprzeciwiali. Jack musiał bezustannie powtarzać: „Proszę, Hazel. Nie rób tak, Hazel. To nieuprzejme, Hazel”. Miał wrażenie, że niedługo oszaleje.

Giles Kuternoga podniósł rękę, żeby skarcić dziewczynkę, tak samo jak karcił niekiedy małego Jacka, i zamarł.

— Zasłużyłem na to — mruknął do siebie. — To moja wina. Zgrzeszyłem dumą.

Chłopak wiedział, że ojciec przypomniał sobie, jak przywiódł do domu Lucy, dlatego że była piękna, i jak ukrył przed rodziną fakt, że podmienił na nią Hazel.

Matka próbowała łagodnie napominać: „Nie, Hazel, nie możesz zmieścić do buzi całego jabłka naraz” — i dziewczynka przestawała robić to, co akurat robiła. Chwilę potem zapomniała jednak o nowych zakazach. Zwyczaje hobgoblinów nie były łatwe do wyplenienia.

— Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! — mruzczała Hazel po kolacji.

— Nie mam więcej — odparła matka.

— Nie obchodzi mnie to! Daj jeszcze! — wrzeszczała dziewczynka, aż Jack musiał chwycić ją za rękę i wyprowadzić z domu.

— Nie możesz krzyżeć na mamę — skarcił ją, gdy znaleźli się w pogrążonym w ciemności ogrodzie. — To ją rani i jest przejawem braku szacunku. Rozumiesz? — Hazel spróbowała się wyrwać, ale chłopak, choć z trudem, zdołał ją przytrzymać. Dziewczynka była bardzo silna. — Do swojej drugiej mamusi tak nie mówisz — dodał.

— Mówię! Ciągle! — odparła Hazel.

Jack westchnął.

— Cóż, tutaj nie powinnaś i nie możesz tak się zachowywać. I tak nie mamy zbyt wiele jedzenia. Dzikie Łowy zniszczyły większość naszych plonów.

— Co to są Dzikie Łowy? — zacięła się Hazel.

— Odyn i jego myśliwi przejechali w chmurach nad wioską i wyrąbali w lesie nową drogę. Jutro ci pokażę.

Opowiedział siostrze całą historię, tak jak zrobiłby to bard. Najpierw opisał ciemniejące niebo i złowieszczą ciszę. Kiedy dotarł do fragmentu o porwanej przez wiatr owcy, Hazel uwiesiła się na nim lękliwie, jakby i ją mógł zabrać wichur. Chłopak cieszył się z wrażenia, jakie wywarła jego opowieść. Zakończył ją podniosłym akcentem, oznajmiając, że wszyscy zdołali się uratować. Hazel usnęła oparta o jego pierś. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zanieśie ją do domu.

— Przecież to jakiś koszmar — burknął Blewit, wyskakując zza krzewu dzikiej róży. — Takie historie nie nadają się dla młodych i delikatnych dzieci hobgoblinów. Nie zdziwię się, jeśli zaraz obudzi się z krzykiem.

— Ona wcale nie jest delikatna, a opowieść bardzo jej się podobała — odparł Jack.

— Ona jest moim maleńkim kaczeńcem, bardzo delikatnym — powiedział czule stwór i dotknął tłustej rączki Hazel.

Dziewczynka nawet nie drgnęła. Jak większość młodych hobgoblinów była przyzwyczajona spać w towarzystwie, gdzie w każdej chwili ktoś mógł ją obudzić i zacząć podziwiać.

— Słyszałem, jak błagała o jedzenie — rzucił oskarżycielsko Blewit. — Każecie jej głodować.

— Wcale nie — zaprzeczył Jack.

— Kłamca.

— Uspokój się, Blewit — powiedział Bugabu, który wraz z Nemezisem wychynął nagle z ciemności. — Wszyscy wiemy, że Hazel potrafi zjeść tyle co Wielka Dżdżownica i jej Dziewięcioro Młodych.

Blewit burknął coś pod nosem, ale nie sprzeciwił się swemu królowi.

Usiedli razem pod prawie idealnie okrągłym księżycem. Przez ogród poniósł się zapach zgniecionej mięty. W gałęziach drzewa zaśpiewał słowik. Wioska wydawała się w tej chwili bardzo spokojnym miejscem. Rzeczywiście, kiedyś taka była — pomyślał Jack. Znow zateęsknił za dawnymi czasami. Pory roku następowały wtedy po sobie we właściwym, niezmiennym rytmie — orka, siew, żniwa i przerwa na zimę. Żadnych niespodzianek.

Zanim pojawił się bard, wszystko było przewidywalne.

To właśnie po przybyciu starca świat się ocknął i zauważył małą, senną wioskę leżącą na brzegu Morza Północnego. Najpierw zza morza przyleciała Zmora. Jack wciąż drżał, gdy wspominał kolczaste nogi jeźdźca ściskające końskie boki, z których skapywała biała, gęsta krew. Potem niewiele brakowało, a wioskę odkryliby Ludzie Północy. Zamiast wioski znaleźli wówczas Jacka i Lucy i uprowadzili dzieci w niewolę.

W tym roku, w ciągu zaledwie kilku dni, wioskę odwiedziły Dzikie Łowy, w leszczyńowym zagajniku zamieszkał draugr, a teraz w ogrodzie Jacka obozowała grupka hobgoblinów. Westchnął

cicho. Wiedział, że jest uczniem barda i że — tak jak powiadał starzec — zajęcie to nie polega tylko na śpiewie i zrywaniu dzikich kwiatków. To właśnie bardowie powinni się zajmować tym wszystkim, co rodzi się nocą.

— Muszę już iść — odezwał się chłopak — ale nie wiem, czy uda mi się unieść Hazel.

— Słabeusz! — prychnął pan Blewit. Bez trudu podniósł małą dziewczynkę i zaniósł ją do drzwi. Pstrokaty płaszcz hobgoblina zamigotał w mroku niczym tańczące na wietrze cienie drzew.

Jack nagle przypomniał sobie o celu podróży Bugabu.

— Oświadczyłeś się znowu Pedze? — spytał.

— Nie chcę o tym rozmawiać! — zawołał Bugabu, po czym zarzucił sobie płaszcz na głowę i zniknął chłopakowi z oczu.

— To miało znaczyć, że tak, oświadczył się, i że usłyszał „nie” — wyjaśnił Nemezis.

Po chwili wszystkie trzy stworzenia powiedziały Jackowi dobranoc i rozpląnęły się w mroku.

Jack zaciągnął Hazel do środka i ułożył ją wygodnie na posłaniu z wrzosu i słomy. Nie rzucała się i wbrew przepowiedni Blewita nie obudziła się w nocy z krzykiem. Spała mocnym snem młodego hobgoblina, a to oznacza sen naprawdę głęboki. Dopiero o świcie Jack usłyszał, jak zaczęła szeptać przez sen: „Jeść, jeść, jeść”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CÓRKI PANITANNER

Przez kilka następnych tygodni Jack, gdy nie przebywał z bardem, starał się zaprowadzić w domu ład i porządek. Pega wróciła i okazała się wielce pomocna, ale nawet ona zaczynała tracić cierpliwość. Hazel raz po raz, zupełnie bez powodu, wpadała w szał. Ojciec większość czasu spędzał w polu albo na popijaniu piwa z kowalem. Matka nieustannie wszystkim się martwiła. Na szczęście przynajmniej Thorgil trzymała się z daleka. Chłopak nie miał pojęcia, co by począł, gdyby i ona dołączyła do tej wybuchowej mieszanki.

— To wszystko przez te bachory pani Tanner — stwierdził Blewit na jednym z nocnych spotkań Jacka z hobgoblinami. — Postanowiły wprowadzić się na stałe do domu i próbują teraz przegnać stamtąd Pegę i Hazel.

— Jesteś tego pewien? — spytał chłopak.

Wiedział, że Blewit ma zwyczaj narzekać nawet na to, że słońce wschodzi i przeszkadza mu spać. Blewit, jak wszystkie hobgobliny, najlepiej czuł się pod ziemią.

— Ma rację — podjął Bugabu. — Słyszeliśmy wiele ich rozmów. — Zastrzygł uszami, by zademonstrować, jak dobry słuch mają istoty jego gatunku. — Wobec drogiej Pegi zachowują się niewybaczalnie okrutnie. Byłem już na skraju Podjęcia Pewnych Kroków, ale bard powiedział, że najpierw ty musiałbyś się na to zgodzić.

Jack zastanowił się, na czym polega owo Podjęcie Pewnych Kroków. Hobgobliny, kiedy czuły się zagrożone, były zdolne mierzyć się nawet ze smokami.

— Nie zauważyłem, by Ymma i Ythla robiły cokolwiek złego — powiedział.

— Na zaropiałe żuki! Pierwszą rzeczą, której nauczył cię Smoczy Język, było obserwowanie świata i wtapianie się w tło! — wybuchnął Blewit. — Ale ty wolisz szpiegować zwierzęta, choć we własnym domu masz ludzi, którym należałoby się lepiej przyjrzeć!

Jackowi po prostu nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby wykorzystać wobec ludzi umiejętności, które pozwalały mu badać życie zwierząt. Bard nazywał to ukrywaniem się w sile życiowej. Tym sposobem można było stać się częścią krajobrazu. Czymś nie bardziej zauważalnym niż drzewo czy skała. Jack był w tym tak dobry, że nawet myszy przysiadły na jego stopach, by rozłupać znalezione nasionka, a ptaki lądowały mu na ramionach.

— Chyba mógłbym spróbować — powiedział łamiącym się głosem. Pomyślał, że w stosowaniu tej sztuczki na ludziach jest coś podłego.

— Zrób coś. I to szybko — rzucił Blewit. — Moja Hazel jest przez te dziewczuchy nieszczęśliwa,

a ja nie zamierzam dłużej się temu beczynnie przyglądać.

Tak więc Jack zaczął obserwować wszystko, co działo się w domu. Gdy stawał przy ścianie, sam stawał się ścianą. Kiedy chował się w cieniu, sam stawał się cieniem. Był zaskoczony, jak skuteczne okazało się zaklęcie. Nawet matka, której magia nie była przecież obca, ani razu go nie dostrzegła.

Ymma i Ythla przez większość czasu wydawały się skore do pomocy, a mimo to nigdy niczego nie robiły. Jack zauważył, że swoje obowiązki wypełniały tak niestarannie, że najczęściej musiała po nich poprawiać Pega. Tannerki często kradły też drobne przedmioty, które wynosiły do swojej lepianki. Rzepy, jabłka, kubek, kawałek skóry i rogowa łyżka — wszystko to trafiało do kieszeni dziewczynek. Nie zabrały niczego dużego, jednak łączna wartość skradzionych przez nie drobiazgów była znaczna.

Pani Tanner sprawiała wrażenie uczciwej osoby, ale nie mogła przecież nie wiedzieć, co się dzieje. Zdarzało się, że bez przekonania próbowała zdyscyplinować swoje córki. Nigdy jednak nie posunęła się do tego, żeby zwrócić któryś ze skradzionych przedmiotów.

Jack przyglądał się dziewczynkom, które sprzątały dom. Jak zwykle, gdy myślały, że są same, większość czasu spędzały, zaglądając w przeróżne zakamarki i próbując otwierać skrzynie. W drzwiach pojawiła się Pega z wiadrem mleka.

— Mam nadzieję, że nie skwaśnieje — szepnęła Ymma. Cicho, ale na tyle wyraźnie, by wszyscy mogli ją usłyszeć.

Pega zalała się rumieńcem.

To była ich kolejna zabawa, którą odkrył Jack. Pega urodziła się z pokrywającym pół twarzy znamieniem. Spomiędzy kosmyków jej cienkich włosów wystawały duże uszy, a usta miała szerokie jak u żaby. Jack od dawna już nie zwracał uwagi na jej wygląd. Dla Thorgil nigdy nie miało to znaczenia, a Bugabu uważał, że dziewczyna wygląda przecudnie. Na ogół jednak ludzie nie lubili przebywać w jej pobliżu. Uważali, że brzydota może przejść na nienarodzone dzieci. I że sama obecność Pegi może zakwaszyć mleko.

Tannerki więc, bez przerwy, kąśliwymi docinkami zwracały uwagę na jej nieładne rysy.

Do domu wskoczyła Hazel i Pega szybko odstawiła wiadro na półkę, zanim mała zdążyła je przewrócić.

— Jak ja cię kocham — powiedziała Hazel i uścisnęła dziewczynę.

Ymma i Ythla zaczęły między sobą szeptać. Jack usłyszał słowo „półgłówek”. Jeszcze jedna zabawa. Uwielbiały dawać Hazel do zrozumienia, że jest głupia.

— Ja też cię kocham, ale mam dużo pracy. — Pega oderwała od siebie ramiona Hazel i nakryła mleko szmatką. Ymmę i Ythlę rozmyślnie zignorowała.

— Proszę, proszę, proszę, zabierz mnie na spacer.

Pega zaczęła się sprzeciwiać, ale widząc coraz bardziej skrzywioną minę dziewczynki, ustąpiła.

— No dobrze. Póki nie zbierze się śmietana, możemy zapolować w ogrodzie na robaki. Pozwolę ci nakarmić nimi kury.

— Tylko uważaj, żeby sama ich nie zjadła — rzuciła złośliwie Ythla.

— A ty uważaj, żebyś nie znalazła ich we włosach — odgryzła się Pega i wypchnęła Hazel za drzwi.

W domu zaległa cisza. Ymma i Ythla kończyły zmiatanie podłogi. Pracowały w milczeniu, przewidując nawzajem swoje ruchy, zupełnie jak dwie wilczyce. W pewnej chwili Ymma wzięła do ręki garść kurzu i podeszła do wiadra z mlekiem. Ythla szybko podniosła szmatkę.

— Co wy robicie? — rzucił Jack, wychodząc z cienia.

Ymma wrzasnęła, a to, co miała w dłoni, opadło na podłogę.

— Gdzie byłeś?! — zawołała.

Ythla pobladła.

— Jestem bardem. Przychodzę i odchodzę, kiedy zechcę i gdzie zechcę. — Jack podszedł do wiadra i na powrót zakrył je ściereczką.

— Przeklęty czarnoksiężnik! — syknęła Ymma, po czym, być może przypomniawszy sobie, w którym domu się znajduje, uśmiechnęła się słodziutko. — To była bardzo sprytna sztuczka, prawda, Ythla?

Jej siostra z entuzjazmem pokiwała głową.

— Przepraszam, nie powinnam się była unosić — dodała Ymma.

Jack odprowadził je chłodnym spojrzeniem. Już kilka razy widział, jak drażniły Hazel, a potem przyglądały się zadowolone, kiedy matka łajała małą za złe zachowanie.

Jedną z ich ulubionych sztuczek było pokazywanie dziewczynce smakołyków, które potem nagle chowały za plecy.

— Ups! — rzuciła pewnego razu Ythla, po raz trzeci zabierając Hazel sprzed nosa kawałek sera.

Dziewczynka zareagowała przenikliwym wraskiem, jaki mógł wydać z siebie jedynie mały hobgoblin. Nadbiegła matka.

— Ja chcę sera! — zaczęła lamentować Hazel.

— Naprawdę musisz się wreszcie nauczyć, żeby nie płakać za każdym razem, kiedy poczujesz głód — fuknęła na nią matka i wzięła ją w ramiona.

— Ale one zabrały mój ser! — Hazel pokazała na Tannerki.

— Nie zmyślaj, kochanie. To nieładnie — powiedziała matka. Pachnący kawałek sera zdążył już oczywiście zniknąć w ustach Ythli. — Zdrzemnij się, a od razu poczujesz się lepiej.

— Nie, nie poczuje się — mruknęła Hazel, ale weszła za matką po drabinie na stryszek. Była to wyraźna oznaka tego, że odkąd tu przybyła, jej zachowanie znacznie się poprawiło. Pega wbiła jej

posłuszeństwo do głowy.

Blewit miał rację. Nie byłem dość uważny, zastanowił się Jack. Teraz już wiedział, co powodowało ataki furii Hazel i dlaczego wszyscy byli tak podenerwowani. Tannerki mogły być także odpowiedzialne za niektóre z humorów Thorgil.

Chłopak odczekał, aż dziewczynki pójdą do swej ziemianki, a Pega i Hazel zasną wtulone w siebie w drugim krańcu domu. Dopiero wtedy opowiedział szeptem rodzicom o wszystkim, co zobaczył.

— Ymma i Ythla dręczą Hazel? — zdziwiła się matka. — Musiałeś się pomylić. Przecież ledwie dziś rano Ymma powiedziała, że nigdy nie widziała bardziej kochanego dziecka.

— Kłamie — odparł bez namysłu Jack.

W oczach matki pojawił się niepokój.

— A co do kradzieży, to rzeczywiście zauważyłam, że zniknęło kilka rzep, ale Tannerki są bardzo ubogie. Nie chciałabym ich karać za występki spowodowany głodem.

Jack spochmurniał. Liczył w tej rozmowie na poparcie matki.

— Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? — spytał ojciec.

Jack nie mógł się przyznać do korzystania z magii. Nie miał ochoty słuchać wykładu o demonach porywających czarnoksiężników do piekła.

— Kręciłem się po prostu trochę częściej po domu. Tannerki dokuczają też Pedze.

Ojciec ziewnął szeroko i zdjął buty.

— Zwykle babskie swary — stwierdził.

— Ale ona może przez nie odejść.

— A dokąd miałyby pójść? — spytał ojciec swobodnie. — Nikt nie zechce zatrudnić takiej nieszczęśliwej dziewczyny. Tannerki są nam potrzebne w gospodarstwie, a poza tym to przykładne chrześcijanki. Modlą się razem ze mną, czego nie mogę powiedzieć na przykład o tobie.

Jack od razu zaczął modlić się w duchu — o cierpliwość.

— Naprawdę wam nie przeszkadza, że Ymma i Ythla kłamią, kradną i źle traktują innych?

— Coś mi się wydaje — ojciec spojrział na stryszek, gdzie znajdowało się jego posłanie — że zbyt łatwo szafujesz radami, chłopcze. Podejrzewam, że nauczyłeś się kilku podstępnych sztuk i zajmujesz się czarną magią.

Jack zrozumiał, że dziewczynki już wcześniej przekonały do siebie gospodarza i dalsza rozmowa nie ma sensu.

— Zanim mi powiesz, że u mnie w domu jest bałagan, posprzątaj najpierw własny chlew — doradził ojciec, podniósł się i wszedł po drabinie na górę.

Matka rzuciła chłopakowi przepraszające spojrzenie i ruszyła za mężem.

Jack kopniakiem roztrącił słomę na swoim posłaniu i uderzył pięścią w ścianę, boleśnie raniąc

się w rękę. Nie chciał zbudzić Pegi i Hazel, więc wyszedł na zewnątrz, by ochłonać.

Niebo usiane było tysiącem gwiazd. Lśniły tak jasno, że chłopak widział w ich blasku kontury drzew i krzewów. Wokół rozlegał się nikły, przypominający brzęk dzwoneczków dźwięk. Można było pomyśleć, że to szepczą same gwiazdy, ale Jack słyszał już kiedyś ten odgłos — wtedy, gdy dochodził do siebie u Królowej Gór w Jotunheimie. Jej pałac był tak wielki i wysoki, że chłopak, spoglądając w dół z okna, widział tylko wirujące chmury kryształków lodu. To właśnie one, uderzając w zimne ściany, tak słodko dzwoniły.

— W takie noce... — szepnął mu prosto do ucha czyjś głos i chłopak aż podskoczył, szykując się do walki. — Hej! Nie jestem wrogiem! — zawołał Bugabu, unikając ciosu.

— Więc nie podkradaj się do mnie! — krzyknął Jack.

— Weź głęboki oddech, chłopcze — poradził Nemezis, stając z drugiej strony. — To nie na nas jesteś zły.

Zza krzewu wyszedł Blewit. Jack usiadł na ziemi.

— Nie, nie na was — przyznał.

— Słuchaliśmy waszej rozmowy — powiedział Bugabu. — Nie możesz winić swoich rodziców. Dla nich wciąż jesteś ich młodym.

— Ale jak mogą pozwalać, by Pega i Hazel cierpiały?

— Nie widzą tego, czego nie chcą zobaczyć. Posiedźmy tu przez chwilę i nacieszmy się niebem. Zanim skoczyłeś na mnie tak, że każdy hobgoblin byłby z podobnego wyczynu dumny, chciałem powiedzieć, że w noce takie jak ta mury dzielące dziewięć światów stają się wyjątkowo cienkie.

Jack podniósł wzrok i zasłuchał się w nikłe echo lodu uderzającego o lód w dalekim Jotunheimie. Trolle skryły się w swej górze, uciekając przed latem. Ale z roku na rok słońce świeciło coraz jaśniej i ich królestwo topniało. Na tę myśl poczuł smutek.

— Patrzcie! — zawołał i pokazał palcem. Niebo przecięła błyszcząca jak iskra świetlna nić. Potem mignęła jeszcze jedna i następne.

— To prawdziwy rarytas! Liście spadające z Wielkiego Drzewa — powiedział Bugabu.

— Z Yggdrassila — mruknął Jack, przypominając sobie sięgający ponad księżyc jesion. Na jego szczycie znajdowało się niebiańskie, zielone pole otaczające pałac tak ogromny, że w jego wrotach mogło stanąć obok siebie tysiąc mężczyzn. Valhalla.

Chłopak zadrżał.

— Thorgil mówi, że kiedy na niebie tańczą światła, Ludzie Północy słyszą nawoływanie swoich umarłych.

— Kiedy mury między światami stają się cienkie, dzieje się wiele różnych rzeczy. Sam kiedyś słyszałem odgłos fal bijących o brzegi Wysp Błogosławionych — powiedział Bugabu.

Jack pomyślał o podarkach, które otrzymał od Królowej Gór. O futrze z kuny, butach z wołowej

skóry i tunice. Teraz już ich nie używał, bo zanadto urósł. Wciąż korzystał jedynie z noża.

Był też płaszcz. Chłopak od bardzo dawna nie myślał o płaszczu z pajęczej przędzy. Oddał go bardowi wraz z innymi bogactwami, za które wykupił Pegę z niewoli. Płaszcz spoczywał teraz zapewne w jednym z kufrów starca.

— Dziękuję, że mi to pokazaliście — odezwał się do hobgoblinów. — Teraz, kiedy zobaczyłem liście z Wielkiego Drzewa, moje problemy nie wydają się już takie ważne. — Podniósł się.

— Nie możesz już myśleć o spaniu — stwierdził Nemezis. — Noc jest jeszcze młoda i zabawa dopiero się zaczyna.

— Jak to? — zdziwił się chłopak.

— Nie zapomnieliśmy o małych Tannerkach. Czekamy tylko, byś nam pozwolił na Podjęcie Pewnych Kroków.

Jack przypomniał sobie, jak niebezpieczne potrafią być hobgobliny, i zawahał się. Nie był pewien, czy chce, by mieszały się w tę sprawę.

— Ale nie zrobicie niczego zbyt... drastycznego, prawda?

— Oczywiście, że nie — fuknął Nemezis. — Tylko kilka nieszkodliwych sztuczek. Nic groźniejszego niż nastraszenie kogoś zza krzaka.

— Smoczy Język uważa, że to doskonały pomysł — dodał Bugabu.

— No więc... jeśli bard się zgodził, a wy obiecacie, że nie zrobicie im krzywdy...

— W życiu! — Oczy Nemezisa zabłyśły w świetle gwiazd.

— Cóż... zgoda.

— No, wreszcie! Zacznę od Ythli — zawołał Blewit i podskoczył.

— A ja, by pomścić drogą Pegę, dobiore się do Ymmy!

— Zaraz! Zaraz! — krzyknął Jack za odskakującymi jak wielkie ropuchy hobgoblinami, które jednak nie zwróciły na niego uwagi.

Ruszył za nimi przez noc najszybciej, jak mógł. Niebo wciąż przecinały świetliste pasemka, a gwiazdy drżały, jakby miały zaraz spaść.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

OTWARTE ŚCIEŻKI

Po drodze kilka razy upadł. Nie miał tak dobrego wzroku jak hobgobliny, które dodatkowo były przyzwyczajone do wędrówek w ciemności. Zanim dotarł do domu, zdążyły już wejść do środka.

— Fuu! Ależ tu brudno — doleciał go głos Nemezisa.

Po chwili wypadły na zewnątrz, każdy z nich trzymał jedną osobę. Oddaliły się nieco, skacząc przez pola. Za każdym razem, gdy ich nogi stykały się z ziemią, Jack słyszał krzyk.

— Przyszliśmy, by was zabrać! — wrzeszczały hobgobliny, podrzucając porwane Tannerki w powietrze i łapiąc je z powrotem.

— Nie! Nie panią Tanner! — krzyknął Jack, ale stworzenia były dla niego zbyt szybkie.

— Znamy taką cudną norę pełną dżdżownic — warczał Blewit. Jack po raz pierwszy widział go zadowolonego. — Wsadzimy was tam i będziemy karmić pajakami i innymi oślizgłymi paskudztwami.

Ythla zaczęła łkać i błagać o litość.

— Litość? Nie po tym, jak okradłyście ludzi, którzy przyjęli was pod swój dach.

— Przepraszamy! Nie zrobimy tego więcej! Już nie będziemy!

— Na pewno już tego nie zrobicie, nie w miejscu, do którego was zabieramy — zbulgotał Blewit.

W tej chwili hobgobliny opuściły już wioskę i zbliżały się do leszczynowego zagajnika. Jack czuł w boku klucie, a nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Teraz rozumiał, dlaczego jego ojciec nie dogonił hobgoblinów, kiedy wiele lat temu ukradły Hazel.

Stworzenia mknęły przez zagajnik, skacząc na ukos po ścieżkach, których kierunku i kształtu chłopak mógł się tylko domyślać. Gdzieś tu czyha draugr, zaświtało mu w głowie. Na strach nie miał jednak czasu. Pędził w ślad za dźwiękiem tupiących stóp, często potykając się na korzeniach i raz po raz wpadając na drzewa. Gdy znalazł się po drugiej stronie, dotarł do kresu sił. Padł na ziemię.

Leżał na szerokiej drodze wyrąbanej w lesie przez Dzikie Łowy. Gwiazdy świeciły tu jeszcze jaśniej, jakby ich światło pochodziło z jakiegoś innego, nieznanego źródła. Hobgobliny położyły dziewczynki i ich matkę na trawie. Tannerki dopiero teraz mogły się lepiej przyjrzeć porywaczom.

— Dobry Boże! To demony! — jęknęła Ymma.

— Tak, jesteśmy demonami! Strasznymi diabłami! — zaskrzeczał Nemezis, skacząc dokoła przerażonych ofiar. — I przyszliśmy po was!

— Podsyćcie piekielne ognie! — zaśpiewał Bugabu. — Zaraz dostarczymy wam świeżych grzeszników!

— Żałujemy za grzechy! — zapłakała pani Tanner.

— Za późno. — Blewit przysunął do niej swą długą twarz. Kobieta krzyknęła. — Kradłyście i oszukiwałyście. I dręczyłyście małe dziewczynki.

— Już nigdy tego nie zrobimy. Opuścimy wioskę. — Ythla spróbowała ukryć się za plecami matki, ale Nemezis wyciągnął ją za nogę.

— Oczywiście, że opuścicie. Już ją opuściłyście — powiedział i wyszczerzył się w strasznym uśmiechu.

Jackowi wrócił dech w piersi. Cieszył się, że dziewczynki zostały ukarane, ale miał wrażenie, że panią Tanner hobgobliny traktują zbyt ostro.

— Przestańcie, natychmiast! — zawołał, podnosząc się na równe nogi.

— Ach! To ten młody bard! — wrzasnął Nemezis i wyskoczył w powietrze, udając przestrah.

— Proszę, wielki bardzie, nie zamieniaj nas w kamienie! — zawołał Bugabu i padł na kolana.

Jack pojął, że w ten sposób hobgobliny namawiają go do uratowania kobiet.

— Może zamienię, a może i nie — rzucił swobodnie. — Te dziewczyny z pewnością zasługują na to, byście zaciągnęli je do samego piekła, ale z ich matką przesadziliście. Ona jest niewinna.

— Winna! — syknął oburzony Blewit. — Słyszałem, jak spiskowała. Chciała przepędzić Hazel i Pegę. I ciebie także, gdyby miała taką możliwość. Powinniśmy naostrzyć nasze widły i usmażyć je wszystkie.

— Ukorzcie się, demony! — zawołał Jack i uniósł ramiona jak bard, kiedy walczył z draugrem. Nemezis zwinął się w kulkę, a Bugabu rozwinął uszy na całą długość, zastrzygł nimi, po czym zwinął je z powrotem. Blewit tylko skulił ramiona i zamarł. — Postanowiłem, że należy tym grzesznicom odpuścić — na razie — pod warunkiem, że jak najszybciej opuszczą wioskę.

— Tak zrobimy. Będziemy dobre — łkała pani Tanner.

— Znakomicie. A wy, demony, możecie odejść — rzucił chłopak pełnym powagi tonem.

— Możemy? Naprawdę? Och, dzięki ci, wielki bardzie — powiedział Nemezis, uśmiechając się w sposób, który — o czym wiedział Jack, ale nie Tannerki — wyrażał ironię.

— Ale jeśli zobaczymy choć jedną oznakę złego zachowania — warknął Blewit — jeśli Hazel się przez was rozplacze albo zdenerwujecie Pegę, wrócimy natychmiast!

Wszystkie trzy hobgobliny zniknęły im z oczu. Przez chwilę słychać było jeszcze ich głosy.

— Wró-ci-my po was!

Kobiety wtuliły się jedna w drugą, nie wając się ruszyć, póki Jack nie wziął pani Tanner za rękę. Nadal było mu jej żal, choć wierzył w słowa Blewita. Nie była niewinna. Zapewne to ona nauczyła swoje córki kraść.

— Zaprowadzę was do domu — powiedział.

Kobiety ruszyły za nim posłusznie. Na skraju leszczynowego zagajnika użył swego umysłu, by sprawdzić, jakie istoty czają się w mroku.

Ku jego zdumieniu wszystko przed nim się oczyściło i stało wyraźne i przejrzyste jak błotnista struga, do której nagle wpłynęła czysta woda. Dokładnie widział wszystkie ścieżki i rozumiał, że draugr ukrył się gdzie indziej.

— Złapcie się za ręce i chodźcie za mną — polecił.

— Bardzo przepraszam, że nazwałam cię przeklętym czarnoksiężnikiem — powiedziała Ymma z wahaniem, gdy wyszli już z zagajnika. — Byłam głupia. — Ciężko przełknęła ślinę. — Bez ciebie zginęłybyśmy. Skąd wiedziałeś, że mamy kłopoty?

— Takie rzeczy się wie, kiedy jest się bardem — odpowiedział Jack.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? — rzucił bard.

Starzec razem z Jackiem wybrali się do zatoczki, do której miał zawinąć Skakki ze swoją załogą. Kamienie tworzące starą, rzymską drogę obrośnięte były mchem i przesłonięte baldachimem brzoź tak grubym, że zawsze panował tu półmrok. Powietrze było gorące i nieruchome. Jedyną poruszającą się rzeczą była mgielka komarów.

— Chyba rozumiesz, że wypędzając Tannerki, wziąłeś za to na siebie odpowiedzialność?

— Nie mogłem pozwolić, by tam zostały. Nie minęłoby wiele czasu, a cała historia zaczęłaby się od początku — odpowiedział poważnie Jack.

— Ja cię nie krytykuję. — Bard zatrzymał się i otarł pot ze skroni. — Gorąco tu jak w smoczym brzuchu. Nie zdziwiłbym się, gdyby w nocy rozpętała się burza.

Jack wiedział, że takie słowa oznaczają, że w nocy na pewno rozpęta się burza. W tego typu sprawach starzec nie mylił się nigdy.

— W Bebbas's Town Tannerkom będzie znacznie lepiej — podjął bard. — Mało kto w mieście zauważy czynione przez nie zamieszanie. I jest tam wiele miejsc, gdzie mogą znaleźć pracę. Myślę, że wyświadczyłeś im przysługę, chłopcze.

— Tylko... jak one się dostaną do Bebbas Town? — spytał chłopak, który przeczuwał, że odpowiedź mu się nie spodoba.

— Oczywiście statkiem Skakkiego. Spójrz tylko na tę drogę! Jest prosta jak strzała i nie ma w niej prawie żadnych dziur. Rzymianie byli zdumiewającymi budowniczymi. Niestety, nie mieli ani krztyny szacunku dla przyrody. Ich drogi musiały prowadzić z miejsca na miejsce najkrótszą możliwą trasą, więc jeśli na przeszkodzie stawało im drzewo, to je po prostu ścinali. Równali też

wzgórza. Dlatego właśnie już ich nie ma. Natura nie lubi być traktowana w ten sposób.

Szli dalej. Bard stawiał na śliskim mchu pewne kroki, prawie wcale nie podpierając się laską. Gdy zbliżyli się do zatoki, w powietrzu zaszła odmiana — stało się chłodniejsze i niesło zapach wodorostów. Jack usłyszał szumiące w oddali fale.

— Może Tannerki się nie zmieszczą — powiedział z nadzieją.

— Żeglowałem na tym statku z Olafem — przypomniał starzec. — Mieścił się na nim tabun koni. Oczywiście, kradzionych koni. My nie mamy zbyt dużego ładunku, a poza tym wybieramy się tylko ja, ty, Thorgil i Wędrowiec. Dla Tannerek miejsca będzie aż nadto.

Cudownie, pomyślał Jack. Ymma, Ythla i Thorgil ściśnięte razem na statku. To jak pudełko z pająkami. Nie wspominając nawet o Svenie Mściwym, Eryku Pięknoścym i tym nowym, Schlaupie. Thorgil mówiła, że Schlaup jedną ręką potrafił dźwignąć wołu nad głowę.

Ludzie Północy uwielbiali bójki jeszcze bardziej niż wlewanie w siebie piwa. A umiłowaniem piwa prześcigali wszelkie inne plemiona. Jack pamiętał, jak Olaf utrzymywał porządek wśród członków swej załogi za pomocą gróźb i kulaków, i zaczął się zastanawiać, czy Skakki jest odpowiednio twardy do tego zadania.

— A brat Aiden nie popłynie? — spytał chłopak. Dotarli właśnie do ścieżki, która odbijała od drogi i prowadziła nad morze.

— Aiden prędzej umrze niż postawi stopę na okręcie Ludzi Północy — odpowiedział bard. — Widział, jak pobratymcy tych, z którymi wyruszamy, mordują jego przyjaciół.

Jack także widział Ludzi Północy w bitewnym szale i to wspomnienie wciąż nawiedzało go w snach.

Cypel lądu tworzył płaską zatokę, będącą idealną naturalną przystanią dla łodzi. Miejsce było ukryte i z obu stron otoczone plażą białego, czystego piasku. Starzec znalazł skałę i usiadł na niej.

— Jaskółki doniosły mi, że widziały długą łódź Skakkiego o tydzień drogi stąd na południu. Możesz już przestać się boczyć, Jack. Tym razem handlują bursztynem i kłami morsów, a nie niewolnikami.

— Tym razem — powtórzył chłopak z goryczą.

— Mieszkańcom wioski powiedziałem, że popłyniemy irlandzkim statkiem kupieckim i że nie wiemy dokładnie, gdzie zakotwiczymy — podjął starzec. — Rozumiesz, że nie możemy pozwolić, by zobaczyli naszą załogę. Załadunkiem będziesz się musiał zająć razem z Thorgil.

— A co z Tannerkami? — spytał Jack.

— Wolałbym, żeby też do ostatniej chwili nie wiedziały, z kim popłyną.

Siedzieli przez chwilę i patrzyli na rozbijające się o cypel fale. Zielono upierzone brodzieczmychały po plaży, uciekając przed nacierającą spienioną wodą. Nad głowami przeleciało stado czarno-białych edredonów.

Brat Aiden opowiadał kiedyś Jackowi o tym, jak edredony zaprzyjaźniły się ze świętym Kutbertem. Duże, przypominające kaczki ptaki słuchały jego kazań, a samice ufały mu tak bardzo, że pozwalały brać do ręki swoje pisklęta. Kiedy święty Kutbert został opatem Świętej Wypsy, zabronił polowań na te ptaki. Niestety, jeden z nikczemnych służących klasztoru zabił jednego i wrzucił dowody swej zbrodni do morza. Następnego dnia fale wyrzuciły na próg kaplicy kości i pióra. Brat Aiden stwierdził, że nawet samo morze nie chciało okłamywać świętego.

Jack słyszał wiele opowieści o świętym Kutbercie i zwierzętach. Podczas medytacji ogrzewały go wydry, a morskie orły zrzucały mu ryby, kiedy był głodny. Pewnego razu święty zganił parę kruków za kradzież strzechy i w ramach przeprosin ptaki przyniosły mu kawał tłuszczu do uszczelniania butów. To była chrześcijańska magia i w rozumieniu Jacka nie różniła się specjalnie od tej, którą posługiwał się bard.

Starzec powiadał, że siła życiowa płynie podziemnymi strumieniami. Jeśli zrozumie się jej naturę, można ją przywołać — choć raczej polegało to na tym, iż to samo życie postanawiało usłuchać ludzkiego wezwania. Stąd właśnie brała się moc magii. Jack nie do końca rozumiał to tłumaczenie, ale zdawał sobie sprawę, że jest to siła trudna do opanowania. Czasami działo się coś, co nie powinno się wydarzyć.

— Wczorajszej nocy widziałem w leszczynowym zagajniku ścieżki — odezwał się Jack.

— To wspaniale — powiedział bard.

— Ale sam nie wiem, jak mi się to udało.

Bard się uśmiechnął.

— Wiele spraw, którymi się zajmujemy, pozostaje tajemnicą nawet dla nas samych. — Na dźwięk słowa „nas” Jackowi natychmiast poprawił się humor. — Nauka magii przypomina wielokrotne pukanie do tych samych drzwi. Bardzo długo nikt nie otwiera. Wyobrażasz sobie, że gospodarz jest za domem i plewi chwasty w ogrodzie albo że leży w łóżku. Po jakimś czasie stwierdzasz, że go nie zastałeś. Odwracasz się, żeby odejść, ale pukasz jeszcze po raz ostatni i co się dzieje? Drzwi stają nagle otworem.

— Czy to znaczy, że będę teraz widzieć ścieżki, kiedy tylko zechcę?

— To znaczy, że na następny raz nie będziesz musiał tak długo czekać. — Starzec sięgnął do wiszącego mu u pasa woreczka i wyjął z niego srebrny flet. — Myślę, że już czas, byś zaczął się tego uczyć. Grałeś kiedykolwiek na flecie?

Jack wrócił w myślach do lat sprzed przybycia barda do wioski. Pewnego razu John Grotnik upolował łabędzia i zrobił gwizdki z jego pustych w środku kości. Każde z wioskowych dzieci otrzymało taki prezent, ale tylko Jack wykazał jakikolwiek talent. Jedynie on potrafił zagrać na tym prymitywnym instrumencie znośną melodię, podczas gdy jego rówieśnicy zadowalali się nękaniami uszu rodziców. Gdy myśliwy zauważył zdolności chłopaka, wystrugał mu z jabłoni prawdziwy flet.

Jack był oczarowany jego dźwiękiem. Grał i grał, aż ojciec, który tego rodzaju zajęcie uważał za marnowanie czasu i czynność mocno podejrzaną, wrzucił flet do ognia.

Chłopak poczuł ogarniający go na to wspomnienie gniew. Przypomniawszy sobie także, że ojciec zmienił się na lepsze po podróży do Bebbas Town. Wygłaszał mniej kazań na temat grzechów i częściej zdarzały się okazje do zabawy. Niemniej widok pięknego instrumentu w płomieniach...

— Dam żołądza za twoje myśli — odezwał się bard.

— Och, przepraszam! — Jack gwałtownie wyrwał się z zadumy. — Tak, grałem na flecie, ale nie na tak wspaniałym.

— Nie ma wspanialszego od tego. Został wykonany dla Amergina. Nie będziemy teraz przyzywać nietoperzy, bo za dnia byłoby to nieuczciwe. Zaczniemy więc od polnych myszy.

— Od myszy? — powtórzył chłopak jak echo.

— Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz potrzebował, żeby coś dla ciebie przegryzły. Uważaj na ruch moich palców i słuchaj melodii.

Bard przystawił flet do warg, a jego palce zatkały siedem z ośmiu otworków. Jack usłyszał nikły pisk, taki jaki rozlega się niekiedy w letnie dni w pobliżu stogu siana. Starzec powtórzył go kilka razy. Chłopak przyglądał się uważnie i w końcu wziął flet z ręki barda.

Pierwszy dźwięk, jaki udało mu się wydobyć, przypominał alarmujące brzęczenie.

— Stój! — zawołał bard, zakrywając uszy. — Zaraz wezwiesz szerszenie!

Raz jeszcze pokazał chłopakowi, jak należy grać, i Jack stopniowo zrozumiał. To było coś zupełnie innego niż gra na harfie. Przypominało raczej rozmowę z jedną osobą w pomieszczeniu pełnym ludzi. Rozmówca może wtedy wyłowić twoje słowa spośród innych tylko dlatego, że sam się o to postarasz. W tym wypadku polne myszy były jak jedno nasłuchujące ucho wśród tysięcy innych uszu lasu.

Jack spojrzał w dół i ujrzał dziesiątki przypominających paciorki oczu, przyglądających mu się z leśnego poszycia. Niektóre myszy wspięły się na jego stopy, a kilka najodważniejszych wdrapało się nawet na kolana. Chłopak grał, oczarowany i lekko przestraszony, póki bard nie wyjął mu delikatnie fletu z rąk.

— Wystarczy, chłopcze. Musimy pozwolić im odjeść, zanim zauważy je jastrząb.

Starzec machnął ręką i maleńkie zwierzątka rozpierzchnęły się wśród liści. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi i zgodnie z przepowiednią pojawiły się burzowe chmury. Ruszyli spieszenie do domu po porośniętej mchem rzymskiej drodze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SCHLAUP

Zatokę spowijała mgła tak gęsta, że blask świtu ledwie mógł się przez nią przedrzeć. Jack i Thorgil dotarli na miejsce, oświetlając sobie drogę latarnią wykonaną z rogu, i czekali teraz na zimnej plaży. Podekscytowana dziewczyna ledwie była w stanie usiedzieć na miejscu.

— Znow popłyniemy statkiem. Wracam do domu. Czy to nie cudowne? — spytała.

Chłopak szczerzej opatulił się wełnianym płaszczem. Na włosach lśniły mu kropelki wody. Tył spodni miał mokry jak brzuch żaby.

— Jak myślisz, to cudownie, prawda?

— Tak myślę — burknął. — Dlaczego ich jeszcze nie ma?

Przed sobą widzieli tylko stopę lub dwie wody. Błada wstęga piany to pojawiała się, to znikwała we mgle.

— W taką pogodę zapewne płyną ostrożnie — wyjaśniła Thorgil. — Eryk Zapalczywy musi stać na dziobie z obciążoną linką i bez przerwy sprawdzać głębokość. Słuchaj! To chyba jego głos.

Jack zaczął nasłuchiwać, ale jedynym dźwiękiem, który dolatywał do jego uszu był szept fal na piasku. Niebo powoli jaśniało, a morze przybrało blady, szarzielony odcień. Cypel wyglądał jak ciemna plama wśród mgły.

— Głęboko na cztery wiosła — poniósł się głos na wodzie. Jack musiał wyęźać słuch, żeby odróżnić pojedyncze słowa. W języku Ludzi Północy rozmawiał po raz ostatni bez mała dwa lata temu. — Trzy wiosła... powoli, powoli. Widzę łąd. Dwa wiosła. Zwolnijcie, wy *kindaskiturs!* Płytko tu jak w sakiewce nędzarza!

Kindaskiturs, owcze łajno, przełożył sobie w myślach Jack. I wtedy zobaczył. Długi, pełny wdzięku kadłub, zwinięty na maszcie żagiel, kudłate postacie przy wiosłach. Dziób statku był dziwnie krótki i chłopak przypomniał sobie, że wielka smocza głowa, którą wyrzeźbił Olaf Jednobrewy, musiała być zdejmowana za każdym razem, gdy przybijali do brzegu. W innym wypadku mogliby rozzłościć duchy wybrzeża.

— Rzucić kotwicę! — zagrzemiał inny głos. Jack poznał Skakkiego.

— Tu jesteśmy! Tu jesteśmy! — zaczęła krzyczeć Thorgil, podskakując w miejscu jak oparzona.

Jack usłyszał plusk, a potem stukot podnoszonych i chowanych wiosel. Ciężkie postacie wskoczyły do wody. Chłopak zauważył, że serce łomocze mu jak młotem. Trudno było nie czuć lęku, widząc lądujących Ludzi Północy. Pierwszy z nich wyszedł z wody na brzeg. Wyższy niż jakikolwiek inny człowiek. Chwycił Thorgil w swój niedźwiedzi uścisk.

— Moja mała siostrzyczko! — zawołał. — Cieszę się na twój widok jak na słońce po sztormie! Chudzina z ciebie jak zawsze.

— Wcale nie! — zaprotestowała dziewczyna i roześmiała się.

— To przez tę marną saską strawę. Usadzę cię przy kilku pieczonych wołach i od razu nabierzesz ciała. A to co za chuchro?

Przerażony Jack podniósł wzrok. Od ostatniego razu, kiedy się widzieli, Skakki urósł więcej niż o stopę. Miał teraz także znacznie potężniejszy tors i szersze ramiona. Prawdziwy godny syn Olafa Jednobrewego, od którego różnił się tylko oczami. Olaf spoglądał na świat wesoło i wyzywająco, a w źrenicach Skakkiego widać było odziedziczoną po matce bystrość umysłu.

— Jestem pomocnikiem Smoczego Języka — powiedział Jack, starając się wyciągnąć tułów, żeby dodać sobie wzrostu.

— Ach! Skald! — rzucił Skakki, używając słowa, którym Ludzie Północy nazywają bardów.

— Tak naprawdę jest tylko uczniem — sprostowała Thorgil.

Jack nie skomentował. Bardziej interesowały go inne wynurzające się z mgły postacie — Sven Mściwy, Eryk Zapalczywy, Eryk Pięknolicy i inni, których nie znał tak dobrze, ale którzy wyglądali równie groźnie jak tamci. Eryk Pięknolicy miał twarz pokrytą przeraźliwymi bliznami i niemal zupełnie odcięte uszy.

— TO JACK! — huknął i chłopak przypomniał sobie natychmiast, że prawie głuchy wojownik zawsze krzychał. — MIŁO CIĘ WIDZIEĆ, SKALDZIE. MASZ MOŻE JAKIEŚ ZAKŁĘCIE PRZECIW WRASTAJĄCYM PAZNOKCIOM? MAM TAKI I DOPROWADZA MNIE DO SZAŁU.

Jak ktoś, kogo o mały włos nie pożarły trolle, może się przejmować wrastającymi paznokciami? — zastanowił się Jack, ale obiecał, że zapyta barda. Ludzie Północy witali się z nim wesołymi kuksańcami i żartobliwymi obelgami. Chłopak, wbrew sobie, poczuł wzruszenie. Wiedział, że są mordercami i łupieżcami. Zniszczyli Świętą Wyspę i doprowadzili brata Aideną do szaleństwa. Handlowali niewolnikami i puszczały z dymem całe wioski. Kiedyś nawet chcieli poświęcić Lucy bogini Frei. A mimo wszystko... nie potrafił ich nienawidzić.

— Gdzie jest Runa? — spytał.

— Ostatnimi czasy trzeba mu pomagać schodzić na brzeg — powiedział Skakki. — Hej, Schlaup! — Ze statku odpowiedział mu dźwięk przypominający pomruk wielkiego dzika. — Dawaj tu Runę!

Do wody wpadło coś wielkiego. W szarawej mgle zamajaczył potężny kształt. Jack uznał przed chwilą, że Skakki jest niewiarygodnie wielki, ale to, co zbliżało się teraz, było wprost olbrzymie. Mając pełne siedem stóp wzrostu, stworzenie wydawało się jeszcze wyższe za sprawą nastroszonych włosów. Brwi sterczały nad oczami w znajomy sposób. Dwa kły wystające spod

górną wargę wykrzywiały usta w przypominający złośliwy uśmiezek grymas.

To troll — stwierdził ze zdumieniem Jack, ponieważ Jotuny i Ludzie Północy byli zatwardziałymi przeciwnikami. Gdy Schlaup zbliżył się bardziej, chłopak zauważył, że tak naprawdę jest on mniejszy od trolla. W dziwny sposób wydawał się też zbyt cywilizowany. Miał takie same jaktrolle pazurzaste paznokcie, płaskie zęby i oczy koloru zgniłych orzechów, ale rysy jego twarzy łagodzone były przez coś niepokojąco swojskiego.

— Dobry Schlaup. Odłóż Runę — polecił Skakki.

I wtedy chłopak zauważył wychudzonego Człowieka Północy, którego wielka istota przydźwigała w ramionach. Czas nie obszedł się ze starym skaldem łaskawie. Nie przysłużyło mu się też nieustanne wystawienie na działanie lodowatego wiatru. Jack rozumiał jednak, że Runa nie pragnął innego losu. Nie chciał umrzeć w łóżku jak tchórzliwy niewolnik. Kiedy nadejdzie jego czas, jeśli bogowie okażą mu łaskę, chwyci miecz do ręki i padnie w bitwie.

— Och, Runo — odezwał się Jack, czując ucisk w gardle. — Tak bardzo się cieszę, że cię widzę.

— Nie darowałbym sobie tej podróży za żadne skarby świata — odparł skald, ostrożnie stając na nogi. — Znaleźliśmy żywą Thorgil, a teraz popłynię z nami Smoczy Język. Na Thora, nie mogę się doczekać, aż ujrzę tego starego lisa!

Sven Mściwy i Eryk Zapalczywy rozrąbali kilka pni, by dostać się do ukrytego wewnątrz suchego drewna, i wkrótce na plaży zapłonął wesoły ogień.

— Ogrzej się — rzucił Schlaup i popchnął Runę ku ognisku.

Jack znów się zdumiał. Nie spodziewał się, że ta istota potrafi mówić. Trolle miały poważne kłopoty ze składaniem słów i zwykle porozumiewały się ze sobą, przekazując myśli. Te, które mimo wszystko próbowały się odzywać, miały szorstkie, niemelodyjne głosy. Głos Schlaupa tymczasem był zupełnie ludzki.

Usiedli wokół ognia, wymienili się wieściami i zaczęli planować załadunek statku. Thorgil i Jack mieli dostarczyć towary w połowie drogi z wioski, gdzie wedle umowy będą na nich czekać Ludzie Północy. Nikt nie chciał, by załogę Skakkiego — zwłaszcza Schlaupa — zauważono w pobliżu osady. Jack nie mógł oderwać wzroku od wielkiego stworzenia.

— No dalej, zapytaj — rzuciła Thorgil. — Ja tak zrobiłam, gdy go po raz pierwszy zobaczyłam.

— Ach, siostrzyczko, ale nie opowiedziałem ci wtedy całej historii — powiedział Skakki, który leżał oparty o pień, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami. — Powiedziałem ci, że jest półtrollem, ale nie wiesz, skąd się wziął.

— Półtrollem? — wtrącił Jack.

Potomstwo takich mieszanych małżeństw prawie zawsze ginęło. Istoty pochodzące ze związku człowieka i trolla były rozdarte pomiędzy oboma światami i albo poddawały się szaleństwu, albo stawały się złe i okrutne. Frothi zniszczyła dwór króla Hothgara i próbowała uśmiercić Beowulfa.

Frith, jej siostra, wysłała Zmorę, by zabiła barda. Gdy Frith wpadała w szal, nawet berserkerzy rzucali się do ucieczki, wdrapując się na najbliższe ściany.

Skakki odpowiedział grymasem.

— Nie wszystkie takie stworzenia są złe. Wiele zależy od rodziców. Ojciec Frothi i Frith został uratowany spod lawiny przez Królową Gór, która uwięziła go w swym haremie. Resztę życia spędził, gorzko cierpiąc w niewoli. Nienawidził nawet widoku własnych córek. Ojciec Schlaupa był inny.

— Widzę, że przystojny z niego gbur — zauważyła Thorgil, posługując się nazwą, którątrolle określały swych samców. — Już się nie mogę doczekać, kiedy razem popłyniemy.

Schlaup zalał się delikatną, groszkową zielenią, co u trolli stanowiło odpowiednik rumieńca, i pochylił potężną głowę ku ziemi.

— No, mów — ponaglił Jack, ale Skakki, ku zniecierpliwieniu chłopaka, uparł się, że najpierw trzeba zjeść śniadanie.

Ze statku przyniesiono chleb i ser, które upiekli nad ogniem. Pieczywo było doskonałe, a ser tak ostry, że wyciskał z oczu łzy. Jack, który jeszcze nie dziś nie jadł, poczuł wdzięczność za poczęstunek, choć żałował, że Skakki nie jest w stanie jednocześnie jeść i opowiadać.

Ale Ludzie Północy nigdy się tak nie zachowywali. Nie lubili robić dwóch rzeczy naraz. Kiedy oddawali się łupieniu, poświęcali się mu bez reszty. Gdy jedli, zamierały wszystkie rozmowy, póki nie wypchali sobie żołądków.

Skakki wyjął duży gar pełen słonawych czarnych jagód, które przybyły zza morza. Nazywał je oliwkami. Jack uznał, że są przepyszne. Podobnie uważali Ludzie Północy, którzy uwielbiali wszystko co słone i natychmiast zaczęli się przepychać do naczynia.

Wokół niosły się odgłosy chrupania i siorbania. Sven Mściwy rozdał bukłaki pełne cydru, przy czym największy zachował dla Schlaupa. Po chwili wybuchła kłótnia o to, kto zjadł najwięcej oliwek, i Skakki musiał uciszyć najbardziej zagorzałych dyskutantów kilkoma uderzeniami pięści. Jego ojciec utrzymywał porządek dokładnie w ten sam sposób. Jack dobrze to pamiętał. Jedyna różnica polegała na tym, że kiedy Olaf kogoś już zdzielił, ofiara pozostawała nieprzytomna przynajmniej przez dziesięć minut.

Gdy skończyło się jedzenie, Skakki zaproponował turniej bekania. Thorgil chętnie stanęła w szranki, a Jack zaczął niecierpliwie bębnić palcami o pień. Wiedział, co przywódca Ludzi Północy ma na celu. Zarówno on, jak i wszyscy jego pobratymcy wprost kochali przeciągać opowiadanie do chwili, w której słuchacze byli gotowi krzyknąć z niecierpliwości. Połowę przyjemności stanowiło dla nich wysłuchiwanie błagań o dalszy ciąg.

Po konkursie — w którym dzięki siarczystemu, prawdziwie trollowemu beknięciu zwyciężył Schlaup — Skakki podpowiedział Runie, by ten ułożył wiersz sławiący ich przybycie.

— Przestańcie się wygłupiać! — zawołał Jack. — Chcę poznać historię Schlaupa.

Wszyscy zarechotali, a sam Schlaup wydał z siebie głębokie „hum, hum, hum”. Chłopak zrozumiał, że czekali tylko, aż straci cierpliwość.

— Naprawdę, ale to naprawdę chcesz? — zapytał słodkim głosem Skakki.

— Naprawdę, ale to naprawdę chcę — westchnął Jack.

Skakki zrobił dramatyczną pauzę i wszyscy nachyliли się bliżej, choć oprócz Thorgil musieli przecież znać tę opowieść doskonale.

— Pewnej ciemnej, śnieżnej nocy — zaczął młody kapitan — usłyszeliśmy pukanie do drzwi naszego domu. Wszyscy przerwali swoje zajęcia. Wiedzieliśmy, że nikt z nas nie wychodził. Był sam środek zimy. Łodzie zostały wyciągnięte na brzeg już wcześniej, owce siedziały pozamykane w zagrodach. Uczciwi ludzie — a także ci nieuczciwi — kryli się przed mrozem po domach.

— Nasłuchiwaaliśmy. Jedno uderzenie w drzwi oznaczałoby, że na zewnątrz krąży draugr. A draugrom zdecydowanie nie wolno otwierać, ponieważ...

— Nie zmieniaj tematu — wtrącił Jack.

Skakki uśmiechnął się dziko.

— A myślałem, że draugry cię ciekawią. Thorgil mówiła, że jeden pojawił się niedawno w waszej wiosce.

Jack powstrzymał się z największym trudem. Nic nie sprawiało Ludziom Północy większej radości, niż kiedy ktoś tracił panowanie nad sobą.

— Dobrze zatem — podjął Skakki. — Czekaliśmy i nasłuchiwaaliśmy. Kimkolwiek przybysz był, zapukał trzykrotnie. Odczekaliśmy dłużej i dźwięk się powtórzył. Ale w tego rodzaju sprawach nie wolno działać pochopnie. Wiadomo, jakie istoty mogą się pojawić ciemną nocą. Mężczyźni chwycili za broń i odesłali dzieci i kobiety na drugi koniec Sali. — Skakki urwał i napił się cydru. Nie spieszył się.

Jack miał ochotę wyrwać mu bukłak.

— Otworzyłem nieznacznie drzwi. Na zewnątrz padał śnieg. Płatki były wielkie jak moja ręka. Przedem stały dwie, niemal niewidoczne, wielkie istoty spowite w płaszcze ze skóry białych wilków.

„Trolle!” — krzyknąłem i spróbowałem zamknąć drzwi, ale jeden z nich pchnął je tak mocno, że wypadły z zawiasów.

„Odlóż broń, synu Olafa Jednobrewego — powiedziało stworzenie. — Przynoszę ci pozdrowienia od Glamdis, Królowej Gór. ”

I wyciągnęła ku mnie — bo okazało się, że to samica — rzeźbionego łośia. Pamiętacie, jak Olaf uwielbiał strugać z drewna zabawki i ozdabiać nimi cały nasz dom? Wilki i niedźwiedzie? Nikt nie potrafił rzeźbić zwierząt lepiej niż on. Natychmiast poznałem jego rękę.

„Jestem Fonn, córka Królowej Gór — oznajmiła trollka. — To jest Forath, moja siostra. Mówię za nas obie, ponieważ ona nie opanowała ludzkiego języka. ”

I właśnie wtedy poczułem w umyśle pomruki ich myśli — ciągnął Skakki. — Przez cały ten czas wielkie płaty śniegu wpadały do wewnątrz.

„Tego łośia wyrzeźbił dla nas Olaf podczas jednej ze swych wizyt — wyjaśniła Fonn. — A podczas jednych odwiedzin u naszej matki zrobił też Schlaupa”.

Wyszła na zewnątrz i ujrzałem za nią trzeci, mniejszy kształt. Był to młody gbur.

— Zaraz! — przerwała mu Thorgil. — Chcesz powiedzieć, że Schlaup jest synem Olafa?

— Nie inaczej. Kiedy już się do niego przyzwyczaisz, sama zauważysz podobieństwo — odpowiedział Skakki.

— Jeszcze jeden brat! — zawołała zafascynowana dziewczyna. — Gdy tylko go ujrzałam, wiedziałam, że to ktoś ważny.

— Glamdis była w Olafie bardzo zakochana, ale nie próbowała go uwięzić w swym haremie — podjął Skakki. — To niezwykle, ponieważ Królowa Gór lubi swych gburów niewolić, a oni, wedle wszelkich świadectw, uwielbiają przebywać w jej niewoli.

— Olafa nikt nie był w stanie uwięzić — oznajmił Runa.

Jack był zbulwersowany. Nie faktem istnienia Schlaupa, ale rolą Olafa w tej historii. Samice Jotunów miały osiem stóp wzrostu i szorstkie rude włosy porastające głowy i ramiona. Ich kły, choć nieco mniejsze od tych, którymi szczyli się gburzy, również nie były czymś, co szczególnie przyciągało męskie spojrzenia.

— ROZKOCHAŁ W SOBIE KRÓLOWĄ TROLLI! CO ZA BOHATER! — huknął Eryk Pięknolicy.

— Dlaczego więc królowa wypędziła własnego syna? — spytał Jack.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Schlaupa, który zawstydził się powszechną uwagą.

— Dlatego, że niezbyt dobrze myślę — powiedział.

— Bzdury — rzucił Skakki. — Z twoim mózgiem jest wszystko w porządku. Po prostu nie umiesz przekazywać myśli w powietrzu, jak inne trolle. Ja też tego nie potrafię. — Spojrzał na chłopaka. — Fonn powiedziała, że ta niedoskonałość Schlaupa sprawiła, że żył w ciągłej samotności. Co prawda dbały o niego razem z Froth, ale po śmierci Olafa nie było nikogo, kto umiałby z gburą zwyczajnie porozmawiać. Żadna trollka nie chciała z nim tańczyć. Żaden inny gbur nie zapraszał go do zabawy w „ukłuj mnie włócznią”. Postanowiono więc, że Schlaupowi lepiej będzie wśród pobratymców jego ojca.

— I jest mu lepiej! — stwierdziła ciepło Thorgil. Usiadła obok półtrolla i złożyła głowę na jego wielkiej piersi. — Ja też nie jestem zupełnie sprawna — powiedziała. — Kiedy walczyłam z Garmem, Ogarem Piekła, sparaliżowało mi rękę. Najpierw byłam załamana i chciałam umrzeć, ale

przypomniałam sobie, co zawsze powtarzał Olaf: „Rzecz w tym, żeby się nie poddawać, nawet kiedy spadasz z urwiska. Nigdy nie wiadomo, co ci się przytrafi w drodze na dół”.

Schlaup wydał z głębi piersi pomruk, przypominający głos wielkiego kocura.

Jack spojrział na dziewczynę w najwyższym zdumieniu. Po wszystkich tych miesiącach, które spędziła, lamentując nad swoją niesprawną ręką, po wszystkich atakach szału i rozpaczy nagle wydawała się zupełnie pogodzona ze swoim kalectwem. Zapewne był to wpływ obecności Ludzi Północy i jej brata... braci — chłopak poprawił się w duchu. Dobry Boże — pomyślał. A ja mam problem z przywyknięciem do Hazel, która jest przecież człowiekiem, a nie wielkim na siedem stóp potworem.

Ludzie Północy nie oceniali jednak innych na podstawie wyglądu. Owszem, byli brutalni, gwałtowni i niebezpieczni, ale cechowali się również lojalnością i odwagą. Jeśli ktoś posiadał te cnoty, nie miały już znaczenia jego szorstkie, rude włosy i oddech cuchnący jak przegniły wieloryb. Jack przypomniał sobie, że spośród wszystkich mieszkańców wioski tylko Thorgil ani razu nie nazwała Pegi brzydką. Właśnie dlatego, że po prostu tego nie zauważała.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WSZYSCY NA POKŁAD

Jack i Thorgil tak długo nosili kosze na statek, że w końcu zaczęli przypuszczać, że przebyli drogę jak trzy razy z wioski do Bebbas Town. Nawet z pomocą osła było to niezwykle wyczerpujące. W połowie trasy do łodzi spotykali Ludzi Północy, oddawali im ładunek i wracali do barda po kolejne pakunki.

W niewielkiej zatoczce zakotwiczył także inny okręt Ludzi Północy. Tym dowodził Egil Długa Włócznia. Egil wiele razy ruszał z Olafem na łupieżcze wyprawy, ale nie był berserkerem. Jego serce nie skłaniało się ku mordowaniu, a w lepszych czasach zostałby z pewnością świetnym rolnikiem. Niestety, ziemie Ludzi Północy nie były żyzne. Przez większość czasu pożywienie mogli zdobywać tylko rabunkiem, więc Egil, robiąc, co mógł w tych warunkach, starał się łączyć grabieże z handlem. Zdecydowanie wolał handlować.

To on właśnie był najprzystojniejszym ze wszystkich Ludzi Północy. Zachowywał się swobodnie i przyjaźnie, płynnie mówił po sasku i szczerze Sasów lubił. Z Północy przy płynął szerokim statkiem, zbudowanym z myślą o transporcie, a nie o walce. Jack zastanawiał się przedtem, w jaki sposób Skakki może z kimkolwiek handlować, ale teraz już rozumiał.

To właśnie dobrotliwy Egil wpłynął do portu na południu, podczas gdy Skakki trzymał się nieopodal, kryjąc w ciemności. Egil sprzedawał futra, kły morsów, rogi reniferów i bursztyn, który przywieźli na obu długich łodziach. Wrócił ze srebrem, beczkami oliwek, blokami soli, hiszpańskim winem i stadem owiec, które załadował na własny okręt.

Owce bardzo chłopaka zaciekały. Zbijały się potulnie razem, a ich wełna była tak gruba, że mógł zanurzyć w niej dłonie aż po nadgarstki. Egil powiedział, że zwierzęta pochodzą z tej samej krainy co oliwki i że ludzie nazywają je merynosami.

Ostatniej nocy przed rejsem rodzice Jacka wyprawili pożegnalne przyjęcie. Zaproszeni zostali brat Aiden, bard i Tannerki. Matka przyrządziła miodowe ciastka. Pega ugotowała potrawkę z węgorka, a ojciec upiekł na węglach wielkiego łososa. Nie miał pojęcia, że łososa przyniósł Nemezis, który złowił go z pomocą Blewita. Nemezis poruszał w morskiej wodzie swoimi długimi palcami u stóp, podczas gdy jego towarzysz czekał w pogotowiu z kijem. Ojciec nie miał także pojęcia, że hobgobliny urządziły jednocześnie na polu własne przyjęcie.

Ucztowały, jedząc grzyby i łososie, racząc się przy tym doskonałym wrzosowym piwem od brata Aidena. Po posiłku zajęły się skirlingiem. Nadymały się jak gigantyczne ropuchy i z wolna wypuszczały powietrze, zatkawszy uprzednio jedno lub dwa nozdrza, dzięki czemu zmieniały

wysokość powstającego dźwięku. W efekcie powstawało tak przeraźliwe zawodzenie, że kulący się we własnych domach wieśniacy chwyтали za krucyfiksy i modlili się o zbawienie. Niektórzy, na wypadek gdyby Jezus był akurat zajęty, przywoływali też Thora i Odyna.

— To ci się może przydać w negocjacjach — powiedział brat Aiden, wręczając bardowi pakunek.

Bard pomacał paczkę i skinął głową.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Do czego ma nie dojść? — przemknęło Jackowi przez myśl. Obaj mężczyźni przez cały dzień wymieniali między sobą tajemniczo brzmiące uwagi. Nie mogli otwarcie rozmawiać o draugrze, podobnie jak nie mogli przyznać, że w zatoce stoi okręt Skakkiego. Gdyby to uczynili, wzbudziliby tak wielką ciekawość, że wyrzeże przetrząsałyby całe pielgrzymki, póki mieszkańcy wioski nie odkryliby kryjówek Ludzi Północy. Wszyscy byli przekonani, że wyprawa odbędzie się dopiero za miesiąc.

Goście rodziców Jacka znali oczywiście prawdziwą datę jej rozpoczęcia. Pega ze łzami w oczach wręczyła Jackowi koszyk swoich popisowych ciasteczek. Ciasto, z którego je piekła, było bardzo długo okładane tłuszczem, by gotowy smakołyk mógł zachować świeżość przez całe tygodnie, a nawet miesiące.

— Wiem, że wrócisz, zanim się zepsują — zachlipała. — Musisz wrócić.

— Nie umrę — powiedział Jack.

— Człowiek nigdy nie wie, co go spotka — stwierdziła ze smutkiem dziewczyna, ocierając oczy. — Jeden z moich dawnych właścicieli wyszedł na chwilę, żeby zajrzeć do kur, i zginął stratowany przez byka. Zebrałam potem cięgi, bo to ja miałam przynieść te jajka.

— Gdybyś po nie poszła, byk zaatakowałby ciebie — zauważyła Hazel, która jak zwykle stała u boku Pegi. Odkąd Tannerki przeprowadziły się z powrotem do swojej lepianki, zachowanie dziewczynki uległo olbrzymiej poprawie.

— Ze mną nikt się tam nie liczył — powiedziała Pega.

Jack nie cierpiał, kiedy wspominała swoich właścicieli. Przypominało to wszystkim, że była kiedyś niewolnicą.

— Nic mi się nie stanie — stwierdził z naciskiem.

— Zawsze się tak mówi.

— Dla mnie bardzo się licysz — powiedziała Hazel i przywarła do Pegi.

Dziewczyna pogłaskała ją po włosach i Jack odniósł wrażenie, że jego siostra o wiele bardziej lubi Pegę niż własną matkę. A matka się przecież starała, tyle że zanim córkę przytuliła, zawsze przez moment się wahała. Ojciec nie tulił dziewczynki w ogóle.

Jakoś to się ułoży, pomyślał Jack.

— Chciałbyś nas odprowadzić? — spytał bard brata Aideny.

— Och, nie. Nie mogę — odparł mały mnich i pobladł. — Na sam widok...

— Ostrożnie — przestrzegł starzec, gdyż córki pani Tanner przestały się napychać i nadstawiły uszu.

— Dlaczego nikt się z nami nie żegna? — zapytała Ymma. — Należy nam się miłe pożegnanie.

— Nie wiem, dlaczego tak wciąż szepczecie — dodała Ythla. — Ludzie bez przerwy mnie pytają, kiedy wypływamy, i muszę ich okłamywać.

— Nie drażnijcie barda — napomniała je pani Tanner. — Naprawdę nie wiem, co się z nimi stało po śmierci ojca.

— Za to ja wiem, co się może z nimi stać, jeśli ich gadanina dotrze do niewłaściwych uszu — rzucił Jack. Nagroził go wyraz strachu na twarzach dziewczynek.

Ostatnią noc spędził w domu. Sporów starał się uniknąć, modląc się wraz z ojcem, czego nie robił już od długiego czasu. Nie chodziło o to, że nie lubił modlitw. Lubił słuchać brata Aideny, mimo że nie znał łaciny. Wydawało mu się po prostu, że modlitwa jest formą chrześcijańskiej magii i że niektórzy ludzie są w niej lepsi od innych. Ojciec z kolei zbyt często opowiadał o grzechach i żalu. Gdyby to Jack był Bogiem, wolałby, by jego wyznawcy większą uwagę zwracali na dobre rzeczy.

Chłopak zbudził się przed świtem. Pega już na niego czekała, blada, ze zbolaną miną. Śniadanie zjedli w milczeniu, z wyjątkiem ojca, który co rusz pouczał Jacka, by ten nie dał się wodzić na pokuszenie. Pega cicho płakała. Hazel zaraziła się nastrojem starszej dziewczynki i też zaczęła szlochać. Matka siedziała ze wzrokiem wbitym we własne dłonie. Jack nie mógł się doczekać chwili, kiedy wreszcie wyjdzie z domu.

— To tylko krótka podróż — powiedział, gdy matka odprowadziła go aż do uli. — Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się tym przejmują.

— Płyniesz z Ludźmi Północy — zauważyła matka. — Nawet jeśli, jak twierdzi Thorgil, przyrzekli, że nam pomogą, to i tak przyciągają do siebie niebezpieczeństwo. Tak samo jak dęby ściągają błyskawice.

Pszczoły wykorzystywały długie, letnie dni i latały bez przerwy w tę i z powrotem. W efekcie starannej obserwacji, śledzenia i chwytania nowych rojów dwa ocalałe po burzy ule rozrosły się do czterech.

— Spoglądałam w wodę — powiedziała matka.

Jack poczuł przypływ napięcia. Matka była wieszczką, choć starannie ukrywała to przed ojcem. Jedną z jej tajemnych umiejętności polegała na spoglądaniu w miskę nieruchomej wody, której powierzchnia nabierała dziwnej głębi i ukazywała odległe miejsca lub mające dopiero nadejść wydarzenia. Tego rodzaju wizje rzadko bywały jasne. Matka mogła ujrzeć na przykład jelenia

przechadzającego się po lesie albo kobietę stojącą na urwisku. Znaczenie takich obrazów wyjaśniało się dopiero po czasie.

— Zobaczyłam ciebie — ciebie i Thorgil — w niewielkiej łodzi — ciągnęła. — Był wieczór i słońce malowało na wodzie lśniący, złoty szlak. Próbowałam was wołać, ale ty tylko uniosłeś rękę na pożegnanie. Trzymałeś w niej laskę barda. To wszystko.

— Co to oznacza? — spytał Jack. Swoją laskę utracił, kiedy uwolnił Din Guardi z władzy Nieżycia.

— Nie wiem, ale... — umilkła i chłopak z przerażeniem zobaczył na jej policzkach łzy — .. . miałam wrażenie, że wybierasz się znacznie dalej niż do Bebbas Town. Czułam, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Ależ ja wrócę! — zawołał Jack. — Udało mi się wyrwać z Jotunheimu i przetrwałem w lochach Krainy Elfów, prawda? Nie możesz wierzyć we wszystko, co słyszysz od Pegi.

Matka uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Chyba faktycznie martwię się przez te jej historie. Ostatnio opowiedziała mi o kimś, kto umarł od użądlenia pszczoły, i o innej osobie, która wpadła do studni.

— Wygląda na to, że wszyscy jej dawni właściciele mieli strasznego pecha.

Matka wybuchnęła śmiechem i Jack ucieszył się, że pożegna ją w lepszym nastroju. Jej wizja jednak dała mu wiele do myślenia. On razem z Thorgil w małej łódce? To akurat nie było zaskakujące. Ale słońce zachodziło nad morzem, co na ich wybrzeżu jest przecież niemożliwe. Tutaj morze leżało na wschodzie.

Tannerki zabrały ze sobą wielkie worki pełne ubrań i przyborów kuchennych, których część — jak podejrzewał Jack — pochodziła z jego domu. Po drodze Ymma krzyknęła do jednego z rolników, że wyruszają do Bebbas Town.

Mężczyzna przytknął ręce do ust.

— Jak to?! — zawołał. — Czy statek już przybił?

— Jeszcze nie! — odparł chłopak pośpiesznie i zwrócił się do dziewczyny: — Przecież kazałem ci siedzieć cicho!

— Ale dlaczego mam siedzieć cicho? — odparła Ymma. — Jeszcze ktoś pomyśli, że popłynęliśmy plądrować jak ty z tymi swoimi okropnymi Ludźmi Północy.

— Nie popłynąłem z nimi z własnej woli i nigdy, przenigdy nikogo nie obrabowałem. Gdybyście choć trochę zastanowiły się nad tym, co wygadujecie, podobna myśl nawet nie przyszlaby wam do głowy. — Jack z trudem zachowywał spokój.

— Ja wiem, co to jest plądrowanie — wtrąciła śpiewnie Ythla. — To znaczy, że się ma dużo ładnych rzeczy.

— To znaczy, że się pali i zabija — poprawił chłopak.

Ythla wzruszyła ramionami, a matka nawet nie spróbowała jej napomnieć. Do Jacka nagle dotarło, że Tannerki już niedługo osobiście poznają prawdziwych speców od plądrowania. Poczuł w duchu małe, ciepłe światełko zadowolenia.

Większość ładunku barda znalazła się już na pokładzie, ale najważniejsze przedmioty musieli zanieść sami. Starzec miał tajemniczy pakunek, który dostał od brata Aideny, oraz worek ze swymi najważniejszymi przyborami. Jack pilnował Nadobnej Płaczki, harfy barda i wielkiego ptaka Wędrowca. Kiedy Tannerki zrozumiały, że chłopak nie pomoże im nieść bagażu, zaczęły głośno lamentować.

— Zawsze możecie coś zostawić — poradził. — Jestem pewien, że Pedze bardzo się te rzeczy przydadzą.

— Nigdy w życiu! — syknęła Ymma.

— Wywiozą nas w dzicz! — jęknęła pani Tanner. — Jak możemy porzucić coś, co może uratować nam życie?

— Jesteś bezduszny! — dodała Ythla.

Jack zawahał się przez chwilę. Pani Tanner było mu szczerze żal, ale wiedział też, że nie będzie w stanie udźwignąć niczego więcej. Tak więc wyruszyli. Prowadził i pokazywał drogę bard. Jack został z tyłu, gdyż zamykał rzymski dom.

— Idziemy na północ — odezwał się w ptasiej mowie do Wędrowca, sprawdzając, czy niczego nie zapomnieli. Ptaszą mowę poznał już na tyle dobrze, że potrafił przeprowadzić prostą rozmowę. — Może złapiemy ryby — dodał.

— Ryby są dobre — odpowiedział Wędrowiec, strosząc piórka. — Może znajdziemy samicę.

Tego Jack nie był pewien. Do tej pory nie widział żadnego albatrosa, ale skoro sztorm przygnał do nich jedno takie stworzenie, równie dobrze mógł przywiać i drugie.

Gdy po raz ostatni zamykał drzwi, poczuł czyjaś obecność. Kątem oka ujrzał mężczyznę w białym stroju, trzymającego za ręce dwójkę dzieci. Dzieci śmiały się i wskazywały coś w oddali, ale kiedy chłopak odwrócił się w ich stronę, wizja zniknęła.

Nie martwił się, zostawiając dom niestrzeżony, ponieważ wiedział, że wprowadzą się tu hobgobliny. Jeśli nawet jakiś mieszkaniec wioski postanowi rozejrzeć się po pozornie pustym budynku, spotka go niemiła niespodzianka.

Okazało się, że Wędrowiec lata lepiej, niż Jack się spodziewał, i wkrótce dogonili barda i Tannerki. Thorgil już wcześniej uprzedziła Ludzi Północy o obecności wielkiego ptaka.

— To władca południowego nieba — opowiadała. — Podróżuje z nami, by odwiedzić kruki Odyna. — Historia nie była prawdziwa, za to dawała gwarancję, że nikt nie spróbuje wsadzić albatrosa do garnka.

— Na Asgard, cóż za widok dla moich starych oczu! — zawołał Runa, gdy zobaczył barda. —

Byłem przekonany, że kiedy porzuciliśmy cię na morzu, stałeś się pastwą ryb. Mam nadzieję, że się nie obraziłeś.

— Ależ skąd! — odpowiedział bard. — To była sprawka Frith.

Ludzie Północy zebrali się dokoła. Poza Schlaupem wszyscy znali Smoczego Języka. Półtroll trzymał się nieśmiało z tyłu, póki starzec nie przywołał go skinieniem.

— Schlaupie, synu Olafa! Powiedz, czy Królowa Gór przebaczyła mi już wypalenie dziury w jej ścianie?

— Jeszcze nie — odparł wielkolud, niezręcznie przestępując z nogi na nogę.

Jack tymczasem z trudem powstrzymywał Tannerki przed ucieczką. Na brzegu pozostawały wyłącznie dlatego, że nie chciały się rozstawać ze swoimi bagażami.

— Nie ma znaczenia, kto kieruje statkiem — tłumaczył zrozpaczony chłopak. — Nie musicie z nimi rozmawiać. A zanim się obejrzyicie, dotrzemy do Bebbas Town.

— To Ludzie Północy! — syknęła pani Tanner. — Sprzedałeś nas w niewolę! Dobry Boże, a to co? — jęknęła, gdy Schlaup spojrzał na nią, słysząc jej głos.

Półtroll wyszczerzył się w uśmiechu, demonstrując krzywe zęby.

— To troll! — wrzasnęła Ythla.

— W zasadzie półtroll — poprawił Jack.

— Pożre nas! Na pomoc! Ratunku! Puść mnie! — krzyknęła pani Tanner, próbując wyrwać się chłopakowi.

Skakki przyglądał się temu z rozbawieniem w oczach, ale kiedy wydawało się, że Tannerki rzeczywiście zaraz uciekną, zwrócił się do Schlaupa.

— Dawaj je tu — rozkazał.

Wielkolud skoczył naprzód jak pies myśliwski, zgarnął naraz trzy kobiety i ich worki, po czym przez wodę ruszył do statku.

— Nie puszczaj nas! — zawodziła Ymma. — Nie umiemy pływać!

— Puść nas! — błagała pani Tanner. — Lepiej utonąć niż zostać zjedzonym!

Schlaup jednak nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Wrzucił kobiety na pokład i usiadł obok nich. Wziął między palce i powąchał koniuszek brudnego warkocza pani Tanner.

Wkrótce długi, zgrabny okręt został załadowany i wyslizgnął się z zatoki na wody jasnego, zalanego słońcem morza. Fale miarowo kołysały łodzią, nad głowami podróżnych wydymał się czerwono-śmietankowy żagiel. Thorgil usiadła na rufie i zajęła się sterem.

Gdy oddalili się od lądu, Sven Mściwy wspiał się na dziób i zamocował na nim piękną smoczą głowę, wyrzeźbioną niegdyś przez Olafa, który smoki oglądał na własne oczy. Łódź znowu stała się prawdziwym karfi, opływowym okrętem wojennym, jaki Jack pamiętał z dawnych przygód. Żeglarze zaczęli śpiewać:

*Skąd wieją wiatry,
co falami trzęsą?
Skąd się bierze wicher,
co płomieniami targal*

*Na wielkim Drzewie siedzi orzeł.
Skrzydłami pieni fale jak piwo
w kielichu morza.*

*Wiatry tego świata
biją mu spod skrzydeł.
Cudne, silne, chybkie,
lecz zawsze niewidzialne.*

Widoczna w oddali niewielka ciemna plamka oznaczała pozycję statku Egila Długiej Włóczni. Ciężki i szeroki knorr był idealny do transportu towarów na handel, ale łatwo go było przejąć i ograbić. Dlatego więc Egil polegał na ochronie zapewnianej przez Skakkiego, sam stanowiąc dla berserkerów znakomitą przykrywkę podczas wizyt w miastach.

Jedną z rzeczy, o których Jack zapomniał, była panująca na statku woń. Buty Ludzi Północy cuchnęły jak padlina, a od ich ubrań bił smród starego potu. Pod stopami chlupała brudna woda, same zaś deski, z których zbudowano okręt, przesiąknięte były fetorem rybiej krwi i innych, gorszych jeszcze rzeczy. Morska bryza nieco pomagała, ale nie do końca. Tannerki wisiały na burcie i wymiotowały. Zawstydzony Jack dołączył do nich po niedługiej chwili.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI

Mijali wysepki zamieszkane tylko przez mewy, edredony i maskonury. Po lewej stronie widniała zielona smuga lądu, z prawej mieli tylko bezmiar napływających ze wschodu, kołyszących statkiem fal. Morze było spokojne, choć Tannerki wciąż głośno narzekały i bały się, że lada chwila pójda na dno.

— Czekaj tylko, aż zobaczą prawdziwy sztorm — powiedziała Thorgil, przyglądająca się wraz z Jackiem odległemu wybrzeżu.

— Miejmy nadzieję, że dotrzemy do Bebbas Town, zanim coś takiego się wydarzy — odparł chłopak.

Płynęli niezbyt szybko, by nie zostawić Egila z tyłu. Bard i Runa zajęli miejsca na rufie. Od czasu do czasu któryś ze starców chwycił za harfę i śpiewał. Wtedy członkowie załogi zbierali się wokół nich, a okręt niebezpiecznie się odchylał, unosząc dziób ku górze.

Tego wieczoru rozbili obóz na wysokiej nadmorskiej skarpie. Oba statki kołysały się obok siebie na wodzie. Nie mogli znaleźć dobrego miejsca, by wyciągnąć je na brzeg. Owce cicho pobekiwały, spoglądając na brzeg, a dobrotliwy Schlaup zaniósł im wielkie naręcze trawy. Ludzie Egila rozpalili ognisko. Bard opowiedział historię o tym, jak spędził tydzień na lodowej krze w towarzystwie niedźwiedzia. Runa zareagował na to sagą o Olafie Jednobrewym, który uratował Ivara bez Kości przed trollami i o małżeństwie Ivara z półtrollką Frith.

— To był ogromny błąd — zauważył Sven Mściwy.

— Nie możesz mieć do Ivara pretensji — zaprotestował Egil Długa Włócznia. — Kiedy miała dobry humor, była naprawdę piękna.

— Ale wiesz, co się dzieje, kiedy półtrolle tracą nad sobą panowanie... — zaczął Sven.

— Uważaj! — Egil spojrzał na Schlaupa, który jednak nie zwracał na ich rozmowę uwagi, wachając właśnie warkocz uśmiechniętej niczym podfruwajka pani Tanner.

Jack przyglądał się temu w najwyższym zdumieniu. To chyba niemożliwe, by ten wielkolud... Nie mieściło mu się w głowie, by...

— Czy ona mu się podoba? — spytał szeptem Thorgil.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— Dlaczego nie? Pani Tanner jest mocno zbudowana, a dla trolli to ważne. Poza tym dowiodła już, że może rodzić dzieci. Co więcej, potrafi nim rządzić.

To prawda, pomyślał Jack. Odkąd matka Ymmy i Yhtli zdała sobie sprawę, że Schlaupem

można pomiatać, zaczęła mu wydawać nieskończony łańcuch poleceń. Co chwila posyłała go to po przekąski, to po skóry na posłania lub kolejne bukłaki cydru. Za dnia półtroll posłusznie stawał w pełnym słońcu, by zapewnić kobiecie cień. Do takiego traktowania wszystkie gbury były przyzwyczajone przez swoje żony i matki.

— Ale co ona może w nim widzieć? — podjął Jack.

— Jestem zaskoczona, że możesz wątpić w zalety mojego brata — oburzyła się Thorgil. — Jest wielki i silny i widać, że potrafi zapewnić rodzinie godziwy byt. A pani Tanner potrzebuje kogoś, kto zaopiekuje się jej córkami i nią samą.

Chłopak stwierdził, że to sensowne wyjaśnienie, choć nadal nie był do końca przekonany. Chęć posiadania osobistego niewolnika na czas podróży rzeczywiście była do pani Tanner podobna. Wątpił jednak, by chciała pokazywać się w towarzystwie półtrolla, gdy wreszcie dotrą do celu. Thorgil co prawda nie zauważała wad Schlaupa, ale każdy normalny człowiek widział je doskonale.

— Tak przy okazji, gdzie Ymma i Ythla? — spytał.

Thorgil rozejrzała się dokoła.

— Przypuszczam, że gdzieś na statku. Nie potrafią pływać i nie chciały, by Schlaup zniósł je na brzeg.

Chwilę później bard zawołał Thorgil i poprosił, by wyrecytowała wiersz. Dziewczyna chętnie się zgodziła.

Wstał także Wędrowiec, który dotąd siedział u jej stóp. Głośno zakrzeczał. Wszyscy już wiedzieli, że był to jego okrzyk zwycięstwa. Drażliwość albatrosa i nieustanna gotowość do bójki oczarowała Ludzi Północy od samego początku. Wędrowiec z kolei uznał załogę za część swego stada.

— Jestem wielki, jestem potężny, jestem przerażający — skrzeczał.

— Siedź spokojnie, teraz mówi Dziobiąca z Daleka — powiedział Jack. Przez jakiś czas zastanawiał się, jak powiedzieć po ptasiemu „Thorgil”, ale albatros sam nadał dziewczynie nowe imię, kiedy ujrzał ją miotającą włócznią.

Wędrowiec przycupnął i mruknął z zadowolenia.

Thorgil opowiedziała jedną ze swych krwawych sag, kończących się okrutną śmiercią wszystkich bohaterów. Jack nie słuchał jej zbyt uważnie. Zastanawiał się, co takiego mogą robić na statku córki pani Tanner.

Następne dni upłynęły jednak spokojnie — o ile można nazwać spokojnym rejs na statku Ludzi Północy. Runa — w obawie o swój słuch — kazał zamilknąć Erykowi Pięknołicemu, co Eryk odreagował, tłukąc Svena Mściwego, który z kolei zagroził natychmiast, że odrąbie towarzyszowi głowę.

— Uspokój ich — polecił Skakki Schlaupowi, po czym Eryk i Sven ocknęli się po przeciwnych

stronach łodzi, zupełnie nie pamiętając, jak się tam znaleźli.

Ostatni obóz, już blisko Bebbas Town, rozbili w małej zatoczce odciętej od głównej części łądu wysokimi klifami. Ludzie Północy bywali tu na tyle często, że wybudowali niewielką przystań oraz postawili kilka chat i zagród dla koni i owiec. Egil sprowadził swój ładunek na łąd. Skakki kazał rozbić obóz, gdyż berserkerzy nie mogli pokazać się nikomu tak blisko Świętej Wyspy. W Bebbas's Town ktoś mógłby ich rozpoznać. Thorgil do czasu swego powrotu przekazała Wędrowca pod opiekę Runy.

Plan był następujący: Egil miał zabrać barda i jego towarzyszy do miasta, po czym zaczekać, aż starzec kupi zboże i załatwi sprawę draugra z ojcem Severusem. Potem zamierzali wraz z Egilem wrócić do wioski, a Skakki przez cały ten czas miał czekać w ukrytym porcie.

Rankiem Jack i Thorgil przebrali się we wspaniałe stroje, które otrzymali od Pani Jeziora. Chłopak włożył białą tunikę i niebieski płaszcz z haftowanymi srebrną nicią gwiazdami i księżycami. Thorgil przywdziała granatową tunikę i płaszcz w kolorze leśnej zieleni, ozdobiony na rąbku wzorami w kształcie winorośli. Oboje przez ostatni rok urosli, ale co ciekawe, ubrania urosły wraz z nimi. Bard tłumaczył, że materiał utkano z sierści kóz karmiących się liśćmi Yggdrassila, dzięki czemu uszyte z niego stroje odnawiały się co roku wraz z Wielkim Drzewem.

Najpierw chcieli odwiedzić króla Brutusa i poprosić go o udzielenie schronienia.

— Wolałbym nie spać w klasztorze po omówieniu z Severusem problemu draugra — oświadczył bard.

— Zamierzasz przywołać tę wiedźmę? — spytał Jack.

— To zależy od tego, jak zareaguje Severus. Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, co się stało mojej córce. Regularnie posyłam jaskółki, by sprawdzały, jak się miewa. Ostatnio doniosły mi, że jest bardzo nieszczęśliwa.

To chłopaka nie zaskoczyło. Ethne była półelfką i większość życia spędziła, zaznając rozkoszy, o jakich ludzie mogli tylko pomarzyć. Nie wyobrażał sobie, by była w stanie kiedykolwiek przywyknąć do życia zakonnicy.

— Co gorsza, przez dwa ostatnie miesiące jaskółki w ogóle nie mogły jej odnaleźć. Próbowałem dalekowidzenia i udało mi się zobaczyć ją tylko przez chwilę. Siedziała w małym, ciemnym pomieszczeniu. To bardzo niepokojące.

Kiedy statek Egila był gotów do drogi, doszło do małego kryzysu. Do Schlaupa dotarło nagle, że Tannerki wyjeżdżają, i zażądał, by zabrali go ze sobą.

— Nie, Schlaup. Ty zostajesz — rozkazał Skakki.

— Chcę mojego trollowego kwiatuszka — huknął olbrzym.

— Chcę ją za żonę.

Pani Tanner wraz z córkami ukryła się za stosem koszy na statku Egila. Jack rozumiał, że

kobiety miały nadzieję się wymknąć, zanim zauważy je Schlaup.

— Nie możesz popłynąć do Bebbas Town. Zabiją cię tam — tłumaczył Skakki.

— Mnie nikt nie zabije — rzucił wielkolud i uderzył się w pierś.

— Zabiją i ciebie, i mnie. Nie możemy walczyć z całym miastem.

— Więc ona tu zostanie!

Schlaup zdawał się rosnąć w oczach. Jack przypomniał sobie, że gdy Frith wpadała w furję, także potrafiła zmieniać kształt, i zaczął się martwić o to, jaką postać przybierze półtroll. Ludzie Północy cofnęli się niepewnie. Bard uniósł laskę. Na pomoc przyszła jednak sama pani Tanner.

— Zły Schlaup! — wrzasnęła z pokładu. — Wróć, jak załatwię sprawunki. A jeśli dalej będziesz się tak ciskać, zaraz tam pójde i natrę ci uszu!

Chłopak pomyślał, że natarcie uszu półtrollowi nie będzie prostym zadaniem, zwłaszcza że kobieta nie jest nawet w stanie do nich sięgnąć.

Schlaup jednak skapitulował od razu.

— Przepraszam, kwiatuszku! Nie złość się. — Zadrżała mu warga.

— No, tak lepiej — rzuciła pani Tanner. — Jeśli będziesz dobrym gburem, przywiozę ci z miasta coś ładnego. A teraz siadaj i zachowuj się.

Gigant posłusznie przykucnął i powiódł wzrokiem za odpływającym statkiem. Jack widział na brzegu wielki, przysadzisty kształt jeszcze długo potem, kiedy wszyscy inni zniknęli mu z oczu.

Rozejrzał się za bardem i znalazł go stojącego na dziobie. Starzec przyglądał się rozcinanym przez smukłą łódź falom.

— Wybacz, panie — spytał — ale co będzie, jeśli pani Tanner nie wróci? Nie sądzę zresztą, by zamierzała.

— Spodziewam się, że to zmartwi Schlaupa — odparł starzec.

— Tak, tylko co on wtedy zrobi?

— Nie wyrządzi nam krzywdy. Coś takiego nie leży w jego naturze. — Bard usiadł na jednej ze skrzyń z rzymskiego domu. Wieźli w niej „Specyfik Belzebuba przeciwko Muchom”.

— Teraz, na brzegu... — Jack nie był pewien, jak ma to opisać. — Schlaup się zmienił. Urósł. Przypomniała mi się Frith...

— Ach! Więc to tym się martwisz. Odpowiedź brzmi tak: owszem, Schlaup potrafi zmieniać kształt, kiedy wpadnie w szal, ale nigdy nie zaatakowałby przyjaciół. Powstrzymuje go solidny, odziedziczony po Olafie charakter. Podobnie jak ojciec ma otwarte serce i tak jak jego trollowa matka nie jest w stanie kłamać. Szkoda tylko, że zakochał się w kimś, kto nie wie nawet, co to prawda.

— Zakochał się? — rzucił przerażony chłopak.

— Obawiam się, że tak. I masz rację, pani Tanner ani przez chwilę nie zamierzała wracać.

Schlaup może się wściec, kiedy to zrozumie, ale z tym będziemy musieli się uporać we właściwym czasie. Czy wiesz, skąd wzięło się jego imię?

Jack pokręcił głową. Usiadł naprzeciwko barda i poczuł na twarzy wzbijane przez dziób okrętu kropelki wody. Rzeźba dziobowa na statku Egila, orzeł z rozpostartymi skrzydłami i otwartym do skrzeku dziobem, spowita była tęczą. Promienie słońca migotały w delikatnej mgielce.

— Daleko na północy leży wyspa, na której wznosi się góra całkowicie skuta lodem — zaczął bard. — Spływające jej zboczami rzeki zamarzły, a śnieg sprawia, iż szczyt każdego roku sięga jeszcze wyżej. Można go ujrzeć z odległości wielu mil, a w ciemności można zobaczyć na niebie lunę odbijającego się od góry światła.

— Runa opowiadał mi o tej wyspie. Mówił, że góra pomaga Ludziom Północy odnajdować drogę na morzu.

— Byłem tam — ciągnął starzec. — Runa odwiedził tę wyspę kilka razy, poszukując morsów na kły. Trzeba ci jednak wiedzieć, że we wnętrzu lodowej góry płonie ogień. Runa twierdzi, że mieszka tam smok, ale ja sądzę raczej, że otwiera się w niej szczelina prowadząca do Muspelheimu, krainy ognia.

Nad ich głowami przeleciała szybująca mewa. Po chwili zawróciła i wylądowała obok barda. Usiadła niczym oswojony ptak i starzec pogłodził jej pióra. Zupełnie jak święty Kutbert, pomyślał Jack.

— Jakkolwiek by było, płomienie wydostają się niekiedy na zewnątrz — podjął bard — topią wtedy lód od spodu, aż cała ściana góry obluzowuje się i spada jedną, potężną i wspaniałą lawiną. Właśnie na taką lawinę Ludzie Północy mówią schlaup. I tak zapewne wygląda nasz przyjaciel, kiedy wpada w szal. A teraz, chłopcze, zostaw mnie samego, chciałbym trochę pomyśleć. Do Bebbas Town już niedaleko.

Wracając na rufę, Jack minął Tannerki zbite w ciasną grupkę i otoczone swoimi bagażami niby murem fortecznym. Przypominały stado kruków, strzegących ciała padłego jelenia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

RÓŻOWA TWIERDZA

Najpierw Jack zobaczył stojącą na skale fortecę Din Guardi. Przetarł oczy ze zdumienia, by upewnić się, że nie śni. Rok temu forteca została zniszczona tak doszczętnie, że kamień nie pozostał na kamieniu. A jednak teraz wznosiła się znowu, jeszcze potężniejsza niż przedtem. Dawne mury były szare i poznaczone plamami, jakby zaatakowane przez jakąś chorobę. Teraz miały barwę lekko różową. Mury obronne, niegdyś niedostępne, udekorowane zostały zielonymi skałkami, ułożonymi tak przemyślnie, że wyglądały jak wspinające się na blanki pnącza. Na każdym rogu fortecy strzelała ku niebu różowa wieża, ozdobiona najpiękniejszymi flagami, które łopotały wesoło na wietrze.

Możliwe, iż tak właśnie wyglądała za czasów Lancelota, przodka króla Brutusa. Wówczas nazywała się Joyous Gardę i była miejscem pełnym muzyki i śmiechu. Kiedy jednak popadła w Nieżycie, radość odeszła. Komnaty przez cały rok skuwał mróz, a w ponurych, szarych korytarzach i na dziedzińcach Din Guardi nie wyrastały nawet chwasty.

— Jak to możliwe? W jaki sposób Brutus tego dokonał? — spytała Thorgil stojąca obok chłopaka.

— Pomogła mu Pani Jeziora — wyjaśnił Jack. — Zapewne skorzystała przy tym z magii.

— W takim razie nie zaufam podłogom tego pałacu. Widziałam już, jak magia Krainy Elfów przestaje działać — stwierdziła młoda wojowniczką.

— Cięższe prace wykonywali mnisi od świętego Filiana, a oni nie stosują żadnej magii.

Okręt zawrócił ku portowi Bebbas Town i żeglarze Egila doprowadzili go do celu. Cała załoga została starannie dobrana. Nie było pośród niej berserkerów, ponieważ tych wojowników nie dało się kontrolować. Skórzane zbroje zostały zastąpione tunikami. Wszyscy znali mowę Sasów na tyle dobrze, by udawać przybyszy z innej części wyspy. Od tubylców różnili się też wyglądem. Marynarze Egila byli od nich wyżsi, a ich błękitne oczy pobłyskiwały jak u wilków. Spostrzegawczy obserwator zauważyłby również zgrubienia na rękach, powstałe wskutek długotrwałych ćwiczeń z bronią, ale większość ludzi nie była wystarczająco uważna.

Szeroki knorr dotknął nabrzeża i wkrótce został przycumowany. Przyglądało się im wielu ludzi, chcących przekonać się, jakież to ładunek przywiózł niezwykle statek. Egil zabrał na handel niewiele towarów: miski ze steatytu, patelnie i miedziane kociołki — inne dobra sprzedał już wcześniej. Ładunek barda miał zaczekać na pokładzie aż do dnia targowego.

— Póki nie znajdziecie sobie jakiegoś schronienia, możecie nocować tutaj — zaproponował Egil pani Tanner.

— Dość już mam statków — syknęła. — Jak dla mnie to nic więcej tylko pułapka. A w tym mieście mieszka mój brat, który ma obowiązek nam pomóc.

Odeszła, nie mówiąc dziękuję ani nawet do widzenia. Ymma i Ythla ruszyły w ślad matki. Wszystkie trzy ciągnęły za sobą swoje pękate worki.

— I krzyżyk na drogę — mruknął Jack pod nosem.

Nastrój mu się poprawił, gdy ruszyli drogą prowadzącą do Din Guardi, mimo że musiał dźwigać Nadobną Płaczkę. Dzwon został otulony wieloma warstwami tkaniny, wskutek czego zawiniątko było za duże, by wcisnąć je pod pachę. Mieszkańcy miasta ustępowali im z drogi, zachwyceni wspaniałymi strojami Jacka i Thorgil i jeszcze bardziej ujęci nieskazitelnie białym płaszczem barda. Starzec założył sobie na głowę wieniec z dębowych liści. Ponieważ trzymał też laskę z ciemnego jesionu, wydawał się wszystkim potężnym czarnoksiężnikiem.

Odbudowana Din Guardi nie była otoczona Żywopłotem, co chłopaka bardzo ucieszyło. Dawniej Żywopłot stanowił barierę pomiędzy fortecą a światem zewnętrznym, choć nie został zasadzony dla ochrony. Był czymś w rodzaju niemej armii rosnących blisko siebie drzew, strzegącej granicy Nieżycia. Kiedy ktoś przechodził przez tunel łączący twierdzę z miastem, drzewa chwyciły go gałęziami za nogi i smagały po twarzy. Po upadku Nieżycia Żywopłot zniszczył starą Din Guardi i nikt już nigdy nie ujrzał ludzi, którzy znajdowali się wówczas za jej murami.

Nowa budowla była otwarta na niebo i morze. Wywarła na Jacku silne wrażenie, choć zaskoczył go brak strażników. Brama stała otworem.

— Czy to nie jest niebezpieczne? — zapytał.

— Pałac wzniesiony z kamienia, miecz pod ręką... wszystko to na nic, gdy czujność zawodzi — zacytowała Thorgil.

— Bardzo słusznie, córo miecza — pochwalił bard. — Brutus jest słabym królem, bardziej niż do wojny nadaje się do śpiewania miłosnych kupletów. My jednak nie mamy wyjścia i musimy z nim współpracować.

Weszli do środka i krążyli przez chwilę niepewnie, póki nie natknęli się na sługę, niosącego tacę z pasztetami.

— Zapowiedz nasze przybycie — polecił mu starzec. — Powiedz królowi Brutusowi, że odwiedził go Smoczy Język z dwójką przyjaciół. Prosimy o kwatery.

Służący nie miał wątpliwości, że powinien być posłuszny gościowi, i szybko oddalił się wykonać rozkaz.

— Rozkład pomieszczeń jest zupełnie inny od tego, który pamiętam — zaczął narzekać bard. — I całkiem nie nadaje się, do obrony. Podejrzewam, iż Brutus zapomniał, że tutaj powinna

stacjonować gotowa do walki armia. Poza tym kto to słyszał, żeby forteca była różowa?

Po chwili wrócił sługa i zaprowadził ich do sali tronowej. Brutus leżał rozparty na kanapie, a wszędzie wokół stały lub siedziały na poduchach kobiety w długich, zwiewnych sukniach. Niektóre trzymały w rękach instrumenty, inne — tace z przysmakami. Wszystkie starały się zwrócić na siebie uwagę władcy, który leniwie przyjmował ich dary — pierniki, kawałki kurczaka i inne frykasy — i od czasu do czasu wskazywał gestem damę z instrumentem, na którego brzmienie miał akurat ochotę.

— Widzę, że jak zwykle marnotrawisz swój czas — rzucił bard, mocno stukając laską o posadzkę.

— Smoczy Język! — zawołał Brutus, podrywając się na równe nogi. — Jak dobrze cię widzieć! I ciebie także, Jack. Thorgil! Wyrosła z ciebie czarująca kobieta!

Dziewczyna oblała się rumieńcem, a Jack poczuł złość. Jego komplementy zawsze ignorowała, lecz teraz nawet się uśmiechnęła.

— Nie mogę się z tobą zgodzić, Smoczy Języku. Damy nigdy nie pozwalają nam tracić czasu — powiedział Brutus.

Dworki zachichotały, kilka z nich zarzuciło zalotnie włosami.

— Musisz pamiętać, że jesteś królem. Powinieneś zajmować się rządzeniem — syknął bard, ale władca nie wydawał się ani trochę zawstydzony.

— Rządzeniem zajmuje się ojciec Severus — odparł. — Jest ode mnie o wiele lepszy w utrzymywaniu porządku i szczerze uwielbia trudzić się tymi nudnymi sprawami. Jak wiecie, jest teraz opatem klasztoru. Ja za to stanowią dla niego inspirację.

Starzec pokręcił głową.

— Jesteś beznadziejny, jak zresztą cały ród Lancelota. Ale ja przybywam w interesach. Dzikie Łowy zniszczyły naszą wioskę i muszę kupić zboże. Czy w tej różowej ohydzie jest jakiś zakątek, w którym stary mężczyzna i dwójka dzieci znajdą chwilę wytchnienia?

— Oczywiście! — powiedział Brutus. — Pomyślmy... Wolna jest Ametystowa Komnata, chyba że wolelibyście Łabędią Salę. Jest cała biała. Mój Boże, zlałbyś się tam z tłem! — Król był cały rozanielony.

— Wystarczy nam dowolny pokój z łózkami — rzucił bard.

— Musimy wydać ucztę z okazji waszego przybycia. Mój kucharz jest przewspaniały. Prawdziwy z niego wynalazca. Zeszłej nocy zaserwował nam pieczone prosię nadziewane jagnięcina faszerowaną mięsem gęsi, nadzianej gołębiami, które faszerowano słowikami. W pewnej chwili zaczęliśmy się zakładać o to, kto pierwszy dotrze do następnej warstwy.

Brutus odesłał kobiety, wydając im rozmaite polecenia. Słudzy przyciągnęli krzesła.

— Miałem nadzieję spotkać się z Ethne — przyznał bard. — Ona zupełnie nie nadaje się do

klasztornego życia, a moim zdaniem lepszej królowej nie mógłbyś znaleźć. Odwiedzasz ją kiedykolwiek?

Król Brutus po raz pierwszy od ich przybycia zrobił zakłopotaną minę.

— Nie słyszałeś jeszcze? — spytał.

— Mieszkam w maleńkiej wiosce. Tam ciężko usłyszeć cokolwiek. Zachorowała?

— Nie do końca o to chodzi — odpowiedział król.

— Więc gdzie ona jest? Natychmiast pójde jej pomóc.

Brutus nerwowo splótł palce i przygryzł dolną wargę. U większości mężczyzn wyglądałoby to po prostu głupio, król jednak zrobił się jeszcze bardziej uroczy. Jedna z dworek westchnęła nad swym instrumentem.

— Nie wolno. To znaczy ojciec Severus na to nie pozwoli — wydukał król. — To ma coś wspólnego z kościelnymi zasadami. A mówiłem mu, że to nie jest dobry pomysł. Chciałem posłać do ciebie wiadomość, ale... — Bezradnie rozłożył ręce.

— Ale nie chciałeś sobie tym zaprzętać głowy! — zagrzemiał bard. — Na brwi Odyna! Jesteś królem. To ty masz wydawać rozkazy ojcu Severusowi, nie na odwrót. A teraz mów, gdzie jest moja córka!

— To dość niezręczne...

— Jeśli w tej chwili nie powiesz mi, co się stało, za chwilę zaczniesz skakać po bagnie pełnym żurawi. Kumkając!

W powietrzu rozległy się trzaski maleńkich błyskawic. Wiszące na ścianach gobeliny wydeły się, jakby poruszone podmuchem wiatru. Jedna z dworek omdlała i osunęła się na ręce swoich towarzyszek. Brutus opowiedział wszystko natychmiast, raz po raz rzucając szybkie spojrzenia, by sprawdzić, jak starzec przyjmuje nowiny. Z jego słów wynikało, że Ethne oszalała. Choć nie do końca. Otóż córka barda zaczęła słyszeć głosy. A coś takiego jest u każdego oznaką szaleństwa, z wyjątkiem sytuacji, kiedy słyszy się je naprawdę. Ethne zaś, naprawdę je słyszała. Były to głosy jej elfich krewnych, którzy próbowali nakłonić ją do powrotu.

Głosy elfów nawiedzały ją co noc. Wypełniały jej uszy opowieściami o wspaniałościach Krainy Elfów i proponowały, że zabiorą ją do domu, jeśli tylko przerwie swoją misję i zrezygnuje z otrzymania duszy.

— Ojciec Severus ich nie słyszał, ale ja tak — mówił Brutus. — Elfy nigdy się przede mną nie kryły, a ich królowej podobam się od zawsze.

— Wiem o tym — rzucił bard z niesmakiem. — Tego się właśnie od samego początku obawiałem. Moja biedna dziecina jest rozdarta pomiędzy oboma światami i wybrała zbyt trudną dla siebie ścieżkę. Chciałem zanurzyć ją w sile życiowej, a ten niedobry kapłan ją od niej odgradził. Niech no tylko dostanę go w swoje ręce. Gdzie ona jest?

— W tym cały problem — przyznał zbolalym głosem król. — On ją naprawdę odgrodził. Jest co prawda żywa, ale umieścił ją w jedynym miejscu, do którego elfy bały się wejść. W klasztorze, w pobliżu kaplicy, jest taki maleńki pokój. Pełno w nim chrześcijańskiej magii, a Jasny Lud nie jest w stanie jej znieść. Tam właśnie zamknął ją ojciec Severus, a jego mnisi zamurowali drzwi ceglami. Jedynym otworem w ścianach tego pomieszczenia jest wąskie okno.

— To znaczy Ethne nie może nawet wyjść?! — zawołał Jack. Widział kiedyś ten pokój na własne oczy. Był niewiele szerszy od łóżka i niewiele od niego dłuższy.

— Lepsza śmierć od takiego życia! — zawołała Thorgil.

— Ethne sama się na to zgodziła — powiedział Brutus. — Cierpiała przez te głosy i bardzo chciała zasłużyć sobie na duszę. Jedzenie i picie otrzymuje przez okno i nie jest całkowicie pozbawiona rozrywek. Może słuchać modlących się mnichów. A opat — ojciec Severus — kilka razy w tygodniu wygłasza kazania. Ach, i pozwolił jej zatrzymać kota.

— Dzięki niech będą Frei — odetchnął bard. — Wciąż ma Pangur Bana.

— To on się tak nazywa? Zwierzak wchodzi i wychodzi przez okno i przynosi jej różne rzeczy z zewnątrz.

Król wyglądał, jakby ulżyło mu na widok aprobaty starca, ale już mgnienie później laska barda znów gruchnęła w posadzkę, aż zatrzęsły się mury.

— Wiele masz na sumieniu — rzucił starzec. — Powinieneś być odebrać mu Ethne i ją poślubić. Miłość odeгнаłaby ułudy Krainy Elfów. Miłość i prawdziwe światło słońca. Mam jednak na głowie poważniejsze zmartwienia niż wymierzenie ci kary. Muszę się teraz udać do świętego Filiana, ponieważ zajmuję się pewnym zbyt długo nieuregulowanym długiem. I obawiam się, że do jego spłaty nie wystarczy nawet cały skarb, który ojciec Severus zgromadził sobie w niebie.

Król Brutus podarował im kucyki, ponieważ do klasztoru było dość daleko. Nalegał też, by zabrali na drogę kosz pasztecików. Bard odmówił, gniewnie machając przy tym ręką, ale Thorgil chętnie przyjęła poczęstunek. Wręczając kosz, władca przytrzymał jej dłoń o chwilę za długo.

Ani Jack, ani Thorgil nie śmieli odezwać się do starca. Jechał w milczeniu na czele kawalkady, a powietrze wokół niego drgało niczym nad rozgrzany słońcem polem. Kiedy jednak dotarli do sosnowego zagajnika nieopodal klasztoru, bard skręcił w bok i znalazł trawiastą łąkę.

— Jeśli wjadę do świętego Filiana w takim nastroju, zniszczę całe to miejsce — oświadczył. — Nie przypomina ci to niczego, Jack?

Chłopak skrzywił się nieprzyjemnie. Rok temu sam przypadkowo wywołał trzęsienie ziemi. Mnisi grozili wtedy, że wrzucą jego siostrę do studni świętego Filiana.

Puścili kucyki samopas, a sami urządzili sobie piknik. Jack widział w oddali klasztorne mury. Pęknięcia powstałe po trzęsieniu ziemi zostały zamurowane, a całość budowli pobielono wapnem. Wokół klasztoru rozciągał się wielki ogród, a na skraju terenów Pani Jeziora wzniesiono nowy

biały budynek. Aby osiągnąć tak wiele, ojciec Severus musiał trzymać swych mnichów naprawdę krótko.

— Jak sędzę, to klasztor dla kobiet — zauważył bard, przyglądając się nowej budowli.

Jack odłożył zawiniątko z Nadobną Płaczką, a Thorgil rozdała paszteciki. Ciasto było chrupkie, mięso delikatne i smaczne, świetnie doprawione różnymi ziołami. W koszu znaleźli również butelkę miodu.

— To zachowam na później — powiedział bard. — Muszę mieć jasny umysł.

Wyglądało na to, że na świeżym powietrzu i po dobrym posiłku poprawił mu się nastrój.

— Powtarzałem ci często — odezwał się po chwili starzec — że nigdy nie powinno się posługiwać gniewem, by sięgnąć po siłę życiową. A jednak to właśnie chciałem sam zrobić. — Pokręcił głową. — Żyję na tym świecie już naprawdę długo, ale śmiertelnicy wciąż są w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

Śmiertelnicy? — powtórzył Jack w zadumie, ale nie śmiał spytać, co takiego bard miał na myśli.

— Muszę sprawdzić kilka rzeczy, zanim pojawię się u świętego Filiana — dodał starzec, sięgnął do worka i wydobyl z niego srebrny flet Amergina.

— Jakie to ładne! — Thorgil aż krzyknęła.

— Poczekaj, aż zobaczysz, co on potrafi — powiedział Jack.

Bard zagrał najpierw melodyjkę, rozedrganą, wznoszącą się niczym góra, z której spływają wartkie strugi. Na gałęziach nad starcem usiadły ptaki. Przechylały łebki, nasłuchujące. Po chwili melodia zabrzmiała smutkiem, choć może raczej po prostu powagą. Tak mogła dźwięczeć pieśń starożytnego lasu. Muzyka opowiadała o przemijaniu czasu i piękna. Mówiła, że wszystko kiedyś powraca do ziemi, nawet drzewa oglądające przybycie Rzymian, którym przyświecały wielkie plany. Ale i Rzymianie, razem z drzewami, powrócili do ziemi. Tam przez jakiś czas odpoczęli, po czym wyszli ponownie na świat wraz ze słońcem, jak wszystkie zanurzone w sile życiowej stworzenia. Bard odłożył flet. Thorgil ukradkiem otarła łzy z oczu.

— No już — powiedział starzec. — Musiałem sobie przypomnieć o tym, co jest naprawdę ważne, gdyż inaczej mógłbym stracić nad sobą panowanie i sprowadzić pioruny na głowę tego głupca Severusa. Teraz zagram coś innego. — Przyłożył flet do ust i wydobyl z niego dźwięk tak niski, że Jack poczuł go głęboko w piersi.

Nuta potoczyła się pomiędzy sosnami. Uciekły przed nią ptaki. Przypominało to nieco pomruk wielkiego, zadowolonego z siebie kota. Jack poczuł się senny i przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby zwinąć się w kłębek przy ogniu. Nagle olbrzymi, biały jak śnieg kocur wyskoczył z drzwi klasztoru i wbiegł na wzgórze najszybciej, jak potrafił. Chwilę potem był już na wierzchołku i wdrapał się na barda.

— Ty stary szakalu! Jesteś taki ciężki, że pewnie pożarłeś już połowę kurcząt z okolicy! —

zawołał starzec, zganiając z siebie zwierzaka. Kot zaczął się wić pomiędzy jego nogami, ocierał się i miauczał. — Tak, tak. Ja też za tobą tęskniłem. Wiele czasu minęło, odkąd bawiliśmy w Dolinie Pieśni. Siadaj, stary przyjacielu.

Kocur usłuchał i przyjrzał się dzieciom inteligentnymi błękitnymi oczyma.

— To jest Jack, mój uczeń — dokonał prezentacji bard. — A to jest Thorgil. Córka Olafa z Krainy Północy. Jacku i Thorgil, poznajcie, to jest właśnie Pangur Ban.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

PANGUR BAN

Pangur Ban melodyjnie zamiauczał, co Jack uznał za powitanie.

— Tobie też życzę dobrego dnia — odpowiedział chłopak.

Po chwili pozdrowiła kocura Thorgil.

— Jest taki duży i biały — powiedziała. — Gdyby nie był taki sympatyczny, pomyślałabym, że to trollowy kot.

— Możesz mówić bezpośrednio do niego — poradził bard. — Pangur Ban rozumie każde nasze słowo.

— Cóż, w takim razie przepraszam, że nazwałam cię trollem — odezwała się dwornie wojowniczką.

Kocur obwąchał ją dokładnie. Zadrżał mu ogon, a z pyszczka dobyło się dziwne, szybkie wołanie.

— Tak, jest przyjaciółką istot powietrza — potwierdził bard. — Przypadkiem napiła się smoczej krwi. To jednak nie daje ci prawa, by na nią polować. Przepraszam, Thorgil. Pangur nieco się gubi, gdy wyczuje ptasi zapach.

— Jeśli spróbuje na mnie zapolować, skończy jako dywanik na podłodze mojego domu — ostrzegła dziewczyna.

Jack szybko podał kotu pasztecik. Pogładził białą sierść, za co został nagrodzony głębokim, sennym pomrukiem.

— Dobrze się stało, panie, że podarowałaś go Ethne. Wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności — powiedział.

— Możesz nazywać to szczęściem — odparł starzec — ale, jak sam wiesz, tego rodzaju rzeczy nigdy nie dzieją się bez celu. Pangur przybył na irlandzkim statku, zanim jeszcze byłem świadom istnienia Ethne. Poprosił mnie o miękkie posłanie w klasztorze, bo naprawdę lubi klasztory. Nigdy nie brakuje w nich jedzenia, a mnisi go wprost uwielbiają. Kiedy Ethne ogłosiła, że chce zyskać duszę, pomyślałem sobie: Nic nie może bardziej pomóc mojej córce niż stary, bywały w świecie kocur, taki jak Pangur Ban.

Starzec zaczął wypytywać kota o Ethne. Jak się czuje? Czy dobrze ją karmią? Czy chciałaby, żeby stary ojciec zburzył ściany i zaprowadził ją do króla Brutusa?

Kot zamiauczał z powątpiewaniem.

— Wiem, że to nie najlepszy mąż na świecie, ale z pewnością szczerze by ją uwielbiał —

wytłumaczył bard.

Kawałek po kawałku, dzięki bardowi, który tłumaczył kocią mowę, Jack rozeznał się w sytuacji. Ethne zapadła w rodzaj transu. Z jednej strony cieszyła się, że jest już wolna od elfich głosów. Z drugiej — w jej obecnym życiu działo się tak niewiele, że większość czasu spędzała, patrząc przed siebie w pustkę. Dwa razy dziennie podawano jej przez okno jedzenie i zabierano odpadki. Nikt z nią nie rozmawiał. Słuchała stłumionych murami modlitw mnichów i kazań ojca Severusa, ale te przestały ją cieszyć już jakiś czas temu.

Raz po raz oddawała się modlitwie, przechadzając się tam i z powrotem po kawałku podłogi między łóżkiem a ścianą. Resztę czasu spędzała pogrążona we śnie. Pangur Ban odchodził od zmysłów, próbując jej znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, ponieważ nawet koty nie są w stanie znieść niekończącego się głaskania. Przynosił jej więc smakołyki. Plądrował klasztorną kuchnię, porywając z niej ciasta, owoce i pieczone ptaki...

Pangur Ban oblizwał pyszczek i spojrzał na Thorgil.

Oczywiście, klasztor nie przypominał już tego bogatego, pełnego wygód miejsca, do którego trafił ojciec Severus. Mnisi żyli przede wszystkim o chlebie i wodzie, pieniała się też mania samobiczowania.

— Samo... czego? — spytał Jack z niedowierzaniem.

— Mnisi okładają siebie samych pejcami — wyjaśnił bard. — Uważają, że nabędą od tego cnoty. Ja jednak nigdy chyba nie zrozumieję chrześcijan.

Jack też nie był w stanie tego pojąć. Pamiętał jeszcze chłostę, jaką otrzymywał od ojca, i nie dostrzegał w niej niczego cnotliwego.

Co ważniejsze, Pangur Ban przynosił Ethne kawałki zewnętrznego świata. Na przykład pokryte liśćmi pnącza, kwiat róży, garść żołądki. Znosił jej także myszy i małe ptaszki. Ethne błagała go, by je zabrał i uwolnił. Pewnego razu wciągnął przez okno martwego kreta i dziewczyna rozplakała się z żalu.

— To nie było specjalnie miłe — zauważył Jack.

— Nie zgadzam się — odezwał się bard. — Najgorszą rzeczą, jaka może teraz spotkać Ethne, jest utrata zdolności odczuwania. Gdyby do tego doszło, stałaby się po prostu jednym z elfów, równie bezdusznym jak one. Cierpienie też jest częścią życia.

— Nie możemy jej zostawić w tym więzieniu — powiedziała Thorgil.

— Nie, nie możemy. — Starzec zapatrzył się w dal, sięgając wzrokiem daleko za klasztor i jezioro, a nawet poza jasne niebo. — Niestety, mamy dwa problemy. Muszę uratować Ethne, ale muszę też zająć się sprawą draugra. Jeśli wiedźma powróci, zanim znajdziemy rozwiązanie, znów zaczniesz zabijać.

Siedzieli na wzgórzu, spoglądając w stronę klasztoru. Kucyki podeszły bliżej i zaczęły trącać

nosami Thorgil. Wszystkie konie lubiły dziewczynę. Nawet te, które widziały ją po raz pierwszy. Pangur Ban wyciągnął swoje długie ciało i wydawało się, że śpi. Tylko jego ogon powoli się kołysał.

— Najpierw muszę rozstrzygnąć sprawę wiedźmy — postanowił wreszcie bard. — Wiem, że Ethne cierpi, ale mam nadzieję, że wytrwa jeszcze jakiś czas. Nie mogę dopuścić do powrotu draugra.

Zebrał nieco niezapominajek i uplótł z nich wianek. Położył na kwiatach rękę i zaśpiewał coś w języku, którego Jack nie znał. Rozumiał go jednak Pangur Ban. Kot przetoczył się po trawie i zamruczał rozkosznie, po czym zatrzymał się u stóp barda, który założył mu wianek na kark.

— Przywołałem w ich płatki siłę życia — powiedział. — Nie zwiędną przez wiele dni.

Pangur Ban odbiegł.

— Panie, co to był za język? — spytał Jack. — Często go używasz, czarując.

— To mowa, którą posługują się mieszkańcy Wysp Błogosławionych — wyjaśnił bard. — Nauczyłem się go jeszcze jako uczeń.

— Ale Pangur Ban także ją rozumie.

Starzec popatrzył w ślad za kotem, który dotarł właśnie do wrót klasztoru. Jakiś mnich pochylił się, by go pogłaskać, ale on natychmiast drapnął go w rękę i pognał za bramę.

— Pamiętasz, jak ci mówiłem, że wchodzenie w zwierzęce ciała jest bardzo niebezpieczne? — zapytał starzec.

Jack przytaknął. Pamiętał też chwilę, kiedy bard ukrył się w ciele kruka i nie mógł go potem opuścić.

— Im dłużej przebywasz w ciele zwierzęcia — powiedział bard — tym słabiej pamiętasz o tym, że jesteś człowiekiem.

W Szkole Bardów uczyli tej umiejętności dopiero na ostatnim roku. Niektórym studentom nie udało się opuścić ciała zwierzęcia. Pangur Ban był właśnie jednym z nich.

— On jest bardem?! — zawołał Jack.

— Bardem, któremu się nie powiodło. Należy być bardzo pewnym własnej tożsamości, zanim podejmie się podobną próbę. Osobiście przypuszczam, że Pangur zdecydowanie woli być kotem niż człowiekiem. W kocim życiu nie ma odpowiedzialności, są za to niekończące się okazje do zabawy. On zawsze był takim właśnie chłopakiem.

— A jednak... Nigdy nie móc już wrócić do ludzkiej postaci. .. — Na tę myśl Jack poczuł przerażenie. — Co się stało z jego ciałem?

— Zamieszkał w nim duch kota i odeszło. Ludziom z zewnątrz ten kotoczek wydawał się tępakim, ale oczywiście taki nie był. Słyszałem kiedyś, że pojechał do Dublina i stał się wielce poważanym szczurołapem.

Thorgil zwołała kucyki, a Jack spakował resztki jedzenia. Dosiadł konika i umieścił przed sobą nieporęczne zawiniątko z Nadobną Płaczką.

— A teraz czeka nas trudniejsza część dnia — powiedział bard.

Zbliżając się do klasztoru, Jack oglądał rozciągające się wszędzie dokoła pola i świeżo założone sady. Mnisi zajęci byli plewieniem chwastów, rozstawianiem krat na pnącza i kopaniem grządek. Niektórych z nich pamiętał z dawnych czasów. Teraz jednak byli chudsi i lepiej umięśnieni. Widać było, że wprowadzona przez ojca Severusa surowa dyscyplina bardzo im posłużyła. Chłopak poznał również pracujących wśród nich byłych przestępców — nie mieli uszu lub nosa. Wyglądali na ludzi wykupionych lub uratowanych z rąk handlarzy niewolników. Ubrani byli identycznie jak mnisi i wykonywali te same zajęcia.

Pomimo wszystkich podobieństw ich twarze były równie zajadłe i niebudzące zaufania jak przedtem. Mnisi od świętego Filiana nigdy nie wydawali się o wiele lepsi od złodziei, a ci oszpeceni byli skazanymi za swe zbrodnie mordercami. Zapewne wysłuchali już wielu kazań, ale nie wyglądało na to, by przeszli głębszą przemianę.

— Panie, do czego tu dojdzie, gdy ojciec Severus zostanie zdjęty z urzędu? — spytał ściszym głosem Jack.

— Doskonałe pytanie — zauważył bard. — Ja też bym nie chciał, by ta banda znów zaczęła hasać na swobodzie.

Zaprowadzono ich na dziedziniec, który chłopak pamiętał ze swojej pierwszej wizyty w klasztorze. Został już odbudowany po trzęsieniu ziemi, ale woda z fontanny ledwie ciekła. Plac, niegdyś ozdobiony krzewami różanymi i lawendą, został wysypany żwirem, a wygodne drewniane ławki zastąpiły twarde i zimne, kamienne.

— Severus lubi pokutować — zauważył bard, powoli siadając na jednej z nowych ław.

Czekali. Opat, ojciec Severus, właśnie medytował, o czym poinformował ich mnich o wyglądzie nikczemnika. Miał uschniętą rękę. Jack popatrzył na duchownego i zrozumiał, że za swoje przestępstwo został on poddany próbie żelaza i musiał przejść dziewięć stóp, niosąc w dłoni kawałek rozgrzanej do czerwoności sztaby. Gdyby ręka skazańca nie ucierpiała, zostałby uznany za niewinnego.

— Jego Przyszła Świątobliwość zawsze spędza popołudnie na kolanach — powiedział mnich. — Kiedy już odbędzie poranny post i lekką igraszkę z kotem o dziewięciu ogonach w porze obiadu.

— Co to jest kot o dziewięciu ogonach? — spytał Jack, kiedy kaleka odszedł.

— Specjalny rodzaj bata — wyjaśnił bard. — Zostawia bardzo głębokie rany.

Jack poczuł odrazę i mdłości. Cóż za szaleństwa się tu dzieją? — przemknęło mu przez myśl. Nie był w stanie zrozumieć, jak to możliwe, że tutejsi mnisi mogli mieć cokolwiek wspólnego z dobrotliwym bratem Aidenem czy świętym Kutbertem.

— Ludzie Północy znoszą ból z radością — odezwała się Thorgil — ale nie zadają go sobie sami. Nie wiem, co może być honorowego w tak otrzymanych ranach.

— I tu masz rację, córo miecza — powiedział bard.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi i cienie wpełzły na dziedziniec. Dopiero wtedy pojawił się ojciec Severus. Był równie chudy jak zawsze, ale w jego patykowatej posturze Jack wyczuwał żelazną siłę. Spróbował odnaleźć w duchownym łagodność, jaką wyczuł u niego w elfich lochach, ale nie znalazł jej.

— Czarowniku! Po co tu przybyłeś? — spytał opat.

— Też się cieszę na twój widok — odpowiedział bard. — Pamiętasz Jacka i Thorgil?

Ojciec Severus przeszył oboje ostrym spojrzeniem.

— Ach, tak. To oni zburzyli Din Guardi. Ale forteca znowu stoi. Odbudowali ją moi mnisi.

Jack poczuł się dziwnie, słysząc słowa „moi mnisi”.

— Z pomocą Pani Jeziora — sprostował bard.

— Nikczemna wiedźma — syknął opat. — To powinna być porządna forteca, a pokrętne elfie czarodziejstwo zmieniło ją w dziecięcy ogródek.

— Cóż, Brutus nie jest szczególnie wojowniczym władcą — zauważył starzec.

— On nic nie robi! Nic! Całonocne przyjęcia, całodzienny sen. Kiedy w Bebbas Town trzeba coś zrobić, mieszkańcy zwracają się do mnie.

— Jestem pewien, że zawsze wiesz, co należy im rozkazać — powiedział bard.

Ojciec Severus rzucił mu rozgniewane spojrzenie.

— A czy to źle? Ci ludzie potrzebują silnej ręki, a większość z nich to i tak ukryci poganie. Udało mi się już wykorzystać niewłaściwe praktyki, jak śpiewanie podczas Yule i farbowanie jaj wielkanocnych, choć w Majowe Święto wciąż wymykają się do lasów. Ale, ale, czemu mnie odwiedziliście? Muszę jeszcze wysłuchać spowiedzi i rozdzielić pokuty.

Jack nie dawał wiary własnym uszom. Ojciec Severus bardzo się zmienił. Co się stało z człowiekiem, który uratował ich w Krainie Elfów i natchnął nadzieją, gdy wszystko wydawało się stracone?

— Ja także mam ważną sprawę — powiedział cicho bard. — Sprawę związaną z syrenami.

Przez moment ojciec Severus wyglądał na przestraszonego, ale błyskawicznie przybrał poprzedni wyraz twarzy.

— Ta sprawa znalazła swój koniec wiele lat temu. Źle oceniłem sytuację, ale nikomu nic się nie stało.

— Stało się, i to wiele złego — stwierdził bard, po czym opowiedział o pojawieniu się draugra i spustoszeniach, jakich dokonała zawiedziona syrena.

— Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę w tę historyjkę — fuknął opat. — Jakiś wilk zabił

owcę, krowa zamuczała w lesie i wszyscy wpadliście w panikę.

— Widziałem draugra na własne oczy. Podobnie Jack.

— Och, to rzeczywiście pewne źródło informacji. Czarownik i jego uczeń.

Jack zaczął czuć do ojca Severusa szczerą niechęć.

— Brat Aiden także w niego wierzy — wtrącił chłopak. — Powiedział, że dzikie zwierzę niczego podobnego by nie zrobiło. Zwierzęta zjadają swoje ofiary.

Bard położył dłoń na ramieniu Jacka.

— Wystarczy, mój chłopcze — mruknął i spojrzął na opata. — Severusie, jesteś odpowiedzialny za śmierć syreny. Spodziewałeś się, że to nie będzie miało żadnych konsekwencji? Ona żąda sprawiedliwości i prosi o nią rady dziewięciu światów.

— Coraz lepiej, coraz lepiej. — Ojciec Severus się roześmiał. Jego głos zabrzmiał jednak ponuro i pusto. Jack przypomniał sobie, że opat nigdy nie umiał udawać. — Istnieją jedynie dwa światy. Ten, w którym żyjemy, i ten, który nadejdzie. Chcesz, bym przejmował się powracającą z za grobu, pozbawioną duszy istotą? Potworem, który skarży się przed nieistniejącymi radami, wskutek czego nieposiadający żadnej mocy czarnoksiężnik nachodzi mnie i grozi?

— Cofnij te słowa! — krzyknął Jack.

Bard wyciągnął laskę i chłopak poczuł falę gorąca.

— Przestańcie marnować mój czas i uciekajcie — warknął opat.

— Nie pozostawiasz mi wyboru — powiedział cicho bard.

— Jack, wyjmij Nadobną Płaczkę.

Drżącymi rękoma chłopak złożył zawiniątko na ziemi i zaczął nieporadnie mocować się ze sznurkami. Thorgil przyklęknęła i rozcięła je nożem.

— Będzie zabawa — szepnęła.

Jack zaczął żałować, że w obliczu zbliżającego się spotkania z draugrem nie jest równie spokojny, ale przecież on widział nieumarłą syrenę, a dziewczyna nie.

— Nadobna Płaczka... — mruknął ojciec Severus i po raz pierwszy pewność opuściła jego wejrzenie. — Dawno już nie słyszałem tej nazwy. Gdyby to nie był błogosławiony dzwon świętego Kolumbana, zatopiłbym go w morzu.

— Lepiej byś uczynił, topiąc się sam — syknął bard. — Severusie, to twoja ostatnia szansa. Zastanowimy się, co począć z draugrem. Czy Jack ma uderzyć w dzwon?

Opat wyprostował się, dumny i wysoki. Jack niechętnie przyznał, że odwagi duchownemu nie brakuje. Stawał przeciwko Ludziom Północy i królowej elfów. Poświęcił się zamiast Pegi. Mierzył się z samym piekłem i choć padł na kolana, nie stracił nic ze swej szlachetności, a wszyscy się wtedy ukorzyli.

— Nie ma żadnego draugra — oświadczył ojciec Severus. — Jestem chrześcijaninem i nie

wierzę w pogańskie bajania.

Bard skinął głową. Jack spiesznie odwinął kolejne warstwy tkaniny i przedmiot z zawiniątka potoczył się po ziemi, szczękając i brzęcząc.

Po ziemi turlał się miedziany kociołek z kamieniem w środku.

Ojciec Severus wybuchnął stłumionym śmiechem. Rozbawiony, zgiął się wpół i poklepał dłońmi po kolanach.

— Na świętą Brygidę, Nadobnej Płaczki też nie ma! Świetny dowcip, czarowniku! Czy to Brutus cię do tego namówił?

Bard, Jack i Thorgil byli w stanie tylko patrzeć, oszołomieni. Kociołek zatrzymał się pod murem.

— Nie wiecie, co powiedzieć? — tryumfował opat. — No to żegnam!

Zaklaskał w dłonie i naraz w zasięgu wzroku pojawiło się dwóch potężnie zbudowanych mnichów. Starzec i młodzi opuścili klasztor, starając się zachować choć resztki godności.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

POLOWANIE NA TANNERKI

To sprawka Tannerek. — Jack odezwał się dopiero, gdy przebyli kilka mil. Bard jechał z przodu. Powietrze wokół niego wściekle drgało, a przestraszony kucyk położył uszy po sobie. Po jakimś czasie jednak atmosfera się oczyściła i chłopak odważył się przerwać milczenie. — Wiemy przecież, że to złodziejki. Nikt inny by tego nie zrobił.

— Nie zeszyły z pokładu, kiedy obozowaliśmy na plaży — przypomniała Thorgil. — Mówiły, że boją się Schlaupa, choć każdy przecież wie, że to poczciwy chłopina. Ciekawe, co jeszcze podwędziły.

— Trzeba mi było zabrać Płaczkę na brzeg — mruknął Jack. — Ymma i Ythla przetrząsały wszystkie kąty w domu rodziców, gdy tylko sądziły, że nikt nie widzi. Powiniennem się być domyślić, że na statku zrobią to samo.

— Nie winię cię, chłopcze — uspokoił go bard. — Ja też zanadto im zaufałem.

Zatrzymali się na ukwieconej łące obok wartkiego strumienia. Thorgil zdjęła buty i poprowadziła kucyki do wody. Zwierzęta zaczęły głośno chleptać, burząc strugę kopytami. Po chwili powiodła je na łąkę i zostawiła, by się pasły. Bard złamał pieczęć na butelce z miodem i z ponurą miną zaczął raczyć się napojem.

Noc była już blisko. Długie cienie rozciągały się na trawie. Jaskółki nurkowały spod nieba i wzbijały się z powrotem w chmury.

— Pani Tanner mówiła, że chce odszukać swojego brata — przypomniał sobie Jack. — Może król Brutus mógłby nam pomóc w jego odnalezieniu.

— Brutus nie znalazłby nawet własnej korony w komnacie — rzucił bard. — W tym mieście mieszkają setki ludzi. Są też okoliczne farmy i samotne siedliska. Nie wiemy nawet, czym jej brat się zajmuje. Gdyby sądzić po niej, to zapewne jest złodziejem. Nie mamy też pojęcia, jak wygląda.

— Ale wdowy z dwójką dzieci nie pojawiają się w mieście tak często — zauważył Jack. — Król Brutus mógłby wysłać swoich ludzi na poszukiwania. Po jakimś czasie...

— Po jakimś czasie?! Chłopcze, my nie mamy czasu. Jeśli ktoś choć raz w ten dzwon uderzy, będziemy się mieć z pyszna. Co przypomina mi o innym problemie. Skąd Tannerki wiedziały, gdzie był dzwon?

— Ymma i Ythla bez przerwy myszkowały — powiedział Jack z goryczą w głosie. — Widziały, jak zanoszę na statek tajemnicze zawiniątko, więc postanowiły je obejrzyć. I okazały się na tyle sprytne, by podmienić dzwon na jeden z miedzianych kociołków Egila.

— Nie mogę patrzeć na ten przeklęty garnek! — rzucił bard i znów pociągnął z butelki.

Jack zabrał kociołek ze sobą. Należał przecież do Egila i miał swoją wartość. Utrzymany w głębokim, czerwonożółtym kolorze, odbijał światło dziesiątkami płaskich powierzchni, pozostawionych przez młotek rzemieślnika. Egil twierdził, że wykonali go ci sami ogorzali ludzie, którzy hodowali owce zwane merynosami.

Thorgil upewniła się, że z kucykami już wszystko w porządku, wróciła i usiadła na trawie. Przynajmniej ona była w dobrym nastroju. Długa podróż i fatalny rezultat spotkania w klasztorze tylko ją rozbawiły. Miała zaróżowione policzki, a słońce wydobyło na jej nos mgiełkę piegów. Ubrana była wspaniale, niczym młody rycerz. Ale choć jeszcze rok temu można ją było wziąć za dojrzewającego młodzieńca, to od tego czasu przeszła pewne subtelne zmiany. Jej kibić nabrała kształtów. Usta stały się bardziej miękkie, a piersi...

Jack odwrócił wzrok. Jakkolwiek dziewczyna starała się to ukryć, jej piersi także się zmieniły. I to bardzo.

— Żołędzia za twoje myśli — odezwała się wojowniczką.

Jack poczuł, jak jego policzki oblewa gorący rumieniec.

— Zastanawiałem się właśnie, gdzie mogły się ukryć Tannerki.

— Z łatwością je znajdziemy — stwierdziła Thorgil.

— Z łatwością? A gdzie w tym szuczurzym gnieździe, które nazywają miastem, mamy zacząć poszukiwania?! — zawołał bard.

— Nie musimy ich szukać. Pamiętajcie, pani Tanner praktycznie obiecała wyjść za mojego brata. On na pewno wciąż jest o tym przekonany. — Thorgil zerwała kilka ździebeł trawy i włożyła je sobie do ust.

— Schlaup? — Starzec wyprostował się gwałtownie. — Na wszystkie gwiazdy! Thorgil, jesteś genialna!

— Wiem — przytaknęła lekko dziewczyna, skubiąc trawkę.

Pośród gęstniejącego zmroku wrócili galopem do portu. Egil i jego załoga rozbili obóz na plaży. Za dnia marynarze mogli udawać Sasów, ale teraz, kiedy huczeli swymi pieśniami i hasali wokół wielkiego ogniska, już na pierwszy rzut oka było widać, że nie pochodzą z tej okolicy. Kilka kobiet, które udało im się przywabić z miasta, siedziało razem, tuląc się do siebie niczym wystraszone kurczaki. Jeden z Ludzi Północy obracał ich krzyżącą towarzyszkę w dzikim tańcu.

— Ha! Ha! Ha! — śmiał się. — Udaje niedostępną!

Wszędzie dokoła widać było na pół zagrzebane w piachu beczki piwa.

— Smoczy Języku! — zawołał Egil, podnosząc się na widok jeźdźców. — Udało się wam znaleźć kwatery? Jest późno, zaczynaliśmy się o was niepokoić.

— Wypuście te kobiety! — rzucił bard, zsiadając z kucyka. — Na Thora i jego pioruny! Chcecie zwrócić przeciwko nam całe miasto? No już, zmykać, głupie gąski! — Wymierzył laską w wylęknione dziewczęta, które natychmiast umknęły, i oderwał tańczącego marynarza od jego zdobyczy.

— To tylko niewinny flirt — burknął żeglarz.

Ostatnia kobieta popędziła za towarzyszkami.

Bard usiał na beczce i otarł pot z brwi.

— Wbijcie to sobie raz na zawsze do łbów. Żadnego plądrowania. Nie możecie tak po prostu brać każdego, kto się wam spodoba. Egil, myślałem, że lepiej ich wyszkoliłeś.

Kapitan uśmiechnął się. Na jego twarzy nie było widać cienia żalu.

— Tak jest, panie. Porozmawiam sobie z nimi. Ale muszę powiedzieć, że za dnia te damy poszły z nami chętnie.

— Jestem pewny — westchnął bard. — Każdy port świata pełen jest dziewcząt o ptasich mózdkach. A my mamy poważny problem. — Opowiedział o stracie Nadobnej Płaczki i niebezpiecznych konsekwencjach, jakie groziłyby wszystkim, gdyby w dzwon uderzył ktoś niepowołany. — Potrzebujemy pomocy Schlaupa.

— Schlaupa? — powtórzył Egil jak echo. — Za przeproszeniem, Smoczy Języku. Jeśli uważasz, że trochę niewinnego plądrowania popsuje nam w mieście reputację, to co będzie, jeśli tutejsi zobaczą paradującego po ulicach półtrolla?

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Starzec pokręcił głową. — Ale on jest naszą jedyną nadzieją. Jeśli się nam poszczęści, to uda się całą sprawę przeprowadzić pod osłoną ciemności. A późno w nocy pijacy, którzy ewentualnie zobaczą Schlaupa, pomyślą po prostu, że wzrok im się mąci.

Przy wtórze narzekań oraz gróźb i ciosów Egila załoga rozładowała statek. Połowa marynarzy została w obozie, żeby pilnować ładunku, a reszta siadła do wioseł. Podróż w bezksiężycową noc zapowiadała się niebezpiecznie. Bard stanął na dziobie, by pomagać Ludziom Północy w nawigacji.

Groziły im przybrzeżne płycizny, ale gdy bard wyciągnął swą laskę, powierzchnię morza zalała nieziemska poświata. Rozbijające się na skałach fale załśniły białym blaskiem. Woda stała się równie przejrzysta jak szkło i widać było leżący na dnie bladozielony piach.

Ludzie Północy wyruszyli w buntowniczych nastrojach, kiedy jednak ujrzeli dziwne światło, ucichli. Jack poczuł lęk bijący od ciągnących ciężkie wiosła żeglarzy. Bard, który był w stanie przywołać tak potężną magię, mógł przecież także pozamieniać ich w delfiny i kazać holować statek osobiście.

Gdy dotarli do ukrytej zatoczki, gdzie czekał okręt Skakkiego, Egil zadał co tchu w barani róg.

Na brzegu nagle zabłyśły pochodnie. Wojownicy rzucili się do broni. Szczęząc się pełnymi zadowolenia uśmiechami, Egil poprowadził statek na brzeg.

— Ty kupo zgniłych rybich flaków! — wrzasnął Skakki. — Dlaczego podkradasz się do nas w środku nocy? Co się stało? Damy z Bebbas Town powąchały twoją koszulę i wyrzuciły was na morze?

— Wprost przeciwnie, to on wyrzucił nasze damy — Egil wskazał palcem starca — ale przybywamy, bo mamy kłopot i potrzebujemy Schlaupa. — Po krótkiej naradzie ustalono, że popłyną okrętem Skakkiego. Teraz liczyła się szybkość, a półtroll musiał wrócić do bezpiecznej kryjówki jeszcze przed wschodem słońca. Wkrótce więc chybki, smukły karfi odbił od brzegu. Bard wskazywał z dzioba kierunek, a Jack i Thorgil przykucnęli z Runą na rufie. Wszyscy owinęli się szczelnie płaszczami. Wiał silny północny wiatr.

Runa trzymał ster. Był już co prawda zniedołężniały wskutek podeszłego wieku i prawie nic nie widział, ale na morzu wykazywał się orientacją młodzieniaszka. Drogę znał na pamięć i nawet nie potrzebował korzystać ze światła laski starca.

— Czujecie ten wicher? — spytał. — Wieje znad strumienia, który płynie pomiędzy wzgórzami w głębi łądu. Przypomina ciepły prąd w zimnym morskim powietrzu. Dokładnie naprzeciwko nas leży maleńka wysepka. Można poczuć, jak wiatr się od niej odbija i wraca, niosąc woń ptasiego łajna.

— Nie miałem okazji zapytać barda... — odezwał się po chwili Jack. — Co jest w Schlaupie takiego szczególnego?

— W moim bracie wszystko jest szczególne — zaśmiała się Thorgil.

— Schlaup posiada umiejętność, której nie ma nikt inny pośród nas — wyjaśnił Runa. — Zauważyłeś, jak się zadurzył w pani Tanner. Biedny, głupi gbur się zakochał, choć ta baba jest równie czarująca jak gniazdo żmij.

— Cała ta sytuacja wydaje mi się odrażająca — przyznał chłopak.

— I masz rację — powiedział Runa. — Nasz Schlaup zasługuje na kogoś lepszego. Zwróciłeś może uwagę na to, jak wachał jej warkocz?

— Tak... Ale dlaczego... Jest jak ty? — zaczął Jack i nagle zrozumiał. — Schlaup pamięta zapachy i potrafi się nimi kierować.

— Nie jest taki jak ja. Jest o wiele lepszy — przyznał Runa.

— Odziedziczył ten dar po matce — oświadczyła dumnie Thorgil. — Jotun potrafi wywęszyć łośia w lesie z pięćdziesięciu mil.

— I Schlaup rozpozna przyciężką woń pani Tanner pośród tysięcy innych — dodał Runa, napierając na ster, by wyminąć wysepkę. Z prawej strony dolatywał ich szum fal bijących o brzeg. — Kiedy dotrzemy do Bebbas Town, zrobi cię naprawdę ciekawie.

Na śródkręciu, gdzie niebezpieczeństwo przełamania statku było najmniejsze, majaczył wielki kształt półtrolla. Nie powiedziano mu jeszcze, jakie czeka go zadanie, więc siedział spokojnie, nucąc przez zęby jakąś pozbawioną melodii piosenkę. Dokoła słał się zielony blask laski barda. Błada poświata barwiła morze, docierając aż do jasnego, piaszczystego dna.

Dotarli do miasta i zacumowali. Ocieężały Schlaup zeskokczył na skrzypiący ostrzegawczo pomost. Okręt Skakkiego zakołysał się gwałtownie.

— Schlaupie, synu Olafa, mam dla ciebie proste zadanie — odezwał się bard. — Pamiętasz może panią Tanner i jej córki?

Olbrzym z entuzjazmem pokiwał głową.

— Ładne — zahuczał.

— To akurat kwestia gustu, przyjacielu. Myślisz, że byłbyś w stanie je odnaleźć?

— Och, tak! — zagrzmiął wielkolud.

— Chcę więc, żebyś wysłuchał mnie bardzo uważnie — ciągnął bard. — Pójdzie z tobą Jack. — Przestraszony chłopak podniósł głowę. — Jest moim uczniem i powie ci, co masz robić. Jack, waszym głównym zadaniem jest odnalezienie Nadobnej Płaczki. Znajdźcie ją szybko i, na litość Frei, nie zadzwoncie. Musicie wrócić przed świtem. Czy to jasne?

— Tak, panie — odpowiedział chłopak.

— Ach, Schlaup, jeszcze jedno. Weź Jacka na barana. On za tobą nie nadaży.

Półtroll dźwignął chłopaka z ziemi. Jack nagle znalazł się za porośniętą szorstką szczecinę głową olbrzyma i nieśmiało dotknął jego ucha. Jak mu się wcześniej wydawało, było pokryte łuskami. Schlaup zakołysał się w przód i w tył, wachając wiatr. Otworzył najpierw jedno nozdrze, a potem drugie, zupełnie jak hobgoblin. Thorgil wyjaśniła wcześniej chłopakowi, że taka budowa nosa daje trollom głębię węszenia, podobnie jak dwoje oczu obdarza ludzi głębią widzenia. Między innymi właśnie z tego powodu Jotuny były tak wspaniałymi tropicielami.

— Aaaaach — westchnął Schlaup.

— To znaczy, że złapał trop pani Tanner — powiedział Skakki i podał olbrzymowi zapaloną pochodnię. — Powodzenia, bracie, i niech oczy Heimdalla ci pomogą, młody skaldzie — dodał, przywołując imię boga Ludzi Północy, strażnika Asgardu. — Znajdźcie Tannerki!

Schlaup pognął niczym pies gończy za lisem. Mknął ciemnymi uliczkami i przez niewielkie ogródki, które uprawiało wielu mieszkańców miasta. Deptał stopami kapustę, sałatę i bób. Krążył w labiryncie domów. Jack rozpaczliwie trzymał się jego głowy. Za nimi ciągnęły się płomienie pochodni.

Chłopak zacisnął mocno ręce na czole giganta i starał się nie tracić nadziei.

Opuścili Bebbas Town i wkroczyli na zastawione rudarami przedmieścia. Pachniało tu ohydnie i Jack zrozumiał, że znaleźli się w okolicy zamieszkaney przez ludzi parających się zawodami,

których przedstawiciele nikt normalny nie chciał mieć za sąsiadów. Cuchnęło garbarniami, swąd kurzego łajna wyciskał łzy z oczu, duszące dymy wypełzały z kuźni — wszystko to było niemal nie do zniesienia nawet w środku nocy.

Schlaup zatrzymał się nagle i wydał z siebie najszcześniejsze westchnienie świata. Zdjął Jacka z karku i wcisnął mu w dłoń pochodnię.

— Ona jest tam — szepnął, wskazując na budynek otoczony dymiącymi jamami.

Jack zmrużył oczy, starając się zrozumieć, gdzie się znaleźli. Okolica była pusta, oddalona od innych siedlisk. Lepianka przed nimi chyliła się na bok, przypominała wielkie zwierzę zamienione w kamień w czasie układania się do snu. Jamy, co można było ocenić po zapachu, wypełnione były moczem, w którym mokły skóry. A zatem garbarnia. Nie było to dziwne. Tym właśnie zajmował się mąż pani Tanner, zanim pijany utonął pewnej nocy w jednej z takich jam.

Chatynka była niższa niż stojący człowiek. Jack domyślał się, że do łóżka wchodziło się, wpełzając przez drzwi na czworakach, choć zastanowił się, czy nazwanie tego wejścia drzwiami nie jest przesadą. Była to po prostu przesłonięta skórzaną płachtą dziura.

Schlaup nawet nie zwrócił uwagi na zasłonę. Zerwał dach i włożył łapę do środka.

— Kwiatuśku — zaćwierkał, podnosząc wrzeszczącą panią Tanner.

Z ciemności buchnęły krzyki.

— Bądźcie wszystkie cicho! — rozkazał Jack, który nie chciał zaalarmować sąsiadów. — Od milczenia zależy wasze życie. Jeśli będziecie nieposłuszne, wypuszczę na was demony.

Wrzaski ustały. Z wnętrza lepianki doleciały chłopaka mamrotanie i szelesty.

— To ten czarnoksiężnik — szepnął jakiś głos.

Po chwili zasłona została odsunięta i z chatki wyczołgały się Ymma i Ythla.

— Bierz małe — rozkazał Jack.

Schlaup podniósł dziewczynki z ziemi i serdecznym uściskiem objął całą trójkę.

— Ładne — zagruchał.

Z chaty spróbował uciec jakiś mężczyzna. Jack zatrzymał go, mierząc weń pochodnią.

— Jeśli drgniesz choć o cal, powiem mojemu przyjacielowi, by odgryzł ci głowę — rzucił.

Nieznajomy padł na kolana.

— Nie wiedziałem, że to było kradzione — wydukał. — Siostra pokazała się u mnie i zażądała, bym ją przyjął. Ona umie się kokosić jak nikt, te jej bachory także. Co miałem robić? Nie moja wina.

— Nie wiedziałeś, że co jest kradzione? — spytał ostro chłopak.

— Zamknij gębę! — wrzasnęła pani Tanner.

— Sama się zamknij, wiedźmo — odgryzł się mężczyzna. — Ten dzwon, panie. Był piękny, czerwonozłoty i lśniący. Powinienem być się domyślić, że to nie podarek, jak mi powiedziała.

Chciałem go sprzedać w klasztorze, ale ojciec Severus jest bezlitosny. Gdyby się dowiedział, że to trefny towar, kazałby nas chłostać do nieprzytomności...

— Wydawało mi się, że nie wiedziałeś, że dzwon został skradziony — zauważył Jack.

— Bo nie wiedziałem! Nie chciałem tylko, by ktoś tak pomyślał. — Brat pani Tanner kołysał się w przód i w tył niczym w modlitwie.

— Gdzie on jest? — rzucił chłopak.

— W środku — mężczyzna pokazał palcem lepiankę. — Przyniosę...

— Ja go przyniosę.

Mężczyzna wpełzł do środka. Jack ruszył za nim, uważając, by nie musnąć pochodnią czegoś łatwopalnego.

— Tutaj, panie. Pod tym stosem owczych skór.

Jack, niemal dusząc się od smrodu, zaczął zdejmować kolejne skóry. Nie zostały jeszcze oczyszczone i w powietrze wzbil się odór gnijącego mięsa. Chłopak ostrożnie usunął ostatnią warstwę i ujrzał lśniąca w blasku płomienia Nadobną Płaczkę. Na dzwonie nie było ani jednej plamy, mimo że owcze futra ociekały krwią. Był tak czysty jak w dniu, w którym go wykuto.

Jack rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, w co mógłby Płaczkę owinąć, ale nie znalazł niczego czystego, więc skorzystał ze swego płaszcza. Wsunął rękę do środka, by unieruchomić serce. Dzwon okazał się pusty.

— Gdzie jest serce? — zapytał.

— Cóż, panie... — Mężczyzna zaczął się cofać. — Dziś rano potrząsnąłem dzwonem kilka razy, żeby sprawdzić, czy jest dobry, a Ymma zaczęła krzyczeć, że to czary i że mogę wywołać potwora...

— Co zrobiłeś?! — krzyknął Jack.

Hałas przyciągnął Schlaupa który zajrzał przez dziurę w dachu, by sprawdzić, co się dzieje.

— Panie, nie pozwól mu mnie pożreć. Zakołysałem nim tylko ze dwa razy i brzmiał tak pięknie, że poczułem się znowu jak niewinne chłopię z całym życiem przed sobą. Ale Ymma mi go wyrwała i wyciągnęła serce. Użyła do tego moich szczypców. Ale to się naprawi, panie. Znam w mieście kowali...

— Gdzie jest oryginalne serce?

Jackowi zrobiło się niedobrze. Zamiana była wykluczona. Żaden śmiertelnik nie był na tyle zdolny, by wykuć pięknego Łososia Wiedzy i otworzyć przejście pomiędzy tym światem a innymi.

— Ymma powiedziała, że jest ze srebra. Zaniosła je do kowala, ale on stwierdził, że to zwykłe żelazo.

— I co się wtedy stało? — Jack ze złości omal nie wyszedł z siebie. Gdyby to wydarzyło się w czasach, gdy miał jeszcze swoją laskę, zapewne wywołałby trzęsienie ziemi.

Ymma wisiała nad dachem, w mocnym uścisku Schlaupa. Jej siostra i matka drżały, ściśnięte obok.

— Lepiej mu powiedz — rzuciła pani Tanner.

— A niech cię! — odcięła się dziewczynka. — Chcesz zrzucić z siebie winę.

— To ty zniszczyłaś dzwon — warknęła kobieta.

— Bo mi kazałaś — odparła Ymma. — Powiedziała, że ludzie rozpoznają tę rybę i że powinniśmy zbić ją na płasko. Tak zrobiłam. A kowal dał mi za to cebulę.

Jackowi z przerażenia zaczęło się kręcić w głowie. Nie mogło się stać nic gorszego. Cudowne dzieło sztuki zostało przemienione w brzydki kawał żelaza. Czy zniszczone serce jest w stanie wydobyć z Nadobnej Płaczki jej piękny dźwięk? I czy on sam będzie potrafił rozpoznać ten kawałek żelaza pośród innych, których u kowala z pewnością nie brakuje?

Nagle dotarło do niego, że to nie jest jego jedyny problem.

Brat pani Tanner uderzył w dzwon.

Dwa uderzenia, tak powiedział. Nikczemnik czuł się zupełnie niewinny. Ale czy to wystarczyło, by przyzwać draugra? Czy nieumarła syrena była już w drodze?

Jack usłyszał dobiegające z oddali krakanie. Rozejrzał się i zauważył, że rąbek nieba na wschodzie zabarwił się na niebiesko.

— Już prawie świta — jęknął chłopak. — Schlaup, dasz radę unieść nas wszystkich? Brata pani Tanner zostawimy.

— Jasne — odpowiedział wielkolud.

Jack wyczołgał się z lepianki i wyrzucił pochodnię. Był rozpaczliwie zmęczony i zniechęcony.

— Weź mnie na barana, przyjacielu, i nie wypuść ich.

Olbrzym z łatwością utrzymał uwięzione kobiety i jednocześnie podniósł Jacka. Chłopak przycisnął dzwon do brzucha i mocno uchwycił się czoła Schlaupa.

— Co wy sobie wyobrażacie? — pisnęła głośno pani Tanner. — Nie możesz nas odesłać do tych morderców z Północy!

Jack nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

— Nie po chrześcijańsku jest się mścić — załkała Ythla.

Wzmógł się wiatr, który przepędził potworny smród garbarni. Odzywały się coraz to kolejne ptaki — wróble, słowiki, strzyżyki.

— Schlaup, musimy się spieszyć — rzucił zmęczonym głosem Jack. — Szukaj statku!

Wielkolud ruszył naprzód. Tannerki zawodziły, wiatr smagał chłopaka po twarzy. Po drodze minęli doglądającego kur rolnika. Uciekł na ich widok, nawet nie zamykając swoich ptaków. W ciasnej alejce półtroll o mały włos nie zdeptał śpiącego na bruku pijaka. Poza tym nie natknęli się na nikogo.

Może to nie po chrześcijańsku, pomyślał Jack, gdy zobaczył port i gotowych do odpłynięcia ludzi Skakkiego — ale to wielka, wielka przyjemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

NOWA WYPRAWA

Masz rację — odezwał się bard, gdy już się znaleźli na bezpiecznym morzu. — To, że Nadobna Płaczka zadzwoniła, jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się nam przytrafić.

— Nie miałem czasu odnaleźć serca — powiedział Jack, chmurnie przyglądając się Schlaupowi.

Olbrzym siedział jak zwykle na śródkręciu i z zadowoleniem bawił się warkoczem pani Tanner. Jej córki, wciśnięte pod burzę, trzymały się od półtrolla tak daleko, jak tylko były w stanie.

— To i tak nic by nam nie dało — stwierdził starzec. — Magia kryła się w jego rzeźbieniach i kształcie. Bez niej Nadobna Płaczka nie różni się już niczym od innych dzwonów.

— Co więc pocniemy?

Bard spojrział na szarozielone morze. Słońce wyjrzało właśnie ponad wierzchołki fal. Rozcinana przez dziób statku woda wydawała się rozświetlona od wewnątrz.

— Nie jestem pewien, chłopcze. Nie możemy przyzwać draugra, a ojciec Severus tylko mnie wyśmiej, jeśli pojawię się u niego bez syreny. Oczywiście nie będzie się tak śmiać, kiedy wiedźma się jednak pokaże. Te dwa uderzenia już mogły ją przebudzić, ale niekoniecznie musiały dać jej znać, gdzie jesteśmy. Bardzo mnie to martwi. Równie dobrze draugr może teraz grasować w naszej wiosce.

Thorgil przyniosła im kilka smakowitych ciastek Pegi i garnuszek masła. Posługując się palcami, posmarowała pieczywo. Oblizwała się.

— Nie wszystko wyszło na złe — zauważyła. — Mój brat znalazł sobie żonę.

Jack zauważył, że pani Tanner znowu zaczęła rządzić olbrzymem. Odepchnęła go, a Schlaup właśnie przeproszał ją za to, że zachował się jak prostak.

— Naprawdę myślisz, że to się skończy ślubem? — spytał chłopak.

— Nie byłoby im gorzej niż większości ludzi. Jest takie powiedzenie: Lepiej się kłócić niż żyć w samotności.

— I ty w to wierzysz? — zdziwił się Jack.

— Ja się nigdy nie ożenię — rzuciła wzgardliwie Thorgil. — Córy miecza mają taką samą władzę i pozycję jak mężczyźni. Ale po ślubie natychmiast ją tracą. Nie mogą już polować ani przynosić łupów. Siedzą tylko w domu, gotując, sprzątając i ganiając zafajdane bachory. Takie życie jest pozbawione honoru.

Słyszając to, bard uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili upokarzającego zakończenia wizyty w klasztorze.

— Żyjąc na tym świecie szczególnie długo — powiedział — nauczyłem się, że „nigdy” to wielce niebezpieczne słowo, Thorgil. Zupełnie możliwe, że jeszcze cię kiedyś zobaczymy chichoczącą i w rumieńcach.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi jak użądłona i poszła na rufę, gdzie wdała się z Erykiem Pięknolicym w dyskusję o technikach patroszenia owiec.

Cały dzień spędzili na odpoczynku w ukrytej przystani Ludzi Północy. Skakki, Egil, Runa i bard naradzali się i kiedy zapadł wieczór, zwołali wszystkich do ogniska. Noc była piękna, niebo bezchmurne i rozgwieżdżone. Od strony lądu wiał ciepły wiatr. Sosnowe gałęzie płonęły jasno i co chwila trzaskały szyszki, które wrzucała do ognia Thorgil. Wokół niósł się żywiczny zapach. Jedli mięso dzika, gęsi i łososia, a także jeżyny, których wiele rosło w pobliżu zatoczki. Wędrowiec sam jeden pochłoniął pół łososia, a resztę dokończyła Thorgil.

Ludzie Północy, jak to mieli w zwyczaju, całkowicie skupili się na chwili obecnej. Napychali się w milczeniu. Tym razem jednak Skakki rozdał tylko kilka beczek piwa. Chciał, by jego żeglarze mieli po uczcie jasne głowy. Po chwili podniósł się i poprosił o uwagę.

— Każdy z nas słyszał o draugrze i Nadobnej Płaczce — zaczął. Wszyscy spojrzeli na panią Tanner, która prychnęła pogardliwie. — Smoczy Język jest pewien, że draugr znów się pojawi — ciągnął Skakki. — Możliwe nawet, że wiedźma już się zbudziła. — Ludzie Północy spojrzeli niespokojnie na otaczający przystań las, a Eryk Zapalczywy, który bał się ciemności, podsunął się bliżej ognia. — Musimy spłacić dług, jaki zaciągnęliśmy wobec Smoczego Języka. Kilka lat temu to my, Ludzie Północy, zostawiliśmy go samego na morzu, na pewną śmierć...

— To był rozkaz Frith. Nie żywię do was urazy — wtrącił bard — ale pomoc przyjaciół powitam z radością.

— A my z radością jej udzielimy — oświadczył Runa.

— Słusznie — powiedział Skakki — ale wszyscy musimy się zgodzić na tę wyprawę.

Jaką wyprawę? — zastanowił się Jack, który nie brał udziału w naradzie.

— Egil i jego ludzie wrócą do Bebbas Town — ciągnął młody kapitan. — Pomogą Smoczemu Językowi sprzedać towary i kupić zboże. Potem przyplyną z nim tutaj i zostawią go z nami, a sami zawiozą zakupy do wioski. Następnie zaczekają na nas tutaj, póki nie wrócimy z północy.

— Dokąd się wybieramy? — spytała Thorgil.

— Cierpliwości, siostrzyczko. — Skakki wyszczerzył się w uśmiechu. — Spodoba ci się to. Zawieziemy Smoczego Języka do Podmorskiej Krainy i zwabimy draugra z powrotem do grobu.

— Do Podmorskiej Krainy! — rozległo się kilka okrzyków.

— Tam nikt nie pływa — rzucił Eryk Zapalczywy, w którego głosie wyraźnie było słyhać lęk. — Ciemno tam i strasznie.

— I PEŁNO MORSKICH WIEDŹM! — huknął Eryk Pięknolicy.

— Oraz klów morsów, pereł i złota — przypomniał Runa.

Zebrani zamilkli w zadumie.

Podniósł się bard.

— Nie proszę was, byście wystawiali się na śmierć, przyjaciele — powiedział. — Proszę tylko, byście puścili mnie dryfującego na morzu w małej łódeczce, tak samo jak niegdyś. Ja i Jack sami wyruszymy do królestwa morskiego ludu.

— Tego mi nie zrobicie! — zawołała Thorgil. — Nie będę tchórzliwie czekać na statku, podczas gdy wy będziecie narażać życie.

— Chętnie zabierzemy cię ze sobą — powiedział ciepło starzec — ale muszę cię ostrzec, że słowo mieszkańców morza jest tyle warte co mgła na wietrze. To źli przyjaciele i jeszcze gorsi wrogowie. Nie uznaję cię za tchórze, jeśli zdecydujesz się zostać z braćmi.

— Sama uznałabym się za tchórze — rzuciła dumnie wojowniczką z zaczerwienioną z emocji twarzą.

— Dobrze zatem, moje dziecko. Skakki z załogą zaczekają na nas na otwartym morzu. Jeśli nie zjawimy się ponownie po siedmiu dniach, będą wiedzieć, że zginęliśmy, i wrócą.

Ludzie Północy zaczęli hałaśliwie zapewniać, że nigdy nie porzucą swych towarzyszy i że gdyby dopuścili się czegoś podobnego, sam Odyn naplułby im w twarz. Do ogólnego zamętu dołączył się swym tubalnym głosem nawet Schlaup, zajęty karmieniem pani Tanner okrawkami pieczonej gęsi.

— Jestem wzruszony — powiedział bard, uciszając ich uniesioną dłonią. — Szlachetni z was towarzysze, ale macie swoje obowiązki w domu. Nawet Olaf nie czekał na statki, które zostały zabrane do pałaców Aegira i Ran. Takie jest prawo wielorybiego szlaku — dodał, posługując się nazwą, jaką Ludzie Północy nadali morzu.

Żeby uczcić początek przygody, Skakki otworzył beczkę miodu i mężczyźni zaczęli się tłoczyć, natrętnie podsuwając mu swoje rogi. Jack poszedł na plażę. W takich chwilach zawsze czuł się niepewnie, gdyż nastroju berserkerów nigdy nie można było przewidzieć. Z oddali słyszał odgłosy pijackiej zabawy.

Zajęli się *flytingiem*, rozrywką polegającą na wzajemnym obrzucaniu się obelgami. Ktoś oskarżył Egila o to, że smaruje brodę mewim łajnem, a inny głos zakrzyknął, że Eryk Zapalczywy smaruje nimi chleb. Każdy z Ludzi Północy starał się przebić obelgi poprzedników, opisując rzeczy, których Jack nie był sobie w stanie wyobrazić, a co dopiero zrozumieć!

Wreszcie, jak wszystkie takie konkursy, także i ten wymknął się spod kontroli, aż w końcu Skakki krzyknął do Schlaupa: „Uspokój ich!” Po chwili nad przystanią zaległa cisza.

Jack siedział na piasku i słuchał fal. Miał wrażenie, że bez względu na to, jak bardzo się stara, coś zawsze krzyżuje mu plany. Nie mógł teraz wracać do domu. Musiał pożeglować na północ, do

jakiegoś mrocznego i straszego miejsca, gdzie mieszkają morskie wiedźmy. Taka wyprawa zajmie całe miesiące, a Pega zapewne pomyśli, że zginął. Ojciec będzie przekonany, że porzucił rodzinę. Hobgobliny uprowadzą Hazel. A on nie mógł na to wszystko nic poradzić. Im dłużej myślał, w tym głębsze popadał przygnębienie. Dlaczego nie mogę żyć spokojnie, jak kowal czy John Grotnik? — pytał się w duchu.

— Niczyje życie nie jest spokojne ani bezpieczne — powiedział bard, wychodząc z mroku. Jack zadrżał. Starzec w niesamowity sposób zawsze wiedział, nad czym on się zastanawia. — Świat przez cały czas umiera i odradza się na nowo jak Wielkie Drzewo Yggdrasil. Większość ludzi nie przyjmuje tego do wiadomości, ale miewają momenty oświecenia. Kiedy Johnowi Grotnikowi umarła siostra, trwało to u niego całe popołudnie.

Siedzieli ramię w ramię. Bard wbił laskę w piach i powiedział coś, czego Jack nie zrozumiał. Z laski popłynęło łagodne światło, zabarwiając spienione fale na perłowo.

— Czy to był język Wysp Błogosławionych? — spytał chłopak.

— Tak, to Mowa Błogosławionych. Pewnego dnia nauczę cię i tego.

Z lasu wybiegł lis, wszedł do wody i złapał coś, co wyglądało na niewielkiego raka. Upolował ich jeszcze kilka i potruczał z powrotem między drzewa. Wracając, uklonił się uprzejmie bardowi.

— Dlaczego ojciec Severus zachował się tak niemilo? — spytał Jack. — Przecież Thorgil i ja pomogliśmy mu w ucieczce z lochów Krainy Elfów. Tygodniami obozowaliśmy na plaży, zanim stał się zdolny do dalszej podróży. A teraz zachował się tak, jakby nie widział nas nigdy przedtem.

— Severus jest silnym i odważnym człowiekiem, ale ma jedną fatalną słabość — powiedział bard. — Kocha władzę. Nie jest w stanie się oprzeć, gdy ma okazję narzucenia innym własnej woli, bez względu na to, czy chodzi o syrenę, braci w klasztorze czy króla. Uczynił się prawdziwym władcą Bebb'a's Town. Brutus się temu nie sprzeciwia, gdyż jest zanadto leniwy, a to wielka szkoda, bo ma piękne serce. Opat nie chciał się przyznać, że cię pamięta, chłopcze, bo przypomniałeś mu o czasach, gdy był jeszcze kimś bez znaczenia.

Jack zastanowił się nad słowami starca. Fale szumiały na brzegu, nocny wiatr niósł woń sosen. Po chwili bard chwycił swą laskę i wrócili nad zatoczkę. Ludzie Północy posnęli, bezładnie rozrzućeni na piasku, to tu, to tam. Eryk Pięknolicy leżał z nogami na pół zanurzonymi w wodzie. Wydawało się, że jedynie Ragnarok będzie w stanie ich zbudzić, ale chłopak wiedział, że to tylko złudzenie. Był już świadkiem, jak Ludzie Północy zrywają się z pijackiego otępienia i po kilku chwilach stają w pełnej gotowości do walki. To, czy budziły się również ich mózgi, było odrębnym pytaniem. Berserkerzy nie potrzebowali ich do boju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

CELA ETHNE

Bard, Jack i Thorgil wrócili do Din Guardi. Ponieważ nie uczestniczyli w przyjęciu, król Brutus z wdziękiem się na nich obraził, ale wkrótce o tym zapomniał i zaczął planować następną ucztę. Jack ze starcem co dzień chodzili na targ, gdzie sprzedawali towar, a Thorgil zajęła się szkoleniem królewskich koni.

— Te zwierzęta są obrzydliwie grzeczne — narzekała. — Zajmują się tylko tarzaniem w trawie i jedzeniem stokrotek.

— Jaki pan, taki kram — zauważył bard.

Za zarobione pieniądze Egil zakupił zboże i załadował je na statek.

„Specyfik Belzebuba przeciwko Muchom” sprzedał się cały. Przy panujących upałach wszyscy cierpieli z powodu plagi natrętnych owadów. Popularne były również eliksiry na otwieranie lub zamykanie jelit, podobnie jak balsamy na wysypkę, różowe oko i wędrujące swędzenie. Bard siadywał pod drzewem, a ludzie szeptem przyznawali się mu do swych przypadłości. Potem Jack przynosił odpowiedni medykament.

Niektórzy ściszonymi głosami prosili o klątwy, lecz tych starzec odsyłał z kwitkiem.

— Precz stąd! Nie zajmuję się klątwami — krzyczał. — Idź i popytaj w klasztorze. Im podobno jeszcze trochę zostało. Wyjątkowo zjadliwych! — Wciąż był urażony po spotkaniu z ojcem Severusem.

Wieczorami jeździli do Pangur Bana. Ethne — jak twierdził kot — nieco poweselała. Spodobały się jej przesłane przez barda kwiaty i znowu zaczęła śpiewać. Mogła też prawie dotknąć promienia słońca, który wpadał przez drzwi kaplicy i zalegał pod jej wąskim oknem. Jacka na myśl o jej uwięzieniu — mimo że sama o nie prosiła — bolało z oburzenia serce.

Gdy sprzedali już wszystkie towary, bard odłożył dumę na bok i wraz z chłopakiem po raz kolejny udał się do ojca Severusa.

— Nie mam czasu na wasze nonsensy — rzucił gniewnie opat. — Jeden z chorych umarł w moim szpitalu od lotnych jądów. Musieliśmy spalić jego dom, by choroba nie zaczęła się rozprzestrzeniać.

— Nie zajmę ci wiele czasu — powiedział starzec. — Mam na sprzedaż atramenty brata Aideny.

Opat już machnął ręką i nakazał jednemu ze swoich potężnych mnichów usunąć intruzów, ale na wzmiankę o bracie Aidenie powstrzymał go.

— Czy to taki sam atrament, jakiego używano na Świętej Wyspie?

— Taki sam — potwierdził bard. — Różana czerwień, niebiański błękit, zieleń listowia, żółć słońca o poranku. Ilustracje sporządzane przy ich użyciu wyglądają jak świat widziany przez witraż.

Jack uśmiechnął się i przypomniał sobie okno w klasztorным magazynie. Nie było wielkie, gdyż wykonano je z ocalałych kawałków oryginalnego witraża ze Świętej Wyspy, ale nawet teraz lśniło chwałą, która nie mogła pochodzić z tego świata.

— Nikt nie potrafi mieszać barwników lepiej niż brat Aiden — przyznał ojciec Severus. — Szczęście bym zapłacił, gdyby zechciał podzielić się ze mną recepturą.

— Pozwól, że opowiem ci pewną historię — podjął bard.

— Aiden, jak wszyscy Piktowie, zna sekret wyrobu wrzosowego piwa.

— Kosztowałem tego trunku — wtrącił opat. — Nawet gdybyś płonął w czeluściach piekła, jedna jego kropla ukoiłaby całe twoje ciało.

— Szkocki król pojmał jednego z przodków Aidena i zagroził mu śmiercią. Ale jednocześnie obiecał mu góry złota i rękę swej córki, jeśli tylko pojmany wyjawia tajemnicę owego piwa. Jeniec wybrał śmierć. Z takim właśnie oporem będziesz musiał się zmagać, jeśli poprosisz Aidena o recepturę jego atramentów.

Ojciec Severus westchnął.

— Jaką więc cenę proponujesz? Zapewne jest zbyt wysoka.

Bard wymienił sumę.

— Chcę też zobaczyć swoją córkę — dodał.

Opat wybuchnął śmiechem.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Ethne z własnej woli przyjęła na siebie pokutę. Od tego zależy los jej nieśmiertelnej duszy. Nie może z nią rozmawiać żaden mężczyzna, nawet ja.

— Jestem jej ojcem!

— Przez zwykły przypadek — rzucił ojciec Severus. — Jeszcze rok temu nie miałeś nawet pojęcia o jej istnieniu.

— Ale teraz mam!

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem i Jack poczuł moc wzbierającą w lasce barda. Opat stawał opór z równą siłą, posługując się czymś, co przypominało lodowaty mur uczuć. Chłopak zastanawiał się, gdzie wcześniej napotkał taką moc. Czy wtedy, gdy ujrzał siły świata żywych rozbijające się o ściany Din Guardi? Czyżby poczuł teraz Nieżycie?

— Thorgil może ją odwiedzić — odezwał się Jack, by starcy nie przeszli do rękoczynów. Obaj zwrócili się w jego stronę. — Mogłaby sprawdzić, jak się ona miewa.

— To prawda — przytaknął opat niechętnie. — Thorgil nie jest mężczyzną, choć by się o tym przekonać, trzeba dobrze się przyjrzeć.

Bard skinął głową.

— Znakomicie, do Ethne pójdzie Thorgil, ale pod pewnymi warunkami. Cegły broniące dostępu do celi mojej córki musicie usunąć i zastąpić drzwiami. Nie chcę, by Ethne wpadła w pułapkę, gdyby wybuchł pożar albo przydarzyło się kolejne trzęsienie ziemi. Będę też nalegać, byś na wszelki wypadek umieścił w jej pokoju dzbany z wodą.

— Ale te drzwi będą musiały być przez cały czas zamknięte — zaczął się targować ojciec Severus — a klucz do nich zatrzymam ja. Nie chcę, by ktoś w przyływie szału próbował ją ratować. Co więcej, Thorgil musi do niej pójść bez broni i w kobiecym stroju. — Opat się uśmiechnął i Jack natychmiast zmarkotniał. Wojowniczką nigdy nikomu nie pokazywała się w sukniach i nieuzbrojona.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i chłopakowi wydało się, że bard, gdy dotknęła go dłoń ojca Severusa, skrzywił się z niechęcią.

— Przysięgam — gotował się ze złości starzec, gdy jechali z powrotem do Din Guardi. — Wrócę tu i zetrę uśmiech z twarzy tego nadętego osła. Gdybym nie miał na głowie draugra, zrobiłbym to już teraz. Ale z pomocą Thorgil życie Ethne stanie się znośne przynajmniej do chwili, gdy albo ja, albo Skakki wrócimy, by ją uwolnić.

Albo — albo? — pomyślał zrozpaczony Jack. Dlaczego nie obaj? Wyglądało na to, że bard nie jest pewien swego powrotu z Podmorskiej Krainy. Chłopak zastanawiał się też przez cały czas nad zmianą, jaką zaszła w zachowaniu ojca Severusa. Opat zawsze był nieugięty i ponury, ale wyczuwało się w nim miłe i dobre wnętrze. Uratował małego Aideną i zabrał go na Świętą Wyspę. Dbał także o Jacka, Pegę i Thorgil w lochach Krainy Elfów. Co mu się stało?

Chłopak przez całą drogę szykował się do karczemnej kłótni z Thorgil na temat sukni, ale dziewczyna całkowicie go zaskoczyła.

— To dobry podstęp — stwierdziła. — Thor też kiedyś włożył suknię i udawał Freyę. Poszedł w tym przebraniu aż pod bramy Jotunheimu. „Wpuście mnie, wielkie i silne Jotuny — powiedział. — Tak bardzo mi się podobacie!” Oczywiście, gdy tylko znalazł się wewnątrz, sprawił im tęgie lanie. Wszyscy zawsze pękali ze śmiechu, kiedy Olaf opowiadał nam tę historię.

— Tak, wiem o tym — powiedział Jack i pomyślał, że Ludzie Północy są bez wyjątku szaleni.

Tak więc Thorgil, odziana w najlepszą suknię, jaką tylko mógł jej wyszukać król Brutus, ruszyła na białym rumaku w odwiedziny do córki królowej Krainy Elfów. Suknia była długa, zielona. Na nią dziewczyna narzuciła błękitną jak niebo tunikę. Założyła też ozdobiony złotymi monetami pas, a głowę przykryła białym welonem, przytrzymywanym przez diadem z ametystów, który Brutus osobiście dla niej wybrał. Thorgil miała sprawną tylko jedną rękę, ale konno jeździła równie dobrze jak każdy zdrowy wojownik. Konie były jej instynktownie posłuszne.

U jej boku jechał Jack i dwóch rycerzy. Uznano, że puszczenie tak wspaniale odzianej damy

samopas mogłoby się okazać zbyt niebezpieczne.

— Przypuszczam, że masz gdzieś ukryty nóż — powiedział chłopak, który dobrze znał obyczaje córy miecza.

— A skąd u ciebie taka myśl? — rzuciła Thorgil słodziutko. — Poza tym przecież mnisi nie będą mnie przeszukiwać.

— Tylko nie zrób niczego głupiego.

Dotarli do klasztoru. Ojciec Severus podejrzliwie przyjrzał się dziewczynie.

— Bardzo się zmieniłaś — powiedział.

— Nieprawdaż? — zaszczębiotała Thorgil.

Jack zamknął oczy i czekał na cięty dalszy ciąg, ale dziewczyna tylko wyciągnęła ku niemu rękę. Pomógł jej zsiąść z wierzchowca.

— Nie myśl, że ci ufam — rzucił opat. — Widziałem, co potrafią takie jak ty. Nie pójdziesz do Ethne sama, a jeśli spróbujesz czegokolwiek głupiego, to wiedz, że w pogotowiu czeka dwunastu mnichów, którzy byli dawniej mordercami i łotrami.

Klasnął w dłonie i pojawiła się zakonnica o ponurej twarzy. Właśnie wtedy Jack pierwszy raz zobaczył zakonnice. Do tej pory jedynie o nich słyszał. Była to wielka, barczysta baba, która wyglądała, jakby mogła powalić wołu. Chłopak zauważył, że kobieta ma na dłoni sporych rozmiarów bliznę. Także i ona została poddana próbie żelaza.

— Wulfhilda cię zaprowadzi, Thorgil. Już dałem jej klucz.

— Ach, dziękuję ci bardzo, Wulhildo — powiedziała słodko dziewczyna. Uniosła rąbek sukni równie elegancko, jak uczyniłaby to każda dworka króla Brutusa, i ruszyła za zakonnice do kaplicy. Jack i rycerze musieli zostać na dziedzińcu.

Czekali i czekali. Ojciec Severus oddalił się, by ukarać kilku mnichów za obżarstwo. Po jakimś czasie wrócił i rzucił poirytowane spojrzenie na kaplicę. Przeprosił czekających i udał się na modlitwę. Zadzwiezczał wzywający na posiłek dzwon. Po chwili znów pojawił się opat i zaprosił Jacka i rycerzy, by do niego dołączyli.

Jack miał w pamięci żywe wspomnienie sali jadalnej i spodziewał się uczy, ale od czasu jego poprzedniej wizyty menu zmieniło się drastycznie. Zniknęły soczyste płaty szynki, pieczone kapłony i ostrygi serwowane na liściach sałaty. Teraz podano im chleb jęczmienny zmieszany z popiołem, co miało przypominać mnichom o śmiertelności, oraz zupę z pokrzyw i cydr, który niewiele tylko różnił się od octu. Wszyscy oprócz ukaranych za obżarstwo otrzymali też po maleńkim jajku na twardo. Dyscyplinowani siedzieli ponurym szeregiem, śledząc oczyma każdy kęs.

Ojciec Severus szeroko rozwodził się na temat reform, jakie przeprowadził u świętego Filiana.

— Mnisi modlą się siedem razy dziennie, a pozostały czas poświęcają pracy. Każdego

popołudnia tłumacząc im doniosłość posłuszeństwa. Chodzić wolno im wyłącznie z pochylonymi głowami i spuszczonej oczyma. Mają się także zadowalać najskromniejszymi wygodami. Muszą wiedzieć, że są gorsi i mniej godni od robactwa mnożącego się na psim brzuchu. Śmiech, co oczywiste, jest również zakazany.

Jack stłumił ciszony się na usta wybuch wesołości.

— Czy posty was nie osłabiają? — spytał, przyglądając się posepnym mnichom.

— Nie bądź śmieszny — ofuknął go ojciec Severus. — Sam przeżyłem cały miesiąc o wodzie i wodorostach. Ciało tych mężczyzn są być może chude, ale ich dusze prężne jak charty. Albo wkrótce takimi się staną.

Jack zamoczył kawałek chleba w zupie, by móc go przeżuć.

— Widziałem ranę na dłoni Wulfhildy. Czy przeszła próbę żelaza? — zapytał.

— Zawsze byłeś spostrzegawczy, chłopcze — powiedział niezbyt zadowolony opat. — Wulfhilda przyrządziła mężowi potrawkę z leśnych grzybów, po której spożyciu zmarł. Oskarżono ją o trucicielstwo.

— Przecież to mógł być wypadek.

— Dlatego właśnie stosujemy próbę żelaza, dzięki której odróżniamy przypadki od złych uczynków — wyjaśnił ojciec Severus. — Poleciałem rozgrzać żelazo... z uwagi na powagę oskarżenia użyliśmy sporych rozmiarów sztaby... i Wulfhilda przeniosła je przez przepisowe dziewięć stóp.

— Ty poleciałeś? — rzucił przerażony Jack.

— Chyba nie spodziewasz się, że uczynił to Brutus — odparł ojciec Severus. — Ta marna namiastka króla nie potrafiłaby ukarać nawet psiaka za zafajdanie buta.

— Ale... — chłopak już miał powiedzieć „ale przecież nie jesteś królem”, gdy przypomniał sobie słowa barda, który tłumaczył mu, że opat praktycznie włada całym miastem — ... ale to okrutne.

Severus zaśmiał się ponuro. Widocznie jemu wolno się było śmiać.

— Morderstwo też jest okrutne. Niektórzy z tych mnichów to zbrodniarze najgorszego autoramentu i cudem tylko zyskali Boskie przebaczenie. Gdybym im choć trochę popuścił, anibyśmy się obejrzeli, a skoczyliby sobie do gardeł. Jednak ręka Wulfhildy nie zgniła, co dowiodło niewinności tej kobiety. Przyjąłem ją na zakonnicę, ponieważ nie miała się dokąd udać.

I być może nie dałaby też rady zarobić na utrzymanie, pomyślał Jack, który obserwując Thorgil, wiedział, do czego prowadzi uszkodzenie ręki. Bez ręki nie można było doić krów ani szyć. Nie można było tkać, łuskać grochu ani zaplatać warkoczy. Wszystkie inne czynności wykonywało się wolno i nieporadnie. Chłopakowi wydało się szaleństwem, że niewinna osoba musiała się okaleczyć tylko dlatego, że zebrała w lesie niewłaściwe grzyby.

Gdy wrócili do kaplicy, Jack ujrzał w oddali Thorgil i Wulfhildę, śmiejące się i rozmawiające

wesoło. Opat zmarszczył brwi, ale gdy się zbliżyli, śmiechy ucichły. Zakonnica spuściła głowę i z szacunkiem wbiła wzrok w ziemię. Thorgil przysiadła na ławce i zaczęła machać nogą.

Ojciec Severus wyjął z rękawa sakiewkę srebra i wręczył ją chłopakowi.

— Możesz powiedzieć Smoczemu Językowi, że dotrzymałem jego warunków. Teraz on musi spełnić swoją obietnicę. Nie wolno mu już nigdy prosić o widzenie z Ethne. Wulfhildo, oddaj mi klucz do drzwi celi, a kiedy wrócisz do klasztoru, przekaz siostrze Hedwidze, by wymierzyła ci sześć razy lżejszą różgą. Wiesz za co. — To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

— Świnia — rzuciła cicho Thorgil. — Chodź z nami, Wulfi. U nas jest o wiele zabawniej.

Zakonnica pokręciła głową.

— Nie mogę pójść do Ludzi Północy. Nie po tym, co zrobiliście na Świętej Wyspie. Ale zaopiekuję się dla ciebie Ethne.

Rycerze przyprowadzili rumaka Thorgil. Wojowniczką odjechała z klasztoru dumna jak prawdziwa dama dworu. Przedstawienie skończyło się na szczycie wzgórza. Dziewczyna zakasała spódnicę i krzykiem popędziła wierzchowca.

Koń puścił się galopem i jak wiatr zbiegł drugim zboczem. Jack z całych sił starał się utrzymać tempo. Rycerze na swoich większych wierzchowcach niemal wpadali na drzewa, lecz Thorgil wymijała je z dziecinną łatwością. Zatrzymała się dopiero na rozdrożu, skąd jeden szlak prowadził do miasta, a drugi do Din Guardi. Opodał głośno szumiał strumień.

— Na Freyę, co za okropne miejsce! — zawołała, po czym wykrzyknęła ile sił w płucach: — Ale już mi lepiej! — Zeskoczyła na ziemię. — Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tam strasznie, Jack. Ciało Ethne roi się od wszy, a jej włosy wyglądają jak jeżynowy krzak. Jest taka chuda, że z trudem ją rozpoznałam. Na skórze ma pełno wrzodów. Wiem, że sama może nie jestem najczystsza osobą na świecie, ale nigdy, przenigdy nie doprowadziłabym się do takiego stanu. A ona uważa, że to dobre dla jej duszy!

— Może tak jest. Ona musi się starać bardziej od nas — zauważył Jack.

— Nie wiem, w jaki sposób można otrzymać duszę, ale z pewnością nie przez spraszanie wszy na darmowe posiłki — rzuciła rozemocjonowana dziewczyna. — A Wulfi? Wiesz, co oni jej zrobili?

— Słyszałem o próbie żelaza — powiedział chłopak.

— Klasztor skonfiskował dobra jej męża, a kiedy się okazało, że jest niewinna, nie zwrócili jej ni grosza. Tak się cieszę, że splądrowaliśmy Świętą Wyspę.

— Ciszej — rzucił Jack, spoglądając na rycerzy, ale mężczyźni siedzieli nad potokiem, zajęci bukłakiem wina. — Na Świętej Wyspie było inaczej niż u świętego Filiana — dodał cicho. — Tam mieszkali łagodni ludzie, którzy pomagali wszystkim potrzebującym. W klasztorze zawsze pełno było renegatów, niewiele tylko lepszych od morskich rozbójników.

— Wiem — przyznała Thorgil. — Brat Aiden jest tak dobry, że robi mi się przykro, kiedy pomyślę, że spaliliśmy tamto miejsce. — Dziewczyna zdjęła buty i obmyła stopy w wartkiej strudze. — Nie rozumiem tylko, dlaczego ojciec Severus zmienił się aż tak bardzo.

— Bard twierdzi, że zepsuła go władza — zasugerował Jack.

— Wulfi mówiła, że on wychodzi z klasztoru podczas każdego nowiu — opowiedziała wojowniczką. — Chodzi wtedy do lasu, a kiedy wraca, zamyka się w celi i batoży pejcem.

Jack poczuł, że robi mu się zimno. Przypomniało mu się, co matka Bugabu mówiła o Księżycowym Człowieku: „To jeden ze starych bogów. Jest skazany na samotne przemierzanie nieba, a kiedy jesteś przy nim, czujesz się jak na bezkresnym morzu bez gwiazdy, która wskazałaby ci drogę. Odwiedza zielony świat tylko podczas nowiu, a jego mowa jest ponura i niepokojąca zarazem”. To właśnie Księżycowy Człowiek sprzymierzył się z Nieżyciem.

— To jeszcze nie wszystko. Ktoś umarł w szpitalu i ojciec Severus rozkazał wychłostać mnicha, który opiekował się chorym. Według niego bat jest lekarstwem na wszystko.

— Nic na to nie poradzimy. Jedźmy lepiej do Din Guardi — zaproponował Jack.

Bard siedział w Łabędziej Sali i notował coś stalowym rysikiem na pokrytej woskiem drewnianej tabliczce. To brat Aiden nauczył go tej metody planowania zajęć. Gdy starzec spisał listę zadań do wykonania, wygładził wosk, by sporządzić kolejną listę.

Król Brutus miał rację. Ściany i zasłony Łabędziej Sali były tak białe, że szaty barda ledwie odcinały się od tła. Wyraźnie widać było jedynie jego rumianą twarz i dłonie. Wyczekująco spojrzął na nowo przybyłych.

— Jest tak źle, jak się spodziewałeś — zaczęła Thorgil. — Brudno, przygnębiająco i mroczno. Ale Ethne wciąż nie chce stamtąd wyjść. Mnie jednak udało się przemycić jej wszystko.

— Przemycić? — zaciekał się Jack.

Wojowniczką wyszczerzyła się w uśmiechu.

— Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile można ukryć pod spódnicą — paczki suszonego mięsa, sery, resztę wybornych ciastek Pegi, nóż, małe lustereko i grzebień. Ethne zgromadziła też z tyłu celi tyle dzbanów wody, że mogłaby przetrwać długie oblężenie. Zakonnica Wulfhilda obiecała mieć na nią oko.

— Świetna robota — pochwalił dziewczynę bard. — Może Ethne nie chce jeszcze stamtąd uciekać, ale kiedy wrócimy z Podmorskiej Krainy, będzie gotowa. A jeśli nie wyjdziemy stamtąd żywi, uwolni ją Skakki. Obiecał mi. Nie sądzę, by ojcu Severusowi spodobał się sposób, w jaki Ludzie Północy prowadzą akcje ratunkowe, ale, szczerze mówiąc, nie dbam o to.

Jack spojrzął na starca i na dziewczynę. Poczuł się urażony, że nie został włączony do planu.

— Skąd wiesz, że Ethne będzie gotowa?

— My, Ludzie Północy, doskonale wiemy, czym jest głód. Zwłaszcza zimą — wyjaśniła

Thorgil. — Najpierw przez cały czas myślisz o jedzeniu. Nie możesz się skupić na niczym innym. Po jakimś czasie jednak wpadasz w pewien rodzaj transu i nie czujesz zupełnie nic. Pod koniec zimy Olaf chadzał po domach i wybudzał z niego ludzi. Właśnie na to cierpi teraz Ethne. Zbyt długo jadła to paskudne klasztorne jedzenie i jej duch jest teraz uśpiony.

— A grzebień i lusterko?

— To był mój pomysł — odpowiedział bard. — Moja córka nie ma zbyt bujnej wyobraźni i zapewne nie zdaje sobie sprawy, jak zwiędła jej uroda. Kiedy przejrzy się w lustrze, przeżyje największy wstrząs życia.

— Już przeżyła — zachichotała Thorgil. — Kiedy wychodziłam, wciąż rozczesywała palcami ten swój kołtun.

Tego wieczoru król Brutus znowu wydał przyjęcie. Dziedziniec pałacu zastawiono latarniami. Muzycy, stojąc w altanach pod ścianami, grali słodkie melodie. Na stołach pojawiły się pieczone łososie, prosięta, zielony groszek z miętą, jabłka gotowane z miodem i wiele innych przysmaków. Jack myślał o Ethne. Żał mu było, że nie może jej niczego wysłać.

Wiele rozrywki zapewniła Nimue, Pani Jeziora. Widok jej wysokiej postaci wywołał w Jacku wspomnienie dawnego bólu. Podczas ich pierwszego spotkania sparaliżowała go elfim strzałem. Pani tańczyła ze swymi nimfami wokół fontanny, ubrana w lśniąca białą szatę. Bładozłote włosy unosiły się w powietrzu delikatną mgiełką. Nimfy pokryte były błyszczącymi łuskami. Potem otoczyły królewski tron i Nimue uparła się, że będzie karmić „swojego drogiego Brucia-Pucia” kawałkami marcepana.

— Ja chyba zwymiotuję — rzuciła Thorgil.

— Jeśli ona poczęstuje swojego Brucia-Pucia jeszcze jedną porcją tej kleistej papki, to raczej on zwymiotuje — zauważył Jack i oboje wybuchnęli śmiechem.

Powietrze było łagodne i ciepłe. Czuć było woń niewidocznych kwiatów, rycerze tańczyli z damami, wokół przechadzali się paziowie z tacami uginającymi się od słodczy. Gdy na zachodnim niebie zgasło światło dnia, nad fortemczny mur wspiął się żółty księżyc w pełni. Jack nagle znieruchomiał.

— Zeszłej nocy nie było pełni. Była tylko połowa księżyca — powiedział.

— To znaczy, że dziedziniec jest pełen pozłoty — wytłumaczyła Thorgil, kręcąc nosem. — Mówiłam ci, że te mury i posadzki są niebezpieczne. Wystarczy, że Nimue zdejmie pozłotę, i wszystko runie do piwnic.

— Myślę... mam nadzieję... że większa część budowli jest jednak prawdziwa.

Chłopak rozejrzał się w poszukiwaniu barda i znalazł go siedzącego pod przeciwległą ścianą, przyglądającego się zabawie. Jego ciało skrywały cienie, jakby na niebie nie było pełni. Jack domyślił się, że ułudna, magiczna pozłota nie ma władzy nad starcem, podczas gdy on sam nie

umie odróżnić, co jest, a co nie jest prawdziwe.

— Gdy to miejsce było w uścisku Nieżycia — powiedział chłopak — nie cierpiałem go, ale teraz także mi się tu nie podoba. Dlaczego ludzie nie potrafią się cieszyć rzeczami takimi, jakimi naprawdę są?

— Niedługo poczujemy pod stopami pokład, a wiatr będzie wiać nam w plecy. Większej prawdy nie znajdziesz — zauważyła Thorgil.

Jack po raz pierwszy poczuł ciekawość na myśl o nadchodzącej przygodzie. Dotąd zanadto zajęty był pracą — sprzedawał eliksiry, wymieniał towary, karmił konie, załatwiał sprawy. Teraz mieli się odwrócić od bezpiecznego, przewidywalnego świata i ruszyć w nieznaną. Któż by się z czegoś takiego nie cieszył?

Najpierw jednak należało rozwiązać problem pani Tanner i jej córek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ZARĘCZYNYSCHLAUPA

Podoba ci się pani Tanner, prawda? — powtórzył po raz piąty Skakki.

Schlaup nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— Pewnie — przyznał, także już piąty raz.

Bard, Jack, Thorgil i Skakki spotkali się z nim w zakątku ukrytej przystani Ludzi Północy.

— I mówiłeś, że chcesz ją za żonę — odpowiedział Skakki.

Jack zamknął oczy. To był najbardziej szalony z szalonych pomysłów. Jak można wydobyć małżeńską obietnicę od gburą, który ledwie potrafi mówić? Bard jednak stwierdził, że to najlepsze wyjście. Samce trollów zakochiwały się tylko raz w życiu, a nikt nie miał wątpliwości, że Schlaup jest w pani Tanner zadurzony po uszy.

— Pewnie, że chcę ją poślubić, ale... — Olbrzym zmarszczył swoje grube brwi.

— Ale co? — nacisnął Jack.

Próby wydobywania konkretnej odpowiedzi od wstydliwego gburą trwały już co najmniej godzinę. Gdyby to zależało od chłopaka, wyrzuciłby Tannerki na pustej plaży i kazał im wracać do Bebbas Town na piechotę. Thorgil jednak mądrze zauważyła, że kobiety poznały tajemnicę ukrytego portu i bez wątpienia natychmiast sprzedałyby tę informację mieszkańcom miasta.

— To nie byłoby przyzwoite — wybełkotał Schlaup.

— Oczywiście, że to przyzwoite. Przecież mówimy o Tannerkach! — zawołał wyprowadzony z równowagi Jack.

— Chłopcze, nie zostaje nam specjalnie wiele możliwości — odezwał się bard. — Nie możemy ich zabić i nie możemy ich też uwolnić. Zostaje nam tylko zabrać je ze sobą.

— W Edwin's Town znam jednego takiego, który by je kupił jako niewolnice — zaproponował Skakki.

— Nigdy! — ryknął Schlaup ze skrywaną dotychczas energią.

— Musisz więc podjąć jakąś decyzję, bracie — powiedziała Thorgil. — Nie wiem, czym się tak martwisz. Jeśli z jedną żoną ci nie wyjdzie, zawsze możesz wziąć sobie kolejną. Olaf miał trzy. A nawet cztery, jeśli policzyć twoją matkę.

— Wiem, jak to jest — wypalił nagle Schlaup. — To, że nie jestem bystry, nie znaczy, że nie wiem, na czym polega małżeństwo. Najpierw trollka prosi cię do tańca, przynosi ci prezenty — łoście, niedźwiedzie i inne takie. Potem tka dla ciebie płaszcz z pajęczej przędzy, którą zdobywa od wielkich pajęczyc. A wreszcie — zalał się głębokim rumieńcem, przybierając jasnopomarańczowy

kolor — zaciąga cię do swojej jaskini. I nazajutrz wszyscy cię oglądają, żeby sprawdzić, ile masz ran na głowie.

Wszyscy patrzyli na olbrzyma z otwartymi ustami. Nikt nigdy nie słyszał od niego tylu słów naraz.

— A więc tu cię boli! — zawołał Skakki. — Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Schlaup, bracie, ludzie biorą sobie żony inaczej. Dlatego właśnie twoje siostry cię oddały. Nie potrafiłeś rozmawiać myślami i trollki nie zwracały na ciebie uwagi.

— Nie musisz mi o tym przypominać — rzucił urażony Schlaup.

— Nie chciałem cię obrazić. Musisz się nauczyć zabiegać o kobiety jak prawdziwy Człowiek Północy. A teraz słuchaj, Olaf zdobył Heide, moją matkę, w Laponii — wyjaśniał Skakki. — Była córką wioskowego wodza i bardzo mądrą kobietą. Dał za nią wiele futer. Zażądała też bursztynowego naszyjnika, srebrnych bransolet i własnego skarbczyka.

— A jak było z Dotti i Lotti? — spytał Jack, wymieniając dwie pozostałe żony Olafa.

— To były po prostu dobre okazje. Olaf zarzucił je sobie na ramiona podczas plądrowania i uciekł.

— Innych zalotów nie było? — zdziwił się chłopak.

— Niezbyt wiele — przyznał Skakki.

Thorgil wybuchnęła śmiechem, a bard pokręcił głową.

— Nie słuchaj ich, Schlaupie — powiedział starzec. — Prawdziwe małżeństwo Ludzi Północy wymaga zgody kobiety.

Wielkolud nadstawił uszu, by bardziej skupić się na słowach barda. Przymrużył oczy i widać było tylko ciemne paski jego źrenic. Poruszył w milczeniu ustami. Jack podejrzewał, że olbrzym wcale nie jest głupi, tylko nie do końca rozumie ludzką mowę. W końcu większość życia spędził w milczeniu.

— Małżeństwo, jakiego doświadczyły Dotti i Lotti, niewiele się różniło od niewoli — dodał bard.

— Olaf był dla nich dobry — zaprotestowała Thorgil.

— Olaf był zmienny. Strugał zabawki, kochał muzykę, robił durne kawały, lubił tarzać się na łące jak żrebak. Był lojalny, odważny i uprzejmy. Ale był też berserkerem. Uprowadził Dotti i Lotti z płonącej wioski po wymordowaniu ich rodzin.

Schlaup skinął głową na znak zrozumienia.

— Trolle też palą wioski — powiedział.

— To ulubiona rozrywka siłaczy na całym świecie — skwitował bard. — Ale twoje małżeństwo, Schlaupie, mój chłopcze, nie powinno zacząć się od porywania krzyczącej kobiety. Plądrowanie jest złem.

— No, proszę! A tak się już cieszyłam, że usłyszę wrzaski pani Tanner — rzuciła Thorgil.

— Najpierw musisz sprawić, by twoja narzeczona się zgodziła — ciągnął starzec, ignorując dziewczynę. — Ja na początek coś bym jej podarował. Perły, ametysty, topazy, bursztyn i srebro. Możesz je zdobyć podczas podróży.

— Co?! — wykrzyknęli chórem Jack i Skakki.

— Powinieneś też zbudować dla niej dom i pozwolić, by zajmowała się twoimi sprawami, kiedy będziesz na morzu.

— Przecież ona go natychmiast okradnie! — zauważył Jack.

Schlaup tymczasem z entuzjazmem kiwał głową.

— Mogę tak zrobić! To proste!

Bard uśmiechnął się szeroko.

— Jestem pewien, że możesz. Cóż, Skakki, myślę, że czas ogłosić zaręczyny i wyprawić ucztę.

Skakki oddalił się, by wszystko zorganizować, a Schlaup wrócił na statek w poszukiwaniu prezentu dla pani Tanner. Thorgil, nachmurzona, końcem włóczni rysowała zawile wzory na piasku. Jack przyglądał się dwóm mrówkom, które mozolnie ciągnęły do mrowiska martwego żuka.

— To nieuczciwe — odezwał się w końcu. — Tannerki kłamią, oszukują i kradną, a teraz spotka je za to nagroda.

— Zastanów się — powiedział bard. — Schlaup nie ma wielkich szans na znalezienie żony. Tutaj czy w Jotunheimie. Zakochał się w pani Tanner i choć wszyscy się zgadzamy, że ta kobieta ma charakter bagiennego szczura, to właśnie jej zapragnął. I to się już nie zmieni, bo gbury zakochują się tylko raz. Wiemy też, że pani Tanner zgodzi się na wszystko, jeśli będzie wiedzieć, że dostanie perły, ametysty, topazy, bursztyn i srebro. Pierwszy problem rozwiązany: chętny pan młody i chętna panna młoda.

— Tak, ale...

— A czy Schlaup przywiezie do domu jakiejkolwiek kosztowności to zupełnie inna sprawa. Bogactwa niewiele dla niego znaczą. Mając pieczonego łosia i kilka baryłek piwa, jest całkowicie szczęśliwy.

Jack wyszczerzył się w uśmiechu, rozumiejąc, do czego zmierza bard.

— A nowy dom?

— Nie możemy umieścić Tannerek w domu Skakkiego. Heide natychmiast ozdobiłaby ściany ich skórami. W ten sposób rozwiązujemy drugi problem i unikamy rodzinnych sprzeczek. Co do kradzieży, to dokąd według ciebie poszłyby Tannerki ze swoimi skradzionymi dobrami po opuszczeniu wioski Ludzi Północy, otoczonej skutymi lodem górami, trollami i burzliwym morzem?

Thorgil zaśmiała się tak żywo, że aż spadła z głazu, na którym siedziała.

— Na zadek Baldura, sprytny jesteś. Przypomnij mi, bym nigdy cię nie zdraźniła.

— Większość ludzi, którzy mnie rozdrażnili — odparł starzec z łagodnym uśmiechem — jest już po drugiej stronie życia.

Tej samej nocy odbyła się ceremonia zaręczyn. Ślub miał się odbyć w krainie Ludzi Północy. Tam mieli świętować i wręczać sobie podarki. Skakki powiedział, że król Ivar, którego rozsądek nieco ucierpiał po stracie Frith, może się zgodzić na użyczenie swojego domu, równie wielkiego jak pałac, udekorowanego rzeźbami i gobelinami. Jack wyraźnie widział, jak to wszystko działa na panią Tanner — czyli Ydgith. Dopiero dziś wszyscy poznali jej imię. Na wzmiankę o królu i pałacu otworzyła szeroko oczy. Jeszcze silniej podziałały na nią słowa o perłach, ametystach, topazach, bursztynie i srebrze. A kiedy Schlaup założył jej na szyję złoty naszyjnik, była szczerze wniebowzięta.

— To część skarbu, który przysłała razem z nim Królowa Gór — szepnął Jackowi Skakki. — Zabrałem te kosztowności na wypadek, gdyby chciał je sprzedać, ale Schlaup nie rozumie, jak cenne jest złoto. Szybko się nudzi oglądaniem jego blasku i je wyrzuca.

Zaręczyny wypadły niezwykle gustownie. Runa przypomniał historię miłości Baldura i Nanny, boga i bogini wiosny. Jack opowiedział dzieje irlandzkiego boga Aengusa, który we śnie zakochał się w córce króla elfów. Thorgil skutecznie zniechęcono do śpiewania, ponieważ wszyscy wiedzieli, że dziewczyna najbardziej lubi sceny bitewne z nieodłącznymi stosami trupów.

Ucztowali, tańczyli i wznosili na cześć młodych toast za toastem. Jedyne zgrzyt miał miejsce, gdy Ymma i Ythla rzuciły się na piasek i przysięgły, że raczej się zabiją, niż pozwolą wywieźć do kraju Ludzi Północy.

— Przestańcie skomleć, paskudy — rzuciła ich matka. — Nie pozwolę wam zepsuć pierwszej dobrej rzeczy, jaka mnie w życiu spotkała.

Schlaup jednak, bojąc się, że dziewczynki mogą spełnić swą groźbę, obdarował każdą złotym pierścieniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

KAMIEŃ OFIARNY

*Niewiele wiedzą mieszkańcy lądów, skryci w bezpiecznych domach,
O naszych cierpieniach na targanych sztormami morzach.
Żagle okrętów skuwają lody, piana siecze nasze twarze,
Mkniemy na słonej fali wśród wycia wichrów,
Mkniemy po pieśni, po kąśliwe mrozy po przyjaźń...*

Jack otulił się szczelniej płaszczem. Słuchał Thorgil, recytującej wiersz na dziobie statku. Otrzymane od Pani Jeziora stroje starannie spakował i miał teraz na sobie grubą wełnianą opończę nasączoną oliwą, która nie pozwalała tkaninie przemoknąć. Przez cały dzień nad morzem szalały burze. Żaden z tych sztormów nie trwał zbyt długo, ale nikt nie mógł sobie przez nie pozwolić choć na chwilę wytchnienia. Wciąż słychać było: „Wiosła w górę! Wiosła w dół! Więcej żagla! Mniej żagla!”, a także od czasu do czasu: „Na pachy Aegira, ależ wielka ta fala!” W tej chwili już od jakiegoś czasu na niebie świeciło słońce, lecz wiatr nadal niósł ze sobą masę lodowych igiełek.

— Na Thorgil zawsze można liczyć, zwłaszcza jeśli chodzi o sprowadzenie niepogody — zauważył chłopak.

— Ludzie Północy wierzą w moc odwagi i mierzenia się z przeciwnościami — powiedział bard. Na swą zwykłą szatę założył owcze runo. Wiatr smagający twarz starca różowił mu policzki.

Z ukrytego portu wypłynęli dwa dni wcześniej. Zostawili w nim towary Egila i połowę załogi na straży. Łódź Egila z resztą jego ludzi na pokładzie wyruszyła na południe, by dostarczyć zboże do wioski.

Ygdith uznała się za królową tego małego portu. Ymma i Ythla zostały księżniczkami. Jeszcze zanim Egil popłynął na południe, a Skakki na północ, dostała już własną chatę, zapas jedzenia i ubrania dla siebie i córek. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do Schlaupa, brzmiały:

— I pamiętaj, że masz mi przywieźć z północy słodkowodne perły. Słyszałam, że mają ich tam całą masę.

Thorgil z zapamiętaniem opisywała nieszczęścia towarzyszące żeglarzom, aż wreszcie Eryk Pięknolicy ryknął:

— DIABLI BY WZIĘLI! JUŻ TRZECI RAZ MÓWISZ NAM O ZAMARZAJĄCYCH NA ŚMIERĆ LUDZIACH! ZAŚPIEWAJ WRESZCIE COŚ INNEGO!

Naburmuszona wojowniczką odeszła i usiadła obok Schlaupa na śródokręciu.

— Ja lubię mróz — oświadczył olbrzym, by poprawić jej humor. — Fonn i Forath zabierały mnie na pikniki na lodzie.

— Tęsknisz za nimi, prawda? — spytała Thorgil.

Półtroll przytaknął skinieniem.

— Po ślubie... — urwał na chwilę, by raz jeszcze przemyśleć to, co właśnie powiedział — zabiorę Ygdith do Jotunheimu. Chcę, żeby poznała matkę.

Jack stłumił cisnący mu się na usta śmiech. Wyobraził sobie reakcję pani Tanner na widok nowej teściowej, wysokiej na dziewięć stóp Królowej Gór o sztywnych rudych włosach i wystających kłach.

Pokład przeciął cień wielkiego albatrosa; ptak zakreślił leniwy krąg, po czym znów oddalił się na północ. Wędrowiec okazał się najbardziej wartościowym członkiem załogi. Widział wybrzeża, których ludzie z pokładu jeszcze nie dostrzegali. Przynosił marynarzom informacje o wyspach, samotnych wioskach i zatoczkach, w których można było spędzić noc, nie narażając się na odkrycie.

Wiedza Ludzi Północy o kształcie wybrzeża nie była doskonała. Nawet Runa pamiętał tylko tych kilka miejsc, które sam odwiedził, więc przez większość czasu kierowali się wskazówkami ptasiego przewodnika. Pewnego dnia wprowadził ich na ławicę śledzi tak gęstą, że długa łódź nie była w stanie płynąć, póki ryby się nie oddaliły. Żeglarze chwyтали je w sieci, a albatros tak się obżarł, że nie mógł nawet wzbić się w powietrze.

Tamtej nocy najedli się do syta i posnęli wokół huczącego ogniska. Następnego wieczoru jednak zaczął padać deszcz i czas do świtu spędzili, trzęsąc się z zimna pod natłuszczonymi skórąmi.

Thorgil opowiadała o miejscach, które poznawała.

— Tam stoją stare twierdze Piktów — powiedziała, wskazując na samotne okrągłe wieże na odległych wzgórzach. — Runa uważa, że są opuszczone.

Brzegi były dzikie i niedostępne, z wieloma otwierającymi się na morze wąskimi zatokami. Fale posyłały w nie mgielkę morskiej piany, spod której niczym kły wystawały wysokie urwiska.

— Gdy wszyscy inni spali, widziałem w tych wieżach światła — powiedział bard, zasłaniając dłonią oczy przed rażącymi promieniami popołudniowego słońca. — Słyszałem też bojowy zew *huushayuu* w miejscu, w którym od niezliczonych lat nie maszerowała żadna armia.

— Co to jest *huushayuu*? — spytał Jack, opanowując dreszcz. Obce słowo brzmiało upiornie i wywoływało złe wspomnienia.

— To piktyjska trąba wojenna — wyjaśnił starzec. Jack przypomniał sobie ciemność zapadającą dawno temu nad targiem niewolników i ludzi, których ciała wydawały się porośnięte pnączami. — *Huushayuu* były długie, jak dorosły mężczyzna jest wysoki, a ich głos niósł się bardzo daleko. Nigdy nie grała tylko jedna. Piktowie zawsze mieli dziesięciu lub dwudziestu trębaczy, ponieważ

sam ten dźwięk sprawiał, że serca wrogów topniały. Rzymianie nazywali je *carnyx*.

— U Olafa na ścianie wisiała stara *carnyx* — przypomniała sobie Thorgil. — Miała kształt atakującego węża o głowie dzika. Nie pozwalał jej nikomu tknąć, bo znalazł ją w pradawnym grobowcu.

Bard z niesmakiem wpatrywał się w odległe wieże.

— To była rzymska kopia. Prawdziwa *huushayuu* miała na końcu głowę piktyjskiej bestii z metalowym językiem w paszczy.

Wtedy podleciał Wędrowiec i przyniósł wieść o pustej zatoce, która leży prosto przed nimi. Skakki nakazał zwrot w kierunku lądu. Starzec pospiesznie odwołał polecenie.

— Powinniśmy płynąć na północ, póki starczy dnia — powiedział. — Jeśli nie znajdziemy innej zatoki, i tak lepiej będzie przeczekać noc na morzu niż lądować na tym wybrzeżu.

Po jakimś czasie zostawili okrągłe wieże za sobą. Dalej klify stały się jeszcze bardziej strome i zębate. Wreszcie, dokładnie w chwili, gdy na zachodnim niebie zgasło ostatnie pasmo czerwieni, natrafili na białą, piaszczystą plażę. Za nią otwierała się spokojna, otoczona wzgórzami dolina i bard uznał, że nadaje się na nocleg.

Schlaup w pojedynkę wyciągnął długą łódź powyżej linii przyływu. Do wielu zajęć się nie nadawał. Wiosłował zbyt mocno, by pracować w jednym rytmie z innymi, a sterować nie potrafiłby nawet po kałuży błota. Gdy jednak potrzeba było fizycznej siły, nikt nie mógł się z nim równać.

— Jak brzmi dźwięk *carnyx*? — spytał Jack później, gdy już zjedli kolację i rozłożyli się pod gwiazdami. Nie chciał używać piktyjskiego słowa *buushayuu*.

— Takich pytań nie powinno się zadawać po zmroku — odparł bard. — Powiem ci tyle: dźwięk *carnyx* przypomina ryk piktyjskiej bestii. Usłyszysz go już niedługo na granicy Podmorskiej Krainy.

Starzec odwrócił się plecami i nie chciał powiedzieć ani słowa więcej.

Dopłynęli do portu, w którym Jack i Lucy niemal zostali sprzedani w niewolę. Chłopak był wówczas tak zdjęty strachem, że praktycznie nic z tego miejsca nie zapamiętał. Teraz dowiedział się, że jest to Edwin's Town. Opowieści o tym mieście słyszał przez całe życie, o jego wspaniałościach i o rządzącym tu królu. Teraz zrozumiał, że osada jest niewiele większa od Bebb'a's Town i stoi w niej ponura forteca, przypominająca Din Guardi przed zniszczeniem.

Nad wodą rozłożyły się wielkie nabrzeża, którym Edwin's Town zawdzięczało znaczną część swego bogactwa. Był to wielki ośrodek handlu. Z południa przyływały statki wyładowane solą, świetnymi tkaninami, przedniej jakości ceramiką, psami gończymi i serem. Zza morza przybywali

fryzjyjscy kupcy z przyprawami korzennymi, oliwą i winem. Z północy docierał bursztyn i zwierzęce skóry. I oczywiście niewolnicy. Wszyscy nimi handlowali.

Gdy długa łódź Skakkiego przybiła do portu, wielu ludzi pytało go, czy ma coś na sprzedaż.

— Teraz nic — odpowiadał, rzucając z ukosa spojrzenie na Jacka. — Zapytajcie mnie w przyszłym roku.

Żeby się uspokoić, chłopak wybrał się na długi, samotny spacer. Wiedział, co takiego przywozili tu na sprzedaż Ludzie Północy. Dwa lata temu — czy naprawdę były to zaledwie dwa lata? — został umyty w zimnym morzu i wyszorowany cuchnącym ohydnie mydłem, które niemal zdarło mu skórę. Z włosów wyczesano mu wszy. Potem natarto jego ciało oliwą, by zdrowo połyskiwało. Traktowano go tak samo jak szykowanego na sprzedaż konia. Dostał tyle chleba i ciepłej strawy, ile tylko był w stanie zjeść. Olaf często powtarzał, że najedzonego niewolnika łatwiej jest wymienić na złoto.

Jack zadrzał z odrazy do Ludzi Północy i do siebie samego. Wyszedł z portu i ruszył między domy. Teren opadł i chłopak znalazł się w płytkiej dolinie, z obu stron strzeżonej przez góry. Długie, wąskie pola były od siebie odgródzone rowami lub żywopłotami z głogu. Wokół latały rozświetlone ptaki.

Jack usiadł na podłużnym głazie, leżącym przy jednym z długich żywopłotów. Po prawej stronie wznosiła się wysoka skała, na której ściętym szczycie stała mroczna forteca. Bard powiedział, że nazywa się Din Eidyn i jest siostrzaną twierdzą Din Guardi. Ona także istniała od niepamiętnych czasów. Została zbudowana, kiedy zielonym światem wciąż władał Pan Lasu, a Księżycowego Człowieka nie wygnano jeszcze na niebo.

Wokół zaczęła się zbierać mgła, specyficzny rodzaj morskiego oparu, zwany *haar*, który pojawiał się szybko i nieoczekiwanie. Chłopak nie chciał wstawać. Podobało mu się tu, w czystym powietrzu, wolnym od dusznej woni martwych ryb i butów Ludzi Północy. Ciaśniej otulił się płaszczem i narzucił kaptur na głowę. Na kolanie wylądowała mu zdjęta nagłym chłodem pszczoła. Przeniósł ją delikatnie na głóg.

Pomiędzy nim a fortecą ział wąwóz. Teraz wypełnił go *haar* i wydawało się, że skała dryfuje po mlecznym jeziorze. Jack słyszał brzęk krowich dzwonek i dolatujące z oddali nawoływania pasterzy. Zapewne spędzali zwierzęta z wyżej położonych pastwisk do bezpiecznych stodół. Musiało być później, niż przypuszczał. Niebo również zaczęło się ściemniać.

Mgła wypłynęła z jaru i zaczęła skradać się w górę, ku Din Eidyn. Wypełniła także dolinę za chłopakiem. Nabrzeża i morze zniknęły. Jack wołał jednak zostać tu, gdzie siedział. Nogi i ręce miał jak z kamienia.

Ogarnął go *haar*, twarz pokryły mu drobne, mokre kropelki. Mgła otaczała go ze wszystkich stron, ograniczając zasięg jego widzenia do zaledwie kilku stóp. Dostrzegał tylko swój głaz,

fragment żywoplotu i trawę.

Kamień. Jack przesunął po nim palcami. Nie był to zwykły kawał skały. Pokrywały go liczne rzeźbione symbole. Chłopak wyczuł lustro i grzebień i pomyślał, że to dziwne, iż ktoś wyrył w kamieniu właśnie te przedmioty. Zobaczył też — choć robiło się coraz ciemniej i musiał się pochylić — dziwne zwierzę z długim pyskiem i podwiniętymi pod siebie łapami. I następną bestię, która przywiodła mu na myśl opisywaną przez barda *carnyx*. Na drugim końcu głazu widniał bogato zdobiony, przebity złamaną strzałą półksiężyc.

Jackowi zrobiło się jeszcze zimniej niż dotąd. Widział już kiedyś ten wizerunek — na piersi brata Aiden. Ojciec Severus powiedział, że półksiężyc symbolizuje Księżycowego Człowieka, a złamana strzała jest znakiem Pana Lasu. Oba razem oznaczały, że brat Aiden, który był wówczas tylko zagubionym w lesie dzieckiem, został wyznaczony na ludzką ofiarę dla starożytnych bóstw.

Chłopak spróbował wstać, ale *haar* napierał ze wszystkich stron. Ciężko było nawet oddychać. Zimne macki mgły sięgnęły do ust i wypełniły gardło. Jack położył się twarzą w dół na kamieniu. Szorstki granit naciskał na jego pierś. Coś przygniatało go od góry.

Na głaz wspięło się jakieś małe stworzenie. Jack zobaczył je kątem oka. Pszczoła. Nie była dłuższa od paznokcia, ale z właściwą swemu gatunkowi determinacją i pragnieniem słońca próbowała uciec przed śmiertelnie niebezpiecznym chłodem. Owad poruszał się powoli, mozolnie, a kiedy zbliżył się do twarzy Jacka, chłopak poczuł woń miodu. Pszczoła przeczołgała się dalej i stracił ją z oczu. Wspięła się na jego czoło i użądliła go.

Ból ocucił mu zmysły. Jack zerwał się gwałtownie, senność zniknęła. Zauważył, że mgła nad nim już się rozwiała. Na niebie lśniły miriady gwiazd. Łapczywie wdychał powietrze, aż zaczął się obawiać, że zaraz pękną mu płuca. Z doliny dobiegł go dźwięk ciężkich kroków. Chwilę potem chwycił go Schlaup, wcisnął pod pachę i uciekł wielkimi susami.

Jack widział rozmyte, niewyraźne zarysy domów i ulic. Wkrótce znaleźli się na powrót w porcie. Schlaup wskoczył na pokład, wskutek czego długa łódź zakołysała się tak gwałtownie, że marynarze musieli przytrzymać ładunek, by nie wpadł do morza.

— Mam go! Mam go! — zawołał olbrzym i złożył Jacka na deskach.

Skakki rozkazał odbić i Ludzie Północy naparli na wiosła. Bard kucnął przy chłopaku i dotknął jego głowy.

— Dzięki Frei, że znalazł cię przed odpływem — powiedział. — Nie moglibyśmy ukrywać Schlaupa jeszcze jeden dzień. Zaglądało tu zbyt wielu ludzi ciekawych naszego ładunku.

Jack poczuł, że boli go gardło, jakby od długiego krzyku.

— Gdzie go schowaliście?

— Przykryliśmy plandeką — wyjaśniła Thorgil. — Skakki wmawiał wszystkim zainteresowanym, że to sterta worków ze zbożem.

— Jestem ładunkiem — dodał Schlaup, wskazując z dumą na swoją pierś.

— Dla nas znaczysz o wiele więcej — zauważył bard. — Jack, co w ciebie wstąpiło, że oddaliłeś się, nikomu nic nie mówiąc?

Chłopak zauważył na wschodnim niebie pierwsze oznaki świtu. Dotarło do niego, że spędził samotnie większość poprzedniego dnia i całą noc.

— Poszedłem na spacer... Nie jestem pewien, co się stało potem.

Bard złożył mu dłoń na czole.

— Już lepiej. Wraca ciepło. Zasnąłeś na polu czy co?

Jack opisał kamień i nagle pojawienie się *haar*. Morze i niebo zdążyły już pojaśnić i przybrały tę barwę, przy której ciężko jest ocenić, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie. Miał wrażenie, że żeglują przez ciemnoniebieskie powietrze.

— Wydawało mi się, że minęła ledwie godzina — dodał.

— Nie wracałeś i zaczęliśmy się niepokoić — powiedział bard. — Szukaliśmy wszędzie, a o północy dałem Schlaupowi do powąchania twoje stare buty. Wrócił szybko i powiedział, że zgubił twój trop w pobliżu Din Eidyn. Wysłałem go tam jeszcze raz. Noc była niezwykle jasna i zupełnie nie było mgły. Jesteś pewien, że widziałeś *haar*?

— Najzupełniej.

Jack poczuł, że pod tuniką uwiera go coś małego, i sięgnął tam palcami. Wydobył maleńkie, porośnięte futerkiem ciało.

— Pszczoła — przypomniał sobie. — Użądliła mnie i wtedy się obudziłem.

Bard wziął owada w dłoń i zaczął coś szeptać w Mowie Błogosławionych.

— A teraz leć z bożą pomocą i wracaj bezpiecznie do domu — dodał na głos.

Rozwarł ręce i pszczoła odleciała lub może zwiął ją wiatr. Jack nie był pewien. Stworzenie było takie małe...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

BJOERN ŁAMACZ CZASZEK

Rok ma się ku końcowi — zauważył Skakki, przyglądając się odległemu wybrzeżu. Powietrze było ciepłe, a na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka. Większość ludzi uznałaby, że pogoda jest idealna, ale Ludzie Północy byli zbyt doświadczeni, — by dać się zwieść pozorom. Ran, bogini morza, wraz ze swymi dziewięcioma córkami wypatrywała wszystkich nieostrożnych. Jej sieć tylko czekała, by skorzystać z nagłych burz. — Nie zostało nam zbyt wiele tygodni łatwej żeglugi.

— Proszę tylko o siedem dni — powiedział bard. — Jeśli wrócimy przed ich upływem, zawieziecie nas do najbliższego portu. Na południe dotrzemy już na własną rękę. A jeśli nie powrócimy, odpłyniecie z Egilem i zostawicie nas w rękach przeznaczenia.

— Nigdy bym tak nie postąpił — oświadczył młody kapitan.

— Ale tak robi — zapewnił starzec Jacka na osobności jakiś czas później. — Skakki nie jest głupcem. Na morzu wciąż ktoś ginie, a ci, którym udaje się przeżyć, muszą porzucać rozbitków.

Dobrze wiedzieć, zwłaszcza na początku niebezpiecznej podróży, pomyślał chłopak. Przyjrzał się małej łódce, która miała ich zabrać do Podmorskiej Krainy. Okręt Skakkiego na bezkresnym oceanie wydawał się maleńki, ale ich łódeczka o szkielecie z wikliny przypominała wręcz drobinę kurzu. Równie dobrze można by próbować żeglugi w wiadrze.

By zyskać na czasie, Skakki nie prowadził już okrętu wzdłuż wybrzeża, w którym otwierała się rozległa zatoka. Zamiast tego popłynęli na północny zachód, tracąc ziemię z oczu i odnajdując drogę za pomocą gwiazdy, którą Ludzie Północy zwali Gwoździem. Za dnia Runa pomagał nawigować, przypominając sobie pozycje słońca o tej porze roku. Bard przyspieszał podróż, przyzywając wiatr. Płynęli więc jednostajnym tempem, mocny powiew stale wydymał wielki żagiel, a fale nie były ani za wysokie, ani za niskie.

— Zastanawiałem się nad tym, co zaszło w Edwin's Town — odezwał się bard, gdy wypoczywali z Jackiem w cieniu grzbietu Schlaupa. — Według ludzi takich jak Severus świat jest idiotycznie prosty. Na wszystko istnieje tylko jeden sposób, czyli ten, który sami uznają za słuszny. Na gwiazdy! Nie masz pojęcia, jak zażarcie on i pozostali chrześcijanie spierają się o to, kiedy należy świętować Wielkanoc. Te głupki nie zdają sobie sprawy, że jest to święto dedykowane jednej z najstarszych bogiń, i nie dbają o to, kiedy obchodzili je ich poprzednicy.

Wędrowiec wrócił z jednego ze swych wypadów i przysiadł obok starca na pokładzie. Poinformował, że nie zobaczył przed nimi żadnych wysp czy statków. W nagrodę Jack poczęstował ptaka suszonym śledziem.

— Bogowie, jeśli się ich zaniedba, przysypiają, ale nigdy nie odchodzą na dobre — podjął bard. — Sami chrześcijanie podtrzymują tradycję Wielkanocy, czym — niemądrze — niepokoją starą boginię. Dawno temu tymi krainami władali Pan Lasu i Księżycowy Człowiek. Potem przybyli ludzie i przywieźli ze sobą nowe bóstwa: Worana, Thora, Freyę, Jowisza, Marsa, Jezusa. Nowe warstwy świata nałożyły się na stare, ale ich nie zniszczyły. Gdy położyłeś się na tym kamieniu ofiarnym, chłopcze, coś się zbudziło. Idę o zakład, że gdyby nie uządliła cię ta pszczoła, spałbyś już w przytulnym grobie.

— Ale dlaczego cokolwiek chciałoby mnie zabić? — spytał Jack.

— A dlaczego ogień pali, woda zaś topi? Dzieje się tak wtedy, kiedy ktoś podda się ich władzy.

— A pszczoła?

— Ach, to właśnie jest najciekawsze — przyznał bard. Poglądził albatrosa po głowie. Wielki ptak w głębi gardła zamruczał z zadowolenia. — To maleńkie stworzenie poświęciło się, by cię ocalić. Był to taki sam przypadek jak to, że Pega w lochach Krainy Elfów miała ze sobą świecę, czy to, że Severus znalazł się w pobliżu akurat wtedy, gdy brat Aiden był w potrzebie. Pomyśl o najważniejszych wydarzeniach dwóch ostatnich lat. Święta Wyspa została zniszczona, a Ludzie Północy dowiedzieli się, że klasztory stanowią łatwy łup. Można by pomyśleć, że oznacza to koniec chrześcijaństwa, ale to nieprawda.

— To znaczy, że Ludzie Północy splądrowali więcej klasztorów? — zdziwił się chłopak. Nigdy wcześniej o tym nie słyszał.

— Och, tak. Ale w tym samym czasie w dziedzinach starych bogów miały miejsce niecodzienne wypadki. Kraina Elfów została wystawiona na światło prawdy, hobgobliny powróciły do Midgardu. Nieżycie zostało wyparte z Din Guardi. Wydaje mi się, że siła życiowa uległa doniosłej przemianie. Przypuszczam, że masz przed sobą jakiś cel do wypełnienia i dlatego zostałeś ocalony. Tylko niech cię ta myśl nie poniesie zbyt wysoko. Kapusta też ma swój cel. Czasami robi się z niej zupę.

Następnego dnia Wędrowiec przyniósł wieści o wyspach. Albatrosa interesowały pewne konkretne tematy, więc żeglarze dowiedzieli się bardzo wiele na temat tamtejszych ryb.

— Dużo jedzenia — cieszył się wielki ptak. — Stada ptaków. Boją się mnie. Miło.

— Są tam domy? — spytała po ptasiemu Thorgil.

— Nie wiem — odparł Wędrowiec.

Kiedy jednak dopłynęli do pierwszej z wysp, natknęli się na swego rodzaju siedliska. Na skałach wznosiły się ziemianki z torfu, a zamieszkujący je ludzie posługiwali się dziwnym, syczącym językiem i nie chcieli wyjść na zewnątrz.

— Według mnie to Piktowie — ocenił Skakki. — Olaf zawarł z nimi jakąś umowę handlową, ale potem twierdził, że owe starania nie przyniosły mu prawie żadnych korzyści. Nieco dalej leży Wyspa Koni, którą włada Bjoern Łamacz Czaszek, jeden z najlepszych przyjaciół mojego ojca, i

jest tam doskonałe miejsce na obóz. Moglibyśmy na niej zaczekać na wasz powrót z Podmorskiej Krainy.

Oczywiście, że tego człowieka nazywają Łamaczem Czaszek, pomyślał chmurnie Jack, wpatrzony w głębokie zielonkawe morze. Żaden przyjaciel Olafa nie mógł się przecież nazywać Bjoernem Umiłowanym. Chłopak zaczął się zastanawiać, czym też Bjoern zasłużył sobie na ten przydomek.

W morzu tętniło zdumiewająco bujne życie. Długie, powłóczyste lasy wodorostów, nieprzebrane ławice ryb. Wokół statku szalały delfiny, całymi gromadami wyskakując ponad wodę. Wydry pływały na grzbietach, zjadając trzymane w łapkach kraby, zupełnie tak, jakby ludzie jedli kawałki chleba.

Mijali wiele niewielkich wysepek. Niektóre były po prostu wystającymi nad fale skałami. Wszystkie zdawały się opuszczone, choć Jack widywał na nich głazy ustawione w dziwne kręgi, a raz nawet zauważył pozbawioną okien wieżę. Wyspa Koni okazała się duża. Nie rosły na niej drzewa, a wybrzeża strzegły skaliste, porośnięte suchą trawą klify. W porównaniu z morzem miejsce to wydało się chłopakowi szczególnie przygnębiające.

Runa skierował długą łódź do zatoki, za którą rozciągała się plaża o szorstkim piachu. Jeszcze dalej leżała wioska. Na ich widok na brzegu zebrał się tłum, a Skakki zadał na powitanie w róg swego ojca. Miejscowi nie zareagowali.

— Nie witają nas zbyt wylewnie — zauważyła Thorgil.

— Nie poznają okrętu — wytłumaczył Skakki.

— Chyba nie dlatego. Pozdrowiliśmy ich, jak każe tradycja, a oni nam nie odpowiedzieli — odezwał się bard. — Nie zbliżajmy się przez chwilę na odległość lotu strzały.

Skakki kazał wiosłarzom zatrzymać okręt.

Jack zauważył torfowe domy, które tak dobrze wtapiały się w teren, że z początku uznał je za maleńkie wzgórza. Na wyspie mieszkali Ludzie Północy. Nosili ubrania w kolorze torfu i takie same buty. Ich włosy miały barwę zeschniętej trawy i można by pomyśleć, że sami są kawałkami wyspy, które nagle się ocknęły i postanowiły pospacerować. Nawet znajdujący się pośród nich niscy, ciemnoskórzy Piktowie zlewali się z tłumem tak dobrze, że przypominali południowe cienie.

Chłopakowi nie podobała się ta zbyt długa cisza. Nie widział wielu osiedli Ludzi Północy, ale pamiętał wioskę Olafa. Gdy ktokolwiek się tam pojawiał, zaraz zaczynano świętować, wystawiano towary na sprzedaż, a przybyszy witano świeżymi plotkami.

— Zadmij raz jeszcze — podsunął bard.

— Ja ich zawołam — powiedział Schlaup i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, ryknął: — HEJ, WY TAM! JESTEŚMY PRZYJACIÓŁMI OLAFI JEDNOBREWEGO! ODEZWIJCIE SIĘ!

Jego głos potoczył się niczym grzmot i od razu stało się jasne, że potężny, niebezpieczny troll to

największy koszmar mieszkańców wyspy. Umknęli w jednej chwili. Na plaży nie został nikt. Bard zaczął się śmiać tak głośno, że musiał wytrzeć rękawem płynące z oczu łzy.

— Udało ci się, Schlaupie, zwrócić na siebie ich uwagę — zachrypiał. — Ale zabawa! Pewnie w tej chwili płyną już na inną wyspę.

— Przynajmniej wiedzą, kim jesteśmy — zauważył Skakki ze smutnym uśmiechem. — Jestem pewien, że Bjoern nie okaże się tak płochliwy.

Rozkazał dobić do brzegu i wszyscy zeszli ze statku, który następnie Schlaup wyciągnął na piasek.

— Byłem tu, gdy miałem dwanaście lat. Podjęto nas wtedy po królewsku — wspomniał Skakki. — Widzicie, podczas jednej z morskich bitew Olaf ocalił Bjoernowi życie. Nie ma takiej rzeczy, której Bjoern nie zrobiłby dla mojego ojca czy kogoś z nas.

— Morskich bitew? — zdziwił się Jack. Nie miał pojęcia, że można walczyć na wodzie.

— Einar Żmijozęby zatopił długą łódź Bjoerna i Olaf skoczył za nim do morza, ponieważ Bjoern nie umiał pływać. Biedak od zawsze panicznie bał się wody. Kiedy Olaf próbował go wyciągnąć, Bjoern zaczął się histerycznie szarpać, więc ojciec musiał go ogłuszyć. Gdy udało im się bezpiecznie wrócić na pokład, Einar Żmijozęby zniknął już we mgle.

Jack zauważył w pobliżu więcej lepianek, zbitych jedna przy drugiej niczym kopce gigantycznych kretów. Tworzyły barierę strzegącą przejścia w głąb wyspy i wyglądało na to, że stanowią świetne miejsce na zasadzkę.

— Dom Bjoerna jest tam. — Skakki wskazał kierunek.

— Zaczekaj chwilę — ostrzegł bard. — Możliwe, że jest dobrym przyjacielem, ale nie było cię tu od sześciu lat. Wyglądamy jak banda berserkerów... o, przepraszam, większość z nas jest berserkerami. A często się zdarza, że niektórzy z was napadają na odległe wyspy.

Sven Mściwy, Eryk Zapalczywy i Eryk Pięknolicy wymienili niespokojne spojrzenia. Jack wiedział, że pomyśleli o Świętej Wyspie.

— Proponuję, żeby załoga została na straży statku — powiedział starzec. — Skakki, Jack, Thorgil i ja odszukamy Bjoerna. Na widok niewielkiej grupy nie okaże niepokoju i będzie mieć dość czasu, by rozpoznać Skakkiego. Teraz jesteś dwakroć wyższy niż wtedy — dodał, patrząc na młodego kapitana. — Starca o lasce się nie zleką, choć powinni, a Jack wcale nie wygląda groźnie.

O, przepraszam, pomyślał chłopak. A kto pokonał półtrollkę Frith i uwolnił Din Guardi od Nieżycia? Zdawał sobie jednak sprawę, że te zwycięstwa zawdzięczał magii, a nie sile mięśni, którą będą oceniać wyspiarze.

— Co do Thorgil, czego byście się spodziewali na widok młodej damy ubranej w najlepsze stroje z Din Guardi?

— Co?! — zawołała oburzona dziewczyna.

— Brutus podarował nam suknię, w której odwiedziłaś klasztor — wyjaśnił bard. — Nie ma lepszego przebrania dla niebezpiecznej wojowniczk.

Thorgil załała się rumieńcem.

— Uważasz, że jestem niebezpieczna? Naprawdę?

— Jak gotowa do skoku smoczyca.

Tak więc Thorgil schowała się za łodzią i przebrała. Inni czekali. Po chwili ruszyli. Pochód prowadził bard.

Jack miał rację. Wioska przypominała labirynt ścieżek rozgałęziających się we wszystkie strony. Torfowe chatki wyglądały tak samo. Gdy znaleźli się między nimi, stracili z oczu okolice, zabłądzili i po jakimś czasie na powrót trafili na plażę. Wtedy Thorgil poprosiła o pomoc Wędrowca.

Albatros zatoczył nad nimi leniwe koło.

— Wiele dwunogich zwierząt! — zawołał. — Kryją się jak kraby.

— Tak myślałem — mruknął bard.

Wieśniacy jednak ich nie zaatakowali, a dzięki pomocy ptaka przybysze szybko znaleźli drogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

KSIĘŻNICZKA THORGIL

Za wioską rozciągała się niezamieszкана, porośnięta trawą i wrzosem równina. Gdzieniedzie widać też było mokradła. W pewien posepny sposób było tu pięknie, a otwarta przestrzeń dawała ulgę tym, którzy właśnie wyszli spomiędzy ciasno zbitych domów. Wiatr hulał swobodnie, niosąc ze sobą woń morza. Wyraźnie wydeptana ścieżka wskazała im drogę do domu Bjoerna.

— Wzniesiono go z kamienia. — Skakki musiał podnieść głos, by przekrzyczyć wicher. — Bjoern wykorzystał do budowy materiał z ruin, które znajdowały się na wyspie. Robi wrażenie.

— Może i robi, ale to wielka głupota — odezwał się bard, tak że słyszał go jedynie Jack. — Niektóre ruiny mają za sobą złą przeszłość. Bjoern może mówić o szczęściu, jeśli skończyło się tylko na jednym czy dwóch duchach.

Wędrowiec leciał nad nimi, co jakiś czas nurkując, by spłoszyć mewy. Kiedy uciekały, głośno wykrzykiwał, że to on tu rządzi, i obrażał przodków morskiego ptactwa. Jack stwierdził, że albatros idealnie pasuje charakterem do Ludzi Północy.

— Konie! — zakrzyknęła nagle Thorgil.

Stado niewysokich, ale mocno zbudowanych zwierząt pojawiło się przed wędrowcami — a może te konie były tam przez cały czas? Ich sierść miała barwę ziemi — brąz torfu i szarość kredy. Były zmierzwione i przypominały porośnięte mchem skały. Gdyby stały w bezruchu, nie można by ich dostrzec na tle wzgórza, ale teraz nie były nieruchome. Ogier — przywódca stada — zarżał i mocno uderzył w ziemię kopytami. Klacze zbiły się w ciasną grupę, chroniąc między sobą źrebięta.

— Na Thora, one są zupełnie zdziczałe! — zawołał Skakki. — Jestem pewien, że to stado Bjoerna Łamacza Czaszek. Zanim oni tu zamieszkali, na wyspie nie było ani jednego konia.

— Ostrożnie! — krzyknął Jack, widząc, że Thorgil zbliża się do ogiera.

Ruszył naprzód, ale bard złożył mu dłoń na ramieniu.

— Nie robią jej krzywdy — uspokoił.

Chłopak nie był pewien. Ogier prychał i bił kopytami. Cofnął się lekko, jakby się wahał, co począć z człowiekiem, który wyraźnie nie jest świadom zagrożenia.

Wojowniczką zatrzymała się. Wyciągnęła przed siebie ramiona, lekko unosząc dłonie, i zaśpiewała:

Man byf on myrgfe his magan leof:

sceal feah anra gehwylc odrum swican...

*Koń niesie radość księżniczce wśród wojów,
dumny rumak o mocnych kopytach...*

Jack był zdumiony. Tego zaklęcia użyła jego matka, by uspokoić po burzy jednego z koni Johna Grotnika. Thorgil wciąż mówiła — cicho i nieprzerwanie. Jack nie słyszał unoszonych wiatrem słów, ale ogier wyraźnie się uspokoił, a klacze rozluźniły chroniący młode krąg. Wreszcie koń podszedł do wojowniczkii, która dmuchnęła mu w nozdrza. Zwierzę pochyliło łeb.

— Czegoś takiego nie widziałem od wielu lat — powiedział bard.

Thorgil wskoczyła na grzbiet ogiera. Jack zaczął się szykować do walki, ale koń przyjął ciężar dziewczyny, jakby znał ją przez całe życie.

— Teraz dopiero wyglądam jak dama wybierająca się z oficjalną wizytą — oświadczyła.

— Jeszcze większe wrażenie wywrzesz, jeśli opuścisz spódnicę — poradził Skakki.

Poszli dalej, zostawiając za sobą stado klaczy. Gdy Jack obejrzał się po chwili, zobaczył już tylko wrzosa i łaciate skały. Spróbował dotknąć ogiera, ale zwierzę wściekle kłapnęło w jego stronę zębami.

— Uważaj, nie jest oswojony — ostrzegła Thorgil.

— Gdzie się nauczyłaś tego uroku? — spytał chłopak.

Przez twarz wojowniczkii przemknął cień bólu. Odezwała się dopiero po chwili.

— Nauczyła mnie tego matka. Opowiadała, że porwano ją, kiedy wycinała chwasty z wrytego we wzgórze zarysu konia. Mówiła, że to było święte miejsce, ale nigdy nie wypytywałam o szczegóły. Ojciec ją porwał. Nie Olaf. Ten pierwszy. — Thorgil umilkła.

Jack wiedział, że wspomnianie prawdziwego ojca — straszliwego Thorgima, który w berserkerskim szale zabił jej młodszego braciszka — jest dla niej bolesne. Thorgim zarządził też, by po jego śmierci na polu walki matka Thorgil — Allyson — została złożona w ofierze na stosie pogrzebowym.

— Masz w sobie krew władców koni — powiedział bard. — Zacząłem to podejrzewać, gdy zobaczyłem, jak ochoczo posłuchały cię rumaki w Din Guardi. Twoja matka musiała pochodzić z rodu króla Hengista, który ponoć zamieniał się w konia, idąc do boju. Powiedz, dlaczego dmuchnęłaś temu ogierowi w chrapy?

— Bo... wydawało mi się to słuszne — odpowiedziała Thorgil.

— Właśnie! Konie rozpoznają się po zapachu, a ty o tym wiedziałaś, choć nikt cię tego nie uczył.

— Więc mogę mieć w żyłach krew królów... — szepnęła wojowniczkii.

— Albo koni — dodał Jack.

Zawróciła gwałtownie ogiera i chłopak musiał uskoczyć.

Szli powoli, rozkoszując się świeżym powietrzem. Cudownie było po tylu spędzonych na morzu dniach poczuć znów pod stopami twardą ziemię. Nornice uciekały w popłochu, widząc cień Wędrowca, a niebieskie motyle pierzchały im spod butów. Nury wzbijały się nad sadzawkami, wznosząc na widok ludzi dziwaczne okrzyki.

Teren piał się przez dłuższy czas, a potem złagodniał, tworząc nadmorskie wzniesienie. Wysoki mur rozciągał się od przepaści do przepaści, oddzielając wysoki cypel od reszty wyspy. Otwierała się w nim tylko jedna brama.

— Wcześniej Bjoern nie potrzebował muru — zauważył Skakki. — Ciekawe, w jakie wdał się kłopoty.

— Przecież nazywają go Łamaczem Czaszek. Zdaje się, nie bez powodu — przypomniał Jack.

Barda i Thorgil zostawili z tyłu, a sami ruszyli naprzód, by wy badać, jakie czeka ich przyjęcie. Skakki zadał w swój róg. Po chwili otworzył bramę potężny mężczyzna z licznymi bliznami na głowie i ramionach.

— To wy wylądowaliście na plaży — powiedział. — Mój pan mówi, że nie możecie wejść z trollem.

— Ten troll jest moim bratem — rzucił Skakki. — Ale zostawiłem go na statku. Przekaż uprzejmie Bjoernowi, że przybył syn jego najlepszego przyjaciela, Olafa Jednobrewego.

Odźwierny zrobił zaskoczoną minę.

— Jesteś synem Olafa? Kiedy ostatnio cię widziałem, nie byłeś większy od bagiennego szczura. Skakki zmrużył oczy.

— A ty z kolei nie wylądowałaś ani trochę, Większa Połowa.

— Tak, wszyscy mi to powtarzają. — Większa Połowa podrapał się po zarośniętym szczecina policzku. — Chodź tu, Mniejsza Połowo, zobacz, co wyrzuciły fale.

Z bramy wychynał jeszcze jeden mężczyzna i stanął, biorąc się pod boki. Przyjrzał się przybyszom.

Jack był oczarowany. Mniejsza Połowa sięgał mu ledwie do ramienia, ale głowę miał niezwykle dużą. Jego ciało, by móc ją podtrzymać, było krępe i silne.

— Jesteś krasnoludem! — zawołał chłopak.

— Ucinałem ludziom kulasy w kolanach za drobniejsze nieuprzejmości — oświadczył Mniejsza Połowa.

— Nie chciałem cię urazić — przeprosił Jack. — Od zawsze słuchałem opowieści o krasnoludach, które żyją we wzgórzach i wykuwają złote pierścienie. Królowa Gór dostała od nich tron ze złota i diamentów.

Mniejsza Połowa splunął chłopakowi pod nogi.

— Myślisz, że gdybym miał złoto i diamenty, mieszkałbym w tej norze? Jestem zwykłym człowiekiem, tylko bardzo... skupionym w pewnych miejscach.

— To mój brat — wyjaśnił Większa Połowa. — Matka mówiła, że zanadto wybujałem i dla niego nie starczyło już wzrostu.

— Na kły Garma! Widzicie to?! — zawołał karzeł, wskazując palcem. — Najlepszy koń Bjoerna wrócił do domu. A kto to na nim jedzie?

Powoli zbliżała się ku nim Thorgil, z godnością dotrzymując tempa idącemu obok bardowi. Do tej pory Jack nie zwracał uwagi na wygląd dziewczyny, ale teraz spojrzał na nią oczyma Mniejszej Połowy.

Miała na sobie błękitną jak niebo tunikę, narzuconą na zieloną suknię. Włożyła też buty z miękkiej skóry. Jechała bokiem, więc było widać jej nogi, spowite fioletowymi nogawicami, i to zapewne one przykuły uwagę karła. Szyję dziewczyny okalał naszyjnik z ametystów, zapewne podarek od króla Brutusa. Głowy nie przykryła chustką ani woalką, więc jej miękkie włosy koloru zboża powiewały swobodnie na wietrze. Promienie słońca różowiły wojownicze policzki.

— Och, jakie piękne stworzenie — mruknął Mniejsza Połowa i zaklaskał w dłonie.

Thorgil pozwoliła, by Większa Połowa pomógł jej zsiąść. Jack zauważył, że oblicze mężczyzny pokryły kropelki potu. Dziewczyna podziękowała mu słodko. Szepnęła coś do ucha ogierowi i zwierzę zawróciło, po czym odbiegło z powrotem na wrzosowisko.

— To był najlepszy koń Bjoerna! — zaprotestował Większa Połowa.

— Wróci, gdy tylko go zawołam — powiedziała Thorgil. — To jest Smoczy Język, którego sława opiewana jest we wszystkich dziewięciu światach. — Dziewczyna skłoniła się dwornie bardowi, który wyglądał na nieco zaskoczonego jej zachowaniem. Jack za to był zaskoczony bardzo. W końcu starali się uspokoić wyspiarzy, a nie przypominać im o potędze starca.

— Słyszałem o Smoczym Języku — powiedział zaniepokojony Mniejsza Połowa. — Powiadają, że potrafi doprowadzać ludzi do szaleństwa, dmuchając w źdźbło słomy. Mówi się też, że wypalił dziurę w murach fortecy Królowej Gór.

Jack poczuł zainteresowanie. Właśnie tę historię od jakiegoś czasu starał się ze starca wyciągnąć.

— Ech, dawne dzieje. Młody byłem — westchnął bard. — Niestety, upływ lat nie zostawia nikogo nietkniętym. — Oparł się na lasce, jakby tylko dzięki niej trzymał się na nogach. — Dobrze by było gdzieś odetchnąć — dodał, znacząco spoglądając ku bramie.

— Nie możecie zostać tu na noc — rzucił nieuprzejmie Mniejsza Połowa.

— Ależ, bracie, ledwie wczoraj król powiedział, że chce gości...

— Zamknij jadaczkę — warknął karzeł.

Jego wrogość zdumiała Jacka. Także Skakki wyglądał na zdziwionego. Zasady gościnności Ludzi Północy wymagały, by gospodarz zaproponował nocleg wszystkim przybyszom, szczególnie

zaś starym przyjaciółom.

Większa Połowa spojrział z niepokojem na brata, ale wrócił na chwilę za bramę i wytaszczył stółek.

— Spocznij na tym, Smoczy Języku. Przyniosę ci coś do jedzenia. I dla ciebie też, śliczna damo.

— Pozwólcie, że przedstawię wam Thorgil, siostrę mego serca — odezwał się Skakki, dając do zrozumienia, że dziewczyna została adoptowana.

Bracia uklonili się, a Thorgil przyjęła ten gest, jakby był dla niej czymś zupełnie naturalnym.

— Jestem córą serca Olafa Jednobrewego, ale moja matka pochodziła z rodu króla Hengista — oznajmiła z dumą.

Jack zrozumiał, co dziewczyna ma na myśli. Od zawsze wstydziła się tego, że jej prawdziwa matka była niewolnicą. Sama również większą część życia spędziła w niewoli i to przepełniało jej duszę goryczą. Za nic więc nie zrezygnowałaby z okazji, by poczuć się jak członek królewskiego rodu.

— Księżniczka! — zawołał Większa Połowa. — O rany, rany, rany! Pomyśleć tylko, że mamy takie szczęście! Nie mogę się doczekać, aż powiem o tym królowi.

— Powiedziałem ci! Dziś w nocy nie będziemy mieć żadnych gości — sprzeciwił się Mniejsza Połowa.

— Ale księżniczka...

Bracia odeszli na stronę, by porozmawiać. Do Jacka dolatywały tylko urywki — „wrogowie”, „to niebezpieczne”, „hobgun” i od czasu do czasu „księżniczka”. Wreszcie wrócili i Mniejsza Połowa oznajmił, że spytają króla o zgodę.

— Nie wiedziałem, że Bjoern jest królem — zauważył Jack, gdy bracia odeszli.

Skakki wzruszył ramionami.

— Skoro chce nazywać kilka torfowych chat królestwem, to chyba nikomu tym nie zaszkodzi.

Bard usiadł na stołku i bacznie przyjrzał się murowi.

— Widać na nim znaki, Jack — powiedział. — Poznajesz je?

Kamienie były bardzo zniszczone przez ostry klimat i porośnięte mchem i porostami. Chłopak zauważył jednak nieznaczące zarysy zwierzęcych kształtów. Jedna z płaskorzeźb przedstawiała przypominającą węża istotę, stojącą na ogonie.

— Czy to *carnyx*? — spytał.

— *Carnyx* powstała na wzór tego stworzenia. To samiec piktyjskiej bestii. Samice mają coś w rodzaju nóg. Samce nie. Przypuszczam, że mur został wzniesiony z kamieni zabranych z ruin piktyjskiej wieży. A skoro mówimy o ogłaszaniu się królem. .. Thorgil, myślisz, że to mądre udawać księżniczkę?

— To oni zaczęli — odparła. — Ja wspomniałam tylko o rodzie Hengista. Poza tym przebieranie

się i strzelanie oczami okazuje się zaskakująco skuteczną strategią wojenną.

Bard wybuchnął śmiechem.

— Znam ja tę strategię. Nazywają ją flirtowaniem.

— Flirtowaniem... — powtórzyła dziewczyna, zaciekawiona nowym dla niej słowem. Zanim jednak starzec zdążył cokolwiek wytłumaczyć, powrócili Większa i Mniejsza Połowa.

— Jego wysokość wita was w swych progach — powiedział karzeł i uklonił się głęboko.

Gdy tylko znaleźli się za bramą, Większa Połowa spiesznie zamknął ją na dziewięć rygli. Sporo tego, jak na jedną bramę, przemknęło Jackowi przez myśl. Mur był gruby na długość wyciągniętego ramienia chłopaka i wyższy od Skakkiego. Jakiego wroga obawiał się Bjoern? Jack przypomniał sobie słowa z rozmowy braci. „Wrogowie”, „to niebezpieczne”, „hobgun”. Czym, u diabła, jest „hobgun”?

Za murem, przed sporym domem, ciągnął się dziedziniec. Jack spodziewał się takich samych zarośli jak na zewnątrz, ale nie zobaczył ani traw, ani wrzosu. Mimo płynącego środkiem strumienia ziemia była kompletnie jałowa. Woda wymyła głęboki kanał, ale po kilku stopach znikła na powrót pod ziemią.

Widok dziedzińca przywołał w pamięci Jacka wspomnienie Din Guardi w której nic nie rośło. Nie było tu jednak tak zimno i rozpaczliwie jak w starożytnej fortecy. Wyczuwało się raczej wyraźną niechęć, pełgającą wściekłość, od której schły wszystkie rośliny, nim jeszcze zdążyły wyrosnąć. Chłopakowi spłynęła po karku kropla zimnego potu.

— Więc też to czujesz — odezwał się cicho bard. — To ten mur. Kamienie zostały skradzione z piktyjskiej wieży, a te wieże nie są jak inne budynki. Swoją siłę czerpią z krwi pogrzebanych pod nimi ludzi.

— O czym rozmawiacie? — spytał idący za nimi Mniejsza Połowa. Był tak niski, że chłopak go nie zauważył. — Mówiłem królowi, że rozbieranie tej wieży to niedobry pomysł. Konie wolały uciec niż ciągnąć głazy i do dziś żaden z nich nie wrócił.

Wejścia do domu strzegły żelazne wrota. Jack nigdy czegoś takiego nie widział i mocno go to zastanowiło. Drzwi skrzypnęły potwornie, gdy je otwierano, ale kiedy znaleźli się za nimi, wrażenie pełgającej wściekłości zanikło. To wyjaśniało, dlaczego Bjoern użył tak drogiego materiału.

Sam dwór był prostą budowlą, przypominającą nieco siedzibę króla Ivara w krainie Ludzi Północy. Przez cały środek biegło długie, w tej chwili wygaszone palenisko. Po obu jego stronach rozmieszczono stoły i ławy, a wzdłuż ścian wąskie i niskie łóżka. Było tu ciasno, jak zwykle w tego typu miejscach — wszędzie stały skrzynie, leżały posłania i sterty torfu na opał. Podłoga była wyściełana sięgającą kostek warstwą słomy. Z obu stron sali otwierały się przejścia do innych pomieszczeń, być może prowadzące także na zewnątrz. Jack wiedział od barda, że na takich dworach często istniały tajemne wyjścia, z których korzystano w wypadku wrogiego najazdu.

W ścianie zwróconej ku morzu były dwa niewielkie okna, nocami i przy niepogodzie zasłaniane stogami siana. Wpadało tamtędy popołudniowe światło.

Jeszcze dalej otwarte drzwi prowadziły ku przestronnemu podwórzcu pomiędzy domem a urwiskiem. Tam widać było wszystko to, co zwykle kojarzy się z dużym dworem. Kuchnie, stodoły i ogródek z ziołami. Mężczyźni reperowali sieci, oprawiali upolowane zwierzęta i gotowali. Kobiety tkwały w słabnących promieniach słońca, a dzieci przepędzały mewy próbujące się dostać do suszących się ryb. Mimo to wszędzie panowała dziwna, pozbawiona życia atmosfera. Dzieciaki nie śmiały się ani nie bawiły.

— Ej, wy! Przynieście wodę! — huknął jeden z mężczyzn do dwójki posługaczy.

— Myśmy przynosili ostatnim razem — odważył się fuknąć jeden z nich i otrzymał tęgiego kuksańca.

— Ruszać się albo zamknę was na dziedzińcu — zagroził mężczyzna.

Chłopcy pospiesznie chwycili za wiadra i pobiegli do żelaznych drzwi.

— Ta struga jest naszym jedynym źródłem słodkiej wody — wyjaśnił Mniejsza Połowa. — Nikt nie lubi tam chodzić, bo... zresztą sami to poczuliście. Siadajcie, szacowni goście, a ja przyniosę chleb i ser. Król dołączy do was, gdy tylko skończy czesać brodę.

— Cesać brodę? — rzucił rozbawiony Jack. — Ile mu to zajmuje?

— Może chce zrobić na mnie wrażenie? — Thorgil zarzuciła włosami.

— Nie, Bjoern nigdy się tak nie zachowywał — stwierdził Skakki. — Pewnie chce pozbyć się gnid.

Karzeł wrócił z jedzeniem i odszedł. Jedli. Ogarnęło ich panujące wokół milczenie. Słońce obniżyło się jeszcze bardziej, aż zajrzało bezpośrednio do wnętrza. W jego promieniach tańczyły drobinki kurzu.

— Jak oni się tu wszyscy mieszczą na noc? — odezwał się wreszcie Jack.

— Wyobrażam sobie, że większość z nich wraca przed zmrokiem do wioski — powiedział bard. — Proponuję, byśmy poszli za ich przykładem. Tu się dzieje coś niedobrego, a ja nie umiem tego określić.

— Żeby rozbić obóz na plaży, muszę dostać zgodę Bjoerna — zauważył Skakki. — Poza tym on może mieć ważne informacje na temat Podmorskiej Krainy.

— Może nas co najwyżej przestrzec, byśmy trzymali się od niej z daleka — rzucił bard, który robił się coraz bardziej zmęczony i poirytowany. Huknął laską o podłogę. — Gdzie jest ten tak zwany król?

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się Mniejsza Połowa.

— Strasznie przepraszam, czcigodni goście. Król musiał się oddalić, by zająć się martwą owcą. Z nieba spadł przerażający ptak i wystraszone zwierzę runęło do wąwozu. Udali się po ciało. Król

przesyła przeprosiny i ma nadzieję, że przyjmiecie u niego gościny.

— Niestety, musimy wracać na statek — oznajmił starzec i wstał z miejsca.

W tej samej jednak chwili rozległ się dźwięk rogu i do pomieszczenia wkroczyli służcy z talerzami pełnymi jadła. Zaczęli zastawiać stoły bochnami chleba, okrągłymi serami, garnuszkami żółtego masła i wielką ilością pieczystego. Przed każdym siedzeniem pojawił się róg na metalowej podpórce. Chwilę potem pracujący na dworze mieszkańcy wioski przeszli przez salę i zniknęli za żelaznymi drzwiami. Kiedy jednak bard, Skakki, Jack i Thorgil chcieli uczynić to samo, natknęli się na szereg ponuro spoglądających wojowników, którzy zablokowali im drogę.

— A oni skąd się wzięli? — spytał Jack.

— Głupi byłem — mruknął bard. — Całe to czekanie to tylko podstęp, by nas tu zatrzymać. Obawiam się, że to nie zapowiada niczego dobrego.

— Bjoern jest najlepszym przyjacielem Olafa — zaprotestował Skakki.

— Zobaczymy — powiedział starzec.

Nie mogli nic zrobić, więc usiedli i starali się sprawiać wrażenie wesołych. Stoły ugiwały się od potraw, ale inni biesiadnicy wciąż się nie pojawiali. Słońce skryło się za klifem. Wielkie stada mew zataczały ostatni krąg nad plażą, po czym odlatywały do swoich nocnych kryjówek.

Służcy rozpalili ogień w palenisku, a we wnękach w ścianach ustawili lampy na rybi tłuszcz. Żeby nie dopuścić do przeciągów, okna uszczelnili wiązkami siana i owczymi skórami. W powietrzu poniosła się wkrótce woń stęchlizny.

Wreszcie, tuż przed zachodem słońca, żelazne drzwi stanęły otworem. Wszedł przez nie wysoki mężczyzna w skórzanym hełmie i bezrękawniku. Hełm zakrywał mu prawie całą twarz, więc Jack nie był w stanie stwierdzić, jak nowo przybyły wygląda, ale domyślił się, że jest to Bjoern Łamacz Czaszek. Za królem pojawiło się kilku wojowników niosących odartą ze skóry owcę.

— Na Thora! — zawołał król do Większej Połowy, który pospieszył mu z pomocą. — Nigdy nie widziałem takiego ptaka! Nawet mnie mógłby wpędzić do tego wąwozu.

— Udało się go zestrzelić? — spytał Większa Połowa.

Jack wstrzymał oddech. Nie wątpił, że tajemniczym ptakiem był Wędrowiec, który szukał swych pobratymców.

— Przeklęte stworzenie zmuszało nas do celowania pod słońce — odparł król. — Strzelałem, ale nic nie widziałem. Nieważne! Jutro go zabiję.

Większa Połowa rozwiązał rzemienie w kamizelce swego pana i zdjął mu buty. Król ściągnął z głowy hełm i potrząsnął włosami.

— A więc to ty jesteś bachorem Olafa Jednobrewego — zwrócił się do Skakkiego. — Jeśli przybyłeś tu w poszukiwaniu zemsty, znajdziesz tylko grób.

— Zawsze miałam was za przyjaciół — szepnęła Thorgil.

— Bjoern Łamacz Czaszek był moim przyjacielem — powiedział Skakki, podnosząc się z miejsca. — Einar Żmijozęby nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

HOBGUN

Zaskoczyłem was — rzucił Żmijozęby — ale nie obawiajcie się. Zasady gościnności zobowiązują. Nigdy nie zabijam ludzi, nie poczęstowawszy ich najpierw porządnym posiłkiem.

Klasnął w dłonie i podbiegł do niego sługa z rogiem piwa. Milczący wojownicy zajęli miejsca przy stołach i napełniono resztę naczyń. Biesiadnicy zaczęli odcinać sobie nożami kawały mięsa i sera. Służący napełnili ich miski mięsną potrawką.

— Jedzcie do syta! Nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja, by znowu napełnić brzuch, ani czy jeszcze tu będziecie, żeby z niej skorzystać — rzucił serdecznie Żmijozęby Nabrał kciukiem masło z glinianego garnka i rozsmarował je na pajdzie chleba. — Kiedy wrzuciłem go do morza, Bjoern myślał, że nadeszła jego ostatnia godzina. Ale dzięki przekłębemu Olafowi, dożył jeszcze wielu sycących uczt. To się już jednak skończyło.

Skakki położył dłoń na rękojeści sztyletu.

— Bądź tak uprzejmy i powstrzymaj się od obrażania mojego ojca. Zginął bohaterską śmiercią w Jotunheimie, a jego stos pogrzebowy godny był samych bogów.

— Och, słyszałem o tym. Nikt nie podaje w wątpliwość jego honoru. Bjoern jednak wyszedłby na tym lepiej, gdyby utonął. Przynajmniej ucztowałby z Ran i Aegirem i nie musiałby się błąkać po lodowatych salach Hel.

— Znałem Bjoerna — rzucił Skakki. — Nie skończyłby jak tchórz.

Żmijozęby skinął na młodzieńca swym rogiem.

— Siadaj! Denerwujesz mnie, a to nie służy zdrowiu.

Młody kapitan rzucił okiem na barda, który skinął głową. Skakki zajął swoje miejsce, ale ani on, ani jego towarzysze nie sięgnęli po jedzenie. Król i jego ludzie posilali się wielkimi kęsami, choć Jack zauważył, że Mniejsza Połowa nie ma apetytu. Chłopak przyglądał się bacznie Żmijozębemu, próbując stwierdzić, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia. Władca wyraźnie lubił zabijać, ale prawa gościnności zabraniały mu dokonania mordu na człowieku, którego przyjął pod swój dach.

Tylko dlaczego Żmijozęby w ogóle ich zaprosił? Jack zwrócił uwagę na sposób, w jaki król odgryzał kawał baraniny. Przednie zęby miał spiłowane w ostre kły.

Na zewnątrz wzmógł się wiatr. Żelazne drzwi zagrzecotały. Jeden z wojowników zerwał się na równe nogi.

— Siadaj — rzucił poirytowany król. — Hobgun nie przejdzie przez mur.

Po raz pierwszy odezwał się bard.

— Nie chcesz mi powiedzieć, że byłeś na tyle głupi, by zadać się z hobgunem?

Żmijozęby roześmiał się tak gwałtownie, że kawałki mięsa wystrzeliły mu z ust na pierś.

— Właśnie się zastanawiałem, kiedy Smoczy Język zacznie mnie napominać. Ivar bez Kości zwykł się przed podobnymi słowami korzyć.

— Śmieć się do woli — rozzłościł się starzec — ale z jakiegoś powodu chowasz się za tym haniebnym murem.

— Nie chowam się! — krzyknął król, przewracając swój róg z piwem.

Siedzący obok niego wojownicy cofnęli się raptownie.

— I kto tu się korzy? — odparł bard.

Jack wstrzymał oddech. Miał wrażenie, że w sali zaraz wybuchnie otwarta walka. Po chwili jednak Żmijozęby się uspokoił.

— To Bjoern błagał o to, by w ostatniej chwili trzymać miecz w ręku, ale okazał się na to zbyt wycieńczony.

Mniejsza Połowa zeskoczył z ławy, poszedł w drugi koniec pomieszczenia i odwrócił się plecami do zebranych. Po chwili dołączył do niego brat.

— Złożyłem przysięgę, że zabiję Bjoerna — ciągnął Żmijozęby — ale umknął przede mną do tego domu i nie mogłem go dopaść. Cóż miałem zrobić? Od tego zależał mój honor. Znalazłem więc mądrą kobietę, czarownicę, która zechciała mi pomóc.

— Chcesz powiedzieć, że ją zastraszyłeś — rzucił bard.

— A jeśli nawet tak było? To była stara wiedźma, trucicielka. I tak nie nadawała się już do życia. Chciała srebra i darmowej podróży na inną wyspę. Musiałem znaleźć dla niej niebieski płaszcz. Potrzebowała też kaptura i rękawic z kociej skóry. Nie mogła siedzieć na niczym innym poza poduchą, tylko wtedy jej duch mógł latać. Ech! Od *seider* robi mi się niedobrze — powiedział Żmijozęby, używając słowa określającego magię, którą parały się stare kobiety.

— Nie na tyle niedobrze, byś się powstrzymał od picia — zauważył bard.

Król rzucił mu gniewne spojrzenie i wychylił jeszcze jeden róg piwa. Jack wyliczył, że to już szósty lub siódmy.

— Ceremonia odbyła się w porze pełni księżyca. Wiedźma usiadła na starym grobie i zjadła jeden z tych czerwonych grzybów, które rosną pod brzożami.

— Atterswam — mruknął starzec.

— Właśnie. Wprowadziła się w trans. Spodziewałem się, że skontaktuje się z duchami i poradzi mi, jak mam się włamać do fortecy Bjoerna, ale wydarzyło się coś niespodziewanego. Nagle zaczęła wrzeszczeć. Wiła się i rzucała jak łosoś na haczyku. Nie dotykałem jej. Ani myślę brukać się *seider*, nawet kiedy za to płacę. Wtem zaczęła się przeistaczać i nagle zniknęła, a na jej miejscu

pojawił się hobgun. Pożarł ją w całości.

W sali zaległa cisza. Wiatr przeciskał się przez słomę i szarpał płomieniami lamp we wnękach. Wojownicy przestali jeść. Pośród wycia wichru i szumu morza bijącego o urwisko Jack usłyszał głosy. Przypominały wołania ludzi pochwyconych w śmiertelny potrzask — uwięzionych w płonącym budynku lub na tonącym statku. Wzywali ratunku, ale nikt nie mógł im pomóc i oni doskonale to rozumieli. Pomstowali przeciw swemu przeznaczeniu.

— Nie powinniśmy im pomóc? — spytał Jack. Bał się, ale nie chciał zignorować tych krzyków.

— To nie są głosy żywych ludzi — wyjaśnił bard. Nie mógł powiedzieć niczego straszniejszego. Mniejsza Połowa jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

— Wiedziałem, że powinniśmy zostawić tę wieżę w spokoju.

— Zamknij się! Nie mieliśmy wyboru. Albo to, albo hobgun! — wykrzyknął król. — Trzeba nam muzyki. Zbudźcie mego skalda! Ta świnia pewnie leży pijana, ale tym lepiej zaśpiewa. Więcej piwa! Więcej miodu!

Służący spieszenie ruszyli wykonać polecenia i wkrótce do sali wtoczył się przemoczony młodzieniec. W rękach trzymał harfę. Przeczesał włosy palcami.

— Jaką pieśń... ? — zaczął.

— Bez znaczenia! Byle głośno! — ryknął Żmijozęby.

Skald najwyraźniej słyszał już podobne polecenia wcześniej. Raczej krzycząc, niż śpiewając, opowiedział historię króla Siggeira, który porwał dziesięciu synów swego rywala i zostawił ich związanych w głębi mrocznego lasu. Każdej nocy przychodziła do nich olbrzymia wilczyca i pożerała po jednym. Dziesiątej nocy najmłodszy z braci, imieniem Sigmund, chwycił zębami język wilczycy i wyrwał go. Potem uratowała go siostra, z którą przeżyli wiele innych, nie mniej ponurych przygód.

Jack próbował nie słuchać. Legenda należała do kanonu rozrywki Ludzi Północy. Wojownicy głośno wiwatowali za każdym razem, gdy Sigmund zrobił coś straszego. Piwo lało się strumieniami. Ktoś zwymiotował na słomę. Wreszcie większość obecnych wpełzła na swoje posłania i padła. Kilku jednak zostało pilnować bramy. Żmijozębego słudzy zanieśli do jego prywatnej sypiali.

Bard, Skakki, Jack i Thorgil nie ruszyli się z miejsc.

— Jutro musimy się stąd wydostać — odezwała się dziewczyna, która od dłuższego czasu nie powiedziała słowa. Przestała też udawać delikatną księżniczkę. Jej szare oczy omiatały brudną salę i nie natrafiały na nic, w czym mogłyby znaleźć oparcie. — Na bogów! Zdążyłam już zapomnieć, jak wygląda taka pijacka zabawa!

— To nie była zabawa — zauważył bard. — Pili, żeby ukryć strach.

W pobliżu pojawili się Większa i Mniejsza Połowa ze ślaniającym się młodym skaldem.

— Powinniście coś zjeść — powiedział Mniejsza Połowa. — Mam w spiżarni ser i chleb, którego nie dotykali.

— Czy oni każdą noc spędzają w ten sposób? — spytał bard z odrazą.

— Obawiam się, że tak.

— Nie jestem w stanie powiedzieć, jakim zaszczytem jest dla mnie spotkanie z tobą, Smoczy Języku — wydukał skald.

— I słusznie — rzucił obojętnie starzec. — Dzięki ci za propozycję, Mniejsza Połowo. Chętnie zjemy coś, czego nie udało im się opluć.

Wkrótce zajęli się spokojnym posiłkiem. Gdyby nie chrapanie pijanych wojowników i przechadzający się przy bramie strażnicy, byłoby niemal wesoło. Straszliwe krzyki na zewnątrz wreszcie ucichły.

— Niechętnie podejmuję nieprzyjemny temat, ale muszę wiedzieć, co się stało z tym hobgunem — odezwał się bard, gdy skończyli jeść.

— Panie, czym jest hobgun? — zapytał Jack.

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Zielonozębej Jenny?

— O duchu z Dworu Zjaw?

— Tak. Ona jest doskonałym przykładem tego, co się dzieje, kiedy nie naprawi się uczynionego zła — powiedział starzec. — Dawno temu Jenny spotkało coś strasznego i jej duch nie mógł zaznać spokoju. Problem polega na tym, że ona sama nie pamięta, co się wtedy wydarzyło. Ściga każdego, kto zbłądzi na jej teren, i jęczy... huuu... huuu... huuu... jak opętana sowa. Według mnie ona w ten sposób pyta: „Kto mnie zabił?” Oczywiście teraz nikt nie potrafi na to odpowiedzieć. Jenny jednak, choć niejednego może przyprawić o atak serca, jest raczej nieszkodliwa. Hobgun to coś o wiele gorszego.

— Ten wyszedł ze starożytnego kurhanu — rzucił Większa Połowa.

— Widziałem go, gdy zjawił się po Bjoerna. — Mniejsza Połowa zadrżał. — Wysoka zjawa spowita w pajęczynę. Jego miękkie ciało przypominało pleśń porastającą chleb. Zostawiał za sobą szare ślady stóp.

— Zacznijmy od początku — poprosił bard. — Żmijozęby zmusił wiedźmę, by wprowadziła się w trans. Niestety, wybrała sobie niewłaściwy kurhan i zbudziła śpiącego w nim hobguna. Zjawa skorzystała z okazji do przejścia ciała żywej istoty, ale kłopot w tym, że same hobguny nie są w stanie utrzymać się przy życiu i muszą korzystać z siły życiowej gospodarza. A kiedy i ona się wyczerpała, kobieta rozsypała się w pył, mam rację?

— Tak, panie — przyznał Mniejsza Połowa. — To właśnie opowiedział mi Żmijozęby. On sam nie wiedział, co się stało, dopóki nie odezwało się to stworzenie. „Wyborny posiłek mi zgotowałeś — powiedziało. — Poproś mnie o cokolwiek, a dostaniesz”. Żmijozęby pragnął oczywiście tylko

jednego, śmierci Bjoerna. Natychmiast tego zażądał, nie pytając nawet o cenę.

— Tego rodzaju przysługi nigdy nie bywają darmowe — zauważył bard.

— Za życia Bjoerna... — Karzeł przełknął łzę i otarł oczy. — Za życia Bjoerna ten dwór aż tętnił życiem i śmiechem. Mieszkały tu jeszcze kobiety i dzieci, a tamtej nocy bawiliśmy się rozwiązywaniem zagadek.

— Pamiętam — powiedział Większa Połowa.

— Bjoern zadał nam taką:

Jej moc kształtowania wymyka się wiedzy.

Jednego po drugim szuka żyjących.

Jest wieczna, lecz bez życia.

Jest wszędzie i nigdzie.

Rozwiązaniem oczywiście jest „śmierć”. Gdy tylko przebrzmiały słowa zagadki, przez ścianę przeniknęło szare widmo. Światło lamp przygasło, dzieci zaczęły płakać.

„Szukam Bjoerna Łamacza Czaszek” — odezwała się zjawa.

„Wszyscy byliśmy przerażeni, ale Bjoern sięgnął po miecz.

„To mnie szukasz. Co cię tu sprowadza?”

„Jestem odpowiedzią na twoją zagadkę” — odparł hobgun.

Nasz przywódca pobladł — ciągnął Mniejsza Połowa.

„Zabierzcie stąd kobiety i dzieci — rozkazał Bjoern. — A teraz przepadnij, zła istoto, albo będę musiał cię zabić”.

„Nikt nie może mnie zabić” — szepnął hobgun i skoczył na niego.

Bjoern rozrząbał go mieczem na dwoje, ale obie połówki zwały się ze sobą jak dym i zjawa położyła rękę na piersi przeciwnika. Nasz biedny wódz jęknął i wypuścił broń. W jednej chwili postarzał się o dziesięć lat.

„Podnieś miecz, Bjoernie Łamaczu Czaszek. Ta bitwa nie dobiegła jeszcze końca” — rzucił hobgun.

Bjoern, niech go Odyn nie zapomni, walczył mężnie, choć za każdym razem, gdy upiór go dotykał, starzał się bardziej. Wyglądało to jak pojedynek kota z myszą. W końcu Bjoern legł bezradnie na podłodze. Próbował dźwignąć broń, ale dłoń miał tak pokurczoną i sękatą, że nie był w stanie zewrzeć palców. Na naszych oczach rozpadł się w pył. Następnego dnia zaatakowali nas wojowie Einara Żmijozębego.

— Na wszystkich bogów Asgardu! — zaklęła Thorgil. — Tę zbrodnię trzeba pomścić!

— Owszem, księżniczko — przytaknął karzeł — ale jak? Życie musi toczyć się dalej.

Gdy Jack zobaczył poruszoną dziewczynę, poczuł ukłucie satysfakcji. Zupełnie zapomniała, że udaje księżniczkę.

Wszyscy zaczęli czuć zmęczenie, zwłaszcza bard. Przebyli dziś daleką drogę, wyczerpała ich też długa uczta.

— Rozmowę możemy dokończyć rano — powiedział Mniejsza Połowa, widząc minę starca. — Przyniosę świeżą słomę i przenocujecie tutaj. Posłań nie polecam. Zbyt często na nie wymiotują.

— Mógłbym uśpić was śpiewem — zaproponował skald.

— Wolałbym zasypiać, słuchając wyjącej do księżyca piktyjskiej bestii — odparł bard. — Jeszcze jedno pytanie, Mniejsza Połowo. Po co Żmijozębemu księżniczka?

— Ach! — Karzeł się zawstydził. W końcu to on poinformował o tym króla. — A po co królom księżniczki? Na żonę!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

PLANY UCIECZKI

Jack miał wrażenie, że Thorgil nigdy się już nie uspokoi. Przechadzała się po całej sali gniewnie jak chmura burzowa, kopała słomę i straszliwie klęła, aż pijani wojownicy zaczęli przewracać się niespokojnie z boku na bok.

— Nie dopuszczę do tego, siostrze, obiecuję ci — powtarzał raz po raz Skakki.

— Ja też daję ci słowo — dodał bard.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć na nich obu.

— Jak to możliwe, by została mu zaślubiona wbrew własnej woli? — dziwił się Jack. — Przecież według zwyczaju Ludzi Północy panna młoda musi wyrazić zgodę.

— W zasadzie tak powinno być — odparł starzec. — Żmijozęby jednak potrzebuje księżniczki, by zapewnić sobie królewski tytuł. Normalnie nie miałyby do niego prawa.

— Prędzej się zabiję, niż dopuszczę do siebie to wiadro łajna!

Thorgil sięgnęła po leżący na stole nóż, ale ostrze wyslizgnęło się jej z ręki. Pochyliła się, by je podnieść, i ugięły się pod nią kolana. Upadła na podłogę.

— Przeklęta runa ochronna! Przeklęta! Nie pozwoli mi zrobić sobie krzywdy! — Zaczęła tarzać się w słomie.

— Może mógłbym przynieść napój uspokajający — zaproponował Mniejsza Połowa, który już kilka razy musiał się uchylać przed jej ciosami.

— Coś gorącego. Na pewno nie wino ani nie miód — zdecydował bard, położył dłoń na czole Thorgil i wypowiedział cicho kilka słów w Mowie Błogosławionych.

Dziewczyna zadrżała i znieruchomiała.

— Dlaczego nie możemy teraz uciec? — spytał cicho Skakki i skinął głową na żelazne drzwi, przy których przykucnęło kilku strażników o napuchniętych oczach.

— Nie tęsknię za długim spacerem po ciemku do wioski, kiedy w pobliżu kręci się hobgun — powiedział bard. — One wolą co prawda karmić się podczas pełni, ale ten jest niewątpliwie rozdrażniony. Nie wtargnął jeszcze do środka jedynie za sprawą duchów z muru. A ich też wolałbym nie spotkać.

— Zaatakowałyby nas? — Jack zaczął wyobrażać sobie hobguna, z wolna pochłaniającego siłę życiową wiedźmy i Bjoerna Łamacza Czaszek.

— Tak albo nie — odpowiedział starzec. — To duchy niewinnych, złożonych w ofierze ludzi. Chciałyby uśmiercić tylko tego, kto ich zabił. Niemniej, podenerwowane, mogłyby się rzucić na

każdego w pobliżu.

Świetnie — pomyślał chłopak i otulił się ramionami. W sali robiło się coraz zimniej. Im więcej dowiadywał się o duchach, tym mniej je lubił — Zielonozęba Jenny, draugr, hobguny. Ale pamiętał też łagodnego ducha, który pojawił się przed rzymskim domem w towarzystwie dwójki dzieci. Nie wszystkie nieukozone dusze były więc złe. Może po prostu te złe bardziej rzucały się w oczy.

Karzeł powrócił i przyniósł każdemu kubek ziołowej herbaty. Potem razem z bratem umościli wygodne, słomiane posłania, które rozłożyli w najczystszej części sali. Zadbali również o owcze skóry, które miały ogrzać wędrowców podczas najzimniejszych godzin przed świtem.

Jack usnął szybko i spał jak zabity aż do wschodu słońca. Kiedy przyszli chłopcy z wioski, a służący otworzyli okna, chłodny powiew zaczął targać mu włosy.

Chłopak usiadł i rozejrzał się dokoła. Zeszłej nocy, w przyćmionym świetle, sala wydawała się w miarę przyzwoita. Teraz dopiero widać było jej zupełną ruinę. Wszędzie leżały porzucane rogi do picia, przemieszane z ogryzionymi kośćmi i nadjedzonymi kawałami chleba. Słudzy przewracali widłami słomę na drugą stronę. Najbardziej zgniłe, zbite grudy ciskali do ognia. Wojownicy wyczłgali się ze swych posłań we wnękach. Straszliwie jęczeli, cierpiąc wskutek wczorajszego pijaństwa. Wychodzili za potrzebą nad urwisko.

— Proszę o wybaczenie, moja pani — powiedział Mniejsza Połowa, kuląc się pod naciskiem zabójczego spojrzenia Thorgil. — Musicie wstać, żebyśmy mogli tu posprzątać. Na klifie jest o wiele przyjemniej.

— Och, daj mi spokój — burknęła.

Jack pomógł dziewczynie wyjść na zewnątrz. Usiedli na głazach nad urwiskiem. Słońce wznosiło się właśnie nad wierzchołki wzgórz na wschodzie, a leżąca poniżej zatoka była jeszcze skryta w głębokim cieniu. Ciemnogrnatową wodę znaczyły gdzieś tam jasne plamki mew.

— Głowa mnie boli tak, jakby trolle przez całą noc grały na niej w łamikościa — jęknęła Thorgil. — Oooch, wszystko się kręci!

Jack obrócił gwałtownie głowę i zdał sobie sprawę, że on także widzi niewyraźnie.

— To od tej herbaty, którą poczęstował nas Mniejsza Połowa.

— Co? — spytała słabym głosem wojowniczką.

— Tego napoju, który wypiliśmy tuż przed snem. Myślę, że czegoś do niego dodali.

— W gnieździe żmij nie można ufać nikomu.

— Najwyraźniej.

Jack był na siebie zły. Powinien zachować większą podejrzliwość wobec karła. Lubił go, ponieważ Mniejsza Połowa był przyjacielem Bjoerna, ale teraz służył jednak Einarowi Żmijozębemu.

Karzeł wyniósł dla nich gorący cydr i owsiane placki.

— Zdrajca — warknęła Thorgil.

— Księżniczko, nie jest tak źle, jak myślisz. — Mniejsza Połowa uklęknął obok dziewczyny i wsunął jej w dłoń rozgrzany kubek. — Los każdego z nas może się odmienić w jednej chwili, ale niekiedy te zmiany okazują się bardziej korzystne, niż się tego spodziewamy. Mój brat i ja czuliśmy się po śmierci Bjoerna strasznie, lecz Żmijozęby nie jest gorszy niż większość panów.

Zaskoczona Thorgil podniosła wzrok.

— Miałeś wielu panów?

— Jesteśmy wędrownymi kuglarzami. Podróżujemy z miejsca na miejsce, a kiedy ludzie się nami nudzą, przenosimy się gdzie indziej. Bjoerna odwiedzaliśmy regularnie, ale pracowaliśmy także dla Grimble'a Ponurego, Leifa Zawszonej Brody i Ragnara Pasibrzucha. Ktoś taki jak ja nie ma do wyboru wielu zawodów. Na wojownika jestem za mały, a gdybym zaśpiewał, mleko zsiadłoby się krowom w wymionach. Ale wiem, jak rozkręcić nudną ucztę wesołymi opowieściami i zabawami. Jestem też znakomitym sługą. Daję świetne rady, nie narzucając się z nimi, i robię wszystko to, czego król nie może zlecić nikomu innemu.

— Na przykład podajesz gościom otumaniające wywary — rzucił Jack. Czuł w głowie tępy ból i ciężko mu było się skupić.

Karzeł wzruszył tylko ramionami.

— A co robi Większa Połowa? — spytała Thorgil.

— On zongluje nożami, choć zwykle się przy tym rani. Zna też kilka sztuczek akrobatycznych. Głównie jednak przewraca się na twarz, co strasznie bawi wojowników. Obawiam się, że mój brat nie jest najbystrzejszym jeleniem w stadzie. Beze mnie już dawno temu umarłby z głodu. Gra też w kulę-zbijaczkę.

— Co to takiego?

— Sam wymyśliłem tę zabawę — powiedział z dumą Mniejsza Połowa. — Do gry potrzeba owiniętej w skórę drewnianej kuli i grubego kija. Gracz rzuca kulą w Większą Połowę, najmocniej jak potrafi, a on musi odbić ją kijem. Jeśli nie odbije, kula trafia go w głowę.

Jack uśmiechnął się ponuro. Większa Połowa z pewnością nie był najbystrzejszym jeleniem w stadzie, skoro dał się swojemu młodszemu bratu namówić na coś takiego.

— Opowiedz nam więcej o tym murze przed dworem.

Mniejsza Połowa przysiadł i poczęstował się plackiem.

— Jeśli prosi się hobguna o cokolwiek, on spodziewa się zapłaty. W nocy po tym, jak Żmijozęby przejął tu władzę, hobgun pojawił się w sali. Wszyscy zaczęli się chować. Wojownicy bili się między sobą o kryjówki we wnękach. Wiedzieli, że mieczami nic nie zwojują.

„Spełniłem twoje życzenie, Einarze Żmijozęby — odezwała się zjawa — a teraz przychodzę po zapłatę. Każdej nocy podczas pełni księżyca będę czekał przy moim kurhanie na żywego

człowieka. Jeśli go nie dostanę, zabiorę cię".

To powiedziawszy, zamienił się w mgłę i wypłynął przez ścianę.

Było akurat tuż po pełni — ciągnął karzeł. — Żmijozęby wypytał Piktów o kurhan i dowiedział się, że jest to grób starożytnego króla, który po drugiej stronie wyspy wznosił nawiedzoną wieżę, a potem pogrzebał pod nią żywcem trzydziestu ludzi. Kilka lat później, w dzień jego ślubu, krewni pomordowanych zabili go i wprowadzili narzeczoną.

Żmijozęby — mówił dalej Mniejsza Połowa — doszedł do wniosku, że duchy najlepiej zwalczać przy pomocy innych duchów i że ta trzydziestka żądnych zemsty zjaw wystarczy do pokonania hobguna. Rozkazał więc rozebrać wieżę i przynieść kamienie tutaj. Od strony morza nie musiał się grodzić, ponieważ hobguny nie mogą przemieszczać się nad wodą. Gdy tylko zaczęliśmy rozbierać wieżę, usłyszeliśmy głosy. Nie rozumieliśmy słów, ale nie sposób było nie wyczuć pobrzmiwającej w nich wściekłości. Konie stawały dęba i wojownicy musieli nosić głazy na własnych grzbietach. Nie narzekali jednak, bo gnał ich strach, i wzniesli mur jeszcze przed następną pełnią księżyca.

— Skoro hobguny nie potrafią przemieszczać się nad wodą — Jack ziewnął, próbując pozbiierać myśli — to dlaczego Żmijozęby nie odpłynął po prostu na inną wyspę?

— On nigdy przedtem nie miał własnej ziemi — odparł Mniejsza Połowa. — Wyspa Bjoerna, jego piękny dwór, konie i owce, to wszystko jest bogactwem, o jakim Żmijozęby nawet nie marzył. Poza tym mógł ogłosić się królem. Nie macie nawet pojęcia, ile to znaczy dla trzeciorzędnego pirata. Kiedy tylko objął wyspę w posiadanie, od razu wynajął trzeciorzędnego skalda, by słuchać peanów na swą cześć.

Jack zobaczył trzeciorzędnego skalda, który wytoczył się z dworu i wsadził głowę do koryta z wodą.

Mniejsza Połowa rozprostował ręce i nogi. Blask słońca zalał wreszcie urwisko.

— Od wybudowania muru — podjął — hobgun co miesiąc próbuje się przez niego przedrzeć, a duchy zamordowanych wzbraniają mu dostępu. Jeśli uważacie, że zeszła noc była niespokojna, to poczekajcie tylko do następnej pełni.

— Nie będę czekać do pełni. Nie zostanę tu — rzuciła Thorgil.

Karzeł wybuchnął śmiechem.

— Przyzwyczaisz się do tej myśli.

Zebrał kubki i odszedł.

Jack przyjrzał się krawędzi klifu. Morze leżało co najmniej trzysta stóp niżej. Na skale nie było gdzie zaczepić ręki czy nogi, a plaża pod urwiskiem wydawała się bardzo wąska. Wojownicy zniknęli. Wieśniacy pracowali w milczeniu. Teraz chłopak dobrze już rozumiał, dlaczego są tacy ponurzy.

— Musimy znaleźć sposób na przedostanie się przez te żelazne drzwi — odezwała się Thorgil i oparła się na ramieniu Jacka. — Przeklęta głowa. Wciąż mi się w niej kręci.

— Spytamy barda. On będzie wiedział, co robić — powiedział chłopak i zamarł.

Gdzie jest bard?

Spiesznie wrócili do swoich posłań. Służący zdążyli je już uprzątnąć i wymienili słomę. Sala była pusta, tylko przy żelaznych drzwiach siedzieli wartownicy.

— Gdzie nasi towarzysze? — zapytał ostro Jack.

— Oni? Wyniesiono ich o świcie — odparł jeden z wojowników. — Gdyby mnie kto pytał, to za dużo wypili. Jak my wszyscy zresztą.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

— Uśpiono ich zatrutą herbatą! Co z nimi zrobiliście? — zawołał chłopak.

— Zabraliśmy ich z powrotem do wioski — odezwał się Większa Połowa, którego zwabiły podniesione głosy. — Nie płacz, proszę, mała księżniczko. Będą mogli cię odwiedzić po ślubie.

— Nie będzie żadnego ślubu! — krzyknęła Thorgil. — Jestem wojowniczką, a wojowniczkę nie wychodzą za mąż! Gdzie jest Żmijozęby?

— On także opuścił dwór o świcie — odpowiedział jej strażnik. — I za przeproszeniem, mała damo, na wojowniczkę jesteś o wiele za ładna.

— Gdybym miała topór, wbiłabym ci go w tę tępą mózgownicę! — wrzasnęła dziewczyna.

— Gorący kąsek — rzucił wartownik do towarzyszy.

Jack odciągnął córę miecza, zanim doszło do rękoczynów.

— Siłą się nie przedrzemy — powiedział. — Tu trzeba przemyślanej strategii.

— Olaf zawsze tak robił — mruknęła Thorgil, ocierając z oczu łzy wściekłości.

Jack uśmiechnął się w duchu. Strategia Olafa Jednobrewego sprowadzała się zwykle do szarżowania z wyciągniętym toporem przy wtórze ogłuszających ryków.

— Skakki cię nie opuści — zapewnił. — Ani on, ani inni. Na pewno już w tej chwili obmyślają jakiś plan.

— Wiem, ale jest ich za mało — powiedziała dziewczyna. — Och, Jack, co my zrobimy? Nie możesz wywołać jakiegoś trzęsienia ziemi czy czegoś takiego?

Jack nie po raz pierwszy pożałował, że bard nie nauczył go przydatnych zaklęć, jak na przykład czaru wyrąbywania dziur w murach lub oślepienia ludzi.

— Nie martw się. Coś wymyślę.

Ranek jednak przeminął i chłopak nie wymyślił niczego. Sprowadzenie burzy nijak by im nie pomogło. Dalekowidzenie też było bezużyteczne, a poza tym wymagało skupienia. Tymczasem Thorgil ciągle mu przeszkadzała. Spróbował uśpić zaklęciem kobietę zajęętą skubaniem kurczaka, ale niedoszła ofiara tylko popatrzyła na niego z troską i zapytała, czy dobrze się czuje.

Plan Thorgil, o którym ona sama mówiła raz po raz, polegał na zabiciu strażników i próbie ucieczki. Jack policzył, że bramy strzeże pięciu wojowników, z których każdy waży dwakroć więcej niż ich dwoje razem. Powtórzył też, że muszą obmyślić jakąś strategię. Dziewczyna nazwała go słabeuszem.

W południe usiedli na skraju urwiska i zaczęli machać nogami nad przepaścią.

— Gdyby nie ta przeklęta runa ochronna, rzuciłabym się do morza — powiedziała Thorgil, ściskając niewidzialny wisiorek.

— Powinnaś się cieszyć, że ją masz — odparł Jack. Pamiętał, jak się czuł, kiedy ten talizman należał do niego. Nawet jeśli sprawy układały się źle, runa wciąż przypominała mu o tym, jak cenne jest życie.

— Może mogłabym ją oddać. Mniejsza Połowa chętnie by ją przyjął.

Dziewczyna wyraźnie chciała go rozdrażnić. Uwielbiała to robić, gdy sama była zdenerwowana. Jack był jedyną osobą, której nie mogła runy oddać, a zarazem też jedyną, która jej naprawdę pragnęła. Ale tego rodzaju talizmanu nie można było zwrócić komuś, od kogo się go dostało.

— Bard mówi, że to runa decyduje, kiedy masz odejść — przypomniał chłopak. — Nie pozwoli ci zrobić czegoś naprawdę głupiego.

Wojowniczką chwyciła wisiorek i spróbowała siłą ściągnąć go z szyi. Jej dłoń rozwarła się sama i runa opadła na miejsce.

— Nienawidzę cię — warknęła.

— Ja też cię nienawidzę — odparł Jack. Był już zmęczony jej odzywkami.

Wtem, z głośnym wrzaskiem, wylądował na klifie Wędrowiec. Wioskowe dzieci, które pilnowały schnących na słońcu ryb, rozpierzchły się we wszystkie strony. Ptak w jednej chwili doskoczył do przysmaku i zaczął się napychać.

— Wędrowcze! Uciekaj! — zawołała Thorgil po ptasiemu.

Wojownicy rzucili się po łuki i strzały.

— Ogień! — zaskrzeczał albatros, gdy już przełknął to, co miał w dziobie. — Ogień! Ogień!

W powietrzu śmignęła strzała. Dziewczyna zasłoniła ptaka własnym ciałem.

— Leć stąd! — krzyknęła.

— Ogień! — wrzasnął Wędrowiec i odleciał.

Splószone stado mew zerwało się do lotu, bezmyślnie wpadając między myśliwych a wielkiego ptaka.

— Nie bój się, mała panienko — powiedział jeden z wojowników. — Obronimy cię przed tym paskudnym ptaszyskiem.

— Nie boję się! — ryknęła Thorgil, ale chwycili ją za ramiona i wraz z Jackiem wciągnęli do środka.

Okazało się, że Żmijozęby już wrócił i siedząc ze smętną miną przy stole, popijał piwo.

— Mieście ich na oku — rozkazał. Mniejszą Połowę wysłał po dolewkę.

Wojownicza dyszała wściekłością i klęła, ale strażnicy tylko się śmiali. Jeden z nich spróbował połaskotać ją pod brodą. Spoliczkowała go, a Żmijozęby krzykiem nakazał swym ludziom, by zostawili dziewczynę w spokoju.

— Widzisz, jak się traktuje kobiety? Widzisz?! — grzmiała Thorgil, gdy wraz z Jackiem odeszli na środek sali. — Właśnie dlatego nigdy nie wyjdę za mąż.

Jack zauważył, że jak na kogoś, kto ma poślubić księżniczkę, Żmijozęby wydaje się dziwnie ponury. Król wychylał jeden róg piwa za drugim. Wyglądało na to, że zupełnie zapomniał o istnieniu Thorgil. Z pewnością też nie robił żadnej z tych rzeczy, które robił Schlaup, zalecając się do pani Tanner. Nie było ani kwiatów, ani smakołyków, choć przyznać trzeba, że gdyby obdarował Thorgil czymkolwiek, dziewczyna rzuciłaby mu prezentem w twarz. Jack uznał jednak, że król powinien przynajmniej spróbować.

— Wciąż mam przypasany do nogi sztylet — szepnęła Thorgil. — Jeśli Żmijozęby się do mnie zbliży, zabiję go.

Chłopak pomyślał, że jest to jakieś rozwiązanie. Nie ma pana młodego, nie ma ślubu. Ale potem wojownicy zabiliby ich oboje, mszcząc zamordowanego przywódcę. Jak wszystkie plany dziewczyny, także ten miał pewne wady.

Jasne było, że Wędrowiec został do nich przysłany, by przekazać jakąś wiadomość, ale schnące na słońcu ryby odwróciły jego uwagę. Powtarzał: „Ogień!” Czy to miało być ostrzeżenie? Tego nie sposób było stwierdzić. Albatros niezbyt dobrze radził sobie ze skomplikowanymi opisami. Thorgil nazwał „Dziobiącą z Daleka”, gdy zobaczył, jak miota włócznią.

A może miało to być polecenie? Pobieranie nauk u barda Jack rozpoczął od przyzywania ognia i tę umiejętność opanował znakomicie. Rozejrzał się teraz po sali. Cała podłoga wyściełana była słomą. Pod ścianą wznosiła się wielka sterta torfu. Także dach wyłożono suchą darnią.

Co by się stało, gdyby dwór stanął w ogniu? Wszyscy wybiegliby na zewnątrz. Większość ludzi i tak przebywała poza budynkiem, zajęta pracą w pobliżu urwiska. Reszta — i tutaj plan wydawał się sensowny — ruszyłaby ku jednemu źródłu wody, do fontanny na dziedzińcu. Pożar nie tylko odwróciłby uwagę wojowników, ale i podzieliłby siły Żmijozębego na dwie grupy.

— Trzymaj się blisko żelaznych drzwi i szykuj do ucieczki — szepnął do Thorgil.

Dziewczyna natychmiast skinęła głową. Po chwili swobodnym krokiem podeszła do drzwi. Strażnicy nerwowo spojrzeli na Żmijozębego, nie chcąc ponownie sprowadzać na siebie jego gniewu. Thorgil usiadła, dokładnie w takiej odległości, by utrzymywać wartowników w niepewności, a jednocześnie nie prowokować ich do rozmowy.

Jack ruszył w drugą stronę. Wojownik syknął na niego, by nie zbliżał się do drzwi. Chłopak

usiadł przy stercie torfu i zamknął oczy. Poszukał umysłem promieni słońca z dawnych lat, które wsiąkły w ziemię.

Grunt z początku mu się opierał, ale w końcu ustąpił i Jack trafił między błoto i wodę. Poczul, że unosi się w ciepłym, pradawnym morzu. Bardzo dawno temu skała, na której stał dwór, znajdowała się pod wodą. To odkrycie sprawiło, że zatrzymał się i rozejrzał po zielonych, cienistych głębinach, poprzecinanych promieniami słońca. Dokoła pływały dziwne ryby o wielkich łbach i łusce przypominającej skórzaną zbroję. Starożytne wybrzeża pojawiały się i znikwały. Zauważył w półmroku zamarznąłą falę i gdy dotknął jej wyciągniętą ręką, okazała się twarda jak kamień.

Zanurzył się głębiej, póki światło nie znikło zupełnie. Wciąż jednak czuł wokół siebie niezwykle, ciekawskie, żywe istoty. Żywe, ale pozbawione życia. Okazały się wspomnieniami ryb. Nawet tutaj pełno było duchów. Leniwie płynęły za Jackiem, skubiąc go w pięty.

I wtedy właśnie poczul znajomy ogień, pulsujący jak bijące serce. Sięgnął po niego.

Chodź do mnie — wezwał. Podejdz.

Ogień wzbil się ku górze i chłopak zaczął uciekać. Ryby odpłynęły. Czerwone światło zabłysło na ich łuskach, a morze zaczęło lśnić jak chmura rozświetlona promieniami zachodzącego słońca.

Jack powrócił do swego ciała. Cały ociekał potem. Ze sterty torfu strzelił jasny płomień i polizał powalę.

— Do stu piekieł! — ryknął Żmijozęby. — Torf się pali! Dawać wodę! Dawać grabie! Wypchnijcie to na zewnątrz!

Ogień jednak już tak się rozszalał, że strażnicy nie mogli się do niego zbliżyć.

— Musimy uciekać — rzucił błagalnie Mniejsza Połowa.

Żmijozęby jednym ciosem posłał go na podłogę.

— Nie mów mi, że cokolwiek muszę! Jestem królem!

Do powalonego karła przypadł brat.

Ogień przeskoczył na dach i słudzy zbiegli w kierunku urwiska. Tuż po nich umknęli wojownicy. Thorgil spróbowała rzucić się do żelaznych drzwi, ale pochwycili ją i unieśli w przeciwną stronę. Wszędzie dokoła spadały kawałki płonącego torfu.

— Biegnijcie po wodę! Po wodę! — krzyczał Jack, ale wojownicy byli zbyt ogarnięci paniką, by go wysłuchać.

Obok przebiegł Większa Połowa, niosąc w ramionach Mniejszą Połowę. Teraz w płomieniach stała już podłoga i nie można było przejść na drugą stronę sali. Jack dał za wygraną i podążył za uciekającymi.

Kłęby czarnego dymu biły pod niebo. Na szczęście jednak morska bryza unosiła je znad klifu. Kobiety zbierały dzieci w niewielkie gromadki, a mężczyźni czekali w pogotowiu przy stodołach, by zdusić pierwsze płomienie, które mogły się tam pojawić. Ostatni wypadł z sali król Żmijozęby.

Całe ciało pokryte miał popiołem. Dymiła mu broda. Sekundę potem runął dach.

Wtedy słyhać już było tylko dziecięcy płacz, beczenie owiec i trzask płomieni. Pożar strawił budynek tak szybko, że nikt nie zdołał dobyć z siebie choć słowa. Ogień wygasł równie szybko, jak się pojawił. Wszystko, co dawało się spalić, obróciło się w popiół. Płomienie szalały ledwie kilka straszliwych minut. Kamienne ściany jednak wciąż promieniowały takim żarem, że nikt nie odważył się do nich podejść.

Po chwili rozległ się wesoły głos Thorgil.

— Kto chce iść do wioski?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

PEŁNIA KSIĘŻYCA

Ty... ! Ty... ! — Żmijozęby był tak wściekły, że ledwie mógł mówić. — Nigdzie nie pójdziesz! — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Trzeba znaleźć winnego! Torf spłonął jak siano, bo ktoś go nie dopilnował. Może to ty? — Chwytał za szyję przerażonego sługę i trząsał nim tak długo, aż biedak zemdlął.

Żmijozęby cisnął nieprzytomnego na ziemię i zaczął miotać się po całym urwisku, bijąc kogo popadnie, nawet dzieci.

— Ktoś to zrobił i ja się dowiem kto! Rzucę łajdaka hobgunowi na pożarcie.

Nikt się nie odzywał i Jack odniósł wrażenie, że wojownicy nieco wstydzą się za swego przywódcę. Można stracić nad sobą panowanie — wśród Ludzi Północy zdarzało się to nagminnie — ale obwinianie ludzi za naturalną katastrofę to już zwykła głupota. Łodzie tonęły podczas sztormów, stogi siana stawały w płomieniach, szczury pożerały zapasy zboża. Tego rodzaju rzeczy po prostu się zdarzały. Wojownicy nie mogli, rzecz jasna, wiedzieć, że tym razem ktoś wywołał pożar umyślnie.

— To przeznaczenie — odezwał się jeden z mężczyzn.

Król okręcił się w miejscu, chwycił śmiałka i uderzeniem pięści wybił mu zęby.

— Jak śmiesz mi się sprzeciwiać? — Dobył miecza. — Może to twoja wina? Spiskowałeś przeciw mnie?

Mężczyzna padł na kolana. Z ust buchnęła mu krew. Towarzysze odciągnęli go w tył, a kilku innych zasłoniło nieszczęśnika własnymi ciałami, kładąc dłonie na rękojeści mieczów.

Żmijozęby nagle zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

— Na Grom Thora! — wykrzyknął i chwycił się za głowę, jakby zdjęty nagłym bólem. — Ogarnął mnie szał bitewny. Przez chwilę widziałem wokół siebie wrogów i wydawało mi się, że słyszę pędzące po niebie walkirie. Wybaczcie mi, proszę! Wiem, że jesteście lojalnymi ludźmi.

Wojownicy zdjęli ręce z broni. Każdy z nich wiedział, czym jest bitewny szał. Jack zdawał sobie sprawę, że to ulubiona wymówka Ludzi Północy, którzy w ten sposób usprawiedliwiali swoje złe zachowanie. Choć czasem ta wściekłość była prawdziwa — niektórzy berserkerzy tacy się po prostu rodzili i nie mieli wpływu na te napady szału. Chłopak jednak nie sądził, by Żmijozęby zaliczał się właśnie do nich.

— Nie możemy zostać na noc w tej ruinie — stwierdził król. — Zbierzcie zwierzęta i chodźmy do wioski.

— Czy to bezpieczne? — spytał jeden z mężczyzn, trzymając się w sporej odległości od Żmijozębego.

— Hobgun ani razu nie niepokoił wieśniaków — rzucił ze wzgardą król i mężczyzna zalał się rumieńcem. Żmijozęby zasugerował w ten sposób, że pytający jest tchórzem. — Osobiście uważam, że to głupia istota. Zawsze zjawia się w miejscu, w którym jadła ostatnio. Ja, oczywiście, wrócę tutaj, gdy tylko bezpiecznie was odprowadzę. Spalony czy nie, ale to mój dwór i ja go nie opuszczę.

Wojownicy zaczęli między sobą szemrać, lecz nie można było zrozumieć, co mówią.

Wszyscy zajęli się zbieraniem zapasów ze stodół i kuchni. Wypędzono owce, kilka kur schowano do koszy. Resztę zwierząt musieli zostawić na miejscu. Nawet skald dostał do niesienia worek owsa. Mniejsza Połowa doszedł już do siebie, choć połowa jego twarzy przybrała fioletowy odcień. Większa Połowa klęczał obok niego.

— Wiesz co, młodszy braciszku? — rzucił wesoło. — Wyglądasz jak po partii kuli-zbijaczki.

Popioły stygły całe popołudnie, aż wreszcie wojownicy mogli wejść do zniszczonego budynku. Zaczęli dźgać zgliszcza dzidami.

— Jest jeszcze gorąco, ale chyba przejdziemy — oświadczył jeden.

Inny zaklął, gdy spróbował otworzyć żelazne drzwi.

— Zanim ich dotkniecie, owińcie sobie ręce szmatami! — zawołał przez ramię.

Ku swemu zdumieniu Jack zauważył, że kamienne ściany wyglądają teraz inaczej. Płyty piaskowca stopiły się ze sobą i przypominały glinę wypaloną w garncarskim piecu. Dotknął ich ostrożnie. Były gładkie. Cóż to za ogień udało mu się przywołać?

Gdy drzwi stanęły otworem, zaczęli grupami opuszczać dwór. Do zmroku było już niedaleko i musieli się spieszyć. Beczące głośno owce siłą przepędzili przez dymiące jeszcze ruiny. Im niżej znajdowało się słońce, tym wyraźniej było czuć gniew emanujący z zewnętrznego muru. Jack znów usłyszał szepty. Zimny powiew poderwał garść popiołów w zmierzchające niebo.

Na zewnątrz czekała już grupa wieśniaków, którzy przybyli na pomoc swoim rodzinom i przyjaciom. Pożar i dym widać było z daleka. Reszta została w domach i zbroiła się, na wypadek gdyby się okazało, że dym oznaczał napad piratów.

— To był magiczny płomień — opowiadał skald słuchaczom wpatrzonym weń szeroko otwartymi oczyma. — Przysięgam, że widziałem ziejącego ogniem smoka, który swym oddechem zamieniał skały w szkło. Napiszę o tym poemat.

Ich cienie wyciągały się coraz bardziej na wschód. Szli przez wrzosowisko i wyglądało to jak zażywająca spaceru grupka olbrzymów. Owce, jak to owce, biegały bezładnie w tę i z powrotem, co chwila goniły za nimi pilnujące stada dzieci. Po jakimś czasie Jack zobaczył wioskę. Za nią, na zielonym morzu, kołysała się długa łódź Skakkiego.

— Może Skakki rzeczywiście ma mniej ludzi — szepnęła Thorgil — ale na miejscu Żmijozębego nie ufałabym zbyt swym wojownikom.

Jack zgadzał się z dziewczyną. Wielu z poddanych króla służyło wcześniej Bjoernowi, a żaden nie wydawał się darzyć Żmijozębego zbyt szacunkiem. Nie był człowiekiem, któremu ludzie oddają się chętnie pod rozkazy. Jack zauważył, że Einar przez cały czas otacza się liczącą około dwudziestu ludzi strażą przyboczną, i domyślił się, że składa się ona z członków jego dawnej załogi. Teraz ci wojownicy, zamiast iść razem z główną grupą, pilnowali Jacka i Thorgil.

— Bard zapewne obmyślił już jakiś plan — odezwał się cicho chłopak do współtowarzyszki niedoli. — On zawsze wie, co robić.

— Hobgun się budzi! Ratuj się kto może! — wrzasnął nagle Żmijozęby.

Wieśniacy wpadli w panikę. Matki chwyciły dzieci, mężczyźni zaczęli okładać owce kijami. Zwierzęta zabeczwały żałośnie i pognały przed siebie. Za nimi pędzili ponaglający je wojownicy.

Większa Połowa zarzucił sobie brata na ramię, ale dodatkowe obciążenie sprawiło, że zwolnił i wkrótce zostali z tyłu.

— Wy! Chodźcie z nami! — rozkazał król.

Większa Połowa usłuchał niechętnie.

Co za pech, pomyślał Jack. Teraz będziemy musieli spędzić noc na tym przeklętym urwisku.

Ku jego zaskoczeniu nie wrócili jednak do spalonego dworu, tylko skręcili na południe i udali się ledwie widoczną ścieżką biegnącą dnem doliny.

Nastała właśnie ta pora wieczoru, kiedy zmrok miesza wszystko ze sobą. Jack szybko stracił poczucie kierunku. Szli to w jedną, to w drugą stronę pośród labiryntu niskich wzgórz. Niebo zrobiło się szare i wstęgi mgły podnosiły się znad stawów połyskujących jak zwierciadła na ciemnym wrzosowisku.

Wreszcie dotarli do szerokiej niecki. Na jej środku widniało jedno samotne wzniesienie. Wszyscy dyszeli już i sapali ze zmęczenia. Zatrzymali się dla nabrania tchu. Po jednej stronie nieba wciąż było widać światła zachodu. Po drugiej wschodził wspaniały księżyc w pełni.

— Co robisz, panie? — jęknął głos, w którym Jack rozpoznał Mniejszą Połowę. — Musimy jak najszybciej uciekać do dworu!

— Nie dziś — rzucił Żmijozęby. — Tym razem spłacę swój dług w całości.

Wokół rozległy się głośniejsze oddechy. Nie było wiele światła, ale chłopak dostrzegł kształt wzniesienia. Stanowczo zbyt regularny, by mógł być dziełem natury. Na jego szczycie widniał pojedynczy głaz. Jack był gotów się założyć, że na głazie wyryto piktyjskie symbole.

— Jak zamierzasz go spłacić? — spytał ktoś.

I wtedy coś Jacka uderzyło: król powiedział „tym razem”. Czy to możliwe, by Mniejsza Połowa kłamał, mówiąc, że Żmijozęby nie składał żadnych ofiar hobgunowi? I że wszyscy goście dworu

nagle znikali?

— Nigdy nie opowiedziałem wam całej historii człowieka pogrzebanego w tym kurhanie — oznajmił Żmijozęby. Mówił najzupełniej spokojnie, jakby nie musiał bać się niczego, co kryło się w ciemności. — Był piktyjskim królem i nazywał się Nechtan. Powiadano, że w dzieciństwie karmiono go pieczonymi wilczymi sercami, by nabrał odpowiedniej dzikości. I faktycznie stał się dziki — dodał Żmijozęby z aprobatą w głosie. — Zawarł pakt z jednym ze starych bogów. W zamian za długie życie obiecał raz na dziesięć lat składać w ofierze jednego ze swych synów. W końcu zabił już dziewięciu i został mu tylko jeden. Nechtan potrzebował żony, która urodziłaby mu więcej potomków, więc gdy miał sto pięćdziesiąt lat, postanowił poślubić młodą księżniczkę. Ale w dniu ślubu ostatni pozostały przy życiu syn wpuścił na dwór armię wrogów ojca. Zabili Nechtana i uprowadzili księżniczkę. Od tamtej pory jego duch szuka narzeczonej. Jeśli zamiast niej przyjmie Thorgil, może zostawić nas w spokoju.

— Nie kupisz sobie spokoju za cenę tego tchórzliwego podstępu — rzuciła Thorgil. — Bracia mnie pomszczą.

— Myślałem, że księżniczki potrzeba ci do ożenku — zaprotestował Mniejsza Połowa.

— Bo potrzeba. — Żmijozęby uśmiechnął się lodowato. — Bo potrzeba. Ale to nie ja wyprawię wesele. Chętnie pomagałeś mi innymi razy, zdradziecki przyjacielu. Tych kilku gości, zbiegli niewolnicy... Twój środek nasenny okazał się bardzo przydatny.

— Mniejsza Połowo, co ty zrobiłeś?! — zawołał przerażony Większa Połowa.

— Troszczyłem się o ciebie, ty biedny, durny wole — syknął karzeł. — Myślisz, że ktoś by cię zatrudnił dla tych twoich nędznych sztuczek? Nawet piłki złapać nie umiesz. To mnie chcieli panowie, mnie, łebskiego, umiającego rozbawić i snuć plany bitew. Robiłem dla nich wszystko, czego zażądali, byle tylko przyjęli cię pod swój dach.

Przez cały ten czas księżycowy blask stawał się coraz jaśniejszy. Kamień na wzgórzu widać już było wyraźnie. Rzuczał za siebie długi, czarny cień.

— Gdy księżyc stanie dokładnie nad naszymi głowami, pojawi się hobgun — powiedział Żmijozęby. — Wtedy nie może nas już tu być. Związać ich oboje i zostawić na kurhanie.

— Zabierz Thorgil ze sobą — odezwał się Jack. — Nie zastąpi narzeczonej Nechtana, bo nie jest prawdziwą księżniczką.

— Jestem! — zachnęła się Thorgil.

— Nie pomagasz... — syknął chłopak.

Król wybuchnął śmiechem.

— Dzieci, dzieci. Nie czas na swary. Zachowajcie trochę energii na hobguna.

— Daj mi przynajmniej miecz, żebym mogła się poczuć jak prawdziwa wojowniczką — poprosiła Thorgil.

— Ach, ale przecież nie jesteś już córą miecza, mała księżniczko — rzucił Żmijozęby. — Jesteś narzeczoną Nechtana, panną młodą, na którą czekał tak wiele lat. Ale nie bój się. On cię nie pożre, choć nie mogę tego samego obiecać twojemu przyjacielowi. Zabierze cię do swojego kurhanu, gdzie będziecie ucztować, jedząc robaki i pijąc zimną rosę, która wsiąka w ziemię.

— Panie, tak nie wolno... — zaczął Większa Połowa.

Jack usłyszał jęk. Ktoś — zapewne Mniejsza Połowa — musiał go uderzyć w brzuch.

— Zamknij się! — warknął karzeł.

Większa Połowa zaczął skomleć. Strasznie było słyszeć tego olbrzyma wydającego z siebie podobne dźwięki.

Wojownicy związali Jacka i Thorgil i zaprowadzili ich na kurhan. Potem Żmijozęby zarządził spieszny powrót do dworu. Gdy kroki wojowników ucichły, odezwała się dziewczyna:

— Odebrali mi sztylet, ale jeśli udałoby się nam zejść z kurhanu, mogłabym znaleźć jakiś ostry kamień.

Jakie to do niej podobne! — pomyślał Jack z podziwem. Thorgil nigdy się nie poddawała. Poturlał się po trawie, ale coś zaraz szarpnęło go z powrotem.

— Coś mnie trzyma — powiedział.

— Mnie też. Przekłęci! Te wilcze pomioty przywiązały nas do tego głazu!

Mieli związane nogi, a ręce skrępowane na plecach. Z wielkim trudem udało im się jednak tak przemieścić, iż byli w stanie sięgnąć sobie wzajemnie do pęt. Niestety, na skutek chłodu zgrabiały im palce i nie mogli nic zdziałać.

Thorgil oznajmiła, że gdy tylko pojawi się hobgun, ona zatopi zęby w jego gardle, dokładnie tak samo jak Sigmund, kiedy przyszedł po niego wilk.

Księżyc unosił się powoli, zmieniając barwę ze złotej na białą. Lodowata poświata wypełniła nieckę, w której usypano kurhan.

— To na pewno był Księżycowy Człowiek — zauważył Jack.

— Co? — spytała sennym głosem dziewczyna.

— To taki bóg, który mógł poprosić kogoś o poświęcenie synów — wyjaśnił chłopak. — Nechtan był sługą Nieżycia.

Thorgil zadrzała.

— Dlatego właśnie hobgun wychodzi wtedy, gdy księżyc znajduje się dokładnie nad naszymi głowami. Wciąż jest jego niewolnikiem.

Jack obrócił się, by popatrzeć na stojący pionowo głaz. Był teraz jasno oświetlony i chłopak się nie dziwił, gdy zauważył na nim wzór przekreślonego złamaną strzałą półksiężyca. Thorgil zasnęła. Chłopak zmagał się ze snem, ale oczy same mu się zamykały. Gdy je po raz kolejny otworzył, księżyc znalazł się już prawie w swoim najwyższym punkcie na niebie.

— Thorgil!

Dziewczyna drgnęła.

— Nie wiem, skąd się bierze ta senność. Tak bardzo mi zimno. Jak mogłam zasnąć?

— To przez ten głaz — stwierdził Jack. — Chce cię uspić, byś stała się powolną ofiarą. Ostatnim razem na takim kamieniu obudziła mnie pszczoła. Szkoda, że teraz nie mamy takiego sprzymierzeńca.

— Po zmroku fruwały tylko nietoperze — zauważyła Thorgil.

Jack starał się myśleć o czymś dobrym, o czymś, co by ich uratowało przed wszechogarniającą bezradnością.

— Pamiętasz dolinę Yggdrassila? Pamiętasz Studnię Mimira?

— Tam było ładnie — przyznała sennie dziewczyna.

— Z wyższych gałęzi Drzewa skapywała spadz i pszczoły chwytaly w locie jej krople. Drzewo jest czystą energią życia, wiecznie niszczone i wiecznie się odnawiające. Pośród jego liści znajdują się Valhalla, Niebo chrześcijan i Wyspy Błogosławionych, podobnie jak różne inne miejsca, których nazw możemy się tylko domyślać. Ale jednego jestem pewien: Księżycowy Człowiek był liściem, który usechł i spadł z Drzewa.

— Czyżby? — spytała wojowniczką dziwnie grubym głosem.

— Zbudź się! — Jack kopnął ją tak mocno, jak tylko potrafił to uczynić spętanymi nogami. — Księżycowy Człowiek jest jeszcze bardziej martwy niż ten głupi hobgun, który oddawał mu cześć. Nie jest nawet nieukojonym duchem. Jest niczym! Hobgun też jest niczym. Nie wierzę w niego i ty też nie powinnaś.

— Och! Co to jest? — zawołała dziewczyna.

W księżycowym blasku zaczął się formować jakiś kształt. Z początku był niewyraźnym wirem powietrza, po chwili zmienił się w mgłę. Wydłużał się i rósł, aż wreszcie dorównał wzrostem dorosłemu mężczyźnie. Z ciała postaci zwieszały się długie pasma pajęczyn.

— Podobało mi się, że nazwałeś mnie niczym — powiedział hobgun. — Ale jak myślisz, kto wysłał życie z Bjoerna Łamacza Czaszek i tych nędzników, których przyprowadzał mi Żmijozęby?

— Twoja moc może osiągnąć tylko tych, którzy w ciebie wierzą — odparł Jack w rozpaczliwej nadziei, że się nie myli.

— Dla wszystkich innych jesteś tylko irytującym, starym nudziarzem.

— Wkrótce zmienisz zdanie. Ale co my tu mamy? — Istota zawisła w powietrzu nad Thorgil. — Księżniczka! Na Martwy Księżyc, tym razem Żmijozęby przeszedł samego siebie. Może nawet daruję mu resztę długu... choć raczej nie.

— Ona nie jest prawdziwą księżniczką — rzucił chłopak.

— Och, oczywiście, że jest — westchnął potwór głosem przypominającym wiatr przeciskający

się pod drzwiami w ciemną, październikową noc. — Jest córką władców koni. Jej przodkiem był sam Hengist.

— A nie mówiłam? — zauważyła Thorgil.

— Nie pomagasz — syknął Jack. Przeraziło go, że hobgun wie tak dużo. Słabła też nadzieja, że istota jest tylko ułudą.

— Myśl sobie, co chcesz, ale to nie jest twoja utracona narzeczona.

— Istolis, najpiękniejsza z pięknych — wymamrotał potwór.

— Ale dziecię Hengista dorównuje jej urodą, a ja od tak dawna jestem sam.

— To się nie uda — upierał się Jack. — Widzisz, Thorgil jest córą miecza. Poświęciła się Odynowi. Nigdy cię nie poślubi, więc tracisz tylko swój czas. Proponuję, żebyś zapolował raczej na Żmijozębego i jego zjadł.

— Waleczne jedzenie — rzucił hobgun z cieniem wesołości w głosie. — Od dawna nie miałem okazji pożreć takiej odwagi, ale najpierw muszę się zająć narzeczoną.

— Najpierw musisz zająć się mną — powiedział chłopak.

Nadludzkiem wysiłkiem udało mu się podnieść i upaść na Thorgil. Głowę miał ułożoną pod niewygodnym kątem na jej ramieniu, a plecy zupełnie odsłonięte. Nie widział hobguna.

— Głupi chłopak — szepnął zduszony głos. — Zmuszasz mnie, bym cię zabił.

Jack czekał, ogarnięty przeraźliwym strachem. Instynktownie sięgnął do drzemiącej w ziemi siły życiowej... i znalazł ją tuż pod sercem. Ciepło, z początku zajmujące nie więcej przestrzeni niż liść róży, wkrótce rozprzestrzeniło się na całe ciało. To runa ochronna — pomyślał, zdjęty zachwytem. Amulet raz oddany nie mógł zostać zwrócony, popielił każdego, kto próbował odebrać go przemocą, ale chłopak przecież nie chciał go odbierać. Runa leżała pomiędzy nim a Thorgil.

— Dlaczego nie umierasz? — zazgrzytał hobgun i do Jacka dotarło nagle, że czyjaś ręka dotyka jego pleców. Skrzywił się w duchu. — Ech, potem się z tobą rozprawię.

Chłopak został odrzucony na bok. Ciepło zniknęło. Z trudem chwytał oddech. Minęła chwila, zanim wróciły mu zmysły, i wtedy ujrzał wysokiego, szarego hobguna pochylającego się nad Thorgil. Ręka upiora sięgała dziewczynie do gardła.

Stwór wrzasnął — długie, rozedrgane wycie zatrzęsło samym powietrzem. Księżyc pojaśniał, ale świecił martwym światłem, które nie mogło przemóc siły runy. Hobgun zaczął się rozpadać, kawałki jego widmowego ciała odrywały się od siebie jak warstwy brudu zsuwające się ze ścian opuszczonej piwnicy: pajęczyny, kurz, zgnilizna. Fragmenty zjawy porывał wiejący ze wschodu wiatr. Po chwili ostatnie szczątki zawirowały wokół stojącego głazu i zniknęły.

Jack leżał oszołomiony na zboczu. Wilgoć rosy przeniknęła w jego ubranie. Równie oszołomiona Thorgil wpatrywała się w biały, okrągły księżyc, który chylił się już ku zachodowi, by zatonać w morzu.

— Ale teraz to już naprawdę musimy znaleźć coś ostrego. Inaczej nie przetniemy tych przeklętych sznurów — powiedziała po chwili.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

MARTWY MUR

I rzeczywiście znaleźli coś ostrego, w zasadzie nawet kilka ostrych rzeczy. Wokół głazu leżały rozrzucone zbieleńskie kości, jakby ciśnięte gdzie popadnie czyjąś niedbałą ręką. Pośród nich błyszczał też topór wojenny, miecz z wysadzaną klejnotami rękojeścią i sztylet. Skorzystali z tego ostatniego. Kości wyglądały na wiekowe, ale sztylet był równie ostry, jakby wykuto go wczoraj.

Jack wyswobodził ręce i wtedy wszystko poszło już łatwiej.

— Nie zatnij się — ostrzegła Thorgil, gdy chłopak rozcinał sznury, którymi przywiązano ich do głazu. — Niektóre stare ostrza są zatrute.

Gdy oboje byli już wolni, zbiegli z kurhanu i wspięli się na wierzchołek pobliskiego wzgórza.

— Przedtem nie widziałem tych kości i broni — zauważył Jack.

— Ja też nie. — Dziewczyna oparła się na nim.

Chłopak pomyślał, że przedmioty te mogły znajdować się w hobgunie. Otarł dłonie o trawę.

— Ten miecz jest piękny. Chcesz go?

— A ty? — odpowiedziała pytaniem.

Jackowi podobało się, gdy tak się o niego opierała, i to nie tylko dlatego, że było mu teraz cieplej. Nie chcieli wędrować po ciemku, gdyż żadne z nich nie było pewne, w którą stronę należy się udać.

— Bard opowiadał mi o mieczach, których powinno się dobywać tylko wtedy, gdy chce się kogoś zabić — powiedział. — Są zaklęte. Jeśli weźmiesz taką broń, nie masz wyjścia: musisz zabić pierwszego napotkanego człowieka, nawet jeśli to przyjaciel.

— Olaf też mi o czymś takim mówił — przyznała. Siedzieli w milczeniu, póki Jack nie zobaczył w oddali słabego światełka. Kołysało się w przód i tył, niekiedy znikając zupełnie. Cały czas jednak zbliżało się ku nim.

— Thooorgil! Jaaaack! — rozległo się wołanie.

— To Skakki! — zakrzyknęła Thorgil. — Tu jesteeemy! — Zaczęła podskakiwać, ale oczywiście z tej odległości nikt nie mógł ich zobaczyć.

Naprowadzali się krzykami, aż wreszcie chłopak zobaczył idącego na czele pochodu Większą Połowę. Obok szedł bard, oświetlając drogę swą laską. Na twarzy Większej Połowy widać było liczne sińce, jakby właśnie został pokonany w grze swojego brata. Za nimi kroczyli Skakki i Sven Mściwy. Thorgil zakasała spódnicę i zbiegła ze wzgórza prosto w ramiona Skakkiego.

— Nie masz pojęcia, co tu się działo! — powiedziała. — Przyszedł hobgun i próbował odebrać

mi runę ochronną. A runa pożarła go całego! Było wspaniale!

— Zaraz, siostrzyczko, zacznij od początku. Kiedy Większa Połowa przybiegł do wioski, powiedział nam, że chcą złożyć cię w ofierze. Przybyliśmy tak szybko, jak tylko byliśmy w stanie. Większa Połowa bał się wracać, ale odpowiednio zachęcony zgodził się jednak nam pomóc.

— Sam go przekonałem! — rzucił z dumą Sven Mściwy, uderzając w dłoń zaciśniętą pięścią.

— Powinniśmy być mu wdzięczni — uspokoił ich bard. — Nie musiał nam o niczym mówić. Na gwiazdy! Chłopcze, jak miło cię widzieć! Powinienem być się domyślić i nie pić tej herbatki, którą ugościł nas Mniejsza Połowa. Na starość robię się nieostrożny. Ale wiem, że świetnie sobie poradziłeś, podpalając dwór.

Jack i Thorgil opowiedzieli starcowi o wszystkim, a on odwdzieczył się historią Większej Połowy, który uciekł od swoich do wioski, tuż zanim Żmijozęby ze swymi ludźmi dotarł do dworu.

— Wykazał się wielką odwagą. Biegł przez noc mimo strachu przed hobgunem.

— Nie mogłem pozwolić, by coś się stało ładnej księżniczce. Poza tym — głos Większej Połowy zadrżał — Mniejsza Połowa nazwał mnie głupim wołem.

— No już dobrze — ukoił go bard. — Bardzo mądrze postąpiłeś. A teraz musimy prędko wracać do wioski. Czekają na nas i mamy nieukończone porachunki ze Żmijozębym.

— A ta broń z kurhanu? — spytał Jack, wskazując palcem błyszczące przedmioty.

— Niech odnajdzie ją słońce — rzucił starzec z malującym się na twarzy obrzydzeniem. — Ostrza znalezione w ciemności przynoszą nieszczęście.

Zbliżał się świt. W powietrzu poniosły się śpiewy czajek i słowików. Gdzieś na niebie przenikliwie zawołał jastrząb. Robiło się coraz jaśniej. Księżyc zniknął w gęstym cieniu nad zachodnim morzem.

Przed torfowymi lepiankami zebrał się tłum wieśniaków i wojowników.

— Żmijozęby nas zdradził! — zakrzyknął jeden z obecnych.

— Składał ofiary z ludzi! — jęknęła kobieta. — Mój kuzyn zniknął i wszyscy myśleli, że utonął.

— Utonął, ale w paszczy hobguna — zapłakała inna. — Kto wie, jak wielu jeszcze spotkał ten los?

— Takiemu panu nie będziemy dłużej służyć! — przysiągł jeden z wojowników. — Wiedzieliśmy, że stosował *seider*, do czego nie posunąłby się nikt honorowy, ale o ofiarach z ludzi nie mieliśmy pojęcia.

— Widzę, że spowodowałeś niemałe zamieszanie — odezwał się starzec do Większej Połowy.

Jack zauważył, że mieszkańcy wioski uzbroili się w sierpy, motyki i topory. Wojownicy trzymali w rękach miecze i włócznie. Wyglądali na całkiem porządną armię. Przyciągnęli ze sobą również trzeciorzędnego skalda, który niemal mdlał ze strachu.

— Wojownicy zawsze tak się zachowują — wyjaśnił Jackowi bard na osobności. — Nie chcą

stracić szansy na przejście do wieczności w poezji, choć to, co wyjdzie spod pióra tego biedaczyny, zostanie zapomniane, nim minie tydzień.

Słońce zdążyło już wstać. W dziczy za wioską pojawiły się dzienne zwierzęta, zupełnie nieświadome nadchodzącego starcia. Nad mokradłami uniosła się mgiełka komarów. Trzmielce wpełzały w plamy słonecznego światła i czekały, aż ciepło pozwoli im wzbić się w powietrze. Stonogi sunęły po liściach, kwiaty otwierały delikatne kielichy. Ogarnięci złością ludzie zupełnie nie dostrzegali tych cudów, ale Jack wyraźnie wyczuwał ich obecność.

— Żmijozęby spodziewa się, że do niego dołączymy — powiedział ten sam wojownik, który zarzekał się, że nie będzie służyć takiemu panu. — Ale my zabijemy i jego, i tych piratów, co z nim przyplłynęli.

— Racja! Dobrze gada! — zaryczeli wieśniacy, wymachując swymi narzędziami.

— Ruszamy od razu! Jesteście z nami? — zwrócił się wojownik do Skakkiego.

— Oczywiście — odparł młody kapitan — ale myślę, że tu trzeba strategii. Mur Żmijozębego jest dla was za mocny.

— Sikać na ten mur! Rozwalimy go! — Mieszkańcy wioski naprawdę się rozkręcali.

— Posłuchajcie mnie — napomniął Skakki. — Te kamienie są nawiedzone i nie należy ich dotykać. Jeśli go przekonacie, że chcecie pomóc w odbudowie dworu, Żmijozęby sam otworzy bramę.

— Tak postępują tylko tchórze i niewolnicy! Robaki tak walczą! — zakrzyknęli wojownicy. — My bijemy się honorowo!

— Wpadli w taki szal, że nie chcieli słuchać ani słowa więcej, i natychmiast wyruszyli.

— Tak czynią tylko idioci — mruknął bard.

— Ja bym tak nie zrobił — wtrącił Większa Połowa.

— Nie, nie zrobiłbyś. Za wiele w tobie zdrowego rozsądku. — Starzec poklepał go po plecach i mężczyzna zarumienił się, słysząc pochwałę. — Ci głupcy niczego nie osiągną. Żmijozęby na pewno nie otworzy nam bramy. Będą się pieniść i obrzucać pogroźkami przez mur. Ale potem, kiedy już się tym zmęczą, rozwiążę problem.

Spokojnie zjedli śniadanie. Eryk Zapalczywy rozpałił torfowe ognisko, a Eryk Pięknolicy upiekł na ruszcie kilka ryb. Pozostali członkowie załogi wgryźli się w suchary i cebulę, które popijali piwem. Schlaup, ponieważ wszyscy bali się jego groźnego wyglądu, został na statku i nie jadł razem z nimi. Nie czuł się samotny, ponieważ towarzystwa dotrzymywał mu Runa.

— Schlaup nie wie, że Żmijozęby próbował zabić Jacka i Thorgil — przestrzegł wszystkich bard — więc zachowajcie to dla siebie. Gdyby się naprawdę zdenerwował, zacząłby zmieniać kształt, a tego najmniej nam w tej chwili potrzeba. Eryku Pięknolicy, zawołaj ich.

Wszyscy odruchowo zatkali uszy.

— HEJ, RUNO! SCHLAUP! JEST ŻARCIE, CHODŹCIE JEŚĆ! — ryknął wojownik.

Po chwili rozległ się potężny plusk i ujrzeni Schlaupa, który płynął z siedzącym mu na plecach Runą. Półtroll wyszedł na brzeg i otrząsnął się jak wielki pies.

— Dzięki niech będą Frei. Znów na stałym lądzie — powiedział Runa, kuśtykając do ognia. — Na tym statku zamarzęm prawie na kość.

Schlaup entuzjastycznie powitał załogę.

— CZEGO MU MIAŁEM NIE MÓWIĆ? BO ZAPOMNIAŁEM... — huknął Eryk Pięknolicy.

— Po prostu nic mu nie mów — poradził bard.

Spotkanie z hobgunem odcisnęło na Jacku swoje piętno. Raz po raz opadała mu głowa, aż wreszcie starzec kazał jemu i Thorgil pójść spać. Gdy chłopak się obudził, było już późne popołudnie.

— Gdzie są wszyscy? — spytał i usiadł. Ręką wygarnął piach z włosów. Przy ognisku siedzieli tylko bard i Schlaup.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli się wypisz — przyznał starzec. — Inni poszli przodem. Ale nie martw się. Z pomocą Schlaupa szybko ich dogonimy.

— Co się działo, kiedy spałem? — Chłopak rzucił okiem na olbrzyma. Wiedział, że nie wolno mu powiedzieć słowa o zdradzie Żmijozębego.

— Wędrowiec latał w tę i z powrotem, przynosząc wiadomości — opowiedział starzec. — Jak przewidziałem, obie strony pokazały swoje pazury przez bramę i nic się nie stało. Po zmroku zaczniemy pracować przy murze.

— Po zmroku? Ale...

— Niespokojne duchy najłatwiej spotkać nocą — rzucił bard z uśmiechem. — Cóż, Schlaup, chłopcze, myślisz, że uda ci się zanieść tam nas obu?

Wielkolud tylko się uśmiechnął. Jacka usadził na karku, barda chwycił w ramiona i ruszył długimi susami, z jakich słyną trolle. Mógłby tak biec godzinami. Jack słyszał o trollach, które ścigały wielkie łosie z Jotunheimu, póki zwierzęta nie padły z wyczerpania. Schlaup bez trudu odnalazł drogę przez wieś. Był na tyle wysoki, że mógł patrzeć ponad dachami chat. W pewnej chwili trasę zagroził mu mur. Półtroll jednym kopnięciem wybił w nim dziurę.

Posuwali się z wielką prędkością i wkrótce ujrzeni wieśniaków i wojowników zebranych przed murem. O tej porze na wrzosowisku kładły się długie cienie. Na spotkanie wybiegła im Thorgil. Znów miała na sobie męski strój. Za dziewczyną truchtał oswojony przez nią rumak.

— Schlaupie! Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! Nie masz pojęcia, co się stało...

— Ani słowa! — rzucił ostro bard.

Wielkolud przyklęknął i pozwolił zsiąść z grzbietu pasażerom.

— Ładny konik! — zauważył.

— Prawda? — ucieszyła się Thorgil. — Nazwę go Łamaczem Czaszek. Ku pamięci...

— Thorgil! — ryknął bard. — Odeślij to zwierzę do stada i nie prowokuj!

Roześmiała się, w jej głosie nie było słycać śladu skruchy.

— Chcą odejść przed zmrokiem — powiedziała, wskazując mieszkańców wioski i wojowników.

— Skakki właśnie z nimi rozmawia.

Wszyscy w grupie próbowali wzajemnie się przekrzyczeć i wyglądało na to, że Skakki przegrywa w tych zawodach. Wieśniacy zebrali już swoją prowizoryczną broń i odchodzili w kierunku domów. Wkrótce ich śladem ruszyli wojownicy. Za nimi popędził skald.

— Rozumiem, że nie uświadczymy dziś wiekopomnej poezji — zauważył starzec.

Skakki bezradnie wyrzucił ręce w powietrze.

— Nie potrafię przemówić im do rozumu. Eryku, pójdź z nimi. Tak dla pewności — polecił.

Eryk Zapalczywy potruchtał za uciekającymi wieśniakami. Cała załoga Skakkiego wiedziała, że Eryk boi się ciemności i po zachodzie słońca byłby bezużyteczny.

— Niewielką mamy armię — powiedział Jack.

Po odejściu Eryka została ich dokładnie dwunastka. A właściwie jedenastka, ponieważ Runa nie był zdolny do walki, choć z pewnością chętnie by spróbował. Thorgil była jeszcze mała, więc ściśle rzecz biorąc — dziesiątka. W zasadzie dziewiątka, bo Jack nie był przecież wojownikiem. A tak naprawdę ósemka, gdyż Większa Połowa cały trząsł się ze strachu. Mieli jednak Schlaupa, który sam jeden liczył się za czterech lub pięciu mężczyzn.

— Wystarczy — stwierdził bard i wysłał Wędrowca w ostatnią misję za mur.

— Dwunożne zwierzęta się chowają — zaraportował ptak. — Paskudne powietrze.

— Mur się budzi — powiedział starzec. — Idź już i śpij dobrze, przyjacielu.

Wędrowiec poszybował nad morze, kierując się ku odległej skale, na której gniazdowało stado mew.

— Teraz my wchodzimy do gry. Jack i ja zajmiemy się murem. Wy zostańcie z tyłu, tak będzie bezpieczniej.

Żartujesz? — pomyślał chłopak. My? Sami? Już w tej chwili wyraźnie czuł emanującą z kamiennego muru wściekłość. Od beznadziejnego gniewu i rozpaczony zrobiło mu się niedobrze i zakręciło w głowie.

— Na tym polega praca barda. Choć może faktycznie nie jest to zwykle zajęcie — rzucił starzec wesoło. — Owszem, będzie to paskudne, ale o wiele mniej paskudne niż to, przez co musiały przejść te biedne dusze. Dotknij muru dłońmi.

Jack wahał się przez chwilę, ale w końcu usłuchał. Wściekłość stała się o wiele wyraźniejsza i gorętsza. Chłopak oparł się ciężko o kamienie.

— Świetnie, nawiązałeś kontakt — powiedział bard. — Powiedz im teraz o końcu hobguna.

Normalnie zrobiłbym to ja, ale mnie nie uwierzą. Ty byłeś na miejscu.

Jack nie miał pojęcia, od czego zacząć. Wyczuwał bezmiar bólu i żaloby tak nieprzebrany, że niemożliwy do ogarnięcia. Słyszał głosy, straszliwe głosy wołające bliskich, którzy nie mogli niczego usłyszeć. Wszyscy znajdowali się na dnie głębokiej jamy, związani i bezradni. Ziemia sypała się im na twarze. Niebo zniknęło. Tracili dech.

— Spokojnie, chłopcze. Widzisz ich wspomnienia.

Chłopak poczuł na ramieniu dłoń starca.

— Nechtan — powiedział cicho. Duchy natychmiast zwróciły na niego uwagę. — Nechtan został zniszczony. Widziałem to na własne oczy — opowiedział im o kurhanie i hobgunie. Opisał księżyc wiszący dokładnie nad głowami ludzi i to, co zaszło, gdy upiór chwycił ochronną runę. — Życie tego dokonało — mówił. — Nechtan nie zniósł obecności życia. Zniknął doszczętnie.

— Czy to prawda? — rozległ się słaby głos.

— Tak, byłem tam — odpowiedział. Czuł tłoczące się wokół niego zjawy. Zaglądały mu w głąb umysłu.

— To prawda — odezwał się głos. — On nie kłamie.

— Wasze długie czuwanie dobiegło końca — powiedział stojący gdzieś blisko bard. — Musicie udać się na zachód, odzyskać siły i we właściwym czasie powrócić ze słońcem.

Wyglądało jednak na to, że duchy nie mogą się pozbyć żalu. Wciąż były wściekłe i głośnie wzywaniem skarżyły się na własny los. Jack opierał się o mur i czuł, jak wchłania go samotność zjaw.

— Ludzie morza, czy pamiętacie dotyk pokładu pod stopami? — spytał bard. — Wysokie fale i długie łodzie umykające przed nimi jak wracające do gniazd ptaki?

— Pamiętamy — odpowiedziało westchnienie zjaw.

— Nigdy nie było pod niebem lepszych żeglarzy i silniejszych mężczyzn od was. Wracaliście do swych domów, rozświetlonych płomieniami z paleniska, pełnych przyjaciół, a wasze żony czekały na brzegu, wypatrując choćby zarysu żagla.

— Pamiętamy.

Starzec stopniowo obudził ich wspomnienia i gniew rozplątał się w nicość, zastąpiony tęsknotą za dawnymi czasami.

— Już czas znów wsiąść na statek — powiedział bard — i popłynąć ku wyspom, gdzie nigdy nie przychodzi zima, a morze jest równie przejrzyste jak niebo. Znów jesteście młodymi, wspaniałymi wojownikami, a wasze żony i dzieci stoją pod liśćmi jabłoni.

Jack usłyszał stłumione krzyki, dźwięk łopocących na wietrze żagli i stukot wciąganej na pokład kotwicy. Głosy były teraz pełne radości. Wreszcie ucichły, pozostawiając po sobie jedynie syk omiatającego mur wiatru. Chłopak zauważył, że leży skulony pod murem. Powietrze było zimne od pierwszych ukłuc jesieni. Noc nie tchnęła już strachem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

WODA ŻYCIA

Księżyc stał w zenicie, barwiąc ziemię swą bladą poświatą. Do pełni brakowało już tylko niewielkiego kawałka. Jack zauważył, że Schlaup, Skakki i inni, szukając ciepła, zbili się w ciasną grupkę. Było tak lodowato, że nie był w stanie się ruszyć.

— Świetna robota — pochwalił go starzec. — Rozmowy z umarłymi to jedno z najtrudniejszych zadań barda. I jedno z najbardziej niebezpiecznych. Według mnie jesteś już gotów zmierzyć się z draugrem.

Nie, chyba podziękuję, pomyślał chłopak. Żadnych draugrów. Nie mógł się nawet odezwać. Ramiona i nogi miał zupełnie zdrętwiałe.

— Rozpalę ogień — powiedział bard.

Ktoś musiał wcześniej zebrać opał; wielka sterta piętrzyła się nieopodal bramy. Starzec dotknął stos swoją laską i po chwili strzelił w górę płomień.

— Dzięki Frei — jęknęła Thorgil. — Wcześniej nie pozwalał nam na rozpalenie ogniska. Co wyście tam mruźli pod murem?

— N-nic takiego — wydukał Jack, rozczarowany tym, że dziewczyna nie doceniła jego męstwa.

— Tak to właśnie wyglądało. Niech ktoś kopnie Schlaupa. Przyssał się do beczki cydru.

Jack z wolna wracał do świata żywych. Czyjeś ręce podały mu antałek, a on upił potężny łyk.

— Uwolniliśmy duchy muru — powiedział. — Co teraz?

— Teraz trzeba oczyścić dwór — odpowiedział bard. — Schlaupie? Zechcesz potrząsnąć bramą?

— Jasne — odparł olbrzym i pociągnął haust cydru. Podszedł do bramy i zaczął się z nią mocować. Potężnymi nogami zaparł się o ziemię. Jack wyraźnie słyszał, jak pękają kolejne zamki. Przy wtórze koszmarnego jęku drewna Schlaup wyrwał bramę z zawiasów i cisnął ją na bok. Ze spalonego dworu doleciały okrzyki poruszonych ludzi. W dziurze, którą dawniej zasłaniał dach, zajaśniały pochodnie. Nikt jednak nie wyszedł na zewnątrz.

— Wciąż myślą, że mur jest nawiedzony — rzekł bard.

— Czy mamy atakować? Czy zaczekamy na wieśniaków? — spytał Skakki.

— Tylko by nam przeszkadzali. Schlaupie, zajmij się teraz żelaznymi drzwiami — rzucił starzec.

Wielkolud szarpnął i bez trudu wydarł wrota ze ściany spalonego budynku. Tym razem wywołał reakcję. Z wnętrza poleciały strzały.

— Och, pszczoły żądła! — stwierdził Schlaup i wyrwał sobie pocisk z ramienia.

— Wracaj — polecił starzec. — Chcę, żebyś usłyszał, co się wczoraj stało Thorgil.

— Zaczekaj — wtrącił Jack. — Myślałem, że mamy mu nic nie mówić. Powiedziałaś, że najmniej nam teraz potrzeba... — rzucił okiem na olbrzyma — zmieniającego kształt półtrolla.

— Zgadza się. Tego najmniej nam potrzeba. A wszystko inne już zrobiliśmy. Thorgil, do dzieła.

— Przepraszam, panie — zaczął niepewnie Większa Połowa. Do tej pory nie odzywał się słowem i wszyscy zdążyli zapomnieć o jego istnieniu. Stojąc w migotliwym świetle ogniska, uklonił się bardowi. — Wiem, że mój brat był niedobry i że powinienem go nienawidzić. Ale nie mogę. Zawsze o mnie dbał. Zastanawiam się, czy zanim... zrobicie te różne rzeczy... czy Mniejsza Połowa mógłby wyjść?

Na chwilę zaległa cisza. Przerwał ją Skakki.

— Twój brat odpowiada za śmierć wielu ludzi.

— Myślę, że robił to dla mnie — powiedział Większa Połowa. — To mnie zawsze wyrzucano z różnych miejsc. Tak jak mówi, głowę mam jak wół. Zapominam, że trzeba karmić zwierzęta. Zostawiam drzwi otworem albo podpalam cudze rzeczy. Mógł mnie porzucić już wiele razy, ale tego nie zrobił. Czasami tylko postępował źle, by móc się mną opiekować.

Skakki spojrzał pytająco na barda. Starzec pokręcił głową.

— Zawsze można wybierać między dobrem i złem — powiedział. — Ty wybrałeś. Uratowałeś Jacka i Thorgil, czym dowiodłeś, że twoje serce jest mądrzejsze od serca twego brata. On też wybierał i to nie raz, lecz wiele razy. Usypiał podróżnych, dobrze wiedząc, co się z nimi stanie. Odpowiedź brzmi: nie.

Większa Połowa nie protestował.

— W takim razie chcę do niego dołączyć.

— Nie musisz. Zajmiemy się tobą — odezwał się Jack.

Potężny mężczyzna odpowiedział uśmiechem.

— To bardzo miło z waszej strony, ale ja całe swoje życie spędziłem z Mniejszą Połową. Nie czułbym się dobrze, gdybym porzucił go w takiej sytuacji.

— Nie wiesz, co chcemy zrobić — powiedział Skakki. — Nie przeżyje nikt, kto jest w budynku. Nie udało się go przekonać. Wreszcie dali mu płonący konar z ogniska.

— Unieś go sobie do twarzy, żeby widzieli, kim jesteś — poradziła Thorgil.

Odprowadzili go wzrokiem, gdy mijał zniszczoną bramę i szedł przez dziedziniec. Wreszcie zniknął we wnętrzu.

Usiedli wokół ogniska i Thorgil opowiedziała wszystkim prawdziwą sagę o tym, co zaszło na dworze Żmijozębego. W miarę jak mówiła, w Schlaupie zaczęła zachodzić przemiana. Najpierw zaczął dyszeć jak ktoś, kto przebiegł wiele mil. Potem jęczał i tupał stopami o ziemię. Ludzie Północy ostrożnie odsunęli się od półtrolla.

— Moja siostra, moja mała siostrzyczka — sapał raz po raz.

— Zróbcie mu miejsce — poprosił cicho bard.

Jack widział wpadającego w szal półtrolla tylko raz — wówczas gdy sprawił, że królowej Frith wypadły włosy. Jej ciało wyduło się wtedy w kilkunastu miejscach. Rysy twarzy zmieniły się i skrzyły do tego stopnia, że nie można było stwierdzić, w co się władczyni przeobraża, choć oczywiście nikt nie miał ochoty tego sprawdzać. Ludzie Północy walczyli ze sobą o przejście do drzwi, skamłając przy tym w bardzo mało bohaterski sposób.

A teraz w równie niepokojący sposób zmieniał się Schlaup. Napuchł. Ciało mu pociemniało, skóra pokryła się guzami. Nie wyglądał już ani na człowieka, ani na trolla. Przypominał raczej olbrzymią falę niosącą w sobie ciężkie głazy. Rósł coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie wybuchł — SCHLAUP! — i przelał się przez bramę niczym lawina. Przedał się przez dziedziniec i wpadł do dworu, po czym stracili go z oczu. Słyszeli jednak kamienie bijące w ściany i widzieli błyski iskier krzesanych przez zderzające się ze sobą skały.

Wreszcie hałas ustał. Jackowi dzwoniło w uszach. Serce głośno mu łomotało. Zauważył, że zaciska pięści tak mocno, że spod paznokci cieknie mu krew. Skakki, Runa, Sven Mściwy i pozostali stali jak skamieniali. Bard opierał się na swej lasce i bacznie wpatrywał się w dwór.

— Chyba... musimy... pokazać to kiedyś pani Tanner — szepnęła Thorgil.

Na dziedzińcu pojawiła się jakaś postać. Schlaup. Garbił się lekko, przepraszając w ten sposób świat za swoje rozmiary.

— Dwór jest czysty — powiedział.

Jack nie chciał oglądać tego, co się stało w środku. Okropne sceny widywał już dawniej, kiedy Olaf Jednobrewy obrócił w perzynę zaskoczoną wioskę. Widział też, jak Pan Lasu niszczy Din Guardi. Teraz siedział przy ogniu, oplótszy kolana ramionami, i drżał.

— Musisz odpocząć — powiedział bard. — Wszystkim nam się to przyda.

Uniósł laskę i wymamrotał kilka słów, które wydały się Jackowi dziwnie znajome. To samo zakłęcie starzec rzucił już dawno temu, kiedy zbytnio nadwreżył siły chłopaka. Jack poczuł, jak opada nań coś przypominającego miękki koc. Ciepły i bezpieczny. Chciał się w tę miękkość opatulić i już nigdy z niej nie wychodzić.

Pozostali leżeli blisko ognia. Skakki wyciągnął swoje długie nogi, jakby spoczywał na najwygodniejszym łożu. Eryk Piękności zwinął się w ciasny kłębek i wsunął kciuk do ust. Thorgil zakryła twarz płaszczem.

— Wszystko bym dał, żeby się dowiedzieć, jak ty to robisz — ziewnął Runa.

Bard uśmiechnął się ciepło.

— To *lorica* Amergina, założyciela mojego zakonu. Czar strzegący przed krzywdą. Jego słowa przychodzą, gdy są potrzebne, i nie można ich wypowiedzieć w żadnej innej sytuacji. Nie można też nauczyć się ich na pamięć.

Jack zdał sobie sprawę, że to prawda. Zасыpiając, nie potrafił sobie przypomnieć ani jednego słowa *loriki*, choć przecież dopiero co je usłyszał.

Obudził się cudownie odświeżony. Zakłęcie nie tylko go uspokoiło, ale i rozgrzało. Ból, który wniknął w jego ciało z kamiennego muru, zniknął zupełnie.

Słońce wciąż kryło się za wzgórzami, lecz mgła leżąca na zachodzie między morzem a niebem przybrała już różowy odcień. Sven Mściwy wstał wcześniej i wrócił z naręczem opału, którym podsycił ogień. Gałęzie trzaskały wesoło i Jack cieszył się żarem.

— Nie mogę przestać myśleć o biednym Większej Połowie — przyznała Thorgil. — Najpierw uznałam go za głupca, a teraz wstyd mi na myśl o jego męstwie.

— Wszyscy tak o nim myśleli — powiedział Jack.

Wspomnienie wejścia do dworu wciąż napełniało go przerażeniem. Dopiero w świetle poranka widać było rozmiar zniszczeń. Budynek wyglądał, jakby został opuszczony sto lat temu. Chłopakowi bardzo chciało się pić, podejrzewał, że pragnienie męczy też pozostałych, ale najbliższe źródło znajdowało się na dziedzińcu. Nikt się do niego nie zbliżał. Wreszcie, kiedy słońce wychylnęło nad wzgórze, Skakki wstał i poprowadził resztę.

Jack ze zdziwieniem stwierdził, że dziedziniec porasta trawa, a gdzieś tam pod ziemię wysuwa się maleńka koniczyna. Woda w źródle była przejrzysta i odbijały się w niej chmury.

Nabrał jej w dłonie. Okazała się chłodna i odświeżająca. Miała lekko zielonkawy odcień.

— To woda z krainy gnomów — powiedział.

— Gnomów? — zaciekawił się Skakki.

— *Landv&ttir* — przetłumaczyła Thorgil. — Duchy ziemi. Spotkaliśmy je po drodze do Din Guardi.

— Gnomy zawsze przybywają pierwsze po przepędzeniu Nieżycia — wyjaśnił bard. — Leczą ziemię. Przez jakiś czas ta woda będzie niosła ze sobą wiele siły życiowej. Powinniśmy napić się jej do syta.

Tak też zrobili i wszyscy przyznali, że czują się jak po sutej uczcie. Schlaup leżał na brzuchu i łapczywie chleptał.

Zbliżając się do zniszczonego budynku, Jack był już w lepszym nastroju, choć jego umysł wciąż cierpiał na myśl o tym, co znajduje się wewnątrz. Kiedy jednak tam wszedł, okazało się, że wszystko zostało uprzątnięte do czysta. Stopione skały sprawiały wrażenie naturalnej jaskini, przypominającej kształtem ludzką siedzibę.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem — powiedział Skakki, gładząc dłońmi ściany.

Zniknęło też wszystko z nadmorskiego urwiska, oprócz jednej małej szopy. Jack zbliżył się do niej ostrożnie. Wewnątrz znalazł wypełniony słomą dół, w którym siedziały kury. Gdy otworzył drzwi, jedna wymknęła się na zewnątrz. Inne stłoczyły się pod przeciwległą ścianą. Gdakały i wchodziły jedna na drugą. Na słomie leżał też Większa Połowa. Mrugał gwałtownie, oślepiiony porannym światłem.

— Ty żyjesz! — zawołał Jack.

— Nie chciałem skrzywdzić tych ładnych kurek. Ani jego — odezwał się stojący za chłopakiem Schlaup. Wyglądał na nieco zmieszanego, jakby spodziewał się bury.

— Słusznie postąpiłeś — powiedział Jack. — Smoczy Języku! Skakki! Thorgil! Większa Połowa żyje!

Wszyscy stłoczyli się przy drzwiach szopy, próbując zajrzeć do ciemnego wnętrza. Mężczyzna przewrócił się na bok i ujrzeni kryjącego się pod bratem Mniejszą Połowę. Karzeł jednak wydawał się zupełnie pozbawiony zmysłów. Wpatrywał się tępo przed siebie i nic nie wskazywało, że jest świadomy tego, co się wokół dzieje.

— Nie bij mnie! — zawołał Większa Połowa, kuląc się przed Svenem Mściwym.

— Chciałem cię tylko wydostać na świeże powietrze — burknął wojownik. — Fuu! Cały jesteś w kurzym łajnie. — Sven wyciągnął obu i położył karła na ziemi.

— Nie wiem, co się stało mojemu bratu — poskarżył się Większa Połowa. — Nic nie mów.

Bard przyklęknął i dotknął szyi karła.

— Serce bije mu mocno. Co się stało zeszłej nocy?

— Kiedy wróciłem, wszyscy się wściekli — powiedział zmartwiony Większa Połowa. — Żmijozęby kazał mi się wynosić. Mniejsza Połowa nazwał mnie wielkim głupkiem i dodał, że żałuje, że w ogóle mnie zna. Potem usłyszałem grom. Do dworu wpadły skały i inne rzeczy. Mniejsza Połowa krzyczał, ale ja mocno go chwyciłem i powiedziałem: „Mniejsza Połowo, przeżyjemy to. Zobaczysz”. Potem pamiętam już tylko, że znaleźliśmy się w kurniku. — Większa Połowa czule gładził włosy brata. — Tyle że od tamtej pory nie odezwał się ani słowem.

— Czy on jest ranny? — Jack zwrócił się do barda.

— Nie na ciele, ale przerażenie rozstroiło jego ducha.

— Więc dlaczego to samo nie spotkało Większej Połowy?

Starzec uśmiechnął się nieznacznie.

— Czasami posiadanie nieskomplikowanego umysłu okazuje się zaletą. W głowie Mniejszej Połowy mieściło się wiele myśli i planów. Każdy spisek prowadził do kolejnego i każdy lęk rodził następne. Tego rodzaju wyobraźnię łatwo jest wykoleić. Większa Połowa widzi świat prosto. Dla niego skała to skała, drzewo to drzewo, a lawina to lawina. Nie traci czasu na zastanawianie się, co

mogłyby mu zrobić.

Na miejsce przybyli też wojownicy i mieszkańcy wioski. Ze zdumieniem przyglądali się zniszczeniom. Zobaczyli wyrwaną bramę i szkliste ściany. Zauważyli też nieobecność wrogów. Skakkiego traktowali z najwyższym szacunkiem, gdyż uznali, że to on jest sprawcą tego wszystkiego.

— Teraz jesteśmy twoimi poddanymi, królu Skakki — odezwał się jeden z mężczyzn i nisko się uklonił. — Pójdź, proszę, z nami do wioski. Trzeba to uczcić.

— Król Skakki! Podoba mi się... — przyznał młody kapitan.

— Nie pozwól, by uderzyło ci do głowy — ostrzegł bard.

Thorgil przyzwała dzikie konie i wsiadła na ogiera, którego na cześć Bjoerna nazwała Łamaczem Czaszek. Jedną z klaczy przekonała, by wzięła na grzbiet barda. To wywarło ogromne wrażenie na wieśniakach, zwłaszcza gdy starzec poinformował ich, że dziewczyna jest potomkinią króla Hengista. A kiedy przyleciał Wędrowiec i Thorgil odezwała się do niego w ptasim języku, okazywany jej podziw nie miał już żadnych granic.

— Zupełnie jak w starożytnych sagach — zachłysnęła się jedna z kobiet.

Kiedy było już jasne, że walka dobiegła końca, pojawił się też trzeciorzędny skald, który zapewnił, że ułoży na ten temat długi wiersz.

Podekscytowane głosy zniknęły w oddali. Jack został ze Schlaupem i oboma braćmi. Półtroll wywoływał zbyt wielkie przerażenie, by ktokolwiek zaprosił go na ucztę, a Mniejszą Połową zanadto gardzono. Część wieśniaków chciała strącić go z klifu, ale kiedy ujrzeli jego puste spojrzenie, zostawili go w spokoju.

Cisza ukoїła nerwy Jacka. Poczuł sympatię do ludzi, którzy odzywali się rzadko i myśleli w niezbyt skomplikowany sposób. Był już zmęczony zmaganiem się z istotami, które chciały go zabić. W tej chwili wystarczyło mu, że może słuchać wiatru i przyglądać się morskim ptakom szybującym nad urwiskiem. Był teraz w stanie zrozumieć, dlaczego święty Kolumban i święty Kutbert tak sobie cenili bezludne wyspy.

Schlaup usiadł obok chłopaka i przyglądał się przepływającym po niebie chmurom, jakby były najciekawszą rzeczą na świecie.

— Myślałem — odezwał się po chwili olbrzym.

— Tak? — Jack ucieszył się, że towarzysz wyrwał go z zadumy.

— Smoczy Język powiedział, że w strumieniu jest dużo siły życiowej.

— Gnomy wywierają na wodę szczególny wpływ — wyjaśnił Jack. — To ma coś wspólnego ze wzrostem i rozwojem żywych istot.

— *Landv&ttir* — powiedział Schlaup, dowodząc, że nie tylko zna to słowo, ale też że może sporo wiedzieć o tych istotach. Chłopak uświadomił sobie, że wielkoluda nie wolno nie doceniać.

— *Landv&ttir* leczą — dodał Schlaup po chwili i urwał, by ułożyć dłuższe zdanie. — Gdybyśmy włożyli Mniejszą Połowę do źródła, mógłby wydobrzeć.

— Dlaczego ja na to nie wpadłem? — zdziwił się Jack.

Braci znaleźli przy kurniku. Schlaup podniósł Mniejszą Połowę i zaniósł go do strumienia.

— Proszę, nie rób mu krzywdy! — zaczął błagać Większa Połowa. — Nie top go! Proszę! Błagam!

Olbrzym zanurzył karła w kanale i przytrzymał. Większa Połowa bezskutecznie próbował oderwać ręce półtrolla od swego brata.

— Dość już! — zawołał Jack.

Mniejsza Połowa otworzył oczy i zaczął się szarpać. Schlaup wyciągnął go z wody, kaszłającego i plującego, i delikatnie poklepał po plecach — delikatnie jak na półtrolla, oczywiście. Mniejsza Połowa zwymiotował wodą, słomą i kilkoma kurzymi piórami.

— Lepiej — stwierdził wielkolud.

— Bracie — zapłakał Większa Połowa. — Dobrze się czujesz?

Mniejsza Połowa zamrugał i rozejrzał się wokół.

— Kim jesteście? — spytał.

Wrócił mu rozum, ale zniknęły wszystkie wspomnienia. Mówił składnie, porozumiewał się z otoczeniem, lecz zachowywał się jak małe dziecko. Miłe dziecko — pomyślał Jack. Karzeł znów był Mniejszą Połową z czasów, gdy jeszcze nie knuł ani nie spiskował.

Wkrótce potem pojawili się wieśniacy z koszami jedzenia. Jeden z nich zapytał chłopaka, czy zechce dołączyć do świętujących. Nie wspomniał jednak o pozostałych.

— Nie, dziękuję — odparł Jack. — Dobrze mi tutaj.

To była prawda. Jedli ostrygi, wędzone łupacze, podpłomyki i kapustę z omastą. Do picia dostali piwo i cydr, ale wszyscy zgodnie orzekli, że woda ze źródła jest o wiele lepsza.

— To jest ostryga — tłumaczył cierpliwie Większa Połowa. — Tego twardego się nie je.

— Os-try-ga — powtórzył Mniejsza Połowa.

Potem zdrzemnęli się pod gołym niebem, z wyjątkiem Schlaupa, który zszedł na plażę. W odróżnieniu od prawdziwych trolli nie bał się wody. Jack widział go w oddali, pływającego i parsającego niczym wieloryb.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

PODRÓŻ DO PODMORSKIEJ KRAINY

Zimowanie tutaj to doskonały pomysł — mówił Skakki. — Pogoda się zmienia i możemy z Egilem nie dotrzeć na Północ, zanim nadejdą jesienne sztormy.

Ciężkie chmury zmieniły się w wysoko zawieszane, pierzaste strzępy, które ciągnęły się po niebie.

— Jesteś pewien, że nie mówisz tak tylko dlatego, że spodobało ci się bycie królem? — spytał bard. — Masz już przecież wspaniały dom i pola. Masz też konie, bydło i niewolników, którymi musisz się zajmować. Jesteś królem we wszystkim, brak ci tylko tytułu.

— Tyle że muszę iść kark przed Ivarem bez Kości, który jest kompletnym głupcem. Sam wiesz, dlaczego opuszczamy nasze pola i wyruszamy na łupieżcze wyprawy, Smoczy Języku. Północne ziemie są jałowe. Tutejsza gleba jest żyzna, a w morzu żyje pełno ryb. Mojej rodzinie się tu spodoba. Egilowi także.

Skakki stał w wejściu do zniszczonego dworu Bjoerna i spoglądał w morze. Jack pomyślał, że wojownik ze swoją szeroką piersią i szlachetną twarzą rzeczywiście wygląda jak prawdziwy król. Byłby z pewnością lepszym władcą od innych. Nie poddawał się napadom wściekłości i szału. Nie spędzał czasu w pościeli, nie przejmując się światem. Nie domagał się też pieśni pochwalnych. Był wrażliwym, inteligentnym młodym człowiekiem, który rządziłby dobrze każdą krainą, gdziekolwiek by osiadł.

— Skoro już mowa o rodzinie... Nie zmartwią się, jeśli nie wrócisz? — spytał bard.

— Zdarzało się, że Olaf spędzał zimę poza domem. Wypływając w morze, zawsze zostawiał rodzinę dobrze zaopatrzoną. Ja postąpiłem tak samo. Popłynę po nich wiosną.

Bard zaakceptował decyzję Skakkiego. Jack był zachwycony. Jutro mieli ruszyć dalej na północ, do Podmorskiej Krainy, a przynajmniej do miejsca, gdzie według starca Podmorska Kraina się znajdowała. Potem chłopak z bardem i Thorgil mieli popłynąć niewielką łódeczką, odrobinę tylko większą od balii, ku akwenowi pełnemu morskich wiedźm i piktyjskich bestii. Skakki za to miał czekać na nich dowolnie długo na Wyspie Koni.

Jack wyszedł na zewnątrz. Nad urwiskiem stał Runa i oceniając oczy dłonią, przyglądał się niebu.

— Co widzisz? — spytał chłopak, nie spodziewając się odpowiedzi.

Stary wojownik jednak pamiętał niebo równie dobrze, jak pamiętał morze.

— Zbiera się na deszcz — stwierdził Runa. — Będzie padać przez trzy dni.

— Według mnie nie jest aż tak źle — zauważył Jack, wpatrzony w jasne, pierzaste chmury.

— Nazywają je jedwabiem nieba. Żona Odyna tkła je w pałacu mgieł. Stań tutaj, plecami do wiatru — poleciał Runa. — I powiedz mi teraz, w którą stronę płyną chmury.

Jack przyjrzał się uważnie niebu. Często widywał zbliżające się lub oddalające burze. Nigdy jednak nawet nie pomyślał, że cienki jedwab nieba może mieć z nimi jakikolwiek związek.

— W tę stronę. — Wyciągnął prawe ramię.

— Bardzo dobrze. Kiedy stoisz plecami do wiatru, a jedwab nieba płynie w prawo, to znaczy, że nadciąga burza. Nie będzie wielka, ponieważ powietrze nie pachnie metalicznie, a mewy są spokojne. Poproszę Skakkiego, by odłożył podróż o kolejne trzy dni.

Jack ucieszył się jeszcze bardziej. Nie spieszyło mu się na północ. Spacerował po urwisku, próbując sobie wyobrazić, co będzie, kiedy zamieszkają tu wszyscy krewni Skakkiego. Ta wyspa rzeczywiście wydawała się znakomitym miejscem do uprawy roli. Były tu też konie Thorgil, na których mogli jeździć. Zwierzęta zaczynały się oswajać. Pozwalały komenderować sobą Skakkemu, choć były zbyt małe, by wysoki wojownik mógł ich dosiadać. Skakki miał ten sam problem co niegdyś Olaf.

Także Egil znalazłby tu świetne pastwiska dla swych merynosów. Nigdy nie był zbyt ochoczym wojownikiem i wolał pracować na roli lub parać się handlem. Schlaup mógł zbudować oddzielny dom dla pani Tanner... Tu jednak Jacka zawiodła wyobraźnia. Wieśniacy nigdy nie zaakceptują półtrolla. Na Północy, gdzie ludzie są do trolli przyzwyczajeni, Schlaup był tolerowany. Ale może będzie mógł się wyprowadzić na jakąś inną wyspę?

Do popołudnia niebo zaciągnęło się płaską, szarą warstwą chmur, które zaczęły stopniowo obniżać pułap, aż wreszcie ułożyły się niemal na ziemi. Rozpadało się i musieli się skryć w największym domu we wsi. Budynek pierwotnie należał do Bjoerna, potem do Żmijozębego, a teraz jego właścicielem został król Skakki. Było to mroczne i pełne stęchlizny miejsce, niewiele weselsze od jaskini. W środku znajdowało się jednak palenisko. Mając jedzenie i słuchając pieśni, Skakki i wszyscy pozostali spędzili w miarę przyjemny wieczór.

Trzeciego dnia Jack zbudził się i zastał niebo przesłonięte wysoko zawieszonymi chmurami, które przywodziły na myśl rybnie łuski. Pomyślał, że Runa pomylił się co do trzech dni opadów, ale rybne łuski wkrótce przemieniły się w deszczowe chmury. Tym razem deszcze trwały krótko i towarzyszyły im gwałtowne wiatry, pojawiające się nagle i równie szybko milknące. Po południu na niebie znów pojawiły się pasma jedwabiu.

— Czy to znaczy, że czekają nas trzy kolejne deszczowe dni? — spytał chłopak z nadzieją.

— Ależ skąd! — powiedział Runa. — Stań plecami do wiatru. Widzisz? Jedwab płynie w lewo. Już niedługo pogoda będzie wprost wymarzona do rejsu.

Ale dokąd popłyniemy? — pomyślał Jack.

Tego chyba nikt jeszcze nie wiedział. Albowiem Podmorska Kraina nie zawsze znajdowała się w jednym miejscu. Pojawiała się i znikwała, posłuszna kaprysom morskiego ludu.

O świcie ruszyli na północ. Bard powiedział, że tam o wiele częściej można spotkać piktyjskie bestie i że jesień to ich okres godowy.

— Jeśli natkniemy się na rójkę, mieszkańcy morza będą z pewnością w pobliżu — oświadczył.

Schlaupa zostawili na wyspie. Zależało im na szybkości, a olbrzym nie tylko obciążał długą łódź, ale był też wyjątkowo marnym wioślarzem. On, Większa Połowa i Mniejsza Połowa obozowali na urwisku. Półtroll otrzymał zadanie wycinania torfu do odbudowy dworu.

Podróżnicy minęli kilka wysepek, z których każda była mniejsza od Wyspy Koni. Nocowali na bezludnych plażach i pewnego razu Jackowi wydało się, że słyszy pośród nocy dziwne krzyki. Trzeciego dnia, gdy wyglądało na to, że nie natkną się już na żaden ląd, Wędrowiec przyniósł wieść o mgle formującej się na zachodzie. Jak to powiedział: „Wielka chmura. Siedzi na morzu. W miejscu, gdzie umiera słońce”.

— Płynmy więc na zachód — zdecydował bard.

— Jesteś pewien? — spytał Skakki. — Runa mówi, że tam nic nie ma.

— Może nie było, kiedy on tam pływał. Podmorska Kraina zawsze kryje się we mgle. Może to też oznaczać, że morski lud znalazł rój piktyjskich bestii. Między tymi stworzeniami dojdzie do walki i przelewu krwi. Mieszkańcy morza zbiorą jej ofiary.

Statek zmienił kurs, ale do późnego popołudnia wciąż nie ujrzeli zapowiadanej mgły. Słońce płonęło na horyzoncie żywym ogniem, a po obu jego stronach pojawiły się kolumny światła. Bardzo jasne, mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Wyglądało to niemal jak trzy słońca, zawieszane obok siebie na niebie.

— Tego właśnie szukałem — ucieszył się bard. — Te światła są zwane Bramą Podmorskiej Krainy. Płynmy tam, a przy odrobinie szczęścia o świcie będziemy u celu.

Nikt się nie odezwał. Brama wydawała im się zbyt nieziemską. Ludzie Północy, którzy z radością rzuciliby się do walki z niedźwiedziami lub trollami, byli do żywego wystraszeni niezwykłością widoku. Ściskali wiszące na szyjach talizmany — bursztynowe koraliki dla Frei, kły dzików poświęcone Freyrowi — bóstwu obfitości — i młoty Thora. Im byli bliżej, tym bardziej słońce i światło bramy ciemniało, ale w miejscu, gdzie widzieli ją wcześniej, pozostał samotny czerwony promień.

— Zdjąć żagiel — rozkazał Skakki. — Nie przepłynę przez żadną bramę, której nie widzę.

Powietrze było tak spokojne, że aż zapierało dech w piersi. Morze, gładkie jak tafla jeziora, martwiło Ludzi Północy jeszcze bardziej.

— Wszystko bym dał, byle rzucić kotwicę — powiedział Sven Mściwy. — Już raz widziałem takie morze. Uniosło się nagle niczym grzbiet smoka i prawie zostaliśmy porwani przez Ran i jej

dziewięć córek.

— Kotwicy nie ma o co zaczepić. Zbyt głęboko — zauważył Runa. Gdy zniknęły ostatnie promyki słońca, rozległo się wycie — długie, pełne smutku wołania, które zamieniły krew wszystkich podróżnych w wodę. Pod powierzchnią wody coś głucho dudniło, aż drżały deski pokładu. Jack poczuł, jak wibrują mu żebra.

— To głosy samców piktyjskich bestii — wyjaśnił bard. — Pamiętasz, Jack, jak opowiadałem ci o *huushayuu*?. Wyobraź sobie setkę piktyjskich trąb wojennych wydających z siebie taki dźwięk. Nic dziwnego, że rzymscy żołnierze dezertowali i pierzchali do lasów. Oczywiście, to też nie był dobry pomysł, bo tam czekał na nich Pan Lasu.

— Mam wrażenie, że jest ich tu teraz jakaś setka — zauważyła Thorgil.

— Ten grzechot i huki spod wody to samice — ciągnął starzec. — Kiedy dotrą na powierzchnię, zaczną między sobą walczyć. Samiec jest zawsze więcej niż samców, więc muszą się bić o partnera. Zwycięzcznie ponownie zanurzą się w głębinę.

— A morski lud? — spytał Jack.

— Och, oni na pewno nie pojawią się przed świtem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie pływać w roju parzących się piktyjskich bestii.

— Teraz nam to mówi! — jęknął Skakki.

Usłyszeli potężny plusk, jakby spod fal wyskakiwało stado wielorybów. Doleciał ich odgłos wody wypływanej z olbrzymich paszcz. Niedaleko rozległ się ryk, po którym nastąpiło ciężkie „łup” i dwa stworzenia zwarły się w walce. Wkrótce całe morze gotowało się od krzyku, wycia, trzasku rozdieranej zębami skóry i jęku pokonanych. Wszedł półksiężyc, w którego poświacie ujrzeli kontury wielkich cielsk. Wiły się w czarnej wodzie niczym otyłe węże. Ciała samic miały barwę upiornej bieli — długie cieliste rogi i ostro zakończone paszcze uzbrojone wieloma rzędami zębisk. Biły przeciwniczki płetwami, rozpędziwszy się przedtem mocnymi smagnięciami ogonów.

Samce okazały się o wiele mniejsze. W świetle księżyca nie dało się określić ich koloru, choć Jack odniósł wrażenie, iż są delikatnie zielonkawe. Ich łby przypominały końskie, a ciała były długie i kształtne. Za każdym razem, gdy któraś z samic wygrywała pojedynek, chwytala upatrzonogo samca płetwami, wydawała z siebie przerażający ryk i znikala wraz ze zdobyczą w odmętach.

Wraz z upływem czasu walczących było coraz mniej, aż wreszcie morze się uspokoiło i mąciły je już tylko drgawki umierających bestii. Powietrze wypełniła ciężka woń, przypominająca odór martwych ryb.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

MORSKI LUD

Rzecz jasna, tej nocy nikt z załogi nie zmrużył oka. Gdy na wodzie położyła się szarzyzna świtu, Skakki i pozostali ujrzeli ciała tuzina istot wielkości wieloryba. Unosiły się na falach brzuchami do góry, śmierć wyprostowała ich długie ogony.

— Czy one są... jadalne? — spytał Skakki. Podobnie jak wszyscy Ludzie Północy zawsze wypatrywał okazji do uzupełnienia zapasów.

— Nie! To znaczy tak, są jadalne. Ale nie można stawać pomiędzy morskim ludem a jego łupem — powiedział bard.

— Jest tego tyle, że wystarczyłoby dla wszystkich — zauważył Eryk Zapalczywy.

— ZJADŁEM KIEDYŚ WĘŻA MORSKIEGO. NIE ZABIŁO MNIE! — zahuczał Eryk Pięknolicy.

— Powiedziałem „nie” i nie zmienię zdania — rzucił surowo bard. — Mieszkańcy morza mogą ukazać naszym oczom niebezpieczną skałę pod postacią otwartego oceanu i w ten sposób pociągnąć nas na dno. Te istoty są mistrzami iluzji.

Starzec posłał Wędrowca na zwiady. Jemu też nakazał omijać ciała bestii, ale albatrosowi niepotrzebne były żadne przestrogi. Martwe stworzenia budziły w nim instynktowne przerażenie. Wzbił się wysoko, by się od nich oddalić, i wkrótce zmienił się w małą kropkę na niebie. Wrócił z informacją, że zbliża się mgła.

Bard rozwinął tajemniczą paczuszkę, którą kilka tygodni wcześniej dał mu brat Aiden. Jack ze zdumieniem zobaczył należące do wodza zwierciadło z polerowanego brązu. Był to najcenniejszy przedmiot w całej wiosce i wódz z pewnością nie rozstałby się z nim tak po prostu.

— Skąd to masz? — spytał chłopak.

— Aiden pożyczył od wodza — odpowiedział starzec — choć obawiam się, że nie będzie mógł mu zwrócić. To jednak niewygórowana cena za bezpieczeństwo wioski. Na wypadek gdyby sprawy w Bebbas Town nie rozwinęły się pomyślnie... a jak wiesz, tak właśnie się stało... Aiden i ja wymyśliliśmy plan.

Tym razem wyjął z pacuszki pięknie wykonany grzebień. Zęby zostały wprawione w rzeźbioną rączkę, pokrytą fioletowymi, zielonymi i cynobrowymi wzorami. W tych barwach Jack rozpoznał słynne atramenty brata Aiden.

— To kiel morsa. Aiden sam go wyrzeźbił — powiedział bard.

Jack odniósł dziwne wrażenie, że niedawno widział taki grzebień, i po chwili sobie przypomniał.

Gdy pod Edwin's Town pochwyliła go *haar*, leżał na kamieniu, w którym wyryte zostały symbole. Pamiętał półksiężyc skrzyżowany ze złamaną strzałą — znak ofiary składanej starym bogom. Były tam też samiec i samica piktyjskiej bestii, a obok widniało zwierciadło i grzebień. Dziwił się wtedy, po co ktoś rył takie akurat przedmioty na rytualnym głazie.

— Aiden całkiem dobrze zna się na syrenach — powiedział bard. — Jest Piktem. Nie kręć nosem, chłopcze, Piktowie nie są gorsi od innych. Po prostu mają za sobą nieszczęśliwe dzieje. Znasz historię o tym, jak stracili swoje kobiety?

— Hobgobliny mi opowiedziały — przyznał Jack. — Kiedy Piktowie przybyli na te ziemie, rozgniewali starych bogów, wycinając lasy. Pan Lasu zemścił się na nich okrutnie. Poprosił swego brata, Księżycowego Człowieka, by ten zesłał na ich kobiety szaleństwo. Wszystkie rzuciły się z urwiska i utonęły.

— Po tej tragedii Piktowie nigdy już nie byli tacy sami — podjął starzec. — Później znaleźli sobie żony wśród Irlandczyków, ale najpierw szukali kobiet wśród morskiego ludu.

— Masz na myśli syreny? — spytał zaskoczony chłopak. Może dlatego tak bardzo lubili mgły i cienie.

— Właśnie. W żyłach większości Piktów płynie krew morskiego ludu. A teraz musimy otrzymać pozwolenie na wejście do Podmorskiej Krainy. Dlatego potrzebny nam podarek dla ich króla. Nazywają go Shoney. Aiden twierdzi, że są dwie rzeczy, którym absolutnie nie jest w stanie się oprzeć — grzebień i zwierciadła. Mieszkańcy morza uwielbiają przeglądać się w lustrach, które nazywają „nieskończoną wodą”. Wierzą, że to bramy do innych światów.

— A grzebień? — zaciekawiała się Thorgil, obracając w rękę piękny przedmiot. Przeczesała sobie włosy. — To o wiele lepsze od palców — zauważyła.

— Syreny mają długie, piękne włosy, z których są słusznie dumne — wyjaśnił bard. — Niestety, uwielbiają się ich czepiać małże. Jeśli syrena nie czesze regularnie włosów, skorupiaki obrastają je tak, że nie jest w stanie pływać.

Słoneczny blask zalał już morze i zobaczyli w oddali coś, co przypominało szary łańcuch górski. Od jego strony płynęły ku nim długie, smukłe łodzie. Na każdej stał ktoś z tyczką w ręku.

— Jak to możliwe, że używają tyczek? — zapytał Skakki. — Niemożliwe, by odpychali się od dna.

A jednak nieznanymi płynęli z taką łatwością, jakby poruszali się po płytkim stawie. Kilka łodzi otoczyło martwą piktyjską bestię i wtedy okazało się, że kije zakończone są hakami. Istoty zaczepiły nimi zwierzę i tym samym, równym tempem ruszyły z powrotem.

Tajemniczy żeglarze kształtem przypominali ludzi, choć jednocześnie wyglądali jak nie z tego świata. Byli wyżsi i szczuplejsi od człowieka, ich skóra pobłyskiwała srebrzystymi łuskami. Nogi i ramiona mieli chude jak nogi czapli, ich twarze ocieniały kapelusze o szerokich rondach. Nosili

szare szaty, wyglądające, jakby zostały utkane z pasemek mgły. Zbierali martwe zwierzęta, nie rzucając w stronę statku nawet jednego spojrzenia. Wszystkiemu temu nie towarzyszył żaden dźwięk, nawet plusk wody.

— CZY MAM ICH ZAWOŁAĆ?! — zahuczał Eryk Pięknolicy.

Wszyscy podskoczyli, choć mieszkańcy morza, wciąż nieporuszeni, nadal metodycznie zbierali swe żniwo.

— Mam lepszy plan — powiedział bard.

Uniósł brązowe zwierciadło i odbił promień słońca prosto pomiędzy łodzie. Reakcja była natychmiastowa. Łodzie zakręciły i zniknęły jak ryby uciekające przed pobłyskującym na ich łuskach światłem. Jack stracił żeglarzy z oczu, ale wyczuwał, że w jakiś sposób się zbliżają. Ludzie Północy sięgnęli po broń.

— Niech nikt nie wyciąga miecza. Ani jednej strzały — przestrzegł starzec. — Oni chcą handlować.

Zupełnie nieoczekiwanie jedna łódź pojawiła się tuż przed ich dziobem. Wysoka postać wskazała na zwierciadło.

— To podarunek dla Shoneya — odezwał się bard. — Proszę w zamian o bezpieczny wstęp do Podmorskiej Krainy dla siebie i dwójki towarzyszy.

— Statek nie może wpłynąć — rozległ się głos, który był słyszalny i jednocześnie niesłyszalny. Jack odebrał go bezpośrednio umysłem i przypomniał sobie, że trolle także porozumiewały się bez użycia głosu.

— Nie proszę o wstęp dla statku. Popłynę małą łódeczką — odparł starzec.

Wyciągnął przed siebie grzebień i na wodzie pojawiło się kilka kolejnych łodzi z niezwykłymi żeglarzami. Chłopak dopiero teraz mógł przyjrzeć się ich obliczom. Były szczupłe i pociągłe, o okrągłych, rybich oczach. Usta miały kształt odwróconej litery „V”, co nadawało istotom wyzbyty humoru, pełen nagany wyraz twarzy.

— Piękny grzebień, wprost stworzony dla długich włosów naszych córek — powiedział jeden z przybyłych. — I pomalowany świetnymi piktyjskimi barwnikami. Widać rękę mistrza.

— Za prawo wkroczenia do Podmorskiej Krainy podaruję wam i ten grzebień. Dajcie odpowiedź albo odpłyniemy.

— Tego rodzaju rzeczami zajmuje się nasz król.

— W takim razie musimy już płynąć — stwierdził bard i zaczął pakować zwierciadło.

W powietrzu zaszeleściło westchnienie.

— Zaczekajcie.

Mgliste postacie zaczęły się naradzać między sobą. Jack nie słyszał, co mówiły.

— Możecie wejść — oświadczył po chwili jeden z mieszkańców morza.

— A co z moją prośbą? Czy pozwolicie nam potem opuścić Podmorską Krainę?

— Przyrzekamy.

— Nie możesz tego zrobić — powiedział Skakki, gdy starzec dał rozkaz do spuszczenia łódeczki na wodę. — Stanowczo zbyt szybko zmienili zdanie. Poza tym wszyscy wiedzą, że morski lud to zdradzieckie plemię.

— To prawda, ale nic lepszego nie utargujemy — odparł bard.

— Idziesz jak ślepiec w ramiona śmierci! Tak nie można!

— Od powodzenia tej wyprawy zależy życie wielu osób — powiedział starzec. — Przypomnij sobie Beowulfa i jego ostatnią walkę ze smokiem. On wiedział, że zginie. Był stary. Jego ramię nie było już tak silne jak wtedy, gdy pokonał Grendela, a jednak ruszył do boju za swych ludzi.

— Sława nie umiera nigdy — przypomniała cicho Thorgil.

— Kiedy Beowulf oddawał ducha po zabiciu smoka — wspomniał Skakki — poprosił towarzysza o przyniesienie klejnotów ze skarbcza bestii, bo chciał jeszcze nacieszyć nimi oczy.

— Tak, to była prawdziwie bohaterska śmierć — przyznał Runa z rozmarzonym wzrokiem.

— Przepraszam — wtrącił Jack. — Czy nie ma żadnych opowieści o bohaterach, którzy po zabiciu potwora wracają do domu i żyją długo i szczęśliwie?

— Oczywiście, że są, chłopcze — zapewnił serdecznie, choć nieprzekonująco bard. — Kto wie, może już wkrótce będziemy pić cydr w starym, rzymskim domu. Najpierw jednak musimy znaleźć rozwiązanie problemu draugra. Przyjmuję twoją propozycję, morski mężu. Popłyniemy do pałacu Shoneya i osobiście przekazemy mu podarki. I tam wyjawimy, co jest celem naszej wizyty.

Morski mąż zniknął wraz ze swoją łodzią. Z powierzchni morza zniknęły też wszystkie piktyjskie bestie. Woda była tak czysta, jakby nigdy nie toczyła się na niej żadna walka. W oddali jednak wciąż było widać szarzejącą górę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

MIASTO POD FALAMI

Jack zdążył polubić żeglugę, ale pływanie w niewielkiej skórzanej łódce było zupełnie czym innym. Gdy Eryk Pięknolicy opuścił do niej chłopaka, łupina zachybotła niebezpiecznie. Miejsca starczało ledwie dla trójki pasażerów i skromnego bagażu z prowiantem. Kiedy Jack podniósł wzrok na smukły, piękny karfi, z całego serca pożałował, że zszedł z jego pokładu.

— W jaki sposób was teraz znajdziemy?! — zawołał Skakki z długiej łodzi.

— Nie znajdziecie — odparł bard. — Sami dotrzemy na ląd.

— Co takiego? Nie zostawię was tutaj!

— Będziesz musiał. Podmorska Kraina pojawia się i znika wedle własnej woli. Nie ukaże ci się.

Starzec stał w łódeczce, ściskając swoją jesionową laskę. Nie wydawał się ani trochę zmartwiony tym, że ma pływać po otwartym morzu stateczkiem, który ledwie nadawał się na jeziorko.

— Wiedziałeś o tym przez cały czas! — krzyknął Skakki. Odległość między nimi była coraz większa. — Wplątałeś moją siostrę w przygodę, której nie można przeżyć.

— Sama się na nią zgodziłam! — odkrzyknęła dziewczyna.

— Więc jednak jesteś wariatką! Wy też!

Płynęli coraz szybciej, choć Jack nie widział niczego, co mogłoby stanowić napęd łódeczki. Był zbyt zajęty trzymaniem się burty. Jeszcze tylko usłyszał ryk Eryka Pięknolicego:

— WRÓCIMY PO WAS!

Chwilę potem długa łódź zniknęła i widzieli już tylko puste morze.

— Co się z nimi stało? Gdzie oni są?! — zakrzyknął Jack.

— Musimy ich ratować! — zawołała Thorgil, chwyciła wiosło i spróbowała zawrócić łódkę. Okazało się jednak, że prąd jest zbyt silny.

— Nic im nie będzie — powiedział bard i usiadł pomiędzy workami z ładunkiem. — Po prostu przekroczyliśmy granicę Podmorskiej Krainy. Oni zapewne też widzieli, że znikamy, i o ile ich znam, już nas szukają. Ale niczego nie znajdą.

— Byłeś już tutaj, prawda? — spytał Jack. Postanowił wykorzystać chwilę względnego spokoju i pociągnąć barda za język.

— Wyrwałem ze szponów Shoneya jedno czy dwoje dzieci — przyznał starzec. — Morskie wiedzmy czasem porywają małe szkraby, które zanadto zbliżą się do wody.

— Czyli jesteście... wrogami? — zaryzykowała Thorgil.

— Raczej godnymi siebie przeciwnikami. Ja mu mówię, co ma zrobić, a on to w końcu robi. Ale Shoneya nie wolno nie doceniać. Jest inteligentny, chytry i niebezpieczny. Ach, jeśli poczęstuje was dziś morskim mięsem, nie jedzcie ani kęsa. Piktyjskie bestie smakują okropnie.

Góry rosły przed nimi, szczyt za szczytem, wszystkie jednakowo szare. Jack próbował zobaczyć fale, które rozbijają się o brzeg, ale żadnych nie widział.

— Nie powinniśmy zwolnić? — spytał nerwowo. Skały były już blisko.

— To tylko mgła — uspokoił bard.

— Uwaga! — wrzasnęła Thorgil i rzuciła się na dno łódeczki.

Jack uniósł ramiona, zasłaniając twarz przed pędzącą na nich szarą masą — chwilę potem przedarli się na drugą stronę. Płynęli ponad krainą pełną pól i domów. Od góry przykrywała ich misa chmur. Wszystko w dole skąpane było w łagodnym świetle przypominającym poświatę, która rozjaśnia mgłę, zanim przebije się przez nią słońce. Było ciepło jak latem.

— Mówiłem, że to tylko mgła — rzucił bard.

— Wyglądała tak realnie. — Thorgil podniosła się i wychyliła za burtę. — Czy to jedna z tych iluzji, które nagle znikają i wojownik stwierdza, że jest na przykład w strasznym lochu?

— Mieszkańcy morza nie są tacy jak elfy — powiedział starzec. — Nie potrafią stworzyć czegoś ot tak, z powietrza, ale potrafią się ukrywać, pożyczając kolory. Załamują światło wokół swego królestwa i wtapiają się w tło, zupełnie jak ryby na dnie strumienia. Trolle z Jotunheimu także to potrafią.

— Pamiętam — odezwał się Jack. — Kiedy oddalaliśmy się od pałacu Królowej Gór, wydawało się, że sam pałac gdzieś znika. Widziałem tylko lodowe góry.

Poniżej mieszkańcy morza trudnili się zwykłymi wiejskimi pracami. Wypasali bydło, zajmowali się zasiewami, a nawet rozpalali ogniska, choć Jack był gotów przysiąc, że pod łódką jest woda. Płynęli tak spokojnie, jakby byli na jeziorze. Także tubylcy po swoich polach raczej pływali, niż chodzili. Niemniej ich niewielkie białe krowy spacerowały ospale po dnie jak wszystkie inne krowy świata.

Domy ozdobione były wieżyczkami i wymyślnymi łukami, które wydawały się nie mieć żadnego konkretnego zastosowania, ale za to sprawiały przyjemność patrzącemu. Wszystkie budynki były pomarańczowe i różowe, fioletowe i jaskrawobiałe — w barwach muszelek, jakie znajduje się na plaży. W oddali ukazał się imponujący zamek. Podążały do niego całe procesje morskich mężów, niosących okropne cielska martwych piktyjskich bestii. Wokół pływały syreny. Ich długie włosy falowały niczym żywe złoto. Za nimi pojawiły się istoty tak ohydne, że Jack przez moment myślał, że śledzą one syreny niczym wataha wilków. Dopiero potem zrozumiał, że ogląda morskie wiedźmy.

Nic dziwnego, że syreny chcą poślubić ludzi, skoro grozi im zamiana w coś tak odpychającego,

pomyślał. Morskie wiedźmy były równie bezkształtne jak fok. Kuśtykały na pająkowatych nogach, które chyba tylko cudem dźwigały pękate, miękkie ciała. Dla kontrastu ramiona i barki wiedźm były rozwinięte jak u kowali. Wszystkie te istoty w różnym stopniu łyślały. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby miały zgrabne głowy. Ich czaszki jednak wyglądały jak narośle, które usadowiły się na zbyt grubych karkach. Wraz z utratą urody wiedźmy traciły też zainteresowanie higieną i większość była mocno obrośnięta małżami.

Morski lud wydawał się jednak bardzo wesoły. Niosąc bezwładne piktyjskie bestie, tańczył radośnie. Dziecięca gwardia honorowa podtrzymywała długie ogony, by nie szurały po ziemi.

— Patrzcie! Ludzkie dzieci — zauważyła Thorgil.

Chłopak podążył za jej wzrokiem i pomiędzy niosącymi ogony młodymi mieszkańcami morza rzeczywiście zauważył czterech wyrośniętych chłopczyków.

— Matki nie powinny pozwalać swoim dzieciom włóczyć się samotnie po plażach — powiedział bard ze smutkiem.

— Co się z nimi stanie? — spytał Jack. Pamiętał, że elfy porzucały dzieci w ciemnych lasach, gdy tylko stwierdzały, że porwane istoty przestały być miłe.

— Dorosną i poślubią syreny. Morskie wiedźmy rozpuszczą chłopców jak dziadowskie bicze, bo każda chce takiego na męża dla własnej córki.

O tym Jack nie pomyślał, a ta historia stawiała morskie wiedźmy w nieco lepszym świetle. Łódeczka przez cały czas płynęła w takim samym tempie, w jakim poruszały się tłumy poniżej. Teraz, gdy rozbawieni mieszkańcy morza przekroczyli bramę zamku, przepłynęła nad murem i znalazła się ponad przestronnym dziedzińcem, na którym płonęły paleniska. Łódka zaczęła tonąć.

Jack przygotował się na to, że woda zaleje mu nos i uszy, ale nic takiego się nie stało. Tylko powietrze zrobiło się gęstsze i bardziej ożywcze. Poczuł, że mógłby przebiec całą milę i zupełnie się nie zmęczyć. Uniósł rękę, lecz napotkał wyraźny opór.

— Zupełnie jakbym pływał pod wodą — zauważył.

Thorgil machnęła nogami i uniosła się.

— Naprawdę pływamy! — zawołała zachwycona. — Cudownie! Można naraz pływać i oddychać! — Zamachnęła się ramionami i przepłynęła szybko do połowy wysokości porośniętej koralami wieży. — Spróbuj, Jack.

Chłopak podpłynął za nią do wieży, wykonując przy tym kilka salt. Zawisli, trzymając się koralowców, i uśmiechnęli się do siebie.

— Jeśli już skończyliście z tymi figłami, to zejście na dół — rzucił surowo bard. — Czekają nas mnóstwo pracy.

Starzec był już na ziemi, dnie czy jak to się w krainie morskiego ludu nazywało. Mieszkańcy morza, tak samo jak wcześniej, zupełnie nie zwracali odwagi na przybyszy. Zajęli się patroszeniem

piktyjskich bestii.

Ale gdy tylko Jack opuścił się niżej, usłyszał w głowie głosy: „Kto ich zaprosił? Czy to Smoczy Język? Och, do diaska, to on! Ukryjcie ludzi!” Im bliżej był ziemi, tym wyraźniej je słyszał, aż wreszcie wybuchła mu w myślach taka gadanina, że nie mógł zrozumieć już nic. Jedna wypowiedź doleciała go jednak wyraźnie: „Ciekawe, czy będziemy mogli zatrzymać chłopca i dziewczynkę. Chłopczyk jest śliczny. Chcę go”.

— Ty nieś Nadobną Płaczkę — polecił Jackowi bard.

Zniszczony dzwon wciąż był owinięty szmatką i chłopak zaczął się zastanawiać, co starzec zamierza z nim zrobić. Thorgil dostała zwierciadło i grzebień — także zapakowane. Bard zabrał swoją paczuszkę, której zawartości nikomu nie zdradził.

— Musicie się zachowywać najlepiej, jak potraficie. Mieszkańcy morza obiecali, że będziemy mogli porozmawiać z ich królem, ale na razie nie mamy żadnej pewności. I proszę, nie nazywajcie nikogo morską wiedźmą. Właściwym terminem jest „morska żona”.

Wciąż nikt nie wychodził im na spotkanie, ale bard stwierdził, że to normalne.

— Zwracanie na siebie uwagi innych jest wśród morskiego ludu oznaką złych manier — wytłumaczył. — Pokręcimy się trochę, póki się do nas nie przyzwyczają.

Weszli na platformę, na której grupka morskich mężów oprawiała piktyjską bestię. Wprawnie zdejmowali skórę, odsłaniając wielkie pasy tłuszczu.

— Te skóry odłożą na jakiś czas, by oczyścić je ryby. Tłuszczu używają do gotowania — wyjaśnił starzec.

W powietrzu rozchodził się nieopisany fetor. Jack mocno przełknął ślinę — nie chciał narobić sobie wstydu wymiotując. Thorgil także wyglądała, jakby toczyła ciężką wewnętrzną walkę z mdłościami.

— Nic wam nie będzie — powiedział bard. — Smród tego tłuszczu męczy węch i jeśli przetrzymacie kilka pierwszych chwil, poczujecie się lepiej. — Pociągnął głęboko nosem, jakby cieszył się słodkimi wonnościami.

Jack nie skomentował. Ze wszystkich sił starał się zatrzymać śniadanie w żołądku.

— Udane łowy, co? — zagadnął starzec.

— Udane — odpowiedział jeden z morskich mężów.

Minęło kilka minut. Stopniowo mdłości ustąpiły i Jack mógł się skupić na tym, co rozgrywało się przed jego oczami. Długie pasy żółtego tłuszczu umieszczano w olbrzymich garach. Tam zamieniały się w bulgocący, oleisty płyn. Zielone mięso bestii cięto na porcje, nadziewano na ruszt

i umieszczano nad paleniskiem. Duży skórzasty wór — może żołądek? — został opróżniony z zawartości, którą stanowiła zbita masa wodorostów i na pół strawionych ryb. Jack ponownie mocno zacisnął usta.

Ciekawe były kości. Chłopak spodziewał się czegoś przypominającego rybi szkielet, ale ten był zupełnie inny. Z centralnej kolumny strzelały na boki płaskie łopatki, co przypominało nieco kształtem pień i gałęzie sosny. W środku pień był na tyle szeroki, że można się było na nim położyć, ale zwężał się w miarę zbliżania się do ogona. Jeden z pracujących ciął łopatki i układał w stosy.

— Co z nich robicie? — spytał Jack i zaraz zganiał się w duchu za natręctwo.

— Naczynia — odpowiedział zwięźle morski mąż.

Dotąd w porządku, przemknęło chłopakowi przez myśl. Nikogo nie uraził. Odłożył swoje zawiniątko na ziemię i przyglądał się dalej.

— Jak to możliwe, że one pływają, mając w środku taką wielką tyczkę? — spytał.

Morski mąż chwycił Jacka za ramię i zaprowadził do końca ogona. Chłopak poczuł narastającą panikę. Palce istoty trzymały go ze zdumiewającą siłą i Jack nie wiedział, co jego przewodnik zamierza.

— Ugnij to — powiedział mieszkaniec morza, wskazując czubek ogona.

Jack ostrożnie dotknął kości. Nie była tak paskudna, jak się spodziewał, a nawet okazała się zaskakująco sprężysta. Podciągnął oburącz ogon tak mocno, jak mógł, i wtedy kość gwałtownie wróciła do poprzedniej pozycji. Jacka odrzuciło do góry, nogami prosto w mur. Na szczęście, powietrze było tu gęste i nie stało mu się nic złego. Zsunął się po ścianie. Dzwoniło mu w uszach. Przypominające odwróconą literę „V” usta morskich mężów wykrzywiły się w grymasie, który miał uchodzić za oznakę rozbawienia. Założył się, że to szczekanie to ich śmiech — pomyślał Jack.

Wrócił do swoich tak dostojnie, jak tylko potrafił — Świetnie ci poszło, przełamałeś lody — pochwalił go bard.

Mogłem też złamać sobie kark — dodał w myślach Jack. Poczucie humoru morskiego ludu bardzo przypominało to, jakim odznaczał się Ludzie Północy.

— Bawimy się tak ze wszystkimi młodzikami — powiedział pierwszy z morskich mężów. — Nazywam się Whush. A ty jesteś... ?

— Jack — odparł chłopak, po czym przedstawił Thorgil i barda.

— Znamy Smoczego Języka. Pojawia się tu od czasu do czasu i nas poucza.

— Szukałem po prostu tego, co zostało skradzione — odparł starzec. — A skoro o tym mowa... W pochodzie zwycięstwa widziałem czwórkę ludzkich dzieci.

— Są z nami od lat — powiedział Whush. — Wcale byś się im nie przysłużył, gdybyś oddał ich ludzkim rodzicom.

— Zapewne masz rację — westchnął bard. — Wolałbym po prostu, żebyście nie porywali dzieci.

— Ich matki były nieostrożne. Bez nas te dzieci by utonęły.

Inni morscy mężowie zaczęli nieśmiało zbliżać się do platformy i przyglądać gościom. Syreny — samce i samice — pływały wokół wędrowców, lecz za każdym razem, gdy Jack zwracał na nie uwagę, czmychały jak spłoszone ryby. Do tej pory nie miał pojęcia, że istnieją syreny samce, ale przecież morscy mężowie musieli się skądś brać.

Podobnie jak syreny kobiety, ich partnerzy byli za młodu znacznie przystojniejsi od dorosłych osobników, choć z wiekiem nie tracili na urodzie aż tak bardzo jak morskie wiedźmy. Morskie żony, poprawił się Jack. Zobaczył też kilka istot, które wyglądały, jakby zatrzymały się w połowie drogi pomiędzy oboma etapami. Włosy im wypadały, a usta rozszerzały w kształt litery „V”.

Syreny mężczyźni bardzo interesowali się Thorgil; podpływali, by jej dotknąć, po czym natychmiast uciekali.

— Jeśli jeszcze raz któryś to zrobi, to go zdziele — rzuciła dziewczyna.

— Nie, nie zdzielisz. Mamy już dość problemów — powstrzymał ją bard.

Syreny interesowały się z kolei Jackiem, ale okazywały to o wiele bardziej powściągliwie. Chłopak czuł się nieswojo, ponieważ wszystkie były nagie od pasa w górę. Na szczęście trzymały się w odpowiedniej odległości.

— Chodź ze mną, ładny chłopczyku! — zawołała jedna z nich.

— Ja go pierwsza zobaczyłam! — obruszyła się inna.

— Ty? On nigdy na ciebie nie spojrzy, ostrygo.

— Spojrzy! A ty masz wodorosty zamiast mózgu!

Syreny zaczęły się spierać, popychać i szczypać, aż jedna z morskich wiedźm musiała podplnąć i rozdzielić konkurentki.

— Panienki! Panienki! Jeśli nie będziecie grzeczne, nie pójdziecie wieczorem na bankiet — rzuciła wiedźma.

Morska żona, pomyślał Jack, który ledwo powstrzymał się przed ucieczką, ponieważ stworzenie było z bliska wyjątkowo odpychające.

Wiedźma wyglądała na o wiele silniejszą od Whusha. Miała szerokie ramiona i wielkie dłonie. Ubrana była w połyskującą suknię koloru wnętrza muszli. Grubą, pokrytą łuskami szyję oplótła sobie sznurami z setek pereł. Wszystko to mocno kontrastowało z jej brzydotą. Jack nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

— Odważny jesteś. Nie każdy patrzyłby na mnie takim rybim wzrokiem — odezwała się wiedźma.

— Ja... podziwiałem twoją suknię — wydukał chłopak.

— Srebrzystousty, jak widzę — pochwaliła. — Będiesz dobrym mężem dla jednej z syren.

— On przybył tu tylko z wizytą, Shair Shair — sprostował bard. — Musisz poszukać kogoś innego.

Shair Shair uśmiechnęła się we właściwy dla morskiego ludu sposób, który zdawał się mówić „jeszcze zobaczymy”. Odkuśtykała. Jak wszystkie morskie wiedźmy poruszała się bez wdzięku. Pod jej piękną, lśniącą suknią Jack zauważył palce u nóg — długie, pokryte łuską, zakończone szponami. Polubił ją mimo tego okropnego wyglądu, podobnie jak polubił trollki — Fonn i Forath — gdy tylko zdołał się do nich przyzwyczaić.

— Najpierw unikali nas jak ognia, a teraz są aż nazbyt przymilni — mruknęła Thorgil, opędzając się ręką od syreny, która próbowała chwycić ją za włosy. — Co to był za potwór? Miała na sobie tyle pereł, że ich ciężar zatopiłby każdą łódź.

— Nie obrażaj jej — rzucił ostro bard. — To Shair Shair, żona Shoneya. Matka draugra.

— Och, do stu pluskiew! — wykrzyknął Jack, używając ulubionego przekleństwa Pegi. — Co będzie, kiedy opowiemy jej o córce?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

UCZTA U SHONEYA

Jack wkrótce odkrył, że w Podmorskiej Krainie nic nie dzieje się szybko. Mieszkańcy morza okazali się mistrzami w przeciąganiu spraw. Wiedzieli, że bard przybył zobaczyć się z ich władcą, ale dotąd nie zrobili nic, co mogłoby to spotkanie przyspieszyć. Shair Shair obejrzała gości i zniknęła. Whush zaprosił ich na wycieczkę po okolicy, ale nie wydawało się, by uczynił to w jakimś konkretnym celu.

— Nie możemy po prostu poprosić Shoneya o audiencję? — spytała Thorgil. Zarówno ona, jak i Jack byli już zmęczeni krążeniem po podwodnym królestwie.

— Nie tak załatwia się tu interesy — odpowiedział starzec.

— Jeśli spróbujemy ich ponaglać, po prostu znikną. Hołdują zasadzie: „Najdłuższa droga jest zazwyczaj najkrótszą”.

— Mam wrażenie, że przebyliśmy już wystarczająco długą — zauważyła dziewczyna.

Whush, z sobie tylko znanych powodów, pokazał im farmy. Oglądali białe krowy, pola jęczmienia i zagrody morskich kur. Cierpliwie wysłuchali wyczerpującego i nadzwyczaj nudnego opisu zbierania wodorostów. Przedstawiono im morskie kozy, inaczej zwane jednorózcami. Były to ładne zwierzęta z długimi rogami i jedwabistą sierścią. Whush powiedział, że z tej sierści można robić ubrania. Zamiast tylnych nóg kozy miały rybie ogony. Potrafiły więc zarówno pływać, jak i skakać, co czyniły z wielkim wdziękiem.

Jednak nawet one zaczęły ich po chwili nużyć. Jack czuł się zmęczony i spragniony. Kiedy znaleźli się nad ciemnym strumieniem, zapytał, czy może się z niego napić.

— Nie z tego strumienia — powiedział Whush. — Ta woda wypływa z *oueemów*. Nie jest dobra.

— Z *oueemów*? — zaciekawiała się Thorgil. — To piktyjskie słowo oznaczające tunel.

— Tak, to tunele umarłych.

Jack spojrzał na drugą stronę strumienia i zrozumiał, że to, co brał dotąd za niewysokie wzgórza, jest w istocie kurhanami. Porośnięte gęstą trawą, która powlekła się już jesienną żółcią, garbiły się jak łaknące pieszczoty kociaki.

— Dokąd prowadzą te tunele? — spytał.

— Przypomnij sobie, co mówiłem o lustrach — powiedział bard. — Morski lud nazywa je nieskończoną wodą. To dlatego, że wedle jego wierzeń zwierciadła stanowią przejścia do innego świata. Umarli przepływają przez nie, trafiając w długie, ciemne *oueemy*, z których wypływają na

jasne morze, gdzie nigdy nie nadchodzi zima, a woda jest równie przejrzysta jak niebo. Właśnie dlatego mieszkańcy morza grzebią swych zmarłych z lustrami.

Załóżę się, że w kurhanie draugra nie ma lusterka — pomyślał Jack. To dlatego zabraliśmy jedno ze sobą. Żałował, że nie mogą po prostu zostawić tu zwierciadła i wrócić do domu, ale to byłoby zbyt proste. Najdłuższa droga okazuje się zwykle najkrótszą.

Na szczęście, Whush zaprowadził ich wkrótce na inną farmę, gdzie poczęstowano ich jadłem i pićm. Woda okazała się słonawa, a placki owsiane miały w sobie wiele wodorostów. Żona farmera — morska wiedźma z głową oblepioną tyłoma małżami, że wydawało się, iż nosi hełm — próbowała zainteresować Jacka jedną ze swych córek.

— Odpocznijcie tu. Bankiet zacznie się późno — powiedział Whush.

Był to pierwszy raz, gdy ktoś otwarcie powiedział, że goście mogą wziąć udział w bankiecie. Morska wiedźma... morska żona — poprawił się Jack — zaprowadziła ich na podwórze. Tam umieszczono im posłania z wodorostów. Były nieprzyjemnie oślizłe, lecz Jack czuł zbyt wielkie zmęczenie, by się tym przejmować.

Kiedy — zupełnie jak szczenięta — obskoczyły go małe syrenki i wyciągnęły z łóżka, zrobiło się już ciemno. Kopuła chmur nad podwórzem lśniła światłem błyskawic. Odległy grzmot świadczył o tym, że na powierzchni szaleje burza.

— Jak tu parno — jęknęła Thorgil, którą także obudziły podskakujące na posłaniu syrenki. — Wszystko bym oddała za kąpiel.

— Możesz popływać w powietrzu — przypomniał Jack i skoczył w górę, gdzie ku uciesze syrenek wykonał malownicze salto.

— To nie to samo. Jest mi gorąco i cała się lepię.

Jack zdał sobie sprawę, że od przybycia do Podmorskiej Krainy nie czuli na skórze najłabszego powiewu. Gęste, duszne powietrze naciskało ze wszystkich stron i chłopak nagle zatęsknił za statkiem, na którym ostry wiatr smagał mu grzbiet.

Bard jeszcze spał. Jack uklęknął, by go zbudzić.

— Co? O co chodzi? — spytał starzec, który ocknął się w jednej chwili.

— Już noc — wyjaśnił Jack. — Chyba powinniśmy przygotować się do bankietu.

— Tak naprawdę nie wiem, jak mielibyśmy się szykować — mruknął bard i z trudem wstał z posłania. — Przekłete wodorosty! Zawsze bolą mnie po nich stawy. — Okrążył podwórze, by rozprostować kości. — Wiele bym dał, by tam nie iść, ale w takim przypadku niczego z Shoneyem nie załatwimy. Jemu zależy na tym, by zademonstrować nam swoje bogactwo i władzę. Kiedy już wpadniemy w odpowiedni zachwyty, poprosi nas o dary. I wtedy zaczniemy się targować.

Pojawiła się wiedźma z dwoma przysadzistymi samcami syren, którzy mieli w rękach pochodnie, i zaprosiła gości na kolację przed wyruszeniem w drogę. Bard wylewnie jej

podziękował. Jack nie do końca rozumiał, po co mają jeść, skoro wybierają się na ucztę.

— To przejaw gościnności — odpowiedział starzec. — Wie, że ludzie nie przepadają za morskim mięsem, a Shoney nie poda niczego innego. Do zjedzenia mają dwanaście wielkich piktyjskich bestii, a bankiet się nie skończy, dopóki mieszkańcy morza nie pochłoną wszystkiego. Będą to popijać piwem z wodorostów. Trzymaj się od niego z daleka. Gdybyś się tego napił, cały jutrzejszy dzień biegałbyś w krzaki. To znaczy gdyby tu rosły jakikolwiek krzaki.

Morska żona zastawiła stół naczyniami, które — co zauważył Jack — wykonane były z kości piktyjskich bestii. Każdy z gości dostał gotowane na twardo jajo mewy i miskę potrawy z małży. Na środku stołu pysznił się pieczony łosoś. Krowie mleko, podawane w wydrążonych zębach wieloryba — miało wyraźny posmak wodorostów.

— To z powodu diety tutejszego bydła — wyjaśniła Thorgil, której nietypowy aromat zupełnie nie przeszkadzał. — W chudych latach Ludzie Północy też karmią swoje krowy wodorostami i mleko smakuje wtedy dokładnie tak samo.

Po kolacji cała mieszkająca na farmie rodzina — co najmniej dwadzieścia osób — wyruszyła w stronę zamku. Pochód otwierali i zamykali mężczyźni syreny z pochodniami. Wszyscy byli bardzo podekscytowani i Jack nie rozumiał ani słowa z rozlegającego się w jego głowie szczebiotu. Niebo świeciło odległymi błyskami, nad horyzontem przetaczały się stłumione grzmoty, ale wciąż nie wiał najłżejszy nawet wiatr. Wiejskie zapachy — siana, gnoju i kurników — unosiły się tuż nad ziemią. Nocą powietrze wydawało się jeszcze gęstsze niż za dnia.

Jacka mdliło od posmaku wodorostowego mleka. Z tęsknotą popatrzył na pokrywą chmur. Gdyby tylko mógł się tam znaleźć i poczuć, jak wiatr smaga mu twarz zimnymi kropelkami wody...

Ścieżka przywiodła ich na drugi brzeg czarnego strumienia. Jack zdał sobie sprawę, że mimo iż wcześniej widział płynącą w nim wodę, nie słyszał żadnego dźwięku. Samej strugi nie było teraz widać, jawiła się jako czarna wstęga. Za nią rozciągała się mroczna kraina kurhanów, które stopiły się w jeden ciemny pejzaż.

Pod nimi ciągnęły się kręte oueemy niczym splątane korzenie w spowitym nocą lesie.

— Patrzcie tylko! — zawołała Thorgil.

Jack obejrzał się i ujrzał zakreślony światłem zarys zamku. Miał wrażenie, że samo powietrze ożyło i zaczęło błyszczeć tysiącami maleńkich iskierek. Światelka otoczyły uczestników przyjęcia, którzy nadciągali ze wszystkich stron. Nawet prądy wodne, wzbudzone przez przechodzących mieszkańców morza, połyskiwały, nim zdążyły rozpląnąć się w morzu.

Światelka oświetliły Jacka i wędrowców. Chłopak próbował zobaczyć, czym są, ale zaledwie udało mu się skupić wzrok na którejś iskierce, ta gasła i zastępowały ją inne.

— Morskie roztocza — wyjaśnił bard. — Wylatują z ukrycia w ciepłe, wilgotne noce, trochę tak jak nasze świetliki. Podejrzewam, że zwabił je zapach piwa z wodorostów. Toną w nim tysiące tych

stworzonek, co jest tylko kolejnym powodem, by tego paskudztwa nie pić.

Wreszcie znaleźli się za zamkowymi murami. Pojawił się Whush, który zaprowadził barda, Jacka i Thorgil do podwyższenia, skąd roztaczał się widok na dziedziniec. Wszędzie płonęły pochodnie, od których powietrze nagrzewało się jeszcze bardziej, przez co coraz trudniej było oddychać. Tłuszcz skapywał z nich jaśniejącymi kroplami. Pod murami stały wiadra piwa z wodorostów i Jack zauważył, że dobywa się z nich delikatny blask topiących się roztoczy. Morscy mężczyźni, morskie żony i obojga płci syreny podpływali do ogromnych pater pełnych pieczonego mięsa bestii, odrywali po kawałku i odpływali. Otyłe morskie wiedźmy poruszały się bardziej ociężale od pozostałych.

Do tej pory Jack myślał o morskim ludzie jako o trochę dziwnych prawie ludziach, podobnie jak dawniej oceniałtrolle. Teraz jednak wydali mu się całkowicie obcy. Wyglądali jak stado krabów rozszarpujące martwą fokę. Na twarzach uczujących nie malowało się żadne uczucie poza głodem. Ich usta brutalnie rozszarpały ciała bestii. Pomiedzy kęsami zanurzali głowy w wiadrach piwa i wsysali napój wraz z roztoczami — bezmyślnie, dziko. Nawet piękne syreny wydawały się w tej chwili wyzute z wszelkiej gracji.

Co by się stało, gdyby kazano mi jedną z nich poślubić? — zastanowił się chłopak. Wiedząc, że moja żona nie jest człowiekiem, musiałbym zamieszkać w tym wilgotnym królestwie pod wodą. Dlatego właśnie ojciec Severus ani przez chwilę nie rozważał takiej możliwości. Jack po raz pierwszy poczuł, że trochę współczuje mnichowi.

— Uważajcie — mruknął bard.

Jack był zbyt pochłonięty rozgrywającą się poniżej sceną, by zwrócić uwagę na to, co znajdowało się na podwyższeniu. Z początku uznał, że widzi stertę kamieni, ale były zbyt jasne i kolorowe.

— Nigdy nie widziałam tylu klejnotów — jęknęła w zachwycie Thorgil. Podobnie jak wszyscy Ludzie Północy darzyła bogactwo wielkim szacunkiem. — Nie znam nawet nazw ich wszystkich.

— Szmaragdy, rubiny, szafiry, diamenty i perły — odpowiedział bard. — Bursztyny, jadeity i turmaliny. Cokolwiek pomyślisz, Shoney to ma. Na morskim dnie można znaleźć wszystko. Złoto i srebrne monety pochodzą z zatopionych statków.

— Myślisz, że zauważyłby... — zaczęła dziewczyna.

— Nawet o tym nie myśl. On dokładnie wie, ile czego ma. Co do sztuki.

Wojowniczkazmarszczyła czoło.

— Jeśli on to zrabował, to inni też mogą.

— Shoney te skarby znalazł — powiedział starzec z naciskiem. — Wszystko, co tonie w morzu, należy do niego, wliczając w to złoty piasek, którym wyłożył posadzkę tam na dole.

I rzeczywiście, syreny nurkujące po kawały mięsa wzbijały w górę złoty pył. Opadał bardzo

szybko, był wyraźnie ciężki.

— Po co on pokazuje nam to wszystko? — spytała Thorgil.

— Po to, byście zaczęli tych bogactw pożądać i byście zrozumieli, że są poza waszym zasięgiem — rozległ się nagle czyjś głos.

Na podwyższeniu zmaterializowała się wysoka, mroczna postać. Ubrana w lśniące srebro, na którym igrało światło pochodni, odrzuciła kaptur z głowy.

— Shoney! — zawołał serdecznie bard. — Jak miło cię widzieć!

Shoney przyjrzał się starcowi wąskimi, żółtymi oczyma, które niepokojąco przypominały ślepią węża. Był bardziej rostry i starszy od wszystkich morskich mężów, których dotąd widział Jack.

— Żadna z twoich wizyt nie kończy się przyjemnie — odparł władca, po czym skinął ręką.

Na podwyższenie podплыły syreny. Każda trzymała w dłoni krzesło z ciemnego, inkrustowanego prawdziwą kością słoniową drewna. Thorgil, zanim usiadła, przeciągnęła palcem po pokrywających je pięknych wzorach.

— Pożądasz mych krzesel, córo miecza? — spytał Shoney.

Jack poczuł się nieswojo. Skąd ta istota wiedziała, że Thorgil jest wojowniczką?

— Tak! — przyznała entuzjastycznie Thorgil. — Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego.

— Wykonano je w krainie dalekiego południa, gdzie nawet morze jest ciepłe. Wiózł je szybki i silny statek. Na dziobie miał wymalowane oczy, które pomagały mu odnajdywać drogę, ale nawet one nie zauważyły skał, na których się rozbił. Czy naprawdę ich pragniesz, wojowniczko?

— Oczywiście! Mogę ci też powiedzieć, że bardzo bym chciała zrabować to złoto i klejnoty, które się tu walają. Nie pamiętam już, kiedy byłam równie zazdrosna o czyjś skarb.

— Aaach — westchnął przeciągle Shoney i przymknął powieki. — To właśnie lubię w Ludziach Północy. Zawsze można liczyć na ich serdeczną zazdrość. Są zupełnie inni od ciebie, Smoczy Języku. Ty nie dbasz o ziemskie dobra.

— To nieprawda — odparł bard. — Kocham piękne rzeczy, a te krzesła są z pewnością piękne. Chętnie ujrzałbym je w swoim domu.

— Bzdura! Równie szczęśliwy siadałbyś na kawałku wyrzuconego przez fale drewna. A ty, młody uczniu? — Shoney spojrzał na Jacka.

Chłopak znów poczuł się nieswojo. Stworzenie wiedziało o nim stanowczo za wiele.

— Cóż... Lubię srebro — odpowiedział, starając się wymyślić coś, co zabrzmiałoby wystarczająco chciwie. — Nie mam wielu doświadczeń z klejnotami i nie nauczyłem się ich pragnąć. Choć twoje szlachetne kamienie są wprost cudowne. Miałem kiedyś dużo srebra, ale większość oddałem rodzicom.

— Oddałeś rodzicom!!! — zakrzyknął Shoney, niemal mroząc krew w żyłach Jacka. — Zepsuleś tego chłopca moralnością, Smoczy Języku. — Wstał, jakby zamierzał odejść.

— Mój ojciec serca, Olaf Jednobrewy, był jednym z najbardziej chciwych ludzi w Midgardzie — oświadczyła nagle Thorgil. — Czy mam ci opowiedzieć o tym, jak dokopał się do kuźni krasnoludów, z której skradł trzydzieści siedem złotych pierścieni?

Shoney usiadł.

— Często tęskniłem za krasnoludzkimi błyskotkami. Niestety, jestem uwiązany do morza. Opowiedz mi o tym, wojowniczo.

Dziewczyna zaczęła snuć historie dowodzące sprytu i chciwości Olafa. Rozpoczęła od trzydziestu siedmiu pierścieni, po czym przypomniała, jak Olaf zrabował cały transport wina przeznaczony dla króla Franków. Opowiedziała też o tym, jak podstępem, używając obciążonych kości do gry, odebrał pewnemu trollowi wysadzany klejnotami kielich, i o ucieczce z berłem Królowej Gór, która jednak odzyskała potem swą własność.

Słyszając o każdym z wyczynów Jednobrewego, Shoney wzdychał z rozkoszą.

— Wydaje się, że to człowiek wart poznania. Mam nadzieję, że spotkam go kiedyś w pałacu Ran i Aegira.

— On zamieszkał już w Valhalli — powiedziała Thorgil.

Jack był przekonany, że dziewczyna większość z tych opowieści zmyśliła, choć całkowitej pewności nie miał. Olaf chętnie rabował, cokolwiek wpadło mu w ręce, jednakowoż wolał się przy tym posługiwać czystą siłą niż sprytem i przebiegłością. A Thorgil opowiadała znakomicie.

Shoney kazał sobie przynieść wiadro piwa z wodorostów i upił z niego potężny haust.

— Spodobałaś mi się, córo miecza. Poproś o któryś z mych skarbów, a dostaniesz go.

— Tak naprawdę prośbę do ciebie ma bard — odparła — a moim życzeniem jest, byś ją spełnił.

— Do diaska! Znów ta irytująca moralność — burknął Shoney. — Dobrze, Smoczy Języku, ale jeśli chcesz mnie prosić o zwrot ludzkich dzieci, odpowiedź brzmi „nie”.

— Chciałem porozmawiać o czymś dalece poważniejszym — przyznał starzec. — Najpierw jednak pokażę ci podarki, które ze sobą przywieźliśmy. Thorgil, odwiń lustro i grzebień.

— Słyszałem o nich — powiedział Shoney, w którego oczach zabłysło pożądanie.

Wojownicza zaprezentowała najpierw przepięknej roboty zwierciadło. Morski władca przyglądał się darowi, nie kryjąc zachwyty. Wreszcie oderwał oczy od lustra i przysłonił je szmatką.

— Dość! Gdybym patrzył w nie chwilę dłużej, odpłynąłbym do innego świata. Żałuję, że moja córka nie ma takiej bramy.

Jack nie śmiał rzucić okiem na barda. Shoney był bardzo inteligentny i mógł odgadnąć jego myśli. Thorgil wyciągnęła grzebień.

— Rogi jelenia siedmiolatka i kły morsów — poznał Shoney. — Mistrzowskie rzeźbienia, a te kolory nie wyblakną przez tysiąc lat. Ten grzebień wykonał bibliotekarz ze Świętej Wyspy.

— Znasz go? — spytał zdumiony Jack.

— Miałem powód, by obserwować pewnego mnicha ze Świętej Wyspy. Miałem nadzieję, że zechce popływać w morzu, lecz ani razu tego nie zrobił.

Chłopakowi zrobiło się zimno. Shoney z pewnością mówił o ojcu Severusie, który szczęśliwie dla siebie uważał morskie kąpiele za grzeszny zbytek i nigdy się im nie oddawał.

— Za to mały bibliotekarz często pływał — przypomniał sobie Shoney.

— Nazywa się Aiden — podsunął Jack.

— Aiden. To dobre imię. W mowie Piktów oznacza „cis”. Po sposobie, w jaki poruszał się w wodzie, poznałem, że w jego żyłach płynie krew morskiego ludu. Pewnego razu wypuścił się za daleko od brzegu i był zbyt zmęczony, by wrócić. Podtrzymałem go, żeby nie utonął. Sam nie wiem, czemu to zrobiłem.

— To był dobry uczynek — powiedział bard.

Shoney rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Uczyniłem to dla własnej przyjemności. Lubilem oglądać obrazy, które Aiden malował nad wodą. Nie robił tego żaden inny mnich. Zawsze używał barw tak wspaniałych jak kolory moich klejnotów.

— Piwo też warzy niegorsze. — Starzec odwinął swoją paczuszkę.

— To chyba nie jest... to nie może być... Piwo z wrzосу?!

— Nie inaczej. — Bard podał Shoneyowi ciężki bukłak.

Shoney podniósł się i natychmiast podpłynęły dwie syreny.

— Wezwijcie Shair Shair. Powiedzcie jej, że mamy rzadki smakołyk. Niech się pospieszy. — Ledwo mógł się powstrzymać.

Po chwili Shair Shair przemknęła przez dziedziniec i jednym potężnym skokiem znalazła się na podwyższeniu. Patrzyła dziko, jak wilczyca, której przerwano łowy. Jej szatę oblepiały kawałki mięsa. Drżała na całym ciele.

— Lepiej, żeby to było coś dobrego — odezwała się gniewnie.

— Piwo z wrzосу — odparł Shoney i podniósł bukłak.

Wiedźma natychmiast wyciągnęła ręce, gaworząc przy tym i sapiąc. Małżonek nalał piwa prosto w jej usta, a potem sam skosztował napoju. Oboje zupełnie zapomnieli, że znajdują się w towarzystwie. Krążyli jedno wokół drugiego, wydając z siebie dzikie okrzyki. Podskakiwali jak jednorożce, częstując się napojem lub drażniąc się trzymanym nad głową bukłakiem.

Thorgil odwróciła się plecami do tej sceny i usiadła na krawędzi podwyższenia, machając nogami.

— Nie wiem jak dla was, ale dla mnie to żenujący widok.

Bard i Jack usiedli obok dziewczyny.

— To naprawdę dobre piwo — przyznał bard. Kiedy wreszcie obejrzeni się za siebie, królewskiej pary już nie było, a na jej miejscu pojawił się Whush.

— Shoney postanowił, że otrzymacie najlepszą sypialnię w całym zamku — powiedział. — Poprosił mnie, bym ugościł was ludzkim pożywieniem i spełnił każdą z zachcianek. Waszej prośby wysłucha jutrzejszego ranka.

Z wdzięcznością podążyli za morskim mężem, przeszli przez wrota i ruszyli dalej, krętym korytarzem. Trafili do przestronnej, okrągłej sali z kopulastym sufitem, gładkim i różowym jak wnętrze muszli. Komnatę oświetlały lampy wykonane z kruchej, przejrzystej substancji, która rzuciła łagodne i zupełnie przy tym zimne światło. Whush przyniósł im tacę z pieczonym węgorzem, smażonymi ostrygami i małżami. Do picia dostali — pochodzący niewątpliwie z zatopionego wraku — antałek słodkiej wody.

— A jednak można tutaj dobrze zjeść — zauważył Jack i wgryzł się w węgorza.

— Owszem, ale łóżka i tak mają tylko z wodorostów — mruknął niezadowolony bard.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

GROBOWIEC DRAUGRA

Mimo iż noc spędzili na wilgotnych, zbyt miękkich posłaniach z wodorostów, wszyscy wyspali się znakomicie i obudzili odświeżeni. Wkrótce pojawił się Whush z miskami marżowej zupy i żeglarskimi sucharami; były suche i twarde — takie, jakie marynarze zabierali w długie rejsy. Sam Whush wyglądał na skacowanego.

Musieli moczyć suchary w zupie, żeby móc zatopić w nich zęby.

— Jak myślicie, skąd oni je wzięli? — spytał Jack, przeżuując z trudem. — Przecież gdyby pochodziły z zatopionego statku, rozmiękłyby zupełnie.

— Dorośli mieszkańcy morza mogą z niego wychodzić, choć bardzo tego nie lubią i nigdy zbyt nie oddalają — odpowiedział bard. — Czasami mszczą się na ludziach, którzy łowią ryby w części oceanu, którą morski lud uważa za swoją. Odcinają haczyki od wędek, dziurawią rybackie sieci. Kradną też jedzenie dla wychowywanych przez siebie ludzkich dzieci. Mały człowiek nie przetrwa tutaj bez pożywienia z ładu.

Po śniadaniu Whush poprowadził ich krętymi korytarzami do komnaty, w której przyjmował audiencje Shoney. Po drodze Jack słyszał, jak ich przewodnik mamroce pod nosem „Och... au... och”. Głowa musiała go boleć potwornie. Co chwilę mijali leżących na posadzce mieszkańców morza.

— To przez to piwo — rzucił bard, trącając jednego laską. — Nie potrafią przestać pić w porę.

— Czy Shoney też będzie... — zaczął Jack.

— On sobie nie pozwala na pijaństwo. Szkoda, bo wtedy poszłoby nam łatwiej. Rozmowę poprowadzę ja. Zapewne wpadnie we wściekłość, kiedy pozna przyczynę naszej wizyty.

Komnata pełna była kufrów, z których wysypywały się monety i drogocenne kamienie. Wszędzie dokoła walały się najrozmaitsze skarby — posagi, meble, kielichy, chrześcijańskie krzyże, wazy, na których wymalowano kwiaty, i bele połyskliwych tkanin. Thorgil dotknęła jednej z nich i na jej palce posypał się złoty pył.

Jeden z posągów przedstawiał mężczyznę o głowie psa z długim pyskiem. Inna rzeźba ukazywała stojącego na jednej nodze tancerza, który rozpościerał wokół siebie cztery ramiona.

— Naprawdę istnieją tacy ludzie? — spytał barda szeptem Jack.

— Nigdy nie byłem tego pewien — odezwał się Shoney. Siedział na tronie, otoczony skarbami, tak że niemal nie było go zza nich wydać. — Na własne oczy ich nie widziałem, ale moja znajomość świata kończy się na plażach.

Jackowi wszystkie te kosztowności bardzo by się podobały, gdyby mógł obejrzeć każdy przedmiot z osobna, ale w takiej masie przestawały kusić. Sala przypominała mu piwniczkę wodza, w której piętrzyły się kosze jabłek, rzepy i cebuli, przetykane drewnem na opał i beczkami cydru.

— Przychodzę w poważnej sprawie — powiedział bard.

— Jak zawsze. O co chodzi tym razem? — odparł Shoney niezbyt zaskoczonym tonem.

— Chcę porozmawiać o twojej córce.

Shoney wyprostował się na tronie gwałtownie, jakby ktoś ugodził go nożem.

— Jakim prawem pytasz o moje dziecko?! To przez was została zabita, to twoi pobratymcy skazali jej ducha na wieczną wędrówkę!

— Wiem, dlatego tu jestem.

— Polowałem na jej zabójcę. Obserwowałem Świętą Wyspę i ani razu nie pojawił się w moim zasięgu. Po zniszczeniu wyspy świętowałem, lecz nie znalazłem jego ciała pośród tych, które wpadły do mojego królestwa. Szukałem ojca Severusa przez wiele długich lat. Czy przychodzisz, by wydać go w moje ręce?

— Tego zrobić nie mogę. Wysłuchaj mnie. — Bard uniósł laskę w kierunku Shoneya.

Jack po raz pierwszy od przybycia do Podmorskiej Krainy poczuł wiatr, który przedarł się przez drzwi i podniósł zasłonę migocącego złotego pyłu, poderwanego ze zgromadzonych w komnacie skarbów. Drobiniki posypały się pod ścianę, gdzie utworzyły lśniący kopczyk. Po chwili powiew zamarł.

— Sprawa trafiła przed rady dziewięciu światów. Dałem słowo, że uwolnię duszę twojej córki. — Bard opowiedział wszystko, co wydarzyło się w wiosce. — Wiedziona gniewem i smutkiem, zabijała niewinne istoty. Z tego powodu straciła prawo do życia ojca Severusa.

Shoney ryknął jak wściekły byk. Ziemia zadrżała. Wazy i kielichy zagrzechotały. Do komnaty wpadło kilku morskich mężów.

— Gniewem się swemu dziecku nie przysłużysz — odezwał się starzec wśród strasznej ciszy. — Jeśli naprawdę ci na niej zależy, wysłuchaj mnie.

— Odejdźcie, wszyscy! — rzucił Shoney do swych ludzi. — Ale nie daleko! Mogę was potrzebować, byście cisnęli tych ludzi do jamy wielkiego węgorza.

— Groźbami też nic nie wskórasz — powiedział spokojnie bard. — Shoneyu, spodziewałem się po tobie nieco więcej rozsądku. Za stary jesteś, by tak się złościć.

Jack pomyślał, że tym razem bard posunął się za daleko. Shoney uniósł drogocenny kielich, jakby chciał go rozbić na czyjejs głowie. Po chwili jednak opuścił ramię.

— Od razu lepiej — stwierdził starzec takim tonem, jakby pouczał nieposłuszne dziecko. — Jeśli twoja córka znów zacznie zabijać, jej duch nigdy już nie zazna spokoju. Jak wszystkie hobguny będzie uwięziona w nieskończonym kręgu zniszczenia i śmierci. I wreszcie, także jak one,

zostanie wyrzucona poza strumień życia.

Shoney cicho jęknął.

— Grzebień i zwierciadło, które ci przywiozłem, winny trafić do jej grobu. Wiem, że to tradycyjne podarki, z jakimi chowa się syreny i morskie żony.

— Shellia. Ona miała na imię Shellia. — Władca podmorskiej krainy przygarbił się i ukrył twarz w dłoniach.

— O zmroku zabierzesz mnie do jej grobowca — polecił bard — i pozwolisz mi złożyć w nim te dary. Wtedy będziemy mogli przyzwać Shellię i odesłać ją ku dalszemu morzu.

Shoney siedział pochylony przez długą chwilę. Milczał.

— Gdy widziałem ją po raz ostatni, wyglądała tak ślicznie — odezwał się wreszcie. — Była taka młoda i szczęśliwa. To delfiny przyniosły jej kości do Podmorskiej Krainy. Były daleko od niej w chwili, kiedy tonęła, gdyż inaczej zdołałyby ją ocalić. Wiedziały jednak, co ją spotkało i kto jest za to odpowiedzialny. Zabiorę z nami Shair Shair, choć to złamie jej serce.

Wyruszyli, gdy tylko zapadła noc. Procesji morskich mężów z pochodniami przewodził Whush. Shoney i Shair Shair szli z tyłu. W środku maszerowała Thorgil, niosąc zwierciadło i grzebień, a towarzyszyli jej Jack z Nadobną Płaczką i bard. Nikt nie wspominał słowem o celu wędrówki, choć morscy mężowie i żony oraz syreny — samce i samice — wychodzili z domów, by złożyć hołd królewskiej parze. Ale i oni wyczuwali, że nie jest to radosny pochód. Nie odzywał się nikt.

Dotarli wreszcie nad czarny strumień, który teraz wyglądał jak mroczna rana oddzielająca Podmorską Krainę od dziedziny umarłych. Jack czuł, że płynąca strugą woda jest bardzo zimna. Za nic nie chciał jej dotknąć. Znaleźli mostek i przeszli na wijącą się pomiędzy kurhanami ścieżkę, aż wreszcie dotarli do samej granicy Podmorskiej Krainy.

Otoczyła ich, niczym mur, nieprzebyta mgła. Pochodnie pozwalały widzieć tylko niewielki krąg terenu dokoła. W tym świetle chłopak zobaczył grobowiec zupełnie różniący się od innych. Nie został usypany z ziemi, lecz wzniesiony z kamieni dopasowanych do siebie tak przemyślnie, że przypominały zamrożoną tuż przed upadkiem falę. Pośrodku były drzwi zapieczętowane kamiennymi płytami.

— To grobowiec Shellii — powiedział Shoney.

Jego żona słabo jęknęła i padła na ziemię. Na pomoc królowej ruszyło kilku morskich mężów. Władca nawet nie drgnął.

Bard odebrał od Thorgil zwierciadło i grzebień.

— Przypominam ci, Shoneyu, obietnicę, jaką nam złożyłeś, zanim weszliśmy do Podmorskiej Krainy — powiedział. — Kiedy Shellia odnajdzie już spokój, pozwolisz nam bezpiecznie wrócić do domu.

— Jeśli tylko uda wam się przywrócić spokój mojej córce, będziecie mogli odejść — potwierdził

Shoney.

Jackowi nie spodobała się pobrzmiewająca w tej odpowiedzi groźba, ale starzec wziął ją za dobrą monetę. Wniósł do grobowca dary, oświetlając sobie drogę słabą poświatą rzucaną przez laskę. Chłopak widział cienie poruszające się w rytm kroków barda.

— Piękny jest ten grób — przyznał bard, wychodząc. — Wryłeś na jego ścianach dzieje swojej córki, wypełniłeś go jej zabawkami, ale lustro, które jej podarowałeś, było stłuczone.

— Wiem. Nie chciała spocząć, póki nie otrzyma życia za życie.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie — powiedział starzec. — Jack, podaj mi Nadobną Płaczkę.

Chłopak szybko odpakował dzwon z zawiniątka. Bard wyciągnął ze swego worka kawałek żelaza i zawiesił je na nici wewnątrz Płaczki.

— A więc to jest Nadobna Płaczka — odezwał się Shoney. — Jej głos od dawna przyzywał moich pobratymców. Powinienem jej nienawidzić, lecz jest na to zbyt piękna. Powinienem pragnąć dołączyć ją do reszty moich skarbów, ale gdy patrzę na ten dzwon, chciwość zamiera. To chyba jakaś choroba.

— Nic ci nie dolega — powiedział starzec. — Nadobna Płaczka wyrasta ponad ziemskie sprawy.

— Skąd wzięłeś serce? — spytał Jack.

— Ja je znalazłam — rzuciła Thorgil. — Odwiedziłam kolejno wszystkich kowali w Bebb'a's Town, aż znalazłam tego, z którym dobiła targu Ythla. Miał sześć lub siedem podobnych kawałków żelaza, ale tylko na tym wciąż było widać ślady rzeźbionych łusek.

Jack poczuł żal. Wcześniej serce było takim wspaniałym dziełem sztuki.

— Powinieneś zająć się swoją żoną, Shoneyu — poradził bard. — Widok draugra może ją wytrącić z równowagi.

Starzec zakołysał dzwonem. Chłopak przyglądał się temu z lękiem i wyczekiwaniem. Pamiętał złotą nutę toczącą się przez leszczynowy zagajnik i zachwyty, który go wtedy ogarnął. Był to najpiękniejszy, najbardziej delikatny dźwięk, jaki słyszał w życiu, a mimo to również najbardziej przerażający — brzmiał zbyt intensywnie, zbyt żywo i nadto przejmująco.

Nadobna Płaczka zadzwoniła.

Jej brzmienie było... ładne. Więcej niż ładne — powtórzył Jack w myślach, bardzo chcąc w to uwierzyć. Bard zmarszczył brwi i raz jeszcze zakołysał dzwonem.

Shoney pochylił się i przyjrzał Nadobnej Płaczce.

— Czy to właśnie ta muzyka przyzywała z morza moją córkę? — spytał. — Spodziewałem się czegoś wspanialszego.

Starzec niecierpliwie zadzwonił kolejny raz i teraz Jack usłyszał blaszaną nutę, która przypominała nieco brzęk kamyka toczącego się po dnie miedzianego kociołka.

— Jestem pewna, że znalazłam właściwego kowala — rzuciła Thorgil natychmiast. — Nikt inny nie miał kawałka żelaza z łuskami.

Bard odstawił Nadobną Płaczkę na ziemię i wsparł się ciężko na swej lasce, jakby nagle ogarnęło go ogromne znużenie.

— Nie wątpię, moje dziecko. To nie twoja wina. Po prostu magia serca tkwiła w jego kształcie i teraz zniknęła.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś w stanie przyzwać mojej córki? — spytał ostro Shoney. — Cierpieliśmy na darmo?

— Wierz mi, zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, by uratować wasze dziecko. Przysięgłem, że to uczynię. I zrobię to, tylko nie wiem jak. — Starzec podkuśtykał do skały i usiadł.

— Dokąd mam się najpierw udać? Wrócić do wioski? Czy może czekać, aż Shellia pojawi się z własnej woli i znów zacznie mordować? Wtedy już będzie za późno.

Jack odwrócił dzwon i wyjął z niego serce. Rzeczywiście, na jednym boku zniekształconego kawałka żelaza widniały niewyraźne łuski, ale całość została zbita młotem tak bardzo, że niemal nie można było jej rozpoznać. Nagle doznał wrażenia, że coś sobie przypomina, coś ważnego, lecz nie był w stanie uchwycić tej myśli. Za każdym razem mu się wymykała jak uciekająca w głębinę morza ryba.

Ryba? Dlaczego akurat ryba? Oczywiście! Serce dzwonu miało dawniej taki właśnie kształt. Wyrzeźbiono je na podobieństwo Łososia Wiedzy, który znał szlaki wiodące z tego świata do następnego. I wtedy Jack zrozumiał.

— Twój flet, panie — odezwał się. — Flet Amergina ma właściwy kształt.

— Masz rację — mruknął bard. — Wykonała go ta sama ręka. — Starzec szybko odszukał instrument i zamocował go do dzwonu.

Wystarczyło jedno uderzenie i wszyscy poznali prawdziwy dźwięk Nadobnej Płaczki. Morscy mężowie padli na kolana. Shair Shair osunęła się w ramiona małżonka. Thorgil chwyciła Jacka, jakby znajdowali się na rozkołysanym pokładzie pośród sztormu. Nuta ciągnęła się dalej i dalej, z wolna cichnąc, pobrzmiwając słodko, aż wreszcie wydawało się, że to niemożliwe, by jeden dźwięk niósł się aż tak długo. Wreszcie dzwon umilkł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ŻYCIE ZA ŻYCIE

Przedtem nie rozumiałem tęsknoty swej córki — powiedział Shoney. — A teraz chcę czegoś i nie wiem czego. Złoto, klejnoty, wszystkie zgromadzone przeze mnie bogactwa wydają mi się niczym. Wiem, że strawiłem życie na bezowocnej gonitwie za przyjemnościami. Ten dzwon jest okrutny, ale również piękny ponad wszelkie wyobrażenie.

Bard znów zadzwonił Nadobną Płaczką i odczekał. Kiedy już zaczęła narastać wokół cisza, Jack wyteżył słuch, spodziewając się usłyszeć wszystkie te dźwięki, które na lądzie słychać było zawsze, nawet w najciemniejsze noce — świerszcze i żaby, szczekanie psów, kroki przemykającego lisa, wzdychające na wietrze listowie. Tutaj słychać było tylko szelest płonących pochodni. Podmorska Kraina to takie melancholijne miejsce — pomyślał — pozbawione zwykłej krzątaniny życia. Milczały nawet syreny, które podobno potrafiły wabić nieostrożnych żeglarzy pięknymi głosami. Ucichło wszystko, oprócz...

Jack usłyszał płaczącą w oddali kobietę. Szloch trwał i trwał, wyrażając nieskończony smutek. Dźwięk zbliżał się stopniowo, podobnie jak obrzydliwy smród. Powiało zimnem. Ciemność pomiędzy kurhanami zgęstniała, urosła, stała się o wiele straszniejsza. Z ziemi podniosła się mgła.

— Kto mnie wzywa? — rozległ się nabrzmiały śmiertelny głos.

— Och, Shellio — jęknęła Shair Shair. — Co się z tobą stało?

— Kochałam głęboko, gorzki był mój los. Zostawiono mnie na pewną zgubę i nie spocznę, póki za swe życie nie otrzymam innego.

— Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać — odezwał się bard. — Zgadzam się, że Severus zasługuje na karę, ale on nie jest zły, tylko raczej głupi. Ty także nie byłaś niewiniątkiem. Nie możesz prosić o życie.

— Nie zgadzam się — rzucił Shoney. — Zwab go na morski brzeg i wtedy zobaczymy.

— Nie, nie, nie! — odparł niecierpliwie starzec. — Nie możesz się mścić i powiększać liczby ofiar, bo szereg domagających się sprawiedliwości dusz nigdy nie znajdzie końca. Severus nie zasługuje na śmierć.

— Kochałam głęboko, gorzki był mój los. Płyłęm za jego łodzią, aż pochłonęły mnie fale. Nie spocznę, póki za swe życie nie otrzymam innego.

— Widzicie? To właśnie spotyka nieukojone duchy — wyjaśnił bard. — Są w stanie myśleć tylko o jednym i niełatwo sprowadzić ich umysł na inną drogę. Shellio, wierz mi, Severus zapłaci za to, co ci uczynił, ale im dłużej pozostaniesz w tym świecie, tym większą będziesz czuć żądzę

zabijania. Już wkrótce nie będziemy mogli cię powstrzymać.

— Jego śmierć mi się należy. Wezmę go w ramiona i razem popłyniemy na dalsze morze, które nie zna zimy.

— On nie jest tego wart — przerwał córce Shoney. — To zasuszony stary grzyb i będziesz z nim tak nieszczęśliwa w przyszłym życiu, jak byłaś w tym.

— Ojciec — westchnął draugr. W głosie zjawy nie było już słycać okrucieństwa i pomruków pękających skał.

— Shellio — zapłakała Shair Shair. — W twym grobowcu czeka nowe zwierciadło, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. Pomoże ci w twojej długiej podróży. I jest też grzebień, byś mogła czesać swe piękne włosy.

Draugr spojrział na matkę i ciemność skurczyła się, przybierając kształt młodej kobiety.

— Nie mogę odejść, póki za życie nie otrzymam życia. Kochałam głęboko, gorzki był mój...

— Popadasz w niebezpieczną rutynę — rzucił bard. — Jeśli dalej będziesz zabijać, nie odejdziesz z tego świata. Staniesz się hobgunem.

— Już zabijałam.

— Co takiego?! — wykrzyknął starzec. — Nie dość, że jesteś zepsuta i egoistyczna, to jeszcze brak ci rozumu? I nie chcę już słyszeć ani słowa o głębokiej miłości. Zobaczyłaś coś, czego zapragnęłaś, lecz nie udało ci się tego zdobyć. Och, zaraz się rozplaczę! Przecież nie zawsze można mieć to, czego się chce!

Jack był wstrząśnięty. Shoney i Shair Shair wyglądali na bardzo niezadowolonych. To właśnie musiał być jeden ze słynnych wybuchów Smoczego Języka, wobec których kapitulowali nawet królowie Ludzi Północy. Chłopak przestraszył się, że draugr znów urośnie do swego groźnego kształtu, ale nic takiego się nie stało. Odnosił nawet wrażenie, że zjawa znów nieco zmaląła.

— Powiedziałaś, że wezwiesz mnie uderzeniem dzwonu. Czekałam bardzo długo — rzekł draugr posepnie. — Nie powinieneś składać obietnic, których nie możesz dotrzymać.

— Wiem, przepraszam cię za to. Wypadki wymknęły mi się spod kontroli — przyznał bard.

— Dzwon się odezwał i przyszedłam za jego głosem przez ziemię. Po chwili znalazłam się w chlewie, w którym cuchnęło bardziej niż w brzuchu gnijącego wieloryba. Był tam pewien człowiek.

— Brat pani Tanner! — zawołała Thorgil. — Na pewno znalazła jego chatę.

— Zapytałam go, gdzie jest Severus, ale nie odpowiedział. Skulił się przede mną. Odetchnęłam w jego twarz i wróciłam do ziemi.

— Czy to mogło... go zabić? — spytał Jack łamiącym się głosem, myśląc jednocześnie, że nie byłaby to wielka strata.

— Gorzej — jęknął bard. — Oddech draugra zawiera lotne jady. Zaraziła go śmiertelną chorobą, ale na tym nie koniec. Zachorują też wszyscy, którzy się z nim zetknęli.

— Chciałam odnaleźć brata pani Tanner, kiedy szukałam serca dzwonu — powiedziała Thorgil.
— Ale jego lepianka stanęła w nocy w płomieniach i spłonęła na popiół. Potem nikt go już nie widział. Możliwe, że zmarł, zanim zdołał kogokolwiek zarazić.

— Na Freyę, mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedział starzec.

Niebo nad ich głowami nieznacznie pojaśniało. Nie pokrywała go już martwa czerń, tylko głęboka szarzyzna. Na łądzie taka zmiana przyniosłaby ze sobą śpiew ptaków i wiatr. Tutaj nadchodzącemu dniu nie wtórowało nic. Powietrze było równie nieruchome i zatęchłe jak przedtem.

— Shellio, musisz wejść do grobowca, zanim wzejdzie słońce — powiedział łagodnie bard. — Nie lękaj się. Przypomnij sobie jasne morza swej młodości, dźwięk fal i ptaki wykrzykujące twe imię. Znów odnajdziesz tamtą radość, ale tylko pod warunkiem, że opuścisz ten świat.

— Kochamy cię, córko — powiedzieli Shoney i Shair Shair. Wyciągnęli ramiona, lecz nie śmieli tknąć ciemności, w którą zamieniło się ich dziecko.

— Nie! Nie odejdę! Dlaczego miałabym to zrobić?! — zawołała zjawa. — Kochałam głęboko. Gorzki był mój los. Wrócę do wioski i rozpętam taką zarazę, że ludzie będą ją wspominać przez tysiąc lat!

— Rozkazuję ci! Na korzeń, na kamień i na morze! Wejź do grobowca! — ryknął bard, unosząc łaskę.

Draugr wybuchnął śmiechem i zaczął znikać.

— Nie powstrzymasz mnie! — zazgrzytał.

Starzec poderwał z ziemi Nadobną Płaczkę i uderzył w nią z taką mocą, że zjawa powróciła wbrew własnej woli.

— Ha! A jednak cię powstrzymam — rzucił bard. Uderzył w dzwon raz jeszcze, delikatniej. Jack miał wrażenie, że słyszy pierwszy dźwięk, jaki dotarł do jego uszu w tym życiu — głos matki, babki, akuszerki, która wzięła go w ramiona, gdy przyszedł na świat? Kimkolwiek była ta osoba, jej głos był nieskończenie łagodny i budzący szacunek. Chłopakowi nawet przez myśl by nie przeszło odtrącić tak cudną miłość.

— Wciąż należy mi się życie za życie — westchnął draugr.

— I dostaniesz je.

Bard z Nadobną Płaczką w rękach ruszył w kierunku grobowca. Zjawa podążyła za nim. Była ledwo widzialna. Nie wyglądała już jak czarna plama w łonie nocy, przeobraziła się w młodą kobietę.

— Nie możesz tam wejść! — krzyknął Jack, który zrozumiał, co się dzieje.

Starzec odwrócił się i uśmiechnął.

— Przypomnij sobie historię Beowulfa, chłopcze. Kiedy walczył ze smokiem, dobrze wiedział,

że zginie. A jednak od tego pojedynku zależał los wielu ludzi i wojownik pogodził się ze swym przeznaczeniem. Życie jednego starca to niewielka cena za powstrzymanie zarazy.

— Śmierć godna Valhalli — szepnęła Thorgil.

— Skończ z tymi swoim północnymi bzdurami! — krzyknął na nią chłopak. — Panie, draugr nie zasługuje na litość. To samolubna dziewczucha! Sam to powiedziałeś! Nie puszcze cię!

Bard znów uderzył w Nadobną Płaczkę. Rozległ się ten sam łagodny, budzący szacunek głos i Jack zamarł.

— Nie puszcze cię — powtórzył słabo.

— Jestem z ciebie dumny, chłopcze. Nigdy o tym nie zapomnij. Nie wolno jednak brać się za bary z Przeznaczeniem — stwierdził starzec. — Shoneyu, pamiętaj o swej obietnicy. Tych dwoje odejdzie wolno z Podmorskiej Krainy.

— Pamiętam — przytaknął król.

— Thorgil, obarczę cię jednym obowiązkiem. Uratuj moją córkę. Jacka nie muszę o to prosić, bo on i tak to zrobi.

— Przysięgam ci — powiedziała blada jak śmierć wojowniczką.

— A teraz muszę iść, zanim w zewnętrznym świecie nastanie świt. Chodź, Shellio. Czeka nas wiele pracy. — Starzec po raz ostatni uderzył w dzwon i zniknął w czeluści grobowca.

Młoda syrena posłusznie ruszyła za nim.

Mgnienie potem Shoney kazał swym ludziom przytrzymać Jacka i Thorgil i zapieczętować wejście do krypty.

— Nie wolno ci tego zrobić! — zawołał Jack, szarpiąc się w uścisku morskich mężów. — Bard nie zasługuje na śmierć! Rady dziewięciu światów pociągną cię za to do odpowiedzialności!

— Do niczego takiego nie dojdzie. Smoczy Język wszedł tam z własnej woli — odparł Shoney.

— Shair Shair, ty przecież rozumiesz, że to nie powinno się zakończyć w taki sposób — jęknął chłopak.

— Kochała głęboko. Gorzki był jej los. Nie mogła zaznać spokoju, póki nie otrzymała życia za życie — odpowiedziała morską wiedźmą i Jack po raz kolejny ujrzał w niej pozbawione uczuć dzikie stworzenie, jak te, które karmiły się podczas uczty. W niczym nie przypominała człowieka. Los barda nie obchodził jej bardziej niż życie ryby, na którą miała chętkę.

Grobowiec został dokładnie zapieczętowany i procesja ruszyła w drogę powrotną. Jack i Thorgil opierali się morskim mężom, ale niczego nie wskórali. Związano ich, odniesiono na pałacowy dziedziniec i wsadzono do łódki. Whush stanął przed królem, czekając na rozkazy.

— Zabierz ich stąd. Wiesz dokąd — rzucił Shoney.

Nie byli w stanie zrobić nic, by go powstrzymać. Whush stanął w łódce i odepchnął ją długą tyczką. Odpłynęli. Dotarli do ściany mgieł i znaleźli się na otwartym morzu, nad którym szumiał

wiatr. Zimne kropelki wody przelewały się ponad burzą. W pewnym momencie przekroczyli granicę Podmorskiej Krainy — Jack nie był pewien, kiedy to się stało. Zaczął wypatrywać długiej łodzi Skakkiego. Otaczały ich niezmierzone połacie dzikich szarych fal, pośród których nie było widać ani jednej wyspy, ptaka czy statku.

Whush miarowo poruszał tyczką. Szary kapelusz nasunął głęboko na swą szarą twarz. Płaszcz rozdymał się za nim niczym kurtyna deszczu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

WYSPA GRIMA

Bard na pewno nie poddał się tak łatwo — stwierdził Jack.

— Na pewno miał w zanadrzu jakąś sztuczkę.

Wydawało się, że płyną już wiele godzin. Słońce stanęło w zenicie, przyjemnie ogrzewając powietrze, po czym zaczęło chylić się ku zachodowi. Pojawiły się chmury.

— Jego sława nie umrze nigdy — rzuciła ponuro Thorgil.

— Jeśli powiesz to jeszcze raz, wykopię cię za burtę.

— Nie powinniśmy się teraz spierać — odparła dziewczyna i Jack natychmiast pożałował swych słów.

— Przepraszam, tak mi się jakoś wyrwało. To było głupie.

— Zresztą, gdybyś tylko spróbował, przekonałbyś się, że potrafię kopać o wiele mocniej niż ty — dodała wojowniczką.

Leżeli na dnie łódki. Jack zauważył, że szum fal brzmi teraz inaczej. Chłopak podniósł się z trudem i rozejrzał dokoła. Zbliżali się do jakiegoś lądu. Było to skaliste, nieprzyjemnie wyglądające miejsce. Na środku wyspy wznosił się wysoki szczyt. Leśny zagajnik na czubku góry stanowił jedyną plamę zieleni — reszta była zupełnie naga. Whush mocno pracował tyczką i chłopak poczuł po chwili, jak dno łodzi szoruje o piach.

— Co się dzieje? Wrzuci nas do jamy wielkiego węgorza? — jęknęła Thorgil.

Jack usłyszał w swej głowie szczekanie, co oznaczało, że Whush się roześmiał.

— Żałuję, że nasze węgorze nie dostaną takiego smakołyku, ale Shoney postanowił inaczej — powiedział. — Szkoda. Na starość robi się sentymentalny.

— Shoney dał nam słowo, że będziemy mogli swobodnie opuścić Podmorską Krainę — rzucił Jack, wiedząc, że obietnica morskiego męża nie znaczy wiele.

— Owszem, i dlatego tu jesteście.

— A gdzie jest to „tu”?

— Nie muszę wam tego mówić, ale to dla mnie czysta przyjemność. — Usta Whusha skrzywiły się w uśmiechu. — To Wyspa Grima, ta sama, na której nasza księżniczka spotkała się ze śmiercią. To, że tu was wysadzę, jest bardzo właściwe. — Whush chwycił Jacka i Thorgil pod pachy i zaniósł oboje na plażę. Cisnął ich na piasek, a sam ruszył w kierunku podnóża góry.

— Nie zdołacie wspiąć się na nią zbyt szybko — powiedział z zadowoleniem, gdy wrócił.

Rozciął im więzy, ale zanim pojmanym udało się oswobodzić, już był daleko od brzegu.

— Stój! To nasza łódka! — wrzasnęła Thorgil. — Jak mamy stąd odpłynąć?

Whush zatrzymał się na chwilę, lecz i tak nie mogli go już dogonić.

— Myślę, że wpływ. Mam dla was jedną radę. Lepiej znajdźcie sobie jakieś schronienie, bo wkrótce pogorszy się pogoda. Tutaj to wcale nie rzadkość.

To powiedziawszy, oddalił się, żwawo machając tyczką. Niedługo potem zniknął wśród fal.

— Jak zimno! Wiesz coś o tej wyspie? — spytała dziewczyna.

— Przez całą zimę panują tu ciemności, a latem albo jest mglisto, albo szaleją burze — odpowiedział chłopak. — Pomyślmy. .. syrena zbudowała dla ojca Severusa chatę w kształcie muszli wielkiego morskiego ślimaka. Powinniśmy jej poszukać.

Oboje, wskutek długiego skrępowania, byli zeszywniali. Co gorsza, od poprzedniego dnia nie mieli nic w ustach.

— Poszukam jakichś małży — zaproponowała Thorgil.

— Ważniejsze są woda i schronienie. Spójrz w niebo! — Chłopak zobaczył nadciągającą od północy gwałtowną burzę.

Pobiegli przez plażę. Wielkie krople lodowatego deszczu zaczęły siec wyspę. Wkrótce nie widzieli dalej niż na kilka stóp. Jack potknął się o skałę, krzyknął i padł na piach.

— Widzę drzwi! — Thorgil próbowała przekrzyczeć wicher. — To chyba ten ślimaczy dom. — Wcisnęli się przez niewielkie wejście i okazało się, że wewnątrz jest przestronne. Ściany chaty były gładkie jak szkło, a podłoga wysypana zaskakująco suchym, drobnym piaskiem. Zakopali się w nim, szukając ciepła. Po chwili zaczęli na zmianę czołgać się do drzwi. Wystawiali na zewnątrz złożone ręce i łapali w nie deszcz do picia.

— Już ciemno — zauważyła Thorgil, ponownie zagrzebując się w piasku.

— Więc powinniśmy pójść spać — powiedział Jack.

— A nie lepiej będzie, jeśli napiszemy poemat pochwalny dla barda? Wiesz, jak po śmierci Olafa.

— Bard nie umarł! — Chłopak nie chciał nawet o tym myśleć.

— Jeszcze nie — odparła dziewczyna — ale wkrótce zginie, zamknęli go przecież w grobowcu.

— Może wreszcie przestaniesz krakać i dasz temu spokój! — krzyknął Jack. — O takich rzeczach nie mówi się po zmroku. Znajdź sobie jakiś kurhan i tam strasz, jeśli nie umiesz usiedzieć spokojnie.

Potem zrobiło mu się wstyd, ale nie na tyle, by przeprosić. Nie chciał wszczynać dyskusji. Niestety, zasnąć też nie mógł. Przez całą noc budził się co chwila, a kiedy już morzył go sen, przychodziły koszmary, których nie chciał pamiętać.

Poranek wstał zimny i jasny. Obeszli wyspę i znaleźli wypływający z podnóża góry strumień.

— Przynajmniej nie umrzemy z pragnienia — zauważyła Thorgil.

— A co to za różnica? — rzucił Jack. — Albo umrzemy z głodu, albo z zimna. Strumień tylko przedłuży nasze cierpienia.

— To ty zawsze mi mówiłeś, żeby szukać jasnych stron...

— Bo ty zawsze możesz jakieś znaleźć. Masz runę ochronną. Mnie po bardzie nie została żadna pamiątka — odparł chłopak.

— Owszem, została — poprawiła Thorgil. — Odziedziczyłeś jego wiedzę. Mógł wybrać na ucznia kogoś innego. Powiedział nawet, że jest z ciebie bardzo dumny.

— I co mi z tego przyszło?! — krzyknął Jack. — Nie uratowałem go przed... przed... — Odszedł, zanim wzruszenie odebrało mu głos.

Dziewczyna zostawiła go samego i ruszyła między skały, by zebrać małże. Gdy wróciła, jej stopy były sine z zimna i musiała skakać w miejscu, by odzyskać w nich czucie. Zebrała stertę wyrzuconego przez fale drewna. Chłopak siedział na skale i patrzył w morze.

— Mógłbyś przyzwać ogień? — poprosiła Thorgil.

Jack spróbował, ale nie potrafił uspokoić umysłu.

— Nieważne — pocieszyła go wojowniczką. — Te małże można jeść na surowo. Olaf jadał je tak przez całe życie. Wyciąga się je z muszli paznokciem, widzisz?

Znalazła też jadalne wodorosty i w strumieniu oczyściła je z piachu. Stopniowo udało jej się nakłonić Jacka do jedzenia; chłopak poczuł się lepiej. Nieznacznie.

— Żałuję, że nie możemy wspiąć się na tę górę. — Dziewczyna z powątpiewaniem spojrzała na szczyt. — Jestem pewna, że znaleźlibyśmy tam coś do jedzenia.

— Ojciec Severus próbował — powiedział Jack. — Ale nie udało mu się nawet podejść blisko szczytu, gdy uciekał przed... — Coś ścisnęło go w gardle i nie był w stanie dobyć z siebie ani słowa więcej.

— No dobrze, wrócę po liny, które zostawił Whush. Mogą się jeszcze przydać. — Wojowniczka odeszła plażą. Po chwili Jack ruszył niechętnie za nią. Thorgil znalazła sznury i coś jeszcze, czego nie zauważyli na piasku poprzedniego dnia. W pobliżu góry, tam dokąd poszedł Whush, natknęli się na niewielki kuferek — szeroki na dłoń i równie głęboki. Wykonany z tego samego ciemnego drewna co krzesła w komnacie tronowej Shoneya, był podobnie jak one inkrustowany kością słoniową.

Thorgil otworzyła skrzyneczkę i wybałuszyła oczy. Wewnątrz lśniły klejnoty. Czerwone, niebieskie, żółte, zielone i przezroczyste jak lód. Wszystkie migotały w promieniach słońca. Pośród nich połyskiwały też perły wielkie jak orzechy.

— Musiał je przysłać Shoney — powiedziała. — Ale po co, skoro chce, byśmy zginęli?

— Polubił cię — przypomniał Jack. — Byłaś zazdrosna o jego bogactwa i sprawiło mu to przyjemność. Opowiadałaś mu też o plądrowaniu. Zapewne chciał, żebyś przed śmiercią nacieszyła

się własnym skarbem. A potem i tak będzie mógł przysłać po te kamienie Whusha. — Jack mówił z goryczą, chcąc zepsuć dziewczynie radość. Jak śmie być szczęśliwa, skoro bard nie żyje? Jeśli nie żyje, poprawił się w duchu. Nie był gotów pogodzić się z tą myślą.

Thorgil jednak była zbyt zachwycona kamieniami, by się nim przejmować.

— Właśnie o to prosił Beowulf po zabiciu smoka. Pamiętam słowa sagi: „Biegnij szybko, drogi bratanku. Ograb smoka i urządz moim wygłodniałym oczom ucztę z klejnotów”. Wtedy ludzie wiedzieli, jak należy umierać!

— Wariatka — mruknął Jack i odwrócił się.

I wtedy zauważył niebo. Zasnuały je chmury, które Ludzie Północy nazywali jedwabiem nieba, i chłopak przypomniał sobie słowa Runy: „Kiedy stoisz plecami do wiatru, a jedwab nieba płynie w prawo, to znaczy, że nadciąga burza”. Obłoki, na które patrzył, poruszały się w prawo, i to zdecydowanie. Bardzo szybko. Na jego oczach zmieniały się w gęstą, mleczną mgłę.

— Oho! — rzuciła Thorgil, przesłaniając oczy.

— Burza, prawda?

— Popatrz na mewy. Uciekają — powiedziała.

Morskie ptaki wracały znad morza. Wrzeszczały jeden na drugiego i krążyły niepewnie przez chwilę, zanim wylądowały w lesie na szczycie góry.

Jack przypomniał sobie coś jeszcze na temat powietrza przed naprawdę potężną burzą. Metaliczny zapach. Wyczuwał go wyraźnie. Chmury szybko szarzały nad ich głowami.

— Musimy wdrapać się wyżej — rzuciła spiesznie dziewczyna. — Przy takiej pogodzie fale stają się naprawdę potężne.

— A chatka? Może w niej zostaniemy? — Jack poczuł niepokój towarzyski.

— Tylko jeśli chcesz utonąć. Stoi zbyt blisko morza. Prędeż! — Thorgil podała Jackowi linę, chwyciła kuferek pod pachę i pobiegła w stronę góry.

Zaczęli szukać drogi na szczyt, ale wszystkie proste ścieżki kończyły się ledwie kilka stóp ponad plażą. Niebo przybrało już złowieszczy, ciemnognatowy odcień. Smagał ich wiatr tak mocny, że ledwie utrzymywali się na nogach.

— Wyrzuć tę przeklętą skrzynkę! — krzyknął Jack, ponieważ Thorgil, i tak już nieporadna z powodu niesprawnej ręki, radziła sobie teraz jeszcze gorzej, ściskając pod pachą ciężki kuferek.

Spróbował go jej odebrać.

— Zostaw to! — wrzasnęła.

Oboje ześlizgnęli się ze skały i wylądowali na dnie głębokiego wykrotu w zboczu góry.

— Odłóż to albo w życiu nie wdrapiesz się wyżej! — rzucił ostro chłopak.

— Nieważne. I tak się stąd nie wydostaniemy — wydyszała Thorgil, zgięta wpół z wysiłku.

Jack podniósł wzrok. Miała rację. Spadli niżej, niż przypuszczał, a skalne ściany były idealnie

panionowe. Na górze wiał wicher, a fale zaczęły bić tak gwałtownie, że piana docierała nawet w głąb ich kamiennej pułapki.

— To chyba już koniec — stwierdziła dziewczyna. — Są tu małże, czyli morze wdiera się do wąwozu. Sztorm nas zatopi.

Mimo że było dopiero południe, robiło się coraz ciemniej. Na niebie — którego Jack widział tylko wąski wycinek — kotłowały się złowrogo wyglądające chmury. Oszłamiająca była już sama prędkość, z jaką pogoda się zmieniła. Drugi koniec wykrotu krył się w cieniu tak głębokim jak sama noc. Chłopak ruszył w tamtą stronę, mając nadzieję na odnalezienie wyjścia na górę. Wyciągnął rękę i na oślep zaczął obmacywać skały. Natrafił na pustkę. To nie była noc. To było wejście do jaskini.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

GROTA ŚWIĘTEGO KOLUMBANA

Jaskinia? Wejźmy do środka — rzuciła Thorgil.

Jack nie lubił ciemnych, ziejących w ziemi dziur. Nigdy dotąd w żadnej nie spotkało go nic dobrego.

— A pukacze? — przypomniał dziewczynie o koszmarnych, przypominających kleszcze stworzeniach, z których jedno niemal pochwyliło jego i Pegę.

Thorgil się zawahała. Ona także spotkała pukacza. Kolejna fala zatrzęsa ziemią, chlusnęło na nich zimną wodą.

— Utoniemy, jeśli tu zostaniemy. A nie mamy pewności, czy wewnątrz są pukacze.

— Mogą tam mieszkać też wiwerny, hipogryfy, mantykory, bazyliuszki i krakeny. — Jack wyliczył kilka istot, które miały zwyczaj gnieździć się w ciemnych tunelach. Sam nie był pewien, jak niektóre z nich wyglądają i czym tak naprawdę są.

Kolejna fala zmoczyła im głowy.

— Takie potwory zabijają szybko — stwierdziła Thorgil, która miała chyba więcej informacji na ich temat. — To nie tak źle. Ale pukacze wysysają cię przez bardzo długi czas.

— Cudownie — powiedział Jack.

Oboje patrzyli w głąb ciemnej pieczary. Żadne nie miało ochoty wejść do środka.

— Bard kiedyś powiedział... — zaczął chłopak, przełknął ślinę i zmusił się, by kontynuować. — Bard powiedział kiedyś, że najbardziej niebezpieczne są te jaskinie, w których powietrze jest nieruchome. Tutaj czuję powiew.

Rzeczywiście, z pieczary dolatywała delikatna struga cieplejszego wiatru.

— Więc... musimy się martwić tylko wiwernami, hipogryfami i całą resztą — zdecydowała Thorgil.

Jeszcze jedna potężna fala przelała się przez krawędź pieczary. Woda zbulgotała wokół ich stóp.

Jack zarzucił linę na ramię. Jedną ręką badał ścianę, drugą trzymał się Thorgil.

— Jeśli zniknę, masz natychmiast wracać — powiedział.

— Jeśli znikniesz, pójdę za tobą — odparła.

Chłopak wszedł pierwszy, powoli i ostrożnie. Początkowo miał wrażenie, że jaskinia również może napęlić się wodą, ale podłoże stopniowo unosiło się ku górze. Powąła jaskini też uciekała coraz wyżej.

— Mamy wielkie szczęście! — odezwał się po chwili. — To prawdziwy tunel!

Im dalej szli, tym bardziej mu się to podobało, choć nie miał ku temu żadnego powodu.

— Czy to światło? — spytała Thorgil.

Jack był tak zaprzątnięty wymijaniem ścielących się pod nogami skał, że niczego nie zauważył. A z otworu w ścianie rzeczywiście było słabe światło. Boczna jaskinia, pomyślał i znów przypomniał sobie pukacza. Ale nawet tutaj czuł wietrzyk. Zimny i pachnący morzem. Stał przy szczelinie i zobaczył, że blask bije z niewielkiego otworu w drugiej ścianie. W pobliżu uderzyła kolejna fala i podłoże pieczary zadrżało. Nagle Jackowi wydało się, że widzi obok kłęczącego mężczyznę w białej szacie. Bard! — przemknęło mu przez myśl w jednej, pełnej niepewności chwili. Okazało się wszakże, że był to tylko owinięty wokół skały kawałek tkaniny. Chłopak spodziewał się, że poczuje rozczarowanie i smutek, lecz zamiast tego ogarnęło go niepomierne szczęście, zupełnie jakby skręcił z zalanej cieniem drogi i znalazł dom, w którego palenisku trzaska wesoły ogień. Cała pieczara tchnęła siłą życiową.

— Dlaczego tu jest tak miło? — zapytała stojąca za nim dziewczyna.

— Ty też to wyczuwasz? Nie wiem. Ale mam wrażenie, że to dobre miejsce na odpoczynek.

Jack zauważył leżące dokoła przedmioty. Nie była to zwyczajna jaskinia, tylko miejsce, w którym ktoś, dawno temu, urządził sobie mieszkanie. Chłopak dostrzegł trój nożny stołek, przybory kuchenne, kociołek i pokryty wzorami roślinnymi kielich. Oraz laskę. Wszystko to przysypane było warstwą drobnego piasku, który musiał się tu dostać przez otwór w ścianie.

— Wiesz, co to jest za miejsce? — spytał coraz bardziej podekscytowany Jack. — To tutaj ojciec Severus znalazł Nadobną Płaczkę. Jego jaskinia jest po drugiej stronie tej dziury. Pamiętasz? Mieszkał początkowo w małej grocie, ale powiększył ją nożem i przebił się aż tutaj. Nie zdawał sobie sprawy, że to takie przestronne pomieszczenie. Myślał, że to tylko skrytka.

— Jeśli patrzył z drugiej strony tego otworu, to nie widział nic oprócz ciemności — przytaknęła Thorgil.

— Włożył rękę do środka i znalazł dzwon owinięty w szatę świętego Kolumbana, tę samą, którą nosił, gdy kierował Szkołą Bardów. Brat Aiden mówił, że była bardzo piękna, haftowana złotą nicią.

— Ojciec Severus nie wpadł na to, by szukać głębiej.

Stali w pokoju, ogarnięci cudownością odkrycia. Po nieprzeniknionych ciemnościach tunelu, z którego wyszli, jaskinia wydawała się zupełnie jasna. Ściany ozdobione były wspaniałymi scenami. Na malowanych jeziorach spokojnie pływały łabędzie, jelenie pasły się na łące, radosne psy skakały, czekały i dokazywały.

— To wszystko musiał namalować święty Kolumban — powiedziała Thorgil. — Co on tu robił?

— Brat Aiden mówił, że zrezygnował z magii, by stać się chrześcijaninem — odpowiedział

Jack. — Wygląda jednak na to, że przez dobrą chwilę nie mógł się zdecydować.

Thorgil z ulgą usiadła na piaszczystej podłodze.

— Jestem zmęczona — przyznała. — Myślę, że jest tu inne wyjście, inaczej święty Kolumban nie mógłby tu mieszkać. Ale nie mam siły szukać. Chyba nie zaszkodzi, jeśli się zdrzemnę.

Jack odruchowo rozejrzał się dokoła. Z jego doświadczenia wynikało, że spanie w obcych miejscach zawsze niesło ze sobą niebezpieczeństwo — dobrym przykładem był kurhan hobguna. A jednak chłopak nie był w stanie sobie wyobrazić, że gdziekolwiek na świecie istnieje miejsce, w którym mógłby się poczuć bezpieczniej. Westchnął głęboko. Tutaj żaloba i smutek nie miały dostępu, a jeśli nawet się pojawiały, to zdawały się zupełnie pozbawione znaczenia.

Strząsnął kurz z białej tkaniny i przekonał się, że to zupełnie przyzwoity wełniany płaszcz. Przykrył nim siebie i Thorgil. Mieli już zapewnioną ochronę przed zimnym wiatrem, który wpadał do jaskini przez otwór w ścianie. Zasnęli, zagrzebani w miękkim piasku.

— Powąchaj! Czujesz?! — zawołała Thorgil i gwałtownie usiadła.

Jack wciąż był pogrążony w przyjemnym półśnie. Odkąd opuścili wioskę, ani razu tak dobrze się nie wyspał. Nie poruszył się zatem, póki woń nie dotarła także do jego nosa. Wtedy dopiero podniósł się i usiadł obok dziewczyny.

— To nie może być to, o czym myślę... — Usta wypełniły mu się śliną, ścisnęło go w żołądku.

— Dzik — powiedziała z czcią Thorgil. — Wspaniały, soczysty, tłusty, pieczony na ogniu dzik.

— Ale skąd... ? — Z opowieści brata Aiden Jack wiedział, że na Wyspie Grima oprócz małży nie żyją żadne stworzenia.

— A co za różnica skąd? Wiem, co czuję, i chcę jeść. — Dziewczyna wstała i zachwiała się na nogach. — Na Thora, ależ osłabłam z głodu!

— Czy ten zapach dobiega z zewnątrz?

— Nie, stamtąd. — Wojowniczką wskazała na mroczny tunel. — Myślisz, że święty Kolumban wciąż może się tu kręcić?

— Bard mówił, że już dawno temu popłynął na Wyspy Błogosławionych — odparł Jack.

Kiedy teraz pomyślał o starcu, zupełnie nie czuł smutku. Miał poczucie winy, ale i ono zniknęło niemal natychmiast. Do tego miejsca nieszczęście nie miało przystępu. Jack wszedł do tunelu i zaczął węszyć. Zapach dolatywał z góry.

— Nie wiem, kto to może być, ale mam nadzieję, że jest gościnnie.

— Powinniśmy zabrać płaszcz — zauważyła Thorgil. Rozejrzała się po jaskini i znalazła worek, który zarzuciła na ramiona. — Świetnie! Mogę w tym zabrać swój skarb.

— Nie jestem pewien — rzucił chłopak z powątpiewaniem. — Święty Kolumban zostawił tu to wszystko specjalnie. Pomyśl o tym, co się stało, kiedy ojciec Severus zabrał Nadobną Płaczkę.

— Ale to tylko dlatego, że ojciec Severus nie rozumiał magii — zauważyła rozsądnie dziewczyna. — Ty się na niej znasz. Jesteś bardem.

— Niezupełnie — odparł Jack.

— Nikogo lepszego od ciebie nie mamy. A teraz wkładaj ten płaszcz i bierz laskę. Jeśli wpadniemy w tarapaty, będzie całkiem przyzwoitą bronią. Wzięłabym też kocioł, ale jest zbyt ciężki. Hej, co się stało?

Jack pobladł.

— Nie można zabrać laski barda.

— Nie bądź głupi. Świętemu Kolumbanowi nie jest już potrzebna.

— Nie rozumiesz. Na takie rzeczy należy zasłużyć.

Chłopakowi nigdy w życiu nawet na myśl nie przyszło, by pożyczyć laskę od barda. Tego się po prostu nie robiło. Stworzenie takiego magicznego przedmiotu wymagało całego życia. Moc nadawały mu zbierane doświadczenia — każda minuta i godzina, wszystkie wspomnienia, nadzieje, zwycięstwa, przyjaźnie, przykrości i błędy. Wszystkie one przenikały do laski i w razie potrzeby można je było przywołać.

Dawniej Jack też miał taką laskę, którą zaczął napełniać mocą, ale skorzystał z niej do wyzwolenia Din Guardi, a potem rozpadła się w pył.

— Ty też miałeś taką laskę. Jak sobie na nią zasłużyłeś? — spytała Thorgil.

Odpowiedział, że zdarzyło się to, gdy byli w Jotunheimie i zmierzali przez lodowate pustkowie do pałacu Królowej Gór. Thorgil miała wtedy skreconą kostkę i on udał się na poszukiwanie drewna, by zrobić dla niej kule. Znalazł jesion, drzewo niezwykle w tak zimnej okolicy — miało dwie gałęzie, dokładnie takie, jakich szukał. Jedna z nich rozwidlała się na końcu i dziewczyna mogła oprzeć tam pachę. Druga przypominała sękaty, ciemny kij, taki jak laska barda. Postanowił ją zabrać, by wspierać się na niej podczas wędrówki. Dopiero potem okazało się, że jesion był pędem wielkiego Drzewa Yggdrassila.

— Widzisz? — powiedziała triumfalnie Thorgil. — Bogowie chcieli, byś znalazł tamtą laskę, a teraz chcą, żebyś zabrał tę.

Jack chciał jej uwierzyć, ale wciąż się bał.

— Nie jestem godny — stwierdził.

— Pewnie nie, ale od czegoś musisz zacząć — zauważyła dziewczyna. — To jak szkolenie wojownika. Na początku zawsze się dostaje w skórę.

Ręka chłopaka zamarła nad laską. Czuł wibrującą, bijącą od niej moc.

— Jeśli to mnie spali, będziesz żałować.

— Jeśli wkrótce czegoś nie zrobisz, umrę z głodu, a wtedy ty pożałujesz.

Jack chwycił laskę i poczuł jakby od stóp do głów spowiło go światło. Nagle ujrzał całą wyspę, morze bijące o brzeg, burzowe chmury, mroczną górę i las na jej szczycie. Zobaczył mężczyzn walczących na miecze. Potem wizja zniknęła. Opuścił głowę, lecz nie wypuścił laski.

— I co? Spłonąłeś już? — spytała wojowniczką.

— Nie jestem pewien. Główny problem będzie z tym, żebym sam czegoś nie spalił — odparł chłopak. Zakreśliło mu się w głowie. — Mam nadzieję, że jestem dość silny, by ją opanować.

— Świetnie ci pójdzie. Jesteś w końcu następcą Smoczego Języka.

— Nie mów tak! — Na końcu laski pojawił się płomień. Osmalił powalę jaskini. — Och, na Freyę! Nie złość mnie — poprosił. — Muszę przywyknąć do posiadania tak wielkiej mocy. Chciałem powiedzieć, że nigdy nie będę następcą Smoczego Języka. Jestem tylko jego uczniem.

Thorgil zarzuciła na ramiona worek z kuferkami i wyszła.

— Jeśli się nie pospieszymy, to z tego dzika zostaną nam tylko chrząstki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ODYN

Jack narzucił płaszcz na ramiona i ku jego zaskoczeniu okazało się, że pasuje idealnie. Kiedy wcześniej przykrywał nim siebie i dziewczynę, wydał mu się o wiele większy. Także laska była dokładnie tak długa, jak trzeba. Zawroty głowy minęły i Jack mógł iść pewnym krokiem. Kiedy jednak nieco się oddalił od jaskini, w tunelu zrobiło się zupełnie ciemno, a sam odezwał się w języku, którego nie znał. Nie potrafiłby też powtórzyć tych słów, ale ich znacznie pozostało w jego umyśle.

Stopę uchron przed upadkiem,

Głowę zbaw od krzywdy.

Przepędź z dnia ciemności.

Laska zajaśniała łagodnym światłem i ukazała szare ściany tunelu. Przed nimi wiała się wysypana białym piaskiem ścieżka.

— Przydatna sztuczka — powiedziała Thorgil, którą blask uchronił od zderzenia ze skałą.

— Sam nie wiem, jak to zrobiłem — odparł Jack. — Pospieszmy się. Nie wiem, jak długo to zaklęcie będzie działać.

Woń pieczonej dziczyzny stawała się coraz bardziej intensywna. Szli wciąż wyżej i wyżej. Wkrótce poczuli też zapach innych smakołyków.

— Ciekawe, z jakiej okazji ta uczta — odezwała się Thorgil. — Strasznie przy tym świętowaniu hałasują.

— Oni nie świętują — Jack zatrzymał dziewczynę w pół kroku.

— Na Thora! Masz rację! Słyszę brzęk mieczy.

— Powinienem był ci wcześniej o tym powiedzieć. Kiedy dotknąłem laski, doznałem wizji. Zobaczyłem walczących na szczycie góry wojowników. Ale wydawało mi się, że to tylko wyobraźnia płata mi figle. Nie wiem, w jaki sposób się tam wspięli i skąd mają jeszcze siły, by walczyć.

Do ich uszu dolatywały krzyki i przekleństwa. Jakiś ranny I głośno wrzasnął.

— Może znaleźli inny tunel — zasugerowała dziewczyna.

— To i tak nie wyjaśnia, dlaczego ktokolwiek zrobił coś tak głupiego — odparł Jack. — To naprawdę tak szalony pomysł, że mogli wpaść na niego tylko berserkerzy.

Spodziewał się, że Thorgil zacznie się kłócić — w końcu zawsze uważała berserkerów za swój wzór i ideał — ale dziewczyna tylko chwyciła go za ramię.

— Słuchaj, ja znam ten głos! — rzuciła.

— Haaaa, Bjoern! Już trzeci raz dzisiaj uciałem ci głowę! — ryknął ktoś głośno. — Miękniez!

— To Olaf Jednobrewy! — zawołała Thorgil. — Wiem, że to on! Co się stało? Umarliśmy, tylko tego nie zauważyliśmy?

— Olafie! Uważaj z tyłu — zahuczał inny znajomy głos.

— Arrrgh! — grzmiał Olaf. — Myślisz, że powstrzymasz mnie czymś takim? Do tego potrzeba co najmniej trzech włóczy!

Jack usłyszał miękki odgłos przypominający mlaskanie ciętego mięsa.

— Podnieś swoją głowę, Bjoernie, albo zacznę się nią bawić jak piłką — rozległ się ponownie głos, który teraz przywołał w pamięci Jacka postać Eryka Szerokie Bary. Chłopak pamiętał, że Eryk został pożarty przez trolle.

— Do kopania piłki potrzebne są dwie nogi — zaśmiał się Bjoern.

Zawtórował mu rubaszny wybuch wesołości. Wtedy ktoś zadał w róg i odgłosy walki ucichły.

Thorgil zaczęła gwałtownie drżeć i osunęła się wzdłuż ściany.

— Nie wiem, co się tu dzieje, ale jestem pewien, że nie umarliśmy — powiedział Jack i klęknął przy dziewczynie.

Domyślił się, że jest przerażona perspektywą spotkania z umarłymi. Sam zresztą też nie był zachwycony. Ostatnio natknął się na zbyt wiele niespokojnych duchów — od draugra począwszy, poprzez dusze uwięzione w murze, aż po hobguna.

— Tak bardzo się boję — jęknęła Thorgil. — To zupełnie jak Dzikie Łowy. Olaf mnie wtedy nie zabrał. Zabronił mu Odyn. Och, Jack, a jeśli tam wyjdziemy i on... i on znów mnie odtrąci? — Dziewczyna zalała się łzami.

Oczywiście... — pomyślał chłopak. Thorgil wcale nie bała się zastępu martwych berserkerów, którzy, jeśli sądzić po dźwiękach, umilali sobie czas, z zapamiętaniem rąbiąc się na kawałki. Bała się tylko tego, że nie pozwolą jej się do nich przyłączyć. Podniósł wzrok i zobaczył wylot tunelu. Zapadła już noc, ale rozpalone w pobliżu ognisko rzucało migotliwą poświatę. Nagle na jej tle zarysował się potężny kształt.

— Teraz się nie wycofujcie! — zawołał męski głos. — Jedzenia mamy w bród, a uczta dopiero się zaczyna. — Wojownik zbiegł do tunelu i podniósł Thorgil. — Jak na walkirię jesteś stanowczo zbyt delikatna — zahuczał. — Zjesz sobie udziec dzika i wydobrzejesz.

— Nie dotykaj jej! — zawołał Jack i wymierzył w nieznanomego laską.

Nic się jednak nie stało. Laska nie strzeliła dzikim płomieniem. Mężczyzna stał, jak stał. Roześmiał się tylko życzliwie i Jack ujrzał cienką czerwoną linię na jego szyi. Blizna po obcięciu

głowy. A więc to był Bjoern.

— Ty też chodź, mały skaldzie — zaprosił Bjoern. — Nie widziałem nikogo twojej profesji, odkąd Smoczy Język przypalił futro na Ivarze bez Kości za to, że poślubił Frith. A pieczeni z dzika starczy dla wszystkich.

— Nic nam nie będzie — odezwała się Thorgil spod pachy wojownika.

Jack ruszył za nimi na górę. Czuł się dość głupio. Spodziewał się, że płaszcz i laska świętego Kolumbana wywołają szacunek, a tymczasem co usłyszał? Mały skaldzie!

Wyszli na zewnątrz i ich oczom ukazała się najdziksza z możliwych scen. Cały szczyt góry zajmowali wojownicy. Chodzili między drzewami, szukając odrąbanych części swego ciała. Mocowali dłonie do nadgarstków, stopy do kostek, głowy wkładali na karki. Członki zrastały się błyskawicznie, pozostawiając po sobie jedynie szybko znikające czerwone blizny. Szyja Bjoerna nie nosiła już najmniejszego śladu obrażeń. Inni mężczyźni wpychali sobie wnętrzości do ziejących w brzuchach dziur, które niemal od razu zarastały świeżą skórą.

Na polanach tłoczyły się konie, wywracając białkami oczu. Ponad lasem gnały chmury, pędzone potężną i zupełnie bezdźwięczną burzą.

Nad ogniem piekł się olbrzymi dzik. Dziesiątki wojowników odcinały kawałki mięsa. Stoły uginały się pod różnymi potrawami. Były tam garnki pełne przyprawiającego o mdłości *graffisk* — potrawy z dorsza, którego zakopywano w ziemi i któremu pozwalano gnić, póki nie zaczął cuchnąć jak cmentarz. Walkirie o rozłożystych biodrach, ubrane w skórzane zbroje, roznosiły wśród uczujących rogi pełne piwa.

Jedna z nich siedziała na środku polany przy wielkiej, naburmuszonej kozie. Jednostajnym ruchem pociągała za wymiona rozmiarów worka na zboże. Ciepły płyn spływał prosto do balii.

— Kozą nazywa się Heidrun — wyjaśnił Bjoern i postawił Thorgil na ziemię. — Pasie się na liściach Yggdrassila i daje miód. Tyle, ile zapagniemy. Dobra Heidrun — dodał i poklepał zwierzę po łbie.

Koza kłapnęła zębami.

— Czy walkirie nie mają imion? — spytała słabym głosem Thorgil. Kobiety chodziły po lesie, wyszukując wojowników uszkodzonych tak, że nie byli w stanie sami się poruszać. Przytwardzały im brakujące członki i zaciągały do stołów, przy których zaczynały ich karmić. — Pamiętam, że Dotti i Lotti tak samo opiekowały się Olafem, kiedy wracał pijany do domu.

Dawniej Jack uwielbiał żartować sobie z walkirii i powtarzał, że w Valhalli są tylko służkami. Doprowadzał tym Thorgil do szału, ale w tej chwili nie miał ochoty na podobną zabawę. Dziewczyna wyglądała tak, jakby przeżywała ciężki szok. Wszystko, co działo się dokoła, stanowiło spełnienie jej marzeń — od zawsze pragnęła paść w walce i dołączyć do swych towarzyszy w krainie Odyna. Teraz jednak wiele wskazywało na to, że gdyby tak się stało,

musiałyby usługiwać przy stole i doić kozy.

— Chcę się zobaczyć z Olafem — powiedziała przez łyżę.

— Chodzi ci o Olafa Jednobrewego? To mój najlepszy przyjaciel — oświadczył Bjoern z dumą. Mimo że dziś tylko trzykrotnie obciął ci głowę, skomentował Jack w myślach.

— Nie jesteś przypadkiem Bjoernem Łamaczem Czaszek? — spytał.

Wojownik był niemal tak wysoki jak Olaf. Jego nogi przypominały pnie drzew, a pierś miał szeroką jak brama.

— Widzę, że moja sława w Midgardzie nie przeminęła. — Bjoern wyszczerzył się w uśmiechu.

— Powiedz mi, mały skaldzie, czy mężni wojownicy śpiewają o mnie pieśni przy ogniskach?

— Opowieści o twych wyczynach zataczają coraz szersze kręgi — odpowiedział wymijająco chłopak. Einar Żmijozęby mylił się co do jednego. Bjoern nie błąkał się po lodowatych salach Hel.

— Chciałbyś się dowiedzieć, co spotkało twojego... — już miał powiedzieć „wroga”, ale dokładnie w tej samej chwili ujrzał wynurzającą się z lasu znajomą postać. Przybysz wziął od jednej z walkirii róg piwa. — To nie jest chyba Einar Żmijozęby?!

— Dołączył do nas zupełnie niedawno — odparł Bjoern. — Powiedział, że zginął pod lawiną. W zeszłym tygodniu zabiłem go dwukrotnie, a on powalił mnie tylko raz. — Wojownik wydawał się nie żywić najmniejszej urazy wobec człowieka, który podstępem oddał go na pożarcie hobgunowi.

Nigdy nie zrozumiem Ludzi Północy, stwierdził w duchu Jack.

Stojąca obok Thorgil zachwiała się i niemal upadła.

— Chcę zobaczyć Olafa — powtórzyła.

Bjoern jednak zajął się Żmijozębym. Podszedł do towarzysza i przywitał go radosnym, siarczystym ciosem w tył głowy.

— Siadaj — powiedział chłopak. — Znajdę go.

Nie było to jednak takie proste. W pobliżu kręciły się dziesiątki mężczyzn. Napychali się mięsivem, pili i chełpili swymi zwycięstwami. Jeden klepnął walkirię w pośladki.

— Zrób to jeszcze raz, a wygryzę ci krtań! — warknęła kobieta.

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiali się stojący wokół wojownicy. Jeden z głosów zabrzmiał znajomo.

I wtedy Jack go zauważył. Siedział u podnóża tronu. Miał na sobie swój hełm i zapewne dlatego nie poznał go od razu. Przez szczyt hełmu biegł grzebień, całkiem jak koguci. Dwie metalowe płytki osłaniały policzki. Przednia część hełmu była maską wyrzeźbioną na kształt jastrzębiego dzioba, który ochraniał nos Olafa. Patrzył przez niewielkie dziurki i wyglądał nieziemsko. Cóż, w końcu jest już nieziemski, zdał sobie sprawę Jack.

Postać, która górowała nad Olafem — siedzący na tronie mężczyzna — była tak przerażająca, że chłopak niemal padł na kolana. Wojownik miał na głowie hełm przypominający nakrycie głowy Olafa, ale z dziur w masce wyzierało tylko jedno błyszczące oko. Drugi oczodół był pusty. Jack od

razu pojął, na kogo patrzy.

Brakujące oko Odyna spoczywało na dnie Studni Mimira. Nie można z niej było zaczerpnąć wody, nie poświęcając czegoś szalenie cennego. Jack oddał swoją runę ochronną, Thorgil zrezygnowała z bycia berserkerem. W zamian uzyskali wiedzę, której potrzebowali najbardziej. Odyn, w zamian za swe oko, poznał tajemnice pozwalające mu władać dziewięcioma światami.

Jedynie oko boga zalsniło niczym gwiazda i spoczęło na chłopaku. Wilki — Jack zauważył je dopiero teraz — wyciągały się leniwie u stóp boga, a na jego ramionach siedziały kruki, znoszące mu wieści ze świata.

— Nie do mnie należysz — odezwał się Odyn. Jego głos przypominał odległy grzmot.

— Nie do ciebie — przytaknął Jack, mocniej ściskając w dłoni laskę świętego Kolumbana. — Jestem sługą siły życiowej. Nie wierzę w świat pełen wiecznego zabijania. — Bał się, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie może się przed wojowniczym bóstwem ukorzyć.

Odyn wybuchnął śmiechem. I od tego śmiechu zadrżały ziemia i powietrze.

— Mówisz jak jakiś nędzny chrześcijanin albo któryś z tych plumkających na harfach bardów, którzy miauczą o szacunku dla drzew.

Jeden z wilków podniósł się, przeciągnął i ziewnął. Wysunął język spomiędzy zębów.

— Jeden jedyny liść rozwijający się na wiosnę wart jest więcej niż całe twoje królestwo — odparł Jack, zaskakując samego siebie. Nie zamierzał tego powiedzieć. Nieuleganie istocie, przed której obliczem stanął, a zadzieranie z nią — to zupełnie różne rzeczy.

— Wojna jest nieunikniona — zagrzmiął głos Odyna. — Wszystkie stworzenia istnieją po to, by zabijać lub zostać zabitymi. Jedynym pięknem jest odwaga w obliczu śmierci.

— Co dobrego przychodzi z takiej odwagi, jeśli stoi za nią strach przed śmiercią? — zauważył Jack. — Jeśli jest się głuchym na śmiech własnych dzieci lub nie potrafi się zrozumieć, dlaczego żony cieszą się z twego powrotu z długiej wyprawy, czy nie znaczy to, że jest się martwym już za życia? Czy porzucenie świata naprawdę wymaga odwagi, kiedy jest się ślepym na jego cuda?

Chłopak był pod wrażeniem własnych słów, ale bał się również reakcji Odyna. Usta mu się jednak nie zamykały. Gładkie zdania same z nich płynęły.

— Koniec końców wszystko rozplynie się wśród nocy — odparł bóg wojny. — Granice tego świata pękną i Garm, pies z Hel, zostanie spuszczonej ze smyczy. Lodowe olbrzymy wypowiedzą wojnę światłu. Okręt śmierci, zbudowany z paznokci martwych ciał, wyruszy, by przynieść zagładę wszystkim żyjącym. Ragnarok się zbliża, Ostateczna Bitwa. Nikt się przed nią nie uchroni.

Na oczach Jacka bóg urósł tak bardzo, że aż dotknął mknących po niebie chmur. Krew szumiała chłopakowi w uszach, jakby znalazł się na statku Ludzi Północy, nad którym zimny wiatr przeganiał wysokie fale.

— Twój świat stanowi tylko jeden liść Wielkiego Drzewa — powiedział Jack. — Liść, który już

spada ze swej gałęzi. Nie wierzę w Ragnarok.

Z laski świętego Kolumbana spłynęło do jego ręki ciepło i po chwili rozlało się po całym ciele. Błysnęło światło.

Tron był pusty.

Nie był już nawet tronem, ale występem szarej skały, zniszczonym przez deszcz i wiatr. Wilki okazały się leżącymi po bokach głazami.

Na jednym z nich siedział Olaf Jednobrewy. Zdjął hełm, zmarszczył brwi i spojrzał na chłopaka.

— Jack! — zawołał radośnie. — Jak tu trafiłeś? Tylko nie próbuj mi wmówić, że padłeś w bitwie.

W uszach Jacka wciąż śpiewała krew. Dopiero po chwili zrozumiał, gdzie się znajduje.

— Nie, Olafie, nie umarłem. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jest ze mną Thorgil, ale ona się boi, że nie zechcesz z nią mówić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

RADOSNE SPOTKANIE

Znaleźli ją siedzącą przy jednym ze stołów. Odrzuciła kurczące udko i wyciągnęła ramiona.

— Co za rozkosz, córko serca! — huknął Olaf i uniósł ją w ramionach. — Co to był za pomysł, że nie zechcę się z tobą spotkać? Nic by tak nie uradowało mojego znużonego walką serca. Szkoda, że nie widziałas mnie przedtem. Zabiłem pięciu wojowników i okaleczyłem tuzin innych!

— Słyszałam samą końcówkę, kiedy obciąłeś głowę Bjoernowi Łamaczowi Czaszek. — Thorgil zaśmiała się przez łzy.

— Tak między nami Bjoern zmiękł przez ten czas, który spędził na Wyspie Koni — szepnął Olaf. — Jest jednak usprawiedliwiony. — Wojownik odstawił dziewczynę na ziemię.

Ugięły się pod nią kolana. Wtuliła się w niego.

— Przepraszam za to, ojcze serca, od jakiegoś czasu niewiele jadam.

— Łatwo temu zaradzimy — odparł jej przybrany ojciec. Podszedł do ognia i oderwał z dzika poczerńiałe od dymu żeberko.

Jack patrzył ze zdumieniem. Na pieczeni, mimo że już wielu wojowników zdążyło się nakarmić, wciąż nie brakowało mięsa. Dzik musiał być magiczny, podobnie jak Heidrun — nieskończone źródła pożywienia.

— Czy to zdrowe jedzenie? — spytał chłopak, choć zapach mięsiwa doprowadzał go do szaleństwa. — To znaczy, czy jest zdrowe dla żywych?

— Co za różnica? — rzuciła Thorgil i wgrzyzła się w pieczeń. Po chwili całą twarz miała w sadzy i tłuszczu.

Olaf przyniósł jej jeszcze jedno żeberko i tym razem nie zapomniał też o Jacku. Chłopak jadł ostrożnie, uważając, by nie zaplamić płaszcza świętego Kolumbana. Palce wytarł w trawę. Wciąż był oszołomiony po spotkaniu z Odynem. Jak to się stało, że rzucił wyzwanie tak potężnemu przeciwnikowi? Wyglądało na to, że laska świętego ma wobec niego własne plany.

Częstowali się marynowanymi śledziami, kuropatwami, porami w śmietanie, pieczonymi jabłkami i wieloma innymi przysmakami. Olaf podsunął Jackowi pod nos miskę pełną szarego płynu, w którym pływały fioletowe kawałki czegoś dziwnego.

— *Graffisk*. Nie żałuj sobie — zachęcił.

Chłopak poczuł swąd gnijących zębów i starej wody i omal nie zwymiotował.

— Nie, dziękuję.

— NO, ZJEDZ! — huknął wojownik.

Jack jednak nie był już przerażonym, bojącym się o własne życie niewolnikiem.

— TO NAJPASKUDNIEJSZA RZECZ, JAKĄ WĄCHAŁEM! SAM SOBIE ZJEDZ! — zagrział w odpowiedzi.

I ku jego wielkiego zaskoczeniu Olaf zjadł.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie tego nie lubią — powiedział, nakładając odrażającą potrawę do ust kolejnymi pajdami chleba. — Dotti i Lotti musiałem to siłą wpychać do gardeł. Ale chyba niespecjalnie się rozsmakowały. — Pokręcił głową, zapewne zastanawiając się nad dziwnym gustem swych żon.

Gdy skończyli jeść, większość wojowników legła już bez zmysłów. Walkirie układały ich w równych rzędach przy ogniu. Potem usiadły wokół Heidrun i zanurzyły swe rogi w miodzie.

— Pamiętasz tę bitwę, po której przez pomyłkę zabrałam nie tego poległego, co trzeba? — odezwała się jedna z nich.

— O tak! — odpowiedziała inna. — Musiałś go zostawić i wracać. Ten, którego wybrałaś, został ochrzczony przez chrześcijan i to oni go w końcu dostali.

— Coraz większe z nimi kłopoty — przyznała pierwsza.

Jack i Thorgil znaleźli płynący nieopodal polany strumień i obmyli w nim twarze i ręce.

— Nic już nie rozumiem. Czy Wyspa Grima jest częścią Valhalla? — spytała Thorgil, gdy wrócili do stołu Olafa.

— Nie, Valhalla jest o wiele wspanialszym miejscem — odparł wojownik, po czym odchylił się i spojrzał na sunące po niebie chmury. — Jej ściany zbudowane są z tysięcy włóczni, sufit pokryty jest tarczami tak gęsto, jak plaże zasypane są muszlami. Są tam setki drzwi, ażeby wszyscy berserkerowie świata mogli jednocześnie wyjść, gdy nadejdzie Ragnarok.

Ragnarok, pomyślał Jack. To zły los. Bez końca walczyć, czekając na Ostatnią Bitwę, w której polegnie się na dobre.

— Nie macie nawet pojęcia jak tam jest, a jednak... — Na twarzy Olafa pojawił się cień żalu. — To znaczy znaleźć się tam razem z bogami to dla mnie wielki zaszczyt, ale czasem przytłaczają mnie tamtejsze wspaniałości. Tęsknię za prawdziwą ziemią. I za drzewami. I za tarzaniem się w trawie. Dlatego właśnie część z nas urządza Dzikie Łowy.

— Czyli to właśnie są Dzikie Łowy? — spytał Jack.

— Na Wyspie Grima zwykle odpoczywamy, kiedy dobiegną końca — wyjaśnił barczysty wojownik. — To dobre miejsce. Jest tu dużo drzew na opał i nie ma wścibskich sąsiadów.

Chłopakowi nagle przypomnieli się niewolnicy kowala — Gog i Magog.

— Na co właściwie polujecie?

— Na naszego starego wieprzka. Ma na imię Ssehrfminir — Olaf wskazał na ognisko, nad którym wciąż piekł się dzik.

— Ale on przecież... nie żyje.

— Pod koniec dnia większość z nas nie żyje — odparł wojownik. — Ale o świcie zbieramy się do kupy i ruszamy dalej. Jutro rano kości Saehrimnira porosną na powrót mięsem i będzie gotów do kolejnego polowania.

Chłopakowi wydało się, że codzienne pieczenie się nad ogniem to nic przyjemnego, ale pomyślał, że dzik może to lubić. Zapewne był równie przygłupi jak berserkerowie. Jack najbardziej martwił się tym, że Thorgil takie życie pozagrobowe może się bardzo spodobać.

— Kiedy przeszliście przez naszą wioskę — odezwał się — mieszkało tam dwóch braci. Gog i Magog. Lubili burze i nie chowali się przed nimi. Oglądali wtedy niebo. Kiedy wy zniknęliście, ich także już nie było.

— Gog i Magog. Nie wiedziałem, że ci dwaj mają jakieś imiona — powiedział Olaf. Podszedł do kubeczka z miodem, odepchnął na bok walkirię i napełnił swój róg. — Muszą gdzieś tu być. Odkąd ich zabraliśmy, są szczęśliwi jak dwie pchły na wielkim kundlu. Nie ruszają się z tej góry na krok, utrzymują tu wszystko w należyтым porządku, zbierają opał i tak dalej. Ich towarzystwo jest nam bardzo miłe, nigdy nie dręczą nikogo rozmową.

Jack zauważył, że Thorgil milczy już od jakiegoś czasu. Rzucił na nią spojrzenie i zrozumiał, że wpadła w swój ponury nastrój. Jej twarz wyglądała, jakby zbierały się na niej burzowe chmury. Oczywiście znał powód zmiany humoru wojowniczkii. Olaf wybrał Goga i Magoga, a nie ją.

— Dlaczego zostawiliście Thorgil? — spytał.

Dziewczyna podniosła wzrok. Widać w nim było napięcie.

— Gdzie ją zostawiliśmy? — Olaf potężnie beknął i otarł usta rękawem.

— Kiedy lecieliście nad naszą wioską, błagała was, żebyście ją ze sobą wzięli.

— Naprawdę?

— Tak! — zawołała Thorgil. Jej bladość zastąpił teraz różowy rumieniec irytacji. — Ale wcale nie błagałam! Prosiłam, a ty patrzyłeś na ziemię i udawałeś, że mnie nie widzisz! A potem odlecieliście. To przez moją bezwładną rękę, prawda?

Jack poczuł coś w rodzaju ulgi. Smutek przemienił się w gniew, a z rozwścieczoną Thorgil łatwiej było sobie poradzić niż ze smutną.

Olaf wyglądał na zaskoczonego.

— Wierz mi, córko. Nie wiedziałem, że tam jesteś. Zabraliśmy więc tylko Goga i Magoga, a Saehrimnir uciekał w te pędy. Zapatrzyłem się na niego i mierzyłem włócznią w jego zad. Jesteś pewna, że mnie widziałaś?

— Oczywiście, że tak! — krzyknęła Thorgil.

— Więc musisz to złożyć na karb bitewnego szału. Kiedy wojownik naprawdę zaangażuje się w walkę, staje się w pewnym sensie ślepcem. Tak czy inaczej żadna rana czy choroba nie zamyka

nikomu drogi do Valhalli. Tyrowi rękę odgryzł Fenris. Hoder jest całkiem niewidomy, a wciąż prowadzi ludzi do walki. Choć muszę przyznać, że czasem uderza mieczem nie tego, co trzeba... — dodał Olaf z namysłem. — Oni mają oczywiście specjalne przywileje, bo są bogami, ale widziałem wielu wojowników, którym brakuje jakiejś części ciała. Nie trafiłaś jeszcze do Valhalli tylko dlatego, że wciąż żyjesz.

Zupełnie się nie licząc z uczuciami Thorgil, Olaf osuszył swój róg.

— Mogłabym pewnie rzucić się z tej góry — wtrąciła ironicznie dziewczyna.

— No, proszę. Od razu znalazłabyś się w Valhalli. Hej, Brunhildo! Rusz tyłek i przynieś mi jeszcze miodu.

Jedna z siedzących wokół Heidrun walkirii podniosła się i wykonała polecenie.

— Złożyłam jednak przysięgę, że uratuję córkę Smoczego Języka. Nie mogę zginąć, zanim tego dokonam — dodała ponuro Thorgil.

— Cóż, w takim razie musisz jeszcze poczekać — zauważył Olaf. Nie wydawał się tym szczególnie zawiedziony. — Jak się miewa stary Smoczy Język? Wciąż rozstawia królów Ludzi Północy po kątach?

Jack spiesznie włączył się do rozmowy, obawiając się, że Thorgil straci panowanie nad sobą. Opisał wizytę w Podmorskiej Krainie i kiedy przypomniał sobie barda wchodzącego z draugrem do grobowca, ogarnął go wielki smutek. Olaf słuchał historii jednym uchem. Możliwe, że tak właśnie zachowują się umarli. Dla nich myśl o zamknięciu w grobie nie jest tak straszna jak dla żywych.

Jasne też było, że wojownik zastanawia się nad czymś innym. Kiedy Jack skończył opowieść, Olaf odezwał się nieśmiało:

— Nie będziesz mieć nic przeciwko... To znaczy chciałem powiedzieć, że sprawiłoby mi wielką przyjemność... — Zalał się głębokim rumieńcem. — Bardzo bym chciał znów usłyszeć ten wiersz, który ułożyłeś na moją cześć.

Chłopak odśpiewał poemat, który wykonał kiedyś na dworze króla Ivara bez Kości. Między innymi o stosie pogrzebowym Olafa:

Śluchajcie, wojowie, opowiem wam

O wojennej chwale, o walecznym Olafie.

Szczodry jest ten siewca strachu.

[fragment w przekładzie Jacka Drewnowskiego.]

Kiedy skończył, Olaf aż westchnął z rozkoszy.

Ku swej wielkiej radości Jack zobaczył Goga i Magoga, którzy wreszcie wyszli z kryjówki. Jak

zawsze nie miał pewności, ile słów znają i rozumieją, ale wyraz ich twarzy świadczył o tym, że podobała im się melodia.

Głowa Thorgil zaczęła kiwać się ze zmęczenia. Także Jack marzył już o śnie. Olaf kazał milczącym braciom zanieść oboje na plażę.

— Nie wiem, czy pogoda nie jest zanadto burzowa — rzuciła dziewczyna, tłumiąc ziewnięcie.

— Sztorm się skończył — powiedział Olaf. — Rano wyruszamy do Valhalli.

Thorgil była tak wyczerpana, że nie miała nawet siły się zasmucić, usłyszawszy, że już niedługo rozstanie się z Olafem. Chwyciła worek ze swoim skarbem i pocałowała przybranego ojca w policzek. Wojownik pogładził ją po włosach. Potem Gog i Magog wzięli na ręce Jacka i Thorgil i zeszli po stromym górskim zboczu z taką wprawą, z jaką po pionowych ścianach chodzą pająki. Ułożyli oboje przed wejściem do ślimaczego domku i zniknęli.

Chłopak i dziewczyna usnęli na piasku. Obudzili się dopiero, gdy słońce stało wysoko na niebie, a burzowe chmury odpłynęły daleko na północ.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

RATUNEK

Czy to wszystko zdarzyło się naprawdę? Może to był tylko sen? — spytała następnego ranka Thorgil.

Wyglądała w morze. Nieliczne promienie słońca z trudem rozgrzewały plażę. Zielonoszare fale lekko biły o brzeg.

— Wciąż mam laskę i płaszcz świętego Kolumbana — zauważył Jack.

Dziewczyna zadrżała.

— Czyli naprawdę jedliśmy pokarm umarłych. Co się z nami teraz stanie?

— Przez jakiś czas nie czujemy głodu.

Chłopak z tęsknotą pomyślał o pieczonym łososiu, kuropatwach i porach w śmietanowym sosie. Sam z trudem był w stanie uwierzyć w kilka wydarzeń ubiegłej nocy. Czy naprawdę stanął twarzą w twarz z Odynem? Inne epizody — jak rąbiący się wzajemnie wojownicy — wydawały mu się przygnębiająco realne.

— Widziałeś, jak oni traktują walkirie? — rzuciła Thorgil. — Nigdy, przenigdy nie pozwoliłabym nikomu tak sobą pomiatać. „Przynieś mi miodu, daj no tu chleb!”

— „Wsadź mi głowę na kark” — dodał Jack i zdusił chichot.

— To też — przyznała niewesoło wojowniczką. — Przez całe życie chciałam trafić do Valhalli, ale teraz...

— Bard mówił, że ludzie sami mogą wybrać swoje życie pozagrobowe. On zapewne jest już na Wyspach Błogosławionych. — Chłopak zamrugał przez łzy. Cudowny spokój, który ogarnął go w grocie świętego Kolumbana, nie przetrwał na morskim brzegu. — Ja jestem chrześcijaninem, więc pewnie trafię do Nieba.

— A co ludzie tam robią?

— Właściwie to nie wiem — przyznał Jack.

Wydarzenia kilku ostatnich tygodni — walka z hobgunem, podróż do Podmorskiej Krainy, śmierć barda — sprawiły, że otepiał. Wystarczało mu teraz, że może siedzieć na jasnym piasku i słuchać chłopotu fal. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że nie będzie to trwać wiecznie. Dzisiejszy dzień stanowił tylko krótką przerwę pomiędzy kolejnymi burzami. Musieli znaleźć coś do jedzenia i zbudować łódź. Ale z czego? — zastanowił się. Z tego, co wyrzucają fale? Z wodorostów? Gdyby udało mu się dostać na szczyt góry, może namówiłby Goga i Magoga, by ścięli dla nich kilka drzew.

Thorgil otworzyła swój kuferek ze skarbem. Wsunęła palce między klejnoty, wyciągnęła kilka i pozwoliła im z grzechotem spaść z powrotem do skrzyneczki.

— Chyba się przeziębiam — powiedziała. — Zupełnie mnie te kamienie nie cieszą.

— Może tak samo jak Shoney potrzebujesz kogoś, kto zapragnąłby twojego bogactwa. Inaczej nic ci po nim — zauważył Jack.

Po chwili wyruszyli, by zbadać podnóże góry. Szukali wejścia do jaskini świętego Kolumbana, ale nie mogli go już odnaleźć. Potem zrobiło się zimno. Padało przez trzy kolejne dni. Karmili się znajduwanymi na skałach małżami. Ciepła nie zaznali ani przez chwilę. Kulili się razem pod płaszczem świętego w swoim ślimaczym domku. Szata, tak samo jak przedtem, okazywała się nocami wystarczająco duża dla obojga, a za dnia świetnie leżała na ramionach Jacka.

Teraz otępieli już oboje. Nie mieli ochoty robić nic, z wyjątkiem rzeczy absolutnie koniecznych. Jack godzinami gapił się w morze, choć tak naprawdę nie widział nic. Thorgil układała swoje klejnoty w jednokolorowe kopczyki, po czym mieszała je na powrót. Nie odzywali się do siebie.

Czwartego dnia jednak nadeszła zmiana. Nad wyspą z krzykiem przemknęło stado mew. Chłopak przesłonił oczy dłonią, by wypatrywać nadciągającego sztormu. Thorgil rzuciła na ziemię narzędzie zebranych wodorostów i zaczęła krzyczeć.

— Wędrowiec! To Wędrowiec! — Podskakiwała, wrzeszcząc w ptasiej mowie.

Majająca w oddali kropka na niebie zmieniła kierunek i ruszyła ku nim.

— Wędrowiec! Władca Niebios! Szerokie skrzydło! — wołała Thorgil.

— Dziobiąca z Daleka! Wielkie szczęście! Długie poszukiwania! — skrzeczał w odpowiedzi albatros.

Wylądował na piasku i oboje odtańczyli ekstatyczny taniec radości. Kiedy emocje opadły, ptak powiedział, że Skakki zaczął ich szukać.

— Morskie gniazdo płynie — oznajmił, mając na myśli statek. — Ja przyprowadzę. — I zniknął.

Niedługo potem ujrzeni żagiel w czerwono-białe pasy i migocące wiosła, zanurzające się rytmicznie w morzu. Jack zauważył górujący nad śródokręciem kształt Schlaupa. Kiedy długa łódź zbliżyła się do brzegu, wielkolud zeskoczył do morza i wciągnął ją na piach.

— Wreszcie! — zawołał Skakki i wyściskał Thorgil. — Już myślałem, że nigdy was nie znajdziemy. Nigdzie nie mogliśmy trafić na waszą łódeczkę, więc wróciłem na Wyspę Koni i zabrałem Schlaupa. Węszył za wami, ale aż do dziś nie złapał tropu. Gdzie Smoczy Język?

Jack musiał po raz kolejny opowiedzieć o Podmorskiej Krainie i draugrze.

— Wiedziałem, że jeśli się zaufa morskiemu ludowi, nic dobrego z tego nie wyniknie — zauważył Skakki. — Wiecie, jak trafić do tego ich królestwa? Może uda mi się dobić z nimi jakiegoś targu.

— Zawsze też możemy ich najechać — zaproponował Sven Mściwy. — Aż mnie ręce świerzbią,

żeby polećtać włócznie te bagienne robale.

— Ich nikt nie odnajdzie, jeśli sami nie zechcą zostać odnalezieni — powiedział Jack. Wrócił do niego cały gniew i żaloba. Przypomniawszy sobie zdradę mieszkańców morza. — Jediną pociechą jest to, że bard sam wybrał sobie ten los.

— To prawda — westchnął Runa, po którego starczej twarzy ciekły łzy. — Gdybym miał choć dziesiątą część jego odwagi, uznałbym się za szczęśliwca. Ale wydarzyło się coś przedziwnego. Kiedy byliśmy jeszcze daleko od tej wyspy, wydało mi się, że widzę go tu na brzegu. Potem okazało się, że to ty, Jack, w tym nowym, białym płaszczu. Skąd go, u licha, wzięłeś? I tę laskę.

— To długa historia — odpowiedział zmęczonym głosem chłopak.

Tej nocy rozbili obóz na Wyspie Grima. Jedli zapasy ze statku, zresztą poza tym nie mieli prawie nic. Jack opowiedział sagę o jaskini świętego Kolumbana i tunelu wiodącym przez samo serce góry. Kiedy dotarł do fragmentu opisującego Olafa, wszyscy zaczęli wydawać okrzyki niedowierzania.

Thorgil uciszyła ich krzykiem.

— Naprawdę tam był! Widziałam go na własne oczy!

— Skoro widzisz umarłych — zauważył Eryk Zapalczywy, którego oczy zaokrągliły się z lęku — to sama też nie żyjesz.

Thorgil złośliwie palnęła go wyciągniętą z ogniska gałęzią.

— Myślisz, że duch zrobiłby ci coś takiego?

— Moja siostra nie jest draugrem! — huknął Schlaup. Urósł gwałtownie, a jego ciało pokryły guzy.

Wszyscy zaczęli szykować się do ucieczki.

— Oczywiście, że nie jest draugrem! — zapewnił Runa czym prędzej. — Smoczy Język wiele razy powtarzał, że pomiędzy dziewięcioma światami istnieją przejścia. Trzeba tylko umieć patrzeć, by je dostrzec. I wcale nie trzeba przedtem umierać.

Schlaup wrócił do swego zwykłego kształtu.

Jack opowiedział o spotkaniu z Bjoernem Łamaczem Czaszek i Einarem Żmijozębym. Nikt nie był zaskoczony, że zajadli wrogowie spotkali się w tych samych zaświatach.

— ZABAWNIEJ JEST SZATKOWAĆ WROGÓW NIŻ PRZYJACIÓŁ — wyjaśnił Eryk Pięknolicy.

Wszyscy z zachwytem wysłuchali opisu Heidrun, której wymiona stanowiły niewyczerpane źródło miodu, i Saehrimnira, dzika pożeranego co noc i odradzającego się każdego ranka.

— Wieczny zapas pieczystego i miodu. — Sven Mściwy aż westchnął. — Nie ma nic lepszego.

Chłopak opowiedział też o walkiriach i — rzucając okiem na Thorgil, by sprawdzić, jak odbiera tę relację — o tym, jak dbają o herosów po całodziennej walce. Najdłużej jednak opowiadał o

Olafie, choć ani słowem nie wspomniał o spotkaniu z Odyem.

— Żałuję, że nie mogę się z nim zobaczyć — odezwał się ze smutkiem Skakki, gdy siedzieli wokół ognia tryskającego zielononiebieskim płomieniem. — To do niego podobne, że nie jest zadowolony z Valhalli. Nigdzie nie zagrzewał miejsca zbyt długo, a co trzecią zimę odwiedzał Królową Gór. A skoro już o tym mowa... Kiedy przeprowadzę się z rodziną na Wyspę Koni, oddam dom Olafa Schlaupowi. Myślę, że będzie tam bardziej szczęśliwy.

Jack też tak uważał. Razem z Thorgil pogratulowali wielkoludowi.

— Możecie mnie odwiedzać. Wszyscy mogą mnie odwiedzać — powiedział olbrzym. — Kiedy przyjdzie zima — urwał, by dobrać słowa — zatrzymają się u mnie moje siostry, Fonn i Forath. Lubią śnieg.

Ale się wybawia! — pomyślał Jack, który już zdążył sobie wyobrazić panią Tanner piekącą łosie nad paleniskiem i trollki uśmiechające się czy szczerzące kły do Ymmy i Ythli.

Rankiem Skakki i Schlaup udali się na poszukiwania drogi na szczyt, ale nawet półtroll nie był w stanie wspiąć się po pionowych zboczach. Nie odnaleźli też jaskini świętego Kolumbana. Gdy Jack wcisnął się do ciasnej pieczary, w której ojciec Severus spędził zimę, i wsunął dłoń do otworu w ścianie, niemal natychmiast natrafił na litą skałę.

Tu jest zupełnie jak w leszczynowym zagajniku, pomyślał chłopak. Ścieżki otwierają się tylko wtedy, kiedy przychodzi właściwy czas.

Lato dobiegło końca i koło czasu obróciło się ku jesieni. Płynąc wzdłuż wybrzeża, wędrowcy wrócili do Bebbas Town. Musieli się spieszyć, ponieważ liście na drzewach zaczęły już zmieniać kolor, a nieliczne mijane przez nich pola pokryły się żółcią i beżem. Jackowi barwy te przywodziły na myśl kurhany Podmorskiej Krainy, przez co poczuł niemal nieznośny smutek. Po raz pierwszy w życiu nie miał przewodnika ani jasno określonego celu.

Najpierw był prostym, wioskowym chłopakiem uganiającym się za zbiegłymi owcami. Potem został uczniem barda. Niedługo później Ludzie Północy porwali go wraz z siostrą i musiał bardzo się postarać, by odzyskać wolność. Potem znów został porwany, tym razem przez Panią Jeziora. Każda kolejna przygoda prowadziła do następnych, z krótkimi okresami odpoczynku. Teraz jednak zostało mu już tylko jedno zadanie — ocalenie córki barda. I zupełnie nie wiedział, co pocnie, kiedy już tego dokona.

Nie był jeszcze gotów zostać bardem. Owszem, znał parę sztuczek i pamiętał receptury kilku eliksirów. Z rozpaczliwą jasnością uświadamiał sobie jednak, że nie jest w tej profesji lepszy od trzeciorzędnego skalda, którego zatrudnił Żmijozęby, by słuchać pieśni na swą cześć. Czyżby jego

przeznaczenie też miało się sprowadzić do podróżowania — wzorem Mniejszej i Większej Połowy — z miejsca na miejsce i szukania nowych pracodawców, gdy tylko dawni się nim znudzą?

Thorgil także pogрузyła się w ponurych rozmyślaniach. Nie chciała deklamować swych oczekujących krwią sag, nawet kiedy Eryk Pięknolicy uprzejmie poprosił, by zaśpiewała o zamarzających na śmierć żeglarzach. Zamknęła się w sobie i poza Wędrowcem nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć. Wielki ptak nie odstępował jej na krok i wciąż cicho skrzeczał.

— Trawi go tęsknota za zaginionym stadem — wytłumaczyła dziewczyna w jednej z rzadkich chwil, kiedy zdecydowała się odezwać. — Stracił je na dalekim południu i wie, że już nigdy nie zobaczy swych pobratymców.

Jack rozumiał, że Thorgil wciąż przeżywa koniec swego marzenia o zostaniu walkirią.

Długa łódź pędzona chryżym wiatrem mknęła prędko i po niedługim czasie minęli Edwin's Town. Potem zbliżyli się do Świętej Wyspy. Jack zobaczył wieczorem na jej wybrzeżu kilka ognisk i domyślił się, że mnisi próbują odbudować klasztor.

Do Bebbas Town dotarli w środku nocy — była to jedyna pora, gdy statek z berserkerami i półtrollem mógł bezpiecznie przybić do brzegu.

— Żałuję, że muszę was zostawić — powiedział Skakki, gdy wiosłowali w milczeniu. — Jednak boję się dłużej czekać. Wyczuwam w wietrze zapach lodu. I tak będziemy mieć szczęście, jeśli uda nam się przed zimą przewieźć wszystkich na Wyspę Koni.

— Nie martw się o nas — rzuciła apatycznie Thorgil.

— Martwię się, siostrzyczko. Dlaczego nie chcesz płynąć z nami?

— Przysięgłam uratować córkę Smoczego Języka.

— A co potem? — spytał Skakki.

— Jeśli nie spadnie zbyt wiele śniegu, ruszymy do wioski — odpowiedział Jack. — A gdyby się nie udało, spędzimy zimę u króla Brutusa.

Chłopak nie cieszył się na żadną z tych możliwości. W wiosce czułby tylko wstyd, nie będąc dość wyszkolonym, by zostać bardem, a zarazem zbyt wykształconym na wieśniaka. Król Brutus z pewnością zniósłby jego obecność przez jakiś czas, ale i tak wolałby towarzystwo Pani Jeziora. Jack wiedział, że w końcu będzie musiał opuścić Bebbas Town.

— Nie podoba mi się to — przyznał Skakki.

— To nasze przeznaczenie — stwierdziła Thorgil. — Poszukaj nas wiosną, a jeśli nas nie odnajdziesz, spotkamy się w Valhalli. — Odwróciła wzrok. Jack zrozumiał, że to dlatego, iż wcale już nie chciała tam trafić.

— Siostrzyczko — zahuczał Schlaup, całując mocno głowę Thorgil. — Możesz zatrzymać się u mnie.

— Może tak właśnie zrobię — powiedziała dziewczyna ze smutkiem.

Jack zdawał sobie sprawę, że to także nie było miejsce dla niej.

Statek zatrzymał się w przystani i Schlaup wyniósł ich oboje na brzeg.

— Uważajcie na siebie. Odszukam was wiosną — obiecał Skakki.

Długa łódź odbiła od brzegu i Jack patrzył za nią, póki nie zniknęła w ciemności. Wraz z nią rozplynęli się jego przyjaciele: Runa, Sven Mściwy, Eryk Pięknolicy, Eryk Zapalczywy, Skakki i Schlaup. Przez moment miał wrażenie, że zamknięto go w grobie. Dopiero po dłuższej chwili skarcił się w duchu za uzalanie się nad sobą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ZARAZA

Powiedziałam Wędrowcowi, że teraz ja chcę poszukać miejsca na gniazdo — powiedziała Thorgil. — Zrozumiał to od razu. Jego pobratymcy robią tak co roku. Skakki zawiezie go na Wyspę Koni, gdzie wszystkie skały aż roją się od morskiego ptactwa. Może pewnego dnia wiatry zagonią tam jakąś samicę z jego rodziny.

Nieśli swój dobytek nabrzeżem. Jack zauważył, że w zatoce nie cumuje ani jeden statek. Wydało mu się to dziwne. Bebba's Town nie było co prawda tak ważne jak Edwin's Town, ale port zwykle tętnił życiem. Nawet zimą powinny chronić się tu jakieś statki, których kapitanowie postanowili przeczekać sztormową pogodę.

Znaleźli leżącą na uboczu plażę i rozbili obóz pod drzewami, powyżej linii przyływu. Spali jednak czujnie i niezbyt głęboko, ponieważ w pobliżu wielkich skupisk ludzi zawsze można było spodziewać się kradzieży.

— Chyba nic się nie stanie, jeśli rozpalimy ogień — powiedział Jack, gdy otaczająca ich wilgotna mgła pojaśniała o świcie.

Mimo płaszcza świętego Kolumbana oboje zziębli i przemokli. Mokre było też drewno, które zebrali. Na szczęście chłopakowi udało się za pomocą laski przyzwać płomień.

— Jest lepsza od twojej starej? — spytała Thorgil, rozwieszając swój płaszcz, by wysechł.

— Jest inna — odpowiedział Jack, który nową laską rozpałał ogień, odpędzał natrętne muchy i przywoływał wiatr. Wszystko to już umiał.

Czasem jednak laska świętego zachowywała się, jakby była obdarzona własnym umysłem. Gdy jeszcze płynęli do Bebbas Town, Eryk Piękności zaczął narzekać na wrastającą skórę przy paznokciu. Jack odruchowo wziął wojownika za rękę, a wtedy zalało ich płynące z laski ciepło. Kiedy chłopak zwolnił chwyt, dłoń Eryka była już zdrowa.

Obaj bardzo się tego przełękli. Jack nie lubił mieć do czynienia z siłami, których nie był w stanie kontrolować.

Thorgil wyciągnęła z worka suszone ryby i jagody.

— Strasznie tu cicho — zauważyła.

Jack uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Miała rację. Nie odeszli zbyt daleko od portu i można się było spodziewać, że o tej porze doleczą ich już ożywione ludzkie głosy.

— Może obchodzą dziś jakieś święto.

— Albo przyleciał smok i wszystkich pożarł. — Thorgil zaczęła wysysać rybę, która okazała się

zbyt twarda, by ją przeżuć.

— Tutaj nie ma smoków.

— Nie było. — Na twarzy wojowniczkę pojawił się cień uśmiechu i dawnej złości.

Chłopak uznał, że poczuła się lepiej.

Jedli, słuchając mgły i szeptu zbliżających się i oddalających fal. Plaża była osłonięta przed większymi bałwanami dzięki leżącym nieopodal wyspom. Wreszcie mgła ustąpiła i nad wschodni horyzont weszło blade słońce. Nie zrobiło się jednak o wiele cieplej.

— Czeka nas długa przechadzka. Powinniśmy ruszać — stwierdził Jack, podnosząc z ziemi worek i laskę.

Ruszyli do portu. Stamtąd poszli ścieżką ku głównej drodze, wiodącej do Din Guardi. Teraz także nie widzieli w zatoce ani jednego statku. Z ziemi wzbijała się rzadka mgiełka. Cisza i przyćmione przez nią światła sprawiały, że wszystko wydawało się odległe, zupełnie jakby Jack i Thorgil szli przez całkiem inny świat.

— Lepiej, żeby to nie były jakies omamy. — Thorgil kopnęła kamień.

— Nie rozumiem, co się dzieje — przyznał zaniepokojony chłopak. — Stanowczo zbyt tu cicho.

Dokładnie w tej samej chwili ujrzał przed sobą grupę Sasów. Nie wyglądali na tak niebezpiecznych ani wojowniczych jak Ludzie Północy, ale szli, niosąc prymitywną broń — taką, jaką zwykle posługiwali się wieśniacy.

— Stać! Nie ma przejścia! — krzyknął ich przywódca. — Skąd przybywacie?

— Z portu — odpowiedział Jack.

— W takim razie wracajcie na statek. Nikt nie ma wstępu do Bebbas Town.

— Dlaczego? Ktoś was zaatakował?

Mężczyzna zaniósł się gorzkim śmiechem.

— Można tak powiedzieć. Na miasto spadła zaraza.

— Zaraza? — powtórzył chłopak jak echo. — Bardzo groźna?

— Spala człowieka gorączką. Albo wchodzi w płuca i sprawia, że ludzie się topią. Tak czy inaczej w końcu się umiera. Dotąd udało się ją powstrzymać za murami klasztoru, ale ojciec Severus zakazał wpuszczać do miasta podróżnych, mieszkańcy zaś muszą siedzieć w domach.

— Co z królem Brutusem? — spytała Thorgil.

Chłop splunął na ziemię.

— Nim się nie przejmujcie. Co noc bawi się i ucztuje z dworzanami. Czujemy zapach jadła i słyszymy piękną muzykę, ale nikt nie może wejść do zamku ani z niego wyjść. Ludzie gadają, że towarzystwa dotrzymuje mu Pani Jeziora.

W umyśle Jacka natychmiast pojawiło się tysiąc różnych myśli. To z pewnością ta choroba, którą draugr zaraził brata pani Tanner.

— Musimy natychmiast zobaczyć się z królem — powiedział.

— Nie ma takiej możliwości. Siedzi za zamkniętymi bramami.

— A ojciec Severus? — spytał chłopak.

— Klasztor to ostatnie miejsce, w którym chcielibyście się znaleźć — powiedział mężczyzna.

Przeżegnał się, a zaraz po nim jego ludzie. — Gdy choroba przeniosła się ze szpitala na mnichów, ojciec Severus rozkazał zapieczętować bramy. Nie otworzą ich, póki nie nadejdzie wiosna.

— Ale przecież mnisi poumierają! — zawołał Jack.

I Ethne umrze — dodał w myślach.

— Umrą i znajdą bezpieczny dom w Niebie. Wracajcie na statek, młodzi podróżnicy. Nie zapomnijcie podziękować Bogu za takich świętych jak ojciec Severus. Odkąd zamknął bramy klasztoru, zaraza nie dopadła nikogo.

— Zaryzykujemy — oświadczył Jack o wiele odważniej, niż miał na to ochotę. Wyprostował się tak bardzo, jak tylko potrafił. Przy boku mocno ścisnął laskę, na jego ramionach lśnił płaszcz świętego Kolumbana.

— Nie zaryzykujecie — odparł przywódca patrolu. — Mamy rozkaz zabić tych, którzy nie posłuchają poleceń.

Chłopi stanęli wachlarzem na drodze. Chwycili za noże, kije i siekiery.

Rozkazy oczywiście wydał ojciec Severus, pomyślał chłopak. Ciekawe, ilu niewinnych ludzi zginęło od tej ich barbarzyńskiej broni...

— Wracajcie albo gińcie!

Jack zaczął mówić. Nie wiedział, skąd zna te słowa ani nawet w jakim wypowiada je języku. Znaczenie jednak na chwilę zamajaczyło w jego głowie.

*Powstaję dziś z mocy Nieba,
Promieni słońca, blasku księżyca,
Wspaniałości ognia, lotu błyskawicy,
Szybkości wichru, głębi morza,
Pewności ziemi, twardości skały.
Wzywam dziś wszystkie te siły,
By ochroniły mnie przed złem.*

Wokół niego rozbłysnęło światło. Otoczył Thorgil płaszczem świętego Kolumbana. Blask zalał też dziewczynę.

— Gdzie oni są? Co się stało?! — zawołał dowódca Sasów. Jego ludzie rozpięzchli się dokoła, sprawdzając krzaki uderzeniami kijów.

— To czary! — krzyknął jeden z nich. — Szatańska sprawka!

Chłopi wpadli w panikę i uciekli. Dowódca pobiegł za nimi, wykrzykując kolejne rozkazy.

Zupełnie nie przypominają Ludzi Północy, pomyślał Jack z ponurym rozbawieniem. Ludzie Północy rzuciliby się na Szatana bez zastanowienia. Oczywiście dlatego, że niewiele myślą.

— Co to było? — spytała szeptem Thorgil.

— Chodź ze mną — odparł Jack.

Ruszyli drogą przed siebie. Minęli osamotnionego dowódcę. Przesłaniał oczy dłonią i szukał śladu uciekinierów. Jack w duchu przyznał, że szanuje jego męstwo.

Droga zaprowadziła ich do miasta. Na rynku natknęli się na kolejny patrol. Zatrzymywano każdego, kto pojawiał się w zasięgu wzroku, i pod strażą odprowadzano na miejsce. Handel był wciąż dozwolony, ale nie można się było swobodnie poruszać. Jaki respekt musi budzić w mieście ojciec Severus! — pomyślał chłopak. Wszyscy są mu bezwzględnie posłuszni.

Szli między domami, ogrodami i kurnikami. Nieco dalej chatki stały się skromniejsze, za to otaczały je o wiele większe gospodarstwa. Zabudowania były utrzymane w porządku, choć sprawiały niezwykle przygnębiające wrażenie.

Twierdza Din Guardi stała na swej nadmorskiej skale, ale nie wyglądała na fortecę, która może przepelnić serca najeźdźców strachem. Żadna armia berserkerów nie ulękłaby się ślicznych różowych wież ani rzeźbionych na murach winorośli. Niemniej budowla była mocna. Bramy zamknięto na cztery spusty. Nie dało się wejść do wnętrza tak po prostu, jak uczynił to niegdyś bard.

Jack wyczuł, że robi się coraz ciemniej. Zaczerpnął głęboko powietrza.

— Wyjaśnisz mi wreszcie, co się stało? — spytała ostro Thorgil. — Wypowiedziałeś zakłęcie w jakimś dziwnym języku i sprawiłeś, że staliśmy się niewidzialni. Nie miałam pojęcia, że znasz takie czary.

— Ja też nie — przyznał Jack. — Myślę, że to była *lorka*. Zakłęcie opiekuńcze. Widziałem kiedyś, jak posłużył się nim bard, ale nie mógł mnie tego nauczyć. Powiedział, że słowa przychodzą same, w razie potrzeby, i że potem natychmiast się je zapomina.

— Ja je pamiętam! — rzuciła butnie dziewczyna i nagle się zawahała. — Na Aesirów! Zapomniałam! Po co komu taki czar, którego nie można użyć w dowolnym momencie?

— Wydaje mi się, że to po prostu jedna z rzeczy, których nie można posiadać na własność — wyjaśnił chłopak. — Tak czy inaczej teraz już jesteśmy widoczni i powinniśmy poprosić króla Brutusa o pomoc. Bardzo się martwię o Ethne.

Zamknięte były nie tylko bramy twierdzy. Również okna od strony łądu zamurowano cegłami. Stromy klif nie pozwalał sprawdzić, czy zrobiono tak również od strony morza.

— Myślisz, że wszyscy nie żyją? — zapytała Thorgil.

— Słuchaj... — polecił Jack.

Ponad szum fal wzbijały się pieśni i śmiechy. Wiatr przyniósł ze sobą woń pieczonego mięsiwa.

— Na kły Nidhogga! — zaklęła wojowniczką, przywołując imię smoka, który podgryza korzenie Yggdrassila. — Brutus sobie ucztuje, a jego poddani cierpią! Do czegoś takiego nie zniżyłby się żaden władca Ludzi Północy. Nawet Ivar w swoim szaleństwie zawsze dbał zimą o swoich.

— Zastanawiam się, czy Brutus w ogóle wie, co tu się dzieje — powiedział Jack.

— Mógłbyś swoimi czarami otworzyć dla nas bramę?

— Może — odparł chłopak z powątpiewaniem.

Stanął przed potężnymi drewnianymi wrotami i spróbował przyzwać ogień, ale nic się nie stało. Z wewnątrz, jakby kpiąc z wędrowców, wciąż płynęły odgłosy hucznej zabawy.

— Nie wiem, jak używać laski świętego Kolumbana — przyznał. — Niekiedy jest mi posłuszna, ale o wiele częściej sama robi coś zupełnie nieoczekiwanego.

— Będziemy więc musieli pójść do klasztoru — stwierdziła dziewczyna.

— Miałem nadzieję... — Jack urwał. Patrzył zmartwionym wzrokiem na śliczne zielone rzeźbienia na murze. Pani Jeziora ozdobiła je wykonanymi z drogocennych kamieni kwiatami. Chłopak nie miał pojęcia, jaka część fortecy jest prawdziwa, a ile z tego, co widzi, to tylko magiczna ułuda. Niemniej stanął przed przeszkodą, której nie był w stanie pokonać. — Miałem nadzieję, że w środku znajdziemy Ethne. Bard chciał, żeby to Brutus ją uratował i uczynił swoją królową.

— Na to chyba nie ma większych szans. — Thorgil podniosła swój plecak i odeszli w kierunku klasztoru świętego Filiana.

Jack kroczył w milczeniu, wiedząc, że czeka ich długi spacer. Kiedy jednak mijali pole, na którym pasło się kilka kucyków, wojowniczką ostro gwizdnęła. Dwa koniki podniosły głowy i podbiegły do wędrowców.

— Jak to zrobiłaś? — spytał z podziwem Jack.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— To chyba działa jak *lorka*. Po prostu to robię.

Kucyk, na którego wskoczyła Thorgil, przyjął ciężar jeźdźca spokojnie, ale wierzchowiec Jacka zaczął wierzgać tak gwałtownie, że dziewczyna musiała go uspokoić, szepcząc mu coś do ucha. Ale nawet wtedy zwierzę raz po raz narowiło się tak, że jazda w najmniejszym stopniu nie była przyjemna.

— Zatrzymajmy się na kilka minut — powiedział Jack, gdy znaleźli się w sosnowym lesie rosnącym ponad klasztorem. — Muszę się zastanowić. — Z ulgą ześlizgnął się z konika i usiadł na trawie.

Ściany widniejącego poniżej budynku były świeżo pokryte warstwą wapna, ale wydawało się, że ogrody i sady są zaniedbane. Jezioro wystąpiło z brzegów, zalewając część pól. Długi język wody lizał drzwi klasztoru. Obok wznosił się budynek żeńskiej części zgromadzenia. Jack pokazał go palcem.

— Jeśli nas nie wpuszczą do środka, tam właśnie powinniśmy pójść. Może zakonnice uniknęły zarazy.

— Albo już wszystkie nie żyją. — Thorgil jak zwykle mierzyła się twarzą w twarz z najgorszą możliwością. — Nie wiemy, kiedy ta choroba się zaczęła.

Jack poczuł mdlący gniew na ojca Severusa. Gdyby mnich nie był uparty jak osioł, nic złego by się nie stało. Gdyby okazał miłosierdzie syrenie, bard nadal by żył. Gdyby był choć w dziesiątej części tak dobroduszny jak brat Aiden, nigdy nie pozwoliłby Ethne zamknąć się w celi. Gdyby, gdyby, gdyby! Jedno wydarzenie prowadziło do następnego i wszystko kończyło się katastrofą.

— Niechętnie to mówię, ale boję się tam iść — przyznała dziewczyna. — Zaraza po jakimś czasie wypala się jak ogień, ale na razie sami możemy zachorować. Ludzie Północy, którzy umierają w tak niegodny sposób, trafiają do lodowatych sal Hel. Muszą tam wędrować przez całą wieczność bez celu, za towarzystwo mając tylko niewolników i krzywoprzysięców.

— Wasza religia jest taka pogodna — powiedział Jack z przekąsem. — Za największą radość w przyszłym życiu uważacie Ragnarok. Odyn prawie rozpląnął się z rozkoszy, gdy opowiadał o Garmie spuszczonej ze smyczy i okrucie śmierci, który przyniesie zagładę żyjącym.

— Coś ty powiedział?

Jack zbyt późno uświadomił sobie, że nie powiedział Thorgil o spotkaniu z bogiem wojny.

— Oj, to nic takiego — mruknął. — Na Wyspie Grima spotkałem się z Odynem. Zobaczyłem go na wielkim tronie. Olaf siedział u jego stóp. Nie przypadliśmy sobie do gustu.

— Widziałeś Odyna, a ja nie?!

— Nie byłabyś nim zachwycona. Natychmiast posłałby cię po róg piwa.

Przez moment wyglądało na to, że Thorgil rzuci się na chłopaka z pięściami, ale nagle zamarła. I roześmiała się. Śmiała się serdecznym śmiechem, jakiego Jack dawno już u niej nie słyszał.

— Och, a to dobre! Oczywiście, że by mną pomiatał. I byłabym mu posłuszna. Bogom się nie odmawia. Ale tak, potem czułabym się podle. — Śmiała się, aż po policzkach pociekły jej łzy. Chłopak przyglądał się towarzyszcze ze zdumieniem i podziwem.

Wreszcie się uspokoiła i otarła twarz rękawem.

— Czuję się teraz taka lekka, jakby ktoś otworzył okno w dusznym pomieszczeniu.

Jack pochylił się i wziął ją za rękę.

— Jesteś córką Allyson, Jill — powiedział, przywołując imię, które zmarła matka dziewczyny nadała jej przy narodzinach. — Ragnarok nie jest twoim przeznaczeniem.

Przez chwilę spoglądali sobie poważnie w oczy. Wietrzyk szeleścił w gałęziach sosen. Z sadów dolatywała woń jabłek. Wreszcie Thorgil podniosła się z trawy.

— Musimy uratować Ethne — oświadczyła. — Niech bogowie sprawią, byśmy zastali ją przy życiu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

WULFHILDA

Z kucyków zsiadli pod samymi murami. Sad jabłoniowy musiał być od jakiegoś czasu opuszczony. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem owoców. Jackowi wydawało się, że nigdy nie czuł tak pięknego zapachu. Zerwał jabłko i przytknął je do nosa.

— Już samo to nam mówi, że z zakonnicami nie jest dobrze — zauważyła Thorgil. Także sięgnęła po owoc i zaczęła jeść. Kilka jabłek wcisnęła do worka.

Obeszli klasztor dokoła; w miejscach, gdzie wylało jezioro, brodzili w wodzie. Wszystkie drzwi zostały zaryglowane, a okna zamurovano. Ze świętego Filiana, w odróżnieniu od Din Guardi, nie dobiegały żadne głosy.

— Przeklęta dokładność ojca Severusa — rzucił chłopak, próbując wyważyć drzwi ramieniem.

Nawet kryta spadzistym daszkiem furtka prowadząca na cmentarz została wzmocniona. Mury klasztoru były wysokie jak w twierdzy i bardzo starannie wygładzone. Nie było gdzie zaczepić nogi.

Przez chwilę bezskutecznie nawoływali. Jack spróbował przyzwać ogień i podpalić główne wrota. Bez powodzenia.

— Dlaczego to mnie nie słucha? — złościł się na laskę. — Przedtem umiałem przywołać ogień. Dlaczego nie teraz?

— Przeznaczenie — wytłumaczyła zwięźle Thorgil. — Wygląda na to, że przygotowało już dla nas ścieżkę. Pokazało nam wejście do jaskini świętego Kolumbana, ale za drugim razem nie mogliśmy jej znaleźć. Gdy nadszedł czas, byśmy opuścili Wyspę Grima, pojawił się Wędrowiec. Podobnie *lorka* przyszła do ciebie we właściwym momencie. A teraz, jak sądzę, powinniśmy pójść do zakonnic.

Okazało się, że wrota do budynku dla kobiet stoją otworem. Niesione wiatrem zeschnięte liście furkotały na niewielkim dziedzińcu. W ścianach otwierały się liczne drzwi, przez które widać było malutkie cele, prawie, jeśli nie liczyć posłań, pozbawione wyposażenia. W przeciwnym krańcu dziedzińca znajdowała się kaplica. Na pokrytym białym płótnem stole stał cynowy krzyż. Pojedyncze okno wykonano z niewielkich kawałków szkła, połączonych ołowianym spoiwem. Szybki były mlecznobiałe, z wyjątkiem jednej — w samym środku. Ta miała kształt trójkąta i barwę rubinu. Przypominała nieco kroplę krwi. Słońce świeciło przez nią tak wspaniale, że Jackowi zaparło dech w piersi.

— To szkiełko na pewno pochodzi ze Świętej Wyspy — szepnął. — Kiedy roztrzaskano

tamtejszy witraż, ocalałe kawałki zamontowano właśnie u świętego Filiana.

Nie dodał — bo i po co? — że odpowiedzialni za zniszczenie wyspy byli berserkerzy: Olaf Jednobrewy, Sven Mściwy, Runa, Thorgil.

Nieopodal ktoś jęknął. Jack i Thorgil wybiegli z kaplicy i zaczęli przeszukiwać cele. W trzeciej z kolei znaleźli kobietę. Leżała na stercie gnijącej słomy.

— Wulfi! — zawołała Thorgil.

Jack z trudem rozpoznał w zakonnicy tłustą, zdrową osobę, którą widział wcześniej. Wychudła. Jej skóra poszarzała od choroby i brudu.

— Wody — wyszeptała Wulfhilda.

Dziewczyna wyciągnęła swój bukłak z cydrem i wlała jej kilka kropel do ust. Wulfhilda zakrztusiła się, ale jakoś zdołała przełknąć.

— Rozpalimy ognisko i przygotujemy ci coś do jedzenia — powiedziała wojowniczką. — Mamy tylko suszone ryby, ale jeśli znajdę garnek, ugotuję zupę.

— Garnki — wychrypiała chora. — W magazynie.

Jack i Thorgil wyciągnęli spod zakonnicy starą słomę i przynieśli świeżej, którą znaleźli w innych celach. Dziewczyna pokroiła jabłko na cienkie plasterki i włożyła je Wulfhildzie do rąk.

— Zjedz, jeśli możesz. Niedługo wrócimy.

Po chwili znaleźli magazyn. Budowla robiła wrażenie. Wzniesiono ją z kamienia i opatrzono ciężkimi drewnianymi drzwiami, które musieli szarpnąć jednocześnie z całych sił, bo inaczej nie dałoby się ich otworzyć. Na półkach stały garnki, kubki i deski do krojenia. Przy drzwiach znaleźli drewno na opał. Na wyższej platformie leżały worki ze zbożem i fasolą. Pod nimi ustawiono skrzynie pełne kręgów sera, boczku i wędzonych ryb. Gliniane dzbany z miodem i oliwą oraz świece odkryli w sąsiednim pomieszczeniu. Jajka spoczywały w koszach z delikatnych gałązek jesionu. Otwierająca się w podłodze kłapa prowadziła do piwniczki z cebulą, rzepą, bukłakami piwa i cydru.

— Pomyśl tylko! — zawołała Thorgil. — Tyle jedzenia, a biedna Wulfi była zbyt słaba, żeby się tu dostać.

— Gdzie reszta zakonnicy? — spytał niespokojnie Jack.

— Wszystko w swoim czasie — odparła wojowniczką. — Najpierw Wulfhilda musi nabrać sił. Potem ją wypytamy.

Ogień rozpalili na zewnątrz. Z wpadającego do jeziora strumienia Thorgil przyniosła wodę.

— Ja się zajmę gotowaniem — powiedziała. — Ty nakarm Wulfi cydrem z miodem. Ale nie podawaj jej zbyt dużych porcji. U nas zawsze tak się robiło. Tych, którzy wychodzili z zarazy, karmiło się po trochu. Inaczej umierali.

Jack usiadł obok zakonnicy i przytknął dłoń do jej czoła. Było chłodne. Zaraza musiała już

opuścić jej ciało. Chłopak zwilżył usta kobiety posłodzonym cydrem.

— Dobrze — szepnęła Wulfhilda. Jednak pokrojonego w plasterki jabłka nie tknęła. Kawałki owocu leżały w słomie.

Jack poił chorą cydrem, aż w końcu pojawiła się Thorgil z kubkiem zupy w ręku. Ugotowała w wodzie boczek, wskutek czego powstał pachnący, słonawy wywar, w którym pływały tłuste oka. Wulfhilda powitała nowe danie z prawdziwym entuzjazmem.

— Doooooobre — mruknęła.

Karmili ją powoli i spokojnie. Kobieta zaczęła stopniowo odzyskiwać siły i po chwili była już w stanie rozmawiać.

— Zaraza. Wszyscy umierają. Albo już nie żyją.

— Wszyscy? — Jack poczuł, jak coś ściska go za serce.

— Ojciec Severus kazał zakonnikom zamknąć się w klasztorze — odparła Wulfhilda. — Powiedział, że jesteśmy już zgubione, ale jeśli nie wyjdziemy na zewnątrz, możemy uratować miasto. Powiedział, że Bóg doceni naszą ofiarę i wybaczy nam grzechy. — Zanim mogła kontynuować, musiała chwilę odpocząć. — Kazał też wszystkim pościć.

— Głupiec — syknęła Thorgil. — Każdy wie, że głód jest bratem śmierci.

— A co z Ethne? — spytał Jack.

— Nie dopuszczano mnie do niej. Próbowałam. — Po policzkach Wulfhildy pociekły łzy.

Stopniowo poznali całą historię. Tak jak podejrzewała Thorgil, pierwszym chorym był brat pani Tanner. Przyszedł po pomoc do klasztoru, a kiedy ojciec Severus zdał sobie sprawę, jak niebezpieczna jest jego choroba, posłał mnichów, by spalili lepiankę Tannerów.

Następni rozchorowali się mnisi ze szpitala i ludzie, z którymi się zetknęli. Właśnie wtedy opat kazał zakonnikom zamknąć się w klasztorze. Kobiety zaraziły się, piorąc ubrania mnichów. Co gorsza, wskutek letnich upałów rozpleniły się pchły. Namnożyło się ich znacznie więcej niż zwykle i nawet duchowni, którzy na ogół poddawali się ukąszeniom z ochotą, składając swą krew w ofierze Chrystusowi, teraz bardzo cierpieli. Insekty były wszędzie; każdy mnich drapał się tak mocno, że zakonne szaty pokryły się czerwonymi plamkami.

I wtedy ojciec Severus zarządził post. Po trzech dnia jeden z mnichów, brat Sylvus, przyszedł do Wulfhildy i kazał jej przynieść jedzenie z magazynu.

— Brat Sylvus to dobry człowiek — mówiła zakonnica. — Inny niż reszta tych szumowin. Jest naprawdę miły i nie mógł patrzeć, jak głodują słabsi mnisi i zakonnice. Wypuścił mnie przez cmentarną furtkę i pobiegłam. Wzięłam tyle jedzenia, ile tylko mogłam unieść, ale kiedy wróciłam, furtka była już zamknięta. — Zakonnica przez chwilę płakała, nic nie mówiąc. — Chodziłam wokół klasztoru, błagając, by mnie wpuścili. Nikt nie odpowiadał. Próbowałam dzień za dniem. Potem rozboleła mnie głowa.

Zaraza dopadła i Wulfhildę. Zakonnica nie wiedziała, jak długo leży w malignie. Z początku miała jeszcze siłę, by czołgać się do strumienia i nabierać wodę do kubka. Potem nie pamiętała już nic.

Jack spojrzął na stojący w kącie kubek. Był zupełnie suchy i pokryty pajęczyną.

— Skoro tobie udało się przeżyć, może ktoś jeszcze wyzdrowiał — powiedział. — Jak dostać się do środka?

— Nie wiem — zaszlochała zakonnica. — Ojciec Severus wzmocnił i zamknął wszystkie drzwi i okna.

Jack i Thorgil raz jeszcze obeszlą klasztor. Chłopak znów spróbował przyzwać ogień, a nawet — ponieważ dyszał wściekłością — wywołać trzęsienie ziemi. Bez rezultatu. Gdy daremnie napierał na cegły w zamurowanych oknach, przyszło mu do głowy, że opat naprawdę uratował miasto. Gdyby zaraza się rozniosła, umarłyby setki lub tysiące ludzi. Skoro tak, to Severus okazał się bohaterem. Albo świętym. Ale czy można zostać świętym, zmuszając towarzyszy, by z tobą umarli?

— Zjedzmy trochę mojej zupy — zaproponowała Thorgil. — Zwariuję od jej zapachu.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Jack i zatrzymał się raptownie. Pociągnął nosem. Intensywna woń nawet z tej odległości przyprawiała go o burczenie w brzuchu. — Właśnie, Thorgil! Jesteś genialna! — Pomknął z powrotem do celi zakonnicy i obudził pogrążoną w półśnie kobietę. — Które drzwi klasztoru najłatwiej otworzyć? — spytał.

— Dlaczego... — Wulfhilda spróbowała sobie przypomnieć. — Główna brama i tylne wrota są ciężkie. Musi je otwierać dwóch mężczyzn naraz. Brama do ogrodu została zamurowana ceglami. Ale furtkę na cmentarz, jeśli nie jest zaryglowana, może pchnąć nawet dziecko.

— Dziękuję — powiedział Jack i uścisnął dłonie kobiety.

Pędem wrócił do Thorgil, która była zajęta pochłanianiem rosołu.

— Znajdź w magazynie jakiś większy garnek — polecił. — Przynieś też kubki i łyżki. Przygotuję potrawkę, na którą połasiliby się nawet Święci Pańscy.

Poszedł do piwnicy po rzepe, cebulę, rozmaryn, tymianek i czosnek, a Thorgil wróciła nad strumień po wodę. Jack pokroił wielki kawał boczku. Tuż przed furtką na cmentarz rozpałił nowe ognisko. Obserwując niegdyś Pegę, dowiedział się co nieco o gotowaniu i potrafił przyrządzić potrawkę, która nie tylko świetnie smakowała, ale także mogła zapachem wskrzesić umarłego.

— Cudowna! — przyznała Thorgil z uznaniem, gdy woń jedzenia rozeszła się dokoła. — Aż mam ochotę wskoczyć do garnka.

— Rozumiem, że to komplement — odparł Jack. — A teraz zobaczymy, czy uda mi się przywołać łaskę świętego Kolumbana do porządku. — Opuścił ją nad bulgocący kociołek. Natychmiast przyszły do niego słowa w nieznanym języku. Doskonale jednak rozumiał ich

znaczenie.

Wzejdź jak słońce

I przynieś światu żar.

Nagnij się jak gałąź

Ociężała owocarni.

Przebudź cierpiących,

Ulecz ich serca nadzieją.

Powtórzył zaklęcie trzykrotnie i wonna, pachnąca para wytrysnęła nad garnkiem jak woda z fontanny i przeląła się za mur.

Przez kilka chwil nie działo się nic.

— Przyłóż ucho do drzwi — powiedział Jack. — Słyszysz coś?

— Ktoś ciągnie coś po ziemi. Ktoś płacze — odparła Thorgil.

— Czyli jednak nie wszyscy pomarli.

Chłopak czekał w napięciu. Za jakiś czas do jego uszu doleciało słabe stukanie w furtę. Ktoś odsunął rygiel. Po długiej chwili ciszy kolejny rygiel wysunął się z zamka.

— Szkoda, że nie możemy mu pomóc — rzucił Jack.

Po czterech szczęknięciach rygla drewniana furtka drgnęła.

— Odsuń się! My się tym zajmiemy! — zawołała Thorgil.

Człowiek po drugiej stronie opadł jednak z sił i musieli przepchnąć jego ciało, jednocześnie przesuwając furtkę. Wojowniczką zdołała się przecisnąć przez powstałą szparę i odciągnąć mnicha z drogi. Jack uklęknął przy chorym i dotknął jego czoła. Było chłodne. Zakonnik także powracał już do zdrowia.

— Zawiodłem ojca Severusa — jęknął mnich. — Poczułem woń jedzenia. Mam słabą wolę. Otworzyłem klasztor.

— Jestem pewien, że ojciec Severus wymyśli dla ciebie stosowną pokutę — rzucił poirytowany Jack. Opat chciał zagłodzić swoje stadko, nawet jeśli mnisi przetrwaliby wybuch epidemii.

— Och, nie, on już siedzi po prawicy Pana — powiedział zakonnik. — Siostra Brecca widziała w środku nocy, jak anioły wciągały na złotych linach jego duszę do Nieba.

— A więc się doczekał. Gdzie cała reszta?

— W kaplicy — powiedział mnich, z niekrytą tęsknotą spoglądając na kubek potrawki w dłoniach Thorgil.

Dziewczyna podała mu naczynie do ręki.

— Trochę możesz zjeść teraz. Potem dostaniesz więcej — poleciła.

Jack po raz pierwszy mógł przyjrzeć się dokładnie cmentarzowi. Dawniej było to porośnięte trawą pole z kilkoma ponurymi nagrobkami. Teraz widniało na nim wiele świeżych kopczyków. W niektóre wetknięte były drewniane krzyże, choć większość grobów ich nie miała. Rozmiar nieszczęścia był przerażający. Jack przygotował się w duchu na spotkanie z niepochowanymi jeszcze ciałami, ale na żadne nie natrafił. Mimo że osłabieni, mnisi i zakonnice nie zapomnieli o swych towarzyszach.

Bijący z kaplicy smród uderzył w nozdrza, zanim jeszcze Jack dotarł do środka. Zapewne zbierali się tu chorzy — pomyślał. Nikt w klasztorze nie spodziewał się przeżyć, a dla chrześcijanina nie ma lepszego miejsca na śmierć niż samo serce kościoła. Podłogę pokrywała słoma, teraz już przegniła i pełna robactwa. Pośród tego wszystkiego klęczało trzech zakonników i dwie siostry. Między nimi leżał ktoś martwy. Czy tylko oni przeżyli? — zastanowił się Jack. Siedem osób z całej setki?

Zmarła została ułożona o wiele staranniej, niż można było się tego spodziewać po wycieńczonych mnichach. Leżała na grubej warstwie słomy nakrytej owczą skórą. Na głowie miała kwiatny wianek. Niezapominajki barda. Mimo upływu długiego czasu nie zwiędły.

Obok zmarłej Ethne wyciągnął się wielki kocur. Pangur Ban leżał z łapą na jej piersi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

RUNA OCHRONNA

Och, Ethne — szepnął wstrząśnięty do głębi Jack. Zauważył, że widniejące z tyłu drzwi do jej celi zostały porąbane. Ktoś użył topora, by dostać się do wnętrza.

Chłopak, niezdolny odezwać się choć słowem, odruchowo sprawdził czoła mnichów i zakonnic. Z ich spojrzeń wyczytał, iż nie wierzą, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nikt nie miał gorączki. Wyzdrowieją.

Po chwili Jack dotknął czoła Ethne i aż podskoczył. Skóra dziewczyny była gorąca!

— Ona żyje! — zawołał.

Pangur Ban uniósł głowę i zamiauczał żalobnie.

— Ona umiera — odezwała się jedna z zakonnic.

Wtedy do kaplicy weszła Thorgil. Przyniosła garnek potrawki. Po chwili wróciła na zewnątrz po kubki i rozdała je mnichom. Kucnęła obok Ethne i zwilżyła jej usta słodzonym cydrem. Dziewczyna otworzyła oczy. Olśniewająco niebieskie, błękitne jak Kraina Elfów. Jej oblicze było równie doskonałe jak kwiat białej róży. O szalejącej w ciele gorączce świadczyły tylko czerwone plamki na policzkach.

— Widzę, że udało ci się uczesać włosy — powiedziała wojownicza. — Od razu lepiej wyglądasz.

Ethne delikatną dłonią starła cydr z ust.

— Co ty robisz? — rzuciła Thorgil.

— Złożyła śluby i pości — powiedziała zakonnica, odrywając się na chwilę od potrawki.

— To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam — odparła wojownicza. — Taki kawał drogi przebyłam, żeby ją uratować, a jej się nawet jeść nie chce?

— Oddaje za nas swoje życie — podjął pierwszy mnich, który przyczłapał właśnie spod furtki. — Pani Ethne chce w ten sposób zasłużyć na duszę.

A więc teraz nazywają ją Panią Ethne, pomyślał Jack. Nikt w klasztorze nie dał się zwieść i nie uwierzył, że dziewczyna jest prawdziwą zakonnica. Chłopak nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu był równie wściekły. Głupota ojca Severusa sprawiła, że Ethne zamknęła się na świat, mimo iż bard pragnął dla niej czegoś zupełnie przeciwnego. Starzec wiedział, że najlepszym sposobem na uzyskanie duszy jest szacunek dla życia.

Ale teraz bard już nie żył i zostawił im po sobie jedynie życzenie — by uratowali jego córkę. I Jack wiedział, że tego dokona. Nawet gdyby musiał siłą wlać potrawkę w oporne usta Ethne. Laska

świętego Kolumbana zadrżała i zatrzęsła się ziemia. Mnisi i zakonnice wtulili się w siebie.

— Trzęsienie ziemi! — zawołał jeden z nich.

Pangur Ban podniósł się na cztery łapy, podszedł do Jacka i usiadł przed nim. Spoglądając w mądre niebieskie oczy kota, chłopak nagle poczuł ukłucie wstydu.

„Nigdy nie korzystaj z gniewu, by przywołać siłę życiową — usłyszał w głowie zupełnie wyraźnie. — To zawsze w końcu obraca się przeciwko nam”. Jack przypomniał sobie, że Pangur Ban był niegdyś uczniem w Szkole Bardów, choć nie zdał końcowego egzaminu.

Wszyscy mnisi jedli bardzo szybko. Mogło ich to zabić, ale chłopak, usiadłszy na zarobaczonej słomie, poczuł, że niewiele go to obchodzi.

— Wyjaśnijcie mi, dlaczego Ethne musi umrzeć — powiedział.

Mnich, który otworzył furtkę, nazywał się Sylvus — według Wulfhildy był dobrym człowiekiem. Zakonnica, która oświadczyła, że Ethne umiera, okazała się siostrą Breccą. Oboje opowiedzieli o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd Wulfhilda została na zewnątrz.

— Gdy byli przestępcy w habitach zrozumieli, że zostali złapani w potrzask — opowiadał brat Sylvus — podnieśli bunt. Uzbroili się w noże i napadli na klasztorny skarbiec. Potem wzięli zakładników i zagrozili, że ich zabiją, jeśli ojciec Severus nie wyda kluczy do bram.

— Nie docenili go — powiedział brat Sylvus. — Nasz opat był jak Samson, który sam jeden zburzył filistyńską świątynię. Zebrał wszystkich pozostałych i powiedział, że jeśli umrzemy, Bóg powita nas w Niebie z otwartymi ramionami. Potem rozdał nam broń i runęliśmy na buntowników. Nasze serca były tak silne jak armia pod powiewającymi sztandarami. Uderzaliśmy tak mocno, jak mocno kopyta bojowych rumaków biją w bitewne pole. Zabiliśmy wszystkich. — Na twarzy brata Sylvusa malowała się niczym niezmacona radość.

— Widziałam anioły walczące u boku ojca Severusa — wtrąciła siostra Brecca — a kiedy zabił jednego z przeciwników, z ust trupa wyskoczył mały demon.

Reszta mnichów i zakonnice pokiwała głowami na znak potwierdzenia.

— Co się stało z zakładnikami? — spytała Thorgil.

— Złoczyńcy poderżnęli im gardła — odrzekł brat Sylvus. — Ojciec Severus powiedział, że to nieszczęście, ale musimy pamiętać, że i tak wszyscy umrzemy. A na męczenników czeka pewne miejsce w Niebie. Dodał też, że zakładnicy mieli w zasadzie szczęście.

Jack przetarł oczy. Miał wrażenie, że znalazł się w koszmarnym śnie. Równie dobrze mógłby słuchać Ludzi Północy tłumaczących, dlaczego tak dobrze jest zginąć w boju i trafić do Valhali.

— Wyprawiliśmy męczennikom wspaniały pogrzeb — podjęła siostra Brecca. — Zostali pochowani w poświęconej ziemi. A złoczyńców złożyliśmy nieopodal wychodka.

— Podejrzewam, że trafią do Hel — zauważyła Thorgil.

— Bez wątplenia — poparła ją z błyskiem w oku siostra Brecca.

Niestety, po tym zwycięstwie szczęście ich opuściło. Zaraza zaczęła się rozprzestrzeniać i wkrótce umarłych było więcej niż żywych. Ojciec Severus pracował do ostatka, spowiadał chorych i umierających i wybaczał im grzechy. Potem sam padł ofiarą choroby.

— Od początku chciał zachorować, by pokazać nam, w jaki sposób należy umierać — powiedziała z naciskiem siostra Brecca. — Zawsze myślał o wszystkim. Zawsze. To był taki dobry, uczynny, święty człowiek.

Dobry, ale chyba nie tego dnia, kiedy kazał Wulfhildzie nieść rozżarzony kawał żelaza, przemknęło Jackowi przez myśl.

— Na własne oczy widziałam, jak jego dusza zmierza do Nieba unoszona na złotych linach — powiedziała zakonnica.

Opowieść podjął brat Sylvus.

— Dał mi klucze, wszystkie z wyjątkiem tego do celi Pani Ethne. Wyjaśnił, że to nie moja sprawa.

A więc chciał, by umarła, pomyślał Jack i poczuł nawrót wściekłości.

— Ojciec Severus rozkazał mi strzec świętości klasztoru. Stopniowo kilku z nas zaczęło zdrowieć. Oczywiście, nie dlatego, że okazaliśmy się dobrymi ludźmi, ale po to, byśmy mogli nauczyć się pokory. Nie byliśmy jeszcze warci niebiańskiej chwały.

Oczywiście, wszyscy byli też bardzo głodni. Wodę czerpali ze studni, ale nie mieli jedzenia — chyba żeby uznać za nie szczury. Bo tych było mnóstwo — wielkich, tłustych, pewnych siebie bestii, które podchodziły do ludzi na wyciągnięcie ręki. Mnisi jednak ani przez chwilę nie pomyśleli, by pożywić się tak nieczystym pokarmem.

— Dlaczego nie poszliście po prostu do magazynu? — spytał zmęczonym głosem Jack.

Nie, tego nie chcieli zrobić. W swoim ostatnim słowie ojciec Severus przykazał im zostać w zamknięciu aż do wiosny. Na szczęście na ratunek przysła im Ethne. Zaczęła nawoływać z celi, w której zgromadziła dość jedzenia dla wszystkich. Brat Sylvus nie miał klucza, ale udało mu się otworzyć drzwi.

Jack spojrzał na nie, porąbane, jakby w wielkim szale.

Porcje suszonego mięsa, sery i znakomite wypieki Pegi, które przemyciła dla Ethne Thorgil, posłużyły zakonnikom. Kiedy jednak i to się skończyło, mnisi i zakonnice znów zaczęli głodować. Ethne nie wzięła do ust ani kęsa. Wciąż karmiła się dostarczonym jej przez okno szarym, wodnistym kleikiem, a pod koniec nie jadła już nic.

Gdy tylko wyszła z celi, szybko dopadła ją zaraza. Słodkim głosem odmawiała wszelkiej pomocy i twierdziła, że to jej pokuta, dzięki której otrzyma duszę. Cierpiała bez sprzeciwu.

— Oddaje za nas swoje życie — powtórzyła nabożnie siostra Brecca.

— Przepraszam! — krzyknęła Thorgil. — Przepraszam was bardzo, ale wy przecież żyjecie! Już

was ocalała! Dlaczego musi teraz umierać?

Jack rzadko widywał ją tak rozwścieczoną, a widział już wiele jej wybuchów.

— Jest elfką — powiedział brat Sylvus, cofając się przed wojowniczką. — Ojciec Severus wszystko nam wyjaśnił. Elfy muszą same stworzyć dla siebie dusze, a to niełatwe. Nie szanują też nikogo poza własnym rodzajem. Kiedy widzą tonące dziecko, nie wyciągną nawet ręki. A Pani Ethne rękę ku nam wyciągnęła.

— A wy ją ochoczo w tę pomocną dłoń ukąsiliście — warknęła Thorgil. — Nie znam się na chrześcijańskich duszach, ale wiem, na czym polega niewdzięczność. Ethne udowodniła już, że zasługuje na wasze życie pośmiertne, wiarołomcy, ale zamierzam dopilnować, żeby nie porzuciła tego życia. — Pochyliła się nad leżącą i spróbowała na siłę otworzyć jej usta.

Elfka odwróciła głowę na bok.

— Thorgil, nie — zaprotestował Jack.

— Jeśli będzie trzeba, wleję jej cydr przez nos!

Jack chwycił wojowniczkę za ramię.

— Utopisz ją!

— W takim razie przytrzymaj jej głowę. Sama wszystkiego nie zrobię.

— Thorgil — odezwała się Ethne swym pięknym, melodyjnym głosem, jakim mówią tylko elfy. — Sama wybrałam tę drogę.

Jack był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że dziewczyna jest w stanie mówić, najwyraźniej jednak półelfy lepiej znosiły głód niż ludzie.

— Thorgil — powtórzyła elfka. — Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o Valhalli? Chciałaś polec w bitwie, by się tam dostać. To taka sama sytuacja.

Na wzmiankę o Valhalli mnisi i zakonnice odsunęli się od wojowniczką w najwyższym przerażeniu. Dotąd nie wiedzieli, że dziewczyna pochodzi z Północy.

— Wcale nie taka sama — odparła z wahaniem Thorgil. — Powiem ci zaraz, dlaczego. My lubimy walczyć dla Odyna. — Jack zauważył w jej oczach niepewność i domyślił się, że dziewczyna przypomniła sobie Wyspę Grima. — Dlatego chcemy to robić bez przerwy, póki nie zostanie ogłoszony Ragnarok.

Tak, tylko że Thorgil nie stanie wtedy do walki u boku mężczyzn, pomyślał chłopak. Będzie ich składać do kupy i doić kozy.

— Śmierć pozwoli mi trafić do nieba, rozumiesz? — spytała łagodnie Ethne.

— Nie, nie rozumiem. Byłam dawniej berserkerem. Chciałam zginąć z mieczem w dłoni, ale kiedy napiłam się wody ze Studni Mimira, przestałam tego pragnąć.

Na wzmiankę o berserkerach mnisi i zakonnice pobiegli na czworakach, by skryć się za plecami brata Sylvusa. Mnich zaczął się modlić.

— Nie, źle powiedziałam. — Thorgil spróbowała jeszcze raz. — Wszystko się zmieniło, zanim jeszcze napiłam się z tej studni. Ona obdarza wiedzą, ale tylko pod warunkiem, że poświęci się coś bardzo ważnego. Pragnęłam złożyć w ofierze własne życie, ale Studnia mnie odtrąciła. Widocznie moje życie nie miało żadnej wartości, skoro sama go nie szanowałam. Pograżona w smutku chciałam pchnąć się nożem, a wtedy Jack...

Chłopak zrozumiał, do czego zmierza wywód, i spróbował ją powstrzymać, ale nie był dość szybki. Thorgil w ułamku sekundy zdjęła z szyi runę ochronną.

Naszyjnik widoczny był tylko przez chwilę, gdy przechodził z rąk do rąk. Piękny, jasnozłoty, wydawał się zbierać światło z powietrza. Runa, niebywale piękna, budziła pożądanie, ale nie takie, jakim płoną ludzie na myśl o bogactwie i władzy. Była to żądza samego życia. A w samym środku runy widniał wizerunek wielkiego Yggdrassila.

Thorgil założyła wisior na szyję Ethne. Zanim runa zniknęła, rozbłysła na krótki moment jasnym blaskiem.

— Och! — jęknęła elfka i położyła na niej swą białą dłoń. Jej skóra nabrała żywszych kolorów, krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach dziewczyny. Oddech, dotąd ledwie zauważalny, stał się mocniejszy. Niezdrowe wypieki zniknęły z policzków. — Jaka ładna kaplica — powiedziała cicho, patrząc na ponury sufit. — Nigdy nie zwróciłam uwagi na to, jak wiele jest odcieni szarości. I jakim dobrym pomysłem było wyłożenie posadzki tą trawką — dodała, spoglądając na brudną, bezbarwną słomę.

Ethne zawsze miała ptasi mózdzek i runa ochronna tego nie zmieniła. Niemniej magiczny przedmiot przywrócił dziewczynę życiu.

Jack jednak o wiele bardziej martwił się o Thorgil, która wyglądała na zdruzgotaną. Sam też się tak czuł, kiedy to on przekazał jej runę. Kto pozbył się magicznego wisiora, nigdy już nie przestawał za nim tęsknić. Ale nie można też było zatrzymać runy na zawsze. Bard obdarował nią Jacka, chłopak przekazał ją Thorgil. Teraz naszyjnik trafił do córki barda. Wydawało się to stosowne.

— Nakarmcie Ethne resztą potrawki! — huknęła Thorgil i szurnęła garnkiem w kierunku brata Sylvusa. — Jeśli mnie nie posłuchacie, wpadnę w bitewny szał i rozwieszę wasze skóry na ścianach — dodała i wyszła z kaplicy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

W DROGĘ

Jack znalazł ją w sadzie. Zbierała jabłka i układała je w stos.

— Przydadzą się w klasztorze na zimę — wyjaśniła. — Gdy tylko mnisi i zakonnice odzyskają siły, będą musieli się przygotować na chłodniejszą porę. W magazynie jest jedzenie. Powinni je przenieść do klasztoru. Lepiej, żeby przynajmniej do wiosny udawali, że są wciąż zamknięci. Problemy z miejską strażą nikomu nie byłyby na rękę. Musimy też narąbać więcej drewna na opał. No i trzeba coś zrobić z tą gnijącą słomą. Już czuję, że oblaży mnie pchły.

Dziewczyna gorączkowo opowiadała o planach. Jack jej nie przerywał. Zdawał sobie sprawę, że Thorgil stara się nie myśleć o runie. Pomógł jej przenieść jabłka. Potem zawołała jednego z kucyków i pojechała na samotne łowy. Mogła się posługiwać tylko jedną ręką, ale nie umniejszało to jej zdolności w miotaniu włócznią. Wróciła z przerzuconym przez koński grzbiet jeleniem. Zdobycz oprawił brat Sylvus.

Przez kilka następnych dni wciąż słyhać było wykrzykiwane przez Thorgil polecenia. Rzuciła je tak surowo jak sam ojciec Severus. Jack zauważył, że choć mnisi i zakonnice unikali jej wzroku i zegnali się na sam dźwięk głosu, okazywali wojownicze posłuszeństwo. Spalili starą słomę i przemyli octem posadzki. Był to jeden z szerzej znanych sposobów na zarazę. Czując ostry zapach, Ethne zaczęła kręcić ślicznym noskiem i wyszła do sadu. Oprócz ozdabiania klasztoru swym wyglądem robiła niewiele, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Czasami siadywała z nią Wulfhilda i opowiadała historie ze swego życia sprzed straszliwej próby żelaza. Ethne słuchała, zafascynowana. O Migdardzie poza granicami klasztoru nie wiedziała prawie nic. Szycie, tkanie i dojenie krów wydawały się jej równie fantastyczne, jak zakonnicy historie o cudach i bogactwach Krainy Elfów. W kwestiach małżeńskich Wulfhilda miała kłopot z wytłumaczeniem elfce pewnych szczegółów.

— Naprawdę możecie mieć tylko jednego męża? — spytała Ethne i zaśmiała się swym dźwięcznym, elfim śmiechem.

— Naprawdę — zaklinała się Wulfhilda.

Gdy doszły do dzieci, okazało się, że Ethne doskonale wie, skąd się one biorą, tyle że elfy prawie nigdy nie rodziły. Miało to coś wspólnego z brakiem dusz. A może z tym, że z dziećmi, które jednak przyszły na świat, rodzice obchodzili się bardzo nieostrożnie. Wiele elfich noworodków gubiło się podczas pikników albo pozostawało zapomnianych na wysokich półkach skalnych, gdzie kładli je matka lub ojciec.

— Chciałabym mieć dziecko — oświadczyła jednak Ethne.

— Do tego musisz znaleźć męża — powiedziała z naciskiem Wulfhilda. — I to tylko jednego.

Jack zrozumiał, że zakonnica, która nigdy nie miała własnych dzieci, uznała córkę Królowej Elfów za swoją.

Thorgil rozkazała, by wszyscy zajęli się tępieniem szczurów. Mnisi dorastali na wsi, więc umieli polować procami. Zakonnice za to waliły po prostu gryzonie kijami. Duchowni oddali się nowemu zajęciu z ochotą, w której nie było niczego świętego, ale siostra Brecca zarzekała się, że pewnego razu widziała, jak diabeł zamienia się w szczura, brat Sylvus zaś ogłosił, iż ta rzeź jest chrześcijańskim obowiązkiem. Mnichom pomagał Pangur Ban.

Trzy zakonnice, czterech mnichów i Ethne. Tylko tyle osób przeżyło w liczącym dawniej stu mieszkańców klasztorze. Ogrom katastrofy nie dawał spokoju Jackowi, który także pomagał teraz w odbudowie. Gdyby pozwolono mnichom uciec, zapewne większość z nich by przeżyła. Nie wszyscy przecież zachorowali od razu. Niemniej, wychodząc za mury, kilku chorych wyniosłoby ze sobą zarazę, niczym iskry, które wiatr niesie do suchego lasu.

Czy ojciec Severus był świętym, jak twierdzili mnisi, czy potworem? Jack skłaniał się ku temu drugiemu, ale to samo można było przecież powiedzieć o Olafie Jednobrewym, którego nikt z pewnością nie chciałby mieć za sąsiada. A jednak wojownik wyróżniał się spośród zwykłych ludzi otwartym i szczerym sercem. Nigdy nie porzuciłby samotnej syreny na plaży.

Jack nie brał udziału w rzezi szczurów. Wyczuwał w powietrzu ich przedśmiertne krzyki i rozpaczliwe piski młodych, pozostawionych na pewną śmierć z głodu. Zamiast tego przyzywał siłę życiową do sadu, by jabłonie przetrwały nadchodzącą zimę. Błogosławił klasztornym polom starożytnym zaklęciem ziemi, którego używała też jego matka. Raz wydało mu się, że w świeżo poruszonej ziemi widzi jakieś postacie. Jedwabiste pasemka jesiennej trawy uginały się na wietrze. „To pięknie z twojej strony, że błogosławisz pola — szeptały gnomy. — Nie zapomnimy o tym”.

— Brat Aiden będzie tu musiał przybyć — zdecydowała pewnego chłodnego ranka Thorgil.

Jack podniósł wzrok znad placków owsianych, które piekł na blasze.

— Po co? — spytał. Cały czas zaskakiwało go, jak ogromnie zależy dziewczynie na klasztorze. Tym bardziej że sama brała udział w zniszczeniu Świętej Wyspy.

— Mnichom i zakonnicom potrzebny jest przywódca. Sami są jak dzieci we mgle. Do tej pory ojciec Severus wyznaczał im zadania na każdą porę dnia, a bez niego nie mają pojęcia, co robić.

Jack przytaknął. Przypomniawszy sobie, jak sprawnie Severus zorganizował wszystko w lochach Krainy Elfów. „Na Świętej Wyspie mieliśmy klepsydry — powiedział wtedy. — Odmierzanie czasu jest nadzwyczaj ważne. Dzięki niemu wiemy, kiedy wypełniać różne obowiązki, kiedy medytować, kiedy się modlić. Inaczej człowiek pogrąża się w lenistwie. A to pociąga za sobą inne grzechy”. Może jednak — zastanowił się chłopak — taka ścisła kontrola także nie jest dla ludzi

dobra.

— Brat Aiden cię za to nie polubi — zauważył. — Bardzo źle wspomina czas, kiedy próbował prowadzić świętego Filiana.

— Wszyscy bardziej kłopotliwi mnisi nie żyją — rzuciła zwięźle Thorgil. — Według mnie najlepiej pokierowałaby wszystkim Wulfhilda, ale nie zgodzą się na jej przywództwo. Jest kobietą.

— Ty też jesteś kobietą.

— Ja jestem byłym berserkerem. — Uśmiechnęła się drapieźnie. — Uprzedziłam ich, że jeśli nie będą mnie słuchać, zdradzę lokalizację klasztoru swym braciom, z których jeden jest półtrollem. Poza tym dość już mam tłumaczenia im, kiedy mają się modlić, a kiedy biec do wychodka. Chcę wyruszyć do wioski jeszcze przed zimowymi sztormami.

Jack spojrzał na jezioro. Woda lśniła blado pod jesiennym niebem. W niektóre poranki wzdłuż brzegów zbierała się cienka warstewka lodu. On także chętnie by już wrócił, choć bał się chwili, w której zobaczy pusty rzymski dom.

— Brat Aiden nie przybędzie tu przed wiosną. Czy zgromadzenie przetrwa tyle czasu?

— Z pomocą Wulfhildy. Ale będziesz musiał sam go tu przywieźć. Ja nie wrócę.

Jack rozumiał, że dziewczyna nie chce patrzeć na Ethne i runę ochronną. Co prawda magicznego naszyjnika nie było tak naprawdę widać, ale jasna aura dobitnie świadczyła o tym, co elfka nosi na szyi.

— Rozumiem — przyznał.

Znaleźli klepsydrę ojca Severusa i nauczyli Wulfhildę z niej korzystać. Zakonnica miała codziennie mówić bratu Sylvusowi, co należy robić — oczywiście odpowiednio pokornie, tak aby inni byli przekonani, iż sami podejmują decyzje, co zresztą udawało jej się znakomicie. Brat Sylvus z kolei przekazywał te polecenia całej reszcie. Zapasy jedzenia zgromadzono z myślą o setce ludzi, zatem było ich aż nadto. Opału również nie brakowało.

— Zostawię to u ciebie, Wulfi — powiedziała Thorgil i podała zakonnicy skrzynkę z klejnotami z Podmorskiej Krainy.

Jack patrzył z niedowierzaniem. Ludzie Północy nigdy nie rozstawali się ze swymi skarbami, chyba że po śmierci. Nawet umierający Beowulf chciał nakarmić oczy widokiem złota, które odebrał smokowi.

— Jesteś tego pewna? — rzucił chłopak ściszym głosem.

— Dostałam to za cenę życia Smoczego Języka — odpowiedziała.

Jack był zaskoczony zmianami, jakie w niej zachodziły.

Wulfhilda z podziwem przyjrzała się ciemnemu, inkrustowanemu kością słoniową drewnu.

— Nigdy nie widziałam tak pięknego przedmiotu. Niczego podobnego nie ma nawet w klasztornej skarbcu. Czy to relikwia jakiegoś świętego?

Thorgil wybuchnęła śmiechem.

— Nigdy nie zrozumieję, dlaczego chrześcijanie przechowują w pudełkach stare kości. Nie, Wulfi. To nie relikwia. Pobaw się, oglądając to, co jest w środku, ale, na Freyę, nie pozwól, by dobrał się do tego brat Sylvus czy ktokolwiek inny. Ukryj ten kuferek aż do przyjazdu brata Aideny. On już będzie wiedział, co z nim zrobić.

Wyjechali bardzo wcześnie, kiedy ziemię ścisnął przymrozek. Odprowadziła ich tylko Wulfhilda. Nie chcieli długich pożegnań.

— Jeśli nie wrócę do wiosny, pošlij wiadomość do brata Aideny — powiedział Jack. — W moim imieniu. Razem z nim zdecydujecie, czy przedstawić Ethne królowi Brutusowi. Bard sądził, że byłaby dobrą królową, ja jednak nie jestem pewien, czy Brutus okaże się dobrym mężem.

Ucałowali na pożegnanie Wulfhildę i ruszyli ścieżką, którą im wskazała, mówiąc, że dzięki niej ominą miasto i trafią na szlak prowadzący do wioski. Para buchała z końskich nozdrzy, na wschodnim niebie lśniła gwiazda poranna.

— Dlaczego to powiedziałeś? — spytała Thorgil. — Że możesz nie wrócić przed wiosną?

— Nie wiem — przyznał Jack.

Było zimno, ale płaszczowi świętego Kolumbana zawdzięczał skuteczną ochronę. Laszkę zawiesił na plecach. Prowiant na długą podróż wioził w jukach.

Najpierw jechali na zachód, potem skręcili na południe. Miasto było ledwie widoczne nawet mimo perłowego blasku świtu. Póki nie dojechali nad strumień, nie natknęli się na nikogo. Dopiero tutaj z krzaków wyskoczyło jakieś stworzenie i usiadło na drodze przed podróżnymi.

— Pangur Ban, witaj — odezwał się Jack.

— Ty podstępny czarowniku! Chciałeś się wymknąć bez pożegnania — rzucił kot oskarżycielsko.

— Przepraszam. Nie zamierzałem cię urazić.

— W jakim języku mówisz? — spytała Thorgil. — I dlaczego Pangur Ban tak miauczy?

— Ona nie rozumie Mowy Błogosławionych — powiedział kocur. — Powinieneś mówić po sasku.

— Dobrze — zgodził się chłopak, sam zdziwiony, że użył innego języka.

— Co dobrze? — burknęła wojowniczką. — Zimno tu jak na tyłku trolla. Jeśli mamy zamiar zabawiać kotki, powinniśmy rozpalić ognisko.

Zsiedli z koni i zebrali drewno. Jack bez najmniejszego kłopotu rozpałił je za pomocą swej laski, choć wszystko było wilgotne.

— Nie ma to jak ogień w zimny poranek — stwierdził, ogrzewając ręce.

— Wulfhilda spakowała dla nas paszteciki z jelenia — powiedziała dziewczyna. — Jeśli jesteś głodny, upiekę.

— Pangur, chcesz pasztecik? — Jack przyjaźnie podrapał kota za uszami.

Zwierzę leżało wyciągnięte na brzuchu i grzało się przy ogniu.

— Oszczędźcie je na drogę — poradził Pangur Ban. — Droga może okazać się dłuższa, niż sądzicie.

— Mówi, że powinniśmy się wstrzymać — przetłumaczył Jack.

Słońce wzniosło się już nad morze, ale wciąż przesłaniała je mgła. Lśniło jak bladozłoty księżyc.

— Rozumiesz mowę kota. To coś nowego — zauważyła Thorgil.

— To prawda — przyznał niespokojnie chłopak.

— Zapytaj go, co jadł przez ten czas, kiedy Ethne się głodziła.

Okazało się, że Pangur Ban polował na szczury. Co prawda bardziej gustował w duszonej jagnięcinie i pieczonych półgęskach, ale musiał się zadowolić tym, co miał akurat pod łapą. Zabijał wszystkie gryzonie, które próbowały zakraść się do celi Ethne, i wynosił je na zewnątrz. Dopiero wtedy je pożerał, nie chcąc urazić wrażliwego serca dziewczyny.

— Zrobił się z niej przyzwoity człowiek — dodał kocur. — Smoczy Język byłby zadowolony.

— Ty wiesz, co się z nim stało — zauważył chłopak ze smutkiem.

— Ja wiem wszystko — odparł kot.

Rozmawiali jeszcze chwilę o różnych sprawach. Jack zaprosił Pangur Bana, by udał się z nimi do wioski, lecz kot wolał zostać w klasztorze.

— Rozpieszczają mnie tu — zamruczał głośno. — Poza tym chcę mieć oko na Ethne. Ale wy powinniście już jechać. Czeka was daleka i niełatwa podróż.

Zgasili ogień, przywołali konie i Thorgil na pożegnanie pogładziła kocie futerko. Pangur Ban obwąchał jej dłoń i wydał z siebie podekscytowany pomruk.

— Wybaczcie. Ta dziewczyna pachnie jak ptak i nie mogłem się opanować.

— Co on mówi? — spytała podejrzliwie Thorgil.

— Nie chcesz tego wiedzieć. Bywaj, stary przyjacielu. — Jack pożegnał się z kotem. — Niech siła życiowa nie wypuści cię ze swych objęć. Powodzenia.

— I nawzajem.

Pangur Ban przeciągnął się leniwie i odszedł wolnym krokiem. Po chwili skręcił i zniknął między krzewami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

THORGIL SREBRNORĘKA

Aż do tej pory było chłodno, ale sucho. Teraz jednak z północnego wschodu nadciągnęły burzowe chmury i zanim nastąpiło popołudnie, spadły z nieba pierwsze krople deszczu.

— Na zadek Baldura — mruknęła Thorgil, owijając się szczelniej w swój gruby, wełniany płaszcz natłuszczony oliwą, która chroniła przed wilgocią.

Padalo coraz intensywniej, aż wreszcie ledwie widzieli wijącą się przed nimi drogę. Szlak rozmókł. Z rosnącego po obu stronach lasu wypływały strumienie wody. Kucyki ślizgały się i potykały na niewidocznych nierównościach. Po jakimś czasie Jack zdecydował, że muszą rozbić obóz.

Dotarli ledwie do bukowego zagajnika, pół dnia drogi od miasta. Poprzez zasłony ulewnego deszczu zauważyli studnię, przy której wisiał na łańcuszku miedziany kubek.

— Wcale nie musimy z niego korzystać — zauważyła dziewczyna. — Żeby się napić, wystarczy podnieść głowę i otworzyć usta.

Buki były już całkiem ogołoczone z liści i nie chroniły wędrowców przed burzą. Jack i Thorgil skulili się pod studnią, za jedyne osłonę mając starożytny, na wpół zniszczony murek. Koniki zbiły się razem, stając tyłem do wiatru.

— Może powinniśmy wrócić jutro do klasztoru — zaproponował Jack.

— Nigdy! Nigdy tam nie wrócę — odparła Thorgil.

Chłopak wiedział, że na razie nie ma sensu się z nią spierać. Spodziewał się, że do rana przemarzną tak, że sama zmieni zdanie. Nakrył ich oboje płaszczem świętego Kolumbana i — jak przedtem — okazało się, że ta osłona zupełnie wystarcza. Natychmiast zrobiło się im nie tylko cieplej, ale i bardziej sucho. Co więcej, wełna magicznego płaszcza nie pachniała mokrą owcą, tylko raczej zielonymi liśćmi i latem.

— Ciekawe, czy udałoby mi się wyczarować jakąś osłonę — odezwał się Jack, spoglądając na laskę świętego.

— Byłoby niezmiernie miło — rzuciła Thorgil, która mimo iż zrobiło się cieplej, wciąż gwałtownie trzęsła się z zimna.

Chłopak wyciągnął laskę przed siebie i zaczął próbować rozmaitych rozkazów w rodzaju „Mury, powstańcie!” i „Pojaw się, chato!”. Bez powodzenia. Nawet w jego uszach zaklęcia brzmiały wyjątkowo marnie. Potrzebował *loriki*, lecz ten czar przychodził sam, w wybranej chwili.

Ale naprawdę bardzo jej potrzebuje, powtarzał w myślach, mając nadzieję, że ktoś go usłyszy. Z

chmur spadały całe wiadra wody. Następnie spróbował zatrzymać ulewę, ale okazało się, że umie jedynie przyzywać deszcze.

— Ta laska naprawdę jest obdarzona własnym rozumem — poddał się wreszcie.

— Poradzimy sobie — pocieszyła go Thorgil. — Pamiętam, że kiedyś, gdy jeszcze byłam mała, utknęłam na urwisku z Olafem, który polował na dzikie owce. Rozpętała się burza i nie mogliśmy się ruszyć. Wicher wiał tak silny, że byłam pewna, iż zdmuchnie nas ze skały. Olaf jednak powiedział „Trzymaj się paznokciami, dziecko. To dlatego Ludzie Północy nigdy ich nie obcinają. Są równie przydatne jak orle szpony”. Wspomnił o tym tak wesoło, że zupełnie przestałam się bać.

Chłopak odpakował jeden z pasztecików z jelenia i na zmianę jedli po kawałeczku. Zapadł mrok, a deszcz ani myślał zelżeć. Ziemia, na której leżeli, była bardzo kamienista, a pomiędzy nimi wił się korzeń, lecz w końcu wyczerpanie wzięło górę i oboje zasnęli.

Rankiem wciąż lało.

— Musimy wracać — stwierdził Jack.

— Nigdy — odparła beznamiętnie Thorgil.

— Widywałem już burze, które trwały przez cały tydzień. Poza tym co się stanie, jeśli zaczekamy w klasztorze do wiosny? Nie chcesz słuchać chrześcijańskich modłów? Napchaj sobie wełny do uszu.

— Ja tam nie wrócę! — wydarła się Thorgil z mocną nutą hysterii w głosie.

Jack zdecydował, że przed dalszą kłótnią dobrze będzie zjeść śniadanie. Wyjął z juków krąg sera i ukroił dziewczynie kawałek.

— Nie jestem głodna — rzuciła.

— Musisz jeść.

Popemnił błąd, próbując nakarmić ją siłą, i dostał kuksańca. Cały ser potoczył się w błoto.

— Co cię ugryzło?! — krzyknął Jack. Podniósł ser i oczyścił go na deszczu.

— Powiedziałam ci, że nie jestem głodna. I nie jestem! Chcę jechać. Jeśli dalej będziemy tu beczynnie siedzieć, to chyba zwariuję.

— No to wariuj. — Chłopak odwrócił się do niej plecami. Jadł powoli, wpatrzony w strugi deszczu.

Nawet na lekkim wzniesieniu, na którym stała studnia, woda zbierała się w wielkie kałuże. Droga przed nimi była już zapewne zalana. Wkrótce przez szum ulewy przedarł się jakiś inny dźwięk i Jack odwrócił się w stronę Thorgil. Płakała. Po chwili zaczęła się trząść tak bardzo, że z jej gardła dobył się głośny szloch, który długo starała się w sobie stłumić.

— Thorgil, przepraszam — powiedział Jack.

Był przyzwyczajony do jej wybuchów wściekłości, ale wiedział, że płacz może być znacznie bardziej niepokojącym objawem. Objął ją ramieniem i nagle poczuł, że jest cała rozpalona.

— Och, Thorgil. Tylko nie to — szepnął.

Dopadła ją zaraza. Potrzebowała jedynie nieco czasu, by się rozwinąć.

Gdy zjawili się w klasztorze, mnisi i zakonnice nie byli już chorzy, Ethne jednak nie doszła jeszcze w pełni do zdrowia. Thorgil pochyliła się nad nią, kiedy przekazywała runę ochronną. Elfka chuchnęła jej wtedy prosto w twarz.

Jack mocno przytulił dziewczynę, nie dbając o to, że sam także może się zarazić.

— Wiesz, że jesteś bardzo chora, prawda?

Ukrywanie prawdy nie miało sensu. Ludzie Północy woleli mierzyć się z problemami twarzą w twarz.

— Nie czuję się dobrze — przyznała. — Potwornie boli mnie głowa i wciąż męczą mnie dreszcze. I mąci mi się w oczach.

— To może być zaraza.

— Pewnie tak. Wulfi opowiadała, że miała takie same objawy.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę.

— Zdajesz sobie sprawę, że teraz nie możemy jechać do mojej wioski — powiedział Jack. — Zanieśliśmy tam chorobę.

— Wiem.

— Na całym świecie przyjmą nas tylko w jednym miejscu. W klasztorze. Dla mnichów zaraza już nie jest groźna. — Jack pogładził jej mokre włosy. Nawet one wydawały się zbyt ciepłe.

Pomógł Thorgil wstać i wojowniczką przywołała koniki na sposób znany tylko potomkom Hengista. Podbiegły natychmiast, ale chłopak musiał ją podtrzymywać, gdy wspinała się na grzbiet kucyka i zajmowała miejsce w siodle.

— Obejmij go ręką za kark — poradził. — Inaczej możesz spaść.

Ruszyli w bardzo powolną — zbyt powolną — drogę powrotną. Szlak był w wielu miejscach poprzecinany przez strumienie, a niekiedy znikał zupełnie. Jack przez cały czas musiał rozglądać się uważnie dokoła, by nie zbłądzić. Bez słońca stracił poczucie kierunku. W trakcie jazdy Thorgil zapadła w dziwny trans. Nie podnosiła już głowy znad końskiego karku i całkiem polegała na Jacku. Niestety, kuc chłopaka przestał mu być posłuszny. Opierał się, zwalniał, nie chcąc wracać do klasztoru, i co chwila się odwracał, by sprawdzić, czy jego towarzysz wciąż za nim truchta.

Jack bez przerwy musiał zmagać się ze zwierzęciem i wkrótce stało się jasne, że nie uda im się dotrzeć do Bebbas Town przed zapadnięciem nocy. Szukał właśnie dogodnego miejsca na obóz, gdy drogę zablokowała im nagle płatanina nagich gałęzi. Zatrzymał się.

— Gdzie jesteśmy? — spytała sennie Thorgil.

— Prawie na miejscu — skłamał Jack, którego serce zaczęło mocno łomotać ze strachu. Widocznie, zmagając się z narowami konika, pomylił drogę.

Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że drzewa za jego plecami wyglądają dziwnie obco. Nie pamiętał, skąd przyjechali. Stali teraz pośród zwodniczej płataniny leszczynowych zarośli.

Ścieżki rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Większość zakryta była gałęziami zwieszającymi się tak nisko, że nie można było przejechać tamtędy wierzchem. Słabe światło ciemniało coraz bardziej. Jack rozglądał się rozpaczliwie za jakimkolwiek schronieniem.

— Muszę się położyć — szepnęła słabo Thorgil.

— Nie! — krzyknął chłopak, ale dziewczyna zdążyła już ześlizgnąć się z siodła. Wylądowała na poszyciu z zeschniętych liści.

Jack zeskoczył z kucyka i podbiegł do niej. Jego konik, wolny od ciężaru jeźdźca, zawrócił natychmiast w miejscu i pogalopował między krzewy. Za nim pomknął kuc, na którym jechała Thorgil.

— Nie! Nie! — Chłopak machał ramionami, ale zwierzęta nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. — Zawołaj je, Thorgil — rzucił błagalnie.

— Boli mnie gardło — szepnęła.

Jackowi nawet przez myśl nie przeszło szukać kucyków na własną rękę. Zgubiłby się, a poza tym koniki i tak były posłuszne tylko wojownicze. Może rankiem dziewczyna wydobyłaby na tyle, by mówić. Teraz jednak znaleźli się w strasznej sytuacji. Zwierzęta uniosły ze sobą zapas jedzenia i inne potrzebne rzeczy. Zostało im tylko to, co mieli na sobie, oraz oczywiście laska i płaszcz świętego Kolumbana. Jack nigdy się z nimi nie rozstawał.

Teraz jest znakomity czas na *lorkę*, pomyślał Jack, zwracając się do wszystkich sił, które mogły go w tej chwili słuchać. Najwyraźniej jednak nie słuchała go żadna.

— Przeklęta laska! — zawołał i odrzucił kij.

Owinął siebie i Thorgil płaszczem, który nie dość, że przykrył ich oboje, to jeszcze okazał się na tyle obszerny, że mogli na nim usiąść. Wewnątrz tak powstałego kokonu było ciepło i sucho — był to widoczny przejaw działania magii.

Po chwili Jack wyczołgał się na zewnątrz i podniósł laskę.

— Czuję zapach kwiatów — mruknęła Thorgil.

Chłopak pociągnął nosem. On też je wyczuwał. Na zewnątrz płaszcz szalała zimowa burza, ale pod nim panowała wiosna.

— Jeśli umrę... — zaczęła wojownicza, głosem tak słabym, że Jack ledwie ją słyszał.

— Cicho. Wyzdrowiejesz — przerwał jej.

Thorgil z trudem przelknęła ślinę. Mówienie sprawiało jej wielki ból.

— Pójdę do Hel.

Jack był wstrząśnięty. Wiedział, że Ludzie Północy, którzy umierali wskutek chorób, byli skazani na to samo życie pozagrobowe co wiarołomcy. Nie rozumiał, jak to możliwe, że

dziewczyna wciąż jeszcze w to wierzy, skoro miała okazję poznać prawdę na temat Valhali.

— Do Hel nie trafisz na pewno — odparł. — Bard powiedział, że każdy może sobie wybrać swoje następne życie. Gdyby to zależało ode mnie, wybrałbym Wyspy Błogosławionych. Tam trafiła twoja matka.

— Matka... — powtórzyła szeptem Thorgil.

Jack z całych sił starał się wymyślić coś, co mogło ją pocieszyć.

— Wiesz, nigdy nie powiedziałem ci tego wiersza, który ułożyłem po walce z Garmem, psem z Hel. Nazywa się „Thorgil Srebrnoręka”.

Poruszyła się w jego ramionach.

— Naprawdę?

— To najlepszy poemat, jaki kiedykolwiek napisałem, i wojownicy z pewnością po wsze czasy będą go śpiewać przy ogniu. Zaczyna się tak...

Nie miał pojęcia, jakie słowa popłyną z jego ust, ale niepotrzebnie się martwił. Ogarnęło go takie samo cudowne uczucie jak wtedy, gdy w Bebbas Town recytował *lorkę*. Wiersz też okazał się *lorką*, tylko bardzo długą. I rzeczywiście był to jego najlepszy utwór, dorównujący ułożonemu przez barda Beowulfowi.

W poemacie nie znalazło się ani jedno słowo, które nie niesłoby w sobie natchnienia, wszystkie były piękne. Opowiadał o Thorgil Srebrnorękiej, którą po urodzeniu zostawiono w lesie wilkom na pożarcie i którą uratował królewski pies Maeve. Thorgil Srebrnoręka przeżyła wiele bitew i przygód. Walczyła ze smokiem nawet jeszcze wtedy, gdy ten niósł ją do swej jamy, by nakarmić nią młode. Pokonała wielkiego orła, który zaatakował ją na lodowym moście wiodącym do pałacu Królowej Gór. Walczyła o swych towarzyszy z psem z Hel i — podobnie jak bóg Tyr w spotkaniu z Fenrisem — poświęciła własną rękę.

Tyr zamienił się w gwiazdę, która nigdy nie zmienia położenia na nieboskłonie — w tę, którą nazywają Gwoździem i która prowadzi długie łodzie do bezpiecznych przystani. Także i Thorgil miała lśnić na nocnym niebie, a jej sława nigdy nie miała umrzeć.

Zanim Jack dotarł do końca, dziewczyna już spała. On także był zmęczony jak po długim biegu. Bolała go głowa. Gardło paliło tak, że sam nie wiedział, jak to możliwe, że jeszcze mówi. Wkrótce otepiał tak samo jak Thorgil i oboje stopniowo odpłynęli w nieświadomość. Wokół nich wciąż szalała zimowa burza, a przez leszczynowy las płynęły rzeki wody.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

WSPY BŁOGOSŁAWIONYCH

Gdy się obudził, słońce świeciło już jasno. Co więcej, niebo przyobkleło się w cudowny błękit, a powietrze słodko pachniało świeżością. Jack usiadł. Znajdował się na wyspie pośrodku wielkiej rzeki, na której brzegach majaczyły leszczynowe zarośla. Burza musiała być naprawdę potężna, skoro spowodowała powstanie tak szerokiego koryta. Płaszcz świętego Kolumbana leżał na ziemi. Chłopak podniósł go pospiesznie, ale okazało się, że nie jest ani trochę ubłocony.

Wziął też do ręki swoją laskę i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie ma przy nim Thorgil.

— Thorgil! — zawołał, zdjęty przerażeniem.

Dziewczyna musiała nocą wpaść do wody.

— Tu jestem, głupku — usłyszał. — Czekaliśmy całymi godzinami. — Siedziała w maleńkiej łódce, uwiązanej do zwieszającej się nad wodą gałęzi. A obok niej siedział...

Emocje wezbrały w Jacku tak gwałtownie, że nie był w stanie dobyć z siebie słowa.

— No chodź — rzucił rażno bard. — Czeka nas daleka podróż, a przez ciebie i tak jesteśmy już spóźnieni.

Jak we śnie Jack wszedł do łódki. Była niestabilna i — jak przystało na taką łupinę — pełna wody. Thorgil odwiązała cumę i odpłynęli na zachód w dół rzeki.

— Panie, czy my umarliśmy? — spytał Jack, przyglądając się przesuwającym się na brzegu leszczynom.

— Oczywiście, że nie — odparł starzec. — Zdałeś właśnie egzamin wstępny do Szkoły Bardów. Nie myślisz chyba, że łatwo się tam dostać, co? Nie każdy łapserdak ze wsi może zapukać do jej bram i spodziewać się, że mu otworzą.

— Ale przecież ty... — Jack chciał powiedzieć „nie żyjesz”, ale uznał, że byłoby to z jego strony nieuprzejme.

— Jeśli chcesz odpowiedzi, naucz się najpierw stawiać pytania — rzucił bard. — Trwanie w niewiedzy jeszcze nikomu nie pomogło. Tak, przez jakiś czas byłem zamknięty z Shellią w grobowcu. I wierz mi, że wysłuchiwanie jej skarg i lamentów w każdym obudziłoby pragnienie śmierci. Musiałem jej towarzyszyć przez całą drogę, aż na dalsze morze. Ale kiedy zmarł Severus, przysięga przestała mnie wiązać.

— Wiesz o ojcu Severusie? — spytał Jack zdumiony.

— Ja wiem wszystko. Pangur Ban jest największym plotkarzem świata — starzec uśmiechnął się do jakiejś myśli, którą nie zechciał się podzielić. — Znalezienie drogi powrotnej do Midgardu

zajął mi dobrą chwilę. U świętego Filiana mineliśmy się o włos, ale nic się nie stało. Ethne naprawdę kwitnie, za co jestem wam obojgu dozgonnie wdzięczny.

— To wyłącznie zasługa Thorgil — przyznał uczciwie Jack. — Czy Ethne wyjdzie za króla Brutusa?

— Możliwe. Jeśli Brutusowi się poszczęści. A teraz, chłopcze, pooglądaj sobie przez chwilę widoki. Chcę pomyśleć.

Starzec usiadł na rufie łódki i pograżył się w zadumie. Chłopak przycupnął na dziobie obok Thorgil.

Leszczyny ustąpiły dębom. Na północy wznosiły się błękitne góry.

— Chcesz jedno? — spytała dziewczyna i sięgnęła do koszyka. — Paszteciki zepsuły się na deszczu, ale bard przyniósł z klasztoru jabłka. — Sprawnie przekroiła jeden owoc na pół.

— Twoja ręka... — Jack otworzył szeroko oczy.

Thorgil zaśmiała się wesoło.

— Zapomniałam ci powiedzieć. Kiedy się obudziłam, była już zupełnie zdrowa. W tej sytuacji chyba nie mogę dalej nazywać się Srebrnoręką — podała mu połówkę jabłka i spuściła powieki — ale twój poemat naprawdę mi się podobał.

Chłopak poczuł wykwitający na twarzy rumieniec.

— Dzięki — rzucił.

Łódka mknęła przed siebie. Rzeka stopniowo stawała się coraz szersza. Błękitne szczyty cofnęły się ku północy. Brzegi wznosiły się wyżej. Nad wędrowcami przeleciał klucz nawołujących się dzikich gęsi.

— Co to?! — krzyknęła Thorgil i wskazała coś ręką.

Wielka ryba o jasnych jak słońce łuskach przepłynęła tuż pod powierzchnią. Zmierzała w górę rzeki. Ominęła łódkę, zamiatając wodę potężnymi płetwami.

— Chyba łosoś — powiedział oczarowany Jack. — Większego w życiu nie widziałem.

— To Łosoś Wiedzy, wracający na rodzinne wody — wyjaśnił wyrwany z zamyślenia bard. — Płynie, by paść się orzechami laskowymi. Nie tylko hobgobliny je uwielbiają. Patrzcie przed siebie. Dotarliśmy do morza.

I rzeczywiście. Z zachodu nadciągały długie fale, zmieniające barwę wody w rzece z niebieskiej na szarzieloną.

— I my mamy tam popłynąć? — spytał chłopak, z lękiem przyglądając się bałwanom.

— Tylko w ten sposób można dotrzeć na Wyspy Błogosławionych — odparł starzec. — Święty Kolumban właśnie tam przeniósł Szkołę Bardów.

Łódka zmierzała naprzód równie stabilnie, jak przedtem płynęła rzeką, choć nie mieli ani kawałka żagla.

Jack obejrzał się przez ramię i spojrział na znikający w oddali ląd.

— Czy ja tam kiedykolwiek wrócę? — zapytał, czując nagle zbierające się w kąciakach oczu łzy.

— Oczywiście. Sam tak robiłem wiele razy — powiedział bard. — Kiedy już pozna się ścieżki leszczynowego zagajnika, można odwiedzać wiele miejsc. Choć nie wszystkie z nich są przyjemne.

— Ale co z matką i ojcem? Co z Hazel i Pega? Nie mogę ich tak po prostu porzucić!

— Możesz nad nimi czuwać. To część powołania każdego barda, choć taka moc i odpowiedzialność mają swoją cenę. Teraz musisz służyć całemu życiu, nie tylko jego wybranym przejawom. Nie smuć się, chłopcze. Jeśli cię to uspokoi, to wiedz, że Blewitowie zamieszkali w starym rzymskim domu i Hazel nie będzie musiała wyprowadzać się z wioski. Pega w twojej rodzinie znalazła miłość, na jaką zawsze zasługiwała. Wydaje mi się, że niedługo zrozumiesz, że przez większość czasu ludzie świetnie radzą sobie sami.

Słońce minęło zenit i zaczęło chylić się ku zachodowi. Bard wyciągnął jaja na twardo, chleb i bukłak cydru. Rozmawiali o wielu sprawach i czas szybko im upływał. Smutek Jacka z wolna odchodził w zapomnienie.

Późnym popołudniem ujrzeli jaśniejącą w dali wyspę. Wiatr przyniósł im zapach jabłek, a nad łódką zaczęły krążyć ptaki. W miarę jak zbliżali się do brzegu, morską wodą stawała się coraz bardziej przejrzysta, aż wreszcie zaczęli odnosić wrażenie, że płyną po niebie. Ominęli jedną wyspę, potem kolejną i jeszcze jedną. Na następnej wznosiło się zielone wzgórze, na którym pasły się konie.

— Patrzcie! Och, patrzcie! — krzyknęła Thorgil. Na brzegu stała kobieta z psem. Uniosła dłoń w geście powitania. — To moja matka... — jęknęła dziewczyna i zalała się łzami. — Wygląda tak młodo. A to jest Maeve, który ocalił mnie przed wilkami. Czy możemy się tu zatrzymać? Mogę tu zostać?

— Innym razem. — Bard pomachał ręką do Allyson i Maeve'a. — Odwiedzisz ich, kiedy spędzisz już jakiś czas w Szkole Bardów. Nie martw się. Zrozumieją to.

— Thorgil będzie się uczyć w Szkole Bardów? — rzucił Jack w nagłym oburzeniu. Dziewczyna nie opanowała nawet połowy czarów i wierszy, które znał on.

— Zazdrość nie jest tu w cenie — odparł surowo starzec. — Może nie będzie takim samym uczniem jak ty, ale kwalifikacje ma odpowiednie.

— A widzisz! — Thorgil pokazała chłopakowi język i otarła łzy z oczu. — Czuję się naraz zrozpaczona, rozdarta i szczęśliwa. Nie podoba mi się to.

— To jedna z rzeczy które spotykają tych, którzy służą sile życiowej — stwierdził bard. — Ach! Właśnie dotarliśmy do szkoły dla początkujących bardów.

Ich oczom ukazała się duża wyspa z górami, dolinami i lasami. Na szczycie niewysokiego wzgórza w pobliżu brzegu stał szary budynek, ponury jak klasztor świętego Filiana.

— Dla początkujących bardów? — powtórzył nieco zmartwiony Jack. — Wydawało mi się, że mam to już za sobą.

— To prawda, chłopcze, przebyłeś długą drogę. Jestem z ciebie bardzo dumny. Te studia są jednak ciężkie i nie da się ich ukończyć w parę lat. W miarę jak będziesz rozwijać swoje umiejętności, będziesz się przemieszczać coraz dalej w głąb wyspy.

Jack nagle przypomniał sobie, czyj płaszcz i laskę ma ze sobą.

— Czy święty Kolumban gniewa się na mnie za to, że zabrałem jego własność?

— Ani trochę. On odszedł stąd już dawno temu — powiedział bard. — Brat Aiden nazywa Wyspy Błogosławionych przedsionkiem Nieba. To miejsce dla tych, którzy nie zamknęli jeszcze swoich spraw w naszym świecie. Płaszcz i laska świętego Kolumbana były ci przeznaczone, choć nie powinieneś się z tego zbyt cieszyć. Będziesz musiał pracować po trzykroć tyle co inni, by zrozumieć ich magię. — Starzec rozwinął leżące na dnie łódki zawiniątko i wyjął z niego Nadobną Płóczkę. A zatem nie zaginęła na wieki w grobowcu.

Bard uderzył w dzwon.

W wieczornym powietrzu popłynęła nuta równie złocista i delikatna jak ta, którą pamiętał Jack. Tym razem niosła ze sobą jedynie radość z powrotu do domu. Otworzyły się drzwi szarego budynku.

— Idźcie już. Czekają — ponaglił bard, przybijając do brzegu. Jack i Thorgil zeszli na plażę. — Niedługo was odwiedzę. — Odepchnął łódź i odплыł spokojnie, ani razu nie oglądając się za siebie.

— Och, do stu pluskiew! — mruknął chłopak, przyglądając się budynkowi wyglądającemu niezbyt zachęcająco. Wyszła z niego grupka mężczyzn i kobiet odzianych w białe szaty. Nieznajomi sprawiali wrażenie jeszcze bardziej ponurych niż sama szkoła.

— Nie jestem nawet pewna, co to za miejsce — powiedziała Thorgil.

— Ja też nie — przyznał Jack.

Wieczne słońce pomalowało zbocza wzgórz na ciemno-zielono. Z budynku wyszedł kot i głośnym miauczeniem zaczął domagać się uwagi. Jeden z bardów pochylił się i wziął go na rękę. Gest wydawał się zachęcający.

— Chyba nie będzie gorzej niż w lochach Krainy Elfów — rzuciła powątpiewająco dziewczyna.

— Albo w jamie pukacza.

— Albo w brzuchu hobguna — dodała Thorgil.

— Chodź, Jill, poradzimy sobie z tym.

Jack wziął ją za rękę i razem ruszyli pod górę.

ANEKS

CARNYX

Tego typu trąba wojenna była równie długa jak leżący człowiek, a nawet od niego dłuższa. Jej pochodzenie nie zostało jeszcze odkryte, lecz najlepiej zachowany egzemplarz znaleziono w północno-wschodniej Szkocji. Szerszy koniec rzeźbiono na kształt zwierzęcego łba. Cóż to jednak było za zwierzę — nie wie nikt. Niektórzy twierdzą, że dzik. Ja uważam, że była to piktyjska bestia. W otworze, przez który dobywał się dźwięk, znajdował się ruchomy, metalowy język, nadający instrumentowi wyjątkowo groźne brzmienie.

Rzymski historyk Diodor Sycylijszyk opisywał „straszliwy zgiełk (bitewny) powodowany przez niezliczonych trębaczy, a jako że cała armia wydawała naraz swe wojenne okrzyki, powstawał taki tumult, iż zdawało się, że nie tylko trębacze i żołnierze, ale również okoliczne drzewa, wzgórza i lasy odzywają się własnym głosem i stają do boju". Rzymianie tak się tego obawiali, że uczynili carnyx oficjalnym symbolem swych wrogów.

Kilku Szkotów — doktor John Purser, archeolog Fraser Hunter, złotnik John Creed i muzyk John Kenny — odtworzyło carnyx w 1992 roku. John Kenny zagrał na nim w jaskini Smoo, niezwykłym miejscu w północnej Szkocji, gdzie w dawnych czasach obozowali wikingowie. Jeśli wpisze do przeglądarki internetowej ten przydługi adres, sami będziecie mogli przekonać się, jak brzmiał głos piktyjskiej bestii:

http://www.bbc.co.uk/scotland/music/scotlandsmusic/episodes/episode_02.shtml Możecie też wejść na YouTube i poszukać „John Kenny carnyx”. Znajdziecie też kilka filmów ukazujących innych ludzi, którzy grają na tym instrumencie, tyle że tak naprawdę nie mają o nim pojęcia.

OJCIEC SEVERUS

Niektórym może wydać się dziwne, że ojciec Severus cieszył się wśród mnichów aż tak wielkim posłuchem, iż samo jego słowo wystarczyło, by powstrzymać ich przed ucieczką z zagrożonego zarazą klasztoru. Podobne wydarzenie miało jednak miejsce naprawdę, na przełomie lat 1665 i 1666. Portowe miasta Anglii zaatakowała wtedy epidemia dżumy, która jednak nie dotarła w głąb kraju. Jednym z bezpiecznych miejsc było miasteczko Eyam w Derbyshire. Niestety, jakiś londyńczyk wysłał do tamtejszego krawca próbkę materiału, w której ukryły się zarażone dżumą pchły. Krawiec zachorował i zmarł.

Anglikański proboszcz William Mompesson i purytański kaznodzieja Thomas Stanley zdali

sobie natychmiast sprawę, że jeśli w miasteczku wybuchnie panika i mieszkańcy zaczną uciekać, zaraza zbierze o wiele większe żniwo, zakazali więc wszystkim opuszczać miasto. Oczywiście zamknięta w jego murach dżuma rozszalała się. Spośród trzystu pięćdziesięciu mieszkańców zmarło dwustu sześćdziesięciu siedmiu, w tym ukochana żona Mompessona, Catherine. Jednakże zaraza nie wyszła poza Eyam, oszczędzając okoliczne wioski. Przeżył także sam Mompesson, lecz gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, mieszkańcy wygnali go z miasta.

MORSKI LUD

Morski lud zamieszkiwał Orkady, wyspy położone niedaleko północnych wybrzeży Szkocji. Mieszkańcy morza byli wysocy, chudzi, posępni. Potrafili zmieniać kształt i nie żywili żadnych ciepłych uczuć w stosunku do ludzi. Surowo karali wszystkich, którzy łowili ryby na wodach ich królestwa. Byli mistrzami iluzji i umieli stawać się niewidzialni. Ich łodzie napędzane były wyłącznie magią.

Morskie żony zaczynały życie jako piękne syreny, ale jeśli nie znalazły sobie męża wśród ludzi, przeobrażały się w morskie wiedźmy i musiały się zadowolić narzeczonymi ze swego własnego ludu. Lata mieszkańcy morza spędzali na wyspie zwanej Hildaland, która bywała czasem niewidzialna. Zimowali z kolei we wspianym podwodnym mieście zwanym Finfolkaheem. W tej książce oba miejsca połączyłam w jedno — Podmorską Krainę.

Shoney był starożytnym bogiem morza; możliwe, że czcili go Piktowie. Jeszcze niedawno mieszkańcy Orkad zdobywali jego łaskę, wlewając do morza beczułkę piwa. Większość informacji, z których korzystałam, pochodzi ze strony <http://www.orkneyjar.com/> prowadzonej przez Sigurda Towrie.

ZARAZA

Sposób, w jaki rozprzestrzeniają się choroby, został odkryty stosunkowo niedawno, ale ludzie starali się unikać zarażenia od zawsze. W średniowiecznych klasztorach (gdzie zwykle znajdowały się ówczesne szpitale) zwykle oddzielano od siebie pacjentów dotkniętych chorobami zakaźnymi od tych z obrażeniami ciała. Lekarze (zwani także pijawkami) zdawali sobie sprawę, że medykamenty należy przygotowywać z oczyszczonych składników i za pomocą czystych narzędzi.

Zarazą (latającą zarazą, powietrznym jadem) nazywano chorobę, która potrafiła w krótkim czasie zaatakować wiele osób. Upatrywano różnych jej źródeł, często bardzo pomysłowo: smoczym oddechem, złych wiatrach albo małych skrzydlatych stworzeniach. Dziś już wiemy, że te ostatnie (muchy i komary) rzeczywiście roznoszą choroby. Bakterie uwielbiają też wykorzystywać do

swoich podróży ludzkie kichnięcia, co nie różni się wiele od smoczego oddechu.

Dawni irlandzcy i brytyjscy historycy prowadzili zapiski dotyczące epidemii. Nie zawsze wiadomo, jaką dokładnie chorobę opisywali, ale z pewnością mieli do czynienia z dżumą, ospą i cholera. Zapewne poważny problem stanowiły też malaria, polio, wścieklizna i węglik.

Była też Żółta Zaraza. Nikt nie odkrył jej istoty, ale wiadomo, iż była straszną chorobą. Zaczynała się (jak głosi opowieść) od „kolumny oparów mknącej przez cały kraj, z jednym końcem w chmurach, drugim wlokącym się po ziemi”. Wszyscy, którzy choć przez chwilę owym oparem oddychali, zapadali na Żółtą Zarazę i umierali. Ludzie umykali przed tą chorobą, gdzie tylko mogli. Maelgwn Wielki, król północnej Walii, ukrył się w kościele, ale w pewnej chwili wyjrzał na zewnątrz przez dziurkę od klucza i zginął od samego widoku Żółtej Zarazy.

Moja osobista faworyta wśród plag zaatakowała w Irlandii w 896 roku. Z nieba spadły wtedy ogromne ilości „przypominających wielkie mole zębatych stworów”, które zaczęły pożerać wszystko na swej drodze. Ludzie musieli odpędzić je modlitwą.

Choroba opisana w mojej książce nie nosi konkretnej nazwy.

LORICA

Lorka to łacińskie słowo oznaczające napierśnik lub pancerz. Była to także specjalna modlitwa, którą recytowali wczesnochrześcijańscy mnisi dla ochrony przed nieprzyjaciółmi. Najsłynniejszą *lorką* jest *Napierśnik świętego Patryka*, za pomocą którego święty ukrył siebie i swych wiernych, przemieniając wszystkich w jelenie. Styl zaklęcia świętego Patryka bardzo przypomina czary, którymi posługiwał się Amergin, założyciel irlandzkiego zakonu druidów.

SYRENY

Dwoma najczęściej stosowanymi przez Piktów symbolami były lustra i grzebienie. Zwykle pojawiają się razem. Niektórzy snują domysły, iż oznacza to śmierć kobiety, ale być może istnieje jeszcze inne wyjaśnienie. Otóż ze zwierciadłami i grzebieniami często przedstawia się syreny, które mogą być dalekim echem piktyjskich bogiń morza. Tak czy inaczej widok syreny zwykle stanowił zły zwiastun dla żeglarzy. W jednej z najstarszych wersji szkockiej ballady *Sir Patrick Spens* pojawia się następująca zwrotka:

*Wtem morska żona się zjawila,
kielich i grzebień w smukłej dłoni.
„ Wasze zdrowie dziś będę piła,*

Bo wnet was morska toń pochłonie"

I wtedy statek poszedł na dno.

ŚWIĘTY KOLUMBAN

Według biografów Kolumban był kimś niezwykłym na tle innych. Był „wysoki, potężnie zbudowany, robiący wrażenie na każdym, kto go zobaczył, i łączył w sobie cechy uczonego, poety i władcy" (David Farmer, Oxford Dictionary of Saints, Oxford University Press 2003).

Kolumban urodził się w rodzinie władców Irlandii i mógł być związany z druidami. Z pewnością potrafił uspokajać wzburzone morze, odpędzać mgłę i przywoływać wiatry wiejące w przeciwnych kierunkach w tym samym czasie. Co jeszcze ciekawsze, Kolumban był przeciwny rozwiązaniu Zakonu Bardów. Wystąpił w ich obronie podczas zjazdu nowo ochrzczonych królów Irlandii, którzy chcieli zniszczyć dawną religię. Kolumban przekonał ich, że od bardów zależy przyszłość całej kultury Irlandii.

Do wielu wyczynów Kolumbana można zaliczyć chrzest piktyjskiego króla Brude, a także odstraszenie potwora z Loch Ness od jego ofiary. Istnieje także niepokojąca opowieść, wiążąca się z wznoszeniem kościoła na wyspie Iona.

Cokolwiek ludzie zbudowali tam za dnia, w nocy obracało się w ruinę. Kolumban wystawił strażę, ale rano znaleziono wartowników martwych. Zatem, jak przystało na bohatera, sam postanowił czuwać następnej nocy.

W ciemności ujrzał wychodzącą z morza istotę. Była w połowie rybą, a w połowie kobietą. Gdy otrząsnęła się z wody, zadrżała cała wyspa. Z jej ust dobył się dźwięk przypominający brzęk tłukących o siebie garnków. Była bardzo stara i strasznie brzydka. Tak wyglądało spotkanie Kolumbana z morską wiedźmą.

Święty zapytał ją, dlaczego zabiła jego strażników, na co wiedźma odpowiedziała, że nie zrobiła nic — sam jej widok przyprawił ich o atak serca. Wtedy Kolumban zapytał, dlaczego niszczy jego kościół. Odpowiedziała, że to nie jej wina — budowla nie może powstać, dopóki ktoś nie zgodzi się zostać pogrzebany pod nią żywcem.

Zgłosił się wtedy jeden z towarzyszy świętego, Odhran. Kolumban przyrzekł mu, że trafi prosto do Nieba. Odhrana umieszczono w głębokiej jamie, którą przykryto dachem, ale po dwudziestu dniach Kolumban podniósł dach, by sprawdzić, czy mężczyzna żyje. Odhran żył i starał się wydostać na zewnątrz. Wtedy święty kazał zasypać dół gliną.

Jakkolwiek na to patrzeć, była to ofiara z człowieka. Tego rodzaju ofiary znajdowane są w fundamentach budynków na Wyspach Brytyjskich od najdawniejszych czasów, choć w

późniejszych wiekach zamiast ludzi grzebano psy, konie lub koty.

WĘDROWIEC

Gatunek, do którego należy Wędrowiec — albatros czarnobrewy — żyje na południowym Atlantyku, w pobliżu Antarktydy. Zdarza się jednak, że burze zaganiają pojedyncze sztuki tysiące mil od ojczystych wód. W 1967 roku samiec albatrosa trafił do Szkocji i żyje tam po dziś dzień. Ornitolodzy nadali mu imię Albert.

Albert nie mógł znaleźć dla siebie partnerki, choć zalecał się do dwukrotnie od siebie mniejszych samiczek głuptaków. Te, rzecz jasna, odtrąciły go. Albert ma skrzydła o rozpiętości siedmiu stóp, choć niektóre albatrosy osiągają dziewięć. Teraz mieszka on na maleńkiej wysepce pomiędzy Hebrydami i Szetlandami. Ma przynajmniej pięćdziesiąt dwa lata i być może dożyje siedemdziesiątki (BBC News, 9 maja 2007).